

Najnowszy bestseller: światowa premiera w Polsce!

SHARON BOLTON

TRUCICIELE

CYKL
MISTRZ CEREMONII




AMBER

**SHARON
BOLTON**

TRUCICIEL

Przekład
MAŁGORZATA STEFANIUK



Redaktor prowadząca
Małgorzata Cebo-Foniok

Korekta
Hanna Lachowska
Halina Lisińska

Zdjęcia na okładce
DM Daniel Miłowanow
© Wilco Snoeijer/Shutterstock
© Voraorn Ratanakorn/Shutterstock
© Kris Wiktor/Shutterstock

Tytuł oryginału
The Poisoner

Copyright © Sharon Bolton 2020
All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition
Copyright © 2019 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-7130-9

Warszawa 2019. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA

Od Autorki

Truciciel to nie jest typowy drugi tom *Mistrza ceremonii*. Kontynuuje i poprzedza go jednocześnie. Wydarzenia z obu książek nakładają się, pytania postawione w pierwszej, znajdują odpowiedzi w drugiej i odwrotnie. Ale obie powieści nie zdradzają się nawzajem.

Sabden to istniejące miejsce, jednak Sabden z powieści w niewielkim stopniu przypomina to prawdziwe. Pendle Hill też istnieje, nikt jednak nie zna oryginalnego położenia Malkin Tower.

W 1916 roku w Lancashire sporo „wiedźm” zostało osądzonych i powieszonych.

Wszystkie informacje dotyczące wydarzeń opisanych w serii o mistrzach są, zgodnie z moją najlepszą wiedzą, prawdziwe.

Obsada

1999

Florence Lovelady, zastępca komisarza policji metropolitalnej

Nick, jej mąż, policjant

Ben, jej nastoletni syn

Larry Glassbrook, skazany morderca

Sally Glassbrook, jego żona

Cassie Glassbrook, jego starsza córka

Luna Glassbrook, jego młodsza córka

Mary, gospodyni Glassbrooków

Tom Devine, inspektor z komisariatu w Sabden

Brian Rushton, komisarz z wydziału śledczego komisariatu w Sabden

Perdita Collins, sierżant z wydziału śledczego komisariatu w Sabden

John Donnelly, właściciel pubu Czarny Pies w Sabden

Tammy Donnelly, jego żona

Beryl Donnelly, matka Johna

Dwane Ogilvy, wspólnik właściciela zakładu pogrzebowego Glassbrook & Greenwood

Jenny Ogilvy, jego żona

Avril Cunningham, miejscowa adwokatka

Daphne Reece, emerytowana bibliotekarka i part nerka życiowa Avril
Marlene Labaddee, miejscowa kwiaciarka
Hecate Collins, medium i spirytualistka, matka Per dity

dr Frederick Aster, lekarz z domu dziecka Black Moss Manor
dr Judith Aster, lekarz z domu dziecka Black Moss Manor
Sandra Cartwright, była pracownica domu dziecka Black Moss Manor
Bracken Lee, kierownik domu wczasowego Black Moss Manor

Abby Thorn, dziennikarka
Caroline (Tricksy) Trickett, antropolog

1969

Marigold McGowan, młoda matka
Henry (Hen) McGowan, jej syn niemowlę

Roy Greenwood, jeden z właścicieli zakładu pogrzebowego Glassbrook &
Greenwood
Grace Greenwood, jego matka

Ted Donnelly, właściciel pubu Czarny Pies, mąż Beryl

Stanley Rushton, inspektor z komisariatu policji w Sabden
Randall (Randy) Butterworth, posterunkowy
Jack Sharples, komisarz z wydziału śledczego
Garry Brown, sierżant z wydziału śledczego, zna ny jako Woodsmoke
Colin West, posterunkowy
Harold Devine, ojciec Toma
Mary Devine, matka Toma

Ernest Chadwick, radny miejski

Albert (Bertie) Frost, właściciel i wydawca „Lancashire Morning Post”

Lillian Ogilvy, matka Dwane’a

Od autorki

Truciciel to nie jest typowy drugi tom *Mistrza ceremonii*. Kontynuuje i poprzedza go jednocześnie. Wydarzenia z obu książek nakładają się, pytania postawione w pierwszej, znajdują odpowiedzi w drugiej i odwrotnie. Ale obie powieści nie zdradzają się nawzajem.

Sabden to istniejące miejsce, jednak Sabden z powieści w niewielkim stopniu przypomina to prawdziwe. Pendle Hill też istnieje, nikt jednak nie zna oryginalnego położenia Malkin Tower.

W 1916 roku w Lancashire sporo „wiedźm” zostało osądzonych i powieszonych.

Wszystkie informacje dotyczące wydarzeń opisanych w serii o mistrzach są, zgodnie z moją najlepszą wiedzą, prawdziwe.

Część 1

1999

Ostatnie dni Larry'ego Glassbrooka

1

Truciciel

Truciciel jest słaby.

Truciciel to twój służący, dziecko, małżonek, bezsilny niewolnik, o którym prawie nie myślisz, oprócz chwil, gdy coś zakłóci twoją wygodę.

Truciciel ci towarzyszy, ledwie zauważany, ledwie uznawany. Wie, że jesteś głupcem, błogo nieświadomym cierpliwego zabójcy, który gotuje dla ciebie, relaksuje się przed twoim kominkiem, śpi w twoim łóżku. Nigdy nie jesteś bezpieczny, bo truciciel zawsze jest u twojego boku.

Truciciel ma nieskończoną cierpliwość. Będzie czekał, licząc zniewagi i krzywdy, tak jak dusigrosz liczy złoto, wiedząc, że wszystko skończy się tak, jak ma się skończyć. Truciciel może pozwolić sobie na czekanie.

Truciciel jest zręczny i przebiegły. Ma wiedzę, ale ty o tym nie wiesz, bo truciciel nie

domaga się ani pochwał, ani poświęcania mu uwagi. Największe zagrożenie zawsze jest niespodziewane.

Mówię „on”, ale oczywiście powinnam mówić „ona”, bo trucizna zawsze była bronią z wyboru tych, którzy są poza tym zupełnie bezbronni. Truciciel jest kobietą.

Truciciel to ja.

2

Florence

Poniedziałek, 26 lipca 1999

Larry o czymś myśli. Potrafię to rozpoznać. Zawsze, kiedy rozmowa utyka w naturalny sposób, odwraca wzrok, przestaje na mnie patrzeć, jakby się zastanawiał, czy teraz jest ten dobry moment. Z Larrym wycucie czasu to podstawa, a jak zwykle czas ucieka. On tak robi. Chce, żebym rozstała się z nim w stanie gdzieś między ciekawością i frustracją, pragnąca więcej. Myśli, że dlatego wracam, w ten sposób zapewnia sobie to, że o nim myślę. Nigdy mu nie powiedziałam, że nie musi się o to martwić.

Myślę o nim zawsze.

Za mną wybucha kłótnia. Słysząc dźwięk gwizdka, potem ostry rozkaz. Ignorujemy to.

– Widziałem cię w wiadomościach – mówi, a ja wiem, że to nie to. Że to znów tylko taktyka zwlekania.

– Jak wyglądałam?

– Tak jak zawsze.

Ciemne włosy Larry’ego zrobiły się białe jak śnieg, skórę ma pomarszczoną. Nos złamany więcej niż raz, nad prawym okiem, które ktoś chciał wydłubać widelcem, widnieje fałda blizny. Mimo to jest przystojny. Każdy, kto zastanawiałby się, jak mógłby wyglądać Elvis, gdyby dożył siedemdziesiątki i miał wagę pod kontrolą, powinien zobaczyć Larry’ego.

Czekam, ale nie mówi nic więcej, a ja go nie popędzam. Pomimo tych wszystkich lat komplementy Larry’ego nadal wprawiają mnie w zakłopotanie.

Zaczyna kaszleć i wyciąga chusteczkę. Poplamioną krwią.

– Dziesięć minut, panowie i panie – woła oficer dyżurny. Wokół słyszymy ludzi szykujących się do wyjścia. Niektórzy mają przed sobą długą drogę i niecierpliwią się,

chęć już kończyć. Za głową Larry'ego widzę parę, która się obejmuje.

Larry i ja nigdy się nie dotykamy. Larry i ja nie jesteśmy kochankami, małżonkami ani partnerami. Nie jesteśmy rodziną, nawet przyjaciółmi. Nie mam pojęcia, kim jesteśmy Larry i ja.

– Co ci chodzi po głowie, Larry? – pytam.

Znów sięga do kieszeni i przepycha po stole mały prostokąt z gazety. Patrząc w dół, rozpoznaję wiktoriański budynek na zdjęciu i coś mi się zaciska w środku. To o Sabden. Małym przemysłowym miasteczku na północnym zachodzie. Tam zaczynałam pracę.

Moje życie prawie się tam zakończyło.

Trzeci palec u mojej lewej dłoni boli. To ból fantomowy oczywiście: straciłam ten palec lata temu, ale i tak mi dokucza, zwłaszcza kiedy się denerwuję. Normalnie wtykam go pod pachę i nacisk pomaga, ale nie zrobię tego przy Larrym.

– Pamiętasz sierociniec? – pyta. – Dom dziecka, chyba tak to nazywali, kiedy przyjechałaś.

– Black Moss Manor. – Przywołuję obraz stromego porośniętego wawrzynem podjazdu na skraju miasta, poczerńniętych od sadzy kamiennych murów, spiczastego frontonu na środku łupkowego dachu. Widzę duże kwadratowe okna, te na parterze zakratowane.

Pamiętam obłazącą czerwoną farbą na drzwiach frontowych, zardzewiałe rynny, paprocie rosnące w szczelinach popękane muru. Nieomal czuję cierpki zapach wrzosowisk, gotowanych warzyw, smród moczu, tworzące smrodliwy obłok zła na tyłach budynku.

Świadoma tego, że Larry na mnie patrzy, czytam cały artykuł z „Lancashire Morning Post”.

9 lipca 1999

Zgodnie z krótkim oświadczeniem wydanym dzisiaj przez policję z Lancashire ludzkie szczątki znalezione w ziemi powyżej Laurowego Nasypu w Sabden mają zostać skremowane później w tym miesiącu podczas kameralnej mszy.

Początki Domu Dziecka Black Moss Manor, dawniej znanego jako Sierociniec i Przytułek Black Moss Manor, sięgają roku 1893, kiedy to sierociniec został otwarty przez burmistrza miasta przy wykorzystaniu funduszy zebranych przez lokalnych darczyńców. Dom dziecka przez lata swojego istnienia pozostający w rękach prywatnych, zarządzany przez fundusz charytatywny, przyjął wiele dzieci z pobliskich

lokalnych państwowych sierocińców, gdy liczba wychowanków tych instytucji stawała się zbyt duża na ich ograniczone możliwości. Dom został zamknięty w 1969 roku.

Uważa się, że znalezione szczątki są szczątkami czwórki dzieci, które prawdopodobnie zmarły na skutek grypy lub gruźlicy, dwóch chorób powszechnych na obszarach Lancashire w końcu XIX wieku i w początkach XX. Miejscowa historyk i emerytowana bibliotekarka Daphne Reece powiedziała nam, że wiktoriańskie sierocińce zwykle obok budynków mieszkalnych posiadały własne miejsca pochówku, choć Reece nie przypomina sobie takiego przy Black Moss Manor. „Spodziewałabym się nagrobków” – mówiła Reece – „Choćby najprostszycy, ale to możliwe, że już dawno temu zostały usunięte”.

Od 1981 roku w budynku prowadzony jest dom wczasowy dla osób duchownych i przedstawicieli innych zawodów cierpiących na stres związany z pracą lub dochodzących do zdrowia po długiej chorobie. Szczątki zostały znalezione podczas rutynowej inspekcji lokalnej kanalizacji.

Policyjny inspektor Tom Devine powiedział nam, że formalne dochodzenie nie zostanie wszczęte. „To stare szczątki” – relacjonował inspektor – „z czasów, gdy umieralność dzieci była niestety o wiele większa niż obecnie. Nie mamy żadnych podstaw sądzić, że doszło tu do jakiegokolwiek przestępstwa”.

Tożsamość zmarłych dzieci nie jest znana, sądzi się, że żyjących krewnych już nie ma.

– Przez to miejsce przewinęło się wiele dzieci – mówię. – Niektóre umierały.

Larry zniża głos.

– Och, tak. Pochowałem je wszystkie, ale nie na terenie domu dziecka.

– Co ty mówisz? – pytam. – Ty to zrobiłeś? Ty je zabiłeś?

Larry krzywi się, jest zaskoczony, zawiedziony.

– Tam do diabła, nie – odpowiada.

– Chyba się nie dziwisz, że zapytałam.

– Florence, zabiłem Susan Duxbury, Stephena Shorrocka i Patsy Wood. Przyznałem się do tego i odsiedziałem za to trzy dekady.

Nie musi mi tego mówić. Trzydzieści lat temu, w 1969 roku, troje młodych nastolatków z Sabden zniknęło i już nigdy więcej nie zobaczyliśmy ich żywych. Ja byłam skromną posterunkową, wtedy jeszcze na stażu, ale wyśledziłam i złapałam zabójcę. Larry’ego.

– Nie wyjdę stąd żywy – mówi. – Co mógłbym zyskać, kłamiąc?

Nie miał nic do zyskania. Zupełnie nic.

– Pamiętam każdą trumnę, każdą skrzynię, jaką kiedykolwiek zrobiłem, Florence. Jesteś zaskoczona?

Larry, zanim trafił do więzienia, był mistrzem stolarstwa i częściowym właścicielem jedyne w Sabden przedsiębiorstwa pogrzebowego Glassbrook & Greenwood. Jego wspólnik, Roy Greenwood, zarządzał firmą i w czarnym garniturze i cylindrze, z laską ze srebrną gałką przewodził konduktom żałobnym. Larry robił piękne, wyściełane aksamitem wytrzymałe trumny.

– Przez cały czas pracy z Royem zrobiłem dla Black Moss Manor osiem trumienek – informuje mnie. – Trzy były dla bardzo małych dzieci. Nie mieli na to pieniędzy w budżecie, ale zrobiłem ładne, bo miałem dwójkę własnych.

Nie mogę się powstrzymać i podnoszę brwi. Oddany ojciec, który zabił dzieci innych. Larry albo nie widzi mojego zdumienia, albo mnie ignoruje.

– Chodzi mi o to – kontynuuje – że tamte dzieci nie były pochowane w Black Moss. Trafiły do św. Augustyna, na najbliższy cmentarz. – Kładzie palec na wycinku i dodaje: – Więc skąd wzięły się te?

– Z okresu przed tobą – podsuwam. – Kiedy zacząłeś pracę w zakładzie pogrzebowym?

– W 1946. – Przewidział pytanie. – Roy przyszedł do szkoły, szukając czeladnika dobrego ze stolarstwa.

Zerkam na wycinek. Cztery małe szkielety.

– Więc te szczątki pochodzą z jeszcze wcześniejszego okresu. Tu mówią, że dom działał już w dziewiętnastym wieku.

Larry wzdycha – wilgotny, niezdrowy odgłos.

– Florence, znam się trochę na zwłokach i na tym, co się z nimi dzieje w ziemi. Ta przy Black Moss jest kwaśna. I mokra. Ciała małych dzieci nie przetrwałyby pięćdziesięciu lat.

– Mówisz, że to niezgłoszone pochówki?

– Tak. I niedawne. Najwyżej sprzed dwudziestu lat. Góra trzydziestu.

– W takim razie przeprowadzą śledztwo w tej sprawie.

– A wygląda ci na to, że jakieś planują przeprowadzić?

Znów spoglądam na wiadomość z gazety. Szczątki mają być skremowane po kameralnym nabożeństwie.

– Nie mogę się w to mieszać.

– Nie przypominasz mi tej posterunkowej Lovelady, którą pamiętam.

Jestem ostatnim odwiedzającym, który jeszcze tu siedzi. Oficer dyżurny zerka na zegarek.

– Larry – mówię – zamknęliśmy dom dziecka. Ludzie, którzy go prowadzili, dostali zarzuty o zaniedbanie i wyrządzenie cielesnych krzywd. Odsiedzieli swoje.

Próbuję sobie przypomnieć nazwiska dwójki prowadzących dom. Ashton? Aston?

– Kilka lat – rzuca Larry. – Potem znowu wyszli na wolność. Mogliście zamknąć dom dziecka, ale nie zatrzymaliście tego, co się tam działo.

Kręcę głową.

– Dobrze wiesz, Florence, że w tym mieście dzieje się coś złego – upiera się Larry. – Czulaś to przed tymi wszystkimi laty.

Znów podnoszę brwi. Tym razem Larry to widzi i uśmiecha się.

– Coś więcej niż tylko ja – dodaje.

– Ja tam nie wrócę. – I naprawdę tak myślę. Nigdy więcej nie pojedę do Sabden.

Larry ponownie wyciąga poplamioną krwią chusteczkę, a ja zauważam, jaką poszarzała ma cerę, jak jego ciało wydaje się rozkładać. Nie powinno mnie to szokować. A jednak szokuje. Po raz pierwszy od dekad muszę zmierzyć się z myślą o życiu bez Larry'ego.

– Nawet na mój pogrzeb? – pyta.

3

Cassie

Nigdy nie lekceważcie mocy innej wiedźmy. Tak nam zawsze powtarzała matka, więc nie lekceważę, nawet jeśli tą wiedźmą jest ona sama. W swoim czasie Sally Glassbrook była potężną czarownicą i zawsze się pilnuję, kiedy jestem przy niej.

Sprawdzam, czy mój amulet z czarnego turmalinu jest tam, gdzie powinien być, pod obwódką bluzki. Wsiadając z samochodu, modlę się o siłę, wyobrażając sobie zarazem srebrny sznur biegnący od mojego rdzenia do samego jądra ziemi. Kiedy się uspokoję... Boże, wkurza mnie, że ona wciąż może mi to robić – kiedy czuję, że jestem spokojna, idę do wejścia.

Dom opieki, w którym mieszka ta stara suka, leży kilka kilometrów za Sabden. Nie jest nawet w przybliżeniu tak stary, na jaki wygląda, a w środku jest tak nowoczesny jak każda inna instytucja medyczna. Stara kamienna fasada to fałsz, zupełnie jak córczyne oddanie, które dla matki wybrało najdroższy dom opieki. Mam głęboko w nosie wygodę mojej matki. Wybrałam ten dom ze względu na jego lokalizację.

Nigdy nie wchodzę głównym wejściem, wolę, niezauważona, wślizgiwać się bocznym. Jej pokój nosi sentymentalną nazwę „Pierwiosnek”. Podłogi nie są wyłożone bieżnikami, ale ona nigdy nie słyszy mojego nadejścia. Chcę właśnie przekreślić gałkę, gdy nagle w środku ktoś się odzywa.

– Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że Larry niedługo umrze. – Mówiąca kobieta ma mocny głos, z naleciałościami z Lancashire. – Może nawet w dzień pełni księżyca.

Moja matka śmieje się.

– Zawsze miał tendencję do dramatyzowania.

Moja matka? Co jest, kurwa? Moja matka od lat prawie nie mówi. Ma początki demencji, pogorszonej przez przewlekłą depresję. Leży w łóżku z oczami szeroko otwartymi albo siedzi na krześle i gapi się na wrzosowiska. Czasami łązi po pokoju

boso i ciągnie się za włosy. Okazjonalnie coś mamrocze. Z ludźmi nie rozmawia.

Dziwny głos mówi:

– Cassie robiła rozeznanie. Chce urządzać pogrzeb w Sabden.

– Wróciła? – pyta matka. – Jest w mieście?

– Nie, nie, nie sędzę. Tylko dzwoniła. To nie jest dobry pomysł, Sally. Mam na myśli pogrzeb. Już nawet kilka kilometrów stąd byłoby lepiej.

Słyszę ślady akcentu z Indii. Dawno temu znaliśmy hinduską rodzinę, ale nie mogę sobie przypomnieć nazwiska.

– A jaka to teraz różnica? – pyta matka. – Ludzie kilka godzin się poekscytują, potem sobie pójdą, łącznie z Cassie.

Na dźwięk wypowiedzanego przez nią mojego imienia czuję się tak, jakby ktoś rozdrapywał starą zasklepioną ranę. Minęły lata od czasu, gdy choćby zauważała moją obecność.

– Ona chce sprzedać dom – mówi Hinduska. – Pisała do Avril.

Avril Cunningham to moja adwokatka. Wielkie dzięki za zachowanie poufności informacji, Avril.

– Ja też chcę – odpowiada matka. – Sprzedałabym go już wiele lat temu, gdybym mogła. Jestem jej to winna. Przynajmniej to, za to, co jej zrobiłam.

– Pójdiesz na pogrzeb? – pyta kobieta.

– Nie.

Po tym, co mi zrobiła?

Nawet na korytarzu słyszę westchnienie, które następuje po tej krótkiej odpowiedzi.

– Sally, potrzebujemy cię, musisz do nas wrócić. Kiedy to się skończy, kiedy on naprawdę odejdzie, wyjdiesz stąd?

Przez kilka sekund w pokoju jest cicho. Potem moja matka mówi:

– A co ja mogę? Co ktokolwiek z nas może?

– Na pewno słyszałaś ostatnie doniesienia. O tych zwłokach dzieci znalezionych przy Black Moss Manor.

Ja słyszałam. Prenumeruję „Lancashire Morning Post”. Pamiętam tę historię. Tymczasem z pokoju dochodzi ciężkie westchnienie.

– Słyszałam – potwierdza matka. – I co w związku z tym?

– Oni je skremują. Nie pogrzebią, tylko spalą.

– Bo to tańsza opcja.

– I niszczy wszystkie dowody.

Przyciskam się mocniej do drzwi.

– Mówią, że to będzie tego samego dnia, Sally. Wszyscy będą skupieni na pogrzebie Larry’ego. Nikt nie będzie myślał o tym, co się dzieje po drugiej stronie miasta.

Nie słyszę żadnej odpowiedzi.

– Oni próbują coś ukryć, Sally.

Oni? Kim są „oni”?

– Sally, znałaś to miejsce. Ta dziewczyna, której pomogłaś, była stamtąd, prawda?

– Marigold? – W głosie matki słychać cieplejsze nuty. – Florence i ja odebrałyśmy jej poród.

Pamiętam Marigold. Zjawiła się w naszym domu krótko po tym, jak mój ojciec został zaaresztowany. A potem zniknęła, tak samo nagle.

– Próbowaliśmy ją ratować – mówi matka. – Robiliśmy, co w naszej mocy. Dlaczego nie zapytasz o to Florence?

– Nie – sprzeciwia się stanowczo kobieta. – Wszystkie się co do tego zgodziłyśmy. Florence nie może wrócić.

Próbowaliśmy ją ratować? Robiliśmy, co w naszej mocy? O czym one mówią? Marigold wróciła do rodziny.

– Mistrzowie są naszym przekleństwem, Sally – mówi kobieta. – Oprócz nas nikt się z nimi nie zmierzy.

Mistrzowie? Nigdy wcześniej o nikim takim nie słyszałam, a jednak gdzieś w głębi coś rezonuje, coś jak pradawny strach obudzony po długim śnie.

– To bardzo stare zwłoki, Marlene – mówi matka. – Co możemy zrobić?

Kobieta, Marlene, odpowiada:

– A co, jeśli nie są aż tak stare? Co, jeśli to się nie skończyło?

W pokoju ktoś się poruszył. Odsuwam się kilka kroków i chowam się za rogiem. Brak mi powietrza.

Moja matka mnie okłamała. Och, wiem, nie powiedziała nigdy: „Cassie, moja kochana, mój rozum mnie opuścił, pozostawiając mnie wyłuskaną, pustą i bezużyteczną, bez śladu matki, którą kiedyś kochałaś. Odeszłam i ten chodzący chudy szkielec to tylko złe wspomnienie dawnej mnie”. Nigdy czegoś takiego nie powiedziała, tyle że... Cholera jasna, nie miałam pojęcia, że z mojej matki jest taka aktorka.

I Marigold? Mistrzowie? Co do kurwy nędzy?

Poza tym, co takiego mi konkretnie matka zrobiła?

Słyszę zamykanie drzwi i oddalające się kroki. Na szczęście dla mnie Marlene – oczywiście, teraz sobie przypominam, to Marlene Labaddee, stara znajoma matki, właścicielka kwaciarni na głównej ulicy Sabden – nie podziela mojego zwyczaju

zakradania się bocznym wejściem.

Idę szybko do pokoju matki, mając nadzieję, że przyłapię ją na... nie jestem pewna na czym – jakimś akcie, świadczącym o tym, że żyje – ale już wróciła na swój fotel przy oknie i gapi się na wrzosowiska.

Jest w bezkształtnej wełnianej spódnicy, za dużej na nią i za cieplej na ten dzień. Powyżej jest bluzka, którą pamiętam z dzieciństwa, i cienki różowy kardigan. Jej włosy, kiedyś długie i jasne jak moje, są teraz krótsze i słabsze, bardziej szare niż srebrne. Ma zwyczaj owijać pasmo na palcu i pociągać za nie. Na kardiganie zawsze widać pojedyncze wyrwane włosy.

Wzdryga się, kiedy drzwi zamykają się za mną z trzaskiem. Przez kilka sekund przyglądam się jej odbiciu w szybie okna. Dopiero gdy jej oczy się podnoszą i napotykają spojrzenie moich, podchodzę do regału z książkami i klękam. Zaczynam wyjmować książki, ale obserwuję ją kątem oka, czekając – mając nadzieję – na jakąś reakcję. Siedzi nieruchomo w fotelu, skurczona i otępiała, ze wzrokiem wbitym w kolana.

Wsadzam książki z powrotem, ale w innym porządku. Za każdym razem, kiedy tu przychodzę, mieszam książki. Czasami niektóre kładę pod łóżkiem albo na zewnątrz na parapecie, albo pod kubkiem z kawą, z którego trochę tej kawy się wylało.

– Twój mąż umiera – oznajmiam. Doznaję nagłego olśnienia i wkładam książki na półkę grzbietami do środka. – To się może stać w każdej chwili. Rak płuc z przerzutami na osierdzie. Przykro mi z powodu twojej straty, bla, bla, bla.

Prostuję się i podchodzę do szafy. Ostatnim razem, gdy przyszłam, wszystko odwróciłam spodem na wierzch. Chwytam klamkę, ale nagle dociera do mnie, że to bezcelowe. Matka nigdy nie otrząśnie się z otępienia i nie warknie na mnie, żebym się zachowywała i zostawiła jej rzeczy w spokoju. Doskonale wie, co robię i dlaczego, i ma to w nosie.

Zniechęcona, siadam w drugim fotelu. W tym samym momencie słyszemy hałas na korytarzu. Nadjeżdża wózek. Słysząc krótkie pukanie i zaraz potem drzwi się otwierają.

– No dobra, Sally. Gotowa na herbatkę? Och, cześć, Cassie, kochanie. Nie wiedziałam, że tu jesteś.

Nie pamiętam imion ludzi z obsługi, ale twarz tej kobiety jest dość znajoma. Pomarszczona i napuchnięta, poczerwieniała i spocona od wysiłku wkładanego w pchanie wózka. Oni wszyscy mnie tu znają, oczywiście. Co kwartał płacę za pobyt matki.

– Czy ostatnio była tu moja siostra? – pytam.

– Nic mi o tym nie wiadomo, kochanie. – Kobieta nalewa herbatę i wychodzi.

– W środę będę się widziała z tatą – mówię, kiedy mama i ja znów jesteśmy same. – Mam specjalne pozwolenie, żebym mogła patrzeć, jak umiera.

Matka nie odpowiada. Ani się nie porusza. Nigdy nie pije herbaty, którą dla niej nalano. Do dzisiaj sądziłam, że obsługa podaje ją dlatego, że ja tu jestem, żeby pokazać, że się o nią troszcza. Teraz uzmysławiam sobie, że prawdopodobnie jest zupełnie inna, kiedy mnie nie ma. Dociera do mnie, że pewnie ma ochotę na tę herbatę. Może ja ją wypiję?

– Jakieś preferencje w kwestii kwiatów na pogrzeb? – rzucam. – Kim była ta twoja znajoma? Wiesz, ta kwiaciarka z głównej ulicy, Marlene jakaś tam? Często ją widzisz?

Nic, nawet drgnięcia powieką.

– Myślałam o tym, żeby na mszę zaprosić Marigold – ciągnę. – Pamiętasz Marigold, prawda? Mieszkała z nami przez jakiś czas. Pewnie nie możesz podać mi jej obecnego adresu zamieszkania, co?

Sally nadal się nie rusza, ale wyczuwam, że jej oddech się zmienił. Teraz już wie, że podsłuchiwałam pod drzwiami.

– Co takiego mi zrobiłaś? – pytam. – Co zrobiłaś, co musisz mi teraz wynagrodzić?

Nic. Absolutnie nic. Przy drzwiach zatrzymuję się i odwracam.

– Na czas pogrzebu zatrzymam się w mieście – informuję. – Zarezerwowałam pokój w Czarnym Psie – dodaję. – Z Johnem.

W końcu jakaś reakcja. Jej głowa podrywa się, oczy rozszerzają strachem. Uśmiecham się, kiedy wychodzę.

4

Florence

Wtorek, 27 lipca 1999, wczesnie rano

Florence! Florence, obudź się. To nie rzeczywistość.

Jestem pogrzebana. Nie mogę się poruszyć. Wszędzie wokół mnie ciemność i coraz bliżej...

– Florence, no już. Obudź się.

Poruszenie obok mnie i potem ciepłe światło sprowadza mnie z powrotem do mojej własnej sypialni, nade mną pochyla się mąż. Jestem ściśle opatulona kołdrą. Zlana potem, uwalniam się od niej. Nick podaje mi szklanekę wody.

– Wszystko w porządku? – pyta.

Kiwam głową.

– Obudziłam Bena?

Kiedy mam czarne sny, krzyczę. Jeśli okna są otwarte, potrafię nawet obudzić sąsiadów.

– Nic nie słyszę – odpowiada Nick. – Za chwilę pójdę sprawdzić. Jesteś pewna, że już dobrze?

– Tak. Idź, zobacz, co u Bena.

Wcale nie jest dobrze. Miną godziny, zanim poczuję się choćby odrobinę lepiej, ale chcę się pozbyć Nicka. Jeśli zostanie, dokładnie wiem, co się wyda...

– Ten sam sen, co zawsze? – pyta.

Znowu kiwam głową, choć ściśle rzecz biorąc, są trzy powtarzające się sny, których się boimy. Pierwszy o tym, że ręce martwych dzieci wyciągają się do mnie z ziemi, z grobu. To dość przykre. Drugi o mężczyźnie bez twarzy, tnącym mnie na kawałki, jeden po drugim. Za tym naprawdę nie przepadam. W trzecim, najgorszym, żyję, ale jestem uwięziona w zakopanej głęboko w ziemi trumnie. Trumnie zrobionej przez Larry'ego.

Mam te sny od trzydziestu lat.

– Za każdym razem, gdy go odwiedzasz – mówi Nick, kiedy idę do łazienki. To nie do końca tak, ale prawie, więc nawet nie próbuję zaprzeczać.

– Jak długo jeszcze? – pyta mnie.

Moja twarz w lustrze jest trupioblada.

– Może wcale niedługo. Jest chory.

Zaczynam liczyć, sztuczka terapeutyczna, pomagająca zapanować nad oddechem.

– Umiera – dodaję przed dotarciem do czterech.

– I dobrze – mówi Nick.

Nick w końcu znów zasypia. Ja nigdy nie jestem w stanie zasnąć po koszmarach – więc nie próbuję. Zamiast tego wchodzę na samą górę i spuszczam drabinę prowadzącą na poddasze. Za skrzynią z zabawkami Bena z dzieciństwa, których nie mam serca wyrzucić, znajduję kartonowe pudło, poszarzałe od patyny kurzu, oblepione pajęczynami, z dziurawymi wygryzionymi rogami. Kobieta, którą kiedyś byłam, na górze kartonu napisała „SABDEN”.

Pomijam akta dotyczące morderstw Glassbrooka – nie potrzebuję dzisiaj więcej tych wspomnień w swojej głowie – i znajduję teczkę z sierpnia 1969. Oczywiście są w niej wycinki z gazety opisujące sprawę Black Moss Manor. Cofając się w czasie, znajduję opis tego, co stało się z niektórymi z dzieci po zamknięciu domu. Znajduję raporty, streszczenia procesów ludzi, którzy w nim pracowali. Aster, tak brzmi nazwisko, którego nie potrafiłam sobie przypomnieć. Tymi dwiema osobami, które prowadziły dom, byli lekarze, Frederick i Judith Aster.

A potem znajduję to, czego szukam. W czwartek, czternastego sierpnia 1969 roku, stronę tytułową „Lancashire Evening Telegraph” w całości poświęcono pożarowi, jaki wybuchł w domu dziecka w tę noc, gdy go zamknęliśmy.

Towarzyszące zdjęcie zostało zrobione krótko po dziewiątej tego samego dnia rano. Wiem to na pewno, bo jestem na tym zdjęciu. Tom zawiózł nas tam oboje, zatrzymując się z piskiem opon w pewnej odległości od pocerniałego budynku. Było zbyt wiele wozów strażackich, byśmy mogli podejść bliżej.

Na zdjęciu patrzę na dom. Tom, być może wyczuwając, że jesteśmy obserwowani, odwrócił twarz do aparatu. Tak naprawdę to nie muszę czytać towarzyszącego opisu. Pamiętam każdy szczegół tamtego dnia: okna wysadzone w powietrze gorącym; mokra ziemia zasypana połamanymi meblami, książkami, nawet dziecięcymi ubrankami.

Pamiętam sadzę, która zdawała się wisieć w powietrzu, okopcone ściany, żyrandol, który spadł.

Pamiętam dowódcę straży, który nas oprowadzał, pokazując dwa różne punkty początkowe w biurach personelu.

– Pożary nie wybuchają przypadkowo dwukrotnie – zauważyłam wtedy.

– Nie, nie wybuchają, młoda damo – potwierdził dowódca.

Pamiętam zniekształcone gorącym szafki na dokumenty, których zawartość była zamieniona w proch. Zostawiono je otwarte – te szafki – żeby ogień mógł zniszczyć kryjące się w nich tajemnice.

Nie wrócę do Sabden, ale mogę wykonać telefon czy dwa. Mogę zapewnić Larry’emu spokój umysłu, zanim umrze. Tyle jestem mu winna. Odwracam się, żeby opuścić poddasze, i staję jak wryta.

Winna? Ja jestem coś *winna* Larry’emu? A skąd to się, do cholery, wzięło?

5

Cassie

Larry umiera. Przez większość czasu jest zmęczony, nie może jeść, często cierpi z bólu. Mówią mi, że za kilka dni, może nawet godzin, odejdzie. Swoje tajemnice zabierze do grobu.

A ja będę wolna.

Wschodzący księżyc obudził mnie. Tak jak prawie zawsze. To księżyc przybywający, garbaty, na dzień przed pełnią, przed czasem, gdy energia ludzka osiąga szczyt swojej mocy. Kiedy księżyc zbliża się do pełni, najlepiej mi się pracuje. Moje loftowe mieszkanie ma z trzech stron wysokie okna. Poświata księżycyca wpływa przez nie do środka. W czasie pełni jest gorąco, zwłaszcza latem, ale ja zwykle w dzień śpię, a pracuję nocą.

Kilka lat temu w jednym z rzadkich wywiadów prasowych, które kiedykolwiek zgodziłam się udzielić, zrobili wielkie halo z moich nocnych zwyczajów, nazywając mnie „srebrzystowłosym” wampirem. Debile. Nie jestem wampirem. Jestem wiedźmą.

Wstaję. Mam do dokończenia kawałek – początek nowego widowiska muzycznego – ale nie jestem pewna, czy dam dzisiaj radę pracować. Więc stoję przy oknie, patrzę w dół na migoczące światła i cienie Salford w nocy, i mam uczucie, jakby moje życie otwierało się jak kwiat. Wszystko, o czym od tak dawna marzyłam, zaczyna się przybliżać, wkrótce będzie moje, będę mogła po to sięgnąć.

Niewiele ponad czterdzieści osiem kilometrów na północ jest miasto, w którym dorastałam. Sabden. A w Sabden mieszka jedyny mężczyzna, którego naprawdę kochałam. Tak długo, jak długo Larry będzie żył, nie mogę wrócić, a jednak nigdy nie byłam w stanie opuścić tego miasta zupełnie. Z domu opieki matki, ponad wrzosowiskami, czasami widzę dachy jego budynków. Czaję się na jego obrzeżach, przestrzegając warunków mojego wygnania, ale jestem na tyle blisko, że gdy nadejdzie pora, dotrę tam szybko.

Ten czas się zbliża. Czuję to.

Potrafię sobie wyobrazić światła Sabden w oddali, jego niekończące się rzędy brudnych ulic z szeregową zabudową, kominy fabryk niczym czepiające się nieba poczerwiałe palce. Oczami wyobraźni widzę wielką ciemną masę, którą jest Pendle Hill nocą, i nasz stary dom na skraju wrzosowisk. Słyszę szum nuconej przez pszczoły matki pieśni nad jabłonkami i walenie w pracowni Larry'ego, kiedy stuka, tnie i wbija gwoździe przy wtórce muzyki Elvisa Presleya, którą tak kocha.

Nagły ból. Jakby ktoś uderzył mnie mocno w brzuch. Łykam powietrze i kiedy znowu je wypuszczam, witam się ze światem cichym szlochem.

Mój ojciec umiera.

Nie, nie będę płakała. Nie za Larrym. A jednak płaczę. Łzy leją mi się po policzkach, krztuszę się z braku powietrza, płaczę z powodu wszystkiego tego, co, jak kiedyś wierzyłam, było prawdą, i za życiem, które powinno być moje, a nie jest. Płaczę z powodu pierwszego mężczyzny, którego pokochałam, a który teraz opuszcza mnie na zawsze. Skąd się bierze ten potworny smutek? Trzydzieści lat na to czekałam. Sama bym go zabiła, gdyby to było możliwe.

Nie mogę przestać, więc pozwalam sobie płakać dalej. Po jakimś czasie, kiedy księżyc wschodzi wyżej, trochę się uspokajam. Dzisiaj na niebie nie ma chmur, a ja, mimo mojego całego cierpienia, widzę światełko w tunelu. Przypominam sobie, że czekałam na śmierć Larry'ego. Nieszczęściem jest po prostu cena, jaką muszę za nią zapłacić. Ofiarą, którą składam, są moje łzy.

Być może będą jedyną potrzebną. Ale mogę być elastyczna.

Robi mi się zimno, nie zamykam jednak okna. Zamiast tego podchodzę do stereo i wciskam „play”. Piosenka, którą puszcza, to jedna z moich ulubionych, wydaje się pasować do tej nocy. *Fifty Ways to Leave Your Lover* Paula Simona. Oczywiście, mam do niej wymyślony własny tekst.

Utwór się rozpoczyna, a ja śpiewam: „Ugodź ją w plecy, Jack, wepchnij pod autobus, Gus”, i od razu robi mi się lepiej.

Wyglądam przez okno, patrzę w stronę ciemności, którą, jak wiem, jest Sabden. W stronę miejsca, gdzie jest *on*. I wysyłam w noc swoje przesłanie: *Przyjeżdżam, moja miłości*.

6

Florence

Jest późne popołudnie, kiedy mój rozkład zajęć nieco zwalnia i wreszcie mam szansę wykonać telefony, o których myślałam przez cały dzień. Zaczynam od najłatwiejszego z trzech, do wodociągów.

– W czym możemy pomóc, pani komisarz? – pyta chropowaty głos z północnym akcentem, głos dyrektora. Gdybym była kimkolwiek innym, pewnie nie przyjąłby połączenia, ale większość ludzi, nawet ci mieszkający daleko, woli mieć dobre stosunki ze stołeczną policją wyższego szczebla.

– Tak naprawdę to nie ma o czym za bardzo mówić – odpowiada dyrektor po tym, jak wyjaśniam, w jakiej sprawie dzwonię. – Mamy przy Astley Bank na wrzosowiskach zbiornik retencyjny. Żeby nie przedłużyć, traciliśmy z niego więcej wody niż powinniśmy, nawet o tej porze roku, więc kazałem chłopakom poszukać przecieków. Sprzęt znalazł coś tuż za posiadłością, więc wykopaliśmy tę część rury. To wtedy znaleźliśmy ciała.

– Widział je pan osobiście? – dopytuję się.

– Tak, pojechałem tam. Takie rzeczy traktujemy poważnie.

– Może mi pan powiedzieć cokolwiek o ich stanie?

Krótką przerwę.

– Cóż, to chyba raczej pytanie do miejscowej policji, kochanie.

Serwuję mu sekundę czy dwie ciszy z nadzieją, że może ją czymś wypełni. Nie robi tego.

– Są jakieś plany przeszukania reszty terenu? – pytam. – Skąd wiadomo, że tam nie ma więcej zwłok?

– Już się tym zajęliśmy. – W głosie dyrektora pojawia się ton satysfakcji. – Przekopaliśmy cały ogród na tyłach. Nic więcej nie znaleźliśmy. Sprawa jest zamknięta.

Biuro prasowe podaje mi numer telefonu, który potrzebny mi jest w następnej

kolejności, ale dopiero po powtórnym zapewnieniu z mojej strony, że to sprawa osobista i nie ma nic wspólnego z policją stołeczną.

Abby Thorn, która w 1969 roku kilka razy pisała o Black Moss Manor, była młodą reporterką w Sabden w tym samym czasie, gdy ja odbywałam tam staż. Jak ja przeniosła się, kiedy jej kariera nabrała tempa. Na przestrzeni lat natykałam się na informacje o niej. Była korespondentką na Bliskim Wschodzie kilku ogólnokrajowych gazet i w pewnym momencie prowadziła własną audycję radiową jako dziennikarka London Broadcasting Corporation. Teraz, podobnie jak ja, trochę chyba przystopowała. Jest korespondentką „Timesa” z północy i prowadzi program o bieżących wydarzeniach w BBC Radio Lancashire.

Centrala telefoniczna BBC w Blackburn odbiera szybko i zostaje połączona z redakcją wiadomości. Pani Thorn nie jest dostępna, więc zostawiam swój numer.

7

Cassie

Powinnam to robić twarzą w twarz. Ludzie mogą kłamać, kiedy słyszą tylko głos. (Możecie mi wierzyć: z kłamania uczyniłam sztukę). Poza tym, jeśli ją wkurzę, może odłożyć słuchawkę. Powinnam tam pojechać, wejść do kwiaciarni, spojrzeć jej w oczy.

I mogłabym tak zrobić. Larry'emu zostały tylko dni. Teraz byłoby to bez różnicy.

Tylko że wcale tak nie jest. Tak długo wbijano to we mnie, że nie potrafię już tego zmienić. Dopóki Larry żyje, nie mogę wrócić do Sabden.

– Flower Pot – mówi tym swoim niskim melodyjnym głosem. – W czym mogę pomóc?

– Cześć, Marlene – rzucam. – Tu Cassandra Glassbrook.

Wstrzymuje oddech. Dobry znak na początek.

– Och, cześć, kochanie – odpowiada. – Kopę lat. Jak się masz, Cassie?

Dobrze wie, jak się mam. Matka na pewno jej powiedziała.

– Czas twojego ojca zbliża się ku końcowi – dodaje pospiesznie. – Mam nadzieję, że zdołał pod koniec odzyskać spokój ducha.

Bardzo w to wątpię. Mimo to nie odpowiadam.

– W czym ci mogę pomóc, Cassie? Dzwonisz w sprawie kwiatów na pogrzeb? To byłby dla mnie zaszczyt, gdybym mogła wykonać wieniec dla twojego ojca.

Cudowne otwarcie.

– Tak – mówię. – Mogłabyś go zrobić z aksamitek^[1]?

Cisza.

– Takich kwiatów niestety nie mamy. – W jej głosie pojawia się czujność.

– Szkoda – odpowiadam. – Aksamitki nie powinny pójść w zapomnienie, nie sądzisz?

Nic. A potem:

– Wiem, że byłaś wczoraj w domu opieki, Cassie. Twoja matka dzwoniła do mnie i

mi o tym powiedziała.

A więc matka jest też w stanie telefonować. Ciekawe.

– Dlaczego udaje, że ma demencję? – pytam. – W co ona, do cholery, gra?

– Ona nie udaje...

– Widziałam jej kartę zdrowia. To oszustka. Chcę wiedzieć, dlaczego kłamie.

– Skoro tak uważasz, ją o to pytaj, nie mnie.

Podchodzę do okna w swoim mieszkaniu i spoglądam na północ, tam gdzie jest Marlene. Powinnam była tam pojechać. Powinnam być teraz w kwaciarni i patrzeć Marlene w twarz.

– Nie będzie ze mną rozmawiała – odpowiadam. – Nie odzywa się do mnie od lat. – Słyszę słabość w swoim głosie i wiem, że przegrywam.

– W takim razie musisz sama ją spytać, dlaczego tak jest.

Zwalczam chęć trzaśnięcia słuchawką. Marlene właśnie na tym zależy.

– A z Luną rozmawia? – Nienawidzę się za to, że o to pytam.

– Nie wiem.

Próbuję innej taktyki.

– Co się stało z Marigold?

Nie odpowiada.

– Słyszałam was wczoraj. Mówiłaś, że matka i Florence próbowały jej pomóc, próbowały ją ratować. Co to znaczy?

– Cassie – wzdycha. – To było tak dawno temu.

– Luna i ja myślałyśmy, że Marigold wróciła do rodziny. Że pogodziła się z rodzicami i że oni obiecali, że pomogą jej wychować dziecko. Tak mówiła nam Florence, a mama przy tym była. Kłamały?

Marlene nie odpowiada.

– Powiedz mi, co się stało z Marigold?

– Nie wiem.

– Jak to nie wiesz?

– Nikt nie wie. Zniknęła. W tę noc, gdy spłonął dom dziecka. W twoim domu była awantura i Marigold uciekła. Tak przynajmniej myślimy.

Oczywiście, że była awantura. Straszna awantura, która wybuchła z mojego powodu. Czy mam być winna także za los Marigold?

– Na pewno jej szukałyście?

– Naturalnie – odpowiada Marlene. – Ale Marigold zniknęła.

– Kto to są mistrzowie?

Kolejne ostre zaczerpnięcie powietrza.

– Ktoś przyszedł – rzuca Marlene. – Muszę iść. Mam przygotować kwiaty dla twojego ojca czy nie?

– Nie – odpowiadam. – Absolutnie nie.

8

Florence

Trzecia rozmowa to ta, której się boję. Czekaając, aż mnie przełączą, wstaję i podchodzę do okna w biurze. Jestem na piątym piętrze i mam niczym niezakłócony widok na rzekę i Waterloo Bridge. Na wodzie, czekając na podniesienie na obchody końca roku, leży gigantyczny diabelski młyn, później nazwany Okiem Londynu.

– Collins – przedstawia się kobiecy głos. Moja lewa dłoń zaczyna mnie boleć, jakby Sabden nadal posiadało moc ranienia mnie, nawet przez telefon.

– Tu Florence Lovelady – mówię. – Jak się masz, Perdito?

– Dzień dobry. Cóż za niespodzianka. Mam się dobrze, dziękuję. A ty?

Detektyw sierżant Perditę Collins poznałam, kiedy była jeszcze dzieckiem, a kilka lat później znów się spotkałyśmy na konferencji poświęconej tematowi zachęcania kobiet do wstępowania do policji. Los przydzielił nas do tej samej grupy dyskusyjnej i dobrze nam się rozmawiało. Perdita pracowała wtedy w Manchesterze. Od tamtej pory utrzymujemy kontakt, głównie mejlowy i okazjonalnie telefoniczny.

– Gratuluję uzyskania stopnia sierżanta – mówię.

– Dzięki. Jestem zadowolona. Dowodzę zespołem do spraw walki z przemocą domową.

Chwilę słucham, a gdy rozmowa zaczyna przygasać, pytam:

– Możesz rozmawiać?

Oczywiście chodzi mi o swobodną rozmowę.

Jej głos się zniża.

– Sekunda.

Kiedy słyszę świergot ptaków i szum ruchu ulicznego, wiem, że wyszła na zewnątrz, i przypomina mi się parking na tyłach budynku. Jeśli wdrapie się na okalający murek, będzie widziała rzekę, ale wąską, z wysokim brzegiem, która przez większą część miasta płynie pod ziemią. Zupełnie inaczej niż Tamiza.

– Zamieniam się w słuch – oznajmia w końcu.

Zerkam na wycinek z „Lancashire Morning Post”.

– Możesz mi powiedzieć coś więcej niż to, co przeczytałam w gazecie? – pytam po tym, jak bez wspominania Larry’ego wyjaśniłam, po co dzwonię.

– Nie miałam z tą sprawą kontaktu – odpowiada. – Zajmuje się nią jeden z komisarzy. Czego potrzebujesz?

– Cóż, w idealnym układzie, to chciałabym zobaczyć kopie raportu z sekcji i zdjęcia szczątków – mówię. – I wolałabym, żeby odbyło się to dyskretnie.

Perdita milczy.

– Nie obawiaj się. Nie poproszę cię o to. Ale jeśli jest cokolwiek, co mogłabyś mi powiedzieć, byłabym wdzięczna.

– Coś jest nie tak z tą sprawą?

– Jestem przekonana, że nie. Ale przypomniła mi coś, co wydarzyło się dawno temu. Znasz to dokuczliwe uczucie, które czasami miewamy?

– Czego potrzebujesz?

Starając się nie mieć wyrzutów sumienia za to, że stawiam ją w trudnym położeniu, wyjaśniam.

9

Cassie

Środa, 28 lipca 1999

Popełniam błąd. Ten wyschnięty starzec na łóżku z wysokimi metalowymi poręczami to nie mój ojciec, tylko dziadek. Odwracam się do strażnika, który przyprowadził mnie do więziennego szpitala, ale strażnik dał drapaka. I wtedy łupina w łóżku odzywa się.

– Sal? Sal, to ty?

Jego głowa podnosi się z poduszki, wyciąga trzęsącą się żółtą dłoń, w oczach pojawia się radość.

– To ja, tato – mówię. – Cassie.

Chcę, żeby był zawiedziony, ale kiedy kąciki ust układają mu się do uśmiechu, moje zimne serce mięknie. Muszę na to uważać.

– Cass – mamrocze. – Dobrze cię widzieć.

Podchodzę i siadam. Do boku łóżka ojca są przyłączone kajdanki, ale puste, wiszą luźno. Ten człowiek już nigdy nie wstanie. Nie jest już zagrożeniem dla nikogo. Nawet dla mnie.

– Czytałem recenzję w gazecie – chrypi. – Sekretarz naczelnika ją dla mnie zachował. O tym kawałku do filmu, który napisałaś.

– Nie wszystkie gazety były dla mnie łaskawe – odpowiadam, chociaż jestem wzruszona, bardziej niż chcę przyznać, że to widział.

– Tak świetnie sobie radzisz. Ty i Luna. Jestem dumny, kochanie.

Zaczyna szybciej oddychać, twarz wykrzywia mu ból. Na uwięzi trzymają go teraz przewody i rurki, a nie łańcuchy.

– Widziałeś się z Luną? – Nie wiem, dlaczego o to pytam. Nie chcę rozmawiać o swojej siostrze.

– Nie – odpowiada.

Czekam, aż coś doda, ale wygląda na to, że nie ma nic więcej do powiedzenia na temat Luni. I dobrze.

– Jak się czuje mama? – pyta.

Pytanie za milion dolarów. Nie mam zielonego pojęcia, to jedyna uczciwa odpowiedź.

– Trochę lepiej – rzucam w końcu. – Lepiej niż wcześniej.

Ojciec kiwa głową. Jest zadowolony, a ja wkurzona, że przekazałam mu jakiegokolwiek pomysłyne wieści. *To ty zabiłeś mamę*, mam ochotę powiedzieć. *Nigdy nie podniosła się po tym, co zrobiłeś. Całe gówno, do jakiego doszło, wszystko, co zrobiłam, wszystko, co straciliśmy, to wszystko stało się przez ciebie.* Otwieram usta, żeby zacząć, ale ojciec dostaje konwulsji. Głowa opada mu w tył, dusi się. Kardiomonitor u jego boku przyspiesza.

– Tato? Tato, co się dzieje?

Nie może odpowiedzieć, więc wstaję i biegnę do drzwi. Kilka kroków od sali jest stanowisko pielęgniarek.

– Mojego ojca coś boli – mówię kobiecie za biurkiem. – Trzeba mu pomóc.

– Odmawia przyjmowania środków przeciwbólowych – informuje mnie pielęgniarka, kiedy idziemy szybko do pokoju. – Możemy go nawadniać i to wszystko.

– Dlaczego? Dlaczego chce cierpieć?

Zastanawiam się, czy to nie jakaś dziwaczna forma pokuty.

– Leki, które mu podajemy na tym etapie, są bardzo silne – wyjaśnia pielęgniarka. – Chce być przytomny.

Zatrzymujemy się przed drzwiami do pokoju i pielęgniarka zniża głos.

– Wydaje mi się, że on chce coś pani powiedzieć.

Po wyjściu kobiety – ojciec ponownie odmówił przyjęcia czegoś na zmniejszenie bólu – ojciec zapada w drzemkę, a ja czekam. Potem jego powieki znów się podnoszą.

– Nie muszę spisywać testamentu – oznajmia. – Dawno temu wszystko przepisałem na twoją mamę. I dołączyłem list intencyjny. Jest w szufladzie.

Podążam za jego spojrzeniem do małej szafki przy łóżku. List w środku jest zaadresowany do mnie bazgrołami, których nigdy bym nie rozpoznała.

– Otwórz – prosi ojciec.

Tylko jeden paragraf. List zawiera instrukcje dotyczące pogrzebu. Ma zostać skremowany, w więzieniu, bez jakiegokolwiek mszy żałobnej. Jego prochy mają zostać wyrzucone. Ma nie być żadnego nagrobka ani pomnika.

Patrzy, jak zgniatam kartkę.

– Pochowamy cię w rodzinnym grobie uŚwiętego Piotra – mówię. – Rozmawiałam z Dwane'em. Zaproponował kilka dat, choć dość niechętnie, zważywszy na to, że żyjesz. Sentymentalny stary głupiec.

Larry kręci głową.

– Nie tam. Nie w Sabden.

– To nasz dom. – Mam teraz przewagę.

– Nie chcę, żebyś tam wracała. Ty twoja mama i Luna. Trzymajcie się z daleka od tego miejsca.

– W Sabden jest coś, co należy do mnie – odpowiadam. – Zamierzam to odzyskać.

Zaczyna się denerwować, próbuje usiąść.

– Nie – rzuca. – Nie wolno ci się zbliżać do tego miasta. Nie wolno ci się zbliżać do tego chłopaka.

– To już nie chłopak – przypominam. – Minęło trzydzieści lat. Trzydzieści lat, które mi ukradłeś, tato. Cóż, ale teraz jest już po wszystkim. Wracam tam.

Łapie mnie za rękę, zanim zdążę ją zabrać.

– Nie powstrzymasz mnie – mówię. – Już nie możesz.

Na jego twarz zakrada się uśmiech.

– Mogę – odpięra. – Zrobiłem to. Napisałem do Florence.

Co takiego?

– Co? – sapię z niedowierzaniem. – Co napisałeś?

Wydaje się, że gdy ciężko wzdycha, całe powietrze opuszcza jego ciało.

– Odsiedziałem trzydzieści lat – mówi. – Zapłaciłem za swoje zbrodnie, Cass. Kiedy ty zapłacisz za swoje?

A potem umiera.

10

Florence

Jestem w samochodzie, wracam do domu, kiedy słyszę najświeższe doniesienia. Słucham LBC, audycji z telefonami słuchaczy o liczbie policjantów w Londynie, gdy wybija połowa godziny i audycję przerywa krótki serwis informacyjny. Główną wiadomością jest ta o śmierci w Wormwood Scrubs, seryjnego zabójcy Larry'ego Glassbrooka.

– Glassbrook został skazany w 1969 roku – czyta reporter – za porwanie, torturowanie i zabicie trójki nastolatków. Przez trzydzieści lat odsiadki utrzymywał bliski kontakt z policjantką, która go zaaresztowała, zastępcą komisarza policji metropolitalnej Florence Lovelady. Była dzisiaj nieosiągalna, dlatego nie uzyskaliśmy jej komentarza w tej sprawie.

Za mną ktoś trąbi. Zmieniły się światła. Znow klakson. Wokół mnie wybucha cała kakofonia. Londyńscy kierowcy w godzinach szczytu nie znają pojęcia cierpliwości, a jednak ja nie mogę ruszyć z miejsca.

A więc to koniec.

Tylko że wcale jakoś nie czuję, żeby tak było.

11

Cassie

Napisał do Florence.

Siedzę przy stanowisku pielęgniarek, przede mną stygnie herbata w kubku. Chcę jak najszybciej wyjść, ale są do podpisania dokumenty, do wysłuchania puste kondolencje od personelu więziennego. Nic do mnie nie dociera i oni głupio przypisują moją otepiałość szokowi. Może jednak nie tak głupio. Jestem w szoku.

Ten stary łajdak napisał do Florence. Powiedział jej.

To nie była czcza pogróżka. Wiedziałam, gdy tylko powiedział. Odwiedzała go, przez te wszystkie lata.

Zaraz po tym jak wydał ostatni dech, kiedy tańczące linie w maszynie przy łóżku znieruchomiały i ich miejsce zajął piskliwy alarm, przeszukałam pokój. Spieszyłam się, wiedząc, że alarm ściągnie pielęgniarki w przeciągu minut.

Przetrząsnęłam szuflady, zajrzałam do toreb, szukając niewysłanego listu, czegokolwiek, co mogłoby mi powiedzieć, czy mówił prawdę, czy była to tylko ostatnia desperacka próba utrzymania mnie w ryzach.

W szufladzie szafki przy łóżku znalazłam notes. Na górnej kartce były ledwie widoczne wgniecenia, jego pismo. Udało mi się odczytać: „Droga Florence”, ale nic więcej. Znalazłam małą książeczkę ze znaczkami i spłowiałą, podartą książkę adresową, z czasów sprzed jego uwięzienia. Pod „L” znalazłam nazwisko Lovelady i jej londyński adres. Ojciec nie blefował. Napisał. Powiedział Florence.

Cholera, cholera, *cholera!*

Co ja mam teraz zrobić, do diabła?

12

Florence

Nick zarezerwował stolik w Umberto, małej włoskiej knajpce w odległości spaceru od naszego domu w Clerkenwell. Środowe wieczory to czas w tygodniu, którego najbardziej wyczekuję. Nick odbiera Bena z klubu pływackiego o ósmej, do której to godziny ja przeważnie jestem już po pracy. Jemy późną kolację, siedzimy długo i następnego dnia jesteśmy lekko zmęczeni. Ale za nic bym tego nie zmieniła.

Kiedy czekamy na doniesienie zamówienia, Ben mówi:

– Dzisiaj nurkowaliśmy z rurkami i bez butli.

Nick na to:

– Myślałem, że trenujecie pływanie na szybkość.

– Po szesnastce będziemy mogli trenować pływanie podwodne. – Dłoń Bena skrada się po stole do kieliszka ojca z winem. – Trener chciał sprawdzić, kto byłby zainteresowany. Mogę się na to zapisać? Koszt to dwieście funtów.

– Jak można trenować nurkowanie w półtorametrowej wodzie? – dziwię się.

– Byliśmy w basenie do nurkowania. Ja byłem najlepszy we wstrzymywaniu oddechu pod wodą.

– Ja i matka jesteśmy z ciebie bardzo dumni. – Po krótkiej walce ojciec odzyskuje kieliszek. – Ale w nurkowaniu chodzi o to, że na plecach ma się butlę. Nie trzeba wstrzymywać oddechu.

– Powietrze w płucach działa jak powietrze w kamizelce ratunkowej – wyjaśnia Ben. – Samo jego nabranie powoduje, że podnosisz się w górę.

– Więcej powietrza w ciele sprawia, że jest się mniej gęstą strukturą – rzuca jego ojciec.

– Właśnie. A wiecie, jak to zrobić, żeby nabrać maksymalną ilość powietrza?

– Oświeć mnie.

– Przez kilka sekund dyszy się, żeby rozszerzyć płuca. Potem bierze się jeden

potężny oddech i trzyma.

Ben zaczyna dyszeć, jakbyśmy jego ojciec i ja potrzebowali demonstracji, potem wydyma policzki jak chomik. Chwilę mu się przyglądam, potem odwracam do Nicka.

– Dzwoniłeś, ale nie mogłam odebrać – mówię.

– Nic ważnego, miałem chwilę wolnego czasu – odpowiada, co w naszym kodzie oznacza: Nie przy Benie.

Nasz syn głośno wypuszcza powietrze.

– Ponad minutę – stwierdza, sprawdzając na zegarku. – Muszę do klopa. – Podnosi się i odchodzi, dysząc. Gdy tylko jest poza zasięgiem słuchu, Nick wyciąga z kurtki kopertę.

– To przyszło – mówi. – Wysłane wczoraj.

List jest z Wormwood Scrubs. Od Larry’ego.

– Jeśli zamierzasz go otwierać, zrób to, zanim wróci Ben – radzi Nick.

Otwieram. Czytam dwa krótkie zdania, zaglądam do koperty, by się upewnić, że nie ma tam nic więcej, potem podaję list Nickowi.

– O co w tym chodzi? – pyta.

– Nie jestem pewna. – Znów zerkam w dół na tekst listu. Jest krótki.

Dzięki mnie były bezpieczne przez trzydzieści lat. Teraz twoja kolej...

– Chciał, żebym przyjrzała się sprawie szczątków wykopanych z ziemi przy dawnym domu dziecka – wyjaśniam. – Odmówiłam. Nie będę się wtrącała w dochodzenie kogoś innego.

Nick nie odpowiada.

– Może miał na myśli rodzinę – dodaję. – Sally i córki.

– Od lat nie utrzymujesz z nimi kontaktu – zauważa Nick. – Florence, nie utrzymujesz? Powiedz, że nie?

– Nie utrzymuję – zapewniam. I jest to prawda. Wiem tylko to, co mówił mi Larry. Sally została w Sabden; córki poszły na studia i wyprowadziły się z miasta. Cassandra, którą nazywaliśmy Cassie, została sławną autorką tekstów do piosenek i mieszka pod Manchesterem. Luna, ochrzczona jako Elanor, jest radcą prawnym w Londynie.

– Pojedziesz na pogrzeb? – pyta mnie Nick, a ponieważ nie chcę odpowiedzieć, odpowiadam pytaniem.

– A uważasz, że powinnam?

– Nie – zaprzecza.

Nick i ja rzadko się kłócimy. Nikt tak naprawdę nie kłóci się z Nickiem. Ale moja utrzymująca się relacja z Larrym doprowadzała do rzadkich, aczkolwiek regularnych

wyjątków.

– Dlaczego jesteś taki agresywny? – pytam.

– Larry Glassbrook długo był tym drugim mężczyzną w twoim życiu. Jestem zadowolony, że odszedł. Ale to.. – Nick wbija palec w list – to mi wygląda jak jego próba manipulowania tobą spoza grobu.

– Bzdura – obruszam się, lecz myślę: *Nie Larry. Jeśli była trzecia osoba w tym małżeństwie, to nie był nią Larry.* Przywołuję obraz kogoś innego, wysokiego, ciemnowłosego mężczyzny ubranego na modłę późnych lat sześćdziesiątych. Mężczyzny, o którym nigdy nie rozmawiałam z Nickiem, bo Nick usłyszałby to w moim tonie. Mężczyzny, który mógłby wyglądać trochę tak jak mój mąż wygląda dzisiaj, bo jestem wierna swojemu typowi, a jaki on jest, odkryłam właśnie w Sabden.

– W weekend lecisz do Paryża – zauważam. – Wzięłam wolne na ten czas, a Ben nie idzie do szkoły.

– Nie chcę, żeby Ben choćby zbliżał się do tego miejsca.

– Co się dzieje? – rzuca Ben. Żadne z nas nie zauważyło, że wrócił. Robiąc to wolno, bo mój syn jest spostrzegawczy, zsuwam list od Larry'ego do torebki. – Do jakiego miejsca? – dopytuje się Ben.

– Sabden – mówię, bo oboje wiemy, że Ben nie odpuści.

– Tam, gdzie mieszkają więdźmy? – Oczy mu się rozpalają. Nicka pochmurnieją.

– Nie – zaprzeczam. – Tam, gdzie więdźmy mieszkały. Bardzo dawno temu.

Nick krzyżuje swoje spojrzenie z moim. Nic nie mówi, za to jego oczy wszystko.

13

Cassie

Czwartek, 29 lipca 1999

Sabden. Zjeżdżając z wrzosowisk, widzę tablicę z nazwą miasta. Wyobrażam sobie zardzewiałe łańcuchy rozciągnięte przez drogę, rdzewiejący znak „Trzymaj się z daleka” napisany ręką ojca i... przyspieszam. Granica miasta, której nie przekraczałam przez blisko trzydzieści lat, miga mi we wstecznym lusterku. Łańcuchy pękają, ogniwa wzlatują w powietrze, i jestem w domu.

Zakłęcie zostało złamane. Księżniczka jest wolna.

Moje rodzinne miasto zmieniło się. Bardzo. Kominy fabryk, które w dawnych czasach dominowały na horyzoncie, prowadząc nas, gdy byliśmy daleko na wrzosowiskach, w większości zostały powalone jak niechciane drzewa.

Domowy szpital, w którym się urodziłam, to teraz chińska restauracja. Kiedy wjeżdżam głębiej, widzę, że szyny tramwajowe zostały zerwane, a brukowane ulice pokryte asfaltem. Zamiast sklepu z płytami, w którym spędzaliśmy sobotnie popołudnia, jest sklep z używanymi rzeczami towarzystwa charytatywnego Bernardo.

Leje jak z cebra i coraz mocniej wieje. Pogoda jest taka jak zawsze, ona się nie zmieniła. Po przedniej szybie spływają krople deszczu, wycieraczki nie nadążają z ich usunięciem. Wewnątrz auta łzy płyną po mojej twarzy. Tak wiele straciłam.

Bliżej centrum nieuchwytna familiarność, której szukam, wydaje się być w zasięgu ręki. Tutaj stoją duże stare wiktoriańskie budynki: biblioteka, ratusz, teatr, loża masońska. Plac targowy zniknął, na jego miejscu są potwór z betonu i kolorowe plastikowe ogrodzenie. Przejeżdżam na żółtym świetle, skręcam w rynek, potem w lewo i jestem na miejscu.

Święty Piotr, nasz dawny rodzinny kościół, jest największy w mieście. Zbudowany z kamienia, z dużą wieżą zegarową, góruje nad większością budynków w centrum.

Mama, Luna i ja byliśmy pogankami, Larry nie miał w sobie nawet jednej kostki religijności, ale jego zawód miejskiego grabarza zmuszał go do zachowywania pozorów. W przeszłości, gdy byliśmy rodziną, przychodziliśmy tu prawie każdego tygodnia.

Kiedy wysiadam z samochodu, uderza we mnie podmuch wiatru. W Sabden zawsze tak cholernie wieje. Te kilka razy, gdy przestaje, denerwujemy się. Dla nas bezwietrzna pogoda, spokój, oznacza, że nadciąga coś gorszego.

Duże frontowe podwoje są otwarte. Niewiele kościołów jest tak dużych jak ten, ale przypuszczam, że będziemy potrzebowali takiego. Larry miał wielu wrogów, będą chcieli się upewnić, że na pewno umarł. Galeria też się przyda. Będę mogła na niej siedzieć. Będę, niezauważona przez nikogo, widziała wszystkich.

– Cassie? – odzywa się głos za mną. – Panna Glassbrook?

W moją stronę idzie jakiś mężczyzna po pięćdziesiątce, w mundurze policjanta wyższego stopnia, niosący duży czarny parasol. Jest wysoki, ciemnowłosy, klasycznie przystojny. Moje serce nie należało do mnie od szesnastego roku życia, ale nigdy nie miałam nic przeciwko dorywczemu bzykanku. Tego bym bzyknęła. Wyciąga dużą ciepłą dłoń, a ja rejestruję brak obrączki na drugiej.

– Tom Devine – przedstawia się.

Powinłam była się domyślić. Tom Devine był młodym posterunkowym, kiedy Larry został skazany. Kilka dziewczyn ze szkoły się w nim podkochiwało. Myślę, że Luna i ja też mogłyśmy, do momentu, gdy tamtej nocy przyszedł do naszego domu. Drząc z zimna w koszuli nocnej, wyglądając przez poręcz na schodach, patrzyłam, jak zakuwa ojca i wyprowadza na zewnątrz. Nie był najwyższym rangą policjantem, który tam wtedy był, ale zapisało mi się w pamięci, że to Tom Devine był tym, który zabrał ojca. Nie, postanawiam. Tego nie przelecę.

– Jesteś bardzo podobna do matki – mówi. – Co u niej słyhać?

– Ma zaawansowaną demencję – odpowiadam, bo prawda jest zbyt skomplikowana.
– To już nie ta sama kobieta co kiedyś. A jak pańska żona?

Tom Devine był w przeszłości żonaty. Ożenił się z kobietą z długimi chudymi nogami i wielkim blond ulem na głowie.

– Nie mam najmniejszego pojęcia.

Jego oczy pochmurnieją, wyraźnie uznał mnie za potencjalną mąciicielkę.

– Chciałbym, Cassie, żebyś zastanowiła się nad urządzeniem mszy gdzie indziej – mówi. – Najlepiej w innym mieście, ale wystarczyłby nawet inny kościół, gdzie twoja rodzina nie była aż tak dobrze znana.

– Larry był znany w każdym tutejszym kościele – odpowiadam. – Grzebał miejscowych umarłaków.

A także żywych. Oboje o tym myślimy. Pamiętam, że Devine był przy tym, gdy znaleziono dwa z ciał.

– A także niektórych żywych – mówię na głos, żeby sprawdzić, jak zareaguje.

– Możemy pogrzebać go tutaj, w rodzinnym grobie. – Devine łatwo się nie poddaje. – Tylko mszę urządź gdzie indziej.

– To był nasz rodzinny kościół – przypominam mu. – Niektóre z moich najwcześniejszych wspomnień są o tym, jak siedzę w pierwszej ławce, patrzę na piękne witraże, słucham chóru. Myślałam, że kiedyś do niego dołączę, ale... – pociągam nosem.

Twarz Devine'a pozostaje niewzruszona.

– No dobrze. Jeśli dasz nam listę osób, których się spodziewasz, możemy przy wejściu postawić posterunkowego. Dopilnuje, żeby nie wszedł nikt inny. Zakładam, że praszę wolałabyś trzymać z daleka? A oto i Dwane.

Odwracamy się do nowo przybyłego. Dwane Ogilvy, który teraz prowadzi Glassbrook & Greenwood, ma mniej niż metr pięćdziesiąt wzrostu i dysproporcjonalnie krótkie ramiona i nogi karła. Ma też wystające czoło, głęboko osadzone oczy i gęste siwe włosy. Zatrzymuje się niedaleko od nas i staje na rozsuniętych nogach jak dziecko. Jest w czarnym garniturze z krawatem i w zielonych kaloszach.

– Cassie – rzuca. – Jak tam?

– Dobrze, dzięki, Dwane. Wykopałeś już grób?

Wiem, to paskudne, że przypominam Dwane'owi jego skromniejsze początki, gdy był miejskim grabarzem, ale on odpowiada z powagą.

– Wykopałbym, dla Larry'ego – zapewnia. – Dla większości nie, ale dla Larry'ego bym wykopał.

Przypomina mi się, że Dwane zawsze był nedorzecznie dumny ze swoich umiejętności grabarskich, twierdził, że jego groby są idealne, jedyne w swoim rodzaju. Minęło tyle lat, a mnie nadal otaczają idioci.

– Dzwoniła Luna – informuje. – Jest w Nowym Jorku. Nie może wrócić do przyszłego tygodnia. Powiedziała, że zaakceptuje wszystko, co zdecydujesz.

Typowe dla mojej siostry: zostawić całą robotę na mojej głowie. Ale to mi wiele ułatwi.

– Powinniśmy pójść obejrzeć miejsce – sugeruje Dwane. – Żebyś miała pewność, że będziesz zadowolona.

Nic nie obchodzi mnie mniej niż to, w jakim kawałku ziemi złożą Larry'ego. W tym pogrzebie nie chodzi o niego; chodzi o wiarygodny pretekst dla mojego pobytu w mieście przez kilka dni. Jak dla mnie jego ciało mogą wyrzucić nawet na wysypisko, ale udaję zainteresowaną i wychodzimy z kościoła.

– Mogłabyś potem wpaść do warsztatu – mówi Dwane, kiedy idę obok niego wolno, by dopasować się do jego kołyszającego się, chybotliwego chodu. – Wybrałabyś trumnę. Mam ładną cedrowinę. To było ulubione drewno Larry'ego. Zrobię z niego trumnę na poczekaniu – to żaden problem. Ty wybierzesz ozdoby i wyściółkę.

– To bardzo uprzejme – wtrąca się Devine. – Z Dwane'a przez lata zrobił się prawdziwy mistrz. Jego trumny są sławne.

Słyszę, że Dwane ostro wciąga powietrze, zupełnie jakby komplement Devine'a go obraził.

– Chcę najtańszą, jaką masz – oznajmiam. – Jeden karawan, żadnych samochodów, absolutnie żadnych kwiatów. Nie chcę, żeby był zabalsamowany, bo nikt nigdy więcej nie będzie go oglądał. I nie chcę, żeby ktokolwiek robił tę idiotyczną rzecz, tę z tym, że ktoś idzie przed trumną w cylindrze i ze srebrną laską.

Dwane spogląda na mnie.

– Chcesz, żeby miał nagrobek, czy mam wbić w ziemię deskę i inskrypcję napisać flamastrem?

– Tak – zgadzam się. – Zrób to.

Schodzimy ze ścieżki i moje obcasy zakleszczają się w błocie. Dwane podsuwa mi ramię, akurat gdy coś sobie uświadamiam. Jak go przed chwilą nazwał Devine?

– Chyba powinienem porozmawiać o tym z twoją mamą – mówi Dwane.

– Większą szansę miałbyś, gdybyś chciał pogadać z samym Larrym, ale jak wolisz – odpowiadam. – Powiedziałam ci, czego chcę, a co powiedzą inni, to już nie moja sprawa.

Trzeba to przyznać Dwane'owi, że nigdy nie był obraźliwy. Kiedy zbliżamy się do miejsca, w którym znajduje się rodzinny grób Glassbrooków, narzeka na paskudną pogodę i mokrą ziemię.

– Czy któryś z was słyszał kiedyś o mistrzach? – pytam, kiedy Dwane w końcu przestaje marudzić.

– Nie – zaprzecza krótko Dwane.

– Nie wydaje mi się – odpowiada Devine. – Co to za jedni? Jakiś zespół muzyczny? Uważnie przyglądam się twarzy Dwane'a.

– Nie jestem pewna – rzucam. – Myślałam, że może coś w rodzaju bractwa.

– Coś takiego jak rotarianie? – upewnia się Devine. – Nic takiego nie kojarzę. A ty, Dwane?

– Nie – powtarza Dwane.

Nic więcej nie udaje mi się z tych dwóch wyciągnąć. Oglądamy grób. Przyjmuję do wiadomości, że nie ma miejsca na imię Larry'ego na nagrobku postawionym w czasach mojego pradziadka. A więc jednak będą zwykła deska i flamaster.

14

Florence

Piątek, 30 lipca 1999

Mijają trzy dni, zanim Perdita oddzwania i w dodatku dopiero wieczorem. Teraz moja kolej, by odebrać telefon gdzieś, gdzie nie będę podsłuchiwana. Wychodzę do małego ogródka na tyłach naszego domu. Pada i muszę się schronić pod okapem. Wokół mnie dudnienie kropel deszczu w twarde szerokie liście brzmi jak perkusja.

– Cztery sztuki zwłok, wszystkie dzieci – mówi Perdita szybko, jakby chciała mieć to już za sobą. – W wieku między około trzy lata i czternaście. Płeć nieznana, chociaż ubrania sugerują, że przynajmniej jedno było dziewczynką.

– Pochowane oficjalnie? Były w trumnach?

– Trudno powiedzieć. Fragmenty drewna mogą to sugerować.

– Możecie wykorzystać odzież do ustalenia daty?

– Do pewnego stopnia. Naturalne włókna, większość zgniła. Niektóre guziki sugerują odzież sprzed wojny. Zaczekaj, zapisałam to sobie.

Patrzę na grono żółtych kwiatów pochylających głowy w proteście przed nieubłagalnością ulewy.

– Celuloid – mówi Perdita. – Wygląda jak plastik, ale w rzeczywistości to pochodna roślin, wytwarzana z drewna i bawełny. Guziki są małe, podściełane metalem. Były powszechnie używane od 1900 roku do późnych lat dwudziestych, ale w 1940 zaczęto wykorzystywać inne tworzywa.

– Przyczyna śmierci? – pytam. – Zakres rozkładu?

– Przyczyna jest niemożliwa do ustalenia, ale wszystkie zwłoki były w podobnym stanie, co by wskazywało, że dzieci zmarły w mniej więcej tym samym czasie. Najpewniej na skutek jakiegoś rodzaju epidemii.

Ogarnia mnie znajoma mieszanka rozczarowania i ulgi. Tu nie ma nic podejrzanego.

Zwłoki są stare. Tak się wydaje. Co najmniej przedwojenne. Dzieci zmarły, bo na coś zachorowały. Larry się mylił.

– Nie mam dostępu do akt, więc musiałam podejrzeć na czyimś biurku – opowiada Perdita. – Pomogłam ci jakoś?

Moknę. U moich stóp jedna z aksamitek prostuje się, strząsając z siebie ciężar deszczowej wody. Wygląda jakby na mnie patrzyła. Pochylam się, żeby ją zerwać i zabrać ze sobą do domu.

– Uspokoiłś – odpowiadam. – Dzięki, Perdita.

Perdita rozłącza się, wyraźnie szczęśliwa, że może to uczynić. Podmuchy wiatru nawiewają deszcz na moją twarz, ale ja nie ruszam się z miejsca, nie wracam do środka. Kiedy to wreszcie robię, postanawiam, że to koniec. Larry nie żyje. Jakikolwiek niezdrowy i niewytłumaczalny wpływ miał na mnie, to się już skończyło, mogę spokojnie zignorować jego fałszywą troskę o odkryte zwłoki i jego ostatni zagadkowy list. Jedno i drugie było jedynie kolejnymi próbami zamącenia mi w głowie, coś, co robił z sukcesem przez trzydzieści lat, i czemu dla własnego zdrowia psychicznego muszę położyć kres. Nie mogę pozwolić, żeby Larry wpływał na mnie nawet zza grobu.

– Cześć, Florence.

Wzdrygam się. Głos jest wyraźny, jakby mówiąca osoba stała tuż obok, ale przecież jestem sama. Głos jest głosem młodej kobiety, tylko że w naszym domu poza mną nie ma innych kobiet.

Wychodzę spod daszku na deszcz i krótką zwirową ścieżką przechodzę do ogrodu. Jest w rozkwicie, jak wiele londyńskich ogrodów teraz, zieleń jest gęsta, wysoka. Mimo to nie mogę uwierzyć, że ktoś się w niej ukrywa.

– Halo?! – wołam. Nadal trzymam w dłoni żółty kwiatek.

W odpowiedzi słyszę piskliwy chichot dziecka.

W nocy budzę się z imieniem na ustach, którego nie wymawiałam od trzydziestu lat. Marigold McGowan.

Obok mnie Nick śpi jak kamień. Leżę w ciemności, wsłuchując się w odgłosy ruchu ulicznego, okazjonalne okrzyki, szuranie, odległe wycie syren, i myślę o Sabden z lat sześćdziesiątych, kiedy noce były ciche.

Zerknięcie na zegarek mówi mi, że jest prawie czwarta rano. Za budzikiem stoi wazon z żółtym kwiatkiem, który zerwałam wieczorem. Aksamitka.

Marigold McGowan. Nie mam pojęcia, co się z nią stało, dlaczego zniknęła tak, jak

zniknęła, dokąd odeszła. Wiem jedynie, skąd przyszła. Marigold McGowan uciekła z domu dziecka Black Moss Manor, w którym, jak twierdziła, była więziona.

Przypomina mi się chichot, który słyszałam w ogrodzie, dziecięcy głos wołający moje imię. I dociera do mnie, że nie tylko Larry wzywa mnie do powrotu do Sabden. Marigold też to robi.

15

Cassie

Niedziela, 1 sierpnia 1999

Dom Florence w Londynie jest zjawiskowy. Duży, georgiański, przy ładnym placu w Clerkenwell. Nie ma mowy, żeby stać ją było na niego z pensji policjantki. Fuksiara musiała wyjść za bankiera.

Oglądam dom od drugiej strony placu, jak włamywacz robiący rekonesans. Trzy piętra z solidnymi drzwiami frontowymi. Na parterze są okna, ale wysoko usytuowane, do których nie mam szans dosięgnąć.

Drzwi otwierają się, ale to nie Florence wychodzi. Zamiast niej pojawia się wysoki mężczyzna po pięćdziesiątce. Przesuwa się w bok, żeby przepuścić nastoletniego chłopca. Czuję ucisk zazdrości, gdy sobie uzmysławiam, że Florence ma rodzinę. Zawsze z jakiegoś powodu myślałam o niej jak o kimś wybrakowanym, takim jak ja. Kiedy chłopak zbiega po schodach, mężczyzna – zapewne ojciec: są do siebie podobni jak dwie krople wody – zamyka drzwi na klucz.

Wsiadają do zaparkowanego kombi i odjeżdżają. Jeśli Florence jest w domu, najprawdopodobniej jest tam sama. Mogłabym zadzwonić dzwonkiem, skonfrontować się z nią, ale jeśli to zrobię, zacznie działać. Jakikolwiek oskarżenie Larry mógł rzucić na mnie w swoim liście, to będzie to jedynie to – oskarżenie. Nie będzie miała żadnych dowodów – Larry nie miał dowodów – ale jeśli Florence jest wciąż tą kobietą, którą pamiętam, że była, będzie chciała je mieć. Nie uczyni niczego w pośpiechu, a ja byłabym głupia, gdybym ją sprowokowała.

Zbliżam się ostrożnie. Florence to doświadczona zasłużona policjantka. Na pewno dba o bezpieczeństwo, może nawet obserwują mnie teraz kamery przemysłowe. Podchodzę do wysokiej czarnej balustrady, zamontowanej po to, by idioci i pijani nie wpadali do przerwy między chodnikiem a ścianą podpiwniczenia. Zaglądam w okna na

parterze, ale nic nie widzę. W środku jest ciemno.

Pode mną stoją trzy zapięte łańcuchami rowery i dwa pojemniki na śmieci.

Odchodzę. Idę za róg i przekonuję się, że dostanie się do domu, trudne od frontu, od tyłu jest niemożliwe. Dom Florence graniczy z rzędem innych i do ogrodów można się dostać tylko, przechodząc przez któryś z budynków. Ten dom to forteca. Nie dostanę się do niej tutaj.

Będzie musiała przyjechać do Sabden.

16

Florence

Po wyjściu Nicka i Bena znów zaglądam do akt sprawy Black Moss Manor. Dłużej niż powinnam oglądam zdjęcie Toma przed poczerniałym budynkiem, a potem na ósmej stronie gazety, ostatniej, po której zaczynają się strony z reklamami, znajduję zdjęcie Marigold i jej małego dziecka.

Pamiętam, kiedy to zdjęcie było robione. Byłam tam, w domu Glassbrooków, tego słonecznego popołudnia. Cassie zniosła na dół polaroid i pstryknęła zdjęcie matce i dziecku, którzy siedzieli pod jabłonką.

– „Zaginęli?” – pyta nagłówek. Treść jest krótka, zwykle wspomnienie, że policja szuka informacji o miejscu pobytu matki Marigold McGowan i jej małego synka. Ktokolwiek coś wie, powinien skontaktować się z posterunkowym Tomem Devine’em z komisariatu w Sabden.

Zapytałam, czy mogłabym poprowadzić poszukiwania Marigold, ale powiedziano mi, że to niestosowne w przypadku posterunkowego na stażu. Zamiast tego przydzielono mnie do innej sprawy, takiej, która zajęła mi wiele czasu. Nie przyszło mi wtedy do głowy, że może zrobiono tak z rozmysłem.

Kolejne wydanie „Lancashire Morning Post” opisywało sprawy sądowe. Oboje Frederick i Judith Aster zostali skazani na dwa lata za zaniedbywanie podopiecznych i spowodowanie uszczerbku na zdrowiu. Oboje byli lekarzami medycyny i w artykule dziennikarka, ponownie Abby Thorn, spekulowała, że prawdopodobnie już nigdy więcej nie będą mogli wykonywać zawodu. Trzy osoby z personelu dostały krótsze wyroki.

Od lektury odrywa mnie hałas na zewnątrz, na poziomie piwnicy, tam gdzie stoją kontenery na śmieci. Czekam, ale nic więcej nie słyszę, więc uznaję, że musiały to być lisy, nawet jeśli to środek dnia.

Trzeci artykuł, jaki znajduję, mówi o niektórych dzieciach przeniesionych do innych

domów po zamknięciu Black Moss Manor. Na trzech zdjęciach są: spalony budynek, jakieś dzieci bawiące się w szkole podstawowej i mały chłopiec z krótkimi ciemnymi włosami i piwnymi oczami. Relacja w skrócie przekazuje, że wszystkie dzieci wcześniej przebywające w Black Moss Manor znalazły kochające i wspierające domy zastępcze. Szczęśliwe zakończenie.

Ja jednak nie jestem pewna, czy w Sabden coś takiego było możliwe.

17

Cassie

Kiedy wracam z Londynu, jest późno i jestem wykończona, ale nie jadę do domu. Jadę do Sabden, tylko że nie docieram do niego. Przed granicami skręcam w stronę Pendle Hill.

Droga robi się węższa, kręta. Nie jedzie się nią łatwo, zwłaszcza o zmierzchu, ale Wzgórze jest jak znak drogowy, przyciąga mnie. Kiedy jestem już tak blisko, że wydaje się nade mną szybować, wjeżdżam na wiejską drogę. Zwalniam, nie spieszę się, aż w końcu dostrzegam przed sobą migotanie jeziora na wrzosowiskach. Zatrzymuję się niedaleko skraju wody, wysiadam i idę na brzeg.

– To jezioro to Black Tarn – powiedziała nam Sally, kiedy miałam jakieś osiem lat, Luna sześć czy siedem. – Nazywane też Czarnym Lustrem i jeziorem chrzcielnym Pendle Hill. Kiedy obie miałyście zaledwie kilka dni, przyniosłam was tu i całe zanurzyłam w wodzie. Dawno temu to samo zrobiła ze mną moja matka. Jesteśmy kobietami Pendle, ochrzczone dwukrotnie.

Przyjechałam przygotowana. Przywiozłam ze sobą staroświecką wędkę, zrobioną z gałązki ostrokrzewu, poszarzałą ze starości. Sally używała jej niezliczoną ilość razy do rzucania czarów i wędka nasiąkała częścią jej mocy. Nić jest jedwabna. Nie tak mocna, jak bym chciała, ale naturalne włókno działa najlepiej. Przynętą jest coś, co znalazłam w kontenerze Florence ze śmieciami w Londynie. Stary flakonik po perfumach Diora. Nie tak dobre jak coś z jej ciała – włosy czy paznokcie – ale musiała dotykać flakonika setki razy. Powinien wystarczyć.

Przywiązuję go do jednego końca nici i rozwijam ją na około osiemnaście metrów. Potem, wyobrażając sobie Florence, rzucam flakonik tak daleko, jak tylko mogę do jeziora. Plusk wypłasza ptaki gniazdujące na obrzeżach. Czekam, aż trzepot skrzydeł ucichnie, i sięgam po wędkę. Podnoszę ją, czuję opór flakonika, pociągam. Flakonik przesuwa się w moją stronę po dnie.

Nawijam nić wolno, żeby jej nie zerwać. Gdyby tak się stało, zakłęcie przepadnie.

– Wracaj do nas, Florence. – Wyobrażam sobie jej elegancki dom w Londynie i drogę, najpierw M1, potem M6, która doprowadzi ją na północ. – Przyjedź do Sabden. – Wyobrażam sobie list Larry’ego w jej dłoni, że ją tu z powrotem sprowadza.

Nawijam czarną nić na kołowrotek, modląc się i przywołując właściwe obrazy. Zaklęcia nie muszą być wymyślne. Czasami te najprostsze są najlepsze.

Butelka ślizga się po mule na dnie, podskakuje. Kiedy jest wystarczająco blisko, widzę ją pod powierzchnią. Wchodzę w sitowie i wbijam wędkę głęboko w muliste podłoże. Błoto ją tam utrzyma.

Teraz Florence wróci. Nigdy nie spotkałam się z tym, by zakłęcie z wędką nie zadziało. A kiedy Florence przyjedzie, będę przygotowana.

18

Florence

Poniedziałek 2 sierpnia 1999

Po tym jak zjedliśmy, Nick i Ben włączyli telewizję w salonie. Ja wychodzę z naparem z mięty do ogrodu i rozpalam ognisko w naszym palenisku. Kiedy już się dobrze pali, pozwalam sobie na zapatrzenie się w ogień. Nie próbuję wróżyć, zobaczyć przyszłości w płomieniach, przynajmniej nie dzisiaj. Chcę się tylko trochę uspokoić.

Od mojej ostatniej wizyty u Larry'ego, a zwłaszcza od informacji o jego śmierci, nie byłam sobą i dziś wieczorem poczesne miejsce na scenie zajęły moje problemy zdrowotne. Jest mi na zmianę zimno i gorąco, i nieprzyjemnie się pocę. Przez cały dzień regularnie zmuszałam się do wykonywania ćwiczeń oddechowych. Kiedy o tym zapominam, mój oddech przyspiesza i spłyca się; robi mi się słabo. Więcej niż raz bałam się wstać, bo myślałam, że zemdleję.

Wiadomość, że zwłoki znalezione przy domu dziecka jednak są stare, w niewielkim stopniu mnie uspokoiła. A nawet może mój niepokój się pogłębił, bo nie wiem, co jest jego przyczyną.

Nigdzie nie mogę znaleźć Marigold McGowan. Na szukanie jej poświęciłam dwa dni, robiąc to w każdej wolnej chwili. Nie ma po niej śladu w rejestrze wyborców czy w centralnej bazie policyjnej. Małżeństwo w jej przypadku było mało prawdopodobne i nie znalazłam żadnych zapisków o oficjalnej zmianie nazwiska. Nie zmarła, przynajmniej nie oficjalnie. Mogła wyemigrować, ale to też wydaje się mało realne. Nie powinnam być jednak, jak sądzę, zaskoczona. Niektórych ludzi nie daje się znaleźć.

Jedną z takich osób, jak się wydaje, jest Abby Thorn, była reporterka „Lancashire Morning Post”. Dzwoniłam do niej trzy razy, zostawiając wiadomość temu samemu współpracownikowi, mężczyźnie. A ona wciąż nie oddzwania. Pewnie to nic nie znaczy, a jednak pamiętam, że Sabden zna sposoby na zamykanie się, gdy ma sekrety,

które potrzebuje zachować w ukryciu.

Noc jest pogodna i nawet w Londynie światła miasta nie są w stanie zupełnie przysłonić gwiazd. Ubywający księżyc wisi nisko na wschodniej części nieba. Jest coraz bliżej nowiu, a ja wtedy zawsze staję się nerwowa. Dokładam drewno do ognia i patrzę, jak tańczą nad nim strzelające w górę iskry. Pod wpływem nagłego impulsu zdejmuję z szyi łańcuszek z obrączką ślubną i podnoszę do światła. Nigdy nie nosiłam tej obrączki jak inne kobiety. U lewej dłoni nie mam trzeciego palca. Został odcięty, zabrany mi, najbrutalniejsza kradzież, jaką mogę sobie wyobrazić.

Przychodzi mi na myśl, że może powodem tego, że nigdy nie potrafiłam zapomnieć o Sabden jest to, że wciąż jest tam część mnie. To absurdalna myśl, wiem. Mój palec dawno temu został spalony w szpitalnym krematorium. Mimo to...

Trzydzieści lat temu, w Sabden, przeżyłam gehennę porównywalną z tą, jaką przechodzą żołnierze na froncie, więc to całkowicie zrozumiałe, że cierpię na zespół stresu pourazowego. Moi pracodawcy, ostatnio Policja Metropolitalna, wiedzą o tym i biorą to pod uwagę. Osobiście myślę, że są raczej dumni, że mogę funkcjonować tak dobrze, jak funkcjonuję, i że mnie zatrudniają. To im pozwala odhaczyć punkt o pomocy niepełnosprawnym.

Oczywiście nikomu nie wyjawiałam nigdy całej prawdy, nawet Nickowi. Fizyczne symptomy – przyspieszający oddech, mdłości, pocenie się, nawet koszmary – to nie to, co jest najgorsze.

Gorsza nawet od koszmarów jest świadomość, że mam zniszczoną duszę. Kocham Nicka, to oczywiste, i uwielbiam Bena, ale to by było tyle. Nie potrafię się wczuwać. Nie poruszają mnie opowieści o cierpieniach i problemach innych ludzi. Jestem zimna, do szpiku kości logiczna, i to prawie na pewno jest jednym z powodów, dzięki którym zaszłam w policji tak daleko. Nigdy o niczym nie decyduję pod wpływem uczuć.

Ale to nadal nie jest najgorsze.

– Cześć, Florence – mówi głos, a ja odwracam się i widzę Marigold McGowan siedzącą na krześle obok.

– Cześć, Marigold. – Nauczyłam się być grzeczna dla duchów. Zostają wtedy dłużej, są bardziej skłonne do zwierzeń. – Ładnie wyglądasz.

Jej truskawkowo blond włosy są czyste i lśniące. Jest w sukience, którą, jak pamiętam, podarowała jej Sally, jasnoróżowej, bawełnianej, w białe stokrotki. Jest mała i okrągła, ładna na swój charakterystyczny sposób.

– A więc nie żyjesz, Marigold – zauważam, bo w taki sposób pojawiają mi się tylko zmarli. – Obawiałam się, że tak może być.

Patrzy prosto na mnie.

– Wracasz? – pyta.

– Nie.

Nie odpowiada, tylko patrzy na mnie tymi skośnymi błękitnymi oczyma.

– Zwłoki są stare, Marigold – dodaję. – Bardzo stare. Nie ma tam nic dla mnie, nawet gdybym wróciła.

– Jesteś pewna, Florence?

Oczywiście, że jestem. Widziałam raport z sekcji. Albo przynajmniej rozmawiałam z kimś, kto go widział. Naturalnie nie mówię tego Marigold.

– Dlaczego mnie nie szukałaś? – pyta.

To boli.

– Szukałam. Wszyscy szukaliśmy. Ja, Sally, Tom. Wszyscy. Zniknęłaś.

Jej brwi schodzą się razem.

– Ty powinnaś była się tym zająć, Florence. Byłaś policjantką. I moją przyjaciółką.

Ma rację.

– Może to moje – mówi.

– Co?

– Zwłoki. – Uśmiecha się smutno. – Może to ja.

19

Cassie

Wtorek, 3 sierpnia 1999

Dawno temu Sally nauczyła mnie, że rośliny wykorzystywane do czarów muszą być zbierane o wschodzie księżyca. Jeśli jest po pełni czy nów, to jeszcze lepiej. Uczyła mnie też, że rośliny rosnące blisko osoby, której ma dotyczyć zaklęcie, mają większą moc. Tak więc znowu jestem w Sabden.

Zatrzymuję się na ulicy, którą ledwie rozpoznaję, taka jest zastawiona zaparkowanymi samochodami. Szeregowe domy są pomalowane i otynkowane; na dachach mają anteny satelitarne, okna plastikowe. Rzeka jednak płynie tam gdzie zawsze; przez większą część Sabden pod ziemią i szeroka i szybsza wypływa na powierzchnię na tym krańcu miasta, zasilając jeden ze zbiorników retencyjnych.

Możliwość dostania się do nabrzeża jest trudniejsza niż kiedyś. Metalowe ogrodzenie powstrzymuje bezmyślne dzieci i pijaków przed zaśmiecaniem rzeki ich wątłymi ciałami i rdzewiejącymi wózkami sklepowymi. Zbiornik wodny też został zabezpieczony wybudowanym wokół niego betonowym murem.

Zostawiam ulicę za sobą i wchodzę na teren nabrzeża. Szukam powoju, głogu i kaczeńców – które mogę znaleźć wszędzie – oraz jednej konkretnej rośliny, rosnącej tylko tutaj.

Niektóre składniki, których użyję, te egzotyczne, już mam. W dzielnicy chińskiej w pobliskim Manchesterze bez problemu można dostać świeży kardamon, cynamon i imbir.

Inne, których potrzebuję – bazylię, gęsie ziele, wawrzyn – wezmę z naszego starego ogrodu. Kiedy się zbliżam do mostu, przypomina mi się, jak stałam w polowej kuchni w naszym starym domu – spizarnia czarownic, tak ją nazywał tato – zwykle z Luną, Mary, naszą dawną gospodynią i mamą i razem z nimi odrywałam płatki, szatkowałam liście,

obierałam korzenie. Śpiewałyśmy, kiedy miałyśmy, ubijałyśmy i gotowałyśmy, z zebranych roślin przygotowując różnokolorowe nalewki. Matka z wszystkich nas zrobiła czarownice.

Jeszcze kilka kroków i widzę to, rośnie przy pniu starego klonu. Późne kwiaty, różowe z żółtym środkiem, zagnieżdżone w masie szerokich liści. Jagody wciąż są zielone, ale nadadzą się. *Solanum dulcamara*, psianka słodkogórz, nazywana też szkarłatną jagodą, jagodą wężową, fioletowym kwiatem lub jagodą gorzką, to jedna z najbardziej uniwersalnych i najgroźniejszych roślin, jakie znam. Ciekawostka – jednym z jej wielu zastosowań jest ochrona przed czarami.

Na mnie to nie podziała.

20

Florence

Środa, 4 sierpnia 1999

Na pierwszym piętrze Muzeum Historii Naturalnej odwiedzających prawie nie ma. Ekspozycjom tutaj brak uroku dinozaurów i wypchanych ssaków z parteru. Kiedy docieram do wschodniego skrzydła, słychać już tylko moje kroki, klikanie moich obcasów na wypolerowanej posadzce. Mijam gabloty zastawione ludzkimi czaszkami i w końcu zatrzymuję się przed nierzucającymi się w oczy drzwiami z tabliczką z numerem 156b. Czekam, przez chwilę się zastanawiając, czy na pewno robię dobrze.

Szkielety znalezione w Black Moss Manor to szkielety dzieci. Marigold miała co najmniej siedemnaście lat. To nie może być ona. A jednak jak na swój wiek była niska i drobna.

Pukam.

– Jeśli nie jesteś z Girton, spadaj! – woła ktoś.

Otwieram drzwi.

– Przyznaję się do winy – mówię do kobiety siedzącej za zawalonym biurkiem.

Caroline Trickett mierzy mnie z góry do dołu.

– Przytyłaś – zauważa.

Czekam.

– Uderzenie prewencyjne. – Wzrusza ramionami, spoglądając w dół na obszerną formę, odzianą, bardzo nienaukowo, w kwiecistą hawajską koszulę. Tricksy nigdy nie była szczupłą dziewczyną. Trzydzieści lat po tym, jak się poznałyśmy na uczelni, wydaje się tak szeroka, jak jest wysoka. Włosy ma teraz króciutkie, ufarbowane na zaskakujący odcień fioleto. Sterczą na wszystkie strony, przez co Tricksy wygląda jak liliowy jeź.

Nie wstaje, żeby dać mi całusa czy uścisnąć dłoń, zamiast tego rozsiada się

wygodniej w fotelu.

– W czym ci mogę pomóc?

– Potrzebuję poznać opinię eksperta na temat tempa rozkładu zwłok zakopanych na wrzosowiskach w Lancashire – wyjaśniam. – Przy okazji, dobrze cię widzieć. Co u Dennisa?

– Dennis to dupek. Masz w stołecznej najlepszych ekspertów. Ich zapytaj. Po co zawracać głowę mnie?

– Bo działam nieoficjalnie – odpowiadam. – I nie mam na to budżetu.

Wstaje i widać wtedy, że jest krótkich spodniach w niebiesko-białe prążki.

– W takim razie – rzuca – możesz mi postawić lunch.

Restauracja, którą Tricksy wybiera, jest o wiele bardziej formalna niż ona sama, iskrzy się wypolerowanymi srebrami i nieskazitelnymi kryształami. Obrusy białe jak świeży śnieg i zielone zasłony zdają się absorbować wszystkie dźwięki przewyższające cichy szept. Przez kilka minut po tym jak usiadłyśmy, wymieniamy się towarzyskimi uprzejmościami, rozmawiamy o naszych bliskich, o pracy, o innych absolwentach, z którymi utrzymujemy kontakt.

– No to – rzuca Tricksy, kiedy pojawia się nasze jedzenie – dla mnie łośoś, dla niej krwisty stek. – Strzelaj.

Przesuwam po stole wycinek z gazety.

– Cztery małe szkielety, prawdopodobnie dzieci, znalezione przez przypadek, kiedy pękła rura wodociągowa – mówię, chociaż wiem, że Tricksy przeczyta i przyswoi sobie informacje, zanim zdążę dokończyć. – Muszę wiedzieć, jak długo mogły leżeć w tej ziemi.

Tricksy podnosi oczy.

– Raport z sekcji?

Kręcę głową.

– Zdjęcia? Cokolwiek?

– Trochę nieoficjalnych informacji od policjantki, która po kryjomu zajrzała do akt. Z raportu z sekcji wynika, że zwłoki mają jednakowy wiek, to znaczy, że dzieci zmarły prawdopodobnie w tym samym czasie i zostały zakopane razem.

Krew rozlewa się po talerzu, kiedy Tricksy wbija nóż w stek.

– Tak, wiem, co znaczy zwrot „jednakowy wiek”.

– Oficjalnie zwłoki mają kilka dekad, przypuszczalnie są z początków dwudziestego

wieku, prawdopodobnie skutek jakiegoś rodzaju epidemii. Z drugiej strony mam... – Przerwywam, żeby zastanowić się, jak najlepiej opisać Larry’ego – zna... znajomego, który jest zdania, że to niemożliwe. Że ciała nie przetrwałyby tak długo.

Tricksy podnosi obie dłonie i wykonuje gest, jakby czegoś ode mnie chciała.

– Musisz mi dać coś więcej.

– Moje źródło twierdzi, że zwłoki w przeważającej mierze były zeszkieletowane, razem trzymały je fragmenty tkanki i odzieży.

Tricksy przymruża oczy.

– Jakiego rodzaju odzieży?

– Z naturalnego włókna. Starodawna. Guziki sugerujące lata dwudzieste lub wcześniej.

– Zwłoki były w trumnach? Były zabalsamowane?

– Znalaziono kawałki drewna, co sugeruje, że mogły być trumny, ale to nic pewnego. Mumifikacja wydaje się mało prawdopodobna, zważywszy na fakt, że to był sierociniec.

Tricksy kiwa głową na znak zgody.

– No to, co sądzisz? – ponaglam ją po chwili.

Z kieszeni szortów wyjmuję długopis i rozkłada na stole serwetkę. Jasnoniebieskim atramentem pisze na niej cyfry od jedyneki do czwórki.

– Wiesz, że to serwetka z materiału? – upewniam się.

– Cztery etapy rozkładu – kontynuuje. – Pewnie je znasz. Etap pierwszy, autoliza czyli samotrąwienie. Ciało zaczyna zjadać samo siebie. Etap drugi, wzdęcie, kiedy gazy powodują, że zwłoki puchną.

– Jak tam stek? – pytam.

– Etap trzeci, rozkład aktywny, kiedy tkanki zaczynają się upłynniać. Stadium czwarte to zeszkieletowanie, gdy zostają same kości.

Przechwytyuję spojrzenie kelnera, który gromi nas wzrokiem, i zapisuję sobie w pamięci, żeby dać mu podwójny napiwek. W tym czasie Tricksy rysuje krętą linię, łącząc nią cztery punkty.

– Czas przejścia od etapu pierwszego do czwartego zależy od tego, czy odbyła się mumifikacja, jak głęboko zwłoki zostały zakopane i od otoczenia – referuje. – Tak na oko powiedziałabym, że to maksymalnie piętnaście lat od chwili zgonu do zeszkieletowania.

– Połowa lat osiemdziesiątych – mówię. – Przeleżały w ziemi co najmniej tak długo, inaczej nie nastąpiłoby zeszkieletowanie.

Tricksy chwilę przeżuwa.

– Ale to, co naprawdę chcesz wiedzieć, to czy jestem w stanie określić wiek szkieletów – oznajmia.

– A jesteś?

– Jasne, kurde, że tak. Pokaż mi kości, to podam ci wiek z dokładnością do dekady.

– Nie mogę tego zrobić.

W odpowiedzi Tricksy przekłada serwetkę na czystą stronę i znów zaczyna wyliczankę. Tym razem od jednego do sześciu.

– Tkanka kostna to substancja złożona z włókien kolagenowych – zaczyna tłumaczyć. – Z upływem czasu bakterie i grzyby zaatakują kolagen i kości się rozpadną. Jest sześć etapów rozkładu kośćca.

Przy wejściu do kuchni stoi dwóch kelnerów i nas obserwuje.

– Etap pierwszy, świeża kość, taka, jaką daje się psom – kontynuuje Tricksy. – Drugie stadium: wszystko robi się bardziej kruche. Na tym etapie kość jest wyschnięta, ale wciąż ma gładką powłokę zewnętrzną. Etap trzeci, kość wygląda normalnie z zewnątrz, lecz w środku zaczyna się rekrytalizacja. Nadążasz?

– Prawie.

– Stadium czwarte, wszystko staje się lekko papkowate. Zewnętrzna warstwa zniknęła, rekrytalizacja jest zakończona. Kość jest krucha i rozpadnie się, jeśli się jej dotknie. W stadium piątym masz już coś, co konsystencją przypomina kruche ciastko zamoczone w gorącej herbacie.

– A w szóstym? – popędzam ją, kiedy przerywa, żeby dokończyć stek.

– W stadium szóstym tylko analiza chemiczna gleby może wykazać, czy leżały w niej włoki. – Odkłada nóż i widelec na prawie czysty talerz.

– I to zajmuje jak długo? – pytam.

– Zależy. – Ściąga usta, jakby próbowała poluzować coś przy tylnym zębie.

– Nie bądź irytująca.

– Lancashire, mówisz? Wilgoć i ciepło? Torfowa, kwaśna gleba?

Kiwam głową.

– Dwadzieścia lat maksimum. Bardzo prawdopodobne, że mniej.

Szybko sobie przeliczam.

– Połowa wieku dwudziestego do późnych lat sześćdziesiątych – mamrocę. – Nie mogły zostać złożone w tej ziemi wcześniej. A zważywszy na to, że kości wciąż są widoczne, prawdopodobnie było to później. Jest bardzo możliwe, że te dzieci zmarły w latach siedemdziesiątych.

– Wygląda na to, że twój... eee, znajomy miał rację.

Też odkładam sztućce.

Tricksy dodaje:

– Widzę, że nie przekazałam ci dobrych wieści?

Larry miał rację. Ta czwórka dzieci nie mogła umrzeć przed jego rozpoczęciem pracy u Greenwooda w 1946 roku. A to zakład Greenwooda zajmował się pochówkiem ośmiorga dzieci z domu dziecka, których śmierć została oficjalnie zgłoszona. Dzieci zmarłych między 1946 a zamknięciem domu w 1969. Raport z sekcji, który podejrziała Perdita i który mi streściła przez telefon, zawiera poważne błędy.

– Niestety nie – potwierdzam.

21

Cassie

Nie mogę przestać myśleć o Marigold i o tym, co się mogło z nią stać.

Uratowanie Marigold było jedyną dobrą rzeczą, jaką zrobiliśmy tamtego lata. Po tym jak tatę zaaresztowali, całe miasto obróciło się przeciwko nam. Wyzywali nas od szumowin, grozili, że nas zgwałcą i spalą nasz dom. Wszyscy nasi znajomi zniknęli. Stałyśmy się pariasami i tak się też czułyśmy. Czułyśmy, że jesteśmy zepsute, nieczyste, winne zbrodni, które popełnił ktoś inny.

A potem pojawiła się Marigold z jej jasnymi włosami i błyszczącymi błękitnymi oczami, i tłuściutkim wesołym maleństwem. Na początku była taka przerażona, później taka wdzięczna. Marigold i jej dziecko nie oceniali nas. Oni nas potrzebowali. Kochali.

Mama uratowała Marigold. Luna i ja pomogłyśmy. I na jakiś pokręcony sposób potem to Marigold uratowała nas. Była naszym odkupieniem.

A teraz wychodzi na to, że to wszystko było jednym wielkim oszustwem.

22

Florence

Czwartek, 5 sierpnia 1999

Larry miał rację. Miał swoje wady – zapewne jest to niedopowiedzenie stulecia – ale nie był głupi. Te cztery ciała spokojnie mogły zostać zakopane za domem dziecka już po tym, jak go zamknęliśmy. Ale to nie powinno być możliwe.

Jednym z dzieci mogła być Marigold. Coś strasznego mogło spotkać Marigold, a ja temu nie zapobiegłam. Mogłam szukać jej bardziej. Nie powinnam była kłamać. I jeśli jedno ze zwłok to zwłoki Marigold, to co, na Boga, stało się z jej synkiem?

Minęły lata od czasu, gdy prowadziłam poważne dochodzenie kryminalne, od czasu, gdy byłam detektywem. Lata, od kiedy robiłam coś więcej niż zarządzanie i opracowywanie strategii. Nie mam już tych umiejętności co dawniej.

Okej, myśl, Florence. Identyfikacja zwłok to pierwszy krok do odkrycia, co się stało. Łatwiej powiedzieć, niż zrobić w tym przypadku.

Moja asystentka przerywa mi przez interkom, żeby przypomnieć, że za dziesięć minut przed domem będzie czekać na mnie samochód. Jednym z moich kilku obowiązków jako zastępcy komisarza jest ochrona rodziny królewskiej, w związku z tym o pełnych godzinach mam odprawę w St. James's Palace.

Myśl, Florence. Zmarłe dzieci musiały mieć coś wspólnego z domem dziecka. Zniknięcie innych dzieci z miasta, tych wychowujących się w rodzinach, zostałyby zgłoszone, szukano by ich. Zaginięcia dzieci były w Sabden traktowane bardzo poważnie.

W teorii powinno dać się prześledzić los każdego dziecka, które w ostatnich dekadach przewinęło się przez Black Moss Manor. Gdybym miała dostęp do odpowiednich akt i gdyby dano mi kilku sumiennych śledczych, wyniki otrzymałabym w ciągu kilku dni. W praktyce jestem zdana tylko na siebie, a akta trzymane przez dom

dziecka zniszczył pożar z roku 1969.

Wiedząc, że mam mało czasu, znajduję numer do rady gminy Lancashire i proszę o połączenie z działem zarządzania archiwami. Teraz centrala mieści się w Preston.

– To, co próbuje pani zrobić, będzie dość trudne – mówi kierowniczką działu archiwów, kiedy już wyłuszczyłam, kim jestem i w jakiej sprawie dzwonię. – Jeśli dom był instytucją prywatną, wtedy nawet jeśli w gminie zbierano dane, to mogą one nie być pełne. Informacje dotyczące dziecka oddanego przez osobę prywatną mogły nie trafić do miejscowych rejestrów.

Z jakiegoś powodu wyobrażam sobie, że archiwistka wygląda jak kobieta, którą poznałam podczas mojej pierwszej wizyty w radzie gminy, dawno temu – czarująca, typ matczyny, która na koniec okazała się wredna jak rozzłoszczony czymś kot.

– Kiedy nie ma akt w rejestrze centralnym, trzeba sięgać do indywidualnych – kontynuuje kobieta. – Ale musiałyby pani znać nazwisko dziecka, datę urodzenia i tak dalej. Pomóc mogłyby też karta szczepień czy dokumenty ze szkoły, ale i tak byłyby to trudne do ułożenia skomplikowane puzzle.

Archiwistka jest uprzejma, chce pomóc, ale tak samo było z poprzedniczką. Do momentu, aż zrobiło się bardzo niemiło.

– Gmina prowadziła rejestr – oznajmiam. – Pamiętam, że tak mi wtedy mówiono. Chciałabym do niego zajrzeć, jeśli można, i sprawdzić, jakie dzieci były w przeszłości przyjmowane do domu i jakie z niego odeszły.

– To trochę zajmie – odpowiada archiwistka. – Poza tym nie ma żadnej gwarancji, że wczesne rejestry się zachowały. Pewnie natknie się pani w nich na luki.

– Musiałabym przyjechać, prawda? Tego się nie da załatwić przez telefon.

Kobieta potwierdza, że byłoby to praktycznie niewykonalne. Życzę jej więc dobrego dnia i rozłączam się.

Nie odkładam jednak telefonu, tylko przywołuję asystentkę.

– Mogłabyś skontaktować się z Izbą Lekarską w moim imieniu? – proszę, kiedy się pojawia. – Na razie to nic oficjalnego, ale chciałabym, żebyś dowiedziała się wszystkiego co możliwe na temat małżeństwa lekarzy Frederica i Judith Aster.

Asystentka kiwa głową i wychodzi, a ja uświadamiam sobie, że drugi raz w przeciągu dwóch tygodni proszę podwładnych o naginanie zasad, a to naprawdę nie jest w moim stylu.

Za to bardzo w stylu kobiety, którą byłam kiedyś.

23

Cassie

Piątek, 6 sierpnia 1999

Piątkowy wieczór to nadal wieczór nauki bicia w dzwony i kiedy wjeżdżam na parking przed pubem, na wieży u św. Piotra dzwonnicy ćwiczą uderzenia i zmiany kolejności. Dzwony nadal tak jak kiedyś kurewsko hałasują, ale ja ledwie to rejestruję. Wyłączam silnik i mówię sobie, że to jest to. Koniec czekania. Trzydzieści lat katuszy kończy się dzisiaj.

Z zewnątrz Czarny Pies się nie zmienił – duży budynek z ozdobnym szczytem i kwiatonami na jego czarnym łupkowym dachu. Siedzę chwilę w samochodzie, trochę z nadzieją, że on wyczuje, że przyjechałam i wyjdzie do mnie, oszczędzając mi pokonywania tej długiej samotnej drogi od wejścia do biurka recepcji.

Z tyłu pubu otwierają się drzwi, ale człowiek, który wychodzi, to ktoś obcy. Zabieram torbę i idę na front budynku. Drzwi są ciężkie, a korytarz za nimi słabo oświetlony.

– Za chwilę będę do usług – woła głos dochodzący zza lady. Jego głos. Wszechświat wstrzymuje oddech.

Słyszę szelest kartek, szuranie przesuwanych pudełek, pomruk rozdrażnienia. Znam ten pomruk, słyszałam go wcześniej, choć wtedy nie wyrażał rozdrażnienia.

– Przepraszam, że każe czekać – rzuca, a ja czuję, że zbiera mi się na śmiech. Kazał mi czekać trzydzieści lat. Jakie znaczenie ma kilka sekund więcej?

– Nie ma problemu – odpowiadam. Za ladą cichną wszelkie odgłosy. On prostuje się.

– Hej. – To mówię ja. Usta Johna są otwarte, ale nic się z nich nie wydobywa.

Jest trzydzieści lat starszy, ale to wciąż najpiękniejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek poznałam. Wysoki, o wiele szerszy w ramionach niż zapamiętałam. Na skroniach trochę wyłysiał, ale jego włosy nadal mają kolor ciemnego brązu, który tak

uwielbiam. Wokół oczu i ust dostrzegam zmarszczki i czuję ukłucie bólu – choć może to być także wściekłość – że nie było mnie tu i nie widziałam, kiedy się pojawiały. Ma krótką brodę i jest mu z tym do twarzy.

Wyobrażałam sobie to pierwsze spotkanie wielokrotnie. Jestem bardziej niż przygotowana na tekst z *Casablanki* w wersji dla Czarnego Psa: „Ze wszystkich zaprzyjaźnych knajp na zadupiu Lancashire ona musiała...” Albo mógłby się pokusić o nonszalanckie: „Co tak długo?” A może w ogóle nic nie powie, tylko podejdzie, a ja w stylu Cathy i Heathcliffa rzucę mu się w ramiona na środku tego wypłowiałego, zachlapanego piwem dywanu.

– Co ty tu robisz? – pyta.

Nie do końca to, czego się spodziewałam.

– Melduję się – odpowiadam. – Zarezerwowałam pokój na poddaszu. Czy nasz dawny jest wolny?

Patrzy na mnie przez sekundę, potem spogląda w dół, zerka do książki meldunkowej.

– Panna Glass – ponaglam. – Musiałeś wiedzieć, że to ja?

Wiedział. Używałam nazwiska Glass przez ponad dwadzieścia lat. Wszystkie swoje piosenki wydałam pod tym nazwiskiem. Ten pokaz zaskoczenia to dlatego, że myśli, że ktoś może podsłuchiwać zza drzwi kuchni.

I mam nadzieję, że podsłuchuje. Zaczynam tak, jak zamierzam skończyć.

Powieś ją na drzewie, Lee, leci mi w głowie nieco przeze mnie zmieniony urywek piosenki Simona.

Utop w jeziorze, Jake. Ten kawałek mi się podoba. Znam nawet odpowiednie jezioro.

– To nie jest dobry pomysł, Cass. – Podnosi telefon drżącą ręką. – Znajdę ci coś w innym miejscu.

Wchodzę za ladę i sięgam po klucz do pokoju z numerem siedemnaście.

– Znam drogę – rzucam. – Przyniesiesz moje bagaże?

Schody są po mojej lewej. Cieszę się, że mogę na chwilę zejść mu z oczu. Mam zadyszkę i drżą mi ręce. Nie chcę, żeby widział, że jestem aż tak zdenerwowana. Kiedy docieram na pierwsze piętro, uświadamiam sobie, że nie poszedł za mną i że zostawiając bagaże, mogłam popełnić błąd. Kiedy się rozpakuję, będzie mnie trudniej wyrzucić.

Ale on mnie nie wyrzuci.

Ona – tak. To możliwe.

Idę korytarzem do następnej kondygnacji schodów. Bieżniki są inne. Ściany oklejone tapetą w jasnożółte pasy. Kiedyś były pomalowane jasnożółtą farbą.

Pamiętam wszystko.

Ręce nadal mi drżą, gdy wkładam klucz do zamka, ale szczęknięcie, które pamiętam, to, które zmuszało nas oboje do wstrzymywania oddechu w radosnym niespokojnym oczekiwaniu, zniknęło. Drzwi otwierają się bezszelestnie.

Nie jest tak samo. Wymyślne kwiatowe wzory, preferowane przez jego matkę, zniknęły. To *jej* gust. Styl jest prostszy, nawet graniczy z elegancją. Bliźniacze łóżka stoją blisko siebie, na śnieżnobiałej pościeli ciemnozielone narzuty. Sosnowe meble są proste i funkcjonalne. Jest lepiej. Nienawidzę tego.

Kroki w korytarzu. Szybko sprawdzam w lustrze stan swojej fryzury, zrzucam kurtkę i słyszę pukanie.

– Otwarte! – wołam.

Otwiera drzwi na całą szerokość, ale nie wchodzi, stoi w korytarzu.

– Przykro mi z powodu Larry'ego.

Śmieję się.

– To jesteś osamotniony. Spodziewałam się festynu na ulicach.

– Ludzie mają długą pamięć.

Uśmiecham się. On się czerwieni, doskonale wie, co myślę. To ja mam długą pamięć. Wygląda na to, że on też.

W korytarzu słyhać jakiś hałas, on się wzdyga i odsuwa, żeby ją przepuścić. Ona wchodzi do pokoju, jakby była właścicielką tego miejsca, którą, jak sądzę, w zasadzie jest.

– Cześć, Cassie – wita się.

– Hej – odpowiadam. – Wybacz, ty to...

– Pamiętasz moją żonę, Tammy – odzywa się John, a jego wtrącenie nie jest pytaniem.

Pamiętam ją doskonale.

– Jezu, Tammy – rzucam, udając lekkie zmieszanie. – Nie rozpoznałabym cię.

Tylko około rok młodsza ode mnie, Tammy wygląda na o wiele starszą. Przytyła, kasztanowe włosy mają przy głowie centymetrowy pasek siwizny, obrys twarzy, kiedyś w kształcie serca, teraz jest nieokreślony z powodu obwisłego podbródka. Ale duże sarnie głupekowate oczy są takie same.

– Było mi przykro, kiedy usłyszałam o twoim tacie – mówi.

– O, pomyliłam się. – Uśmiecham się do Johna, jakbyśmy dzielili się poufnym żartem. John nie odwzajemnia uśmiechu.

– John poprosił, żebym podzwoniła i sprawdziła w innych miejscach – informuje

Tammy. – W pensjonacie Rosehill mają ładny wolny podwójny pokój. Byłabyś bliżej mamy.

– U nas teraz będzie przez kilka dni spory ruch – dodaje John.

– W takim razie całe szczęście, że zrobiłam rezerwację. – Uśmiecham się promiennie do obojga.

Tammy krzyżuje ręce na piersiach w taki sposób, w jaki bez wątpienia robiła to wcześniej jej matka, a przed nią babka.

– Już jedna ekipa telewizyjna się u nas zatrzymała – mówi. – A w następnych kilku dniach dojadą kolejni ludzie z prasy. Jeśli zostaniesz i kiedy dowiedzą się, że to ty, nie będziesz tu miała chwili spokoju.

– To znaczy, że jeśli się rozmyślę i urządzę pogrzeb Larry’ego daleko stąd, straciecie kupę klientów?

– Jakoś damy radę.

– Tak jak i ja. Lubię ten pokój. Mam z nim miłe wspomnienia. Ale dziękuję za troskę.

Stoją przede mną, chcą walczyć, tylko że nie bardzo wiedzą jak. Przygotowałam się na to, oni nie, więc to nic zaskakującego, że pierwszą bitwę wygrywam. Ale mimo wszystko jestem zaniepokojona, że są tacy zjednoczeni przeciwko mnie.

Czyżbym się myliła, zakładając, że reakcja Johna na moją banicję będzie taka sama jak moja? Nie liczył dni, cholernych godzin do mojego powrotu?

– W takim razie zostawimy cię już – odzywa się Tammy. – Za tobą, kochanie. – Wychodzi na korytarz i czeka, pilnując, by John odszedł pierwszy, nie dając mi szansy na zamienienie z nim ostatniego słowa czy choćby uśmiechu.

– Do zobaczenia później, John! – wołam.

Sięgam po walizkę i rzucam na łóżko. Wyjmuję sól, lustro i świeczkę, pudełko z ziołami i aksamitny woreczek z kryształami. Otwieram okno, żeby wypuścić negatywną energię powstałą podczas mojej konfrontacji z Donnelly’ami i rozsypuję sól wzdłuż obrzeża drzwi, pod oknem i wokół kominka. Pierwszą rzeczą, której się dowiadujesz, kiedy uczysz się magii, jest to, że energia, którą generujesz, wraca, w dodatku dwa razy silniejsza. Ochrona siebie to podstawa.

Rozpakowywanie może zaczekać. Sprawdzam, która godzina, i wychodzę.

Po ostatnich deszczach rzeka jest głęboka i płynie szybko. Schodzę po wysokim nabrzeżu, prawie zaczepiając obcasem o coś, co wygląda jak żelazna krata wmurowana

w ziemię. Zastanawia mnie ona, bo nie wygląda na kratkę ściekową. Jestem w pewnej odległości od pubu, ale piwnice pod Czarnym Psem są stare i przepastne, kilka pomieszczeń, jedno prowadzące do kolejnego. Istnieją pogłoski o tajnej celi, w której byli przetrzymywani więźniowie transportowani do aresztu w Lancaster. Nigdy tej celi nie widziałam. Przychodzi mi na myśl, że może właśnie ją znalazłam, ale przez kratę nic się nie da zobaczyć. Po kilku sekundach daję sobie spokój.

Koryto rzeki Sabden to ciężka lancashire'owska glina. Nabieram tej gliny dwie duże garści, znajduję suche miejsce, w którym mogę przykucnąć, mieszam glinę z suchszym błotem i zaczynam międlić i ugniatać do chwili, aż mieszanka robi się elastyczna. Formuję z niej głowę, potem tułów, ręce i nogi. Robię glinianą podobiznę, figurkę człowieka, tak jak kiedyś robiły to czarownice z Lancashire.

Swoją figurkę robię wysoką i szczupłą, poświęcam sporo czasu na dokładniejsze odwzorowanie twarzy i włosów. Gliniana podobizna musi zawierać esencję osoby, którą ma przedstawiać. Krew, zęby i kości są najlepsze, ale włosy czy kawałki paznokci też się nadają. Nie mam jeszcze żadnej z tych rzeczy, ale nie muszę się spieszyć, figurka nie stwardnieje, dopóki jej nie wypiekę.

Kiedy jest gotowa, prostuję się i idę kilka metrów wzdłuż brzegu. Już wcześniej wypatrzyłam tarninę. Przygotowuję trzynaście cienkich gałązek i wtykam w odpowiednie miejsca.

Doskonale wiem, jakiego kształtu jest wiszący nade mną księżyc, ale i tak spoglądam w górę. Do nowiu zostało jeszcze kilka dni, nie mogę więc jeszcze rzucić swojego zaklęcia.

24

Florence

W piątek wieczorem spóźniam się z wyjściem z pracy; sprzątam biurko przed corocznym urlopem, który zaczyna się w poniedziałek, poza tym nadal nie dostałam odpowiedzi zwrotnej od tej dziennikarki. Postanawiam spróbować ostatni raz.

– Abby Thorn – odzywa się cierpki głos już po pierwszym dzwonku. Jestem tak zaskoczona, że nie odpowiadam.

– Halo? – ponagla dziennikarka.

– Tu Florence Lovelady.

– Z...? O cholera jasna. *Ta* Florence Lovelady? Chryste, czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

– Próbuję się z tobą skontaktować od kilku dni. Dzwonię już czwarty raz.

– Nikt mi nie przekazał. Cholerna niekompetencja. Ale o co chodzi? Pewnie o Larry’ego, co? Wybierasz się na jego pogrzeb?

– Abby, muszę cię spytać o coś z dawnych czasów. Jak dobrą masz pamięć?

Śmieje się.

– Przetestuj mnie.

– Pamiętasz Black Moss Manor? Te artykuły, które pisałaś w 1969?

– Och, dzwonisz w sprawie zwłok. Myślałam, że są stare. Ale widzę, że coś się zmie...

– Tak, tak, jestem pewna, że są stare – zapewniam pospiesznie, bo jeśli to tylko możliwe, nie chcę niczego uruchamiać. – Po prostu jestem ciekawa. Czy to miejsce zostało ponownie otwarte po tym, jak je zamknęliśmy? Czy wznowiło działalność?

– O ile wiem, to nie. Posłuchaj, chętnie zrobiłabym z tobą wywiad w dzień pogrzebu Larry’ego. No wiesz, twoje wspomnienia o Sabden z tamtego czasu, jak ta sprawa wpłynęła na twoją karierę. Mogłabyś przyjść do studia zaraz po?

– Nie planuję jechać na pogrzeb. Gdzie trafiły te dzieci? Była ich prawie

dwudziestka, ewakuowaliśmy wszystkie. Robiłaś o tym materiał. Patrzą na niego teraz.

– Hm.

– Co?

– Zapomniałam, ale to było trochę dziwne. Ten artykuł to był mój pomysł i nikt nie był mu przychylny. Z pewnością nie szef. Ale naciskałam i udało mi się odszukać jedno czy dwoje dzieci.

– Tylko jedno czy dwoje?

– Większość wyprowadziła się z tamtych rejonów. Blisko zostało tylko troje i żadne w Sabden. To, z którym rozmawiałam, trafiło do rodziny zastępczej w Newchurch. Śmieszny maluch. Nie udało mi się z niego wiele wyciągnąć.

– Czy mówił coś o domu dziecka, co wydało ci się dziwne?

– O Chryste, Florence, każesz mi wysilać szare komórki, a one są takie stare. To było dwadzieścia lat temu.

– Trzydzieści – poprawiam.

– Powiem ci, co było dziwne. Jego rodzice zastępczy nie chcieli zostawić go samego, ani na chwilę, przez cały czas, gdy z nim rozmawiałam. A kiedy zapytałam o Black Moss Manor, naskoczyli na mnie. Och, teraz sobie przypominam. Nie chcieli, żeby mówił o czymkolwiek, co mogłoby go zdenerwować.

– Ciekawe.

– I klimat tajemnicy trwa nadal. – Abby jest coraz bardziej rozemocjonowana rozmową, wiem, że zaraz zacznie robić notatki. – Kiedy w zeszłym miesiącu znaleziono te zwłoki, pojechałam tam – kontynuuje. – Chciałam napisać coś o kierowaniu tym domem wczasowym, czy co to tam teraz jest prowadzone, ale nikt nie chciał mnie przyjąć. Co się dzieje, Flo? O co w tym wszystkim chodzi?

– Nie jestem pewna. Natknęłaś się gdzieś powtórnie na tę dwójkę, która prowadziła dom dziecka? Na tych Frederica i Judith Asterów?

Chwilę się zastanawia.

– Trafili do więzienia, prawda?

– Tylko na kilka lat. Tak jak inni z personelu. Niektórzy mogli wrócić do Sabden.

– Sądzę, że mogłabym się o to rozpytać.

To więcej niż się spodziewałam. Choć nie obejdzie się bez zapłaty.

– Mogłabyś?

– A co w tym jest dla mnie?

I oto rachunek.

– Znajdź ludzi, z którymi mogłabym porozmawiać, i jeśli wyjdzie z tego coś

ciekawego, będziesz pierwsza, która się o tym dowie.

– A co z wywiadem o Larrym? – naciska.

– Miło było pogadać, Abby

Rozłączam się i jest mi trochę lżej na sercu. Mam wrażenie, że zyskałam sprzymierzeńca.

A potem prawie znów sięgam po telefon, żeby powiedzieć Abby, żeby się nie kłopotowała, żeby zapomniała, że dzwoniłam. Bo przypomniałam sobie, co się stało, kiedy ostatnim razem zrobiłam z Abby swojego sojusznika.

25

Cassie

Sobota, 7 sierpnia 1999

Następnego dnia zostaję zaproszona na lunch przez Avril, moją adwokatkę, i jej partnerkę, Daphne. Nie mam nic lepszego do roboty, Johna nie mogę nigdzie znaleźć, więc przyjmuję zaproszenie. Z wiekiem ta para starych lesb zrobiła się całkiem do rzeczy i obie wydawały się szczerze zadowolone, że mnie widzą.

Kiedy wracam, w pubie jest jak na „Mary Celeste”, tym statku widmo. Dziewczyna w recepcji mówi mi, że John pojechał po zakupy do marketu, a Tammy podstarzałą matkę zabrała na wizytę do podologa.

Wyszli oboje?

Żeby dostać się do mieszkań obsługi, trzeba wejść innymi schodami niż te dla gości, tymi, które są za kuchnią. Drzwi na szczybie są zamknięte, ale pamiętam, że Donnelly'owie mają zwyczaj zostawiać klucz pod luźnym kawałkiem wykładziny. Otwieram drzwi, a klucz wsuwam do kieszeni.

Lubię klucze. Klucze to przydatne narzędzia. Mają moc.

Pokój zaraz za drzwiami, salon, pachnie mocno Tammy, nieprzyjemną mieszanką tanich perfum i kobiecych feromonów, zupełnie, jakby Tammy znaczyła swój teren. Nagłe warczenie sprawia, że podskakuję, odwracam się szybko i widzę zbliżającego się na wpół ślepego czarnego whippet. Pies zatrzymuje się dwa kroki ode mnie, jego kościste ciało całe się trzęsie. Spoglądam mu prosto w oczy. Trochę się cofa, ale nie bez ostrego wysokiego szczeknięcia.

Na oparciu jednego z krzeseł wisi marynarka Johna. Jak kot szykujący się do skoku na ofiarę, podchodzę do niej ostrożnie, podnoszę do twarzy i mocno zaciągam się jej zapachem. Zeszłej nocy długo nie mogłam zasnąć, zastanawiałam się, czy będzie miał odwagę do mnie przyjść. Powinnam była wiedzieć, że ona nie spuści go z oka. Nie było

go nawet dzisiaj przy śniadaniu, a ja jestem zaszokowana tym, jak bardzo za nim tęsknię. Wytrzymałam bez niego całe trzydzieści lat, a teraz nie potrafię znieść nawet kilku godzin rozłąki.

Nie rozpoznaję wody kolońskiej, której teraz używa. Sprawdzam kieszenie i znajduję chusteczkę, nie do końca czystą, i garść monet. Te zostawiam, chusteczka ląduje w mojej kieszeni obok kluczy.

Pokój jest zawałony zdjęciami rodzinnymi, łącznie z wielkim, obrzydliwym na ścianie naprzeciwko kominka na gaz. Zrobione na ślubie, chyba ich syna – pyzaty ciemnowłosa mężczyzna we fraku i turkusowym krawacie jest kopią Tammy – przedstawia co najmniej dwunastkę ludzi w galowych weselnych strojach. Zdjęcie w całości odbija się w dużym lustrze wiszącym nad kominkiem. W innych miejscach w pokoju są inne mniejsze: kolejny ślub, zdjęcia małych dzieci, czterdzieste urodziny Tammy na dole w pubie. Rodzina jest wszędzie, jakby Tammy potrzebowała stałego przypomnienia, że to, co łączy ją i Johna, jest prawdziwe.

Nie jest. Nigdy nie było. Wyobrażam sobie ognisko, płonące wysoko, z każdym z tych zdjęć pochłanianym przez płomień, czerniejącym, rozpadającym się.

Wszystko w swoim czasie. Obok stereo stoją pudła, zapewne z jego kolekcją płyt. Muszę to zobaczyć. To, że nie mogłam dzielić się z Johnem muzyką, było jedną z najtrudniejszych części naszej separacji. Znajduję Elvisa, oczywiście – John i Larry kochali Elvisa – Boba Dylana, The Kinks, Doorsów. Znów zaczynam być zła. Tak wiele straciliśmy. Queen, Guns & Roses – zero zaskoczenia – ale Duran Duran? Gdzie on miał głowę?

To album Tammy. Zamykam pudło i przechodzę dalej.

Mała kuchnia nie zmieniła się. Ma te same jasnoniebieskie laminowane szafki, te same rdzewiejące żaluzje w oknie, ten sam stary piecyk gazowy. W głośno pracującej lodówce stoi butelka taniego chardonnay i kilka puszek piwa. Nie wyobrażam sobie Johna pijącego, ale z drugiej strony tak niewiele wiem o tym, jakim człowiekiem jest teraz. Nie potrafię powiedzieć, które z tych rzeczy wokół mnie są jego, a które jej.

Nie wolno mi się wkurzać. Nie mogę pozwolić sobie na nieostrożność.

Piecyk głośno strzela, a ja podskakuję. To może być ten sam, który był tu trzydzieści lat temu. Kto zmienia piec gazowy, jeśli nie musi? Wąska rura biegnie od dna i znika w ścianie. Wyglądam przez okno, żeby się zorientować, gdzie jestem, i zarazem jestem bliska pogłaskania drzwiczek piecyka. W porę się jednak opamiętuję. To nie byłoby mądre.

Skończyłam w kuchni.

Salon ma troje drzwi prowadzących do innych pomieszczeń. Pierwszym, do którego wchodzę, jest dawny pokój Johna. Na łóżku leży kobieta, w pełni ubrana, ale śpiąca. Jest trochę po siedemdziesiątce, lecz wieloletnie nadużywanie alkoholu spowodowało, że wygląda starzej. Jej farbowane blond włosy mają siwawy odcień; makijaż mógł być nałożony poprzedniego dnia. Albo poprzedniego tygodnia. Beryl Donnelly, matka Johna, cicho chrapie. Wycofuję się i idę do następnego pokoju. Ten to sypialnia małżeńska, pomalowana na zimny błękit górskiego jeziora.

Podchodzę do wbudowanej szafy i znajduję garnitury Johna. Przeciagam palcami po włosach, wyrywam kilka i rozsypuję na materiale. Z torebki wyciągam swoje perfumy i skrapiam nimi podszewkę. To samo robię ze swetrami w szufladzie i z jego bielizną. Do kieszeni dżinsów wtykam prezerwatywę o truskawkowym smaku i na wewnętrznej stronie kołnierzyka jednej z jego koszul rozsmarowuję trochę swojej szminki.

Bawię się setnie, ale przyszłam tu w jakimś celu i nie mogę zapomnieć, że mam ograniczony czas. Na toaletce leży duży brązowy grzebień. Oglądam luźne włosy, aby się upewnić, że to jego, a nie Tammy, a potem chowam je do kieszeni. W dołączonej do sypialni łazience znajduję kwadracik papieru toaletowego poplamionego krwią i też zabieram.

Wracam do sypialni i zauważam, że łóżko zostało posłane, ale w pośpiechu, niestarannie. Po rzeczach leżących na dwóch szafkach nocnych domyślam się, która strona łóżka jest Johna, i kładę się na stronie Tammy, kręcę głową, żeby poduszka nasiąkła moim zapachem.

Kroki. Jestem kretynką. Jeśli ona mnie tu nakryje, na bank wywali z hotelu. Ale kroki są ciężkie i brzmią jak kroki tylko jednej osoby. John jest sam. Kładę się na płask i zamykam oczy.

– To tylko ja, mamó! – słyszę, jak woła. Zduszam chichot, wsłuchując się w to, jak krząta się w salonie. Włącza telewizor, a potem drzwi sypialni ślizgają się po dywanie.

– Co do kurwy...?

Otwieram oczy, udaję zaspaną.

– Kochanie – mamroczę. – Wróciłeś do domu.

Szybko ogląda się za siebie.

– Co ty tu robisz, do diabła? W pokoju obok jest moja matka. Za chwilę przyjdzie Tammy.

– Wybacz. – Zsuwam nogi na podłogę. – Musiało mi się coś pomieszać.

– Jak się tu dostałaś?

– Wpuściła mnie twoja matka. – Nie chcę wspominać o zapasowych kluczach.

Zażąda, żebym je zwróciła. – Powiedziała, że musi pójść po coś do swojego pokoju i nie wróciła. Wszystko z nią w porządku?

Wchodzi głębiej do pokoju, ale nie wypuszczając klamki z dłoni.

– Cass, w co ty grasz? Nie możesz przychodzić do naszego mieszkania.

W salonie w telewizorze rozpoczynają się wiadomości. Głównym tematem jest napad z bronią w centrum Londynu. Telewizor jest ustawiony dość głośno, więc wyraźnie słyszymy słowa prezentera: „Nasz reporter jest przed Scotland Yardem, czeka na zastępcę komisarza, Florence Lovelady”.

John rzuca mi zaskoczone spojrzenie. Biegniemy oboje do salonu.

Nasz dawny wróg – według tego, co piszą o niej w Wikipedii, najwyższej rangi policjantka w Anglii i Walii – jest w pełnym umundurowaniu. Jej jasnorude włosy wyblakły i są teraz lekko kasztanowe. Sięgają do brody, ale w dawnych czasach były dłuższe i do pracy musiała spinać je w kucyk. Linia szczęki złagodniała, wokół oczu i ust pojawiły się zmarszczki. Odczytuje przygotowane oświadczenie na temat napadu, działań podejmowanych przez podwładnych i że policja stołeczna zwraca się do obywateli z prośbą o wszelkie informacje. Kiedy kończy, uśmiecha się i dziękuje, ale reporterzy nie chcą dać jej jeszcze odejść.

– Pani komisarz, ma pani jakiś komentarz na temat niedawnej śmierci Larry’ego Glassbrooka?

– Uważa pani, że powinien być pochowany w tym samym mieście, w którym zakopał swoje ofiary?

– Wybiera się pani na pogrzeb, Florence?

– Będzie go pani brakowało?

Pytania padają jak strzały wystrzeliwane z zamkowych flank. Przez sekundę myślę, że Florence nie odpowie, że się odwróci i zniknie w czeluściach Scotland Yardu, ale ona zostaje.

– Larry Glassbrook zapłacił za swoje zbrodnie – mówi. – Mam nadzieję, że teraz odnajdzie spokój. Co do pogrzebu, to jest to sprawa rodziny i miasta.

Po tych słowach odwraca się, a program przechodzi do następnego tematu.

– Ona przyjedzie, prawda? – pyta mnie John, a ja pragnę pobłogosławić nieobecną Florence Lovelady, bo trzema prostymi zdaniem znów zjednoczyła mnie i Johna. Mamy wspólnego wroga. Zmierzymy się z nim razem.

– Larry co roku wysyłał jej zaproszenie do odwiedzin – mówię. – Zawsze przyjeżdżała. Widywała go częściej niż ktokolwiek, może oprócz jego adwokata i mojej matki. Florence przyjedzie.

Myślę o liście, który Larry do niej wysłał, niedługo przed śmiercią, i o flakoniku po perfumach przytwierdzonym do brzegu Black Tarn. Oczywiście, że przyjedzie. Zadbaliśmy o to razem, Larry i ja.

John nie odpowiada, ale widzę po jego oczach, że się martwi. On też obawia się Florence.

– Może zatrzyma się tutaj – dodaję. – Jeśli tak, daj jej pokój numer siedem.

– Ten pod twoim? Co ty knujesz?

O proszę. Mały błysk w jego oczach zniknął w sekundę, ale go widziałam. To był John, którego zapamiętałam. A już zaczynałam myśleć, że odszedł na zawsze.

– Musimy się spotkać – oznajmiam. – Gdzieś, gdzie nikt nie będzie nam przeszkadzał. Dziś wieczorem.

– Nie mogę. – W jego oczach pojawia się panika. – Zobowiązania rodzinne. Vicky – moja najstarsza – przyjeżdża z dziećmi. Obiecałem, że ich odwiozę.

Czuję, że opanowuje mnie gniew, ale nie mogę się z nim kłócić. Nie, gdy więzy rodzinne nadal jeszcze są tak silne.

– W takim razie jutro. Przy Black Tarn. O zachodzie słońca.

26

Florence

Nie wyrabiam się. Ben niedługo wróci do domu z zajęć sportowych, a napisał, że zapomniał kluczy. Znowu. Przebrałam się i odwiesiłam mundur. Auto czeka na dole, żeby mnie odwieźć. Już zamierzam wyłączyć komputer, ale widzę w skrzynce nową wiadomość.

Od archiwistki z rady gminy Lancashire.

W związku z pani niedawnym pytaniem z przykrością informuję, że rejestry, którymi była pani zainteresowana, najprawdopodobniej uległy zniszczeniu podczas powodzi w 1975 roku. Ze względu na inne zobowiązania na razie nie mam czasu szukać dalej, ale jeśli skontaktuje się pani z naszym biurem ponownie wczesną jesienią, spróbujemy wydelegować kogoś do pomocy.

Do wczesnej jesieni czwórka zmarłych dzieci będzie już skremowana.

27

Cassie

Niedziela, 8 sierpnia 1999

Do czasu mojego wyjścia z pubu niebo zdążyło zrobić się turkusowe. Kilka wiszących na nim chmur mieni się kolorami, ale ciepłe światło, zalewające świat pod koniec dnia, jest coraz słabsze i jego miejsce zajmują chłodniejsze tony. Cienie się wydłużają, w zakamarkach jest coraz mroczniej. Zachód słońca, Świetlista Brama, pora dnia, która nie jest ani dniem, ani nocą tylko czymś pomiędzy, czasem, gdy granica między dwoma światami, żywych i umarłych, staje się bardziej rozmyta. W Lancashire wierzymy, że większość ludzi umiera o zachodzie słońca, bo wtedy przejście do innego świata jest o wiele łatwiejsze. O tej porze dnia szczególnie dobrze udają się czary, a to właśnie mam teraz na myśli.

Wyjeżdżam z miasta, pozostawiając za sobą wiktoriańskie budynki i szeregową zabudowę, potem liczne teraz na peryferiach nowsze osiedla mieszkaniowe. Zabudowa staje się coraz rzadsza, budynki są starsze, a potem zupełnie znikają, pojawia się dzika przestrzeń Lasu Pendle.

Skrećam z głównej drogi i jadę drogą gruntową, wiodącą do Black Tarn. Na miejscu zatrzymuję się przy starym budynku gospodarczym, w którym kiedyś chroniliśmy się przed złą pogodą, paliliśmy i piliśmy ukradziony alkohol. Wsiadam, płosząc pasącą się na pobliskim polu owcę. Gdzieś w oddali huczy sowa, słyszę też dziwne poszczekiwanie, pewnie lisa. Czuję zapach psich odchodów, sosen i gorzką metaliczną woń wody.

Luna i ja nauczyłyśmy się w tym jeziorze pływać. W letnie miesiące Sally często nas tu przyprowadzała i nigdy nie pozwalała wkładać kostiumów. Oddajemy cześć wodzie, gdy pływamy w niej tak, jak nas Pan Bóg stworzył – upierała się.

„Jak nas Pan Bóg stworzył” znaczy nago. Wiele więdźm odczynia czary w stroju

Adama i Ewy, wierzą bowiem, że ubranie zmniejsza moc, jaką czerpią z otoczenia.

Kiedy słyszę szum silnika samochodowego, rozbieram się i wchodzę do wody. Dostrzegam jakiś błysk na środku jeziora i to na chwilę każe mi przystanąć. W dawnych czasach często spotykało się tu rybaków łowiących nocą, ale oni nigdy nam nie przeszkadzali, a my nie przeszkadzaliśmy im. Tak czy inaczej ten rybak jest zbyt daleko, żeby mnie widzieć.

Zimna woda zatyka mi dech.

Teraz niebo straciło już wszystkie kolory. Księżyc wzeszedł i jego blade światło wytycza na wodzie wąską prowadzącą mnie ścieżkę. Kiedy widzę, że samochód wjechał na drogę gruntową, nabieram głęboko powietrza i rzucając się w zimną ciemną masę wód jeziora.

John wysiada z auta, idzie na brzeg i zatrzymuje się przy moich ubraniach, a ja zawracam i płynę do niego bezszelestnie. Gdy jestem na tyle blisko, że mogę stanąć, wołam:

– Tutaj!

Zauważa mnie.

– Wchodzisz?

Nie porusza się. Idę przed siebie po miękkim błocie. Woda jest coraz płytsza, moje ciało zamiast niej opływa teraz blask księżyca. Czy planowałam być taka śmiała, tak szybko? Nie jestem pewna, ale jego oczy nie odrywają się od moich, kiedy pokonuję tę niewielką odległość dzielącą mnie od brzegu i od miejsca, w którym stoi.

– Podaj mi ręcznik – proszę. Bryza, choć łagodna jak na wrzosowiska, w moim odczuciu jest lodowata.

John się schyla. Odwracam się i podnoszę wysoko ręce. John okrywa mnie ręcznikiem i otacza rękoma.

– To jakieś szaleństwo – mamrocze mi do ucha.

– Zawsze było. A jednocześnie to jedyne, co ma sens.

Obracam się w jego ramionach. Przez długie sekundy wpatrujemy się w siebie. Pocałowanie go byłoby najłatwiejszą rzeczą na świecie. Wystarczyłoby, żebym wspięła się na palce i przysunęła. Nie opierałby się. Zbyt mocno mnie obejmuje, żebym mogła się o to obawiać. Ale ja chcę, żeby to on pocałował mnie.

Pochyla głowę, jego usta odnajdują moje, i bitwa jest wygrana.

– Stary, przykro mi. Naprawdę mi przykro, ale musicie się stąd zabierać.

Rozdzielamy się. Ktoś w łódce świeci na nas latarką. Jej promień przesuwają się w bok i znów opada na nas ciemność.

– Co ty, kurwa, robisz?! – krzyczy John.

– Stary, mówię poważnie – odpowiada męski głos. – Tu w nocy przychodzą jacyś ludzie. Robią coś w tamtej starej szopie. Będą tu za kilka minut. Lepiej, żeby cię tu nie zobaczyli. Nie z kobietą.

Światło gaśnie i wtedy udaje nam się zobaczyć mężczyznę w łodzi, jakieś dwadzieścia metrów od nas. Trudno to stwierdzić na pewno, ale wygląda na kogoś w średnim wieku i jest w stroju do nocnego łowienia. Włącza mały pokładowy silnik, obraca łódkę i odpływa. Po jakimś czasie, gdy pochłania go ciemność, wyłącza silnik i znika.

– Ubierz się. – John zbiera moje ubrania.

Nie. Z frustracji mam ochotę krzyczeć. Już go prawie miałam.

– Cass, mówię serio. Słyszałem różne plotki o tym miejscu – nalega.

– Tu nikt nigdy nie przychodzi.

– Rzeczy się zmieniają. Chodź, pojedziemy pod Greenwell Tor.

Ubieram się. Nerwowość Johna i strach, który usłyszałam w głosie rybaka, mnie też się udzieliły. Odjeżdżamy, każde własnym samochodem, z Pendle Hill. Po jakimś kilometrze znów zjeżdżamy z drogi i zatrzymujemy się. Ścieżką wchodzimy na tor, skalistą formację na szczycie wrzosowisk. Siadamy obok siebie i patrzymy w dół na pomarańczowe i białe światła Sabden. John nie próbuje mnie dotykać, a ja wiem, że drugi raz nie uda mi się go zaskoczyć.

– Nigdy bym nie pomyślała, że kiedykolwiek zobaczę, że wystraszyłeś się farmera – rzucam. Wciąż jestem na niego zła.

– Nauczyłem się wybierać bitwy. A ci ludzie nie są farmerami.

Zaintrygował mnie.

– W takim razie kim? Czyżby Sabden w czasie mojej nieobecności dorobiło się mafii?

Nie pada żadna odpowiedź. Uderza mnie pewna myśl.

– Słyszałeś kiedyś o mistrzach? – pytam.

Sztywnieje.

– Nie – zaprzecza.

Czekam na to, że zapyta, czy to jakaś grupa rockowa, odłam klubu rotariańskiego lub może starodawne średniowieczne bractwo. Nie pyta. Siedzimy w milczeniu prawie całą minutę, ja czuję, że go tracę.

– Nie wróciłam tu, żeby pogrzebać Larry’ego – oświadczam. – Wróciłam po ciebie.

– Wiem – rzuca John po długiej sekundzie.

– Czy ty mnie nadal kochasz?

Przez łamiącą serce chwilę nie odpowiada. Spoglądam w dół na światła Sabden i wyobrażam sobie, że za moment wszystkie zaczną gasnąć, jedno po drugim.

– Kiedy widzę kobietę z jasnymi włosami – odzywa się w końcu – nawet jeśli nie jest to twój kolor, a tylko zwykły blond, muszę zobaczyć jej twarz, bo może to jesteś ty.

Światła w dole znów zaczynają migotać.

– Mam każdą piosenkę, którą napisałaś – ciągnie. – Nie mogę trzymać ich w domu. Tammy by je zobaczyła, więc od lat wynajmuję garaż przy ogródkach działkowych, tylko po to, żebym mógł tam chodzić i słuchać. Myślę o tobie przy pianinie w twoim starym domu i wyobrażam sobie, że śpiewasz dla mnie. Wsłuchuję się w znaczenie, szukam wiadomości w twoich tekstach jak jakiś chory prześladowca. Zawsze, gdy wychodzi nowa płyta, zastanawiam się, dlaczego sama nie śpiewasz, choćby tylko raz, tak żebym znów mógł usłyszeć twój głos.

Przez moment nie jestem w stanie się odezwać. Potem mówię:

– Chcę, żebyś odszedł od Tammy.

Nie odpowiada. Czekam.

– Nie mogę tego zrobić – rzuca w końcu.

Mówię sobie, że nie oczekiwałam, że będzie łatwo. Muszę spróbować zachować się rozsądnie.

– Twoje dzieci są już dorosłe – zauważam. – Możemy zamieszkać blisko, jeśli chcesz odgrywać rolę oddanego dziadka. Mieszkam niecałą godzinę drogi stąd. Pub zostawisz Tammy, jeśli będzie tego chciała.

Zastanawiam się, czy powinnam wspomnieć o jego matce, i dochodzę do wniosku, że nie. Nie jest teraz największym problemem.

John podnosi się.

– Cass, nie możemy.

– Dlaczego nie? – Oczywiście wiem dlaczego, ale chcę go zmusić, żeby sam to powiedział. – Dlaczego nie możemy być ze sobą? Jediną osobą, która nas zatrzymywała, był Larry, był jedynym, który się liczył, ale umarł. Czekaliśmy trzydzieści lat. Wkrótce będziemy starzy. To nasza szansa.

– Wiesz, dlaczego nie możemy.

– Nigdy mi to nie przeszkadzało – oznajmiam.

Podciąga mnie w górę.

– Bo jesteś kobietą pozbawioną moralności.

– Ale to może nawet nie być prawda. Myślałeś kiedyś o tym?

– Więc zrobmy test. Dowiedzmy się na pewno. Teraz robią takie testy.

Oczywiście nie rzucam się na tę propozycję. To prawdopodobnie prawda.

– Nie zależy mi – mówię. – Nie obchodzi mnie, czy to prawda, czy nie. Wiem tylko jedno: że bez ciebie jestem niepełna i że straciliśmy mnóstwo czasu.

– Zastanawiałaś się, co się stanie z twoją karierą, jeśli się o nas dowiedzą? – pyta. – Nikt nie będzie chciał z tobą pracować.

Odwraca się, żeby odejść.

– Nie będzie tak – zaprzeczam, schodząc za nim ścieżką. – Nie ma żadnego dowodu. Larry nie żyje. Moja matka to zramolała wariatka. – Czuję ukłucie niepokoju, gdy to mówię. Mojej matce daleko do wariatki, ale zabrnęłam za daleko, żeby to teraz zatrzymać. – Twoja jest niewiele lepsza. Obie są zupełnie niewiarygodne.

– Zapominasz o Lunie – przypomina. – I jestem prawie pewny, że Tammy też nie będzie milczała.

Łapię go za głowę i zmuszam, żeby na mnie spojrział.

– W takim razie musimy znaleźć jakiś sposób, żeby zamknąć jej usta.

28

Florence

Nick i Ben martwią się o mnie. Niezwykła cisza podczas kolacji, wymienianie się spojrzeniami, kiedy myślą, że tego nie widzę, częste okazywanie zniecierpliwienia; znam te sygnały.

Mają rację, że się niepokoją. Dzieje się ze mną coś, nad czym nie potrafię zapanować. Żyję bardziej w przeszłości niż w teraźniejszości. Przypadkowe wspomnienia przyplływają znikąd. Mam wrażenie, że odpływam, nawet w trakcie rozmowy. Trudno mi się na czymkolwiek skupić.

Przyciąganie roku 1969 staje się niebezpiecznie silne.

Po kolacji rozpalam ognisko na zewnątrz i ignoruję dwie poważne twarze obserwujące mnie z okna w kuchni. Nie potrzebuję się rozgrzewać – noc jest całkiem ciepła – wykorzystuję ogień jako pomoc przy myśleniu.

Wróżenie, starodawna sztuka poszukiwania wizji, to coś, co uprawiam od lat. Wpatruję się w polana, pozwalam umysłowi dryfować i, najczęściej, zaczynam widzieć. Niektórzy twierdzą, że kiedy wróżą, widzą przyszłość, ale w moim przypadku to tylko wsparcie dla poza tym zupełnie racjonalnego procesu myślowego. Wróżenie pomaga mi nawiązać kontakt z podświadomością.

Iskry strzelają w górę, polana się przesuwają.

Do pogrzebu Larry'ego w Sabden zostało mniej więcej trzydzieści sześć godzin, a ja nadal nie postanowiłam, czy mam tam wracać, czy nie. Nick tego nie chce. Wie, że mój stan psychiczny się pogorszył, może dojść do tego, że nie będę w stanie utrzymać się w ryzach.

Gałęziami pobliskich drzew wstrząsa nagły podmuch wiatru. Spoglądam w górę, na poły spodziewając się, że ujrzę idącą do mnie Marigold, a może nawet samego Larry'ego.

Najgorsze w moim syndromie stresu pourazowego nie są objawy fizyczne, koszmary,

nagłe wspomnienia czy brak empatii. Najgorsza, zdecydowanie, jest psychoza, to, że czasami widzę rzeczy, o których wiem, że nie mogą być realne. Odwiedzają mnie ludzie z okresu, gdy byłam w Sabden – martwi ludzie, a zwłaszcza młode ofiary Larry’ego. Siedzą obok mnie w samochodzie, opierają się o framugę okna w moim biurze, nawet dołączają do Nicka, Bena i do mnie przy stole podczas kolacji i mówią do mnie. Wiem, że nie są prawdziwi. Nie wierzę w duchy. A jednak często wydają się bardziej realni, bardziej materialni niż otaczający mnie żywi ludzie.

To trwa już tak długo, że nie mogę wyciągnąć innego wniosku niż ten, że po tym, co spotkało mnie trzydzieści lat temu, nigdy do końca nie odzyskałam pełnej równowagi psychicznej. Przypuszczam, że w prostych słowach mogłabym powiedzieć, że jestem wariatką. W Wielkiej Brytanii jestem policjantką z najwyższym stopniem służbowym i jestem wariatką.

Dorzucam drewna do ognia. Siedzę w coraz ciemniejszym ogrodzie i czekam, aż dołączą do mnie moje duchy. I wiem, że kiedy to zrobią, będą mnie prosiły, żebym wróciła.

29

Cassie

Poniedziałek, 9 sierpnia 1999

Następnego dnia rano budzi mnie głośnie nieustępujące walenie. Ledwie zdążam podciągnąć się do pozycji siedzącej, kiedy drzwi do mojego pokoju otwierają się z hukiem. Do środka, prawie potykając się o próg, wpada Tammy. Za nią czai się w drzwiach zdenerwowana matka Johna, Beryl. Wydaje mi się, że widzę też trzecią osobę, ale w tym momencie on czy ona jest przysłonięta sylwetką Beryl.

– Co to jest, do diabła? – Tammy, w bezkształtnych spodniach od dresu i poplamionym T-shircie, z włosami spiętymi gumką, trzyma zrobioną przeze mnie glinianą podobiznę Johna. Zostawiłam ją w piekarniku w kuchni pubu, żeby dobrze się przez noc wypiekła. Planowałam wstać wcześniej i ją stamtąd zabrać. A może nie. Może chciałam, żeby ona ją znalazła, może chciałam postawić wszystko na ostrzu noża.

I wygląda na to, że postawiłam. Tammy jest wściekła. Podnosi figurkę wysoko, jakby zamierzała nią we mnie rzucić. Sprawdzam, czy mam w zasięgu ręki poduszkę. Jeśli figurka trafi mnie w głowę, będzie bolało.

– To gliniana podobizna – mówię. – Dobrze się wypiekła?

Tak, wypiekła się dobrze. Glina ma teraz ciemną czerwonobrazową powłokę i nigdzie nie popękała. Kilka gałązek z tarniny połamało się w topornym uścisku Tammy, ale to bez znaczenia.

– Jest tu gdzieś John? – pytam, przeciągając się. Śpię nago. Kołdra opada, kiedy wyciągam wysoko ramiona. Oczy Tammy zwężają się z obrzydzenia.

Beryl rezygnuje z wysiłku stania bez podpórki i opiera się o framugę drzwi. Maca się dłońmi po ciele, jakby szukała papierosów. Albo piersiówki.

– To nie twój interes, gdzie jest mój mąż – odwarkuje Tammy.

– Gra w piłkę nożną, gdybyś chciała wiedzieć – rzuca matka Johna.

– Wy dwie powinnyście popracować nad solidarnością w działaniu. – Wstaję z łóżka, naga, i idę do łazienki.

– Dziwka – mamrocze Tammy pod nosem. – Jak śmiesz wchodzić do mojej kuchni. Wezwę policję.

– I co powiesz? Oskarżanie ludzi o odprawianie czarów wyszło z mody dawno temu, nawet tutaj. – Otwieram drzwi do łazienki, sięgam po szlafrok i zastanawiam się, czy mogę zostawić Tammy tam, gdzie jest, kiedy będę sikała. Uznaję, że byłaby to przesada. – I już nas nie palą na stosach. – Kiedy się odwracam, widzę, że Beryl weszła do pokoju i opiera się o szafę. Tamta trzecia osoba stoi teraz w drzwiach.

– Cześć, Mary – rzucam. – Co u ciebie?

Mary była naszą gospodynią. Wygląda na to, że teraz pracuje w pubie.

– Cass – odzywa się, bez uśmiechu, a ja przypominam sobie, że to Luna była jej ulubienicą.

Mary wchodzi do pokoju i zamyka drzwi. Ja podchodzę do okna i rozsuwam zasłony. Te trzy kobiety na siłę wdarły się do mojej strefy bezpieczeństwa i czuję się z tym bardziej nieswojo, niż to okazuję.

– To, co robisz, jest po prostu chore. – Tammy jest zła, że przestałyśmy skupiać uwagę na niej. – Co jest z tobą nie tak?

Jak się nad tym zastanowić, to Mary Luny też nie lubiła. Mary tak naprawdę nie lubiła nikogo. Nie podobało nam się, że mamy ją w domu, ale mama pracowała na pełny etat i potrzebowała pomocy.

– Roztrzaskam tę chorą figurkę. – Tammy rusza w stronę kominka, wysoko podnosi glinianą podobiznę.

– Och, na twoim miejscu nie robiłabym tego – ostrzegam, odwracając się od okna.

– Tammy, nie – sapie Beryl. Nawet Mary wygląda na przerażoną.

– Ta figurka to podobizna Johna – mówię. – Zawiera jego esencję. Jeśli ją uszkodzisz, skrzywdzisz go.

– Tammy, odłóż to – prosi Beryl.

– Odłóż figurkę, dziewczyno – jak echo powtarza Mary.

Podchodzę do Tammy i moje spojrzenie przenosi się na genitalia figurki.

– Jak sądzisz? – pytam. – Dobrze utrafiłam?

Tammy wpycha mi figurkę w rękę. Gałązka tarniny wbija mi się w skórę.

– Spakuj swoje rzeczy, bo inaczej wywalę je na ulicę – mówi Tammy. – Kiedy zjedziesz na dół, rachunek będzie już czekał. Daję ci dziesięć minut.

Wymaszerowuje z pokoju, zostawiając Beryl, głupkowato za nią patrzącą. Mary

gromi mnie wzrokiem. Odwdzięczam się tym samym.

– Lepiej się spakuj, dziewczyno. – Mary też się odwraca. Beryl wychodzi za nią, potykając się o próg, kiedy go przekracza.

Biorę prysznic, myję i suszę włosy, maluję się i ubieram. Minęła prawie godzina, ale trzech muszkieterowie jakoś nie wracają. Kiedy jestem gotowa, wyjmuję walizkę z szafy i otwartą kładę na łóżku. Nie mam zamiaru się wyprowadzać, ale wiem, że Tammy stać na spełnienie groźby, że wyrzuci moje rzeczy na ulicę. Chcę ją zbić z tropu, kiedy wróci. Na wszelki wypadek rozkładam na łóżku kilka sztuk ubrań.

Wszystkie trzy znajduję w kuchni. Mary czyści ekspres do kawy, Tammy tnie mięso na steki, Beryl obiera ziemniaki. Przestrzegam się w duchu, że mam nie prowokować Tammy, albo przynajmniej dopilnować, żeby między nami był stół. Jeśli rzuci się na mnie z nożem, będzie po mnie.

Nie zauważają mnie. Przyglądam się obwisłej skórze na ramieniu Tammy. Skóra kołysze się, gdy Tammy mocno wbija nóż w mięso. Słyszę, jak Beryl bez ustanku pociąga nosem, jakby była uzależniona od koki a nie od alkoholu. Tylko w ruchach Mary jest jakaś gracia, jakaś celowość. To na nią należy uważać.

Nie planowałam konfrontacji tak wcześnie. Wiem, że John będzie zły, że nie dałam mu czasu, o który prosił.

– Możesz zatrzymać pub – mówię i patrzę, jak głowy odwracają się w moją stronę, Beryl sekundę później niż pozostałych dwóch. Tammy mocniej zaciska palce na trzonku noża.

Nie ruszam się z miejsca, w którym stoję, szybko oceniam odległość do tylnych drzwi. Mam do nich najbliżej. Jestem tu najbardziej wysportowana. Na nogach mam płaskie buty.

– John wkrótce zamieszka ze mną – ciągnę. – Dopóki nie znajdziemy czegoś innego. Pieniądze nie będą problemem.

– Powiedziałam ci, że masz się wynieść – odzywa się Tammy. – Mam nadzieję, że się spakowałaś.

– Jeśli odejdę, to tylko z nim.

W złości Tammy sięga po gówniarskie wyzwisko.

– Jesteś psychiczna.

– On cię już nie kocha – oznajmiam. – Nie wiem, czy w ogóle kiedykolwiek kochał. Byłaś... przydatna na jakiś czas. Ale to już koniec.

– Kompletnie ci odbiło – rzuca szyderczo Tammy, ale jej ręce wyraźnie się trzęsą. Niepokojące jest, że nadal trzyma w nich nóż.

– Tammy, odłóż to. – Mary podchodzi do Tammy i wyciąga nóż z jej zaciśniętych palców. Mnie od razu oddycha się trochę łatwiej.

– Wynocha – warczy Tammy. – Chcę, żebyś się wyniosła.

– Wynocha – wtóruje jej Beryl.

– Sprawy poszły do przodu – rzucam. – Postaraj się nadażyć, ty stara zapijaczona kurwo.

Beryl rzuca się do mnie, szybciej, niż mogłabym się tego po niej kiedykolwiek spodziewać. Usuwam się w bok, ona odbija się od framugi drzwi i pada na płask.

– John jest mój, ty podła zdziro. Kocham go. – Tammy jest bliska łez. Wie, że przegrywa.

– Nie obchodzi mnie to – odpowiadam. – John to najlepszy fiut, jaki kiedykolwiek mnie rznął.

Beryl na podłodze wydaje dziwne odgłosy. Spoglądam na nią i widzę, że przewracając się, rozcięła sobie wargę.

– Ty i mój syn nigdy nie będziecie razem – dyszy. – Chyba że po moim trupie.

– To akurat żaden problem – odszczekuję się. – Ostatnio nie trzymasz się pewnie na nogach, a ten stary budynek jest zdradziecki. Czy może już o tym zapomniałaś?

Jej oczy otwierają się szeroko. Wygląda na to, że chyba naprawdę zapomniała i dopiero teraz jej się przypomniało.

– Tak nie wolno – rzuca zdesperowana. – Zgłoszę was.

– Och, szczerze wątpię – odpowiadam. – Chodźcie ze mną, wszystkie.

Odwracam się i wychodzę z kuchni. Drzwi do piwnicy nie są zamknięte. Słyszę, że reszta wyszła za mną, więc przesuwam się lekko w bok, na wszelki wypadek, gdyby jednej z nich przyszła chętka mnie pchnąć. Włączam światło i wszystkie u stóp ciemnych schodów widzimy kamienną posadzkę. Z piwnicy bije wilgocią, odorem zatechłego piwa, pleśnią.

– Jak długo twój mąż leżał na dole tych schodów, zanim go znalazłaś, Beryl? – pytam. – Dwa dni? Trzy? Taki oblegany pub i nikt przez całe trzy dni nie schodził do piwnicy?

W rzeczywistości minęło tylko pół doby, zanim Ted Donnelly, ojciec Johna, został znaleziony ze skręconym karkiem i rozbitą głową, ale nie spodziewam się, że Beryl mnie poprawi.

– Czy John kiedykolwiek ci mówił, co się stało tamtej nocy? – zwracam się do Tammy i po jej zmieszanej minie widzę, że nie mówił.

– Beryl – ciągnę. – Mówiłaś komuś o tym?

– To był wypadek – broni się. – Wypadek.

– Takie ponure lato – mamroczę. – Kto by pomyślał, że w jednym mieście może być aż tyle zła.

– Jeśli wiesz, co się wtedy stało, to musiałaś przy tym być – zauważa Tammy. – Cokolwiek się wydarzyło, byłaś w to zamieszana.

– Ale nie byłam zamieszana w to, co spotkało tę trójkę nastolatków, prawda? – Szukam na twarzy Tammy oznak strachu. Jest pobudzona i zła; ale chyba jeszcze nie przestraszona. – Ani razu nie przyszło ci na myśl, że Larry mógł na koniec powiedzieć prawdę? Widziałam go tuż przed śmiercią.

Blefuję. Larry nic mi oczywiście nie powiedział. Nie wiem nic więcej ponad to, do czego doszłam sama przed wielu laty: że John, Tammy i inni mieli jakiś udział w doprowadzeniu do śmierci przynajmniej jednej z ofiar Larry’ego. Strzelam na ślepo, widzę jednak, że trafiłam w czuły punkt. Złość na twarzy Tammy zanika.

– Tak wiele osób mogłoby mieć tak wiele problemów, jeśli powiem to, co wiem o tamtym lecie. – Oglądam się, żeby spojrzeć na stojącą milcząco za nami wysoką kręłą kobietę. – Ty nie, Mary. Na ciebie nic nie mam.

Odpowiada mi spojrzeniem pełnym wściekłości.

– To zabawne, czyż nie? – kontynuuję. – Ludzie myśleli, że zatrzymanie mojego ojca oznacza, że złe czasy się skończyły. Ale tak nie było, nieprawdaż? One się dopiero zaczynały.

– Dobra, a co z Royem Greenwoodem? Z tym, co spotkało jego? – warczy do mnie Tammy. – Ty też masz w szafie kilka trupów.

Ponad ramieniem Tammy przechwytuję spojrzenie Mary i przypomina mi się coś, o czym powinnam była pomyśleć wcześniej. Mary i Tammy są spokrewnione. Mary jest chyba ciotką Tammy. A niech to szlag.

– Zapomniałam o nim – kłamię, wiedząc, że muszę niektóre rzeczy przemyśleć jeszcze raz. Tammy nie odda Johna bez walki i ma broń, której nie uwzględniłam.

Myślę, że jednak będę musiała ją zabić.

Część 2

1969

Cztery tygodnie po zaaresztowaniu Larry'ego Glassbrooka

30

Trucicielka

Trucicielka jest młoda, ale dorastając, zbiera wiedzę.

Trucicielka chodzi po ścieżkach dokoła domu i zapoznaje się z sekretami roślin. Uśmiecha się, widząc jasnozielone kwiatki pochrzynu, bo wie, że kiedyś je wykorzysta. Chętnie zabiera do domu szafirowoniebieskie kiście tojadu, bo lubi czuć przy sobie jego moc. Coraz bardziej jest urzeczona śmiertelnym pięknem wiejskich trucizn.

Wiosną chodzi po lesie, szukając zielonego ciemiernika, jesienią wstaje wcześniej i idzie zbierać grzyby. Muchomor sromotnikowy, muchomor bulwiasty i borowik szatański, znajduje je rosnące w mrocznych miejscach i wita się z nimi jak ze starymi przyjaciółmi.

Trucicielka uczy się zbierać rośliny zgodnie z fazami księżyca. Uczy się szatkować, obierać i mielić, robić nalewki, oleje, maści i syropy. Czyta książki o naturalnym uzdrawianiu i z zachwytem odkrywa, że te same rośliny pojawiają się w księgach leków i trucizn.

Trucicielka obserwuje mądre kobiety i chłonie ich umiejętności. Wcześnie pobiera ważną lekcję: że najistotniejsza jest ilość i że to, co w małej dawce jest korzystne, w dużej zabija szybko i boleśnie. Odkrywa, że niektóre rośliny mogą ratować życie i je odbierać, i że to właśnie te mają największą moc.

31

Florence

Poniedziałek, 4 sierpnia 1969

Tego pierwszego poranka to pielęgniarki sprowadziły mnie z powrotem do pracy.

Stałam w holu wejściowym, przy oknie, i przyglądałam się idącemu ulicą człowiekowi z kołatką. Jego ciężkie buty stukały o płyty chodnikowe, długim kijem uderzał w okna na wyższych piętrach, budząc w ten sposób ludzi idących do pracy na poranną zmianę. Potem mężczyzna zniknął, skręcając za róg, i wtedy pojawiły się pielęgniarki. Schodziły po schodach, mijały mnie i wychodziły na zewnątrz, wszystkie w mundurkach, kilka paliło, większość paplała, niektóre się śmiały, inne utyskiwały.

Nie. Cztery tygodnie to o wiele za krótko. Nie byłam jeszcze gotowa.

Węzyk czepków i wygodnych zdrowotnych butów ruszył ścieżką. Pielęgniarki na przedzie docierały już do ulicy, gdy para ostatnich obejrzała się za siebie. Byłam już prawie na schodach, kiedy usłyszałam, że drzwi się otwierają.

– No dawaj, Flo! Tramwaje nie czekają.

To była drobna, jasnooka kobieta, mniej więcej w moim wieku, czyli miała jakieś dwadzieścia dwa lata. Nie znałam jej, nie rozmawiałam z żadną z nich w ciągu tych kilku godzin, przez które dzieliłam z nimi ich miejsce zamieszkania, ale one wszystkie na mnie czekały. Nie miałam wyboru, musiałam do nich dołączyć. Porwały mnie i poniosły ze sobą, ścieżką, obok rzędu sklepów i po nierównym chodniku z płyt do bardziej ruchliwej głównej ulicy. Dzwonienie z oddali i szum drutów w górze powiedziały nam, że tramwaj już jedzie.

– I jak ci się u nas mieszka? – spytała mnie ta młoda pielęgniarka, kiedy dotarliśmy na przystanek.

– Dobrze. Miło, że pytasz.

Co innego miałam odpowiedzieć? Hostel pielęgniarek z jego beżowymi korytarzami,

hałasującą instalacją wodną i wspólnymi łazienkami był bezosobowy, zimny i emanujący atmosferą osamotnienia, mimo zamieszkujących w nim około trzydziestu młodych kobiet.

– To dla ciebie spora zmiana. I przy okazji, mam na imię Jenny.

– Florence – odpowiedziałam, niepotrzebnie. Wiedziała, kim jestem. Wszystkie wiedziały.

Jenny miała rację. To była dla mnie duża zmiana, potężna. Kiedy przyjechałam do Sabden, nie bardzo było wiadomo, gdzie mogłabym się zakwaterować. W mieście nie było policyjnych hosteli dla kobiet, a wprowadzenie się do męskiego było oczywiście wykluczone. Ostatecznie więc zamieszkałam z rodziną Glassbrookami. Mój powrót stał się przyczyną nowego bólu głowy dla moich przełożonych. Nie mogłam dalej mieszkać z Sally Glassbrook i jej córkami, zważywszy na to, co stało się z Larrym. Ponieważ rozwiązanie trzeba było znaleźć szybko, przełożeni załatwili mi pozwolenie na zajęcie wolnego pokoju w hostelu pielęgniarek.

Do centrum z hostelu było jakieś trzy kilometry. Uznałam, że gdy odzyskam rower, do pracy będę jeździła na nim, bo miałam wrażenie, że każda para oczu osób stojących na przystanku była skierowana w moją stronę. Gapienie się w ziemię byłoby oznaką tchórzostwa, więc zaczęłam patrzeć w górę, ponad głowami ludzi. Tak daleko za miastem zabudowa składała się tu głównie z piętrowych domów, oczernionych sadzą, z drzwiami frontowymi wychodzącymi na ulicę. Nad domami i za nimi widać było zachodnie podnóże Gór Pennińskich, dziki i wietrzny teren otaczający małe przemysłowe miasteczko o nazwie Sabden. To oczywiście tylko moja wyobraźnia, ale odnosiłam wrażenie, że podczas tych tygodni, gdy mnie tu nie było, wzgórza trochę się przybliżyły. To wrażenie klaustrofobii, znalezienia się w pułapce wrzosowisk i czarnych kamiennych fasad budynków miasta, to było coś, czego wcześniej nigdy tu nie doświadczałam.

Tramwaj przyjechał i pielęgniarki pobiegły na górę. Kiedy szłam do miejsca na tyle dolnego pokładu, natykałam się na spojrzenia pasażerów. Od zatrzymania Larry'ego Glassbrooka minęły cztery tygodnie. Przez ten czas nie było mnie tutaj i z pozoru wyglądało, że w Sabden nic się nie zmieniło. Ale w kwestiach naprawdę się liczących zmieniło się wszystko. To miasto urodziło potwora, miało się wstydzić za to przez dekady, i to ja byłam tą, która odpowiadała za ujawnienie tego. Wiedziałam, że mieszkańcy będą mnie nienawidzili bardziej niż nienawidzili Larry'ego. To wszystko zostało mi wytłumaczone przez policjantkę opiekunkę, która odwiedziła mnie w szpitalu i potem jeszcze raz w domu rodziców. Natychmiastowe przeniesienie do innej

jednostki byłoby dla mnie najlepszym, najbezpieczniejszym rozwiązaniem.

Zadzwoił dzwonek; mężczyzna na siedzeniu naprzeciwko mojego wstał i przed wyjściem z tramwaju splunął. Plucie w miejscach publicznych na północy nie było niczym nadzwyczajnym. Ludzie dużo palili. To niekoniecznie było wycelowane we mnie.

Do tramwaju wsiedli nowi pasażerowie. Usłyszałam, że ktoś mamrocze moje imię. Tramwaj ruszył, a ja poczułam pulsowanie w lewej dłoni. Cztery tygodnie po tym, jak Larry ją okaleczył, nadal brałam apteczne środki przeciwbólowe. „Jest coraz lepiej”, zapewniała pielęgniarka zmieniająca mi ostatnio opatrunek, ale obie wiedziałyśmy, że już nigdy nie będzie lepiej. Trzeci palec mojej lewej dłoni, ten, na którym pewnego dnia mógłby się pojawić pierścionek zaręczynowy... tego palca nie było. Sądzę, że można by powiedzieć, że i tak mi się upiekło. Poprzednie ofiary Larry’ego doświadczyły o wiele gorszego losu.

Kiedy tramwaj zbliżał się do centrum, zaczęłam czuć w żołądku nerwowy ucisk. Uzmysłowiłam sobie, że boję się, że on będzie w komisariacie, w celi. Będzie pogwizdywał coś z repertuaru Presleya, jego ulubionego piosenkarza, i flirtował z kobietami z obsługi.

Oczywiście takie myślenie było bzdurne. Larry siedział w więzieniu o zaostrzonym nadzorze w Manchesterze, czekając tam na kolejną rozprawę w sądzie. A jednak był tak integralną częścią tego miasta, że spodziewałam się zobaczyć go na każdym rogu każdej ulicy.

Od przystanku do komisariatu nie było daleko. Wśliznęłam się tylnym wejściem i ruszyłam do damskiej toalety, po drodze mijając dwóch policjantów w mundurach. Na mój widok odwrócili się i szybko czmychnęli.

Byłam głupia, wyobrażając sobie, że cokolwiek się zmieni. Nikt nie chciał mnie w tym komisariacie, nawet jeszcze przed zatrzymaniem Larry’ego. Kobieta policjantka to naruszenie naturalnego porządku rzeczy. Byłam ignorowana, wyszydzana, byłam przedmiotem niekończących się żartów. Wiedziałam, że teraz będzie tylko gorzej.

Ociągałam się z wyjściem z łazienki, wiedząc, że za chwilę spóźnię się na odprawę, na apel rozpoczynający dzień pracy policjantów mundurowych.

Na ten apel zbieraliśmy się zawsze o wyznaczonej godzinie w specjalnej sali i dyżurujący sierżant przeprowadzał inspekcję. Wydawano nam gwizdki, notesy, kajdanki i pałki, rozdzielane były zadania na pierwszą część zmiany. Kiedy szłam na tę odprawę, komisariat wydawał się nienaturalnie cichy. Pchnęłam drzwi i weszłam do środka z oczami spuszczoneymi w dół.

Cisza. Podniosłam wzrok.

– Baczość! – zawołał sierżant dyżurny.

Normalnie w czasie apelu policjanci stoją zwrócenii twarzami do niego. Ci tam, w tej sali – a było ich o wiele więcej niż zwykle, chyba wszyscy przypisani do posterunku – patrzyli w stronę drzwi. Patrzyli na mnie.

I salutowali.

Ludzie z kryminalnego też tam byli, stali razem po jednej stronie. Komisarz Sharples, który mnie nienawidził i który mówił o mnie „podskakująca zarozumiała gówniara”, sierżanci Brown i Green, nazywani Woodsmoke i Gusty. I Tom, przez którego, gdy nasze spojrzenia się spotkały i gdy zasalutował mi żartobliwie koniuszkami palców, na chwilę przestałam widzieć wszystkich innych.

Personel cywilny też był. Dziewczyny z sekretariatu i z centrali telefonicznej. Nawet pracownicy stołówki.

Na przód wysunął się dowódca komisariatu, inspektor Stanley Rushton, wysoki, ciemnowłosa mężczyzna po czterdziestce.

– Witamy z powrotem, Florence – powiedział. Kiedy ujął moją dłoń, rozległy się oklaski, a ja zrobiłam najgorszą rzecz z możliwych w takich okolicznościach. Rozpłakałam się.

– Czy mi się przyśniło, czy Rushton naprawdę mnie uścisnął? – spytałam, stawiając tace na stole w kantine naprzeciwko tacy Toma.

– Zberek dupka. – Tak brzmiał jego komentarz.

Posterunkowy Tom Devine miał na swojej tacy stek, placek cebulowy, frytki, purée z zielonego groszku i sos, obok dodatkowe dwie kromki chleba z masłem i na deser pudding biszkoptowy polany sosem budyniowym. Stał tam też ogromny kubek z herbatą, o której wiedziałam, że jest posłodzona co najmniej dwiema łyżeczkami cukru. Trzema, jeśli Tom miał zły poranek.

W innych okolicznościach obawiałabym się do niego podejść, ale siedział przy stoliku sam, w sporej odległości od kolegów z wydziału kryminalnego. Pomyślałam: Nie, na pewno chce, żebym się do niego dosiadła. Rozpakowałam swoją kanapkę z szynką i zabrałam się do zeskrobywania z niej majonezu.

– To przecież najlepsze w tej kanapce – obruszył się Tom.

– Obrzydlistwo – prychnęłam. – Zresztą to nawet nie jest prawdziwy majonez.

– Majo-co? I czy pieczywo powinno być takiego koloru?

– Jest pełnoziarniste. – Spojrzałam w dół. – Chociaż to chyba zwykły biały chleb z dodanym barwnikiem.

Tom znów zaczął konsumować.

– Podoba ci się moja nowa marynarka?

Ubrania Toma, a miał ich wiele, były dość krzykliwe jak na policjanta: odważne kolory i wzory, duże kołnierzyki przy koszulach i krawaty tak szerokie, że mogły też robić za serwetki.

– Pasuje do twoich oczu – odpowiedziałam.

Te oczy zwęziły się.

– Twoich skacowanych oczu – wyjaśniłam. Marynarka była bordowa.

Uśmiechnął się.

– Dobry pierwszy poranek?

– Posterunkowy Butterworth nie odstępował mnie na krok przez całe cztery godziny – odpowiedziałam. – Szedł po ruchliwszej stronie chodnika i ilekroć ktoś się zbliżał, ustawiał się przede mną. Równie dobrze mogłoby mnie tam nie być. A nawet wręcz przeszkadzałam mu w wykonywaniu pracy, bo głównie skupiał się na opiekowaniu się mną.

Posterunkowy Randall – lub Randy – Butterworth był kilka lat ode mnie starszy. On też zamieszkał w domu Glassbrooków i z tej przyczyny prawdopodobnie znałam go lepiej niż większość ludzi w komisariacie. Poza Tomem.

Ani ja, ani Randy nie wspomnieliśmy słowem Glassbrooków. Ani razu. Przez całe rano.

Tom nabił na widelec trzy frytki.

– Taa, cóż, on też jest zbereźnym dupkiem – rzucił, przeżuując. – A jak tam dom dla upadłych kobiet?

– Pełen radosnych pielęgniarek, które urządzają sobie przyjętka przy cinzano i do późnej nocy puszczają kawałki Buddy Holly’ego.

Uśmiech Toma poszerzył się. Zgromiłam go wzrokiem. Przez kilka sekund milczeliśmy, Tom jadł, ja próbowałam.

A potem:

– Jeszcze nikt nie wymienił przy mnie słowa na „L” – zauważyłam.

Tom rozejrzał się teatralnie dokoła.

– L jak love? To nie fair, Floss. Przecież nie będę wyznawał ci miłości w stołówce pracowniczej.

– L jak Larry – wyjaśniłam z poirytowaniem.

Westchnął i nawet posunął się do tego, że odłożył nóż.

– Co chcesz wiedzieć?

– Wszystko. Co się dzieje?

– Złożyliśmy nasze akta w prokuraturze. Jak ostatnio słyszałem, ponoć nadal zamierza przyznać się do winy, więc możemy się spodziewać bardziej przesłuchania niż rozprawy, prawdopodobnie gdzieś pod koniec tego miesiąca. Nie ma żadnych gwarancji, ale wszystko wskazuje, że odsiadkę będzie odbywał daleko stąd.

– A oni nie chcą jeszcze raz ze mną porozmawiać?

– Jeśli zmieni stanowisko, wszystko jest możliwe. W przeciwnym razie sędzę, że mają więcej niż potrzeba. Ciesz się.

– Czy on to zrobił? – spytałam swoją kanapkę tak cicho, że wątpię, by nawet barwione białe pieczywo mogło usłyszeć.

– Co proszę? – rzucił Tom.

Zaryzykowałam spojrzenie w górę.

– Czy jest winny?

Oczy Toma zrobiły się wielkie jak spodki.

– Jezu, Flo. Skąd to się wzięło?

Nie mogłam znieść jego twardego spojrzenia. Znów spuściłam wzrok.

– Nie wierzę, że to słyszę. – Głos Toma się podniósł. Czułam, że ludzie zaczęli spoglądać w naszą stronę, inne rozmowy w stołówce ucichły. – Czy muszę ci przypominać, co ten sukinsyn ci zrobił?

Złapał mnie za lewy nadgarstek i podniósł moją rękę.

– Znalazłem twój palec w jego... Jezu, Florence.

Usłyszałam zgrzyt odsuwanego krzesła.

Tom puścił moją rękę, ale nachylił się nad stołem.

– Zamierzał pogrzebać cię żywcem. Co do diabła...

– Wszystko w porządku, młodzieży?

Oboje spojrzeliśmy w górę. Przed nami stał sierżant Brown, nazywany przez kolegów Woodsmoke, ale z jakiej przyczyny, tego nie rozumiałam.

Tom wyprostował się i podniósł ręce w kpiącym geście kapitulacji. Twarz miał bardzo czerwoną, w oczach chyba błysk łez. Dotarło do mnie, że sprawa Glassbrooka nie tylko mnie dała się we znaki. Wszyscy się uginali pod jej ciężarem. Niektórzy tylko lepiej to od innych ukrywali.

– W porządku, sierżancie. – Zmusiłam się do uśmiechu. – Tom upiera się, że to Leeds United wygra ligę w kolejnym sezonie, a ja obstawiam Everton. Wiesz, jak jest z

Tomem i z piłką nożną.

Woodsmoke klepnął mnie po ramieniu, kiwnął głową do Toma i odszedł. Po kilku sekundach rozmowy w sali znów zostały wznowione.

– Brakowało nam tu ciebie – rzucił Tom.

– Nam?

Przez ułamek sekundy patrzyliśmy sobie w oczy.

– Woodsmoke czyścił popielniczki – powiedział w końcu Tom. – Wczoraj odniósł do kuchni cztery brudne kubki, mamrocząc, że Florence nie spodobałby się taki bałagan.

– Przecież i tak nie będę u was.

W trakcie sprawy Glassbrooka dołączyli mnie do wydziału śledczego. Teraz to już nie obowiązywało. Z powrotem wróciłam na ulicę.

– Dzwoniłem do ciebie – wyznał Tom.

– Kiedy?

– W zeszły czwartek wieczorem. Zakradłem się do biura Rushtona i znalazłem numer twojego telefonu domowego. Odebrał lokaj. Powiedział, że śpisz i że nie chce cię budzić.

Moja rodzina nie miała lokaja.

– To musiał być tata. Nie powtórzył mi.

– Najwyraźniej nie chce zachęcać dżentelmenów do dzwonienia.

Uniosłam brwi.

– Dżentelmenów?

Pod stołem poczułam, że coś trąciło moją stopę. Tom patrzył mi w oczy, w każdej sekundzie ktoś mógł to zauważyć. Potem odsunął nogę.

– Musisz to sobie odpuścić – rzekł. – Musisz ruszyć do przodu.

– Wiem.

– Spójrz na mnie, Floss. Obiecuj mi. Sprawa Glassbrooków jest zamknięta.

Obiecałam. Jemu obiecałabym wszystko.

32

Sally

To podczas jego trzeciej wizyty zaczęłam się go naprawdę bać – trzeciej wizyty od zabrania Larry’ego, to mam na myśli. Nigdy go nie lubiłam, unikałam, jak tylko mogłam, a po zaareztowaniu Larry’ego już na sam jego widok dostawałam dreszczy odrazy. Ale nie bałam się, aż do tych trzecich odwiedzin.

Wracałam do domu później. Po dyżurze przełożona wezwała mnie do swojego biura i zasugerowała, że powinnam wziąć przedłużony urlop.

– Nie okolicznościowy, oczywiście, że nie, ale coś w tym rodzaju, do czasu, aż wszystko przycichnie – powiedziała.

– To może zająć lata.

Byłam zmęczona, ostatni poród był ciężki, długi poród pośladowy, nie wspominając tego, że ciężarna matka nie chciała mieć ze mną nic wspólnego. Nieprędko przyzwyczaję się do tego wyrazu zawodu, jaki pojawił się na jej twarzy, gdy zobaczyła mnie na swoim progu.

– Gmina nie będzie płaciła mi latami za to, że nic nie robię – ciągnęłam.

Przełożona zrobiła minę, którą moja stara matka nazywała miną ssącego cytrynę.

– Co do pensji, cóż, to kolejna sprawa. Nie sądzę, by w tych okolicznościach obowiązywały zwykłe zasady jej wypłacania. Ale przypuszczam, że masz coś odłożone, prawda?

Co ja miałam na to odpowiedzieć? *Coś odłożone?*

– Wróciła ta młoda policjantka – kontynuowała przełożona. – Rano widziano ją w śródmieściu. Kłopotliwa sytuacja, nie uważasz?

– Czy ty mnie zwalniasz?

Przełożona zmieszała się.

– No nie, to znaczy, nie na tym etapie.

– W takim razie do zobaczenia jutro rano.

Pojechałam do domu, tak szybko, że nawet zapomniałam zamknąć się w aucie od środka – nawyk, którego nabrałam po tym, gdy jakaś kobieta, kiedy stałam na światłach, otworzyła drzwi mojego samochodu i wrzasnęła do mnie: „Twój mąż to pieprzony morderca!”.

Jakbym sama już do tego nie doszła.

Że dzieje się coś złego, zorientowałam się zaraz po otwarciu drzwi kuchni. Widać było, że moje córki, Cassie i Luna, czekały na mój powrót. Był z nimi chłopak Luny, John Donnelly, ale nie wyczułam tłumionego podekscytowania, jakie zwykle wyczuwałam, gdy John odwiedzał dziewczęta. Cała trójka wyglądała na spiętą.

Mary, kobieta, która pomagała mi w pracach domowych, stała przy kuchence. Była już piętnaście minut spóźniona z powrotem do domu. Nasze spojrzenia się skrzyżowały.

– W salonie czeka Greenwood.

– Znowu?

Ramiona Mary podniosły się lekko w górę.

– A co u was? – Pogłaskałam Lunę po głowie, spojrzałam na Cassie. Skrobała coś w zeszyte nutowym. Ta moja Cassie nie była mądra, ale miała talent do muzyki. Luna, moja młodsza córka, była jej idealnym przeciwieństwem. Inteligentna i błyskotliwa, ale bez cienia kreatywności.

John wstał, żeby ustąpić mi miejsca na krześle. Miałam wrażenie, że urósł od ostatniego razu, gdy go widziałam. Szczerze mówiąc, nie był chłopakiem, którego wybrałabym dla Luny. Nawet gdyby jego matką nie była Beryl Donnelly, kobieta, z którą Larry miał romans przed zaarrestowaniem, i tak było w nim coś, co mi nie pasowało. Był przebiegły, miał zwyczaj uśmiechać się tak, jakby coś ukrywał. I był też odrobinę zbyt przystojny – wysoki, z ciemnymi włosami i niemal idealnymi rysami twarzy. Z drugiej strony ze wszystkich znajomych dziewcząt tylko on przy nich został.

– Cześć, John – Udało mi się uśmiechnąć. – Zostaniesz na podwieczorek?

– Dzięki, ale mama na mnie czeka – odpowiedział i spuścił oczy.

Nie mogłam mieć do niego pretensji o to, co zrobiła jego matka, ale mimo wszystko było mi trudno, kiedy do nas przychodził. Jemu pewnie też.

– Dobry miałyście dzień? – spytałam swoje milczące córki.

Luna lekko prychnęła.

– Możemy zmienić szkołę?

John i Cassie spojrzeli na siebie.

– A jaki w tym sens? – odezwała się Cassie. – Myślisz, że nie słyszeli o nas w Burnley? Albo w Nelson?

– Do rozpoczęcia roku zostało jeszcze całe pięć tygodni – przypomniałam. – Do tego czasu wszystko się rozwieje.

Luna wyduła dolną wargę.

– Na początku Snape Street stała grupa chuliganów. Szli za mną.

– Odprowadziłem ją. – John zerknął na mnie nerwowo. – I zaproponowałem, żeby do mnie dzwoniła, gdy będzie chciała wychodzić na miasto.

– A co ze mną? – spytała Cassie. – Kto mnie ochroni przed chuliganami?

John uśmiechnął się do niej.

– Ja – rzekł. – Obie was będę chronił.

– Dobrze, pójdę się teraz przebrać – oznajmiłam, kiedy Mary postawiła przede mną kubek z herbatą. Domyślałam się, że przemyciła do niej cukier, mimo że wiedziała, że nie słodzę.

– Dla Lurcha? – prychnęła Cassie. – Boże, nie ryzykowałabym.

– Dobrze byłoby mieć to już z głowy – odezwała się Mary. – Pospiesz się, chciałabym wrócić kiedyś do domu.

– Możesz iść już teraz. Przepraszam, że cię zatrzymałam.

– Ja mogę zostać z Luną i Cassie – zaproponował John.

– Zaczekam, aż wyjdzie – uparła się Mary.

Zabrałam kubek do salonu. Kiedy tam weszłam, Roy Greenwood wstał. Przewisko, jakie nadały mu dziewczęta, po Lurchu, lokaju z telewizyjnego serialu *Rodzina Adamsów*, było trochę okrutne, ale też całkiem trafne. Mający sporo ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, Roy był chudy i przedwcześnie przygarbiony. Około pięćdziesięcioletni, wyglądał na starszego. Włosy ciemne, zbyt długie i zbyt przylizane brylantyną, na pociągłej końskiej twarzy wielki nochal i szerokie wygięte w dół usta. Brązowe oczy były mętne, martwe. Nigdy nie widziałam, żeby chodził w czymś innym niż czarny garnitur i wykrochmalona biała koszula z czarnym krawatem. Jednak najgorszym elementem jego wyglądu były zęby. Duże i nienaturalnie białe, ewidentnie protezy, przypuszczalnie źle dopasowane, bo gdy mówił, zawsze naciągał na nie wargi i dziwnie się krzywił. Mimo że stał w drugim końcu pokoju, miałam wrażenie, jakby się nade mną nachylał.

– Witam, panie Greenwood – powiedziałam. – Proszę, niech pan nie wstaje.

I jeszcze jedno. Podczas gdy dłonie i paznokcie zawsze miał nieskazitelnie czyste, a ubranie eleganckie i wyprane, to okropnie śmierdział.

Pogroził mi palcem lewej dłoni. W drugiej trzymał wypełniony po brzegi kieliszek sherry, którą nalać musiał sobie sam, bo wiedziałam, że Mary nigdy by mu tego nie

zapropowała.

– No, no, jaki znów pan – obruszył się.

– Roy – poprawiłam się. – Proszę usiądź.

– Pozwól, że najpierw naleję ci czegoś mocniejszego. – Podeszedł do serwantki. – Pewnie jesteś wykończona. Mam nadzieję, że te twoje kobiety szykują ci już gorącą kąpiel. Na co masz ochotę?

– Na nic, dziękuję. Nie piję w domu.

Usłyszałam odgłos stukających o siebie butelek.

– Szukam czegoś słodkiego – wymamrotał. – To tio pepe jest odrobinę zbyt wytrawne dla damskiego podniebienia.

Wiedziałam, że w tej potyczce nie wygram.

– Może być sherry – zgodziłam się. – Ale maleńko. Mogą mnie znowu wezwać.

– Być może będę musiał tupnąć nogą w tej kwestii. Usiądź, moja droga. Przyniosę ci.

Usiadłam w fotelu przy kominku, przy okazji zauważając, że Roy siedział wcześniej na fotelu Larry’ego.

– Jak się czuje twoja matka? – spytałam. – Pewnie się o nią niepokoisz, kiedy wieczorem zostawiasz ją w domu samą?

Podniósł kieliszek z sherry do światła, potem wyciągnął chusteczkę i wytarł nią obrzeże.

– Matka czuje się znośnie, dziękuję.

– A interesy? Jak idą?

Zesztywniał.

– Wszystko w swoim czasie, Sally.

Przyniósł mi sherry, jakimś cudem ocierając palcami o moją dłoń, gdy podawał mi kieliszek, potem wrócił na fotel Larry’ego.

– Za co wypijemy? – Podniósł w górę swój kieliszek.

– Za wyrok „niewinny”.

Zachichotał. Naprawdę zachichotał.

– O tak, to dobre. A może lepiej za jaśniejsze czasy przed nami?

Umoczyłam usta w sherry. Zamiast je pić, wolałabym wylać je sobie na głowę, a kieliszek wbić w oko.

– Tak sobie pomyślałam, że moglibyśmy zjeść razem małą kolacyjkę – zaczął Roy. – Kiedy już twoje dziewczęta się położą. Co ty na to?

– Szybciej umrzesz z głodu, niż się doczekasz, aż te dwie pójdą na górę – odpowiedziałam. – Poza tym ja swój główny posiłek jem w połowie dnia. Takie mamy

przepisy. Pilnują, żeby nie zabrakło nam energii. O czym chciałeś ze mną porozmawiać?

– Jak stoisz z pieniędzmi, Sally?

Roy był współnikiem Larry’ego. Wiadomo było, że wcześniej czy później będziemy musieli porozmawiać o finansach.

– Cóż, mam oczywiście swoją pensję – odpowiedziałam. – Nie jest to wiele, ale i tak więcej niż mają na życie inne rodziny. I mam też czynsz od lokatorów, chociaż... – Nie musiałam kontynuować. Dwóch lokatorów, posterunkowi Florence Lovelady i Randy Butterworth, wyprowadziło się w dniu zatrzymania Larry’ego. Trzeci, Ron Pickles, zrobił to tydzień później.

– Tak, tak sądziłem. – Roy nie wydawał się przejęty moją trudną sytuacją finansową. – Zastanawiałaś się już, jak będziesz spłacała hipotekę, teraz, kiedy nie masz do dyspozycji zarobków Larry’ego?

– Nie mamy hipoteki. Dom jest nasz.

Roy pokręcił głową.

– Obawiałem się tego. Tak wielu mężczyzn ukrywa przed żonami prawdziwy stan rzeczy. To oczywiście zrozumiałe: panie i pieniądze to niezbyt dobrana para. No naturalnie nie gdy chodzi o wydawanie. – Jego wargi rozchyliły się, odsłaniając w całej krasie olbrzymie zęby. – Zabawne, że w tym względzie jakoś nigdy nie potrzebujecie pomocy. Inaczej niż gdy w grę wchodzi zarządzanie. Hm? Jak powiedziałem, to zrozumiałe, ale gdy dojdzie do najgorszego...

– O czym ty mówisz, jak słowo daję? – Nie chciałam mu przerywać, ale przestraszył mnie.

– O tym, Sally, że dom, niestety, należy do mnie.

Sięgnęłam po kieliszek z sherry i wypłam połowę.

– Ale jak to możliwe? – wydusiłam w końcu.

Greenwood zaczął mówić wolno, jak do dziecka.

– Kiedy przyjąłem Larry’ego na czeladnika, kupiłem ten dom dla niego, jego rodziców i rodziny, którą później założył. Larry czynsz spłacał ze swojej wypłaty, ale na akcie własności widnieje moje nazwisko.

Przerwał. Ja czekałam.

– W ostatnich tygodniach trochę się spóźniał z płatnościami – zaczął znów Roy. – Zalega mi około tysiąca funtów. Ale nie musisz się o to martwić. Na razie.

– Ile wynosi czynsz? Ile trzeba płacić tygodniowo?

Podał sumę bliską mojej tygodniowej pensji. Dokończyłam sherry.

– Nie naleję ci następnego kieliszka, Sally, jeśli pozwolisz – rzekł Roy. – Nie pochwalam, kiedy panie się wstawiają.

– W jakim wieku był Larry, kiedy się na to zgodził?

Duże ciemne brwi lekko się ze sobą zeszyły.

– Był wystarczająco dorosły. W przypadku rozpadu naszej współpracy, dom miał natychmiast w całości przejść na mnie.

– A co z pieniędzmi, które już za niego zapłacił? Byliście wspólnikami przez dwadzieścia lat.

Uśmiech powrócił. Oczy pozostały zimne.

– Zawsze byłem na tyle uprzejmy, by go nazywać wspólnikiem. I nawet zakładałem, że gdybym pierwszy przeszedł na emeryturę, mógłbym sprezentować mu firmę. Wiesz, że od początku bardzo lubiłem ciebie i dziewczęta. Ale, no wiesz, tak naprawdę Larry był jedynie moim pracownikiem.

Serce waliło mi jak młotem.

– Muszę zobaczyć tę umowę – oznajmiłam. – Chcę, żeby obejrzał ją jakiś prawnik.

Roy, udając urażonego, zacisnął usta.

– Nie ufasz mi?

– Oczywiście, że ufam – odparłam. – Ale mam córki, o których muszę myśleć.

– W zasadzie to byłoby nawet dobrze, gdybyś udała się do prawnika. Powinnaś zacząć się już zajmować sprawą rozwodu.

– Ale ja się z Larrym nie rozwodzę.

Usta Roya drgnęły i skurczyły się, jakby ssał niewidzialną słomkę.

– Moja droga, musisz. Jeśli ty i dziewczęta nie odetniecie się do końca, będziecie splamione. Czeka cię walka z zrzuceniem piętna, ale z czasem i z nowym szanowanym partnerem ludzie wybaczą. Nawet jeśli nie zapomną.

Na zewnątrz w korytarzu rozległ się dzwonek telefonu. Roy podniósł rękę.

– Niech dzwoni – rzucił. – Albo odbierze któraś z twoich córek. Za bardzo je we wszystkim wyręczasz.

Dzwonienie ustało, usłyszałam głos Mary.

Roy wstał.

– Masz po naszej rozmowie wiele do przemyślenia – oznajmił. – Zostawię cię teraz.

Drzwi się otworzyły i do pokoju zajrzała Mary.

– To z przychodni – poinformowała. – Potrzebują cię na komisariacie.

– Przekaż, że pani Glassbrook jest zmęczona i nigdzie już dzisiaj nie wyjdzie. – Roy stanął przede mną.

Mary weszła do pokoju.

– Pół godziny temu na posterunek przyszła młoda kobieta. Będzie rodziła. Karetka nie zdąży przyjechać, a wszystkie inne położne są zajęte. Zostałaś tylko ty. Odprowadzę pana, panie Glassbrook, a Sally w tym czasie się przygotowuje.

Roy odwrócił się do niej plecami i położył mi obie ręce na ramionach.

– Niczym się nie przejmuj, Sally – rzekł. – Zaopiekuję się tobą i dziewczynkami. – Obejrzał się na Mary. – I jeśli weźmiesz sobie do serca moje rady, tego rodzaju rzeczy nie będą w przyszłości potrzebne.

– Twoja walizka jest gotowa – popędzała mnie Mary. – Zostanę z dziewczynkami, dopóki nie wrócisz.

Wycofała się z pokoju i drzwi się zamknęły. Dałam do nich krok i wtedy Roy złapał mnie za rękę, wbijając mi w skórę szorstkie kościste palce.

– Lubisz złych ludzi, Sally? – spytał, wwiercając się zimnymi oczami w moje. – To tacy cię podniecają, tak?

33

Florence

Pracę skończyłam krótko przed szóstą. Długo po zakończeniu mojej zmiany, ale gdy w recepcji zaczęli pojawiać się dziennikarze – usłyszeli o moim powrocie – inspektor zapytał, jak się zapatruję na odrobinę nadgodzin. Miał raport do napisania, o możliwych związkach nocnej przemocy w centrum miasta z przedłużonymi godzinami działania pubów, a żadnemu z pozostałych matołów – słowa inspektora, nie moje – nie mógł zaufać kwestii ortografii.

Włożyłam zapisane kartki do teczki i zamknęłam ją w szufladzie biurka – wzruszyło mnie, kiedy zobaczyłam, że moje zapożyczone biurko nadal stoi na swoim miejscu w wydziale śledczym – kiedy posterunkowy Butterworth, który też pracował po godzinach, wetknął głowę przez drzwi i krzyknął do mnie:

– Potrzebują cię na dole, Florence! Już od jakichś dziesięciu minut.

Zbiegłam za Randym do recepcji, gdzie dyżurujący sierżant pochylał się na postacią drobnej kobiety. Kobieta zginała się wpół i wyła jak wściekła krowa. Jej rozpuszczone jasne włosy sięgały prawie do podłogi.

– Flossie, zajmij się tym. – Sierżant wyprostował się, a ja zobaczyłam, że młoda kobieta jest w zaawansowanej ciąży. Już przestała zawodzić, ale za to teraz ciężko dyszała. Twarz miała okrągłą z pyzatymi policzkami i małymi skośnymi oczami.

Podbiegłam do niej i razem z Randym pomogliśmy jej dojść do krzesła. Usiadła, jednak już po sekundzie poderwała się gwałtownie, jakby się na coś nadziała. Znów zaczęła krzyczeć – piskliwy lament, narastający wraz z narastaniem bólu.

– Ona potrzebuje karetki – powiedziałam, z szoku oznajmiając oczywistość.

– Nie ma żadnej wolnej – poinformował Randy. – Sierżant próbuje załatwić coś z Blackburn.

Do lecznicy Blackburn, naszego najbliższego szpitala po Burnley General, było dość daleko.

– W takim razie musimy ściągnąć położną.

Randy był już teraz czerwony na twarzy jak burak.

– Taa, też już na to wpadliśmy, Florence, ale podobno wszystkie są dzisiaj zajęte. Bóg jeden wie, co się działo dziewięć miesięcy temu w tej okolicy.

Ciężarna kobieta osunęła się na podłogę i klęczała na niej, podparta rękoma. W tym momencie otworzyły się drzwi wejściowe. Spojrzeliśmy w ich stronę, ale to nie byli sanitariusze ani nawet położna, tylko dwóch starszych mężczyzn, którzy przyglądali się nam z przerażeniem.

– Nie! – wrzasnęła kobieta na podłodze. – Nie możecie mnie zabrać. Nie słuchajcie ich. Oni zabijają mnie i dziecko.

Za ladą recepcji spadło coś ciężkiego i się rozbiło. Mężczyźni, którzy weszli, zaczęli się wycofywać do wyjścia.

– Wyprowadźcie ją stąd! – zawołał sierżant od swojego stanowiska przy telefonie. – Wolna jest pierwsza cela.

Randy i ja chwyciliśmy krzyczącą kobietę w pasie i podnieśliśmy. Krótkim korytarzem zaprowadziliśmy ją do celi. Kobieta opadła na wąską prycę i z przerażeniem popatrzyła na otwarte drzwi.

– Oni mogą tu wejść? Zamknijcie drzwi na klucz. Zamknijcie drzwi.

– Kochanie, tamtych dwóch przyszło zgłosić kradzież warzyw z działki – starał się uspokoić dziewczynę Randy. – Naprawdę nie sądzę, żeby chodziło im o ciebie.

Kobieta popatrzyła na niego dużymi wystraszonymi oczami.

– Nie byli z Black Moss Manor?

– Nie – zapewnił stanowczo Randy. – Nikt z Black Moss Manor tu dzisiaj nie wejdzie. – Dał mi znak, żebym podeszła do drzwi. – Wiesz coś o tym, żeby kobiety z mongolizmem mogły zachodzić w ciążę? – spytał szeptem.

Ja też zauważyłam, że kobieta ma zespół, który właśnie zaczynał być rozpoznawany jako zespół Downa. Za nami ciężarna znów zaczęła jęczeć.

– Mam przynieść ręczniki? – spytał mnie Randy. – I gorącą wodę?

Wybałuszyłam na niego oczy.

– A po co?

– Tak się robi, nie? Kiedy kobieta rodzi. Przynosi się ręczniki i gorącą wodę. Widziałem w telewizji.

– A wiesz, co robić z jednym i z drugim?

Pokręcił głową.

Wróciłam do celi i uklękłam przed kobietą. Była bardzo młoda.

– Jak się nazywasz, kochanie? – spytałam.

– Marigold McGowan – odpowiedział Randy od drzwi.

Zerknęłam na lewą dłoń Marigold. Nie dostrzegłam obrączki.

– Marigold – zaczęłam. – Kto cię tu przyprowadził? Musimy się skontaktować z twoją rodziną. Albo ze znajomymi. Do kogo możemy się zgłosić?

– Nie. Nie mówcie nikomu. Proszę, nie każcie mi wracać. Oni przez cały czas trzymają mnie zamkniętą w pokoju. Chciałam wrócić do domu, ale nie chcieli mnie wypuścić.

– Kto nie chciał, Marigold? Kto cię nie wypuszczał?

– Zrobią mi krzywdę. Zabili moją koleżankę i zabiją mnie.

Odwróciłam się i spojrzałam na Randy'ego. Wzruszył ramionami.

– Jaką koleżankę, Marigold? – spytałam. – Kto zabił twoją koleżankę?

Dziewczyna dyszała.

– Moją przyjaciółkę, Wendy. Ludzie z Black Moss Manor. Zabili Wendy i teraz zabiją mnie.

– Nikt cię nie zabije, kochanie – rzucił Randy cicho.

– I moje dziecko – załkała Marigold. – Zabiją moje dziecko.

– Nikt nie skrzywdzi twojego dziecka, Marigold. Ciebie też nie. A twoja matka? Gdzie ona jest? Na pewno się niepokoi, co się z tobą dzieje.

– Nie. Moja matka mnie nie chce. Bo nie jestem taka jak inni.

Do celi przyszedł sierżant.

– Położna już parkuje – powiadomił. – Randy, idź ją przyprowadź. A potem wstaw wszystkie dostępne czajniki i zagotuj wodę. I znajdź jakieś ręczniki.

Randy'emu nie trzeba było powtarzać.

– Sierżancie, a co ja mam robić? – spytałam, modląc się w duchu, żeby kazał mi iść zająć się recepcją.

– Pomóż mi ją rozebrać – odezwał się nowy głos. – Sierżancie, przyniesiecie nam więcej prześcieradeł i koców.

Sally Glassbrook, żona Larry'ego, stała w wejściu do celi, w swoim jasnoniebieskim mundurku pielęgniarki. Długie jasnoblonde włosy miała splecione w warkocz. Kiedy jej spojrzenie napotkało moje, przysięgam, że ogarnęło mnie śmiertelne przerażenie. Lubiałam Sally, kiedy mieszkałam u Glassbrooków. Była dla mnie miła – ciężko pracująca, inteligentna kobieta, oddana rodzinie – ale gdy jej srebrzystoszare oczy pociemniały w słabym oświetleniu celi, przypomniały mi się plotki o tym, że Sally Glassbrook to wiedźma o potężnej mocy. A wzięwszy pod uwagę fakt, że to ja

doprowadziłam do zaareztowania jej męża, była też wiedźmą mającą wszelkie prawo mnie nienawidzić.

Nie wierzyłam w czary – czary to niedorzeczność – a jednak ta kobieta potrafiła przerazić mnie samym swoim spojrzeniem.

Weszła, zajęła miejsce sierżanta u boku Marigold i zaczęła zasypywać ją pytaniami: o skurcze, ich częstotliwość, o to, czy odeszły wody. Marigold odpowiadała między jękami, jednak nie udało jej się przekazać wiele więcej ponad to, że to boli, bardzo boli i czy za chwilę umrze?

– Sierżancie? – rzuciłam w trakcie krótkiego momentu ciszy. Nie mogłam z Sally Glassbrook przebywać w jednym pomieszczeniu. Nawet gdybym nie trzęsła się jak osika, to miałam wyraźny zakaz zbliżania się do tej rodziny.

Sierżant popatrzył ode mnie do Sally i pokręcił głową.

– Kochana, nie wiem, czy mamy w tej sytuacji jakiś wybór.

– Nie, nie macie – warknęła Sally. – Florence, w mojej torbie jest bawełniany szlafrok. Podaj mi go. Czy ktoś już niesie gorącą wodę?

– Już idę – wymamrotał sierżant. – Przyniosę też te prześcieradła.

Zniknęła, zostawiając mnie z Sally samą. Ale ja nawet wtedy nie byłam w stanie ruszyć się z miejsca.

– Szlafrok! – przypomniała Sally, prowadząc Marigold na pryczę. – Muszę zbadać matkę.

Znalazłam szlafrok i nie rozmawiając ze sobą – nie wiem zresztą, czy byśmy się słyszały – rozebrałyśmy Marigold. Nie trwało to długo. Biedna dziewczyna miała na sobie jedynie cienką bawełnianą sukienkę, równie cienki sweterek, biustonosz, halkę i majtki. Była maleńka. Na stojąco miała pewnie nie więcej niż metr pięćdziesiąt wzrostu.

– Ręczniki – zaanonsował od drzwi Randy. – Wszystkie, jakie mogłem znaleźć. Używamy ich tylko do toalet, więc są małe.

Marigold leżała już teraz płasko na plecach z kolanami w górze, a Sally ją badała.

– Sprawdź, co z gorącą wodą – sapnął Randy i uciekł.

– O cholera! – Przybył sierżant, obładowany prześcieradłami. On też pobladł i odwrócił się, ale był dzielniejszy od Randy'ego i został w celi, przy drzwiach. – Mamy czas na czekanie na przyjazd karetki? – zapytał. – Albo może odwieziemy was do Burnley?

– Nie wiem, czy mamy czas nawet na czekanie na gorącą wodę – odparła Sally. – Idź i ich pogoń, dobrze?

Sierżant czmychnął, zostawiając prześcieradła, i nasza trójka znów została sama.

Sally włożyła biały kombinezon i czepek. Ja stałam kilka kroków od łóżka, bezradna i wystraszona.

– Co mam robić? – spytałam.

– Ja się zajmę tym końcem – odparła Sally. – Ty usiądź za nią na łóżku, pozwól jej się na sobie oprzeć i podawaj jej wodę do picia, jeśli będzie tego potrzebowała.

Zrobiłam tak, jak mi kazano. Czas mijał. Każda minuta zdawała się powiększać agonię Marigold, a w momentach, gdy ból odpuszczał, jego miejsce zajmowały katusze psychiczne. Marigold płakała i mówiła o tym, jak bardzo nienawidzi Black Moss Manor i że nigdy tam nie wróci. A potem powracały skurcze i dziewczyna znowu zaczynała krzyczeć z bólu. Już samo słuchanie tego było wyczerpujące.

Odkąd wstąpiłam w szeregi policji, nie mogłam narzekać na brak emocjonalnych sytuacji, ale to było coś zupełnie innego. Prymitywne, nieprzewidywalne i jednocześnie przerażające, bo przecież tak absolutnie naturalne. Natomiast Sally była całkowicie zrelaksowana i skupiona, zupełnie jakby nie odbierała porodu, a tylko polerowała rodzinne srebro. Zachowywała się jak wyprany z emocji robot i tylko raz się zdenerwowała. Kiedy skurcze stały się silniejsze niż wcześniejsze i twarz Marigold wykrzywiła się grymasem ogromnego bólu.

– Nie chcę dziecka! – krzyknęła do Sally. – Nie zmusisz mnie, dziwko. Odejdź ode mnie.

– Nazywaj mnie, jak chcesz, kochanie – odcięła się wtedy Sally. – Ale nigdzie stąd nie pójde i ty też, dopóki to dziecko się nie urodzi.

Marigold odrzuciła głowę w tył, z wściekłości i z bólu, i wydarła się do sufitu. Ja skupiałam się na przytrzymywaniu jej na łóżku, więc nie widziałam, co się stało potem. Usłyszałam tylko okrzyk niepokoju Sally, kiedy krzesło w odległym rogu celi, na którym zostawiła swoją torbę, przewróciło się, a rzeczy z torby rozsypały po podłodze.

Przez sekundę lub dłużej cała nasza trójka, zaszokowana, milczała.

– Może noga się złamała – wymamrotałam, mówiąc o krześle. – Tutaj wszystkie meble są strasznie stare.

– Przepraszam – wybełkotała Marigold. – Jestem niegrzeczną dziewczynką.

Potem została nam dostarczona gorąca woda i herbata, której żadna z nas nie miała czasu pić. Ja uspokajałam Marigold, łagodnym głosem zapewniając, że radzi sobie świetnie i że już niedługo będzie po wszystkim. Siedziałam za nią i ją podtrzymywałam, aż mnie plecy rozboleły, i podawałam instrumenty Sally, kiedy sama nie mogła po nie sięgnąć. Przystawiałam do ust Marigold zielonkawą płyn i namawiałam, żeby piła.

– Co to jest? – spytałam, przypominając sobie spiżarnię Sally wypełnioną butelkami i

słoikami z korkowymi pokrywkami i błyszczącą zawartością.

– Napar z rumianku i kocimiętki – odpowiedziała. – Ułatwia poród.

Znów minął jakiś czas. Dziwiło mnie to. Nie miałam pojęcia, że dzieci rodzą się tak długo.

– Pierwszy poród – wyjaśniła Sally, kiedy podzieliłam się z nią tą myślą. – Nigdy nie jest łatwo.

W końcu Sally pomogła Marigold usiąść i powiedziała jej, że musi wypchnąć dziecko. Okropne widoki stały się jeszcze okropniejsze. Marigold darła się, a Sally kazała jej przeć, przestawać, oddychać. Mnie po twarzy płynęły łzy, ale nie mogłam ich wytrzeć, bo nie mogłam puścić Marigold. Przysięgłam sobie, że nigdy nie będę miała dzieci. Nigdy. To było straszne.

– I jeszcze raz – ponaglała Sally. – Przyj, Marigold.

„Przyj”. To było jedyne słowo, które wypowiadałyśmy, kiedy Sally i ja popędzałyśmy, zachęcałyśmy, groziłyśmy, a biedna Marigold starała się podporządkować. Na koniec wszystko potoczyło się bardzo szybko. Usłyszałam chlupnięcie, takie jak gdy na ziemię spada krowie łajno, i potem Sally trzymała w rękach oblepione krwią małe stworzenie. Podała je Marigold, ja patrzyłam z zachwytem. Teraz, gdy dziecko znalazło się w objęciach matki, widziałam, że to mały człowiek. Miał wszystko, co mają prawdziwi ludzie, nawet aż po miniaturowe paluszki u rąk i nóg. Był tylko chudziutki i czerwony, z głową pokrytą ciemnym puszkim. Z brzuszka zwisał gruby szary sznur, pulsujący, jakby żył własnym życiem. Potem Sally go zacisnęła i odcięła, i wtedy dziecko urodziło się naprawdę.

– Nie umarłam. – Zalana łzami wycieńczenia Marigold odwróciła do mnie głowę.

– Nie, nie umarłaś – odpowiedziałam i nie mogąc się powstrzymać, uśmiechnęłam się do niej. Miała taką słodką twarz.

– Florence, weź dziecko – poleciła Sally. – Znajdź coś, żeby było mu ciepło i sprawdzaj, czy oddycha. Zaraz do ciebie podejde.

Wstałam na chwiejne nogi, zobaczyłam plamę krwi na podłodze i ostrożnie zabrałam dziecko. Przerazona, że mogłabym upuścić tę małą śliską odrobinę, trzymałam ją blisko siebie i przesłałam z nią do sterty ręczników.

On. Dziecko było chłopcem.

Teraz już nie płakało, tylko cicho posapywało, oczka miało zaciśnięte. Wpatrywałam się w brzydką pomarszczoną twarzyczkę i nie posiadałam się ze zdumienia jaki to cud. Przyjrzałam się maleńkiemu idealnemu noskowi, uszom, stopkom i paluszkom.

Och.

Spojrzałam ponownie, sprawdziłam u drugiej rączki, potem owinęłam malca ręcznikiem. Wróciłam z dzieckiem do Sally i przykucnęłam przy niej. Uniosła brwi, kiedy przy prawej dłoni zobaczyła mały, dodatkowy palec, połowę mniejszy od najmniejszego i z niego wyrastający.

– Polidaktylia – szepnęła Sally. – Nic niespotykanego, zwłaszcza w Lancashire. I nie ma się czym przejmować. Kiedy będzie trochę starszy, zajmie się tym chirurg.

Dziecko urodziło się bezpiecznie, ale nasza praca tej nocy miała jeszcze potrwać, bo po urodzeniu łożyska Marigold straciła wiele krwi i trzeba ją było zaszyć. Sierżant znalazł dla nas mocny karton, który wyłożyliśmy papierem toaletowym i ręcznikami. Po wytarciu dziecka do czysta, ułożyliśmy je w tym prowizorycznym łóżeczku. Randy zmył krew i jej metaliczny odór zastąpił zapach sztucznych cytryn. Wraz z uchodzącą ze mnie energią uchodził też ze mnie strach przed Sally. To oczywiste, że nie była wiedźmą. Czarna magia nie istnieje. Sally to tylko zręczna położna znająca się na ziołolecznictwie.

Marigold, kiedy ją umyliśmy i zmieniliśmy jej pościel, wyczerpana, położyła się. Podparliśmy ją poduszkami i kiedy dziecko zaczęło popłakiwać, Sally pokazała jej, jak ma je nakarmić.

– Marigold, mogłabyś powiedzieć nam, co się dzisiaj wydarzyło? Wcześniej, zanim przyszedł na posterunek? – spytałam, ignorując karcące spojrzenie Sally. Moja fucha w roli położnej dobiegła końca. Znowu byłam policjantką.

Młoda kobieta popatrzyła na mnie. Tym razem jednak odniosłam wrażenie, że w głębi tych pięknych błękitnych oczu dostrzegam przebiegłość.

– Marigold, powiedziałaś, że myślisz, że umrzesz. Dlaczego tak mówiłaś?

Dziewczyna zamrugła i spuściła wzrok.

– Bardzo bolało.

– A kto to jest Wendy? – pytałam dalej.

Marigold ciężko westchnęła i zamknęła oczy. Sally przyłożyła palec do ust i ostrożnie zabrała dziecko od matki.

Przyszedł Randy, który przyniósł świeżą herbatę i smażone ryby z frytkami dla wszystkich. Marigold była senna, ale Sally i ja umierałyśmy z głodu. Usiadłyśmy dwa kroki od drzemiącej dziewczyny i zabrałyśmy się łączywie do jedzenia.

– Jak się trzymacie, ty i córki? – spytałam, kiedy zaspokoiliśmy pierwszy i największy głód.

Twarz Sally ściągnęła się.

– Nie jesteśmy przyjaciółkami, Florence – rzuciła. – Nie udawaj, że cię obchodzimy.

Wyglądało na to, że nasze krótkie braterstwo dobiegło końca.

– Co wiesz o Black Moss Manor? – zmieniałam temat.

– Mają tam porodówkę. – Sally przynajmniej była skłonna odpowiadać na pytania niezwiązane z jej rodziną. – Małą, ale sprawną. Uczestniczyłam tam w kilku porodach.

– Zmarło im tam ostatnio jakieś dziecko?

Zastanowiła się.

– Nie, ale mogę to jeszcze jutro sprawdzić. Śmierć przy porodzie musi być zgłaszana.

– W Black Moss Manor rezydują głównie matki niezamężne? – pytałam dalej, zniżając jednak głos. Nie byłam pewna, czy Marigold naprawdę śpi.

– Czasami te starsze – odparła Sally. – Z biednych rodzin, które nie mogą sobie pozwolić na wykarmienie kolejnej osoby.

– A matki w stanie Marigold?

– Nigdy nie spotkałam się z ciążą kobiety z syndromem Downa. Takie mają chyba problemy z płodnością. Poza tym większość z nich przebywa w instytucjach, gdzie osoby różnej płci mieszkają oddzielnie.

– Czy jej dziecko będzie...?

– Czy odziedziczy jej chorobę? Szczerze powiem, że nie wiem.

Spojrzałyśmy obie na maleńkiego człowieczka w kartonie.

– Trudno ocenić – rzuciła Sally. – Jak dla mnie twarz wygląda normalnie, ale dzieci zwykle są nieco zniekształcone przez poród. Będzie wiadomo, gdy trochę podrośnie.

Usłyszałyśmy kroki w korytarzu na zewnątrz i potem w drzwiach stanęła inna położna, jej rozbawione spojrzenie objęło celę, drzemiącą matkę, noworodka w kartonowym pudle.

– No, no, pierwszy raz coś takiego widzę – rzuciła, zdejmując płaszcz. – Burnley będzie mogło przysłać karetkę za jakąś godzinę. Zostanę z nią do tego czasu. Przełożona jest zdania, że nie powinnaś tu zostawać, Sally, skoro...

Nie dokończyła. Nie musiała.

34

Sally

Musiało się roznieść, że jestem w komisariacie. Albo może to tylko pech, że kiedy wychodziłam, krawężniki wracały akurat na przerwę. Tak czy inaczej, gdy tylnym korytarzem szłam do wyjścia, wzrokiem odprowadzali mnie faceci w mundurach. Wydało mi się, że usłyszałam „głupia dziwka”. Kiedy skręcałam za róg, drogę zastąpił mi potężny koleś w mundurze sierżanta.

– Lepiej uważaj na swoje dziewczyny, Sally – rzucił do mnie szyderczo. – Niektórzy w mieście myślą, że są teraz łatwym łupem.

Obrzuciłam go wściekłym spojrzeniem.

– Proszę mnie przepuścić – warknęłam.

Odsunął się, ale dopiero po sekundzie.

– Na siebie też uważaj – wymamrotał, gdy go mijałam.

Ktoś przytrzymał dla mnie otwarte drzwi. Wdzięczna za tę małą uprzejmość, pospieszyłam ku nim. Zamknęły mi się z trzaskiem na twarzy.

Wyszłam na parking i przez kilka minut siedziałam w samochodzie. Rozpaczliwie chciałam stamtąd odjechać, ale byłam zbyt roztrzęsiona, żeby prowadzić. To był posterunek policji. Cholerny posterunek. Jeśli nie byłam bezpieczna tutaj...

Jak on mógł? Jak mógł nam to zrobić? Swojej żonie. Swoim dzieciom.

W wieczór zatrzymania Larry’ego byłam przekonana, że to jakaś straszliwa pomyłka. Kiedy się dowiedziałam, że się przyznał, nie uwierzyłam. I nie chciałam uwierzyć do czasu, aż usiadłam przed nim w sali odwiedzin w więzieniu i usłyszałam to z jego własnych ust.

– Zrobiłem to, kochanie – powiedział. – Musisz to zaakceptować. Powiedz dziewczynkom, że je kocham.

Akceptacja zajęła mi cały pieprzony miesiąc, wszystko, co wiedziałam o człowieku, za którego wyszłam, stawiając na głowie, i już prawie byłam pogodzona z prawdą.

Czego się nie spodziewałam, to to, że miasto odwróci się ode mnie i od dziewcząt.

Drzwi znowu się otworzyły, zaczęłam więc szukać kluczyków, ale to byli tylko Florence i Randy Butterworth. Nie widząc mnie, podeszli do radiowozu i wsiedli, Randy za kierownicę.

Byłam niesprawiedliwa dla Florence. Poród to przerażające przeżycie, jeśli się nie jest przyzwyczajonym, ale ona dała radę. Nie można jej winić za to, co zrobił Larry. Tak bardzo ją skrzywdził. Jej ręka krwawiła, kiedy skończyła doglądać Marigold. Powinnam się do niej wybrać. Upewnić się, czy nic jej nie jest. Przeprzić.

Uruchomiłam silnik i wyjechałam na ulicę, myśląc, choć raz, nie o sobie i o swoich problemach, ale o Florence.

Kiedy pojawiła się w lutym, żeby u nas zamieszkać, wystarczyło mi jedno spojrzenie na tę skępowaną, nerwową dziewczynę, żeby dać jej trzy miesiące. Nawet przez chwilę nie wyobrażałam sobie, że poradzi sobie jako policjantka w naszym trudnym północnym mieście, z byciem obrzygiwaną, szturchaną przez pijaków w pubach, z oglądaniem zgwałconych i bitych przez rodziny dzieci. Oczywiście w lutym nikt nie mógł wiedzieć, co naprawdę spotka posterunkową Lovelady. A jednak ona przetrwała. I wróciła do nas.

Ruch był niewielki, więc dojazd do hostelu pielęgniarek nie zajął mi dużo czasu. Radiowóz Randy'ego odjechał, na parkingu stał tylko jeszcze jeden samochód. Ford cortina, złoty metalik z czarnym rozkładanym dachem. Na przednich siedzeniach siedziały dwie osoby, dostrzegłam rude włosy Florence. Wrzuciłam wsteczny bieg, ale potem coś kazało mi się zatrzymać, uzmysłowiłam sobie, czyje to auto. Młody śledczy, który podobał się moim córkom, mężczyzna, który był w naszym domu w noc zatrzymania Larry'ego, siedział z Florence w samochodzie na zaciemnionym parkingu. Zobaczyłam, że się do niej nachyla. Zobaczyłam, że się całują. Przypomniało mi się, że ten młody policjant jest żonaty i moje serce zamknęło się na Florence Lovelady.

Wróciłam do miasta, trzymając się głównej drogi, aż dotarłam do Czarnego Psa. Ruch był niewielki, więc zjechałam na pobocze i siedziałam, i patrzyłam na dużą fantazyjną czarną fasadę. Gdyby nie kołyszący się znak, pub wyglądałby jak zamek z ponurej baśni. Zobaczyłam, że otwierają się drzwi na zapleczu i potem John Donnelly, którego ojciec był karczmarzem, wyniósł na dwór pustą skrzynkę. Postawił ją na ziemi, przeciągnął się, żeby wyprostować plecy, i wrócił do środka.

Nigdy nie lubiłam Czarnego Psa, choć od dawna było to miejsce, do którego Larry chodził pić beze mnie. Długo potrwało, zanim się zorientowałam, że wabikiem nie były ani piwo, ani towarzystwo kumpli, tylko tleniona blondynka, właścicielka pubu z

upodobaniami do dżinu i mężów innych kobiet. Nie mogłam sobie wyobrazić dwóch bardziej się od siebie różniących kobiet niż Beryl i Florence Lovelady, a jednak obie były wyciosane z jednego kawałka drewna.

Uruchamiałam silnik, kiedy nagle drzwi na tyłach znów się otworzyły i znowu pojawił się w nich John. Ale tym razem nie sam. Dziewczyna z nim była szczupła, z długimi jasnymi włosami.

– Cassie! – Wskoczyłam z auta w mgnieniu oka. – Co ty tu robisz?

Oboje, zaskoczeni, drgnęli.

– Och, cześć, mamó – rzuciła Cassie. – Dobrze... będziesz mnie mogła podwieźć. Mary ci powiedziała, że tu jestem?

– Dlaczego wyszłaś z domu? Kto został z Luną?

– Mary. Czeka na nas.

– Cassie miała lekcję pianina – wyjaśnił John. – Miałem ją odprowadzić, ale najpierw musiałem zrobić coś dla mamy.

Zapisując sobie w pamięci, że muszę odwołać zajęcia gry na pianinie dla Cassie – nie stać mnie było na nie teraz – podziękowałam Johnowi i pożegnałam się z nim. Kiedy odjeżdżałyśmy spod pubu, w lusterku wstecznym widziałam, że odprowadza nas wzrokiem.

35

Florence

Zaczekałam, aż radiowóz Randy’ego zniknie z widoku i dopiero wtedy przeszłam przez parking i wsiałam do samochodu Toma.

– Nie powinienes tu przyjezdzać – powiedziałam.

– A ty nie powinnaś spędzać wieczoru z Sally Glassbrook. – Nachylił się, żeby mnie pocałować. Jego oddech pachniał dymem papierosowym.

– Wyjątkowe okoliczności – odparłam, kiedy się odsunął. Kiedy opowiadałam mu o Marigold i dziecku, Tom palił, gasząc jednego papierosa i natychmiast zapalając następnego.

– Poród – kończyłam. – Boże, to było takie... – Brakowało mi słów na opisanie tego, co przeżyłam.

– Nie wiedziałem. Szef mówił coś o jakimś projekcie oczyszczania niektórych burdeli w mieście. Zasugerowałem, żeby cię w to włączył. Jesteś zainteresowana?

Byłam, oczywiście, i byłam wdzięczna, że o mnie pomyślał, tylko że...

– Co wiesz o Black Moss Manor? – spytałam.

Zrobił minę sugerującą, że niewiele.

– Fundusz dobroczynny. Od czasu do czasu urządzone są zbiórki. Dom przyjmuje dzieci z całego północnego wschodu. Prowadzony przez męża i żonę. Szanowana instytucja, porządna. Dlaczego pytasz?

– Ta matka dzisiaj, ta Marigold, twierdzi, że stamtąd uciekła. Że trzymali ją tam w zamknięciu i że chcą zabić ją i jej dziecko. Wspominała o innej młodej matce, jakiejś Wendy, która tam zmarła.

– Brzmi trochę niewiarygodnie. Zgłosiłaś to?

– Sierżant dyżurny wszystko słyszał. Zakładam, że spisał notatkę.

– Możesz to jutro sprawdzić. Będzie miła odskocznia od tej innej sprawy. No wiesz, tej, do której masz się ponoć nie mieszać.

Spojrzałam w dół.

– Co robiłaś z teczką Glassbrooków? – spytał.

– A ty skąd o tym wiesz? – odcięłam się.

– Shelley mi powiedziała.

Shelley była sekretarką Rushtona.

– To chore, co te dziewczyny są skłonne dla ciebie zrobić.

– Żadna nie zrobiła tego, co zrobiłaś ty. – Jego dłoń zakradła się na moje kolano. Nie zaoponowałam.

– Miło mi to słyszeć. Ja tylko chciałam... No, nie wiem.

– Nie możesz angażować się w sprawę Larry'ego Glassbrooka. Jeśli to zrobisz, Rushton przeniesie cię na inny posterunek.

Otworzyłam usta.

– A ja wtedy będę cierpiał – ciągnął Tom, zanim zdążyłam coś powiedzieć. – Nie wiem, jak wytrzymałem te ostatnie kilka tygodni, kiedy myślałem, że możesz nie wrócić, że już nigdy cię nie zobaczę.

Nachylił się, jego ręka wsunęła się pod moją kurtkę i tylko stukot obcasów na ścieżce zmusił nas do rozdzielenia się. Czekaliśmy, aż cztery przechodzące kobiety wejdą do budynku.

– Idę do ciebie – oznajmił Tom.

– Nie możesz. – Zasady odnoszące się do odwiedzin mężczyzn bardzo jasno zostały mi wyłuszczone przez oprowadzającą mnie po hostelu przełożoną pielęgniarek. Wszelkie ich złamanie miało być natychmiast zgłaszane inspektorowi Rushtonowi.

– Wejdę schodami przeciwpożarowymi – upierał się Tom. – Drzwi są blisko twojego pokoju. Wystarczy, że otworzysz je od wewnątrz.

– Skąd ty to wszystko wiesz?

– Sprawdziłem przed twoim powrotem. Portierowi powiedziałem, że zlecono mi upewnienie się, że nie będą cię mogli nachodzić dziennikarze.

– Moje ubranie jest poplamione krwią – zauważyłam.

– Żaden problem. Za chwilę się z nim uporamy. A teraz leć. Widzimy się za dwie minuty.

Oszalał. Oboje mogliśmy pakować się w poważne tarapaty. Ale wysiadłam z samochodu i weszłam do hostelu. Po przywitaniu się z portierem wbiegłam na schody. Na pierwszym piętrze w kilku pokojach słychać było głośniejsze rozmowy, ale na korytarzu nie było nikogo. Zakradłam się na palcach do wejścia na schody przeciwpożarowe. Drzwi były zwyczajne, z ryglami na górze i dole i pojedynczym

kluczem, przymocowanym łańcuszkiem. Odsunęłam rygle i przekręciłam klucz. Z oddali nikt nie zauważył, że drzwi są otwarte.

Potem szybko pobiegłam do siebie. Ostatni raz kąpałam się rano, a naprawdę byłam cała we krwi Marigold. Zastanawiałam się, czy zdążę umyć zęby. Chwyciłam szczoteczkę i wycisnęłam na nią kapkę pasty, ale drzwi mojego pokoju już się otwierały.

36

Sally

Wtorek, 5 sierpnia 1969

Obudziłam się i zaczęłam nasłuchiwać – znowu – czy ktoś krzyczy. Luna miewała lęki nocne odkąd skończyła cztery lata, ale od zabrania Larry’ego było o wiele gorzej. Czekaając na start zawodzenia, sięgnęłam do światła.

Lęki nocne to coś okropnego dla świadków. Bóg jeden wie, jak to jest, gdy samemu się ich doświadcza. Dziecko siada gwałtownie, spocone i płaczące. Może wyglądać na obudzone, ale jest skołowane i nie reaguje. Nie rozpoznaje tych, którzy usiłują je uspokoić, może nawet postrzegać ich jako wrogów. Kiedy Luna była mała, serce bolało, gdy się patrzyło, jak się męczy. Teraz te nocne ataki są przerażające, bo Luna się rzuca, wierzga rękoma i nogami, próbując uciec. Larry miał siłę ją przytrzymać. Ja nie mam.

Nie usłyszałam żadnych krzyków. W domu było cicho. A jednak coś mnie obudziło. Działo się coś złego. Czułam to, wisiało to w powietrzu. Energia domu zmieniła się. Coś się stało.

Na dole coś brzęknęło.

Wstałam i pobiegłam do pokoju Luny. Leżała zwinięta w kłębek, w ramionach ściskając starego miśka, którego nie widziałam od wieków. Poszłam do pokoju Cassie. Drzwi były szeroko otwarte. Zajrzałam do środka i stwierdziłam, że pościel na łóżku jest rozkopana, ale Cassie nie ma. W łazience też jej nie było.

W głowie pulsowało mi znajome dudnienie. Nigdy do końca nie byłam pewna, co jest gorsze: nocne lęki Luny czy lunatykowanie Cassie. Ostatecznie doszłam do wniosku, że gorsze jest to, z czym w danej chwili muszę się zmierzyć.

Kilka razy w miesiącu, zwykle gdy księżyc malał lub był w pełni, Cassie wstawała i chodziła po domu motywowana celem, którego nigdy nie zrozumiemy. Larry

rozwieszał nawet dzwonki na drzwiach, żebyśmy słyszeli ją w nocy, ale kiedy skończyła szesnaście lat, kazała nam je zdjąć.

Byłam zła, że się zgodziliśmy. Bałam się, że któregoś razu coś sobie zrobi. Mogła nawet wyjść z domu, na drogę. Ta myśl mroziła mi krew w żyłach. Wolałam nie wyobrażać sobie, co mogłoby spotkać Cassie, gdyby znaleziono ją chodzącą po ulicach nocą.

Kiedy zeszłam na dół i pod gołymi stopami poczułam zimno kafelków w przedpokoju, nie mogłam dłużej ignorować nienaturalnego chłodu w powietrzu. W domu było jak w lodówce. Ubywający księżyc przeświecał przez szybkę we frontowych drzwiach. Wkroczyłam w to zimne światło, aby nasiąknąć jego ochronną mocą. Rozglądając się dokoła za czymś do obronienia się, dostrzegłam przy drzwiach parasol Larry'ego.

To tylko Cassie, mówiłam sobie, skradając się korytarzem z parasolem w ręce. Tylko Cassie, lunatykująca, a może zeszła tylko dlatego, bo zachciało jej się pić. To dlaczego jej nie wołałam? Dotarłam do drzwi kuchni i zaczęłam nasłuchiwać. Nic. Otworzyłam drzwi i w ciemnym pokoju zobaczyłam Cassie, stojącą tyłem do mnie. Chwilę odczuwałam ulgę, potem zobaczyłam mężczyznę.

Wysoki, ubrany na czarno, obejmujący moją córkę.

Głowę miał schyloną, więc nie mogłam zobaczyć twarzy. Przechwyciłam błysk oczu, kiedy mnie zauważył, potem odwrócił się i rzucił do otwartych drzwi. Wyskoczył przez nie i przebiegł przez kuchnię na dwór, zanim zdążyłam dojść do Cassie. Jedno spojrzenie w jej apatyczne oczy powiedziało mi, że wszystko jest w porządku. Spała, ale nie była ranna.

Roztrzęsiona, zamknęłam tylne drzwi na klucz. Cassie stała w miejscu nieruchomo. Była w swojej ulubionej jasnozielonej koszuli nocnej, do kostek, bez rękawów, skrojonej w greckim stylu, ze srebrnym obszyciem. Koszula była prawie przezroczysta i ściśle opływała każdą najdrobniejszą krzywiznę młodego ciała. Od zimnego nocnego powietrza brodawki Cassie stwardniały, wyglądały jak morskie muszelki. A tamten mężczyzna ich dotykał. Poczułam mdłości.

– Chodź, Cassie. – Położyłam jej rękę na ramieniu i obróciłam ją. – Czas iść się położyć.

Otoczyłam ją ramieniem w pasie – byłam zdumiona, że była taka zimna – i wyprowadziłam na korytarz. Tak szybko, jak tylko mogłam, po schodach zaprowadziłam ją do jej pokoju.

– Dobranoc, mamusiu – wymamrotała, kiedy okrywałam ją kołdrą. Mówiła do nas

mamusi i tatusi tylko, kiedy spała. Często się z tego śmieliśmy. Wtedy przeszył mnie ból, tak nagły i tak głęboko sięgający, że czułam się tak, jakby ktoś dźgnął mnie nożem. Larry i ja już nigdy nie będziemy biegli do naszych córek w środku nocy, żeby je uspokoić i ułożyć z powrotem do snu. Nigdy więcej nie będziemy szybko wracali do naszego łóżka, nie wtulimy się w siebie, żeby się ogrzać, i nie będziemy zastanawiali się, jak te dwie dziewczyny, tak mądre i śliczne, mogą być zarazem tak pokręcone i tak dziwne. Od tej pory to wszystko spadało na moją głowę.

37

Florence

Sen nie nadchodził, mimo że po krótkich i na szczęście nieodkrytych przez nikogo odwiedzinach Toma byłam wycieńczona. Wykąpałam się, zrobiłam sobie mleko ze słodem i chwilę poczytałam. Potem zasnęłam i obudziłam się o trzeciej nad ranem.

Śniłam o Marigold – albo raczej o sobie na miejscu Marigold – rodzącej w ciemnej piwnicy, a Larry, Sally i Tom czekali w mroku, żeby zabrać moje dziecko. Płakałam w tym śnie, byłam kompletnie bezradna.

Biedna Marigold. Prawdopodobnie nie spała tak jak ja, bo świeżo upieczone matki nie śpią dobrze, a ona przecież dopiero co urodziła dziecko na posterunku policji otoczona obcymi ludźmi. Nie byłam w stanie sobie wyobrazić, jak musiała się tam czuć, nawet bez strachu przed miejscem, z którego uciekła. Zmyślonego strachu czy prawdziwego?

Puk, puk, puk.

Ktoś pukał do drzwi. O każdej innej porze nie byłoby to niezwykle. Pielęgniarki nieustannie wpadały do siebie, pożyczały kosmetyki do makijażu, wymieniały się ciuchami, zapraszały na kawę lub się na nią wpraszały. O każdej innej porze pomyślałabym, że to jedna z koleżanek z hostelu z przyjaznymi zamiarami. Ale nie o trzeciej nad ranem.

Leżałam w łóżku i nasłuchiwałam. Tak, zdecydowanie pukanie. Zaczekałam i znowu to samo: *puk, puk, puk*. Ledwie słyszalne ponad zawodzeniem wiatru na zewnątrz, ponad odgłosem grzechotania okien obijających się o framugi.

– Kto tam?

Wstałam z łóżka, ledwie widząc w ciemności drzwi. Na tyłach hostelu nie było nic tylko otwarte wrzosowiska, żadnego światła, które rozpraszałoby mroki. Podeszłam cicho do drzwi i przytknęłam do nich ucho. Były zimne i chyba drżały, jakby ktoś naciskał na nie z drugiej strony.

– Kto tam? – szepnęłam.

Żadnej odpowiedzi. Ale wydało mi się, że usłyszałam odgłos oddychania, jakby ten ktoś, kto stał na zewnątrz, opierał się o drzwi w dokładnie tym samym miejscu co ja. Przekręciłam klucz, wzięłam głęboki oddech i otworzyłam drzwi. Korytarz był pusty.

– Halo. – Usłyszałam wycie wiatru na dworze i skrzypienie kanalizacji. Więcej nic. Ale na policzku poczułam zimno. Spojrzałam w stronę wyjścia przeciwpożarowego i zobaczyłam, że drzwi prowadzące na schody poruszają się we framudze, stukając. Cicho zamknęłam te od mojego pokoju i poszłam na koniec korytarza. Oba rygle były zasunięte. Drzwi przeciwpożarowe były zamknięte.

Poczułam, że cała się pocę i zarazem marznę w chłodnym powietrzu. Ostrzegano mnie, że minie dużo czasu, zanim otrząsnę się z tego, co mnie spotkało. Ta nerwowość, ten nagły lęk, wrażenie, że zaraz dostanę ataku paniki, były zupełnie normalne.

– Jesteś bezpieczna, jesteś bezpieczna – mamrotałam jak mantrę, kiedy wracałam ciemnym korytarzem do pokoju. Dłonie i kark miałam lepkie od potu, więc puściłam gorącą wodę w umywalce. Zarazem zastanawiałam się, czy zamknęłam drzwi na klucz. Poszłam sprawdzić. Zamknęłam. Umyłam ręce, zakręciłam wodę i spojrzałam w górę.

Na zaparowanym lustrze widniały dwa słowa – „Pomóż nam”.

Uderzyłam się plecami o umywalkę, kiedy szybko się odwróciłam, żeby sprawdzić, kto zakradł się do pokoju podczas mojej nieobecności.

Nikogo w nim nie było.

Zajrzałam pod łóżko, pod biurko, za zasłony, do wąskiej szafy. Nawet wysunęłam szuflady, jakby intruz mógł zwinąć się w kulkę i ukryć w jednej z nich. Nic.

Do tego czasu cała się już trzęsłam i to nie tylko ze strachu. Temperatura w pokoju spadała. Pobiegłam do łóżka i wskoczyłam pod kołdrę. Pościel była lodowata. Światło było wciąż włączone. Nie wstałam, żeby je wyłączyć, bałam się ciemności. Leżałam więc w łóżku i gapiłam się w prośbę o pomoc, którą ktoś napisał na moim lustrze.

38

Sally

Roztrzęsiona, czekałam, aż ktoś na posterunku odbierze mój telefon. Kiedy podałam nazwisko, zapadła długa cisza. Pomyślałam nawet, że sierżant się rozłączył, jednak po kilku sekundach spytał, w jakiej sprawie dzwonię.

– Czy intruz wdarł się siłą do pani domu, pani Glassbrook? – zapytał, kiedy wyjaśniłam.

– Nie, nie sędzę. Myślę, że córka go wpuściła.

– A więc włamania nie było? Pani Glassbrook, dlaczego pani córka – zdaje się, że mówiła pani, że ma szesnaście lat – dlaczego miałyby otwierać drzwi obcemu mężczyźnie w środku nocy?

– Ona lunatykowała. Ma tak często.

– Otworzyła drzwi we śnie?

Upomniałam się w myślach, że dla większości ludzi lunatykowanie to brednie z bajek.

– Stali w kuchni – powiedziałam. – On ją dotykał.

– A ślady włamania są? Sforsowane zamki? Zbite okna?

– Ten ktoś wszedł tylnymi drzwiami. Były otwarte.

Po drugiej stronie połączenia rozległo się długie i ciężkie westchnienie.

– W porządku, pani Glassbrook. Zanotuję, że pani dzwoniła, i ktoś jutro do pani zajrzy.

– Nie. – Zaczynałam podnosić głos. – Ktoś musi przyjechać już teraz.

– Czy pani córce coś się stało?

– Nie, w porę zdążyłam zejść na dół.

– Czy tym razem zamknęła pani drzwi, pani Glassbrook?

– Wcześniej też były zamknięte.

– A tak, rzeczywiście, mówiła pani, że to córka je otworzyła. Może niech pani odłoży

klucz gdzieś poza zasięgiem. Mam kolejny telefon. Skontaktujemy się z panią jutro.

Połączenie zostało przerwane. Poszłam na górę, jeszcze raz zajrzałam do dziewcząt i wróciłam do swojego pokoju.

Było mi strasznie zimno. Kiedy dom wypełnia negatywna energia, powstała ze strachu czy smutku jego lokatorów, temperatura wewnątrz potrafi spaść. Tworzy to błędne koło, bo zimno jeszcze bardziej dołuje mieszkańców. Najlepszym remedium w takich okolicznościach jest naturalny ogień. Nie miałam jednak sił go rozpalać, ale w większości pokoiów trzymałam świece i dwie stały również na toaletce w mojej sypialni.

Między nimi było zdjęcie Larry'ego i moje w dniu naszego ślubu. Kiedy zapaliłam świece, ich blask zaczął tańczyć nad fotografią. W tamtych czasach Larry był dla mnie najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziałam, nawet licząc piosenkarzy i aktorów. Kiedy szłam do niego nawą, nie mogłam uwierzyć, że się ze mną żeni. Naprawdę myślałam, że pokręci głową i powie: „Nie, zaszła jakaś pomyłka. To nie ciebie chciałem. Chodziło o inną Sally. O piękną Sally”.

W tamtym momencie nie obchodziło mnie, co zrobił, nie obchodziło, z kim mnie zdradził, chciałam tylko, żeby wrócił.

39

Florence

No, niezły miałaś ten pierwszy dzień po powrocie, młoda Florence. – Rushton wstał z fotela, znak, że spotkanie zbliżało się do końca.

– Ponad dwunastu dziennikarzy i ekipa wiadomości przed wejściem – zaanonsował Woodsmoke. – Powiedziałem, że porozmawiasz z nimi o dziewiątej.

Rushton spojrział na zegarek.

– Tak dla twojej wiadomości, będę mówił, że jesteśmy zachwyceni powrotem posterunkowej Lovelady i że jest ona jednym z naszych najbliższych, najbardziej obiecujących młodych funkcjonariuszy.

– Szkoda tylko, że dziś na taką nie wygląda. – Komisarz Sharples przyłapał mnie, jak zduszałam ziewnięcie. – Było się w nocy na mieście, co?

– Sir. – Podniosłam się. – Sierżant dyżurny powiedział mi, że przez następnych kilka dni mam nie chodzić na patrole.

– Tylko do czasu, aż ucichnie wrzawa. Jack znajdzie ci jakieś zajęcie.

– Sir, zastanawiałam się, czy mogłabym dziś rano pojechać do Black Moss Manor. Trzeba ich poinformować o tym, co się stało z Marigold McGowan.

Puste spojrzenia u obu.

– Z tą młodą kobietą, która wczoraj rodziła w celi. Rzuciła naprawdę szalone oskarżenia. Z drugiej strony cierpi na chorobę genetyczną, co może sugerować zaburzenia intelektualne i możliwość błędnego rozumowania. Tak czy inaczej należałoby to sprawdzić. Powinnam też zajrzeć do niej samej. Jest w Burnley General.

– Ja mogę jechać do Black Moss – odezwał się Tom. – Mam rano trochę wolnego czasu.

– Ale to ja byłam z nią, kiedy rodziła – przypomniałam. – To ja powinnam pojechać, nie uważacie?

– Może i tak, dzięki temu może unikniesz kłopotów tutaj – zgodził się Sharples. –

Weź jeden z radiowozów. Masz prawo jazdy?

Doskonale wiedział, że miałam.

– Dziękuję, sir.

– Chcesz, żebym z tobą pojechał? – zaproponował Tom.

– Jesteś potrzebny tutaj – sprzeciwił się od razu Woodsmoke tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Black Moss Manor leżało na granicy miasta. Żeby do niego dotrzeć, musiałam zjechać z głównej szosy i wjechać na szczyt drogi o nazwie Laurowy Nasyp. W zasięgu wzroku nie rósł tam ani jeden krzew laurowy, ani w ogóle jakikolwiek inny. Szeregowe domy, wszystkie małe, wiele z nich zaniedbanych, otwierały się bezpośrednio na ulicę. Musiałam wrzucić drugi bieg, żeby udało mi się dojechać na sam szczyt, gdzie bruk się kończył i zaczynała wąska droga gruntowa.

Było na niej ciemno. Po obu jej stronach wznosiły się klony i brzozy, luki między nimi wypełniały błyszczące zielone krzewy. To tutaj rosły wawrzyny, wyściełały pobocze aż do budynku na samej górze. Skręciłam za róg i zobaczyłam go. Duży stary samotny dworek. Mury z kamienia pokrywały grzyb i sadza, miedziane rury były zmatowione. Łupkowy dach porastał mech, kilka płytek leżało pod domem w wyrosniętej trawie. Parter miał sześć zakratowanych okien, po trzy z obu stron pomalowanych na czerwono drzwi. Bezpośrednio nad oknami na parterze widniało kolejnych sześć okien, nieco mniejszych i bez krat. Pojedynczy stromy fronton wznosił się od środkowego punktu przedniej elewacji.

Z boku przy drzwiach stał zaparkowany czarny rover.

W Black Moss Manor byłam wcześniej dwukrotnie, eskortowałam dzieci, które miejscowe władze objęły opieką. Dziewczynkę około sześćioletnią z bardzo słabym wzrokiem i chłopca zaledwie trzyletniego ze szpotawą stopą, który powiedział mi w tajemnicy, że jego mamusia zawsze nazywała go Robbie. Trzymałam ich maleńkie zimne rączki, kiedy wysiadaliśmy z radiowozu i podchodziliśmy do wejścia. Oba biedactwa, zabrane z jedynych domów, jakie znały, bardzo się bały. W jednym i drugim przypadku dzieci odbierała ode mnie ta sama kobieta. Pamiętałam, że była w średnim wieku, tęga, z niskim głosem i mocną trwałą. Sądziłam wtedy, że to była pani Aster, kierowniczka domu, prowadząca go razem z mężem, doktorem Asterem.

Tym razem musiałam czekać pod drzwiami kilka minut, ale nie byłam tym zdziwiona, nie uprzedziłam o swoim przyjeździe. Po trzech minutach zapukałam

ponownie, głośniej.

Drzwi otworzyły się nagle.

– W czym mogę pomóc?

To nie była kobieta, której się spodziewałam. Ta miała ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, była w wieku, którego nie potrafiłam ocenić. Twarz bez zmarszczek, linia szczęki idealna; ciemne włosy bez śladu siwizny.

– Ja... ja chciałabym zobaczyć się z panią Aster, jeśli można.

– W sprawie?

– Mogłaby pani przekazać pani Aster, że posterunkowa Lovelady z komisariatu w mieście chciałaby z nią porozmawiać?

– Ja się nazywam Aster. O czym chce pani ze mną porozmawiać?

– Pani J. Aster?

Coś w tej kobiecie było nie tak. Kręcone włosy gęstą chmurą okalające głowę były zebrane z tyłu. Puszczone luzem, byłyby długie. Twarz kobiety była piękna, choć odrobinę zbyt pociągła. Nos ostry, oczy duże i ciemne, brwi gęste i idealnie ukształtowane. Usta też były perfekcyjne, dolna warga pełna i wydatna. Była w bieli, ale tak się wydawało w słońcu, bo kiedy przeszła w cień, spostrzegłam, że ubranie jest kremowe czy nawet beżowe.

– Na imię mam Judith – dodała niskim głosem. – Na ogół tak się do mnie wszyscy zwracają, lub doktor Aster, ale nie pani Aster. A teraz zapytam po raz trzeci, po co pani przyjechała i jeśli nie otrzymam sensownej odpowiedzi, pożegnam panią.

– Przyjechałam w związku z Marigold McGowan. Czy jest tu jakieś miejsce, w którym mogłybyśmy spokojnie porozmawiać?

Doktor Aster przesunęła się w bok i gestem pokazała, bym weszła. Kiedy drzwi zamknęły się za mną, miałam czas przyjrzeć się holowi. Światło dzienne wpływało do niego przez dwa z zakratowanych okien. Kładło się na podłodze i ścianach poprzecinanych pasami, co tworzyło złudzenie, że jest się w obszernej klatce. Bezpośrednio przede mną drewniane schody prowadziły na pierwsze piętro, po prawej był duży pusty kominek. Na środku sufitu na haku wisiał żyrandol z kutego żelaza, raczej ze świeczkami niż żarówkami. Byłam zaszokowana, jak tam było zimno. Przeciąg poderwał popiół w kominku, wywiewając go i rozsiewając dokoła. Popiół zawisł w powietrzu, tworząc dziwne kołyszące się kształty.

Wzdrygnęłam się, bo nagle zabrzmiał odgłos dzwonka.

– Proszę za mną – powiedziała doktor Aster, po czym poprowadziła mnie do drzwi w obitej boazerią ścianie, ledwie widocznych, bo były za schodami. W krótkim, cichym

korytarzu po drugiej stronie unosiły się woń gotowanego mięsa i niemożliwy do pomylenia zapach małych dzieci (służąc w Sabden, odwiedziłam wiele szkół podstawowych). Odgłos naszych kroków roznosił się echem, kiedy mijałyśmy kilka zamkniętych znajdujących się w korytarzu pomieszczeń. W jego połowie Aster wprowadziła mnie do biura. Z pokoju obok dochodził męski głos, niski, szybko mówiący.

Przez pojedyncze okno widać było, że budynek ma z tyłu dwa skrzydła, czyli był o wiele większy, niż to się wydawało, gdy patrzyło się na niego od frontu. Między skrzydłami rozciągał się skrawek gołej ziemi, chyba służący za ogródek. Było tam kilkoro dzieci. Jedno trzymało piłkę, którą podrzucało apatycznie w górę. Pozostałe dzieci nie bawiły się niczym.

– Proszę usiąść.

Usiadłam wbrew sobie, czując się trochę jak uczennica wezwana do dyrektora na dywanik.

– Wczoraj wieczorem na komisariacie w Sabden młoda kobieta, przedstawiająca się jako Marigold McGowan, urodziła dziecko – zaczęłam. – Później matka i syn zostali przewiezieni do miejscowego szpitala.

Judith Aster przez jakiś czas wpatrywała się we mnie, a ja jej na to tym razem pozwoliłam.

– Dziękuję – powiedziała w końcu. – Do którego szpitala?

– Niestety nie powiedziano mi tego.

Nie miałam pojęcia, dlaczego kłamię, wiedziałam tylko, że kobieta przede mną wie, że to robię.

– Coś jeszcze? – spytała.

Wyjęłam notes.

– Tak – potwierdziłam. – Ta dziewczyna powiedziała, że jest stąd. Czy to się zgadza?

Aster wstała i otworzyła szafkę na akta. W tym momencie znów rozległ się dzwonek. Dzwonił pięć sekund, później w budynku znowu zapadła cisza. Aster nie spiesząc się, przeglądała teczki, aż w końcu jedną z nich wyjęła.

– Przyjeliśmy ją dwa tygodnie temu – powiedziała, wracając na swoje miejsce. – Skurcze zaczęły się wczoraj o drugiej po południu. Zaczęła się wtedy denerwować. Nic nadzwyczajnego w przypadku młodych dziewcząt oddzielonych od rodziny, zwłaszcza tych z ograniczonymi władzami umysłowymi. Doświadczenie porodu może być przerażające.

– Zna pani adres zamieszkania jej bliskich?

– Chyba pochodzi z Nelson. – Aster otworzyła teczkę. – Ale nie wolno mi podawać takich informacji bez nakazu sądu.

– W takim razie, co tu się wczoraj wydarzyło?

– Dziewczyna zniknęła, kiedy pielęgniarka musiała zająć się czymś innym – odparła Aster. – Jakimś sposobem udało jej się opuścić budynek.

Pomyślałam o zakratowanych oknach na dole, ciężkich drzwiach frontowych. Spojrzałam za plecy Aster na kamienny mur otaczający cały zewnętrzny teren.

– Powiedziała nam, że ją tu więziono.

Aster roześmiała się cicho i ponuro.

– Absurd. Naturalnie, bardzo dbamy o bezpieczeństwo, mamy pod opieką małe dzieci, ale starsi rezydenci mogą wychodzić, kiedy chcą. Większość oczywiście nie ma dokąd. Mogą się zatem czuć jak więźniowie. Ale nimi nie są.

– Powiedziała, że zamierzacie zabić zarówno ją, jak i jej dziecko.

Aster podniosła w górę obie ręce, jakby odpowiedź słowna była zbędna.

– Tę dziewczynę należy traktować jak wystraszone i kapryśne dziecko. Namawialiśmy ją, żeby oddała dziecko do adopcji, choć ostateczna decyzja należałaby naturalnie do jej rodziny. Jest pani pewna, że mówiła o zabiciu dziecka, a nie przypadkiem o zabraniu?

Tak, byłam pewna.

– Czy zgłosiliście państwo jej zaginięcie?

– Szukaliśmy jej. Każdy członek personelu, który mógł zostać odwołany od innych obowiązków, przeczesywał wrzosowiska przez całą noc.

– Ale czy zgłosiliście na policję, że zaginęła osoba wymagająca szczególnego traktowania?

– Myślę, że tak. – Aster spuściła wzrok na dokumenty. Wiedziałam, że niczego nie zgłaszała. Sprawdzałam.

– To nie pani zgłaszała?

Spojrzała na mnie.

– Wydaje mi się, że poleciłam, żeby zostało to zrobione. Jeśli nie zostało, to pewnie każdy myślał, że zrobił to ktoś inny.

– Czy z rana skontaktowała się pani z policją?

Uśmiechnęła się do mnie półgębkiem, ale jej oczy pozostały chłodne i martwe.

– Mam to na liście rzeczy do wykonania. W zasadzie była to następna rzecz na tej liście, ale pojawiła się pani.

– Co było pierwsze?

Jej duże oczy zrobiły się jeszcze większe.

– Co proszę?

– Jest dziewięta dwadzieścia. Co było ważniejsze niż odnalezienie opóźnionej umysłowo młodej kobiety wymagającej natychmiastowej pomocy medycznej?

Aster położyła dłonie na oparciu fotela tak, jakby chciała się z niego podnieść.

– Czy ma pani coś jeszcze, pani posterunkowa?

Nie poruszyłam się.

– Tak, chciałabym dowiedzieć się czegoś o pochodzeniu Marigold McGowan. Czy mogłabym zabrać ze sobą jej akta?

Przyciągnęła je do siebie.

– Obawiam się, że niestety nie. Co chce pani wiedzieć?

Starając się nie okazywać zniecierpliwienia, powiedziałam:

– Proszę mi powiedzieć wszystko, co pani może.

Aster westchnęła.

– Marigold ma siedemnaście lat, tak przynajmniej twierdzi, choć podejrzewam, że jest młodsza. Pochodzi z Nelson i zjawiała się u nas dwa tygodnie temu z rekomendacji tamtejszych władz.

– Kto jest ojcem?

– Ojciec Marigold.

– Nie, pytam o to, kto jest ojcem dziecka Marigold.

Aster przechyliła głowę i spojrzała na mnie z ukosa.

– Wiem, o co pani pyta. Moja odpowiedź brzmi tak samo. Marigold została zapłodniona przez własnego ojca.

– To straszne.

Prawe ramię Aster lekko i elegancko podniosło się w górę i opadło.

– Zgłaszała to pani policji?

– Nie. Nie mam też pojęcia, co zrobiła sama Marigold czy opieka społeczna z Nelson.

Wstałam.

– Dziękuję za poświęcony czas – rzuciłam. – Zgodzi się pani, żebym przed odjazdem trochę się tu rozejrzała?

Aster nie ruszyła się z miejsca.

– Nie, nie zgodzę się. Odwiedziny przygnębiają dzieci, jeśli nie są wcześniej przez nas na nie przygotowane.

– Dzieci przygnębiają się odwiedzinami?

– Niektóre są bardzo pokiereszowane.

Podeszłam do drzwi.

– W takim razie chciałabym przynajmniej zobaczyć pokój Marigold.

– A to w jakim celu, na Boga?

Spojrzałyśmy na siebie. Błysk w oczach Aster powiedział mi, że była bardziej niż gotowa na walkę.

– Marigold przekazała nam kilka skarg odnośnie do działalności tego domu. Traktujemy je poważnie. Mogę tu wrócić z nakazem.

– W takim razie sugeruję, żeby pani tak zrobiła.

W tym momencie otworzyły się drzwi biura. W progu stanął wysoki mężczyzna.

– Sandra powiadomiła mnie, że mamy gościa. Dzień dobry, pani posterunkowa. – Nieznajomy wyciągnął dłoń. – Frederick Aster. Kierownik tego domu. Co może nam pani powiedzieć o biednej drogiej Marigold? Strasznie się o nią niepokoiłiśmy. Odchodziliśmy od zmysłów.

Uśmiechnął się do mnie, unosząc brwi, jakby w ten sposób chciał mnie zachęcić do mówienia.

– Wczoraj wieczorem urodziła syna – poinformowałam. – Teraz jest w szpitalu.

– W którym?

Wyglądało na to, że znowu będę musiała kłamać.

– Zapewne w Burnley – domyślił się Aster. – Zadzwoń i sprawdź.

Jego angielski był perfekcyjny, ale nie sądziłam, żeby był rodowitym Anglikiem. Był przystojny, gładko ogolony, z krótkimi blond włosami. Jak żona wyglądał na czterdzieści kilka lat.

– Pańska żona zamierzała mnie właśnie oprowadzić po domu – oznajmiłam.

– Zdecydowanie nic takiego nie... – zaczęła Judith Aster.

– Domyślam się, że masz mnóstwo zajęć, kochanie – przerwał jej Frederick. – Zastąpię cię i oprowadzę tę młodą damę. Proszę tedy, pani posterunkowa.

Kiedy szłam za Frederickiem Asterem z powrotem do holu wejściowego i potem na górę, w budynku znowu zabrzmiał dzwonek. Gdy wchodziliśmy po schodach, zapach środków odkażających i gotowania stopniowo słabł, zastąpił go odór zatęchłych ubrań i toalet.

– Jesteśmy teraz na pierwszym piętrze – rzekł Aster. – Poddasza nie używamy. Pokoje z frontu budynku to pokoje prywatne, moje i żony. Zakładam, że ich nie będzie chciała pani oglądać?

Uśmiechał się, kiedy to mówił.

– Oczywiście, że nie – odparłam.

– Po drugiej stronie budynku mamy pokoje dla matek z dziećmi.

Na tylnej stronie głównego budynku widniało pięć drzwi. Te obok środkowych były otwarte, dzięki czemu mogłam zobaczyć, że pomieszczenie za nimi to skąpo wyposażona łazienka.

Aster wyciągnął klucz i otworzył następne drzwi, za którymi znajdował się wąski pokój. Podłogę zakrywało gołe linoleum, miejscami wytarte aż do podbitki. W rogu wisiała przytwierdzona do ściany umywalka z drewnianą szafką nad nią. Były tam jeszcze pojedyncza prycza, wąski fotel, komódka i kołyska. Na haczyku z tyłu drzwi wisiała koszula nocna Marigold. Z okna widać było wysoki okalający teren mur i rozległą pustkę wrzosowisk. Nawet w sierpniu był to ponury widok. W ogrodzie nie było już żadnego dziecka.

– Pozostałe pokoje są dokładnie takie same – poinformował Aster.

– Macie tu jeszcze inne kobiety w ciąży?

– Obecnie nie. Choć za kilka tygodni spodziewamy się przyjazdu dwóch.

– Marigold mówiła o jakiejś kobiecie o imieniu Wendy, która niedawno rodziła. Gdzie ona teraz jest?

Aster popatrzył na mnie, marszcząc brwi.

– Obawiam się, że nie kojarzę tego imienia. Jest pani pewna, że chodziło o Wendy?

– Tak, jestem.

Pokręcił głową.

– Od trzech miesięcy nie mieliśmy tu żadnego porodu. Marigold jest u nas dopiero od dwóch tygodni. Nie mogła widzieć tu innych matek.

Na jego twarzy nie widniał cień wątpliwości. Mogłam zarzucić mu kłamstwo albo odpuścić. Innej opcji nie miałam.

– Sypialnie dzieci mieszczą się w skrzydłach – powrócił do wcześniejszego tematu. – Ale nimi chyba nie jest pani zainteresowana?

Nie potrafiłam wymyślić żadnego powodu, uzasadniającego chęć zobaczenia pokoi dzieci, więc niechętnie, bo coś w tym miejscu było podejrzane, wróciłam za Asterem z powrotem na dół. Przechodziliśmy przez hol, kiedy zatrzymał nas czyjś głos.

– Doktorze, mogę prosić na słówko?

Kobieta, która się pojawiła – chyba Sandra – była tą, którą widziałam podczas poprzednich wizyt, tą, którą wzięłam za kierującą domem. Doktor Aster podszedł do niej, ja usłyszałam cienki głosik dobiegający gdzieś z niedaleka. Bez pytania, czy mi wolno, weszłam do korytarza na tyłach. Bezpośrednio naprzeciwko biura Judith Aster były drzwi. Docierał zza nich stonowany głos kobiety. Chwyciłam za klamkę i

pchnęłam.

Znalazłam klasę. Mniej więcej dwa tuziny małych drewnianych ławek stało skierowanych przodem do frontu sali, i przy prawie każdej siedziało małe dziecko w szarym swetrze. Przez moment trudno mi było odróżnić płeć. Włosy chłopców były krótko ostrzyżone, dziewczynek spięte w kucyki. Tylko jedno z dzieci czy dwoje spojrzało w stronę drzwi. Reszta nadal patrzyła na wprost. Jedno wyglądało, jakby spało, z głową opartą na blacie. Dwójka była na wózkach inwalidzkich.

Nauczycielka odwróciła się do mnie.

– Mogę w czymś pomóc?

Otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć – nie byłam pewna co – kiedy nagle jeden z chłopców odepchnął w tył krzesło tak mocno, że się przewróciło. Chłopiec poderwał się na nogi i rzucił się do mnie przez salę. Lewą nogę miał usztywnioną w stabilizatorze.

– Robert! – Głos nauczycielki był donośny i zimny. – Wróć do ławki.

Mały chłopiec zignorował nauczycielkę, przedzierał się między ławkami, aż dotarł do mnie i złapał mnie rączkami za nogi.

– Eko, eko, eko! – zaczął krzyczeć.

– Co tu się dzieje?

To była Judith Aster. Pojawiła się w drzwiach, akurat gdy się pochylałam, żeby podnieść chłopca. Przywarł do mnie jak małe małpiątko.

– Eko, eko, eko – łkał mi do ucha.

– Proszę mi go oddać. – Judith Aster wyciągnęła ręce, nauczycielka też już do mnie podchodziła. – Robert, natychmiast przestań krzyczeć. – Ona też wyciągnęła ręce.

– Dlaczego on jest taki zdenerwowany? – Na twarzy czułam łzy malca. – To ja go tu przywiozłam, prawda? Kilka miesięcy temu. To jest Robert Brown? – Pamiętałam chudego trzęsącego się chłopca, zabranego do miejscowego oddziału opieki społecznej po tym, jak jego niezamężna matka zmarła, rodząc następne dziecko. Dziecko też zmarło.

– Czego on się tak boi? Co mówi? Co próbuje powiedzieć?

Co znaczyło „eko, eko, eko”?

Nauczycielka, poważna i surowa, chwyciła Robbie’ego. Musiała zadać mu jakiś ból, bo nagle krzyknął i puścił mnie. Kobieta natychmiast wyrwała mi go z rąk. W tym momencie płakało też już kilkoro innych dzieci, nauczycielka usiłowała je uspokoić, gdy w drzwiach stanął Frederick Aster.

Wtedy wszystkich nas wystraszył nagły huk. Regał na książki z tyłu sali przewrócił się i książki rozsypały się po podłodze.

– Proszę stąd wyjść – warknęła Judith Aster. – Natychmiast.

– Myślę, że tak będzie najlepiej – powiedział Frederick i kładąc mi rękę na ramieniu, zaczął mnie wyprowadzać. Nawet ja widziałam, że wywoływałam u dzieci niepokój, więc poszłam za nim. W korytarzu zatrzymałam się i odwróciłam do małżeństwa.

– Dlaczego to dziecko było takie wystraszone?

Judith Aster zgromiłam mnie wzrokiem.

– Nie miała pani prawa wchodzić do klasy. Mówiłam, że dzieci denerwują odwiedziny.

– Ten chłopiec nie był zdenerwowany – był przerażony. Co wy robicie z tymi dziećmi, że są w takim stanie?

– Wielu z naszych podopiecznych zabierali z ich domów funkcjonariusze policji – zaczął wyjaśniać Frederick, bardziej pojednawczym tonem niż żona. – Pani mundur źle im się kojarzy, przywołuje złe wspomnienia.

Brzmiało to sensownie, musiałam to przyznać.

– Niektóre dzieci potrzebują miesięcy, żeby się u nas zadomowić i poczuć bezpiecznie – dodała pani Aster. – Widok policjanta w mundurze budzi w nich stare lęki.

– Ale ten chłopiec do mnie przybiegł, a nie uciekał – zauważyłam. Nagle zrozumiałam, co znaczyło „eko, eko, eko”. Malec pamiętał mnie jako osobę, która go tu przywiozła, i teraz błagał, żebym go zabrała – *daleko* stąd.

40

Sally

Cale rano byłam zaganiana i dopiero w połowie popołudnia znalazłam chwilę na to, żeby zajrzeć do Marigold i jej dziecka.

Oddział położniczy, jeden z przyjemniejszych w tym szpitalu, znajdował się na drugim piętrze, z jego okien rozciągał się widok na miasto i wrzosowiska. Na ścianach zawsze wisały przypięte do nich pinezkami kartki z życzeniami, kwiatów było więcej, niż dawało się znaleźć wazonów, były też rysunki noworodków wykonane przez rodzeństwo. Zapach choroby i śmierci, tak powszechny w większości innych oddziałów, tutaj zastępowała woń damskich kosmetyków i talku.

Otworzyłam drzwi oddziału i po drugiej ich stronie ujrzałam Florence Lovelady, trzymającą w dłoni małą dzierganą zabawkę w kształcie myszki.

– Dla Marigold? – spytałam.

Florence kiwnęła głową.

– Nadaje się dla dzieci? Kupiłam na targu. Nie znam się na tym, niestety.

– Jest w porządku – odparłam, kiedy szliśmy do zatoczki numer cztery, otwartego pomieszczenia na sześć łóżek na końcu oddziału. – Nie ma małych części, którymi dziecko mogłoby się zadławić.

Minęłyśmy świetlicę. W fotelach siedziało kilka matek, z niemowlętami opartymi na prawym ramieniu, w lewych rękach papierosy. Jeszcze kilka kroków i po minięciu szeregu ekranów zobaczyłyśmy Marigold siedzącą w łóżku, z jedną ręką sięgającą do łóżeczka dziecka, druga była wczepiona w szyję. Po obu stronach łóżka stali Judith i Frederick Asterowie.

– Co wy tu robicie? – spytała Florence, kiedy podeszliśmy. – Marigold, czy ci ludzie ci się naprzykrzają?

Oczy dziewczyny wędrowały od jednej osoby do drugiej, ja zajrzałam do dziecka. Nic mu nie było. Spało, piąstki zaciśnięte, mała klatka piersiowa łagodnie falowała.

Marigold wyglądała zupełnie inaczej. Widać było, że płakała. Oczy miała spuchnięte, twarz czerwoną i obrzmiałą.

– Właśnie wychodziliśmy – oznajmiła Judith Aster. Odwróciła się do Marigold i odsunęła jej z oczu nieistniejący lok. Dziewczyna wzdygnęła się. – Dbaj o siebie, moja droga. I o dziecko, oczywiście. Będziemy w kontakcie.

Florence i ja odprowadzałyśmy Asterów wzrokiem, aż dotarli do końca oddziału i wyszli. Dopiero gdy zniknęli, odwróciłyśmy się do Marigold.

Pomijając obecne zdenerwowanie, wyglądała o wiele lepiej niż poprzedniej nocy. Jej włosy już niespocone, były długie i faliste, o pięknym odcieniu truskawkowego blondu, bladą twarz zdobiły kropeczki piegów.

– Marigold... – zaczęła Florence.

Podniosłam ostrzegawczo palec.

– Jak się czujesz, kochanie – zwróciłam się do dziewczyny w łóżku. – Jak dzidzius? Florence, poszukaj dla nas krzesel. Chwilkę tu sobie posiedzimy i pogawędzimy.

Podczas gdy Florence próbowała zlokalizować krzesła – wiedziałam, że trochę jej to zajmie, bo na porodówce nigdy nie ma ich wystarczająco wiele – mnie udało się zadać Marigold kilka rutynowych pytań o karmienie, sen, szwy. Zbadałam jej brzuch i powiedziałam, że wszystko jest dokładnie tak, jak powinno być.

– Twój synek jest śliczny – pochwaliłam, kiedy malec zaczął się wiercić. Akurat wtedy wróciła Florence z krzesłami.

– Naprawdę jest – przytaknęła, nawet dość przekonywającym tonem. Wyciągnęła dzierganą niebieską zabawkę. – Przyniosłam dla niego to. – Włożyła maskotkę do łóżeczka.

– Wolalabym, żeby to była dziewczynka – oznajmiła Marigold. – Wtedy mogłabym dać jej na imię Florence albo Sally.

– Och, to bardzo miłe – rzuciłam. – Ale jeśli tak zrobisz, inne dzieci będą mu dokuczały.

Marigold uśmiechnęła się.

– Wy wybierzcie imię – zaproponowała. – Jakie chłopięce imiona lubicie?

– Ja mam tylko córki – odparłam. – I siostry. – Usiłowałam przypomnieć sobie jakieś inne imiona dla chłopców poza Larrym.

– Ja mam trzech braci – powiedziała Florence. – Najstarszy ma na imię Andrew, po moim ojcu, średni Charles, po ojcu matki, a najmłodszy Henry. Po nikim.

– Dam mu na imię Henry – postanowiła Marigold. – Bo jest mały, najmłodszy. Po twoim Henrym, nie po nikim.

– Mój Henry będzie zaszczycony. – Florence musnęła dziecko palcem po główce. – Hej, mały Henry.

– W skrócie możesz go nazywać Harry – powiedziałam. – Albo Hal.

– Albo Hen – rzuciła Marigold, też głaszcząc synka po ciemnych włoskach.

Florence z kieszeni kurtki wyciągnęła notes.

– Marigold, muszę ci zadać kilka pytań dotyczących wczorajszego wieczoru – oznajmiła.

Spojrzenie Marigold spochmurniało.

– Mały Hen jest zmęczony – wymamrotała.

– To nie potrwa długo – obiecała Florence. – Ale sierżant dyżurny, ja i Sally słyszeliśmy, jak mówiłaś, że uciekłaś z Black Moss Manor. Że cię tam więzili.

– Byłam zde... zdezorientowana. – Marigold unikała patrzenia na nas, wzrok miała wbity w synka.

– Zdezorientowana czym? – dociekała Florence.

– Kraty w oknach, zamki na drzwiach, duży wysoki mur są po to, żeby dzieci nie mogły uciec i żeby nie zrobiły sobie krzywdy – wyrecytowała monotonnym głosem dziewczyna. – Dorośli mieszkańcy mogą wchodzić i wychodzić kiedy chcą.

– Nie wyglądałaś wczoraj na zdezorientowaną – stwierdziła Florence. – Byłaś przestraszona. Nalegałaś, żebyśmy nie powiadamieli Black Moss Manor, gdzie jesteś.

– Nalegałam? – Głos Marigold przybrał nadąsany ton, jak u dziecka, które wie, że ma kłopoty.

– Marigold, czy pamiętasz, że mówiłaś nam, że ktoś w Black Moss Manor chce zabić ciebie i twoje dziecko? – naciskała Florence.

– Nie, nie powiedziałam tak. Powiedziałam: „Zabierzcie moje dziecko”. Byłam zdezorientowana. Myślałam, że zabiorą mi dziecko. Do ad... ad...

– Adopcji? – podpowiedziałam, rzucając Florence zaniepokojone spojrzenie.

– Tak, do adopcji – potwierdziła Marigold. – Ale tylko, jeśli się zgodzę. Wszystko mi się pomieszało.

– Czy tak właśnie kazali ci mówić Asterowie? – spytała Florence.

Marigold popatrzyła na nią, naprawdę z miną nadąsanego dzieciaka.

– Co się stało z Wendy? – Florence nie poddawała się łatwo.

Marigold utkwiała spojrzenie w główce synka.

– Nie znam żadnej Wendy.

– Cóż, damy ci teraz odpocząć. – Wstałam i kiwnęłam do Florence na znak, żeby zrobiła to samo.

– Ty też odniosłaś wrażenie, że była wystraszona? – spytała, kiedy szliśmy przez oddział. – Myślisz, że Asterowie wywierają na nią nacisk?

Nie odpowiedziałam.

– Dziś rano byłam w Black Moss – ciągnęła. – Coś tam jest nie tak. Sally, czy...

– Florence. – Umyślnie podniosłam głos, budząc niestety drzemającą matkę.

– Co?

– Nie mogę się w to mieszać. Pomogłam jej bezpiecznie urodzić, sprawdziłam dzisiaj, jak się czuje. Od tej chwili zajmie się nią szpital. Mam własne problemy, z którymi muszę się uporać, i nie zamierzam dać się wciągnąć w twoje.

Florence poczerwieniała.

– Oczywiście. Przepraszam.

Dotarliśmy do drzwi oddziału.

– Jak długo będą ją tu trzymali? – zapytała Florence.

– Kilka dni. Najdłużej tydzień. Matki w tym wieku szybko dochodzą do siebie po porodzie.

– I co potem?

Westchnęłam.

– Nie, masz rację – mruknęła Florence. – Sama się dowiem.

Minęłyśmy stanowisko pielęgniarek. Otwierając przede mną drzwi, Florence powiedziała:

– Na posterunku słyszałam rozmowy kolegów. O tym, co zaszło u ciebie wczoraj w nocy.

– Dobrze wiedzieć, że potraktowali to serio.

– Nie potraktowali – odparła ścisłym głosem.

– Co takiego?

– Nie zamierzają się tym zająć. Nie spiszą oficjalnego raportu.

Zatrzymałam się. Nie zrobią nic? Miałam dwie nastoletnie córki.

– Jak on wyglądał? – spytała Florence.

– Nie wiem. Było ciemno.

– Był wysoki?

– Dość. Mniej więcej wzrostu Larry'ego. I podobnej postury. Szczerze mówiąc, kiedy go zobaczyłam, moją pierwszą myślą było, że to Larry, że jakoś udało mu się uciec.

– W jego wieku?

Pokręciłam głową.

– Nie, raczej na pewno młodszy. Czmychnął, kiedy mnie zobaczył.

– Nie powinniśmy cię ignorować – oznajmiła Florence. – Kiedy wrócę, mogę zrobić awanturę. Już bym zrobiła, ale najpierw chciałam porozmawiać z tobą.

– Nie chcę, żebyś przeze mnie pakowała się w kłopoty – odparłam, choć tak naprawdę znaczyło to, że ze wszystkich ludzi na posterunku policji w Sabden Florence Lovelady była ostatnią osobą, której chciałam być za coś wdzięczna.

– Sądzę, że tego właśnie się po mnie tutaj spodziewają – odpowiedziała. – Zaczynam być z tego znana.

41

Florence

Nie, Tom, posłuchaj – tłumaczyłam. – Młoda kobieta twierdzi, że była więziona i że jej grożono, że jej koleżanka i jej dziecko zmarli. A potem – wielka niespodzianka – zmienia swoje słowa, kiedy odwiedzają ją dwie osoby, których boi się najbardziej.

Tom udawał, że sprząta biurko, tak naprawdę jednak tylko przestawiał rzeczy na nim.

– Ta dziewczyna jest bardzo niewiarygodna, Floss – stwierdził. – A Asterowie to filar społeczności.

Byliśmy w pokoju wydziału śledczego, jedyne dwie osoby, które zostały pod koniec dziennej zmiany. Wróciłam niedawno i byłam zmęczona, spocona, głodna.

– Coś jest nie tak z tamtym miejscem i zamierzam porozmawiać o tym z Rushtonem.

Tom przesunął ostrzałkę do ołówków z jednego rogu biurka w drugi.

– Na twoim miejscu bym tego nie robił.

– W drodze powrotnej ze szpitala rozmawiałam z pięcioma osobami mieszkającymi przy Laurowym Nasypie – poinformowałam. – Żadna z nich nie przypomina sobie, żeby kiedykolwiek widziała dzieci z Black Moss bawiące się na dworze.

– To niczego nie dowodzi. Na nic nawet nie wskazuje.

– Coś tam jest nie tak – upierałam się.

Przez chwilę oboje milczeliśmy. Wyczuwałam, że oboje myślimy o ostatnim czasie, kiedy wydawało mi się, że dzieje się coś złego.

– Tam są dzieci i bezbronne matki – stwierdziłam w końcu. – Nie mogę nic nie robić.

Tom zarzucił kurtkę na ramiona.

– Nie powiedziałem, że nic. Powiedziałem, żebyś nie rozmawiała z Rushtonem.

– Nie nadążam. Jest naszym przełożonym.

– Właśnie. A ty jesteś na okresie próbnym. Jeśli za każdym razem, kiedy coś ci się nie podoba, będziesz ganiała do szefa, ludzie przypną ci łątkę kapusia. Pogadaj z sierżantem. Jeśli uzna, że warto się temu przyjrzeć, przekaże sprawę wyżej właściwym

osobom.

Przypuszczalnie miał rację. Tylko że...

– A co, jeśli uzna, że nie warto?

Tom odepchnął krzesło od biurka.

– To będzie znaczyło, że pewnie nie warto.

– Tak jak z tym włamaniem do domu Glassbrooków dziś w nocy? Gdyby włamano się do któregośkolwiek innego domu w Sabden, w którym mieszkają trzy samotne kobiety, wysłalibyśmy tam natychmiast radiowozy. Sally widzi faceta w kuchni, obmacującego jej starszą córkę, a my nawet następnego dnia tego nie badamy?

Tom nabrał powietrza i wypuścił je przez zaciśnięte usta.

– Nic o tym nie wiedziałem. Nie, nie patrz tak na mnie... nie wiedziałem. – Podszedł do drzwi, otworzył je i przepuścił mnie przodem.

– Więc, co zamierzasz z tym zrobić?

Pokręcił głową.

– Nie mogę mieć nic wspólnego z tą rodziną, sama dobrze wiesz. Ty też nie.

Ruszyliśmy do schodów. Ja powiedziałam:

– Czyli co, o wszystkim mają decydować idioci?

Tom zrobił zbolaną minę.

– Florence, musisz przestać zachowywać się tak, jakbyś pozjadała wszystkie rozumy i wszystko wiedziała najlepiej.

Kiedy dotarłam do hostelu, nocny portier był już na dyżurze. W ręku trzymał małą, niezbyt czystą kremową kopertę.

– Przyszło do pani wcześniej – powiedział. – Nie było mnie tu. Nie wiem, kto ją zostawił.

Zerknęłam w dół i zobaczyłam swoje nazwisko napisane z błędem, odręcznie.

– Pani człowiek jest na górze – ciągnął portier, kiedy wtykałam kopertę do kieszeni. – Siedzi tam już jakiś czas.

Mój człowiek?

Trochę strwożona, wspierałam się na schody. Kiedy na szczycie skręcałam za róg, zobaczyłam, że drzwi do mojego pokoju są otwarte i że z wejścia sterczy para roboczych butów. Zbliżyłam się ostrożnie. Nadal był dzień, było jasno. Na korytarzu słychać było głosy kobiet, nawet gwizd czajnika, niemniej...

W pokoju coś brzdęknęło, jakby na podłogę spadło coś metalowego i ciężkiego.

Zaraz potem usłyszałam przekleństwo.

– Dwane? – rzuciłam do wystawionego w moją stronę obleczonego dzinsem tyłka, gdy stanęłam w progu.

Dwane Ogilvy, miejski grabarz i mistrz stolarki, ktoś, kogo uważałam za swojego największego przyjaciela w Sabden, klęczał na czworakach na podłodze. Obok stała skrzynka narzędziowa, a narzędzia leżały rozrzucone między warstwą wiórów.

Dwane nie spojrzał w górę.

– Potrzyмай – warknął.

Chodziło mu o drzwi, chciał, żebym je unieruchomiła. Zrobiłam to, Dwane tymczasem zniknął mi z widoku.

– Co tam słychać, Dwane? – spytałam. Drzwi były ciężkie.

– Kupa roboty.

Skupiłam się na podtrzymywaniu drzwi na miejscu.

– No dobra – mruknął Dwane po kilku minutach. – Możesz już puścić.

Zrobiłam to z radością. Drzwi pozostały tam, gdzie były.

– Miło cię widzieć, Dwane – powiedziałam. – Tylko co ty tutaj robisz?

Dwane odepchnął się od podłogi i podniósł, prostując się na całą wysokość swojego metra pięćdziesiąt. Jego duża ociężała twarz była zaróżowiona i miejscami mokra. Popatrzył na mnie wilkiem, a mnie przemknęło przez głowę pytanie, czy kiedykolwiek zobaczę go uśmiechniętego. Miałam wątpliwości.

– Montuję dodatkowe zamki na twoich drzwiach – wyjaśnił. – Już żaden gnojek nie wejdzie ci do pokoju bez pozwolenia. Drzwi trochę tarły o podłogę, więc je podciąłem i zawiesiłem z powrotem. Teraz są w porządku.

Weszłam głębiej. Zwykły zamek podklamkowy zamienił się w ustrojstwo widywane przy sejfach bankowych. U góry i dołu drzwi pojawiły się dwa potężne rygle. Nic dziwnego, że drzwi zaczęły ocierać o podłogę. Dodatkowy ciężar nadwyrężył zawiasy.

– Zabezpieczyłem też okna – dodał Dwane.

– Dwane, co ci przyszło do głowy? Przełożona padnie na zawał.

Uśmiechnął się.

– To był jej pomysł. Dzwoniła rano do mamy. Powiedziała o włamaniu.

– Nie było żadnego włamania.

Nikommu o niczym takim nie mówiłam. Rozmawiałam tylko o napisie na lustrze ze sprzątaczką, bo myślałam, że może będzie wiedziała, w jaki sposób mógł się tam pojawić. Nie miała pojęcia tak samo jak ja. Ale to wszystko. Nie chciałam wszczynać żadnego rabanu.

– Nie mogłem pozwolić, żebyś tu spała bez porządnych zamków – oznajmił Dwane.
– Ani jednej nocy więcej.

– Och, wróciłaś, Florence.

Spojrzałam w górę i zobaczyłam, że w korytarzu pojawiła się Jenny, jedna z pielęgniarek. W każdej ręce niosła po parującym kubku.

– Woda właśnie się zagotowała, jeśli chcesz, możesz zrobić sobie herbatę.

– Może wypić moją – rzucił Dwane.

– Florence nie słodzi – odpowiedziała na to Jenny. – Do twojej wsypałam trzy łyżeczki. – Wysunęła kubek, zmuszając Dwane’a, by go odebrał. – Możesz wypić w moim pokoju – dodała.

Jenny, co zauważyłam dopiero teraz, była tylko trochę wyższa od Dwane’a. A że była też bardzo drobna, wyglądała przy nim niemal filigranowo.

– Tylko nie zamykajcie drzwi – upomniałam ich. – Wiecie, jaka surowa jest przełożona w kwestii wizyt panów.

To był żart, ale twarz Jenny pociemniała.

– Cóż, akurat ty wiesz o tym najwięcej – wymamrotała. – Dwane, idziesz?

– Muszę wracać – odpowiedział. – Mama czeka z podwieczorkiem.

– A wieczorem będziesz w Czarnym Psie?

Dwane nie patrzył na Jenny.

– Zawsze jestem. A ty, Florence? Wpadniesz na drinka? Dzisiaj jest mecz pań w rzutki. Potem odprowadzę cię bezpiecznie do domu.

Było mi szczerze przykro, kiedy zobaczyłam wyraz zawodu na twarzy Jenny.

– Obiecałam, że wpadnę na kolację do Daphne i Avril – odpowiedziałam. – Nie widziałam się z nimi od powrotu.

– No to po kolacji. Będę siedział do samego zamknięcia.

– Nie mogę teraz chodzić do Czarnego Psa. Tam się zatrzymują wszyscy reporterzy. Ale wam życzę dobrej zabawy.

– Możemy pójść gdzie indziej.

– Skończyłeś? – przypląnął tubalny głos z końca korytarza. Odwróciliśmy się i ujrzeliśmy kroczącą ku nam przełożoną.

– Tak. Skończyłem – bąknął Dwane, schylając się, żeby zebrać narzędzia.

– To dobrze – odrzekła przełożona. – Cóż, nie pozwalamy tu na odwiedziny panów, więc znikaj już, kochanie.

– Do zobaczenia wieczorem, Florence – zawołał Dwane, odchodząc.

42

Sally

Roy Greenwood poprosił o spotkanie. Znowu. Słowo daję, co jest nie tak z tym człowiekiem? To ostatni mężczyzna, z którym chciałabym dobrowolnie spędzać czas, teraz nie wyglądało jednak, bym miała wybór.

Mieszkał z matką w dużym szeregowcu blisko domu pogrzebowego. Byłam piętnaście minut spóźniona i spóźniłabym się jeszcze bardziej, gdyby Mary nie wypchnęła mnie za drzwi z kolejnym komentarzem w stylu „lepiej mieć to z głowy”.

Dziewczęta szalały. Nie mogłam ich winić, ale zaczynałam czuć, że nie mam kontroli nad własną rodziną. Luna nie chciała jeść podwieczorku, oznajmiła, że nie pójdzie do szkoły wraz z początkiem nowego roku, a kiedy Cassie opisała konsekwencje – przedstawiła szczególnie dramatyczną wersję interwencji służb społecznych, zabranie z domu i wysłanie do rodziny zastępczej – oświadczyła, że wolałaby to niż udrękę, jakiej doświadcza teraz.

Gdy patrzyłam, jak moja młodsza córka płacze, podjęłam decyzję. I to było kolejnym powodem, że odpowiedziałam na wezwanie Roya Greenwooda. Jedyńm tak naprawdę. Greenwood nie miał żadnego prawa wzywać mnie do siebie, lecz powiedziałam sobie, że to ostatni raz.

Otworzył drzwi tak szybko, że chyba musiał się przy nich czaić. Pochylił się i zanim się zorientowałam, co zamierza, cmoknął mnie w policzek, a wprowadzając do środka, otoczył ramieniem w pasie.

– Do bawialni – zaprosił. – Po twojej prawej. Matko, przyszła Sally – powiadomił, wchodząc za mną do dużego zagraconego, staroświecko urządzonego pokoju, w którym unosił się zapach perfum konwaliowych i alkoholu. – Nie potrzebujesz iść do kuchni, dopilnować ostatnich przygotowań do kolacji?

Matka Greenwooda spojrzała na mnie z fotela przy kominku.

– Nie, nie potrzebuję – odpowiedziała. – Hej, Sally, moja droga. Jak sobie radzisz?

– Pozwól, że ci pomogę. – Roy nachylił się nad matką i ją podniósł. Zachwiała się, kiedy stanęła prosto.

– No, tylko spokojnie – burknął Roy. Przez twarz jego matki przemknął grymas bólu. Domyśliłam się, że syn musiał trzymać ją bardzo mocno, wbijając palce w ciało.

– Roy.

Jego głowa gwałtownie odwróciła się w moją stronę.

– Nie przeszkadza mi obecność twojej matki – powiedziałam. – Nie mam przed Grace żadnych tajemnic.

Oczy kobiety strzelały między nami. Była chuda i krucha jak wyschnięte źdźbło trawy. Greenwood mógłby złamać ją w pół w sekundę.

– Ach, ale ja mam – odrzekł.

Znów przyplął do mnie mdlący zapach perfum Grace, kiedy Roy przepychał ją do drzwi. Zamknął je za nią i odwrócił się do mnie. Na czoło opadło mu cienkie pasmo włosów. Strzepnął je i spróbował się uśmiechnąć, ale to był dla niego zbyt wielki wysiłek. Udało mu się jedynie szyderczo wyszczerzyć zęby.

– Usiądź, moja droga – zaproponował.

– Chciałeś się ze mną widzieć, Roy. – Nie usiadłam, zostałam na stojąco. – Nie mam wiele czasu. Muszę wracać do córek.

Stał nie dalej niż trzy kroki ode mnie, patrzył na mnie, ale oczy miał puste, bez wyrazu. Były jak oczy Cassie, kiedy lunatykowała, tylko że oczy Cassie były zawsze piękne, a Roya wyglądały na zimne i martwe. Gapił się tak długo, że zaczynałam podejrzewać, że dostał jakiegoś...

– Roy, wszystko z tobą w porządku?

Zamrugnął i powrócił do życia.

– Naturalnie, czekam tylko, aż usiądziesz.

Opuściłam się na fotel, przysiadając na brzeżku. Roy, kiedy sam siadał, uśmiechał się do siebie.

– Rozmyślałem o naszej ostatniej rozmowie – zaczął.

– Ja też o niej myślałam – weszłam mu w słowo. – I postanowiłam, że wyprowadzę się z Sabden. Dom można wystawić na sprzedaż. Dowiem się u prawnika, ile z niego jest moje, ile twoje, ale nie stać mnie na dalsze płacenie tak wysokiego czynszu. Zresztą ten dom i tak jest dla nas za duży.

– Obawiam się, że to niemożliwe, Sally – skomentował.

– Jak to niemożliwe? Przecież nie jestem niczym więźniem.

– Dom może pójść na sprzedaż tylko wtedy, gdy ja zdecyduję się go sprzedać.

– O tym zadecyduje prawnik. Ale czy sprzedamy dom, czy nie, nie możesz nas zmusić do pozostania. Mogę podjąć pracę akuszerki wszędzie indziej.

– Przemyślałem sprawę czynszu – oznajmił.

– Co to znaczy przemyślałeś?

– Jestem gotów go zawiesić na jakiś przewidywalny czas. Wiem, że jest ci teraz trudno, Sally. Chcę ci też wypłacać dywidendy z firmy. Powiedzmy, dwadzieścia funtów tygodniowo.

To było mniej niż zarabiał Larry, ale wystarczyłoby, mniej lub bardziej, na codzienne życie. Na rachunki, jedzenie, ubrania i nawet na wynajęcie Mary, choćby na kilka godzin dziennie.

– Dlaczego miałbyś coś takiego zrobić?

– Mieszkanie tutaj nie służy płucom mojej matki – odparł. – Całą zeszłą zimą kaszlała. Myślałem o przeniesieniu się gdzieś na pogranicze miasta.

Nie byłem pewna, dokąd to zmierza, ale wiedziałam, że ogólny kierunek zupełnie mi nie leży.

– Ty teraz masz sporo wolnych pokoi – ciągnął. – Poza tym dom jest w końcu mój.

– To nie jest dobry pomysł.

– Jeśli martwisz się o kwestie przyzwoitości, to się nie martw. Matka będzie wystarczająco szanowaną przyzwoitką. A z czasem, kto wie.

Wstałam.

– Zastanów się nad tym – dodał. – Pewnie byłabyś zadowolona, mając blisko towarzystwo dorosłych. A w międzyczasie osobiście będę ci dostarczał twoją część zysków z firmy. Powiedzmy w piątki, o dziewiętnastej? Co ty na to?

Przeszłam do drzwi i otworzyłam je. W holu rozległ się nagły hałas, ale kiedy wyjrzałam, nikogo tam nie było.

Zatrzymałam się na progu.

– Nigdy niczego nie podejrzewałeś, Roy? Przez te wszystkie miesiące, kiedy przyprowadzał dzieci do zakładu? Jak to możliwe, że działa się to tuż pod twoim nosem?

Roy zeszywniał.

– Wielu mogłoby to samo powiedzieć o tobie, Sally. W zasadzie to mówią. Ludzie gadają, że dostarczyłaś środki do obezwładnienia ofiar, że robiłaś ich gliniane podobizny. W komisariacie rozważają pomysł oskarżenia cię o współudział. Wiedziałaś o tym?

Nie mógł tego wiedzieć. Kłamał.

– Na twoim miejscu uważałbym, nie kołysałbym zbyt wieloma łodziami, moja droga. Byłoby źle dla dziewczynek, gdyby straciły oboje rodziców, nie sądzisz?

43

Florence

Zaczynało zmierzchać, kiedy podziękowałam Avril i Daphne za cudowny wieczór i pożegnałam się. Posłałam im całusa, wsiałam na rower i ruszyłam w dół wzgórza.

Zmierzch, nazywany w Sabden furtką dnia, oznaczał, że ciepłe złote promienie zachodzącego słońca coraz bardziej bladły, robiło się szaro, cienie się wydłużały. Na wrzosowiskach szybko robi się chłodno i o zmierzchu większość ludzi zamyka drzwi i okna. Przesady, wciąż w tym miejscu dobrze się mające, te, z których powstała legenda o wiedźmach z Pendle, sprawiały, że niektórzy starsi mieszkańcy, kiedy zmierzchało, zamykali domy nie tylko ze strachu przed chłodem.

Na szczycie Laurowego Nasypu zapięłam rower łańcuchem i w blasku wschodzącego na południowo-wschodnim niebie półksiężyca, weszłam na ścieżkę prowadzącą przez wrzosowiska na tyły Black Moss Manor. Chciałam zobaczyć dom dziecka wtedy, gdy zarządcy nie wiedzą, że są obserwowani. Nawet bez szalonych oskarżeń Marigold coś mi się w tym miejscu bardzo nie podobało.

Do chwili, gdy dotarłam na zaplecze dworku, była już prawie dziewiąta wieczorem. Tuż za murem rosły klony, chude i wrzecionowate, z liśćmi nakrapianymi grzybem. Po kilku minutach odkryłam, że mogę się na jedno z tych drzew wdrapać. Szło mi wolno – jeszcze się nie przyzwyczaiałam, że jedną dłoń mam okaleczoną – ale w końcu wspięłam się na tyle wysoko, że mogłam wyjrzeć ponad murem.

Kolejny raz uderzyła mnie panująca tu nienaturalna cisza. Na tyłach domu nie było żadnych zabawek. Żadnych huśtawek, zjeżdżalni czy bramek, żadnych skakanek, kręgli czy piłek.

Drzwi ganku otworzyły się i z budynku wysypały się dzieci. To, które szło na przedzie, wyglądało na około dwunastoletnie; najmniejszy był mały Robbie Brown. W sumie doliczyłam się osiemnaściora, a potem wyszła kobieta – ta, którą w myślach zaczęłam nazywać Sandrą. Drzwi się zamknęły. Sandra dmuchnęła w gwizdek i

poprowadziła dzieci po dużym okręgu wzdłuż obrzeża ogrodu. Kiedy dotarła do muru, podniosła ręce i zaczęła nimi obracać w tył. Dzieci ją naśladowały. Zmieniła kierunek, zaczęła obracać rękoma do przodu i dzieci ponownie zaczęły kopiować jej ruchy.

Były ćwiczone jak zwierzęta w zoo.

Gdy tylko to pomyślałam, mały Robbie potknął się i przewrócił. Wystraszony, szybko próbował się podnieść, ale wcześniej dotarła do niego Sandra. Usłyszałam plaśnięcie jej dłoni na jego odsłoniętej nodze. Robbie się rozplakał. Kobieta znów podniosła rękę. Robbie przestał płakać.

Uświadomiłam sobie, że się trzęsę. Oczywiście kary cielesne to powszechny sposób dyscyplinowania dzieci. Mogłabym zgłosić, że widziałam, jak ktoś dał dziecku klapsa, ale na posterunku nikt nawet nie mrugnąłby okiem. Takie rzeczy się zdarzały. Mnie bardziej niepokoiła bezduszość tego, co się tutaj działo. Automatycznego zachowania dzieci wyzutych z radości i chęci do zabawy.

To właśnie to było złe w tym miejscu. Dzieci nie zachowywały się jak dzieci. Nie biegały, nie krzyczały, nie biły się. Nie bawiły.

Dzieci jeszcze kilka razy okrążyły ogród, a potem Sandra ustawiła je w szeregu wzdłuż ściany domu i pojawił się jakiś mężczyzna. Nie Frederick Aster.

Sandra i dzieci przyglądali się, jak mężczyzna niesie stos stożków i ustawia je na ziemi w linii prostej. Przypomniało mi to test na zręczność ze szkoły, kiedy, żeby dowieść, jak dobrze potrafimy sterować rowerem, musieliśmy przejechać nim między stożkami. Tylko że odstępy w tej linii stożków nie były równe. Niektóre miały dwa metry, inne mniej niż jeden.

Jedno z dzieci zostało wywołane przed szereg. Dziewczynka, około dziesięcioletnia, stała, patrząc na wprost. Z bijącym sercem przyglądałam się, jak Sandra podchodzi do niej i przewiązuje jej oczy kawałkiem materiału.

Potem Sandra odsunęła się, dmuchnęła w gwizdek i dziewczynka zaczęła iść przed siebie. Szła prosto na pierwszy stożek. Zbliżyła się do niego i krok przed nim zatrzymała. Potem dała krok w prawo i znów ruszyła. Podeszła do następnego stożka, przystanęła, zrobiła dwa kroki w lewo. Znowu zaczęła iść na wprost.

Reszta dzieci uważnie ją obserwowała, a dorośli uważnie obserwowali dzieci. A dziewczynka z przewiązanymi oczami szła dalej, podchodziła do stożków i omijała je, mimo że nie miała możliwości ich widzieć. Kiedy z sukcesem wyminęła trzeci, wiedziałam, że szanse na to, aby mogła zapamiętać odległości między stożkami były znikome. Minęła czwarty stożek. To było niemożliwe. Dziewczynka musiała coś widzieć.

Ruszyła dalej, ale już mniej pewnie i piąty stożek trąciła stopą. Sandra gwizdnęła. Dziewczynka zatrzymała się, chyba żeby się skoncentrować i znów ruszyła. Wyminęła szósty stożek i została uwolniona od przepaski na oczach.

Następne dziecko, tym razem chłopiec, zajął miejsce dziewczynki i rozpoczął tę samą dziwną zabawę w omijanie stożków na ślepo. Udało mu się przejść sześć, zanim jeden strącił. Trzecie dziecko, bardzo mała dziewczynka, zdołała ominąć tylko cztery.

Nie miałam najmniejszego pojęcia, co te dzieci robiły. Mężczyzna zmieniał odległości między stożkami przy każdej zmianie dziecka. One po prostu nie miały czasu zapamiętać usytuowania stożków, a poza tym chodzenie na ślepo jest ogromnie dezorientujące. Po czwartym dziecku rozległ się gwizdek sygnalizujący koniec zabawy i dzieci odprowadzono do domu.

44

Sally

Otworzyłam drzwi szopy i odszukałam skrzynkę z moimi słojami i świeczkami. Trzęsłam się, kiedy ją podnosiłam.

Byłoby źle dla dziewczynek, gdyby straciły oboje rodziców.

Jak on śmie mi grozić? Tylko z drugiej strony, kto by Greenwooda brał na poważnie?

Tuż za drzwiami przystanąłam. Trzy ofiary Larry'ego – Susan, Stephen i Patsy – im wszystkim podano coś na sen. Kiedy się ocknęli, byli w trumnach, zakopani głęboko pod ziemią. Niewyobrażalnie okrutna śmierć.

Larry nie był zielarzem. Nie pracował w zawodzie medycznym, nie miał dostępu do wszelkiego rodzaju środków uspokajających. To całkiem logiczne, że policja będzie się zastanawiała, jak on to zrobił.

Ja mogłam to zrobić. Nic łatwiejszego na świecie.

Wyobraziłam sobie śledczego stojącego w drzwiach mojej spiżarni, rozglądającego się po półkach z butelkami, słoikami, tubkami i fiolkami. Nalewka z pokrzywy na problemy skórne, herbatka ze skrzypu na choroby dróg moczowych, okład z przytuli do jamy ustnej i na gardło, i dziesiątki innych.

– Czy te wszystkie nalewki i mikstury są nieszkodliwe, pani Glassbrook? – spytałby ten sarkastyczny policjant, ten Sharples, sięgając po butelkę z kordialem z tojadu. – Gdybym dał to pani córce i powiedział „wypij całe”, nic by się jej nie stało?

Łyk nalewki z tojadu, nazywanego też mordownikiem, zabiłby dorosłego mężczyznę. Rośliny zabijają i leczą, ale czy mogłam się spodziewać, że policja to zrozumie? Dla śledczych moja spiżarnia byłaby pomieszczeniem pełnym trucizn.

Napełniłam miskę solą i wodą, żebym mogła oblać nią ziemię wokół domu, w odstępach ustawiając zapalone świece. Utworzenie ochronnego kręgu to pierwszy krok przy większości zaklęć. Zapaliłam pierwszą świeczkę i potem następne.

Gdy wróciłam do domu, w pierwszym odruchu chciałam uciekać. Gdyby dziewczęta

nie spały, zrobiłabym to, jestem pewna, ale były w swoich pokojach, jak twierdziła Mary, która nie widziała ich ani nie słyszała od ponad godziny. Wyrywanie ich ze snu byłoby paskudnym posunięciem, a poza tym ucieczka wyglądałaby jak przyznanie się do winy, nawet ja to wiedziałam. Zresztą, dokąd miałybyśmy pójść?

Lejąc wodę z solą, obeszałam cały dom. Przy każdym zapalaniu świeczki wizualizowałam sobie, że światło wznosi się w górę, zakrzywia nad dachem i spotyka ze szlakiem z soli po drugiej stronie. Tworzyłam nad domem kopułę ochronną.

– Córki nocy, wysłuchajcie mojej modlitwy. – Zapaliłam ostatnią świeczkę. – Siostry księżycy, udzielcie mi swojego błogosławieństwa. – W domu zamierzałam zapalić kolejne świece, narysować solą pentagram i skropić płomień kroplami własnej krwi. Ciemna magia nigdy mnie nie pociągała, ale byłam gotowa przekląć każdego, kto próbowałby skrzywdzić moje dzieci. Na sekundę przed wyjściem od Greenwooda, dotknęłam go i przeciągnęłam ręką po jego ramieniu.

– Pyłek – skłamałam.

Wyglądał na zadowolonego, nawet lekko triumfującego, myślał, że próbuję go ułagodzić. Nie widział tłustego czarnego włosa, który chwyciłam w palce.

Za mną zachrząścił żwir. Szybko się odwróciłam i zobaczyłam Cassie, chciała wskoczyć w zarośla rosnące z boku podjazdu. Zobaczyła mnie i się zatrzymała.

– Co ty kombinujesz? – spytałam. – Mary mówiła, że już się położyłaś.

Cassie wydeła usta jak małe dziecko.

– Mamo, już dłużej nie zniosę tego bycia zamkniętą przez całe dni. Zwariuję od tego.

– Nie możesz wychodzić sama.

Podeszła do mnie, wolno, naburmuszona.

– Nie byłam sama.

– Nie? A kto z tobą był?

Spuściła głowę, lecz wcześniej zdążyłam dostrzec cień uśmiechu.

– Nieważne.

– Ważne. Cassie, to są ludzie, którzy nas nienawidzą.

– To byli tylko koledzy ze szkoły. – Spojrzała ponad moim ramieniem na świeczki. – Robisz krąg ochronny?

Kiwnęłam głową.

– Mogę pomóc?

Poczułam, że nie mam sił na dalszą sprzeczkę. Opadałam z energii, a bez niej zaklęcie nie miało szans się udać.

– Idź i obudź swoją siostrę – poleciłam. – Do tego potrzebna będzie cała nasza trójka.

45

Florence

Już prawie wróciłam do roweru, gdy nagle przypomniałam sobie o kopercie, którą wcześniej tego wieczoru wetknęłam do kieszeni. W środku był krótki liścik, na tanim liniowanym papierze, i wizytówka. Wizytówka była wygnieciona, wyglądała na wiele razy przekazywaną. Jedną trzecią jej powierzchni zajmowała kaskada gwiazdek, na reszcie były adres, imię – „Hecate” i jedno zdanie: „Pracuję wieczorami”. Dołączona wiadomość brzmiała: „Mam informacje o sprawie Larry’ego Glassbrooka”.

Adres był z części miasta, którą ledwie znałam. Rewir czwarty, sławny z bójek i prostytutki. Młode policjantki nigdy nie były tam wysyłane. Zwłaszcza w nocy.

Pracuję wieczorami.

Niepokój zaczął mnie ogarniać, jeszcze zanim dotarłam na miejsce. Gęsta sieć domów szeregowych charakteryzująca dużą część Sabden, tutaj rzedniała. Niektóre z domów miały okna zabite dyktą, podwórka były opustoszałe. Z przepelnionych śmietników wylewały się śmieci, których nikt nie sprzątał.

W pobliskim wąwozie bulgotała rzeka. Na przeciwległym brzegu rozciągał się miejski zbiornik retencyjny, wielka połać czarnej wody. Były tu też tory kolejowe i duży most łączący brzegi wąwozu. Na nasypie przy rzece stały trzy małe domy. Ulica nazywała się Railway Bank, choć tablica z nazwą dawno stąd zniknęła.

Podeszłam do domu z numerem trzecim i zapukałam. Drzwi się otworzyły.

Kobieta na progu wyglądała na jakieś trzydzieści lat. Była w spódnicy do kostek i bawełnianej bluzce z odsłoniętymi ramionami. Chyba jeszcze nigdy nie widziałam u nikogo tak długich włosów. Sięgały do połowy uda i były jaskraworude.

– Posterunkowa Lovelady – przedstawiłam się.

– Wiem – odpowiedziała kobieta. – Witaj. Proszę tędy.

Powinłam była komuś powiedzieć, dokąd się wybieram, a nie powiedziałam. Mimo to poszłam za kobietą ciemnym korytarzem do pokoju na tyłach domu. Był mały i

kwadratowy, oświetlony ogniem z kominka i lampką o przyćmionym świetle. Przy stole, układając karty, siedziała dziewczynka około piętnastoletnia, na tyle podobna do kobiety, że mogłam mieć pewność, iż to jej córka. Kiedy podeszłam bliżej, zobaczyłam, że na kartach są obrazki: piękne, kolorowe, z królami i damami, mieczami i gwiazdami.

– To Perdita – przedstawiła matka córkę.

– Witaj, Perdito. Ja mam na imię Florence.

Dziewczyna ułożyła karty w okręgu; grupa trzech na środku leżała wierzchem do dołu. Ignorując mnie, dziewczyna odwróciła jedną z nich.

– Ona wróży – poinformowała jej matka. – Głupiec. Ciekawe.

– To o mnie? – zapytałam.

– Głupiec reprezentuje nowe początki, optymizm i zaufanie życiu – odpowiedziała. – Więc tak, powiedziałabym, że o tobie.

Podniosła dłoń, żeby mnie uciszyć, i patrzyłyśmy, jak dziewczyna odwraca pozostałe karty. Na drugiej kościotrup siedział na szkielecie konia, w ręku trzymał ogromną kosę. Na trzeciej i ostatniej była waląca się wieża, z buchającym z okien ogniem.

– Śmierć i Wieża – wymamrotała Hecate. – Masz przed sobą czas pełen wyzwania.

– Cóż, wobec tego lepiej, żebym wróciła do domu i trochę się przespała. – Ta kobieta to zmarnowany czas, byłam głupia, że tu przyszłam. – Dziękuję za interesujący pokaz.

– Nie zaprosiłam cię tu dla tarota – oznajmiła Hecate.

– W takim razie po co?

Kobieta odwróciła się do toaletki za sobą. Pokój był tak mały, że prawie wszystkiego w nim mogłam dotknąć, nie ruszając się z miejsca.

– To ty – oznajmiła Hecate, podnosząc egzemplarz „Lancashire Morning Post”. Artykuł w nim był aktualizacją informacji o zatrzymaniu Larry’ego, a dołączone zdjęcie przedstawiało mnie podczas prowadzenia śledztwa.

– I co w związku z tym?

– Trzy razy zostawiałam tę gazetę zamkniętą. Trzy razy wracałam do pokoju i gazeta była otwarta. Na tej stronie.

Znów spojrzałam na tekst, potem na dziewczynkę, Perditę.

– Cóż, nie mieszkasz sama – przypomniałam.

– Ktoś próbuje do ciebie dotrzeć – odpowiedziała Hecate. – Ktoś z drugiej strony.

– Obawiam się, że nie wierzę w te rzeczy. I jest już bardzo późno. Proszę wybaczyć, ale już pójdę.

Ruszyłam do drzwi, ale Hecate nie zeszła mi z drogi.

– To nie odpuści – oznajmiła. – Przyszło do ciebie wczoraj w nocy.

No nie, pielęgniarki z hostelu są bardziej przepuszczalne niż sito.

– Masz pojęcie, jakiego nakładu energii potrzebują duchy, żeby mogły wpłynąć na środowisko fizyczne? Wyczerpuje je już samo poruszenie płomieniem świecy, tak aby zamigotała. Ten duch przełożył strony gazety trzykrotnie i zostawił napis na twoim lustrze. Nie możesz tego zignorować.

O tak, mogłam.

– Mówiłaś, że masz informacje o sprawie Glassbrooka. Marnowanie czasu policji jest karalne.

Podniosła gazetę, jakby ta była wystarczającym dowodem.

– Naprawdę oczekujesz, że będę się konsultowała ze światem duchów? – spytałam z niedowierzaniem. – Stałabym się pośmiewiskiem całego posterunku.

– Więc nikomu nic nie mów. Spytaj swoje przyjaciółki, Avril Cunningham i Daphne Reece. One za mnie poręczą.

Zastanowiłam się nad tym.

– Dam ci dziesięć minut. Potem wychodzę.

Hecate wyprowadziła mnie z powrotem na korytarz i zaprowadziła do pokoju frontowego, tam włączyła przyćmione światło. Ściany w pokoju były pomalowane na ciemny fiolet. Zasłony też były ciemne i ciężkie, a oświetlenie tak słabe, że kąty pokoju rozpływały się w nicości. Nie stała tam żadna kanapa, żaden fotel, jedynie duży okrągły stół z sześcioma krzesłami dokoła niego.

– Jestem medium. – Hecate pokierowała mnie do nierozpalonego kominka. Na ruszcie stały grube kościelne świece, nad gzymsem wisiało wielkie lustro zakryte czarną cienką materią.

– Popatrz w lustro – poleciła Hecate. Zobaczyłam, że klęka i usłyszałam trzask zapałki.

Przez czarną gazę ujrzałam swoje patrzące na mnie odbicie. Rozwadniające obraz działanie zasłonki sprawiło, że wyglądałam starzej, ale zarazem ładniej. Świece, które Hecate zapaliła, rzucały migoczące światło, które okoliło moją twarz. Wyglądałam trochę – tylko trochę – jakbym się paliła.

– Zajrzyj w lustro głęboko – powtórzyła Hecate. – Patrz w nie, a nie na nie. Staraj się spojrzeć za swoją twarz, na to, co jest po drugiej stronie.

To nie miało sensu, ale spróbowałam patrzeć bez skupiania wzroku.

– Tutaj na błogosławionym progu, gdzie dusza i ciało są jednym, wzywam was, zagubieni. Proszę dołączcie do mnie i podzielcie się swoją mądrością.

Wciskała mi coś do ręki.

– Rzuć płatki w płomienie – szepnęła mi do ucha. – To ofiara dla duchów. Prześlij im wraz z nimi swoją energię. Tyle ile jesteś w stanie poświęcić.

Cóż, raz kozie śmierć. Rzuciłam płatki i usłyszałam ciche syczenie, gdy niektóre z nich dotarły do płomieni. Pomyślałam o momentach, gdy byłam w swojej najlepszej formie – wygrany bieg w szkole, dzień ukończenia studiów, gdy trzymałam na rękach nowon arodzonego synka Marigold, gdy kochałam się z Tomem – i dobrym, i pozytywnym emocjom, które obudziły się wraz ze wspomnieniem tych wydarzeń, pozwoliłam spłynąć w dół razem z płatkami.

– Przyzywam cię zza tej czarnej zasłony – kontynuowała Hecate. – Zza czarnego lustra, przyjmij nasz podarunek. Przyjdź do nas i daj znać, że z nami jesteś.

W odpowiedzi w lustrze zatańczyło odbite w nim światło świec. Pomarańczowy blask rozprzestrzenił się i przez ułamek sekundy moja twarz przybrała wyraz przeraźliwej bóleści lub strachu. I wtedy Hecate zaczęła mówić.

– Och, to boli. Nikt nie powiedział, że będzie tak bolało.

Głos wydobywający się z ust Hecate nie mógł się bardziej różnić od jej prawdziwego głosu. Zaskoczona, odwróciłam się, ale nie patrzyła na mnie, tylko w sufit.

– Możesz coś zrobić? Proszę, to tak bardzo boli.

Głos był wysoki i delikatny, był głosem o wiele młodszej kobiety. Albo dziecka.

Cofnęłam się i na nogach poczułam gorąco świeczek. Znów zmieniłam miejsce, obeszałam stół. Myślałam, że Hecate każe mi się nie ruszać, ale wyglądało na to, że zupełnie o mnie zapomniała. Znowu zaczęła mówić.

– Nie mogę tego zrobić. To za bardzo boli. Proszę, tylko mi pomóż.

Ona udaje, pomyślałam. Ona gra, jak aktorka.

Wtedy z ust Hecate wydarł się wysoki pisk. Tak, była doskonałą aktorką. Nowy głos brzmiał zupełnie inaczej.

– Kim ty jesteś? – spytałam, raczej nie oczekując odpowiedzi.

Hecate odwróciła się do mnie, w przyćmionym świetle jej oczy wydawały się całkowicie czarne.

– Wiesz kim. – Roześmiała się, a ja poczułam chęć podbiegnięcia do okna i sprawdzenia, czy da się przez nie uciec. – Jestem Wendy.

Och, to niedorzeczne. Ktoś musiał jej powiedzieć o traumatycznym porodzie Marigold na posterunku poprzedniej nocy, o tym, że mówiła, że zmarła jakaś Wendy. Bez wątplenia był to ktoś z posterunku, jeden z moich tak zwanych kolegów. Nie pierwszy raz padałam ofiarą tego rodzaju pokręconych żartów.

Hecate odrzuciła głowę w tył i znów zawyła.

– Nie mogę. Błagam, pomóż mi. Proszę, zrób coś!

I krzyknęła, tak głośno, tak rozpaczliwie, że straciłam całą zimną krew.

– Przestań – rzuciłam ostro. – To jakiś absurd.

Jej usta znów się otworzyły, a ja przyszykowałam się na nowy krzyk, ale to, co usłyszałam, było o wiele, wiele gorsze. Hecate wydała wysoki piskliwy dźwięk – płacz i krzyk noworodka.

– Przestań! – wrzasnęłam. Nie mogłam się powstrzymać. Byłam kompletnie rozbita.

Hecate zadrżała, jakby wybudzała się z głębokiego snu.

– Co się stało? – spytała.

Jakby nie wiedziała.

– Zejdź mi z drogi albo zaaresztuję cię za marnowanie czasu policji. – Przepchnęłam się obok niej i otworzyłam drzwi.

– Florence!

Nadal wściekła, odwróciłam się na progu.

– Nie odchodź w gniewie – zabierzesz tę energię ze sobą.

Wyszłam z tego domu, wsiałam na rower i odjechałam. I jechałam szybko, często się za siebie oglądając.

46

Sally

Po zaklęciu ochronnym powinnam była poczuć się lepiej. Ale tak nie było. Roy mnie przeraził. Od zaareztowania Larry'ego minął zaledwie miesiąc. Policja nadal wszystko badała, zastanawiała się, jak on to zrobił, dlaczego to zrobił. Jeśli mieli pytania, na które nie potrafił odpowiedzieć, skupią się na kimś innym. Na mnie.

Zaczęłam myśleć o Cassie i Lunie beze mnie, o tym, co się z nimi stanie. W Szkocji mieszkała siostra mojej matki, ale prawie jej nie znałam. Nie mogłam liczyć, że przygarnie dziewczęta. Zostaną sierotami, a ja widziałam wystarczająco wiele młodych kobiet wychowujących się w domach zastępczych, by wiedzieć, że to zniszczy moje bystre, wrażliwe, pokręcone córki.

Po tym, jak obie poszły się położyć, długo stałam w spiżarni i patrząc na półki do sufitu zastawione lekami ziołowymi, zastanawiałam się, czy powinnam się ich pozbyć. Wylać wszystko do zlewu i każdy słoik i butelkę roztrzaskać w drobny mak. Ale to by nic nie dało. Zbyt wielu ludzi wiedziało o mojej spiżarni. Niszcząc jej zawartość, wyglądałabym na bardziej winną, nie na mniej.

47

Florence

Środa, 6 sierpnia 1969

Następnego dnia rano do pracy pojechałam rowerem. Do początku zmiany została mi jeszcze godzina, zeszłam więc do piwnicy, gdzie mieściło się archiwum komisariatu. Na szczęście dla mnie archiwistka, kobieta o imieniu Kath, która pracę zaczynała o dziewiątej, była zarówno skrupulatna, jak i zorganizowana. Na jej biurku tuż za drzwiami leżał katalog odsyłaczy, w którym szybko odszukałam pozycję z Black Moss Manor.

Była tylko jednateczka, prawie pusta. Dwa z raportów, pojedyncze kartki, napisałam sama – były to krótkie opisy przekazania dziecka. Jeden z raportów dotyczył trzydziestoośmiomiesięcznego Roberta Browna. W teczce znalazłam też kilka notatek kolegów, wszystkie o podobnej treści.

Szukałam dalej, do tyłu, i znalazłam wycinek z miejscowej gazety. Było na nim zdjęcie, datowane na 9 lutego 1958 roku, z sześcioma mężczyznami w rzędzie, jeden w mundurze. Podpis pod zdjęciem powiedział mi, że mężczyzna w mundurze to inspektor Harold Devine z posterunku policji w Sabden, poprzednik Rushtona. W opisie podano, że wpływy z policyjnej kolacji charytatywnej zostały przekazane na rzecz domu dziecka Black Moss Manor. Pozostali mężczyźni na zdjęciu byli opiekunami prawnymi domu. Po lewej stronie Devine’a stał Roy Greenwood, były wspólnik Larry’ego z branży pogrzebowej; za nim mężczyzna o nazwisku Earnshaw, który sprawował funkcję przewodniczącego rady miasta, i jeszcze dalej – W.H.D. Booth, miejscowy radca prawny. Obok Booth’a stał niejaki Chadwick, z łańcuchem urzędniczym na szyi, potem Frost, właściciel i wydawca „Lancashire Morning Post”. Frederick Aster stał ostatni.

Chwila, chwila. Harold Devine? Przyjrzałam się bliżej wysokiemu, ciemnowłosemu mężczyźnie po czterdziestce. Przyglądałam się kształtowi jego głowy, linii szczęki,

długiemu, prostemu nosowi. Zupełnie jakbym widziała Toma, tylko dwadzieścia lat starszego. *Dlaczego nic mi nie powiedział?*

– A niech mnie kule biją, Florence Lovelady.

Podskoczyłam, wystraszona. Tak mnie pochłonęło szukanie informacji, że nie zwróciłam uwagi na otwierające się drzwi.

– Cieszę się, że cię znalazłem. – Tom zamknął drzwi i przekręcił klucz. – Przyszedłem wysłuchać twoich przeprosin. – Wyjął mi z ręki teczkę i przyciągnął mnie do siebie. – Wczoraj miałas straszny humor.

Jego dłoń powędrowała na tył mojej głowy, gdy się nachylił i mnie pocałował. Nawet nie próbowałam go powstrzymać. Tom potrafił sprawiać, że roztapiałam się z pożądania. Nie był w marynarce, a ja uwielbiałam czuć pod palcami ciepło jego koszuli. Pachniał Aramis i pierwszym papierosem dnia; najzwyczajniej nie mogłam się nim nasycić.

– Przeprosiny przyjęte. – Uśmiechnął się i odsunął. Mnie przypomniawszy się fotografia z jego ojcem, ale nie byłam pewna, czy powinnam o niej wspomnieć.

– Skąd wiedziałas, że tu jestem? – spytałam zamiast tego.

– Od sierżanta z recepcji. Co tu kombinujesz?

– Szukam informacji o Black Moss. To miejsce jest dziwne, Tom.

Dziwne miejsce, o którym mógł wiedzieć o wiele więcej, niż zdradzał. Uważnie go obserwując, opowiedziałam o swojej wczorajszej wyprawie.

Skrzywił się.

– Siedziałaś na drzewie?

Harold Devine nie był opiekunem Black Moss, tylko osobą przekazującą datki. To mogło nic nie znaczyć.

– Jak myślisz, jak te dzieci mogły obchodzić te stożki? – spytałam.

– Serio, na drzewie?

– Było dziwnie, nawet jeszcze zanim zaczęły tę zabawę ze stożkami. Te dzieci zachowywały się jak roboty. Wyglądały jakby były czymś odurzone.

Tom zmarszczył czoło.

– Może były zmęczone.

– Nie, to było coś więcej. Myślę, że powinnam to zgłosić.

– Czyli chcesz pójść do swojego sierżanta i powiedzieć, że bez niczyjej zgody, nieoficjalnie obserwowałaś w nocy szanowaną instytucję i że łączyło się to z włożeniem na drzewa? Jak, twoim zdaniem, zostanie to przyjęte?

Doskonale wiedziałam jak.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi, że twój ojciec był tu inspektorem przed Rushtonem? Jego zaskoczenie trwało jedynie sekundę czy dwie.

– Nigdy o to nie pytałaś.

– No tak, faktycznie, bo niby dlaczego miałabym pytać. Miło cię poznać, Tom, i przy okazji, przyjęli cię do pracy, bo masz kwalifikacje czy z nepotyzmu?

– Oj! Ojciec przeszedł na emeryturę wiele lat temu, na długo zanim zapisałem się do policji. Zapracowałem sobie na swoje miejsce tutaj, tak samo jak ty.

– Przepraszam. Po prostu byłem zaskoczona. To z powodu ojca zostałeś policjantem? Uśmiechnął się.

– Chciałem nim być od zawsze.

Też się uśmiechnęłam. Nie mogłam się powstrzymać.

– I co ja mam zrobić z Black Moss Manor? – spytałam.

– Nic.

Otworzyłam usta. Tom podniósł palec.

– Na razie. Daj mi się nad tym zastanowić.

48

Sally

Następnego dnia rano wyszłam, kiedy dziewczęta jeszcze spały, o czym upewniły mnie odgłosy ich głębokich oddechów. Bóg wiedział, że zazdrościłam im tej dodatkowej godziny unikania rzeczywistości. Ja nie miałam tyle szczęścia. Musiałam iść na dyżur medyczny dla matek z dziećmi organizowany w sali parafialnej kościoła św. Józefa. Chaos zaczął się już z chwilą otwarcia drzwi.

Godzinę później zamęt dokoła mnie trwał nadal, ale mnie mogło tam równie dobrze nie być, jeśli brać pod uwagę to, co robiłam. Ani jedna matka nie stanęła w kolejce do mojego stanowiska ważenia. Kolejki do innych położnych liczyły dużo ponad dziesięć osób, a mimo to nikt nie przechodził do mnie. Po kolejnej pół godzinie powiedziano mi, że lepiej, żebym przeszła na zaplecze i sprawdziła zaopatrzenie regałów.

Byliśmy w połowie dnia, kiedy wydarzyło się niemożliwe. W sali zaległa cisza. Nawet niektóre dzieci przestały płakać. Podeszłam do drzwi i zobaczyłam Roya Greenwooda, w pełnym pogrzebowym uniformie, idącego środkiem ku mnie.

– Sally – powiedział, a każda pojedyncza osoba w salce, nawet, daję słowo, cholerne dzieci, patrzyła na nas. – Mogę cię prosić na słówko?

– Jestem w pracy. – Ostatnie, czego chciałam, to wyjść stamtąd z Royem Greenwoodem. Coś mi podpowiadało, że mogłabym już nie wrócić. Na zewnątrz mogła czekać policja, żeby mnie zaaresztować, a Roya przysłali, żeby mieć pewność, że wyjdę bez oporu.

Przełożona stała w zasięgu słuchu. Czekałam, że powie, że Sally nie może wyjść, że jest potrzebna do badań, że Roy będzie musiał wrócić później. Nie powiedziała nic takiego, jedynie patrzyła z obojętnym wyrazem twarzy, jakbym nie miała z nią nic wspólnego.

Nikt nie odezwał się także wtedy, gdy wychodziłam z Royem z salki, żadna z tych kobiet, którym pomagałam już od ponad dwudziestu lat. Trzymałam je za rękę,

wycierałam czoła w najboleśniejszych, najbardziej przerażających chwilach ich życia, a one – ani jedna – nie posłały mi choćby przyjaznego uśmiechu. Niektóre nawet zdawało się cieszyć, że jestem wyprowadzana.

Na zewnątrz, w świetle dnia, przekonałam się, że Roy wygląda na chorego. Był blady, nawet jak na niego, skórę na twarzy miał dziwnie szklistą.

– W czym ci mogę pomóc, Roy? – zapytałam.

– Rozmawiałem z kimś z posterunku – zaczął. – Powiedzieli mi, że miałaś włamanie.

– Czy to nie powinna być poufna informacja?

Nachylił się do mnie, a ja ledwie się powstrzymałam, żeby się nie odsunąć.

– Sally, jestem głęboko zaniepokojony. Czy coś zginęło? Zdążyłaś się przyjrzeć włamywaczowi? Czy wyłamał zamki?

– Nie, na wszystkie trzy pytania – odparłam. – I jeśli chcesz pomóc, przekonaj swoich donosicieli z komisariatu, żeby traktowali moje zgłoszenia poważnie, kiedy dzwonię do nich w środku nocy.

Tego dnia nie było gorąco, a jednak na skroniach Roya pokazały się kropelki potu.

– Właśnie z tego powodu tu jestem – rzekł. – Rozmawiałem ze swoim prawnikiem, panem Boothem z W.H.D. Booth i Partnerzy. W ramach przysługi dla mnie zgodził się cię reprezentować. Dokumenty może mieć gotowe do podpisania już dzisiaj wieczorem.

– Dziękuję – odparłam. – Ale czy mogę się nad tym zastanowić?

Jego ciemne brwi zbliżyły się do siebie.

– A nad czym się tu zastanawiać? Sama mówiłaś, że chcesz porozmawiać z prawnikiem o swojej sytuacji.

Powiedziałam tak, to prawda. Ale myślałam o prawniku, który stanie po mojej stronie. Nie takim, który będzie trzymał stronę Roya.

– Idę ci na rękę, Sally – naciskał.

– Potrzebuję kilku godzin.

Westchnął ze zniecierpliwieniem i wyjął z kieszeni chusteczkę.

– Nie chciałem o tym wspominać, naprawdę nie chciałem – wymamrotał, wycierając czoło. – Ale dziś rano odwiedził mnie komornik. W zakładzie oczywiście. Akurat miałem spotkanie z rodziną niedawno zmarłego.

– A co to ma wspólnego ze mną?

– To nie ja jestem zadłużony, Sally, tylko Larry.

– Co takiego?

Pokręcił głową.

– Panie potrafia się wykazywać doprawdy szokującą ignorancją w kwestii spraw

toczących się tuż pod ich nosami.

– Ile?

Podniósł rękę.

– Kilkaset funtów. William – to znaczy pan Booth – zajmie się tym na razie, ale to tylko potwierdza dokładnie to, co mówiłem, Sally. Potrzebujesz zasięgnąć odpowiedniej porady.

Naprawdę miałam wielką ochotę posłać go do diabła, ale twierdził, że jest właścicielem mojego domu. I chciał mi dać pieniądze. Mogłam ich potrzebować, przynajmniej w najbliższej przyszłości. A teraz jeszcze te długi? Boże, kiedy to wszystko się skończy?

– Muszę się zastanowić – powtórzyłam z uporem. – Zadzwoń do ciebie wieczorem. Powiem ci wtedy, co postanowiłam.

Westchnął.

– Dobrze, Sally, i mam nadzieję, że podejmiesz rozsądną decyzję. Ale to nie zastąpi należytej ochrony domu. Naprawdę sędzę, że matka i ja powinniśmy się do was przeprowadzić, przynajmniej do czasu, aż minie to całe zamieszanie.

Kłamał. Gdyby się wprowadził, nigdy bym się go już nie pozbyła.

– Pamiętasz, co mówiłem wczoraj, moja droga? Szanowane osoby w domu pomogą uciszyć plotki. Nie podobają mi się niektóre rzeczy, które słyszę w mieście. Naprawdę mi się nie podobają.

Kolejne kłamstwo. Boże, spraw, żeby się okazało, że kłamie.

– Cóż, chyba powinienem pozwolić ci już teraz wrócić – rzekł. – Miłego dnia, moja droga.

49

Florence

W trzecim dniu po moim powrocie jedynymi reporterami, jacy zostali w mieście, byli ci z lokalnej gazety, więc pozwolono mi znowu wychodzić na patrole. Razem z posterunkowym Colinem Westem, który nigdy mnie nie lubił i nie widział powodu, żeby zmieniać zdanie tego poranka, obeszliliśmy rewir drugi, kilka matek z dziećmi przeprowadziliśmy bezpiecznie przez pasy i przekonaliśmy pewną starszą panią, że nie może całego dnia spędzać w przychodni, gawędząc z pacjentami, bo ci najczęściej wcale nie są w nastroju na pogaduszki.

Podczas przerwy szukałam Toma, ale nigdzie go nie było. Kwadrans przed końcem przerwy i moim powrotem na patrol w drzwiach stołówki pojawił się dyżurny z recepcji i przywołał mnie do siebie.

– Jakaś kobieta w recepcji do ciebie, Flossie – powiedział. – Mówi, że zostawiłaś coś u niej wczoraj wieczorem. – Z zaciśniętymi ustami podał mi wizytówkę. Spojrzałam na nią i zobaczyłam imię „Hecate” i kaskadę gwiazd.

– Nie chcę tego – mówił posterunkowy przy biurku, kiedy weszłam do poczekalni. – Zabierz to z powrotem do domu.

– Pokój z tobą – odparła Hecate, mimo wszystko próbująca przepchnąć coś po blacie. Była ubrana jak wczoraj, tylko ubranie było jeszcze bardziej wygniecione.

– Bo cię zatrzymam za śmiecenie – postraszył ją posterunkowy.

Zabrałam z blatu wiązkę uschniętych roślin.

– Chodź ze mną – powiedziałam, ruszając do wyjścia. – Odprowadzę cię do przystanku.

Drzwi zamknęły się za nami. Milczałam. Byłam zła na Hecate.

– Zakłócały ci sen, prawda? – Usiłowała za mną nadążyć, ale było jej trudno w cienkich sandałkach.

Spałam źle, dręczyły mnie dziwne sny o porodach i przerażających dzieciach zombie,

ale nie zamierzałam się do tego przed nią przyznawać.

– Czego chcesz, Hecate?

– Łatwiej im do nas dotrzeć, kiedy śpimy. Drzwi między naszym światem i ich są wtedy otwarte.

– Nie wierzę w kontaktowanie się ze zmarłymi – oznajmiłam. – A ty, jeśli jeszcze raz przyjdiesz na posterunek bez istotnego powodu, zostaniesz oskarżona o marnowanie czasu policji.

– Po twoim wyjściu Perdita jeszcze raz postawiła karty.

– Och, na litość boską.

Chwyciła mnie za ramię.

– Masz dar, Florence. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby ktoś tak łatwo nawiązał kontakt jak ty wczoraj. To ważne.

Popatrzyłam z gniewem na jej rękę na moim ramieniu. Zabrała ją. Obie się zatrzymałyśmy.

– No dobra, opowiedz mi o tym. Co tym razem wywróżyły mi karty?

– Wyciągnęła Księżyc, Sprawiedliwość i Kielich. Bardzo znacząca kombinacja.

Spojrzałam na zegarek.

– Myślimy, że jacyś ludzie – bardzo młodzi, bezbronni, prawdopodobnie dzieci – potrzebują twojej pomocy.

Chciałam się odwrócić i wrócić na posterunek, ale...

– I gdzie te dzieci są? – spytałam, bo coś do mnie dotarło. Policijni informatorzy bywają najróżniejsi.

Hecate pokręciła głową.

– Myślałam, że ty to będziesz wiedziała.

To naprawdę był zbyt wielki zbieg okoliczności, że po tym, jak zaczęłam rozpytywać o Black Moss Manor, ktoś chce rozmawiać ze mną o dzieciach w niebezpieczeństwie.

Zniżyłam głos i powiedziałam:

– Jeśli chcesz zeznać o czymś w tajemnicy, mogę to załatwić. Jeśli nie chcesz zeznawać, zrozumieć. Ale w każdym przypadku potrzebuję czegoś więcej niż jedynie niejasne wiadomości ze świata duchów.

Hecate rozejrzała się dokoła, co wzmogło moje podejrzenie, że rzeczywiście chciała mi coś przekazać, tylko się bała.

– Perdita na coś wpadła – oznajmiła. – Na coś, co jej zdaniem starały się jej powiedzieć karty.

Okej, możemy posłużyć się kartami tarota i seansami, skoro inaczej się nie da.

- I cóż to jest takiego? – Naprawdę bardzo się starałam nie mówić z kpiną w głosie.
- Trucizna – szepnęła Hecate. – Zdaniem Perdity one są trute.
- Aha – mruknęłam.

Nie miałam pojęcia, czy padam ofiarą nonsensownego oszustwa, czy dostaję użyteczny cynk.

- One pojawią się znowu – dodała Hecate. – Teraz, kiedy już cię znalazły.

Może to była sprawa niewyspania, ale kątem oka dostrzegłam przemykający cień.

- Muszę wracać – oświadczyłam. – Dzięki za współpracę.

– Wiesz, gdzie mnie w razie czego szukać – odpowiedziała Hecate. – One cię już teraz nie zostawią.

Odwróciłam się i odeszłam.

- Zglądaj do luster! – zawołała za mną.

Cholera jasna. Nie mogłam pozwolić, żeby ta kobieta mnie wystraszyła.

50

Sally

Kiedy wróciliśmy na porodówkę, spytałam, czy mogę skorzystać z telefonu. Przełożona nie chciała się zgodzić, dopóki nie powiedziałam, że potrzebuję znaleźć prawnika, i postawiła warunek, że mam zapłacić za wykonane połączenia. Wydawało się jednak, że głównie liczyła na nowy materiał do plotek.

Usiadłam po drugiej stronie jej biurka, pod jej baczny okiem, bo nie chciała wyjść, i wykonałam siedem telefonów do siedmiu kancelarii prawniczych. Po tym jak dwie pierwsze z Sabden mi odmówiły, przerzuciłam się na kancelarie z Burnley. Niczego to nie zmieniło. Wszyscy na północnym zachodzie słyszeli o Larrym Glassbrook. Nikt nie chciał mieć nic wspólnego z jego żoną. Po siódmej odmowie nie miałam już więcej sił dzwonić.

– Przemyśl jeszcze raz to, co powiedziałam w poniedziałek, Sally – rzuciła do mnie przełożona, kiedy zbierałam się do wyjścia. – Krótki urlop mógłby wszystkim wyjść na dobre.

Wyszłam ze szpitala i poszłam pod tory kolejowe. Były ogrodzone, nie mogłam wspiąć się na nasyp, ale widziałam rosnące na nim polne kwiaty, które przypominały mi, że jeszcze nie cały świat zamienił się w szkaradztwo.

Miałam pewną zasadę – gdy wpadałam w przygnębienie, patrzyłam w górę. Błękitne niebo, białe obłoki, silne drzewa, to wszystko potrafi podnieść na duchu. Tego poranka napawałam oczy fioletowymi gronami miododajnej wierzbówki, a nozdrza zapachem kwiatów budlei. Robiły się już jednak brązowe, powoli gniły, tak jak ostatnio moje życie.

Miesiąc temu liczyłam się, żyłam po coś. Ludzie cieszyli się na mój widok, polegali na mnie. Teraz nie mogłam przejść się po mieście, żeby ktoś nie zaczął o mnie szeptać, krzyżeć na mnie, a nawet opluwać. W tłumie byłam popychana, więcej niż jedna koleżanka odmówiła pracy ze mną, i to wszystko robione było z nieukrywaną radością.

Ale działo się coś więcej niż tylko to.

W samym zeszłym tygodniu liczba kobiet, dzieci i starszych ludzi zjawiających się w przychodni ze skaleczeniami, siniakami podwoiła się. Każdej nocy w centrum dochodziło do awantur, bójek i zniszczeń. Pod wiaduktem kolejowym zmarł włóczęga i jego ciało leżało tam porzucone przez wiele dni.

Coś w tym mieście się popsulo. Coś zerwało z niego maskę ucywilizowania. Było tak, jakby wraz z odkryciem zabójcy – Larry’ego – ze smyczy zerwało się coś ohydneho.

Już nie patrzyłam w górę. To niemożliwe z takimi myślami. Moje oczy skierowane były w dół, na stopy i mały żółty kwiatek, który nimi zgniatałam. Aksamitka, maleńka jak żółte gwiazdki na niebie szmaragdowozielonych liści. Poczułam ukłucie wyrzutów sumienia, że przez cały dzień nawet raz nie pomyślałam o Marigold. A młoda i sama, z dzieckiem i bez możliwości zarobienia na życie, ona była w gorszej sytuacji niż ja.

Nie, nie mogłam pozwolić sobie na użalanie się nad Marigold. Nie stać mnie było na to. Całą energię, cały czas, jakie miałam, musiałam poświęcić na zatroszczenie się o córki i o siebie.

Tylko kto zatroszczy się o Marigold?

Postanowiłam, że pójdę ją odwiedzić. Po drodze z pracy. Przynajmniej tyle mogłam zrobić. Spróbuję nakłonić ją do zwierzeń, żeby opowiedziała o rodzinie. Może uda się doprowadzić do tego, że się z nią pogodzi.

Może gdybym pomogła Marigold, poczułabym się trochę lepiej sama ze sobą. Odzyskałabym choćby odrobinę poczucia, że jestem coś warta.

51

Florence

Kiedy skończyłam zmianę, wróciłam do piwnicy, tym razem poszukać akt spraw dotyczących otruc. Szczęśliwie dla mnie Kath, która wyszła godzinę wcześniej, zamieściła w swoim katalogu odsyłacze do wszystkich. I kiedy je przeglądałam, podsunęły mi kilka tropów.

Znalazłam sprawę z 1954 roku, młodego mężczyzny, który mieszkał w pobliskiej wsi Barley. Chłopak o ograniczonej inteligencji i „nieprzyjemnych nawykach”, został otruty przez macochę arsenikiem. Kolejny przypadek miał miejsce w 1961 roku, kiedy jakaś kobieta przesłała pudding ozdobiony liśćmi szaleju rzekomej przyjaciółce, w rzeczywistości rywalce w miłości. Dzieci dostarczające pudding, spróbowały go, stwierdziły, że jest gorzki i zgłosiły kobietę na policję. Przeprowadzono test na psie i pies po kilku godzinach zdechł.

Nie wszystkie sprawy, które znalazłam, były aż tak dramatyczne, ale wyglądało na to, że ludzie rok w rok zgłaszali się na ostry dyżur z objawami zatrucia. Po krótkich dochodzeniach okazywało się, że większość zatruc była przypadkowa. Jagody psianki słodkogórz i pochrzynu, na przykład, wyglądają bardzo podobnie do czerwonej porzeczki i zmyliły niejedno zgłodniałe dziecko. Owoce dziurawca łatwo pomylić z borówką. Pewna starsza pani, która całe życie zbierała grzyby, zapłaciła najwyższą cenę za błędne zidentyfikowanie jednego z nich.

W katalogu była jedna pozycja, którą z początku uznałam za pomyłkę i ją zignorowałam, dopóki nie przejrzałam innych teczek. Nie znalazłam w nich żadnych wzmianek dotyczących Black Moss Manor czy zatruc dzieci pozostających pod opieką instytucji państwowych, niczego, co mogłoby pomóc. Ślęczałam nad tym godzinę i już się miałam poddać, ale wtedy jeszcze raz zerknęłam na ten ostatni odsyłacz.

„Kordiał Godfrey’a”.

Westchnęłam i odszukałam właściwą teczkę. Niosąc ją do biurka, zrozumiałam, że

wcale nie przez pomyłkę została wpisana do katalogu. Do okładki zszywaczem przypięta była reklama leku w płynie na bezsenność u niemowląt i noworodków. Ilustracja przedstawiała dużą zakorkowaną szklaną butelkę z ciemnym płynem. Reklama obiecywała zdesperowanym rodzicom wiele godzin nieprzerwanego snu.

Otworzyłam teczkę i na wewnętrznej stronie okładki znalazłam raport medyczny wymieniający składniki kordiału. Wyglądało, że głównie była to mieszanka alkoholu, kminku, przypraw, melasy i opium.

Dalej w raporcie wspomiano, że w XIX wieku jedną z głównych przyczyn umieralności wśród dzieci była szeroko rozpowszechniona praktyka podawania im na sen narkotyków, zwłaszcza opium. Wyjątkowo tanie było laudanum, które sprzedawano bez żadnych ograniczeń. Kordiał Godfrey'a i podobne leki były powszechnie dostępne we wszystkich aptekach.

Liczba zgonów niemowląt, których przyczynę przypisywano skutkom działania kordiału Godfrey'a czy innych podobnych specyfików, była szokująca. W tamtych czasach aptekarze nie mieli narzuconych żadnych norm, więc mikstury często były robione zbyt mocne. Niemowlęta i małe dzieci padały ofiarami przedawkowania lub umierały z głodu, gdyż narkotyk wywoływał niechęć do jedzenia.

Kordiał Godfrey'a i jego imitacje od dekad były nielegalne, domyślałam się jednak, że ktoś z nawet niewielką wiedzą medyczną z łatwością mógłby przygotować tego rodzaju medykament. To by bez wątpienia wyjaśniało to, co widziałam. Obojętny, apatyczny stan dzieci, niezwykłą ciszę w budynku.

Hecate coś wiedziała. Teraz byłam pewna. Celowo podsunęła mi ten trop. Miała jakiś kontakt w domu dziecka. Gdybym dowiedziała się, kto nim jest, mógłby to być mój sposób na przeniknięcie do wewnątrz.

52

Sally

Po krótkiej dwudziestominutowej wizycie u Marigold, podczas której dziewczyna sprawiała wrażenie, że jest w dobrej formie – gawędziła radośnie z innymi matkami, rozplęwała się nad małym Henrym – do domu dotarłam około wpół do piątej i tam powitały mnie wrzaski moich kłócących się ze sobą córek. Zamknęłam drzwi z głośnym trzaskiem. Dopiero wtedy mnie zauważyły. Cassie była biała jak ściana, oczy miała wielkie jak spodki, trzęsła się. Twarz Luny natomiast była czerwona i napuchnięta. Łzy rozmazały makijaż, którego nie powinna była mieć, włosy wyrwały się z gumki i zwisały wokół twarzy jak u syreny.

– Co tu się, na Boga, dzieje?! – zawołałam.

Luna opadła na krzesło, głowę położyła na ramieniu opartym na blacie i wybuchnęła głośnym płaczem.

– Debilna afera – zakpiła Cassie.

– Luna – zwróciłam się do młodszej córki. – Co się stało?

Luna rozplakała się jeszcze bardziej.

– Co zdenerwowało twoją siostrę? – Skoro Luna nie chciała się uspokoić, nie miałam wyboru i musiałam rozmawiać z Cassie. Jak przypuszczałam, Luna, żeby móc usłyszeć odpowiedź siostry, zaczęła szlochać nieco ciszej.

– John ją rzucił – powiedziała Cassie. – Chociaż oni tak naprawdę nigdy ze sobą nie chodzili. Tylko się przyjaźnili. Reszta była jedynie w wyobraźni Luny.

Szloch młodszej córki znów się wzmógł.

– No cóż, mogłabyś okazać jej trochę więcej współczucia. – Położyłam Lunie rękę na ramieniu. – Kochanie, on prawdopodobnie potrzebuje trochę więcej czasu. Ludzie opowiadają o nim bardzo nieprzyjemne rzeczy. Ale on wróci. Wiem, że cię lubi.

Cassie prychnęła, a potem wszystkie drgnęłyśmy z zaskoczenia, bo zadzwonił dzwonek.

– Otworzę. – Cassie ruszyła do drzwi.

– Zostań tam, gdzie jesteś – zatrzymałam ją. Bałam się, że to mogli być reporterzy albo policja. Jeszcze nie powiedziałam córkom o naszym nocnym intruzie.

Ale to nie byli ani jedni, ani drudzy. Kiedy otworzyłam, zobaczyłam dwie kobiety. Starszą i grubszą była Daphne Reece, bibliotekarka. Wyższą i młodszą jej lesbijska partnerka, Avril Cunningham.

– Sally, witaj – pierwsza odezwała się Daphne. – Jak się miewasz, kochanie? Przyniosłyśmy ci zapiekankę. – W rękach trzymała duże naczynie.

– Wczoraj wieczorem gościłyśmy u nas na kolacji Florence – powiedziała Avril. – Opowiedziała nam o intruzie i że policja nie traktuje tego poważnie. Przyszliśmy sprawdzić, czy możemy jakoś pomóc.

– I upewnić się, że ty i dziewczęta nie umieracie z głodu – dodała Daphne.

Byłam bliska powiedzenia, że nie potrzebuję pomocy – przynajmniej nie takiej, jaką mogłabym dostać od nich – ale przyszło mi na myśl, że Luna może spuścić z tonu z dramatami, jeśli będziemy miały gości.

– Wchodźcie, zapraszam – powiedziałam. – Miło, że wpadłyście.

Poszły za mną do kuchni, która, jak się okazało, była już pusta. Dziewczęta zniknęły. Daphne postawiła zapiekankę na blacie szafki i usiadła przy stole.

– Lubi się u kogoś szarogęsić – zażartowała Avril. – Ciesz się, że jeszcze nie wstawiła czajnika. Sally, chciałabym, żebyś wzięła mnie na swojego prawnika.

Przeraziłam się, bo przypomniały mi się zawołowane groźby Roya. Czyżby to było już? Oskarżą mnie o pomaganie Larry’emu?

– Potrzebujesz kogoś, żeby ci idioci z komisariatu reagowali, gdy zgłaszasz skargę – kontynuowała Daphne.

– Mogę też reprezentować Larry’ego – wtrąciła się Avril. – Nie zajmuję się prawem kryminalnym, ale znalazłabym mu dobrego obrońcę. Larry złamał prawo, to jednak nie znaczy, że nie przysługuje mu sprawiedliwe traktowanie.

– Musisz mieć kogoś, kto jest po twojej stronie – rzekła Daphne. – A Avril nie pobierze opłaty.

– Dlaczego miałybyś to zrobić? – spytałam. Te kobiety i ja nigdy się nie przyjaźniłyśmy. Ledwie je znałam.

– Cóż, wbrew powszechnemu mniemaniu, niektórym prawnikom bardziej zależy na sprawiedliwości niż na zyskach – odparła Avril.

– Dziękuję wam – powiedziałam. – I zgadzam się.

Były zaskoczone, jakby się nie spodziewały, że tak szybko przystanę na ich

propozycję.

– Sally, czy ty nadal praktykujesz? – spytała Daphne, kiedy odprowadzałam je do drzwi wyjściowych.

– Co przez to rozumiesz? – zapytałam, chociaż dobrze wiedziałam, o co chodzi.

– Chcemy, żebyś do nas dołączyła – oświadczyła Avril. – To nie warunek. Będę twoim adwokatem, cokolwiek zdecydujesz, ale przydałaby się nam kobieta z twoimi umiejętnościami.

Chciały, żebym dołączyła do sabatu. Te dwie prowadziły jeden z najstarszych w hrabstwie. Przychodziły z tym do mnie już wcześniej, ale wiedziałam, że Larry byłby zły, poza tym lepiej pracowało mi się samej.

– Wpadnij do nas w tygodniu – rzekła Avril. – Przygotuję dokumenty do podpisania.

– Zerknęła za siebie na korytarz. – I pomyśl o naszej prośbie. O przyłączeniu się do nas.

– To nie tylko kwestia naszych chęci, Sally. Jesteś nam potrzebna – dodała Daphne. – Nad miastem zbierają się ciemne siły i chyba nie muszę ci mówić, że... że się boimy.

53

Florence

Ledwie skończyłam rozmawiać z ojcem, gdy telefon ponownie zadzwonił.

– Hostel pielęgniarek w Sabden.

– Hej, laska – powiedział głos, który dobrze znałam. Tom.

– Mam nadzieję, że nie dzwonisz z pracy – rzuciłam zrzędliwie. *Ani z domu*, dodałam w myślach. Nie lubiłam myśleć o Tomie w domu, z żoną, w świecie, do którego nie miałam dostępu.

– Wrzuć na siebie ładne szmatki, bo zaraz po ciebie przyjeżdżam.

Uspokój się serce.

– To nie jest dobry pomysł.

– To nie randka. Zabieram cię na spotkanie z moim ojcem.

– Chcesz, żebym poznała twojego ojca?

– Powtórzę jeszcze raz, Floss: to nie randka. Chcesz się czegoś dowiedzieć o Black Moss Manor czy nie?

– W zasadzie to wybierałam się do Marigold. – Sprawdziłam już nawet godziny odwiedzin. Chciałam dziewczynę zobaczyć, tak, to prawda, ale przede wszystkim chciałam jeszcze raz spróbować nakłonić ją do mówienia. I szykowałam się też do ponownej wizyty w domu Hecate, zamierzałam spróbować ją postraszyć i może w ten sposób wyciągnąć z niej więcej informacji.

– Nie możesz tego zrobić jutro? – poprosił Tom.

Oczywiście, że mogłam. Powiedziałam mu, że będę gotowa za dziesięć minut, po czym pognałam na górę uczesać się i włożyć najlepszą sukienkę. Była brzoskwiniowa – jeden z niewielu ciepłych kolorów, który nie gryzł się z kolorem moich włosów – z wysokim białym kołnierzykiem. Na dwie minuty przed wyjściem, zła na siebie za naiwność, puściłam w zlewie gorącą wodę. Lustro zamgliło się, ale choć sądziłam, że coś się być może pojawi, na szkle widniał jedynie stary napis.

Patrz w lustro. Nie mogłam pozwolić, by ta kobieta zawładnęła moim umysłem.

Tom gwizdnął, gdy szłam do samochodu. Nie mogłam się powstrzymać i poczułam zadowolenie, że choć raz miał okazję zobaczyć mnie w mojej najlepszej wersji. Mundur policjantki nosiłam z dumą, ale nie sądzę, bym wyglądała w nim korzystnie.

– To nie randka – przypomniałam. Wyjechaliśmy z miasta i po jakimś kilometrze czy trochę więcej skręciliśmy z głównej szosy na drogę gruntową wspinającą się w górę wrzosowisk.

– Lepiej się trzymaj z daleka od tej starej prostytutki z Railway Bank. – Tom, żeby auto dało radę podjechać pod górę, wrzucił drugi bieg. – To znana awanturniczka, a ta część miasta to niebezpieczne miejsce dla samotnej młodej kobiety.

– Jest spirytualistką i medium, nie prostytutką.

– Tak, jest dobrym medium, to trzeba jej przyznać – zgodził się Tom. – Mama z niej korzysta. Ale kontakty z duchami nie są aż tak dochodowe, żeby dało się z tego płacić czynsz. Zarabia na niego w inny sposób.

– Co to znaczy, że twoja mama z niej korzysta?

– Tata zawsze ją podwozi i czeka na zewnątrz. Z nim nie zadrze żaden drań.

– Dużo się o tobie dzisiaj dowiaduję – mruknęłam. – Myślę, że ona może mieć jakieś powiązania z Black Moss Manor. Może zna kogoś z obsługi.

– Nie zawracaj sobie głowy małpami. Wiozę cię do samego kataryniarza.

Nie bardzo wiedziałam, jak na to odpowiedzieć, i zresztą nie miałam czasu, bo Tom skręcił z drogi w prywatny podjazd. Na jego końcu stał kamienny dworek wyglądający na stary, może nawet z epoki elżbietańskiej. Nie był zbyt duży, ale uroczo elegancki, taki, jakie często bywają domy z tego okresu. Miał dwa skrzydła z obu stron cofniętego w tył głównego budynku i duży portyk z kutego żelaza rozciągający się od jednego skrzydła do drugiego. Minęliśmy znak z napisem „Beldam House”.

– To na pewno twój dom? – spytałam, myśląc, że może rodzice Toma tylko ten dworek wynajmują.

– Nie jest największy, ale nam wystarcza. – Zwalniając na ostrym zwirze, Tom uśmiechał się kącikiem ust. Nie żartował. Naprawdę nie żartował.

– Tu się wychowałeś?

Roześmiał się.

– Nie. Dorastałem w trzypokojowym policyjnym mieszkaniu przy Earnsdale Road. Pięć lat temu mama odziedziczyła trochę kasy. Tata zawsze chciał mieszkać na wsi, więc kupili to miejsce. Ojcu zależało na ziemi, nie na domu, ale chyba podoba mu się odgrywanie roli pana na włościach.

Zatrzymaliśmy się przed domem obok dwóch stojących tam już samochodów. Daimlera i aston martina.

– I ty mi wymawiasz, że jestem snobką.

– To, że ma się pieniądze, nie znaczy automatycznie, że jest się snobem, Floss.

Nie mogłam się z nim nie zgodzić. Wyszliśmy i weszliśmy do środka.

Dom mógł niegdyś należeć do szlachty, ale skromniejsze korzenie Devine'ów były oczywiste, gdy się patrzyło, jak go urządzili. Stary duży kamienny kominek został rozebrany i zastąpiony elektrycznym, z adaptera pod ścianą w głębi leciała piosenka Perry'ego Como, w rogu mieścił się błyszczący lakierowany złotem barek z dozownikami do drinków na ścianie.

– Jesteśmy w salonie! – zawołał niski głos, więc poszliśmy tam. W pokoju przed dzielonym oknem siedziało czworo ludzi grających w karty. Panowie wstali, kobieta wyjęła papierosa z ust i zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów. Tom przywitał się z ojcem uściskiem dłoni, po czym mnie przedstawił.

Harry Devine był wyższy i szerszy w barach od syna, i mniej przystojny. Tom urodę odziedziczył po matce, Mary Devine, szczupłej, ciemnowłosej kobiecie po czterdziestce, ubranej w sukienkę w kwietny wzorek i z ustami pomalowanymi czereśniową szminką. Po uściśnięciu mojej ręki Harry przedstawił mi Aldermana Ernesta Chadwicka, przysadzistego mężczyznę tuż po siedemdziesiątce. Chadwick w dużej czerwonej dłoni trzymał szklaneczkę whisky, drugą dłonią uścisnął moją.

– Miło mi, dziewczyno – rzucił. – Dużo o tobie słyszałem.

– A to Albert Frost – dla kumpli Bertie. Wydaje „Lancashire Morning Post” – oznajmił Harry, kiedy potrzęsałam dłonią czwartego członka grupy. Frost był bardzo chudy, miał gęste siwe włosy i jasnoniebieskie oczy.

Znałam te dwa nazwiska. Widziałam twarze ich właścicieli w starym artykule prasowym. Chadwick i Frost byli opiekunami prawnymi Black Moss Manor.

– Czego się napijesz, Florence? – zapytał Harry. – Tom, zajmij się tym, dobrze? Chodź, usiądź z nami, dziewczyno.

Rozsiedliśmy się wszyscy przed nieczynnym kominkiem elektrycznym, a Tom zniknął.

– Co u ciebie, kochanie? – zwrócił się do mnie Harry. – Jak sobie radzisz?

Powiodłam spojrzeniem za jego spojrzeniem skierowanym na moją zabandażowaną lewą dłoń. Wcześniej tego wieczoru Jenny zmieniła mi bandaż i teraz był nieskazitelnie

czysty. Nie lubiłam rozmawiać o swoim okaleczeniu, o tym, przez co przeszłam, ale zależało mi na uzyskaniu informacji od tych ludzi, więc może dobrym początkiem było samej ich udzielić.

– Mam bóle fantomowe – odparłam. – To naprawdę dziwne, ale nadal czuję brakujący palec. Pulsuje, boli i swędzi. Mówiono mi, że z czasem będzie lepiej.

– Często się to słyszy o amputowanych kończynach – dołączył do rozmowy Alderman Chadwick. – Ludzie, z którymi służyłem, potracili ręce, nogi i co tam jeszcze. Nawet po wielu latach odczuwali ból.

– Czy doprawdy musimy? – Wąskie brwi Mary zesły się razem.

Wrócił Tom z dwoma drinkami.

– Nie znalazłem babycham – oznajmił. – Może być dżin?

Uśmiechnęłam się do niego, przypominając sobie pierwszy – i ostatni – raz, gdy piłam babycham. W noc, gdy Tom i ja się zesłiśmy. Odwróciłam od niego wzrok i zauważyłam, że Mary mnie obserwuje.

– Tom mówił, że niepokoi cię sytuacja w Black Moss Manor – odezwał się Harry tonem człowieka, który nie zamierza niczego owijać w bawełnę. – Więc zaprosiłem tych dwóch.

– Czy oni nie mogliby znaleźć ci jakiejś miłej pracy na przykład w biurze? – wtrąciła się Mary. – Może w Burnley albo Blackburn? Na większych posterunkach muszą mieć stanowiska bardziej odpowiednie dla młodych kobiet. Wszyscy inspektorowie mają przecież sekretarki, czyż nie?

– Niestety nie piszę na maszynie, pani Devine – odparłam.

– Florence kończyła wyższą uczelnię, a nie szkołę dla sekretarek – dodał Tom.

– Co studiowałaś? – zainteresował się Frost.

– Prawo – odpowiedziałam, zastanawiając się, co zrobić, by rozmowa powróciła do tematu Black Moss Manor.

– Mogłabyś być radcą prawnym – rzuciła Mary. – Słyszysz się, że teraz kobiety też nimi zostają. Mamy przecież w mieście tę Cunningham, tyle że ona jest... no cóż, sami wiecie.

– Florence będzie komendantem – oznajmił Tom. – Chyba że ja zostanę nim pierwszy.

Wszyscy się na to uśmiechnęli, oprócz jego matki.

– Jestem zaniepokojona tym, co dzieje się w Black Moss Manor – powróciłam do głównego tematu. – Tamtejsze dzieci...

– Założę się, że byłaś na studiach jedyną kobietą – przerwał mi Chadwick. – Aż dziw,

że nie znalazłaś tam sobie jakiegoś miłego narzeczonego.

Tom wessał do ust kulkę lodu i przepchnął ją pod policzek.

– Mężczyźni nie lubią mieć w domu intelektualistek – oświadczyła Mary. – Mężczyźni chcą mieć pod ręką trochę kobiecości.

– Ładna sukienka, mamó – rzucił Tom. – Mówiłem już?

Mary strzepnęła popiół z papierosa do dużej kryształowej popielniczki.

– Nie.

– Od samego początku pracy w policji niemal codziennie chodziłam na patrole do szkół – odezwałam się. – Wiem, jak się zachowują małe dzieci. Zawsze się ganiają, biją, kłócą i szturczą. Są pełne energii, a ich twarze błyszczą jak... no nie wiem, jak skórka jabłka. Dzieci w Black Moss Manor są zupełnie inne.

– Bardzo to romantyczne – mruknął Tom.

– Co?

– Twarze błyszczą jak skórka jabłka. Poetycko. Tak tylko mówię.

– Dzieci z Black Moss Manor są ospałe i apatyczne. Wyglądają, jakby były czymś odurzone. I boją się. Kary tam stosowane są niezwykle surowe.

Pomyślałam o tym, czego się dowiedziałam o kordiale Godfrey'a. Czy taki zarzut byłby na tym etapie zbyt daleko posunięty? Usłyszałam, że Chadwick odchrząkuje.

– To są dzieci z problemami – powiedział. – Nie będę owijał w bawełnę. Prawdopodobnie są na jakichś lekach, bo muszą. Ale Black Moss to pośród tego rodzaju instytucji placówka wiodąca. O jej działalności pisze się prace naukowe. – Siedząc na fotelu, szeroko rozłożył nogi, odsłaniając przede mną pełny widok swoich opiętych pomarszczonym materiałem spodni genitaliów.

– I wiele z tych dzieci, gdyby nie Black Moss Manor, żyłoby w wielkich bezosobowych domach dziecka – dodał Frost.

– To prawda, zawsze byłem pod dużym wrażeniem tego miejsca – potwierdził Harry.

Opowiedziałam im, co widziałam w ogrodzie, jak dzieci z przepaską na oczach wymijały stożki.

– Widziałem tę zabawę – oznajmił Frost z wyraźną ulgą. – W zasadzie to nie zabawa, a swoisty test na orientację. To nie dzieci z przepaską są testowane, choć mogło to tak wyglądać. Test dotyczył któregoś z tych, które się przyglądały. On lub ona kierowała tym niewidzącym. To sposób na sprawdzenie, czy dzieci potrafią odróżnić prawą stronę od lewej, i jak dobrze oceniają odległość.

– Czy to możliwe, że widziałas właśnie to, Floss? – zapytał Tom. – Mogłaś nie słyszeć poleceń. Jak daleko byłaś?

Gdyby powiedział, że siedziałam na drzewie, zabiłabym go.

– To możliwe – przyznałam. – Byłoby to jakieś wyjaśnienie. Ale mamy też tę młodą kobietę, która uciekła, mimo że już prawie rodziła, bo była przerażona, co zrobią jej i jej dziecku.

– Chodzi o tę opóźnioną w rozwoju? – upewnił się Chadwick.

– Marigold jest niepełnosprawna umysłowo – zgodziłam się. – Ale to nie oznacza, że musimy lekceważyć jej słowa. Mówiła o koleżance, która zmarła, a Asterowie podobno nigdy o niej nie słyszeli.

– Coś ci powiem – odezwał się Frost. – Zlecę jednemu ze swoich reporterów, żeby skontaktował się z Asterami. Może powiedziec, że przygotowuje materiał o domach dziecka na północnym zachodzie, zwłaszcza tych specjalizujących się w opiece nad dziećmi upośledzonymi. Umówi się na spotkanie, dobrze się tam rozejrzy. Wyślę do nich Whiteheada. Jeśli coś się tam dzieje, zorientuje się. Czasami prasa może wejść tam, gdzie nie ma wstępu policja. Jak ci się ten pomysł podoba, Florence?

Brzmiał całkiem niezłe. Powiedziałam to i podziękowałam Frostowi.

Mary wstała.

– Pójdę zrobić kanapki – oznajmiła. – Florence, zechciałabyś mi pomóc?

– Twoja mama mnie nie polubiła – powiedziałam, kiedy razem z Tomem wracaliśmy do miasta.

– Mama nie lubi żadnych moich dziewczyn – odparł.

– O to ciekawe, bo twoją żonę przez cały czas, gdy byliśmy w kuchni, wychwalała pod niebiosa. Eileen to śliczna dziewczyna, świetna kucharka, doskonała gospodyni.

– Eileen *jest* śliczna. Sądziłaś, że ożeniłem się z psem?

Boże, to zabolalo.

– W takim razie może powinieneś się skupić na swoim małżeństwie i ślicznej żonie, a mnie zostawić w spokoju.

Przez chwilę cicho pogwizdywał.

– Skąd się to wzięło?

Wzięło się z wrogości jego matki, z tego, że w domu jego rodziców czułam się jak oszustka, i z ukradkowych spojrzeń Chadwicka, które mi rzucał, gdy myślał, że Tom tego nie widzi.

– Nie mogę tak dalej. Nie będę twoją flamą na boku.

Tom zjechał na pobocze, parkując auto pod murem.

– Posłuchaj mnie. – Nachylił się, chwycił mnie za ramię i odwrócił do siebie. – Wczoraj Woodsmoke straszliwie zmył mi głowę.

Tak rzadko widywałam go aż tak poważnego, że się przestraszyłam.

– Przeze mnie? – spytałam.

Skinął głową.

– W zasadzie to miał rację. Kiedy sprawa Glassbrooka trafi do sądu, obrona zrobi wszystko, co w jej mocy, by zdyskredytować śledztwo, a ty i ja jesteśmy sednem strony oskarżającej. Jeśli da się nas obrzucić błotem, cały przewód może zostać podważony i Glassbrook wyjdzie na wolność.

– Nie będzie żadnej rozprawy: Larry się przyznał.

– Tak, wiem, ale co będzie, jeśli zmieni zdanie? Nie możemy ryzykować. Ty i ja musimy być nieskazitelni, dopóki proces się nie skończy. I właśnie dlatego teraz zawiozę cię prosto do hostelu, bez żadnych figli po drodze.

W oczach poczułam szczypanie łez.

– Przecież już powiedziałam – dłużej tak nie mogę. Między nami koniec.

Tom wziął mnie za obie dłonie.

– O nie, cholera, żaden koniec. Kiedy Glassbrook trafi bezpiecznie za kratki na całą resztę życia, odejdę od Eileen.

Patrzyłam na niego, nie wierząc. Naprawdę powiedział właśnie, że...

Skrzywił się.

– Nie każ mi się rozklejać, Floss. Bo będę się musiał wstydzić. Zależy mi tylko na tobie. Chcę być z tobą. Jeśli mnie przyjmiesz.

Oczywiście, że bym go przyjęła.

– W dniu, gdy Larry, zniknie, ty i ja pójdziemy do Rusthtona i o wszystkim powiemy – ciągnął. – Rushton załatwi mi przeniesienie.

– Nie możesz tego zrobić – odparłam, myśląc: *Zrobi to? Zrobiłby to dla mnie?*

– W przyszłym roku zdaję egzaminy na sierżanta. I tak bym się przeniósł w momencie otrzymania przydziału. Ty możesz zostać w Sabden, dokończyć tu staż. Znajdziemy jakiś dom w połowie drogi.

– I już? Takie to proste?

Skinął głową i się uśmiechnął. Wyglądał na absolutnie szczęśliwego.

– Tak – potwierdził. – Takie proste.

54

Sally

Próbowaliście kiedyś przekonać nastolatkę, że chłopak, którego lubi, nie jest jej wart? One nigdy nie słuchają i Luna też nie słuchała. I ani ona, ani Cassie nie były zachwycone pomysłem odwiedzin u Larry'ego w sobotę. Zawarły krótkotrwały rozejm i zgodnie oświadczyły, że nie postawią nogi w więzieniu i nie obchodzi ich, że nigdy więcej nie zobaczą ojca.

Na plus zaliczyć trzeba było natomiast to, że znajomi córek chyba zaczęli wracać. Krótco po wyjściu Daphne i Avril do naszych drzwi zapukała Tammy Taylor, wieloletnia przyjaciółka Luny. Siedziały w sypialni Luny aż dwie godziny i z tego, co zdołałam podsłuchać pod drzwiami, głównie narzekały na Johna.

Kiedy zaczęło się zmierzchać, wymknęłam się na zewnątrz i przez sad poszłam do uli. Pod granicznym murem stało ich cztery. Pszczoły miały stamtąd łatwy dostęp do koniczyny i wrzosów na wzgórzu, i do naparstnic, które posadziłam na tyłach ogrodu. Pod jabłonką zawsze trzymałam krzesło i teraz po oczyszczeniu go z liści usiadłam na nim.

Pszczoły zbierające nektar wracały. Cały dzień ciężko pracowały; teraz musiały odpocząć. Młodsze, robotnice, miały mniej rygorystyczny rozkład dnia, nadal więc jeszcze tańczyły nad ulami. Na moim ramieniu lekko jak puszek wylądowała jedna ze spóźnionych zbieraczek. To się często zdarzało, gdy siedziałam obok uli, nieruchomo i cicho; pszczoły myliły mnie ze swoim domem. Zawsze odbierałam to jako komplement.

– Przykro mi, ale być może będę musiała was opuścić – powiedziałam. Bez mojej opieki ule nie przetrwałyby długo. A miałam je już dwadzieścia lat. Larry zrobił je dla mnie w prezencie ślubnym.

Światło dnia pociemniało, podobnie jak moje myśli. Ogrom wszystkiego, co na mnie spadło, dotarł do mnie dopiero w chwili, gdy zrozumiałam, że stracę również swoje pszczoły. Zapadła noc. Po policzkach pociekły mi łzy. Zrobiło się zimno, nad ulami

zapanował bezruch.

Nad miastem zbierają się ciemne moce i my się boimy.

Nie zastanawiałam się wcześniej nad słowami Avril. Głowę miałam zajęta myślami o Lunie i Larrym, o Royu i groźbie utraty pracy, ale kiedy nastąpiła ciemność, moje myśli też poczerniały. Z jednej strony to, co powiedziała Avril, nie miało sensu. Zło nawiedziło nasze miasto pod postacią Larry'ego, ale jego już tu nie było. Ten koszmar się skończył.

Tylko że ja wcale nie odnosiłam takiego wrażenia. Wiedziałam instynktownie, o czym mówiła Avril.

Kiedy wstałam z krzesła, zeszywniała i zziębnięta, i wróciłam do domu, niebo było już ciemnofioletowe. Miałam właśnie zamknąć drzwi z tyłu domu, gdy nagle usłyszałam muzykę.

Samotna gitara i niski męski głos. Gdzieś blisko Elvis Presley śpiewał *Are You Lonesome Tonight*. Kiedy dotarł do końca pierwszej zwrotki, do jego śpiewu dołączył się chórek.

Muzyka Larry'ego. Nie miałam pojęcia, która z córek puszcza stare płyty ojca, ale nie mogłam tego znieść. Nie chciałam słuchać tego nigdy więcej, najchętniej roztrzaskałabym wszystkie płyty na kawałki. Tylko że muzyka nie przyplýwała z domu. Włączyłam światło i czekałam, aż przyzwyczai mi się do niego wzrok.

W oknie warsztatu Larry'ego paliło się światło. Larry trzymał tam gramofon, żeby mieć go pod ręką, gdy w radiu nie puszczało wystarczająco często utworów jego ulubionego wykonawcy. Dla niego to zawsze był Elvis. Jego zachwyty nad nim graniczyły z obsesją. Ktoś tam teraz był i puszczał płyty.

Utwór się skończył. Minęło kilka sekund i rozpoczął się następny – *Jailhouse Rock*.

Szybko przebiegłam hol i złapałam za słuchawkę telefonu.

– Mówi Sally Glassbrook. Ktoś jest w warsztacie mojego męża.

– Rozumiem. I czy to jakiś problem, pani Glassbrook?

Wzięłam głęboki oddech.

– Tak. Warsztat powinien być zamknięty. Ktoś się do niego włamał.

– Była pani tam i sprawdzała, pani Glassbrook?

– Nie, bo się boję. Możecie tu kogoś przysłać?

– Jeśli nie była pani w warsztacie, skąd pani wie, że ktoś się włamał?

– Bo w środku jest zapalone światło i ktoś puszcza płyty męża.

– Z jaką muzyką?

– Co proszę?

– Chodzi o to, czy jest pani pewna, że to płyty męża. Może słyszy pani muzykę puszczaną przez sąsiadów.

– Ona dociera z warsztatu.

– Dobrze, pani Glassbrook, spiszę notatkę. Czy pani i córki jesteście bezpieczne? Jesteście w domu?

– Tak, jesteśmy w domu, ale czy bezpieczne, to nie wiem.

– Mam następne zgłoszenie, pani Glassbrook. Pożegnaj się na razie.

Połączenie zostało przerwane. Nikt nie przyjedzie.

Wróciłam do kuchni. *Jailhouse Rock* dobiegało końca. Otworzyłam szufladę i wyjęłam nóż. Cicho przekręciłam klucz w zamku, wysliznęłam się na zewnątrz i zamknęłam drzwi. Odciełam sobie drogę powrotu, ale nie zamierzałam pozwolić, by ktoś zbliżył się do moich dziewcząt.

Drogę oświetlał mi księżyc w pełni, kiedy szłam przez trawnik. Odwagi dodawał mi nóż w dłoni. Zatrzymałam się przed drzwiami. Muzyka też w tym momencie ucichła. Potem znowu się rozpoczęła. *Love me tender*. Tańczyliśmy do tego na naszym weselu.

Wtedy przyszło mi do głowy coś naprawdę dziwnego. Mężczyzna, którego widziałam w naszym domu tamtej nocy, ten, który obmacywał Cassie, wyglądał jak Larry. Może to był Larry. Może uciekł i z jakiegoś powodu policja nie może tego ogłosić. Ta muzyka to jego sposób na przekazanie mi znaku. Z dziwnym poczuciem brawury, prawie jakbym poruszała się we śnie, otworzyłam drzwi.

Warsztat, pomieszczenie o wymiarach sześć metrów na około pięć, był oświetlony pojedynczą świeczką. Moje spojrzenie powędrowało do gramofonu Larry’ego na blacie stołu naprzeciwko drzwi. Ktoś nastawił sześć dużych płyt i gramofon odtwarzał każdą po kolei.

Spadło coś ciężkiego i zwarte, huk rozniósł się w ciszy głośnym echem. Drzwi na przeciwległej ścianie prowadzące do drewnutni były szeroko otwarte. Za nimi było pojedyncze pomieszczenie bez okna, w którym Larry trzymał deski z pięknego litego drewna. Spadła jedna z nich.

– Kto tam jest?! – zawołałam.

Cisza, ale w żadnym razie nieoznaczająca pustki. Potem usłyszałam zgrzyt zawiasów. Ktoś otwierał w drewnutni duże drzwi garażowe. Zaryzykowałam i ruszyłam przed siebie. Dobiegł mnie odgłos szybkich kroków na żwirze na zewnątrz. Spostrzegłam leżący na blacie klucz francuski i sięgnęłam po niego. Teraz miałam dwa rodzaje broni.

W drewnutni było ciemno. Nie odkładając noża, wyciągnęłam rękę i włączyłam górne światło. Nikogo tu nie było, ale duże drzwi garażowe, które się otwierało, gdy trzeba było załadować na samochód wykończone trumny, stały otworem. Kiedy ku nim podbiegałam, byłam pewna, że dostrzegłam postać ubranego na ciemno mężczyzny uciekającego podjazdem.

Z walącym sercem zamknęłam drzwi.

Muzyka nadal grała, gdy wróciłam do warsztatu. Ledwie zdążyłam wyłączyć gramofon, kiedy na zewnątrz usłyszałam jakiś hałas. Kroki – wolne i ostrożne, kogoś, kto starał się iść cicho, ale był zbyt ciężki i zbyt niezdamy. Stałam z boku drzwi z podniesionym wysoko kluczem francuskim.

Do warsztatu wszedł wysoki mężczyzna.

– Sally?! – zawołał.

Zamachnęłam się. Mężczyzna zrobił unik i trafiłam go w ramię. Stęknął z bólu, a ja podniosłam w górę nóż. Mężczyzna chwycił mnie za rękę.

– Sally, na litość boską, co ty robisz. To ja.

Znałam ten głos.

– Opuść nóż. Oddaj mi go. Albo rzuć.

Odłożyłam nóż na blat. Ale to było za mało dla posterunkowego Butterwortha.

– Odsuń się, Sally. Tak, żebym mógł cię widzieć. Gdzie jest włącznik światła?

– Po lewej stronie przy drzwiach.

Kiedy włączył światło, popatrzyliśmy na siebie.

– Nie wiedziałam, że to ty – wymamrotałam. – Byłam wystraszona. Przepraszam.

Randy rozejrzał się po warsztacie, obejmując wzrokiem panujący w nim bałagan.

– Kiedy się wzywa policję, zwykle spodziewa się, że ktoś przyjedzie – mruknął.

– Nie do mnie – odparłam. – Już nie.

Nie zamierzał bawić się w zaprzeczanie.

– Cóż, mówiąc szczerze, chyba faktycznie nie planowali tu kogoś przysłać. Ja przyjechałem, bo usłyszałem o twoim zgłoszeniu i pomyślałem, że lepiej wpadnę i sprawdzę.

– Mamo, co tu się dzieje?

To była Cassie, blada i wystraszona, stała w tylnych drzwiach domu.

– Nic! – zawołałam. – Randy wpadł sprawdzić, czy nic nam nie grozi.

– Ale grozi, prawda? – rzucił Randy ściszone głosem. – Tak naprawdę nie jesteście tu bezpieczni.

55

Florence

Czwartek, 7 sierpnia 1969

Uspokoiło cię to trochę? – spytał Randy.

– Trochę tak – odparłam. – Potraktowali poważnie to, co mówiłam, a dobry dziennikarz, jeśli dzieje się tam coś złego, pewnie zdoła to wykryć. Poza tym przynajmniej nie będę musiała rozmawiać więcej z tą nawiedzoną spirytualistką.

Byliśmy z Randym w stołówce. Kiedy mu opowiadałam o spotkaniu z rodzicami Toma, unosił brwi, ale nic nie mówił. Potem on zaczął swoją relację, o zajściu w domu Glassbrooków, i wtedy usłyszeliśmy krzyk jakiejś kobiety. Wszyscy w sali spojrzeli w górę. Jedna osoba czy dwie wstały.

– To Sally – orzekłam.

Randy już odpychał krzesło. Wybiegliśmy razem ze stołówki do holu. Tak, zgadzało się, Sally stała przy recepcji, nachylając się nad blatem.

– Mam dwie nastoletnie córki! – darła się na sierżanta dyżurnego. – Co z wami jest, do diabła?

W poczekalni był tłok. Żeby dotrzeć do Sally musieliśmy z Randym ominąć kilka osób stojących w kolejce.

– Chodź, Sally. – Randy wziął ją za rękę. – Zrobimy ci herbaty.

– Paradne – wymamrotała jakaś kobieta w kolejce.

– Hańba – rzuciła inna, która nie dbała o ściszenie głosu.

Sally odwróciła się i spojrzała na obie, prowokując je, by zmierzyły się z nią otwarcie. Żadna tego nie zrobiła. Włosy miała rozpuszczone i potargane, w oczach szłał.

– Sally, chodź z nami – powtórzyłam i biorąc ją między siebie, wyprowadziliśmy ją z recepcji na korytarz i zaprowadziliśmy do pokoju przesłuchań.

– Co jest robione w związku z wczorajszym wieczorem? – spytała ostro, jeszcze

zanim zdążyliśmy zamknąć drzwi.

– Zrobić ci herbatę? – spytałam, stojąc pod ścianą. Sally w takim nastroju zdecydowanie wywoływała we mnie niepokój.

Popatrzyła na nas oboje.

– Nie, nie chcę herbaty. Chcę wiedzieć, co wy ludzie robicie w sprawie ochrony moich córek?

– Powinnaś wynająć prawnika i jemu to zlecić – rzucił Randy. – Oni właśnie do tego są.

– I trzeba ci zmienić zamki – dodałam. – W domu, w drewni i w warsztacie Larry’ego. Postaram się jutro jakieś kupić. Może Dwane będzie wolny. To ważne.

– Nie! – wrzasnęła. – Ważne to jest odkrycie, kto się włamuje do mojego domu.

Wszyscy się odwróciliśmy, bo usłyszeliśmy, że ktoś biegnie korytarzem. Otworzyły się drzwi.

– Sytuacja kryzysowa w Burnley General – wydyszał posterunkowy. – Chcą, żebyśmy przyjechali, bo przyczyną jest ta młoda kobieta. Wiecie – jego oczy przeniosły się od Sally do mnie – ta, która tu rodziła.

Popatrzyliśmy na siebie z Sally. Marigold.

56

Sally

Florence i ja biegłyśmy szpitalnym korytarzem, zaraz za nami Randy.

– Tędy – powiedziałam, kiedy skręciliśmy za róg i przebiegliśmy przez podwójne drzwi, prawie zderzając się z portierem. Na oddziale położniczym przerażone matki przyciskały mocno do siebie swoje dzieci.

– Tu jest! – zawołała pielęgniarka, więc pognaliśmy przez oddział i zatrzymaliśmy się przed drzwiami łazienki. Stał tam mały tłumek pielęgniarek, sprzątaczy i sanitariuszy. Randy zgiął się wpół, żeby odzyskać oddech.

– Jak długo tam siedzi? – spytała Florence.

– Pół godziny – odpowiedziała siostra oddziałowa. – Zaczęła się awanturować zaraz po popołudniowym obchodzie. Boimy się, że może zrobić coś dziecku.

Przycisnęłam głowę do drzwi.

– Marigold, to ja, Sally! – zawołałam. – Florence też tu jest. Jak się czuje Henry?

Zza drzwi przypląnął odgłos cichego szlochu i czkawkki, ale pomyślałam, że to mogło być dziecko.

Florence odwróciła się do siostry oddziałowej.

– Co to wywołało? – spytała.

– Po prostu nagle oszalała – odpowiedziała jedna z pielęgniarek, zanim siostra oddziałowa zdążyła otworzyć usta.

– Coś ją przestraszyło. – Florence popatrzyła na twarze ludzi przed nią. Niektórzy unikali jej spojrzenia. – Czy ktoś wspomniał o Black Moss Manor? – spytała. – Może znów byli u niej Asterowie?

– Jutro ma wychodzić – poinformowała siostra oddziałowa. – Jeśli nie zgłosi się po nią rodzina, nie będzie miała innego wyboru, będzie musiała wrócić do Black Moss Manor.

– Ktoś jej to powiedział? – dociekała Florence. – Nic dziwnego, że wpadła w histerię.

Odezwał się Randy:

– Proszę, żeby wszyscy odeszli zająć się swoimi sprawami. Siostró, powinna chyba siostra stanąć przy drzwiach do oddziału. Sprawdźmy, może posterunkowa Lovelady i pani Glassbrook przemówią tej młodej kobiecie do rozumu.

Randy miał ten sam stopień co Florence i był niewiele starszy, ale ludzie słuchali się go tak, jak moim zdaniem nigdy nie słuchaliby się Florence. Tłum się rozszedł, została tylko jedna pielęgniarka.

– Proszę się odsunąć, siostró – polecił Randy. – Zabieraj się do rzeczy, Florence.

Florence podeszła do drzwi.

– Marigold! – zawołała. – Wszyscy sobie poszli. Zostaliśmy tylko ja i Sally. I posterunkowy Butterworth. Jest tu, żeby obronić ciebie i dziecko. Wyjdź do nas.

Dołączyłam do Florence i usłyszałam, że Marigold nadal cicho szlocha.

– Marigold, proszę, opowiedz nam, co się stało! – zawołałam.

– Nie wróć tam. Zabiją nas tak, jak zabili Wendy.

Spojrzałyśmy na siebie z Florence. Znowu Wendy?

– Marigold, otwórz drzwi i porozmawiajmy – zaproponowała Florence. – Ufasz mnie i Sally, prawda?

– Oni po mnie przyjdą. Ta pielęgniarka powiedziała, że będą jutro. Ja tam nie wróć.

– Marigold, wcale nie musisz tam wracać – zapewniłam. – Nie musisz iść nigdzie, dokąd nie chcesz.

Florence obrzuciła mnie spojrzeniem pełnym dezaprobaty za to, że składałam obietnice, których nie jestem w stanie dotrzymać. Miałyśmy związane ręce, gdyby miejscowe władze nie chciały pomóc Marigold. Sama nie mogłam zrobić nic.

Chyba że jednak mogłam?

– Marigold, możesz iść do mnie – powiedziałam. – Zostaniesz u nas, dopóki czegoś nie wymyślimy.

Randy wybałuszył oczy, Florence wzięła mnie za rękę i odciągnęła od drzwi.

– Sally, nie możesz tego zrobić. Masz już wystarczająco wiele na głowie.

– Florence ma rację, Sal. To niedobry pomysł – dołączył się Randy.

Popatrzyłam od jednego do drugiego.

– A macie lepszą propozycję?

Niespodzianka, niespodzianka – nie mieli.

– Może zamieszkać w twoim dawnym pokoju – powiedziałam do Randy'ego, zanim wróciłam pod drzwi łazienki. – Marigold, słyszałaś? Mam pokój w domu, w którym ty i Henry możecie zamieszkać. Mam dwie nastoletnie córki, więc będzie nas pięcioro. Co

ty na taki pomysł?

– Nie muszę wracać do Black Moss?

– Nie. – Ciężkie westchnienie samo wydarło mi się z płuc, a przynajmniej tak to wyglądało. – Możesz zostać u mnie, dopóki nie znajdziemy ci odpowiedniego domu.

Drzwi się otworzyły. W progu stanęła Marigold, ze smugami po łzach na policzkach, z napuchniętą czerwoną twarzą. Mały Henry w jej ramionach spał.

57

Florence

Randy i ja wyszliśmy ze szpitala pierwsi, potem na podjeździe domu Glassbrooków czekaliśmy na przyjazd Sally.

– Nie powinno nas tu być – stwierdził Randy. – Rushton, jak się dowie, dostanie szau.

– No i co z tego, tylko my się tu czymkolwiek przejmujemy – odparłam z uporem.

– Nie możesz mieć pretensji do chłopaków – bronił kolegów Randy. – Oni widzą w nich tylko rodzinę Larry’ego Glassbrooka, ludzi, którzy osłaniali zabójcę. My ich znamy.

Wraz z rozkwitaniem wrzosów Pendle Hill i okoliczne wrzosowiska przybrały najgłębszą z możliwych barwę fioletu, do tego stopnia, że kolor bez mała odbijał się na niebie.

– Lubiłem tu mieszkać – dodał Randy. – I niczego nie zauważyłem. Mówię o Larrym.

– Ja też nie – przytaknęłam. – Do momentu gdy...

– Taa. – Randy ciężko westchnął. – Byli jak moja własna rodzina. – Boleść w jego głosie sprawiła, że miałam ochotę go przytulić.

Na odgłos silnika odwróciliśmy się. Na siedzeniu pasażera w samochodzie Sally siedziała Marigold z małym Henrym na rękach. Przeszliśmy przez trawnik, żeby ich powitać.

– Kiedy to się stało? – spytał Randy, gdy zobaczył brzydką rysę na boku wozu.

– W ostatnich kilku dniach – odparła Sally. – Ktoś przeciągnął kluczem. Powinnam się cieszyć, że nie zrobili czegoś gorszego.

Weszliśmy do środka, z góry zeszła Luna i dołączyła do nas. Wyglądała, jakby płakała, ale na widok dziecka nieco się rozpogodziła.

– Może Cassie też chciałaby je zobaczyć? – zasugerowałam, gdy Luna kołysała maleństwo na rękach.

– Gdzie ona jest? – zapytała Sally.

– Wyszła. – Luna pociągnęła nosem. – Nie chciała powiedzieć, dokąd idzie. Ale pożyczyła moje perfumy.

Zrobiłam herbatę i usadowiłam Marigold w dawnym saloniku wynajemców, w tym czasie Sally i Randy poszli na górę na poddasze poszukać dziecięcych ubranek i potrzebnych dla dziecka rzeczy. Gdy Henry z zadowoleniem ssał pierś, powiedziałam:

– Marigold, naprawdę powinniśmy porozmawiać o Black Moss Manor.

Dziewczyna spuściła wzrok na dywan.

– Jeśli krzywdzą kobiety takie jak ty i ich dzieci, musimy o tym wiedzieć. Inni mogą być w niebezpieczeństwie.

– Byłam zdezorientowana – odparła Marigold. – Oni mieli zabrać dziecko, ale tylko, gdybym się zgodziła. – Spojrzała w górę. – Nie zgadzam się. Zatrzymam je.

– I bardzo dobrze. Czy dawali ci kiedykolwiek coś dziwnego do picia? Coś, co miało dziwny smak?

Jej spojrzenie zrobiło się otępiałe. Pokręciła głową.

– Czy gdy tam byłaś, ktoś robił ci coś złego?

Wymamrotała coś niezrozumiałego.

– Słucham? – spytałam ponagląco.

– Powiedzieli, że nie wolno mi wychodzić. Musiałam siedzieć w swoim pokoju. To było nudne.

Oczy Marigold nagle rozbłysły, zupełnie jakby ktoś włączył w nich światło.

– Wykradałam się – powiedziała. – Wykradałam, żeby zobaczyć się... – urwała. Światło zgasło.

– Wykradałaś się, żeby zobaczyć się z Wendy? – dokończyłam za nią.

Pokręciła głową. Byłam pewna, że kłamie.

– Czy widziałaś, żeby ktoś tam kiedykolwiek krzywdził któreś z dzieci? – kontynuowałam przesłuchanie.

Znów milczące zaprzeczenie.

Postanowiłam spróbować inaczej.

– Opowiedz mi, gdzie mieszkałaś przed Black Moss Manor. Gdzie był twój dom?

Znów to tępe, zamknięte spojrzenie. Tym razem jednak do oczu dziewczyny napłynęły łzy. Za jej plecami w korytarzu pojawiła się Sally.

– Mieszkałaś w Nelson, Marigold? – nie odpuszczałam.

– Co to jest Nelson?

Sally gromiła mnie wzrokiem, ja jednak byłam zdesperowana.

– Marigold, co się stało z Wendy?

Zmarszczyła czoło.

– Nie powinniśmy o tym mówić. Nie wolno nam o tym mówić. Nigdy.

Sally weszła do pokoju.

– Już wystarczy, Florence – powiedziała. – Randy twierdzi, że musicie już wracać. Czeka przed domem.

Z rozmowy z Marigold niczego nie wyniosłam. Dziewczyna albo się bała, albo faktycznie była zdezorientowana. Przypuszczalnie po trochu chodziło o jedno i drugie. Nie udało mi się też dalszym zgłębianiem sytuacji w Black Moss Manor zainteresować kogoś z posterunku. Odpowiadali, że placówka jest regularnie sprawdzana przez miejscowe władze i gdyby coś się działo, zostałyby to wyłapano.

Zajście w domu Glassbrooków też zostało zignorowane.

– Glassbrookowie są zastraszeni – tłumaczyłam. – Włamano się do nich, ktoś porysował samochód Sally. One są przerażone, a my nic nie robimy.

– Powinny wyprowadzić się z miasta – oznajmił Woodsmoke. – Tutaj już nigdy nie będą mile widziane. Ludzie już zawsze będą mówili, że musiały coś wiedzieć.

– Ty i młody Randy też powinniście na siebie uważać – dodał Sharples ściszone głosem. – Bo ludzie pytają, jak to możliwe, że tak długo tam mieszkaliście i z niczego nie zdawaliście sobie sprawy.

– Ja sobie w końcu zdałam – przypomniałam.

W reakcji na mój ton Sharples uniósł brwi, ale wiedział, w które potyczki warto się wdawać, a które lepiej zignorować.

– No tak i nie byłeś tam aż tak długo – przyznał. – Ale Butterworth mieszkał u nich dwa lata. Będzie miał szczęście, jeśli po czymś takim kiedykolwiek dorobi się stopnia sierżanta.

Sugestia była oczywista. Jeśli Randy i ja chcielibyśmy kiedyś awansować, nie wolno nam było bronić Glassbrooków. Dla Randy'ego mogło być za późno już nawet teraz.

58

Sally

Nie miałam wyboru, musiałam zostawić Marigold i jej dziecko z Luną i wrócić do pracy. Z powrotem w domu byłam wczesnym wieczorem i po szybkim sprawdzeniu co u nich – cała trójka czuła się dobrze – poszłam na górę, żeby się przebrać. Podciągnęłam lekko okno, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza, i z dołu przypląnęły do mnie głosy. Tuż pod moim oknem stała ławka i Luna i Marigold siedziały na niej i rozmawiały. Ciche gulgotanie powiedziało mi, że Henry też z nimi był.

– Uśmiechnął się do mnie – mówiła Marigold.

– Mama twierdzi, że w tym wieku to nie jest uśmiech, tylko wiatry – skorygowała Luna.

– Wiatry wychodzą drugą stroną. – Marigold wydała właściwy odgłos.

Odwróciłam się od okna, ale wtedy Marigold znów się odezwała.

– Czy mój chłopak tu przyjdzie, Luna?

Na dole zaległa cisza.

– Nie wiedziałam, że masz chłopaka, Marigold – odpowiedziała w końcu moja młodsza córka.

– A jak inaczej zaszłabym w ciążę, głuptasie?

W głosie Marigold nie słychać było cienia strachu. A jednak, według słów Florence, jej dziecko było wynikiem kazirodczego gwałtu.

– Jak ma na imię twój chłopak? – spytała Luna. Mądra dziewczyna.

– Peter – odparła Marigold. – Jak Peter Piper. A ty masz chłopaka?

– Nie. – Głos Luny zrobił się chłodny.

– A Cassie ma?

– Wracam do domu. Zobaczymy się w środku.

Usłyszałam skrzypienie żwiru pod stopami odchodzącej Luny.

59

Florence

Piątek, 8 sierpnia 1969

W piątek, w piątym dniu mojego powrotu do pracy, zrezygnowałam z lunchu i autobusem pojechałam do biura redakcji „Lancashire Morning Post”. Miało mało imponującą witrynę. Farba na tablicy z nazwą odłaziła, a fotografie w oknie wyglądały na nieodświeżane od czasów późnych lat pięćdziesiątych.

Kiedy weszłam, zadzwonił dzwonek. W redakcji, zaraz za ladą, dwóch mężczyzn i kobieta pracowali przy biurkach, odwróceny do wejścia plecami. Nikt nie podniósł głowy.

- W czymś pomóc?! – zawołała kobieta.
- Mogłabym porozmawiać z panem Frostem? – zapytałam.
- O czym? – Kobieta nadal nie podnosiła głowy znad maszyny do pisania.
- O domu dziecka Black Moss Manor.

Wtedy jeden z mężczyzn spojrzał w górę, młodszy z dwójki, a ja przekonałam się, że to wcale nie był mężczyzna, tylko wysoka młoda kobieta ubrana w garniturowe spodnie i koszulę z krawatem. Grube szkła okularów w czarnej oprawce sugerowały, że jest krótkowidzem.

– Frost wyszedł – powiadomiła ta kobieta od maszyny do pisania, starsza od swojej koleżanki.

- A kiedy wróci?
- Jutro? W przyszłym tygodniu? – W głosie mówiącej pobrzmiwało tłumione rozbawienie.
- Ona jest z policji, Amy – rzuciła młodsza koleżanka.

Wreszcie pozyskałam uwagę wszystkich. Starsza pracownica nawet wstała i podeszła do kontuaru.

– Pan Frost zwykle tu nie pracuje – wyjaśniła. – Nigdy nie wiemy, kiedy pojawi się w redakcji.

– Może my możemy w czymś pomóc? – zaoferowała się młodsza z kobiet.

Spojrzałam na mężczyznę, który stracił już zainteresowanie rozmową i powrócił do pisania na maszynie.

– Sir, czy pańskie nazwisko brzmi Whitehead?

Mężczyzna pokręcił głową. Nie powinnam była się dziwić. Frost mówił o „młodym Whiteheadzie”. Ten mężczyzna młody nie był. Spojrzałam na kobietę.

– Panna Whitehead?

– Abby Thorn – przedstawiła się. – Tim Whitehead odszedł z gazety cztery tygodnie temu. Poszedł pracować w „Echu” w Liverpoolu.

Byłam pewna, że Frost powiedział Whitehead.

– Pan Frost mówił, że zleci mu przyjrzenie się historii Black Moss Manor – wyjaśniłam. – Nie wie pani, czy nie zlecił tego komuś innemu?

Abby zaprzeczyła, kręcąc głową.

– Redakcja składa się tylko ze mnie i z Alfa – odparła. – Amy jest od ogłoszeń. Nie prosił cię, Alf, prawda?

Alf wzruszył obydwojema ramionami. Wzięłam to za odpowiedź przeczącą.

– Dziękuję pani – rzuciłam. – I przepraszam, że przeszkodziłam w pracy.

Na zewnątrz zatrzymałam się na chodniku, żeby pomyśleć. Oferta Frosta w środę wieczorem zamknęła dyskusję o Black Moss Manor. Nawet ja przyznałam, że propozycja Frosta to dobry sposób na dalsze kroki w sprawie. Czyli co, zbył mnie umyślnie czy się pomylił? Nie miałam możliwości się tego dowiedzieć.

– Florence?

Odwróciłam się. Ta młoda kobieta, Abby Thorn, stała w wejściu.

– Ma pani na imię Florence, prawda? – Nie tylko była jak na kobietę niezwykle wysoka, ale miała też bardzo duże dłonie i grubą szyję. – Proszę powiedzieć, co się dzieje?

Nie mogłam tego zrobić. Nie mogłam dopuścić, by cytowano mnie w gazecie, komentującą sprawę, która oficjalnie nie istniała i którą kazano mi się nie zajmować.

– Proszę wybaczyć, że zawróciłam głowę – rzuciłam. – Kiedy pan Frost wróci, na pewno o wszystkim wam dokładnie opowie.

– Wspomniała pani Black Moss. Czy tam się coś dzieje? Pojawiły się jakieś problemy?

Jej głos był słodki, niski i melodyjny. Pomyślałam, że mogłaby być piosenkarką.

Chwyciłam rower.

– Muszę się zbierać! – krzyknęłam przez ramię. – Zaraz mam patrol.

60

Sally

Chłopak? – powtórzyła Florence, kiedy podeszła do telefonu.

– Tak powiedziała.

Mówiłam cicho i wyglądałam na korytarz, żeby mieć pewność, że ani Luna, ani Marigold nie wejdą niespodziewanie. Cassie znowu oczywiście gdzieś poszła. Jak na dziewczynę, która rzekomo nie ma już znajomych, prowadziła całkiem bujne życie towarzyskie.

– Myślisz, że to prawdopodobne? – spytała Florence.

– Nie, wątpię – odparłam. – Tak jak i jej opowieści o ludziach z Black Moss, którzy chcą ją zabić. I którzy zabili kogoś o imieniu Wendy.

– O której nikt inny nigdy nie słyszał – dodała Florence. – Może po prostu ma bardzo wybujałą wyobraźnię.

– Może.

– Nie mówisz z przekonaniem.

Chwilę pomyślałam.

– Nie sprawia wrażenia kogoś, kto kłamie, nie uważasz? – znów spytała Florence.

– Nie, nie sprawia.

Florence westchnęła z poirytowaniem.

– Sally, zupełnie nie wiem, co mam robić. Próbowałam wciągnąć w sprawę ludzi z posterunku, ale wygląda, że wszyscy mają to gdzieś. Nie wolno mi jechać do jej domu w Nelson, nie wolno mi o nią rozpytywać.

– Fakt, rozmowa z osobami, które znały ją wcześniej, mogłaby coś wniesć – zgodziłam się. – Można by się zorientować, czy zmyśla, czy mówi prawdę.

– No właśnie. Ale nie mogę tego zrobić. Zresztą nawet, gdyby nie kazali mi zostawić tej sprawy, zawałają mnie robotą tak, że nie starcza mi czasu na jedzenie i oddychanie. Przerwę na lunch zupełnie zmarnowałam i w dodatku spóźniłam się na patrol.

Powiedzieli, że jeśli się to powtórzy, dostanę naganę.

– Dam ci znać, jeśli Marigold znów powie coś niezwykłego.

Florence podziękowała, po czym spytała:

– Nadal wybierasz się jutro do Larry’ego?

– Taki mam plan.

Krótką przerwę, potem:

– Chcesz, żebym z tobą pojechała? Nie powinnam, ale jutro mam wolne. Nikt się nie dowie. Oczywiście nie wejdę do niego... zaczekam na ciebie na zewnątrz.

– Doceniam twoją propozycję, Flossie – odpowiedziałam, używając jej dawnego przezwiska bez zastanowienia. – Ale poradzę sobie sama.

– Prawdopodobnie nawet by nie wypadło.

– No, nie bardzo.

Pożegnałyśmy się i odłożyłam słuchawkę, nie do końca wiedząc, co mam myśleć. Mój mąż próbował zabić Florence, w najokrutniejszy sposób, a ona jednak stale udaje, że jest po mojej stronie.

Poszłam poszukać dziewcząt. Otworzyłam drzwi do kuchni i wtedy przyszła mi do głowy zaskakująca myśl.

Może Florence wcale nie udaje.

61

Florence

Tu będzie dobrze, dziękuję, sierzancie.

– Cała przyjemność po mojej stronie, kochanie. Życzę miłego weekendu.

Otworzyłam drzwi wozu Woodsmoke’a i wysiadłam. Pochylił się, żeby mógł mnie nadal widzieć.

– Teraz, kiedy już wiemy, że tak dobrze ci idzie, będziemy cię wyciągać co tydzień.

– Nie ma problemu. Dobranoc, sierzancie.

Tego wieczoru posterunkowa drużyna krykieta rozegrała mecz towarzyski z drużyną z komisariatu w Burnley. Trwał kilka godzin, a potem wszyscy poszliśmy do Czarnego Psa. Był tam Tom, także jego żona, Eileen, i ludzie z wydziału śledczego robili wszystko, by nas dwie trzymać od siebie jak najdalej. Chłód jej spojrzenia odnajdował mnie jednak w zatłoczonej sali wielokrotnie.

Skręciłam z głównej ulicy i ruszyłam w krótką drogę do hostelu.

– Florence! – zawołał męski głos. Odwróciłam się i zobaczyłam, że w szarzejącym świetle dnia idą ku mnie dwie osoby. Rozpoznałam niską przysadzistą sylwetkę Dwane’a, a kiedy przechodzili pod latarnią, rozpoznałam też towarzyszącą mu starszą kobietę.

– Znasz moją mamę – powiedział Dwane.

– Hej, Lillian – rzuciłam. – Czy wszystko w porządku?

– Nie – odparł Dwane. – Musimy zamienić z tobą słowo.

Poszłam z nimi. Całą trójką skręciliśmy w boczną ulicę z rzędem słabo oświetlonych szeregowców. W jej połowie Dwane zaskoczył mnie, pukając mocno w jedno z drzwi. Otworzyły się po kilku sekundach i Lillian wprowadziła nas do środka.

Doliczyłam się pięciu małych drewnianych stolików, wokół każdego siedziała grupa mężczyzn, pijących, rozmawiających i grających w karty lub domino. Gołe deski podłogi pokrywała warstwa kurzu. Dwane wysforował się naprzód i wspiął na mosiężną

podpórkę do stóp biegnącą u dołu baru.

– Porto z cytryną, mamó? – spytał. – Czego się napijesz, Florence?

– Poproszę sok pomarańczowy – odpowiedziałam, rozglądając się dokoła z lekką konsternacją. Miejsce wyglądało tak, jakby ktoś urządził sobie pub we frontowym salonie.

Czekaliśmy na nasze drinki, a potem poszłam za Lillian do innego pokoju, tym razem ze skrawkiem dywanu i tapicerowanymi krzesłami. Były tam jakieś kobiety, gapiąc się na mnie, skinęły głowami Ogilvym.

– Co to za miejsce? – zapytałam. – To legalny lokal? – Nigdzie nie dostrzegłam żadnej z typowych licencji.

Lillian pokazała na ścianę. Spojrzałam tam i zobaczyłam pokryty tłuszczem olejny obraz przedstawiający ulicę na zewnątrz, sprzed może jakichś pięćdziesięciu lat albo jeszcze wcześniej. Na szyldzie pubu przed domem, w którym się obecnie znajdowaliśmy, widniała stojąca w progu kobieta w długiej spódnicy i pelerynie z kapturem. Przymrużyłam oczy, by przeczytać napis. „Mądra niewiasta”.

Usiedliśmy przy stoliku w rogu, ale żadne z Ogilvych nie wiedziało, jak ma zacząć. Dwane spojrzał na matkę. Ona na szklaneczkę z porto z cytryną.

– Ludzie mówią, że ta młoda dziewczyna musi wrócić do Black Moss Manor – odezwał się Dwane po kilku sekundach. – Czy to prawda?

– Cóż, ona z pewnością tego nie chce. Ale nie wiem, jak długo Sally będzie mogła się nią opiekować. W tej chwili nie ma dla niej innego miejsca.

– Ona nie może tam wrócić. Tam jest coś nie tak. – Lillian położyła swoją torebkę na kolanach i zacisnęła na niej dłonie, jakby to załatwiało sprawę.

– Co wiesz o tym domu? – spytałam.

Znowu wymienili się spojrzeniami.

– Chcieli mnie – powiedział Dwane. – Chcieli, żeby mama mnie im oddała.

– Co takiego?

– W tej rodzinie rodzi się wielu niskich – zaczęła wyjaśniać Lillian. – Po stronie ojca Dwane’a. Niektórzy gadali, że nie powinnam za niego wychodzić, bo mogę urodzić chore dzieci, ale Dwane’owi nic nie jest. Wszystko z nim w porządku.

– Zdecydowanie – potwierdziłam.

– Z dwojgiem pozostałych też. Po prostu nie są tak wysocy jak inni.

– Ludzie są różni – powiedziałam i uśmiechnęłam się do Dwane’a. Łypnął na mnie gniewnie. – Ale chwila, kiedy to było? – Dwane był ode mnie starszy, dobijał trzydziestki.

– Kiedy był małym chłopakiem. Miał jakieś pięć czy sześć lat. Dwane był moim pierwszym dzieckiem i od początku było jasne, że będzie niski. Przez kilka tygodni baliśmy się nawet, że nie przeżyje, ale był z niego mały twardziel.

– Nadal jest – rzuciłam, trochę ryzykownie.

Dwane znów zgromił mnie wzrokiem, zły, że przerywam jego matce.

– To byli Asterowie? – zapytałam. Nie mogłam się powstrzymać.

– Tak – potwierdziła Lillian. – W mieście byli od niedawna, a dom dziecka dopiero rozpoczął działalność. To było prawie zaraz po wojnie. Od tamtego czasu to zawsze było miejsce, do którego wysyłali dzieci upośledzone i kalekie.

– Ja nie jestem upośledzony – wtrącił się Dwane. – Więc mama mnie nie oddała. Ani naszej Lizzie czy naszego Michaela.

Rozsiadłam się na krześle wygodniej, żeby pomyśleć. Placówka przyjmująca niechciane kalekie dzieci to jedno. Ale taka, która agresywnie namawia rodziny do oddania dzieci, to już zupełnie inna para kaloszy.

– Chcieli, żebyście oddali im dzieci, ale tylko te z karłowatością? – spytałam, żeby się upewnić.

– Gadali o tym, jak trudno będzie je wychować, że powinny być w specjalistycznym miejscu – odpowiedziała Lillian. – Nie zamierzałam tego słuchać. Straszili, że powiadomią miejscowe władze, żeby się tym zajęły, żeby dowiodły, że nie jestem dobrą matką.

– To oburzające.

– W końcu w sprawę włączył się wuj Stan – powiedział Dwane. – Wtedy nie był inspektorem, ale nie dawał wciskać sobie kitu. Wycofali się. Ale chcą teraz dziecka tej dziewczyny i łatwo nie odpuszczą.

– W ogóle nie odpuszczą – stwierdziła zdecydowanie Lillian.

– Dlaczego? – zapytałam. – Dlaczego tak im zależy na ułomnych dzieciach?

Żadne z nich nie znało na to odpowiedzi.

Dwane uparł się, że razem z matką odprowadzą mnie do hostelu. Patrzyłam za nimi, gdy odchodzili w stronę przystanku autobusowego, potem weszłam do środka. Głos wołający moje imię sprawił, że podskoczyłam. Odwróciłam się i zobaczyłam, że z zapalonym papierosem w ręce kroczy ku mnie Abby Thorn z „Lancashire Morning Post”. Zatrzymała się kilka kroków przede mną i wydmuchnęła duży obłoczek dymu. Gest był niemal agresywny.

– Przypomniało mi się coś o tym domu dziecka – oznajmiła. – Po twoim odjeździe. Nie odpowiedziałam. Nie mogłam rozmawiać z dziennikarzami.

– Pomyślałam, że może cię to zaciekawić.

– Słucham. – Mówić chyba mogłam jej pozwolić, no nie?

– Jeśli na mnie doniesiesz, wszystkiego się wyprę.

– Ja też.

Posłała mi ponury uśmiech.

– Podsluchujemy kanał policyjny. To w ten sposób zdobywamy wiele materiałów do naszych artykułów. Ponad trzy lata temu – sprawdziłam to w swoich zapiskach z tamtego czasu, więc jestem pewna daty – usłyszałam raport o zaginięciu dziecka z Black Moss. Pojechałam tam, zaparkowałam na szczycie drogi i pod dom podeszłam pieszo. Ten człowiek, który go prowadzi... Ma na nazwisko Aster, tak?

Kiwnęłam głową.

– Stał w drzwiach i rozmawiał z kierowcą radiowozu. Mówił, że zaszła pomyłka. Że dziecko się odnalazło, jest całe i zdrowe, że policję zawiadomiono przez pomyłkę, i że bardzo mu przykro, że przysporzyli kłopotów. Usłyszałam to wszystko, kiedy podeszłam bliżej.

– I co było potem?

– Policja odjechała, a później przyjechali jacyś ludzie. Samochodami, furgonetkami, motocyklami. Wielu miało psy. Wszyscy poszli na wrzosowiska. Widziałam światła ich latarek.

– Gdzie byłaś, kiedy to się działo?

Roześmiała się krótko i cicho.

– Siedziałam w krzakach. Nie mieli pojęcia, że tam jestem. Poszukiwania trwały dobre dwie godziny, potem ci ludzie odjechali. Albo znaleźli dzieciaka, albo zrezygnowali z dalszych poszukiwań.

– Badałaś później tę sprawę?

– Jasne. Następnego dnia zadzwoniłam do domu dziecka. Zaprzeczyli, że cokolwiek się tam działo. Zadzwoniłam też na policję. Wszystko, co mogli mi powiedzieć to to, że mieli zgłoszenie, ale okazało się pomyłką. Do niczego nie dotarłam i zresztą Frost kazał mi się tym więcej nie zajmować.

– Dobrze, że mi o tym powiedziałaś. Dziękuję. – Zupełnie oddzielną kwestią było, czy mam tę informację wykorzystać i w jaki sposób.

– I to wszystko? Nie zdradzisz, jakie masz plany? – obruszyła się.

– Nie wolno mi z tobą rozmawiać o toczących się śledztwach, Abby. Przecież wiesz.

Skrzywiła się, chciała odejść, ale potem znów się odwróciła.

– Pojedźmy tam – zaproponowała. – Pojedźmy i rozejrzyjmy się.

– Nie możemy o tak późnej porze pojechać do domu dziecka i zapukać do drzwi.

– A kto mówi o pukaniu? Pojedziemy i tylko się porozglądamy.

Pokręciłam głową.

– No to trudno, ja jadę. – I z tymi słowami Abby Thorn odwróciła się i ruszyła do auta, po drodze rzucając na żwir niedopałek papierosa. Patrzyłam, jak żar w nim przygasa i znika, a potem pobiegłam za dziennikarką.

Zaparkowała na szczycie Laurowego Nasypu.

– Stąd powinniśmy pójść pieszo – powiedziała. – Żeby nie usłyszeli samochodu.

Ruszyliśmy ciemną wąską drogą gruntową wiodącą pod budynek.

– No to mów, co takiego się wydarzyło, że zainteresowałaś się tym miejscem? – rzuciła Abby, gdy byliśmy w połowie drogi. Mówiła ciszej i to mi uświadomiło, że ona też się denerwuje.

Nie mogłam jej opowiedzieć o Marigold. Nie chciałam ryzykować, że biedna dziewczyna będzie dręczona przez dziennikarzy. Wciąż jeszcze się zastanawiałam, jak mam odpowiedzieć, gdy Abby mruknęła:

– Rozumiem. Najpierw musimy nauczyć się sobie ufać. A teraz cicho.

Skreśliłyśmy na ostatnim zakręcie i zobaczyłyśmy dworek. W oknach na parterze świeciło się światło. Te na piętrze były ciemne.

– Asterowie sypialnię mają od frontu – poinformowała Abby. – A to ich samochód.

Z boku drzwi wejściowych stał duży czarny rover. Znałam ten samochód, już go wcześniej widziałam.

– Dwie osoby z personelu mieszkają na miejscu, nie muszą dojeżdżać do pracy – ciągnęła Abby. – Dojeżdża tylko kobieta nazywająca się Sandra Cartwright, bo mieszka w mieście.

– Wygląda na to, że nic się tu nie dzieje – zauważyłam. – Myślę, że wszyscy już śpią.

– Chodźmy na tył. – Abby machnęła ręką w stronę wąskiej ścieżki biegnącej między domem a gęstwiną krzewów laurowych.

Z każdą minutą coraz bardziej niespokojna – miałam świadomość, że jeśli ktoś z posterunku dowie się, co robię, rozpęta się piekło – poszłam za Abby. Po kilku krokach zatrzymała się pod oknem na bocznej ścianie budynku. Sekundę później świeciła w nie latarką, chcąc zobaczyć pomieszczenie za nim.

– Widzę, że przyjechałaś przygotowana – wymamrotałam.

– Jestem drużynową miejscowego zastępu harcerek – odpowiedziała.

Nie wiedząc, czy żartuje – nie wyglądała mi na kogoś takiego – zajrzałam przez okno do pokoju. Okazało się, że był to pokój dla niemowląt i bardzo małych dzieci. Wszystkie łóżeczka były puste. Ruszyliśmy dalej. Za następnym oknem było pomieszczenie wyglądające jak mały oddział szpitalny, z czterema łózkami i różnorodnym sprzętem medycznym.

– Kiedy byłam tu ostatnio, poprosiłam, żeby mnie oprowadzili – szepnęłam. – Zabrali mnie tylko na górę. Tych pomieszczeń nie widziałam.

Poszliśmy dalej. Za trzecim i ostatnim oknem był pokój wyglądający na gabinet lekarski.

– Nie wydaje ci się, że trochę tego za dużo? – spytała Abby. – Dla mniej niż dwudziestki dzieci?

Odeszliśmy od okna i ruszyliśmy przed siebie, teraz wzdłuż muru okalającego ogród, usiłując cokolwiek zobaczyć w prawie całkowitej ciemności.

– Abby. – Zaczynałam się już naprawdę poważnie denerwować. – Niczego więcej nie zobaczymy. Z tyłu jest tylko jedno wejście, ale ono prawie na pewno jest zamknięte.

Zignorowała mnie. Praktycznie byliśmy już na wrzosowiskach. Widać było nawet zagajnik klonów, nawet ten, na który się wdrapałam we wtorek. Abby pomaszerowała do furki ogrodu i nacisnęła kłamkę. Oczywiście furka była zamknięta.

– Podsadź mnie – rzuciła.

Nie mogłam uwierzyć własnym uszom.

– Oszalałaś? Nie dasz rady wdrapać się na ten mur.

– Jasne, że dam. Nie jest wysoki. Ma tylko trochę ponad dwa metry.

– A jak wrócisz?

– Nie zeskoczę na drugą stronę. Chcę tylko popatrzeć.

– Och, na litość boską, no dobrze. Ale dam radę utrzymać cię tylko kilka sekund.

Złożyłam dłonie, Abby postawiła na nich stopę i podskoczyła. Było mi trudno ją utrzymać – była nawet cięższa, niż na to wyglądała – ale chwyciła się obrzeża, podciągnęła i usiadła na murze.

– Abby. – Siedziała wysoko nade mną. – Myślę, że powinnaś zejść. Jeśli ktoś nas zobaczy...

W odpowiedzi przerzuciła nogi za mur i zniknęła. Usłyszałam ciche łupnięcie, kiedy wylądowała po drugiej stronie.

– Czy ty...? Abby, co ty robisz?

Przez tę idiotkę mogłam stracić pracę. Jeszcze raz spróbowałam otworzyć furtkę w murze. Nadal była zamknięta. A potem usłyszałam zgrzyt odsuwanego rygla i w wejściu pojawiła się Abby.

– Nie ma zamka, same zasuwki – oznajmiła. – Jedna wysoko, żeby dzieci nie dosięgnęły. Idę sprawdzić, czy tylne drzwi są otwarte.

– Nie. – Złapałam ją za rękę. – Absolutnie nie wolno ci się tam włamywać. To niezgodne z prawem.

– Nie będę się włamywała. – Przestała się uśmiechać. – Posłuchaj, Florence, jeśli mnie zobaczą, powiem, że przyszłam sama. Pod warunkiem, że obiecasz, że na mnie nie doniesiesz ani mnie nie zaaresztujesz. Możemy się tak umówić?

Nie, nie mogłyśmy. Nadal nie puszczałam jej ręki.

Pociągnęła za nią łagodnie, aby się uwolnić.

– Jeśli ktoś przyjdzie, zahucz jak sowa.

Zahucz jak...?

– Wyluzuj – drzwi pewnie będą zamknięte. Poza tym to dom dziecka. Co takiego straszego może się tu stać?

Ruszyła wolnym truchtem, kierując się do tylnych drzwi.

Jezu, błagam niech będą zamknięte. Niech będą zamknięte. To naprawdę był bardzo zły pomysł.

Drzwi nie były zamknięte. Abby otworzyła je, odwróciła się, żeby mi pomachać i weszła do środka.

Powinnam była po prostu odejść, zostawić ją tam, w razie czego zaprzeczać, że ją tego wieczoru widziałam. Byłam wdzięczna, że podzielała mój niepokój co do tego miejsca, ale to nie było warte utraty pracy.

Nagły dźwięk kazał mi spojrzeć w górę. Na pierwszym piętrze ktoś otworzył okno i wyglądał przez nie. Nie mogłam dojrzeć, kto to był – pokój za tą osobą był ciemny – ale gdyby on czy ona wyjrzeli sekundę wcześniej, zobaczyliby Abby. Skurczyłam się w sobie i spuściłam głowę.

Już gorzej chyba być nie mogło.

A jednak okazało się, że mogło.

Usłyszałam, że pod dom ubitą drogą coś podjeżdża. Wizyta gości oznaczała, że ktoś w dworku nie spał. Ktoś mógł nas zauważyć i wezwać policję. Czy Abby to słyszała? Na ganku nie było już po niej śladu.

Zahucz jak sowa, powiedziała. Nigdy w życiu nie pohukiwałam jak sowa. Poza tym jak ona to usłyszy, będąc w środku? Wyszłam z ogrodu, zamknęłam furtkę i uciekłam.

Na rogu domu przystanąłam, żeby złapać oddech, dziękując przy okazji losowi, że byłam w ciemnym ubraniu. Obok rovera Asterów stał teraz drugi samochód, daimler. Usłyszałam otwieranie drzwiczek i głos, który należał chyba do Freda Astera.

Wiedziałam, że muszę wyciągnąć Abby z budynku. Jedyne, co mogłam zrobić, to wywołać zamieszanie, ściągając uwagę mieszkańców na front domu, tym samym dając Abby czas na wyjście. Tylko że nie miałam żadnych legalnych podstaw, żeby zapukać.

Ale nagle na coś wpadłam.

Pobiegłam do drzwi frontowych i zabębniłam w nie. Z walącym sercem odsunęłam się i wyjęłam odznakę. Po kilku sekundach drzwi się otworzyły i na progu stanął Frederick Aster. Był w koszuli pod krawatem i w marynarce.

– Co pani tu robi?

– Dobry wieczór, sir. – Staralam się mówić tak, by mój głos nie zdradzał zdenerwowania, ale wiedziałam, że mi to nie wychodzi. – Nie przeszkadzałabym, ale zobaczyłam włączone światło i wozy zaparkowane na zewnątrz. Uznałam, że prawdopodobnie jeszcze państwo nie śpicie i jak widać, miałam rację.

– Czego pani chce?

– Przyszłam po rzeczy Marigold.

– Rzeczy Marigold?

– Tak, rzeczy, które tu zostawiła. Nie jest ich wiele, to prawda, ale są dla niej ważne. Koszula nocna, ubrania, szczotka do włosów.

– Jest prawie północ.

– Dopiero minęła jedenasta, sir. I jak powiedziałam, nie zakłócałabym spokoju, ale zauważyłam zaparkowane samochody. Mam nadzieję, że to nie problem? Chyba żadne z dzieci się nie rozchorowało? Bo jeśli możemy w czymś pomóc, to z wielką przyjemnością zawiadomię posterunek.

Patrzył na mnie, jakbym była wariatką. I szczerze mówiąc, trudno było mu się dziwić.

– Proszę wejść – rzekł.

Och nie. Nie chciałam wchodzić. Ale Aster przesunął się w bok, nie miałam więc wyboru, musiałam za nim pójść. Hol był spowity przyćmionym światłem. I był pusty.

– A to co, do diabła? – Na szczycie schodów pojawiła się Judith Aster.

– Pani posterunkowa przyszła po osobiste rzeczy Marigold – wyjaśnił Frederick.

– Dopiero skończyłam służbę – skłamałam. – I przejeżdżałam obok.

– Skoro jesteś na górze, to może po nie pójdziesz? – poprosił żonę Frederick.

Judith stała chwilę na szczycie schodów, gromiąc męża wzrokiem, potem odeszła.

– Może się pani czegoś napije, panno Lovelady? – zaproponował Frederick.

– Nie, dziękuję. Chcę jak najszybciej zniknąć państwu z oczu.

– Nie jest pani na służbie. O ile wiem pija pani dzin. I chyba okazjonalnie babycham.

Przesunęłam się bliżej drzwi. Nie zamierzałam niczego pić w tym domu.

Aster dał krok w bok, blokując mi drogę.

– Wywołuje pani spore zamieszanie w mieście, pani posterunkowa – rzekł. – Żona i ja jesteśmy zaszczyceni pani zainteresowaniem.

W tym momencie z góry przyplłynął ochrypły nieludzki krzyk.

– Co to było? – Instynktownie dałam krok w stronę schodów. I przyznaję, że moją pierwszą myślą było, że chodzi o Abby. Że odkryto jej obecność.

Na ramię opadła mi dłoń Astera.

– Dzieciom śnią się koszmary – wyjaśnił. – Żona się tym zajmie, jak tylko spełni pani prośbę.

Za nami otworzyły się jakieś drzwi. Szybko odwróciłam się w tamtą stronę, ale drzwi – prowadzące do skrzydła medycznego – były tylko lekko uchylone. Odniosłam wrażenie – nie, byłam pewna – że ktoś nas zza nich podsłuchuje. Abby? Czy tajemniczy gość?

Na szczycie schodów znów pojawiła się Judith ze starą torbą na zakupy w ręce. Kiedy dotarła na dół, podała mi torbę.

– Ogromnie państwu dziękuję – rzuciłam. – Marigold będzie bardzo wdzięczna.

Oboje milczeli, gdy szłam do wyjścia.

– Jesteście państwo pewni, że nie potrzebujecie żadnej pomocy? – spytałam, kiedy otworzyłam drzwi i poczułam się nieco bezpieczniej.

– Żegnamy, panno Lovelady. – Drzwi zostały stanowczo za mną zamknięte.

Gdy wyszłam na żwir, usłyszałam huczenie sowy. Przeszłam na bok budynku i zobaczyłam wyglądającą na mnie zza rogu ciemną postać.

– Kto odwiedza dom dziecka w nocy? – mruknęła Abby, kiedy bezpiecznie znalazłyśmy się z powrotem w jej aucie. Jeszcze go nie uruchomiła. Zamiast tego drżącymi rękoma zapaliła papierosa.

– Wydaje mi się, że rozpoznaję tego daimlera – powiedziałam. – Myślę, że należy do jednego z opiekunów prawnych. Jutro to sprawdzę.

– Ale nie do Frosta – rzuciła Abby. – On jeździ aston martinem.

– Widziałaś coś w środku? – spytałam.

– Kuchnię, spiżarnię, korytarz na tyłach. Usłyszałam, że ktoś wszedł frontowymi drzwiami i spanikowałam. Cholera, mogłam zostać.

– Nie, nie mogłaś. – Przekreśliłam lusterko wsteczne tak, żebym widziała, co się dzieje za nami. – Ja słyszałam krzyk – powiedziałam.

– Cholera, naprawdę?

– No może bardziej coś jak zduszony płacz – dodałam ściszym głosem. – Coś jak dźwięk, jaki wydają ludzie, kiedy są zakneblowani.

Aż za dobrze wiedziałam, jak coś takiego brzmi. Dzięki Larry’emu miałam okazję nasłuchać się sporo takich zdławionych przez knebel krzyków. Swoich własnych.

Abby domyśliła się, że mówię z doświadczenia. Na jej twarzy pojawił się wyraz współczucia. Nawet wyciągnęła rękę, jakby chciała mnie poklepać, ale zanim to zrobiła, zmieniła zdanie.

– Co tam się dzieje? – wymamrotałam. – Goście w środku nocy, w domu dziecka. Nie podoba mi się to.

– Myślisz to samo co ja? – spytała Abby.

Nie chciałam ubierać w słowa tego, co myślałam.

– Słyszałaś o sprawie Westfield?

Pokręciłam głową.

– Dom dziecka Westfield z Liverpoolu – kontynuowała. – Kilka lat temu – chyba w 1965 roku – kierownik internatu został skazany za wymuszanie stosunków seksualnych. Odsiedział cztery lata. Tego samego roku podobna rzecz zdarzyła się w Leicestershire. I było też kilka skarg na szkoły Kongregacji Braci w Chrystusie.

– Zawieź mnie do budki telefonicznej – rzuciłam gwałtownie.

– Po co?

– Zadzwoń na posterunek. Zgłoszę ich.

– Zwariowałaś? I co powiesz?

– Dobra, pójde pieszo. – Zaczęłam się gramolić z samochodu.

Abby mnie zatrzymała.

– Florence, nie możesz złożyć oficjalnego doniesienia. Gdzie masz jakieś dowody?

– Złożę anonimowo. Powiem, że jestem zaniepokojonym mieszkańcem.

– A kiedy policja przyjedzie, Fred Aster opowie o twojej niespodziewanej wizycie. Nikt się na to nie nabierze. Florence, bądź rozsądna. Dzisiaj już nic nie możemy zrobić.

Miała rację. Musiałyśmy pozwolić, żeby cokolwiek działo się w budynku za nami, przynajmniej na razie działo się nadal.

62

Sally

Sobota, 9 sierpnia 1969

Sala odwiedzin więzienia Jej Królewskiej Mości w Manchesterze była ogromna; matowe, upstrzone pyłkami kurzu światło dzienne wpadało do środka przez sześć dużych świetlików i docierało do najdalszych zakamarków. Wrażenie było takie, że jest się w miejscu, w którym nic się nigdy nie ukryje.

Ze wszystkich stron śledziły mnie oczy. Stojący pod ścianami strażnicy każdego, kto wchodził, skanowali jak bezwzględne wydajne roboty. Byłam tak zdenerwowana, że wydawało mi się, że tak samo obserwują mnie obecni tam więźniowie. Dopiero kiedy pokonałam połowę długości sali, dotarło do mnie, że są tylko ciekawi żony Larry’ego Glassbrooka. Cała uwaga skupiała się na nim, jak zwykle.

Gdy podeszłam do stolika, przy którym siedział, chmura na niebie przesunęła się i przez świetlik do środka wpadło brudne żółte światło i sprawiło, że włosy Larry’ego zamigotały czernią kruczych skrzydeł. Wstał i wyciągnął ręce, jakby chciał mnie uścisnąć. Nie dotykałam go od tamtej nocy, kiedy go od nas zabrali i nie chciałam robić tego teraz. Zatrzymałam się krok przed stolikiem, próbując wymyślić, co mam powiedzieć.

Larry zwiesił ręce.

– Pięknie wyglądasz – powiedział.

On nie. Włosy miał tłuste. Nie golił się od co najmniej trzydziestu sześciu godzin – po długości zarostu potrafiłam to określić prawie co do godziny – i miał zadrapanie na twarzy. Nie wyglądał dobrze, a jednak... Sądziłam, że więzienie go w jakimś sensie pomniejszy. Nie pomniejszyło.

– Dobrze cię widzieć – dorzucił.

Nie miałam nic do powiedzenia. Nie mogłam nawet na niego patrzeć. Opuściłam

oczy na tandetny metalowo-plastikowy stolik między nami. Czy pozwolą mi wyjść wcześniej? Czy gdybym teraz wróciła biegiem do drzwi, ktoś by mnie zatrzymał? Czy ja też byłam więźniem do momentu zakończenia widzenia? Już teraz zaczynałam zapominać, jak wygląda świat na zewnątrz.

– Powinnaś usiąść, kochanie. Jak się jechało?

Jakby dawał mi przykład, wysunął swoje krzesło i usiadł. Poszłam w jego ślady.

– Co u dziewcząt? – zapytał.

Wspólna płaszczyzna. O córkach mogliśmy chwilę porozmawiać.

– Wszystko dobrze – odparłam. – Radzą sobie. Pozdrawiają cię.

Uśmiechnął się i przeciągnął palcami po włosach, w stylu Elvisa. Na widok tego gestu poczułam autentyczny fizyczny ból.

– Nigdy nie potrafiłaś dobrze kłamać – mruknął. – Jak naprawdę się czują?

Spróbowałam wziąć się w garść.

– Mają problemy z kolegami. Kłócą się ze sobą. Cassie lunatykowała. – Chciałam wspomnieć o mężczyźnie w kuchni, ale zrezygnowałam. Na razie. – A Luna ma nocne lęki. Ale wstają rano i... – urwałam.

– Żyjecie z dnia na dzień – domyślił się Larry.

Kiwnęłam głową. Potem chwilę milczeliśmy.

– W przyszłym tygodniu przyjedzie do mnie Avril Cunningham – obwieścił, przerywając ciszę. – Dla mnie, po prawdzie, niewiele może zrobić, ale twierdzi, że ty i dziewczynki potrzebujecie pomocy.

– Roy mówi, że nasz dom należy do niego – rzuciłam. – Czy to prawda?

Na widok mojej miny wzdrygnął się.

– Sal, kiedy Roy mnie przyjmował, nie miałem grosza. Tak samo mama i tata. Kupił ten dom dla nas. Wziął mnie na wspólnika. Bez niego bylibyśmy niczym.

Bylibyśmy wolni, pomyślałam.

– Czyli co, ja i dziewczynki nie mamy nic?

Larry pokręcił głową.

– Nie, to nie tak. Była umowa, porozumienie. Miał mi przekazać firmę po przejściu na emeryturę w wieku sześćdziesięciu pięciu lat. Zostało jeszcze tylko dziesięć. W tym samym czasie, jeśli tylko płacilibyśmy czynsz, dom miał przejść na nas. Także wtedy, gdyby coś mu się stało wcześniej. Zapisał to w testamencie.

– Ale teraz to już nieaktualne?

– To właśnie musi ustalić Avril. Chcę zaproponować, że zrzeknę się wszelkich roszczeń do firmy w zamian za to, że ty i dziewczynki będziecie mogły dalej mieszkać

w domu i odziedziczycie go po jego śmierci. Jeśli Avril to załatwi, będziecie zabezpieczone.

– On się chce wprowadzić. Mówi, że będzie co tydzień wypłacał mi dywidendy, jeśli zgodzę się przyjąć jego i jego matkę. Mówi, że potrzebujemy ochrony.

– Przed czym?

– Przed ludźmi z miasta. Prasą. Przed bandziorami.

– Może to i słuszne. – Larry kiwał głową. – Może to wcale nie jest zły pomysł, Sal. Na krótką metę. Dom jest duży. Nie podoba mi się myśl, że ty i dziewczynki mieszkacie w nim same.

Spodziewałam się, że Larry będzie przeciwny, że nie będzie chciał, żeby Greenwood się do nas wprowadził, a nie, że uzna pomysł za rozsądny.

– To porządny facet, Sal. Ciężko pracujący. I ma posłuch w mieście. W radzie miejskiej, na policji. Dobrze jest kogoś tak silnie umocowanego mieć po swojej stronie.

Roy nie chciał być po mojej stronie, chciał się znaleźć w moim łóżku. Po raz pierwszy powiedziałam to sobie otwarcie.

– Chcę sprzedać dom – oznajmiłam. – I się przeprowadzić. Gdzieś indziej. Gdzieś daleko, gdzie nikt nas nie zna.

Larry nie odpowiedział. Patrzył mi w oczy i wydawało się, że przestał mrugać.

– A co na to dziewczynki? – spytał po kilku sekundach.

– Cassie nie chce – przyznałam. – Ale myślę, że się pogodzi.

– A Luna? – Jego głos z jakiegoś powodu stwardniał.

– Luna chce. Nie chce zostawać w Sabden.

Larry znów zamilkł.

– Miała problem z chłopakiem. Tym Johnem Donnellym. Rzucił ją.

Przez sekundę byłam przerażona wyrazem oczu Larry'ego.

– I dobrze. Nie chcę, żeby dziewczęta zbliżały się do tego chłopaka – rzucił. – Ani jedna, ani druga.

– Cóż, trzeba było pomyśleć o tym wcześniej, bo teraz może ci być trudno je kontrolować.

– Kochanie, przepraszam. Ale on nie ma na nie dobrego wpływu.

Nie rozumiałam tej nagłej niechęci Larry'ego do Johna Donnelly'ego, ale mimo to byłam gotowa to wykorzystać.

– No to co, powinniśmy się przeprowadzić, tak?

Pokręcił głową.

– Nie możecie.

– Dlaczego nie?

Cisza.

– Larry, dlaczego nie możemy się wyprowadzić?

Usiadł prosto.

– Co słyhać u Florence? Lubiłem naszą starą Flossie. Wróciła do pracy?

Nie byłem pewna, czy mogłabym go nienawidzić bardziej niż w tamtym momencie.

– Dlaczego? – spytałam. – Dlaczego to zrobiłeś? Po co były te tortury? Te figurki?

Nie jesteś magiem, Larry – nie znosisz tych rzeczy.

Odwrócił wzrok.

– Powiedz mi dlaczego – powtórzyłam. – Albo nigdy więcej tu nie przyjdę. Nigdy więcej nie zobaczysz mnie ani dziewczynek, chyba że powiesz dlaczego.

W tym momencie odezwał się dzwonek i dyżurujący strażnik zawołał: „Panie i panowie, pora kończyć. Proszę się zegnąć”.

– Powiedz dlaczego – spytałam znowu.

– Z miłości – odparł. – Bóg mi świadkiem, zrobiłem to z miłości.

Florence

Krótki odcinek od przystanku autobusowego do posterunku policji w Nelson pokonałam pieszo. Byliśmy częścią tego samego oddziału w Lancashire, wiedziałam więc, że moja wizyta będzie zgłoszona zapewne jeszcze, zanim zdążę wyjść z budynku. Z drugiej strony, jak każdy członek społeczeństwa miałam prawo zasięgać informacji.

Wczorajsze odwiedziny w Black Moss Manor wzmocniły moją determinację. Jeśli działy się tam te straszne rzeczy, o których mówiła Abby, zamknę to miejsce. Ale ponieważ nie mogliśmy prowadzić śledztwa oficjalnie, jedyną drogą pójścia do przodu wydawało się zebranie informacji na temat Marigold i okoliczności, na skutek których trafiła do Black Moss.

– Nie mieliśmy tu nigdy kobiety policjantki – oznajmił funkcjonariusz na posterunku, kiedy pokazałam swój dowód i wyjaśniłam, że przyszedłam jako osoba prywatna. – Jak to się sprawdza?

– Bardzo dobrze – zapewniłam. – Jestem przekonana, że kobiet policjantek będzie coraz więcej.

Coś się wtedy zmieniło na twarzy tego funkcjonariusza.

– Och, no tak. To pani.

Skinęłam głową.

– Tak, to ja. I interesuje mnie rodzina nosząca nazwisko McGowan. Z ewidencji ludności wynika, że w mieście jest siedem takich rodzin. Próbuję odnaleźć jedną konkretną.

Policjant zmarszczył czoło.

– Ale w zasadzie, o co chodzi?

Opowiedziałam, co się stało, pomijając część o obawach Marigold odnoszących się do Black Moss Manor i mojej własnej nieufności do tego miejsca.

– Lubię tę dziewczynę – dodałam. – Chciałabym ponownie połączyć ją z bliskimi,

jeśli to możliwe. Siedem rodzin to dużo sprawdzania. Pomógłby mi pan zaoszczędzić czas?

Funkcjonariusz spojrział na moją listę i po sekundzie położył palec na jednym z wpisów.

– Para po siedemdziesiątce – rzekł. – Od lat bez dzieci w domu. Reszty niestety nie znam.

– A czy natknął się pan tu kiedykolwiek na dziewczynę z zespołem Downa? – spytałam. – Były jakieś zawiadomienia o zaginięciu?

Zniknął, żeby sprawdzić w dzienniku, i wrócił kilka minut później.

– Nic – oznajmił. – Nie ma jej na naszej liście osób zaginionych.

Warto było spróbować, no i przynajmniej wykluczyłam z listy jedną rodzinę. Miałam mapę, kilka godzin do dyspozycji i porządne buty na nogach. Podziękowałam funkcjonariuszowi za poświęcony czas i ruszyłam na poszukiwania.

Kiedy wróciłam do Sabden, był już wczesny wieczór i rodzinę Glassbrooków zastałam w ogrodzie. Luna i Marigold leżały na trawie, łaskocząc małego Henry’ego stokrotkami. Ktoś – domyślałam się, że Luna – zawiązał mu wianki ze stokrotek na szyi, rączkach i nóżkach. Sally siedziała w fotelu ogrodowym, obrywała zeschnięte kwiaty z lawendy. Cassie siedziała obok, z polaroidem na kolanach.

– Cinzano? – zaproponowała Sally. Zauważyłam wtedy stojący przed nią kieliszek.

Nie był to mój ulubiony drink, ale uznałam, że to dobry pomysł. Kiedy Sally poszła po wino do kuchni, odwróciłam się do Cassie.

– Był u was Dwane? – spytałam.

Kiwnęła głową.

– Zmienił wszystkie zamki i założył nowe zasuwki na drzwiach frontowych i z tyłu. I rygle w naszych sypialniach. Powiedział, że z nimi będziemy lepiej spały. Miły jest, prawda? W ogóle niestraszny.

– Nie, nie jest straszny – potwierdziłam.

Sally wróciła z drinkiem. Wrzuciła do niego dużo lodu i ozdobiła gałązką świeżego tymianku.

– Mamo, dlaczego nie mogę iść? – spytała Cassie.

Sally westchnęła.

– Masz Florence. Posiedzi z tobą – ciągnęła Cassie. – Tylko na godzinę.

– Nie dzisiaj.

– Cassie chce wyjść – powiedziała Marigold do synka. – Ty też byś chciał?

Dziecko zagulgotało.

– On mi pokazuje język – pisnęła Marigold. – Schowaj go, ty mały diabełku.

– Jak ci poszło? – spytała Sally ściszym głosem.

– Nie najlepiej. Żadni McGowanowie z Nelson nie przyznają się do Marigold – odparłam. – Sprawdziłam wszystkich. Bardzo możliwe, że ona w ogóle nie jest stamtąd.

– Nie jest – wtrąciła się Cassie.

Obie z Sally spojrzałyśmy na nią.

– Mówiła coś? – zapytałam.

Cassie miała na twarzy leciutki, dość irytujący uśmiezek.

– Mówiła wiele rzeczy. Ale jej akcent jest inny niż nasz. Nie pochodzi z tych okolic.

– Nie zauważyłam, żeby miała inny akcent – rzuciłam.

– Cóż, ty byś nie mogła tego zauważyć – stwierdziła Sally. – Bez obrazy, ale dla ciebie pewnie wszyscy z północy mówią tak samo.

Gdybym miała być uczciwa, to tak właśnie było.

– Co wychwyciłaś? – spytała Sally córkę.

– Inaczej wymawia samogłoski i niektóre bardzo przeciąga. Zrobiła to właśnie przed chwilą.

– To dość nieznaczne różnice – mruknęłam z powątpiewaniem.

– Nie, nieprawda – sprzeciwiła się Sally. – Ja potrafię odróżnić akcent z Burnley od akcentu z Blackburn. Co do Marigold, to szczerze mówiąc, nic nie zauważyłam, ale teraz, gdy Cassie powiedziała... – Odwróciła się do mnie. – Cassie ma słuch absolutny. Gdy mówi coś takiego, można jej wierzyć.

– W takim razie, skąd może być? – spytałam, zwracając się do Cassie.

Zamiast niej odpowiedziała Sally.

– Moim zdaniem skądś z dalszej północy.

– Ale nie z okolic Newcastle – rzekła Cassie.

– Nie, masz rację – zgodziła się Sally. – Z dalszej północy, ale wciąż po zachodniej stronie.

– Lancaster? – podsunęłam. – Carlisle?

– Marigold! – zawołała Cassie do dziewczyny. – Gdzie mieszkałaś, zanim przeprowadziłaś się do Black Moss Manor?

Marigold spochmurniała.

– Nie wrócę tam.

– Nie, wiemy, że nie wrócisz – potwierdziła Sally. – Chcemy tylko wiedzieć, gdzie

mieszkałaś przedtem.

– W innym miejscu.

– Jakim? – nie odpuszczała Cassie.

– W dużym domu.

Sally i ja zamilkłyśmy. Kiwnęłam głową do Cassie, żeby kontynuowała.

– Co jeszcze pamiętasz? – spytała.

– Wodę? – odpowiedziała Marigold.

– Rzekę?

– Nie. Duża woda. Jezioro.

– Duży dom nad jeziorem? – upewniła się Cassie.

– I góry.

– No, a niech mnie – mruknęła Sally. – Ona jest z Krainy Jezior.

64

Sally

Niedziela, 10 sierpnia 1969

Dzień po odwiedzinach u Larry'ego stałam rano w letniej kuchni i szatkowałam liście malwy, kiedy usłyszałam, że do kuchni w domu śpiewając, weszła Marigold. Włożyła Henry'ego do stojącej na blacie wyściełanej drewnianej skrzynki – wcześniej sprawdziliśmy, że jest bez drzazg – i zaczęła ładować do pralki brudne pieluchy.

– Kupka, kupka, śmierdząca kupka. – Marigold miała zwyczaj śpiewać o tym, co akurat myślała. Dziecinne, ale dość urocze. Pamiętałam, że dziewczynki, kiedy były bardzo małe, robiły tak samo.

– O rany, Marigold, ale smród. – Do kuchni weszła Cassie. – Czym ty go karmisz?

Zaczęłam szatkować wolniej. Cassie robiła tak, jak ją poinstruowałam. Nie chciałam się odwracać, ale widziałam odbicie dziewcząt w szybie uchylonego okna. Cassie oparła się o jedną z szafek.

– Luna mówi, że masz chłopaka, Marigold.

Marigold popatrzyła na Cassie chytrze.

– A ty?

Cassie odwdzięczyła się podobnie chytrym spojrzeniem.

– Jeszcze nie – odpowiedziała. – Ale jak będę miała, będzie bardzo przystojny.

– Mój ma na imię Peter. I jest bardzo przystojny.

Marigold puściła wodę mocniej, więc nie usłyszałam, co powiedziała potem.

– Jak on wygląda? – spytała Cassie. Oba krany były już zakręcone.

Żadnej odpowiedzi. Cassie zauważyła, że przyglądam się ich odbiciu w szybie.

– Jest blondynem tak jak ja? Czy rudy jak Florence? A może ma ciemne włosy jak posterunkowy Butterworth?

Marigold zamknęła pokrywę pralki.

– Ciemne. Ale to nie posterunkowy Butterworth. To nie on. Ale jest policjantem.

Cassie spojrzała na mnie. Machnęłam lekko ręką. *Pytaj dalej.*

– Skąd to wiesz? – spytała Cassie. – Chodzi w mundurze?

– Nie. Widziałam jego odznakę. – Marigold zachichotała i spuściła wzrok. – Kiedy zdjął ubranie.

– Gdzie go poznałaś? – kontynuowała wypytywanie Cassie.

– W Black Moss Manor.

Prawie się odwróciłam, kiedy to usłyszałam. Marigold poznała swojego chłopaka w miejscu, które ją przerażało? To nie miało sensu. Asterowie powiedzieli Florence, że Marigold przybyła do Black Moss na dwa tygodnie przed porodem. I co więcej, powiedzieli, że przyjechała z Nelson.

– Marigold – znów odezwała się Cassie – czy to boli, kiedy robi się dziecko?

– Trochę.

– A zrobiłaś je w Black Moss Manor?

– Tak. W mojej sypialni.

– Ale nie chcesz tam wracać?

– Nie. – W głosie dziewczyny pojawił się strach. – Tu jest lepiej. Tutaj oni nie mogą mnie zmuszać do robienia tych złych rzeczy. I tu ładnie pachnie.

– Poza chwilami kiedy Henry narobi w pieluchy – zazartowała Cassie.

Marigold zachichotała.

W tym momencie odezwał się telefon; przyszła Luna i powiedziała, że dzwoni Roy Greenwood i że chce ze mną rozmawiać.

65

Florence

Kiedy w niedzielę wieczorem przyjechałam do Glassbrooków, Cassie siedziała pod jabłunką. Oparłam rower o ścianę i poszłam dołączyć do niej w sadzie.

Wrzosowiska za nią przybrały jeszcze głębszą barwę; w ostatnich dniach zakwitła ciemniejsza odmiana wrzosów i Wzgórze wyglądało teraz jak upstrzone wieloma kotlinami i szczelinami. Gdy nie stało się na wietrze, było przyjemnie ciepło, wokół roznosiło się wyjątkowo głośne brzęczenie pszczół.

– Byłaś w kościele? – Srebrzyste oczy Cassie wędrowały po mojej sukience.

Skinęłam głową.

– Na nieszpórach. W weekendy w hostelu pielęgniarzkim nie ma za wiele do roboty.

Cassie na sekundę spuściła oczy na trawę.

– Flossie, mogę cię o coś zapytać?

– Oczywiście.

– Gdybyś kogoś lubiła, ale wszyscy wokół ciebie nie chcieliby, żebyś z nim była, co byś zrobiła?

Uważniej przyjrzałam się jej twarzy, zastanawiając się, czy nie chodzi o Toma. Cassie była inteligentną dziewczyną. Była też sprytna i potrafiła być złośliwa.

– Myślę, że zapytałabym się siebie, dlaczego nie chcę, żebym z nim była, i czy mają rację, czy nie – odpowiedziałam.

W moim przypadku zdecydowanie mieli.

– Oni uważają, że on należy do kogoś innego – rzuciła Cassie. – Uważają, że go kradnę.

Nie wyglądało to na podstęp, ale mimo wszystko nie zamierzałam pozwalać, by oceniała mnie nastolatka.

– Moim zdaniem ludzie nie należą do nikogo poza samymi sobą – oznajmiłam. – Ludzie nie są przedmiotami, nie można ich posiadać.

– No właśnie. Ja też tak myślę – zgodziła się Cassie z zapalem.

– Ale ludzie zaciągają zobowiązania – dodałam. – Obietnic nie należy łamać lekką ręką. Może nawet w ogóle.

Kiedy zatem sama posłucham własnej rady?

– Jedzie Greenwood.

Żadna z nas nie zauważyła nadejścia Luny. Byłam zszokowana jej wyglądem. Zawsze była chudym dzieckiem, ale wydawało się, że ostatnio schudła jeszcze bardziej. Skórę okrywającą kości policzkowe miała niemal przezroczystą, oczy ogromne i zarazem bardzo czerwone i poprzecinane żyłkami.

– To jego samochód – dodała.

Cassie i ja odwróciłyśmy się i zobaczyłyśmy, że pod dom podjeżdża ciemnozielony riley. Silnik zgasł i Greenwood wysiadł z wozu. Usłyszałam cichy szelest mnącego się materiału, kiedy Luna opuściła się na ziemię obok nas.

– On chce się do nas wprowadzić – powiedziała szeptem Cassie.

Luna spojrzała na nią z przerażeniem.

– Nie wierzę ci. Skąd wiesz?

– Słyszałam, jak rozmawiał z mamą. Chce się wprowadzić, żeby mógł się nami opiekować.

Wyraz na twarzach obu był w tym momencie identyczny.

– Nie może się do nas przenieść – oburzyła się Luna. – Mama mu to chyba powiedziała, co?

– Próbowала. Powiem ci coś, Luna, jeśli on się wprowadzi, ja stąd znikam. Nie mogłabym spokojnie spać w nocy.

– Powinnyśmy tam iść – stwierdziła Luna, podnosząc się. – Nie możemy jej zostawić z nim samej.

Cassie też wstała.

– Wyprosi nas. Tak jak zeszłym razem.

Ja też się podniosłam.

– Ale mnie już nie – mruknęłam.

Sally, z dzieckiem Marigold na ręce, właśnie otwierała Greenwoodowi, kiedy Luna, Cassie i ja weszłyśmy do domu drzwiami kuchennymi.

Greenwood spojrzał w naszą stronę.

– Dziewczęta, czy jedna z was mogłaby zabrać dziecko? I przydałaby się herbata. W

salonie.

Kiedy zniknął z widoku, Sally spojrzała na nas bezradnie. Podeszłam i zabrałam dziecko.

– Ma kolkę – powiedziała. – Trzymaj go prosto, inaczej będzie płakał.

– Gdzie jest Marigold? – spytałam.

– Śpi na górze. Jest wykończona.

Oddałam dziecko Cassie.

– Herbatą się nie przejmuj – powiedziałam, ścisząc głos. – Przypilnuj, żeby Henry przez dziesięć minut był cicho, a potem wróć i powiedz, że nie dajesz sobie z nim rady. Ja zostanę z twoją mamą.

Posyłając mi spojrzenie, które mogło wyrażać wdzięczność, choć równie dobrze złość za moje wtrącanie się, Cassie zabrała Henry'ego. Razem z Luną wróciły do kuchni. Poszłam do salonu. Kiedy Glassbrook mnie tam zobaczył, spochmurniał.

– Co pani tu robi? – zapytał. – O ile mi wiadomo, miała pani unikać kontaktów z rodziną Glassbrooków.

Z bliska Greenwood wyglądał mniej szykownie niż zwykle. Na rękawie marynarki miał plamę i był niestarannie ogolony. Na kołnierzyku koszuli dostrzegłam plamkę krwi.

– Cóż, miałam, ale bieg wydarzeń nas wyprzedza. – Odwróciłam się do Sally. – Wybacz, że was nachodzę. Domyślam się, że po wczorajszej wizycie u Larry'ego, chciałabyś mieć chwilę spokoju, ale pomyślałam, że mogłabym zabrać Marigold i Henry'ego do parku. Żebyście ty i dziewczęta trochę odsapnęły.

Moim prawdziwym motywem była oczywiście chęć nakłonienia Marigold do mówienia, chciałam się dowiedzieć, czy naprawdę jest z Krainy Jezior, i czy już na tyle nam ufa, że powie coś więcej o tym, co działo się w domu dziecka.

– Ta młoda kobieta jest jednym z powodów mojej wizyty – oznajmił Greenwood. – Sally, czy ty oszalałaś, że zdecydowałaś się ją przyjąć? Masz wystarczająco wiele problemów. Poza tym sądziłem, że ustaliliśmy, że nie będziesz odwiedzała Larry'ego.

Sally przysunęła się bliżej mnie.

– Mam wolne pokoje – odrzekła. – Jestem przyzwyczajona do obecności obcych w domu. I znam się na dzieciach. U kogo miałyby lepiej?

Greenwood dał ku niej krok.

– Sally, moglibyśmy porozmawiać na osobności?

– Nie – wtrąciłam się. – Przepraszam, to niegrzeczne, Sally, wiem, ale muszę zadać panu Greenwoodowi kilka pytań.

Sally usiadła na krześle i popatrzyła na nas z zainteresowaniem.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, czego miałyby dotyczyć – sarknął Greenwood.

– Black Moss Manor – wypaliłam. – Jak wiem, jest pan opiekunem prawnym tej placówki, sir.

Greenwood łypnął na mnie gniewnie.

– I co z tego?

– Jak często miejscowe władze przeprowadzają w niej oficjalne inspekcje? – spytałam.

– To nie jest placówka państwowa – odparł. – Jeśli odrobiłaby pani lekcje, wiedziałaby pani.

– Ależ ja to wiem. Wiem również, że lokalne urzędy ponoszą odpowiedzialność za funkcjonowanie wszystkich domów dziecka, także prywatnych. Więc inspekcje muszą być przeprowadzane. Jak często się to dzieje?

– Musiałaby pani zapytać Asterów.

– A jak wygląda kwestia składania skarg? – ciągnęłam. – Jeśli kogoś niepokoi to, co się tam dzieje, do kogo powinien się zwrócić?

Greenwood roześmiał się.

– Do Asterów, oczywiście.

– A potem co? Założmy, że Asterowie zignorują skargę, co zapewne się stanie, jeśli są winni zaniedbań?

– Naprawdę nie wiem.

– Skąd pochodzą fundusze? Wszystkie ze zbiórek charytatywnych? I czy rozliczenia podawane są do wiadomości publicznej? Gdzie je mogę obejrzeć?

– Czy to jest oficjalne przesłuchanie? – Greenwood wreszcie zaczął się bronić. Byłam lekko zaskoczona, że zwlekał z tym aż tak długo. Ale przynajmniej skupiał się na mnie, a nie na Sally.

– Proszę potraktować moje pytania jako pytania zaniepokojonej obywatelki – odparłam i w tym samym momencie wszyscy się wzdrygnęliśmy, bo usłyszeliśmy głośne pukanie do drzwi frontowych.

– To pewnie Asterowie – rzucił Greenwood. – Uznałem, że najlepiej ukrócić ten nonsens w zarodku, zanim sytuacja wyrwałaby się nam wszystkim spod kontroli.

– Roy? – Sally była osłupiała. – Coś ty zrobił?

Ignorując ją, Greenwood dał krok przed siebie, jakby zamierzał wyjść z pokoju. Uprzedziłam jego i Sally i szybko wybiegłam na korytarz, zamykając za sobą drzwi do salonu. Na progu domu rzeczywiście stali obydwój Asterowie oraz posterunkowy

Colin West. Kiedy otworzyłam drzwi, West zrobił krok przed siebie, zapewne z zamiarem wejścia do środka. Nie pozwoliłam mu na to.

– Dobry wieczór – przywitałam się. – W czym mogę pomóc?

Judith Aster była w ciemnym tweedowym płaszczu z szarą apaszką, pod płaszczem miała jasnokremową sukienkę. Ja w swojej najlepszej poczułam się przy niej jak uczennica.

– Przyjechaliśmy po Marigold i jej dziecko – oświadczyła.

– A policja do tego po co? – spytałam zdziwiona. – Jeśli Marigold zechce z wami pójść, funkcjonariusz policji jest zupełnie zbędny. Jeśli nie będzie chciała, to o ile wiem, nie ma takiego przepisu, który by ją do tego zmuszał.

– Zabieramy ją pod naszą opiekę dla jej własnego bezpieczeństwa i dla bezpieczeństwa dziecka – odezwał się Frederick Aster. – Zastaliśmy ją?

Oboje mieli takie miny, jakby zamierzali usunąć mnie za chwilę z przejścia siłą.

– Czy mogę zobaczyć właściwy nakaz, posterunkowy West? – zażądałam.

Nie miałam zielonego pojęcia, czy w takich sytuacjach jakiś w ogóle był wymagany. Nie wiedziałam też, czy zdążę wezwać Avril, by w razie czego mogła go obalić.

– Co się dzieje? – usłyszałam za sobą głos Sally.

– Sally, proszę, odsuń się – rzucił Greenwood, stojący jeszcze bardziej w głębi.

– Pani Glassbrook, przyjechaliśmy uwolnić panią od ciężaru opieki nad Marigold i jej dzieckiem – powiedziała Judith Aster. – Zabieramy ich ze sobą. Prosiłabym, żeby zebrała pani ich rzeczy.

– A ja nadal domagam się okazania właściwego nakazu – wtrąciłam się.

– Pozwól na słówko, kochanie – zwrócił się do mnie West. – Wyjdź przed dom, proszę.

Miałam głębokie przekonanie, że z chwilą gdy opuszczę mój posterunek, Asterowie natychmiast znajdą się wewnątrz domu.

– Przepraszam na chwilę – rzuciłam. – Muszę porozmawiać z Sally.

Zostawiając Asterów i posterunkowego Westa na progu, zamknęłam drzwi na klucz, a klucz wsunęłam do kieszeni. Na drugim końcu korytarza otworzyły się drzwi do kuchni i pojawiły się dziewczęta. Dziecko teraz na rękach trzymała Luna.

– Co się dzieje? – zapytała.

– Cassie, zamknij tylne drzwi – poleciłam. – Już teraz. I schowaj klucz.

Cassie zniknęła.

– Muszę porozmawiać z Sally i jej córkami w kuchni – zwróciłam się do Greenwooda. – Pan wybaczy.

– Sally, decyzja należy do ciebie – powiedziałam, kiedy odcięliśmy się drzwiami od Roya Greenwooda. – A w zasadzie do was trzech. Jeśli uznacie, że opieka nad Marigold i Henrym to dla was zbyt wiele, nikt nie będzie was za to źle oceniał. Nie macie obowiązku się nimi zajmować.

Z korytarza docierało do nas wściekłe walenie w drzwi frontowe.

– Czy im wolno ją zabrać? – zapytała Sally.

– Ochrona dzieci to nie moja działka, nie znam się na tym – odpowiedziałam. – Ale jestem raczej pewna, że musieliby mieć nakaz sądu, żeby mogli zabrać ją stąd siłą, gdyby chciała zostać, a wy byście się na to zgadzały.

Usłyszałyśmy, że Greenwood rozmawia z Asterami przez zamknięte drzwi.

– A co, jeśli oni mają ten nakaz? – spytała Cassie.

– Jeśli mają, to nic nie możemy zrobić. Ale wątpię, żeby mieli, bo już by go nam pokazali.

– W takim razie dlaczego jest z nimi policjant? – wyraziła swoje wątpliwości Sally.

– Bo Asterowie zapewne poprosili o wsparcie, na wypadek gdyby Marigold zaczęła szaleć. Po tym co się wydarzyło na porodówce, sierżant dyżurny długo się pewnie nie zastanawiał i udzielił zgodę na przysłanie radiowozu.

Jakby na zawołanie za tylnymi drzwiami pojawił się posterunkowy West i przez szybkę zajrzał do kuchni. Pomachałam do niego.

– Twoja decyzja, Sally – powtórzyłam. – I oczywiście Marigold. Jeśli postawimy na swoim i jej nie oddamy, wątpię, żeby Asterowie dali radę ją zabrać.

– Muszę myśleć o dziewczynkach – odpowiedziała Sally. Spojrzała na córki. – To duże wyzwanie, młoda matka z dzieckiem w domu. A Marigold nie jest łatwa.

West zapukał do drzwi.

– Mały Hen jest grzeczny. – Luna mocniej przycisnęła dziecko do siebie. – Poza tym jest czarownikiem, ma sześć palców. Pasuje do nas.

– Też uważam, że oni powinni zostać – rzuciła Cassie.

Sally i ja popatrzyłyśmy na siebie. West zapukał głośniej.

– Wszystko zależy wyłącznie od ciebie, Sally – powtórzyłam. – Nikt nie będzie cię za nic obwiniał.

Sally otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale w tym momencie na górze ktoś zaczął krzyczeć.

– Marigold! – Sally szybko wybiegła na korytarz, a za nią córki.

– Luna, uważaj na małego! – zawołałam, wpuszczając jednocześnie do kuchni posterunkowego Westa.

– Co ty, do cholery jasnej, wyprawiasz? – warknął do mnie. – Złożę dziś na ciebie za to skargę.

W korytarzu podniesione głosy rywalizowały z wrzaskami Marigold. Wystawiłam rękę do Westa, żeby go zatrzymać, bo chciał się obok mnie precisnąć.

– Masz jakiegokolwiek legalne zezwolenie pozwalające zabrać Marigold z tego domu? – zapytałam. – Nakaz sądu? Cokolwiek?

– Nie, nie mam – przyznał. – Przyjechaliśmy dopilnować, żeby nie było problemów. A okazało się, że największe stwarzasz ty. Moje gratulacje.

– Jeśli Marigold chce zostać, a Sally chce ją zatrzymać, policja nie ma tu nic do roboty, nie sądzisz?

Zmarszczył czoło.

– No chyba nie ma.

Zostawiłam go i wybiegłam na korytarz. Asterowie nadal zaglądali do środka przez szybkę w drzwiach frontowych.

– Gdzie jest klucz? – zapytał West zza moich pleców.

– A skąd mogę wiedzieć – skłamałam.

Marigold była w połowie schodów, siedziała na stopniu i wczepiona w barierkę, wyła. Stojący za nią Roy Greenwood próbował ją odciągnąć. Sukienka dziewczyny była mokra w miejscu, gdzie przeciekało mleko, na drewnianym schodku pod nią widniała mała kałuża. Marigold była przerażona. Cassie stała niżej i krzyczała do Greenwooda: „Zostaw ją! Zabieraj od niej te swoje paskudne łapska, zbrodźcu!” Sally błagała obie, żeby przestały krzyczeć i się uspokoiły. Luna, rozsądnie, została na dole, z dala od awantury, ale mały Henry darł się na całe gardło z całą resztą.

Sięgnęłam do kieszeni posterunkowego Westa, wyciągnęłam gwizdek i dmuchnęłam w niego. Zaległa cisza.

– Odsuń się, Sally, proszę. Ty też, Cassie. – Przepchnęłam się obok nich. Marigold patrzyła na mnie z przerażeniem i błagalnie. Kilka stopni wyżej, wielki jak wieża, stał spocony i czerwony na twarzy Greenwood. Widać było, że wysiłek go zmęczył, że powinien usiąść. Cóż, usiądzie, ale w celi.

– Royu Greenwoodzie, aresztuję pana pod zarzutem napaści i naruszenia nietykalności cielesnej. Nie musi pan nic mówić, ale wszystko, co pan powie, może zostać użyte w sądzie przeciwko panu.

Greenwood wyglądał tak, jakby nie wierzył własnym uszom. Przez sekundę wytrzymałam jego spojrzenie, potem obejrzałam się przez ramię.

– Posterunkowy West, proszę zakuć zatrzymanego.

Wstrzymałam oddech. Colin West nie należał do moich przyjaciół, jednak zignorowanie polecenia drugiego, dokonującego zatrzymania funkcjonariusza byłoby poważnym naruszeniem policyjnej etykiety. Przez moment nie działo się nic, potem z pomocą przyszedł mi sam Greenwood. Obrzucił Westa szyderczym spojrzeniem i warknął:

– Tylko mi się nie waż.

Niewielu policjantów zniosłoby coś takiego spokojnie. West przepchnął się obok mnie, odwrócił Greenwooda ostro w tył i założył mu kajdanki.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz – wymamrotał do mnie, kiedy wyprowadzał Greenwooda z domu.

66

Sally

Poniedziałek, 11 sierpnia 1969

W poniedziałek rano w jednej z sal parafialnych w Sabden odbywały się zorganizowane przez Towarzystwo Planowania Rodziny badania medyczne, w których na zmianę brały też udział miejscowe położne. Ja dotarłam na miejsce w tym samym czasie co Jenny Renfield, jedna z początkujących pielęgniarek, i pierwszą godzinę spędziłyśmy na przygotowywaniu miejsca pracy.

– Sally, mogłabym prosić na słowo?

Rozejrzałam się i zobaczyłam, że w drzwiach stoi moja przełożona.

– Za dziesięć minut rozpoczynamy – powiedziałam. – Za chwilę przyjedzie lekarz.

– Skorzystamy z jego gabinetu – odparła przełożona.

Poszłam za nią, a ona, zaraz po zamknięciu drzwi, oznajmiła:

– Sally, zawieszam cię do czasu, aż twoja sytuacja zostanie wyjaśniona. Zabierz swoje rzeczy i wracaj do domu.

Jakże szybko strach potrafi dopaść człowieka. Rzucić się na niego niczym wygłodniały pies na kość.

– Jaka znów sytuacja? – spytałam, nic nie rozumiejąc.

Przełożona spuściła wzrok na puste biurko.

– Były na ciebie skargi. Więcej niż jedna.

– W związku z moim mężem? – Byłam raczej pewna, że nie mogą mnie wyrzucić za to, co zrobił Larry.

Przełożona znalazła porzucony spinacz i zaczęła obracać nim w palcach.

– Nie, w związku z Marigold McGowan. Ludzie mówią, że masz zły wpływ na tę bezbronną młodą kobietę. Ona powinna być w instytucji opiekuńczej, a ty się temu przeciwstawiasz.

W jej ustach zabrzmiało to zupełnie tak, jakbym wykorzystywała Marigold.

– Chcę tej dziewczynie tylko pomóc. Ona się boi i jest zrozpaczona.

– Ale nie u siebie w domu, Sally. Oczywiście, jeśli zgodzisz się, żeby wróciła do domu dziecka, wtedy może będziemy w stanie szybciej rozwiązać twój problem.

Strach przybrał na sile. To już nie była sprawa tylko między mną a przełożoną. W tle widziałam cienie silnych wpływowych postaci.

– Wyrzucę ją i wtedy zachowam pracę, czy tak?

Przełożona wstała.

– Och, po co tak dramatyzujesz. Black Moss Manor to bardzo porządna placówka.

– To dlaczego ona się tak jej boi?

– Bo jest niedorozwinięta. Nie można jej traktować jak normalnych ludzi. Więc co? Mogę zadzwonić do Black Moss? Zabiorą ją jeszcze dzisiaj i będzie po sprawie.

Kusiło mnie, nie zaprzeczam. Marigold była dla mnie nikim. Narażałam córki, próbując pomóc obcej osobie.

– Mam teraz prawnika – odparłam. – Na pewno wkrótce się do ciebie odezwie.

67

Florence

Sally nie mogła zadzwonić w gorszym momencie. Tego popołudnia był pogrzeb Patsy Wood, ostatniej nastoletniej ofiary Larry’ego, i wszyscy wolni policjanci brali w nim udział. Wychodziliśmy za kilka minut. To jednak, co miała do powiedzenia Sally, wszystkie myśli o zbliżającej się przykrych ceremonii zepchnęło na dalszy plan.

– Policjant? – Zakryłam dłonią mikrofon słuchawki. – Jesteś pewna, że tak powiedziała? Jej chłopak to policjant?

Nie mogłam się powstrzymać, żeby się nie rozejrzeć. W zasięgu słuchu nie było nikogo.

– Dokładnie tak – potwierdziła Sally. – Sama słyszałam, jak to mówiła. Miałam ci powiedzieć wczoraj, ale...

– Zrobiło się gorąco – dokończyłam za nią, przypominając sobie wczorajszy chaos w domu Glassbrooków. Nie tak planowałam spędzić niedzielny wieczór. – I twierdzi, że w ciążę zaszła w Black Moss?

– Zgadza się.

Dałam sobie chwilę na zastanowienie się. A może na powiedzenie, że sytuacja wcale nie wymyka nam się spod kontroli w tempie błyskawicy.

– Jesteś w pracy? – spytałam Sally.

Przez moment nie odpowiadała. Potem:

– Zostałam zawieszona – mruknęła. – Za wzięcie do siebie Marigold. W tej chwili jestem w domu.

Było coraz gorzej.

– Powinnaś porozmawiać z Avril – poradziłam.

– Już się z nią umówiłam.

No, przynajmniej tyle.

– Słyszałaś, że Greenwood został wczoraj wypuszczony bez żadnych zarzutów?

Sally przez chwilę milczała, potem spytała:

– Masz przez to problemy?

– Nie większe niż zwykle.

Usiłowałam udawać beztroską, ale nadal jeszcze dochodziłam do siebie po rozmowie z Rushtonem i Sharplesem.

– Myślę, że ludzie nieoficjalnie są po mojej stronie, ale nikt nie chce zakołysać łodzią i wyrzucić za burtę lokalnej szychy.

– Co zamierzasz zrobić? – spytała Sally. – Z tym, co powiedziała Marigold?

– Nie mam pojęcia – odparłam szczerze. – To poważna sprawa.

– Mogłabym przyjść z nią pod posterunek. Obserwowałybyśmy wychodzących, ale jeśli zaczniesz się ekscytować i wołać tego swojego Petera, kimkolwiek on jest, może zrobić się...

– Dziwnie – dokończyłam, a potem podskoczyłam, bo jeden z posterunkowych otworzył drzwi.

– Flossie! – zawołał. – Szef chce cię widzieć. Na górze.

W zasadzie to nie dziwnie, tylko niebezpiecznie. Nie mogłam pozwolić Sally tego zrobić.

– Sally, muszę iść. Nic nie rób. Odezwę się do ciebie.

Mówią, że podsłuchiwanie rzadko słyszą dobre rzeczy o sobie, i to się tamtego dnia potwierdziło. Drzwi do pokoju wydziału śledczego były otwarte, zaparte gaśnicą, więc nie było słyhać, gdy tam wchodziłam. Nieposprzątane, zawałone dokumentami pomieszczenie na pół przedzielał rząd wysokich szafek, i głosy, które słyszałam, docierały z drugiej ich strony.

– Przykro mi to mówić, szefie, ale... – Sharples westchnął. – To bystra dziewczyna, ma szef rację, ale więcej z nią problemów niż jest tego warta. Ta awantura z Greenwoodem...

– Dupek posunął się za daleko – wtrącił się ostro Tom.

– Tak, zgadza się, ona ciągle wywołuje jakieś afery – przyznał Woodsmoke.

– Nawet Tom temu nie zaprzecza – dodał Sharples.

Zatrzymałam się. Potem znów ruszyłam.

– I naprawdę ma jakiegoś szmergla na punkcie Black Moss – kontynuował Sharples.

– Asterowie są o włos od złożenia oficjalnej skargi. Szefie, mówię ci – ona jest wybuchowa, niestabilna i histeryczna. Dla nas to tylko pieprzone obciążenie.

Wstrzymałam oddech, czekając na czyjś sprzeciw. Nie doczekałam się.

Dotarłam do końca szafek i zobaczyłam grupę mężczyzn stojących wokół biurka Sharplesa. Tylko Rushton i mój sierżant byli w mundurach, Sharples, Woodsmoke i Tom w niezwykłych jak na nich eleganckich garniturach. Wszyscy trzej mieli na szyjach czarne krawaty.

Sharples zauważył mnie pierwszy i skrzywił się.

– O wilku mowa – mruknął.

Zignorowałam go.

– Chciał mnie pan widzieć, sir – zwróciłam się do Rushtona.

– Tak, Florence – odpowiedział, a reszta spuściła oczy i odsunęła się. Nawet Tom.

– Właśnie rozmawialiśmy o dzisiejszym popołudniu – kontynuował Rushton. – I wszyscy się zgodziliśmy, że lepiej będzie, jeśli nie pójdziesz.

Mówił o pogrzebie Patsy. Ja ją znalazłam. Ja wyciągnęłam ją z jej przedwczesnego grobu, wprawiając w ruch wydarzenia, które doprowadziły do zatrzymania Larry'ego. I to mnie teraz zabraniano stanąć nad jej prawdziwym grobem, żeby ją opłakiwać.

68

Sally

Napiszę do Okręgowej Izby Pielęgniarek i Położnych prośbę o natychmiastowe przywrócenie cię do pracy – powiedziała Avril. – Będą się oczywiście opierali i przeciągali sprawę, jak długo będą mogli, ale nie mogą wygrać. Nie mogą cię wylać za pomoc młodej upośledzonej dziewczynie.

Cóż, to już było coś.

– Jak długo to może potrwać?

– Tygodnie, co najmniej. Ale obawiam się, że bardziej prawdopodobne, że miesiące. Zwłaszcza jeśli zależy im na utrudnieniu ci powrotu.

Dokładnie na tym im zależało. Miesiące. Podczas których nie będę miała dochodów poza tym, co da mi Roy. Avril w międzyczasie wsunęła na nos parę okularów do czytania i sięgnęła po przepelnione pudło z aktami.

– Przejrzałam dokumenty, które mi dałaś. I mam już trochę jaśniejszy obraz sytuacji.

– Otworzyła pudło i zobaczyłam, że wcześniejszy chaotyczny bałagan zamienił się w zorganizowane oddzielne kupki, każda oznaczona innego koloru przegródką.

– Masz trochę długów – posłała mi pocieszający uśmiech – ale nie jakieś wielkie i do spłaty końcowej zostało jeszcze sporo czasu. Mogę spróbować załatwić ci spłaty ratalne. Najważniejsze, czym teraz trzeba się zająć, to sprawa domu, chyba się zgodzisz?

Zgodziłam się.

– Przede wszystkim wygląda na to, że Roy mówił prawdę, że dom jest jego – zaczęła.

– Kupił go w 1952 roku. Znalazłam umowę na wynajem spisana między nim a twoim mężem, więc na pierwszy rzut oka Larry faktycznie był, tak jak Roy to sugerował, wynajemcą.

Uczepiłam się bardzo słabej nadziei zawartej w sformułowaniu: na pierwszy rzut oka.

– Miejsce, w którym sytuacja rzeczywiście staje się trochę bardziej skomplikowana –

kontynuowała Avril – to list intencyjny, podpisany przez obu, Roya i Larry’ego, w czasie gdy dom został kupiony, kiedy Larry zakończył staż.

Podowała mi kartkę papieru.

– Tu jest kopia – powiedziała. – W niej Roy deklaruje intencję przejścia na emeryturę w 1979 roku w wieku lat sześćdziesięciu pięciu i że wtedy uczyniłby Larry’ego pełnoprawnym współnikiem. Larry’emu miałyby przysługiwać połowa zysków z firmy i po śmierci Roya miałyby odziedziczyć połowę udziałów. Na potwierdzenie tego dołączona jest nawet kopia testamentu Roya.

Avril ściągnęła okulary.

– W tym liście intencyjnym jest też napisane, że w momencie przejścia Roya na emeryturę dom przeszedłby w pełni na własność Larry’ego. Czyli praktycznie rzecz biorąc, również i twoją.

– Ale to już nieaktualne – mruknęłam.

– List zawiera również klauzulę stanowiącą, że gdyby Roy zmarł przed osiągnięciem wieku emerytalnego, dom dziedziczyłby Larry, jego spadkobiercy i następcy. Ale ponieważ Roy ma dopiero pięćdziesiąt kilka lat, obawiam się, że nie jest to coś, na czym powinniśmy polegać.

Uśmiechnęła się, by zasugerować, że żartuje.

– Nic o tym wszystkim nie wiedziałam – wyznałam.

– No właśnie. – Avril odłożyła okulary i złączyła dłonie jak do modlitwy. – Teraz podstawowe pytanie brzmi: czego chcesz ty, Sally?

– Chcę się wyprowadzić z Sabden – odparłam. – Ale jeśli dom nie jest nasz, to nie mam nic.

Kiwnęła głową.

– Wiem. Cóż, możemy zwrócić się do Roya w trybie nieformalnym i spytać, czy byłby gotów sprzedać dom i podzielić się z tobą częścią pieniędzy na bazie tego, że Larry płacił czynsz i pracował dla niego przez wiele lat. Może będzie się czuł moralnie zobligowany do uszanowania czasu, jaki Larry zainwestował w zakład.

– A jeśli nie?

– Możemy go pozwać o oddanie części udziałów. Wystąpiłabym o jedną trzecią, ale z gotowością przyjęcia jednej czwartej.

– Myślisz, że to by się mogło udać?

Wyrzuciła ręce w górę w geście mówiącym „a kto to wie?”.

– Jeśli mam być szczerą, z sądami nigdy nic nie wiadomo. Czy Roy mówił ci coś o swoich planach?

– Chce się do nas wprowadzić. zaproponował, że będzie mi płacił pensję z dochodu firmy, jeśli się zgodzę.

Avril odchyliła się na oparcie krzesła.

– Cóż, tego się nie spodziewałam, przyznaję. Z pozoru wydaje się, że to całkiem hojna propozycja. A ty jesteś przyzwyczajona do wynajemców.

– Tylko że on by nim nie był. I dziewczynki go nienawidzą.

– Rozumiem – rzuciła Avril. – Cóż, tylko ty masz prawo decydować, Sally, a ja zrobię wszystko, co zechcesz. Ale sąd weźmie tę ofertę pod uwagę. Będzie nam trudniej udowodnić nieracjonalność postępowania Greenwooda.

– On to wie, prawda?

Avril nic na to nie odpowiedziała.

– Wiesz, że wczoraj Florence go zaaresztowała? Przeraził Marigold, próbując ściągnąć ją ze schodów i przekazać Asterom.

– O mój Boże, nie, nie wiedziałam.

Zrelacjonowałam szybko zajście. Kiedy skończyłam, na czole Avril pojawiła się głęboka bruzda.

– Cóż, to mogłoby rzucić nowe światło na sytuację, jeśli Greenwood wykazuje agresywne zachowania. Muszę przyznać, że jestem zaniepokojona. – Pokręciła głową. – Sally, masz dość własnych kłopotów. To godne podziwu, że chcesz pomóc tej młodej kobiecie, ale... – Urwała i podniosła się z krzesła, wyraźnie pobudzona. – A co do Florence – zaczęła znowu. – Daphne i ja bardzo ją lubimy, ale ona jest młoda, głowę ma napakowaną ideałami, i nie ma dwóch córek na wychowaniu. Robienie sobie z Roya Greenwooda wroga to niedobry pomysł. Pod każdym względem niedobry.

O przestrodze Avril przypomniałam sobie, kiedy wróciłam do domu i na podjeździe zobaczyłam samochód Greenwooda, który siedział za kierownicą i czekał na mnie.

– Musimy porozmawiać – oznajmił, wysiadając z wozu. – Larry przysłał mi list.

Florence

Podczas gdy prawie wszyscy inni byli na pogrzebie Patsy, ja tkwiłam za biurkiem w recepcji. Zwykle ta robota mi nie przeszkadzała. Kiedy się siedzi w dyżurce, można się zapoznać z każdym aspektem pracy policyjnej, ale tego popołudnia z jakiejś przyczyny było nienaturalnie spokojnie i miałam zbyt wiele czasu jedynie z własnymi myślami do towarzystwa.

Wiedziałam, że kiedy wstępowałam do policji Lancashire, wielu moich nowych kolegów uważało, że kobiety nie powinny zostawać policjantkami, a ja koniecznie chciałam im udowodnić, że są w błędzie. O ile o nich chodziło, udało mi się, niestety, osiągnąć coś przeciwnego. Nawet Tom zaczął we mnie wątpić.

– Wszystko w porządku, młoda Florence.

Odwróciłam się i zobaczyłam, że z zaplecza wszedł Randy i że niósł dla mnie herbatę.

– Przygnębiające sprawy te pogrzeby – mruknął. – Zwłaszcza jeśli chodzi o dzieci.

Z wdzięcznością odebrałam od niego kubek.

– Chyba jeszcze nikt nigdy nie zrobił mi tu herbaty.

– Tylko, cholera, nikomu nic nie mów. Nie dadzą mi żyć.

– Będę milczała jak grób.

Usiadł obok mnie.

– Jak się trzymasz? – spytał. – Tak ogólnie?

Przyjrzałam mu się.

– To tu już wszyscy się o mnie martwią?

– Tylko ci, którym na tobie zależy.

Pomyślałam, że powinnam się roześmiać. Więc spróbowałam. Naprawdę spróbowałam.

– Ty też uważasz, że jestem wybuchowa, niestabilna i skłonna do hysterii? –

spytałam.

Nie odpowiedział.

– Miałam nadzieję, że usłyszę szybkie i krótkie „nie”.

Randy przez chwilę myślał, potem powiedział:

– Myślę, że jesteś bystra, masz dobre serce i dobrą intuicję.

– Dzięki.

Wstał.

– Mogę zrobić dla ciebie coś jeszcze? – spytał.

– Tak – potwierdziłam.

Zaczął się wycofywać.

– Ja i moja niewyparzona gęba.

– Znajdź mi informacje o personelu z Black Moss Manor – powiedziałam szybko, zanim zdążył uciec. – Oprócz Asterów są tam jeszcze chyba trzy osoby z obsługi. Jedna z nich nazywa się Cartwright czy jakoś podobnie. Znajdź ich nazwiska i dowiedz się, czy mają znajomych w mieście. W szczególności zależy mi na dowiedzeniu się, czy któreś z nich ma na imię Peter.

Randy skrzywił się.

– Cholera, tylko tyle, czy może coś jeszcze?

– Mieszkasz tu od urodzenia – powiedziałam pojednawczo. – I jesteś facetem. Ludzie będą chcieli z tobą rozmawiać.

– Okej, ale niczego nie obiecuję – mruknął i dał drapaką.

70

Sally

Roy wszedł za mną do domu. Zaprowadziłam go do saloniku wynajemców – ze wszystkich naszych pokoi ten był dla mnie najmniej domowy – i z listem Larry’ego podeszłam do okna. W pokoju było wystarczająco jasno, ale zwyczajnie nie chciałam, żeby Roy widział moją twarz, kiedy będę czytała. Drżącymi rękoma wyciągnęłam z koperty pojedynczą kartkę. Dlaczego Larry napisał do Roya? Nie rozumiałam tego.

– Wydaje mi się, że całkiem jasno przedstawia, czego by chciał. – Po głosie Roya słyszeć było, że się przybliżył.

Drogi Royu,

Wiem, że opiekujesz się Sally i dziewczynkami i że pomagasz im finansowo. Dzięki, stary. Doceniam to, naprawdę doceniam. Dziewczęta potrzebują ojca, kogoś, kto trzymałby je w ryzach, dopilnował, żeby nie zeszły na złą drogę. Bądź ojcem, którym ja nie mogę być. To samo tyczy się Sal. Będzie musiała znieść wiele nieprzyjemności ze strony ludzi z miasta – potrzebuje kogoś, kto ją przed nimi obroni. Wiem, że proszę o bardzo wiele, ale Sal mówi, że zaproponowałaś, że ty i Grace przeniesiecie się do nich. Gdybyś mógł to zrobić, wiele by to dla mnie znaczyło.

Jeśli jest coś, co mógłbym zrobić, by było ci łatwiej, daj tylko znać. Nie mogę być przy swoich córkach, ale dobrze jest wiedzieć, że ty możesz.

Dzięki, stary.

Twój Larry.

Nie miało znaczenia, ile razy to czytałam, treść listu nie chciała się zmienić.

– Co powiesz na jutro? – zaproponował Roy.

– Gdzie będziesz spał? – spytałam, natychmiast tego żałując. Doskonale wiedziałam, gdzie chciał spać.

– Na razie zajmę dawny pokój Rona Picklesa – odpowiedział. – Proponowałbym,

żeby Cassandra przeniosła się do Elanory, a matka wprowadziłaby się do pokoju Cassandry. Kiedy rozwiążemy sprawę tej młodej kobiety, zwolni się kolejny duży pokój. Jest też ten na samej górze, oczywiście, ale jest dość mały i może lepiej, byśmy zatrzymali go dla gości. Nie żeby goście byli teraz dobrym pomysłem. Nie popieram też zostawiania na noc kolegów ze szkoły.

– Dziewczeta nie będą chciały mieszkać razem – odpowiedziałam. – W tym momencie nie najlepiej się ze sobą dogadują.

– Dziewczeta zrobią to, co im się każe. – Roy znów się przybliżył.

Żeby zwiększyć dystans między nami, przesunęłam się w bok.

– A co zrobimy z Marigold? Wczoraj za napaść na nią zostałeś zaaresztowany. Chyba nie myślisz, że będzie chciała mieszkać z tobą pod jednym dachem, a ja jej nie wyrzucę.

– To wczoraj to było jedno wielkie nieporozumienie, a sytuację pogorszyła ta impulsywna i histeryczna policjantka – odparł. – Nie było cię w korytarzu, Sally – nie widziałaś.

– Nie widziałam czego?

Roy wyjął chusteczkę z kieszeni i przetarł twarz.

– Ta młoda kobieta wyszła z pokoju i w przedpokoju zobaczyła Asterów – zaczął opowiadać. – Wpadła w histerię, więc wbiegłem na schody, chcąc ją uspokoić. Ta policjantka wyciągnęła pochopne wnioski. Wytłumaczyłem to funkcjonariuszom na posterunku i oni w pełni mnie rozumieli. – Schował chusteczkę, ale pot znów zaczął mu się zbierać na skroniach. – Powiem ci w sekrecie, że ona już tu chyba długo nie popracuje.

– Nie wierzę ci.

– Wkurzyła zbyt wiele osób. Jest arogancka i nie przestrzega przepisów. Jest mało prawdopodobne, żeby zdołała zaliczyć staż. Inspektor ją lubi, dlatego tak długo się utrzymała, ale jego przyszłość też stoi pod znakiem zapytania. Tak jak i moralność tej policjantki, która pozostawia wiele do życzenia. Wszyscy wiedzą, że bez skrupułów zabawia się z żonatym mężczyzną.

Nie miałam nic do powiedzenia. To przynajmniej było prawdą.

Roy ukradkiem podszedł jeszcze bliżej.

– Ona jest niezrównowazona, Sally, i nie sądzę, by miała dobry wpływ na dziewczęta.

Już teraz mówił o moich córkach, jakby był ich opiekunem.

– Co do tej młodej... na imię ma Marigold, tak? Cóż, co tam uznasz za najlepsze, moja droga. Może będą z matką dotrzymywały sobie towarzystwa, kiedy ty i

dziewczęta będziecie wychodzić. – Spojrzał na zegarek. – No dobrze, czeka mnie wiele pracy w tym tygodniu, skoro mam się przenieść. Że nie wspomnę o prowadzeniu firmy w pojedynkę. Ale ktoś przecież musi zarabiać na chleb.

Zobaczyłam, że wyciąga rękę i poczułam, że musnął mnie nią lekko po włosach, a potem po szyi.

– Nowy rozdział w naszym życiu. – Przybliżył się jeszcze bardziej. – Jakież to ekscytujące.

71

Florence

W czasie popołudniowej przerwy spotkałam się z Abby w pubie Mądra Niewiasta. Jakoś mi do tego pasował, poza tym był to jedyny pub w mieście, w którym raczej na pewno nie miałam szansy natknąć się na kogoś z posterunku.

– Frost nie chce, żebym zajmowała się Black Moss – oświadczyła Abby, kiedy postawiłyśmy nasze drinki na stole. Sok pomarańczowy dla mnie i cydr dla niej. – Dzwoniłam do niego dzisiaj.

– Ale przecież obiecał – przypomniałam.

– Rzucił mi kit o tym, że trwa jakiś przegląd lokalnych władz i że to nie jest dla nich dobry moment. – Łyknęła spory haust cydru. – Powiedział, że możemy do tego wrócić znowu pod koniec roku.

Frost zrobił mnie w balona. Wszyscy zrobili.

– A co do plusów – ciągnęła – to znalazłam dziadków Roberta Browna.

– Brawo. Gdzie mieszkają?

Wymieniła nazwę domu starców w mieście.

– Nie widzieli go od czasu, gdy go zabrano. Dwa razy próbowali go odwiedzić, ale nawet nie zostali wpuszczeni. Powiedziano im, że odwiedziny są stresujące dla takich maluchów.

– Zgłosili to gdzieś?

– Florence, oni są po siedemdziesiątce. Wątpię, czy któreś potrafi dobrze czytać i pisać. Co mogli zrobić?

Zaczynałam się zastanawiać, co ktokolwiek z nas mógł zrobić.

– Auto, które widziałyśmy w piątek wieczorem pod dworkiem, należy do Ernesta Chadwicka – poinformowałam.

– Aldermana Chadwicka?

– Tegoż samego. Wydawało mi się znajome, więc sprawdziłam numery rejestracyjne.

Chadwick jest jednym z opiekunów prawnych Black Moss.

– Mogę poszperać w jego przeszłości – zaoferowała się Abby. – Zobaczymy, czy ma na koncie jakieś czyny pedofilskie. Rozpytam się. Ludzie kochają plotkować, zwłaszcza o radnych z własnego miasta.

Obie zamilkłyśmy. Wyobrażałam sobie, że minę musiałam mieć taką samą, jaką miała Abby.

– Skandale pedofilskie wychodzą na jaw, kiedy dzieci zaczynają mówić – odezwała się po chwili jako pierwsza. – Musimy znaleźć ludzi, którzy mieszkali w Black Moss w dzieciństwie.

– Mamy Marigold – przypomniałam. – Ale ona nie chce mówić.

– Nie może być jedyna. Ten dom działa od lat. Musiały się przez niego przewinać dziesiątki dzieci. Zacznę się rozpytywać. Któreś z nich musiało zostać w mieście.

– Miejscowe władze na pewno mają rejestr obecnych i byłych rezydentów – stwierdziłam. – Ale nie mogę zwrócić się do nich nieoficjalnie.

– Ja mogę spróbować – zaproponowała Abby. – Chociaż wątpię, żeby chcieli przekazać poufne informacje dziennikarce.

– Naprawdę frustrujące w tym wszystkim jest to, że na pewno są też inni, którzy wiedzą, że w tym domu dzieje się coś złego – rzuciłam i opowiedziałam Abby o tajemniczym napisie na lustrze, o Hecate Collins upierającej się, że szukają ze mną kontaktu zmarli. – Ale nikt nie ma odwagi się odezwać – kończyłam. – Co znaczy, że musi być naprawdę źle.

– Czy na posterunku jest choć jedna osoba, która mogłaby cię wesprzeć? – spytała Abby.

Chwilę się zastanowiłam.

– Może Rushton.

– Inspektor?

– To dobry policjant. I chyba mnie lubi.

Spojrzałam na zegarek.

– Muszę wracać – rzuciłam. – Abby, bądź ostrożna. Jeśli mamy rację, ci ludzie zrobią wszystko, żeby ich działania nie zostały wykryte.

72

Sally

Nie mógł mnie zmusić do mieszkania z nim. Zamknęłam drzwi, mocniej niż to było konieczne, i przekręciłam klucz w zamku. Być może się sprowadzi i zainstaluje swoją matkę w moim salonie, dziewczynki wyrzuci z ich pokojów, ale nie mógł nas zmusić do pozostania. Larry też nie. W szkole była przerwa wakacyjna, nie było nic, co uniemożliwiłoby nam przeniesienie się do innego miasta i rozpoczęcie tam życia od nowa. Postanowiłam, że powiem o tym dziewczętom. One na pewno nigdy nie zgodziłyby się na mieszkanie razem z Royem. Rozmyślając o tym, że w nowym mieście pewnie całkiem łatwo uda mi się znaleźć nową pracę, wróciłam do kuchni.

Były tam Mary i Luna, robiły coś przy zlewie. Przy stole z dziwnie nieobecną miną siedziała Cassie. Marigold, stojąc, kołysała Henry'ego, leżącego jej na ramieniu.

Co miałam zrobić z nią i małym Henrym? Wiedziałam, że całej piątki nie dam rady utrzymać.

– Poszedł? – Mary nawet nie odwróciła się od zlewu.

– Poszedł – potwierdziłam. *Na razie*, dodałam w myślach.

– Śliczne. – Marigold zaglądała Lunie przez ramię. – Śliczne kwiatki.

Mary zebrała w ogrodzie naparstnice i teraz razem z Luną zrywały z łodyżki ich fioletowe dzwonkowate kwiaty. Na kuchni podgrzewał się już garnek wody.

– Tylko nie zapomnij umyć rąk, Luna – ostrzegłam. – A łodyżki i liście mają trafić na kompostownik, nie do śmieci.

Przyglądałam się, jak Marigold wyciąga rękę do kwiatka leżącego na brzegu zlewu. Nie mogła go dosięgnąć, musiałaby się przybliżyć.

– Wiem, wiem – mruknęła Luna, wzdychając ze zniecierpliwieniem.

Wysoki pęk fioletowych kwiatów poderwał się w górę i wpadł w rękę Marigold. Popatrzyłam na resztę, ale Luna i Mary były skupione na tym, czym się zajmowały, a Cassie na moment się odwróciła. Okno było otwarte, ale aż tak bardzo przez nie nie

wiało.

– Och nie, Marigold, nie możesz tego brać do rąk.

Marigold wpatrywała się w kwiat, trzymając go blisko Henry’ego. Kiedy Luna go jej wyrwała, dziewczyna spochmurniała.

– Te kwiaty są niebezpieczne – powiedziałam. – Naparstnica to trująca roślina. Gdyby ich sok pobrudził ci palce i mały Henry je polizał, mógłby się bardzo rozchorować.

– Luna ich dotyka – poskarżyła się Marigold.

– Luna i Mary umyją porządnie ręce i zlew, kiedy skończą. Odrobina soku pewnie im nie zaszkodzi, tobie też nie, ale dla dziecka byłaby groźna.

Marigold mocniej przytuliła Henry’ego i łypnęła wrogo na kwiaty. Nachyliłam się i zamknęłam okno. To mógł być przeciąg. Mógł.

– Co tam u Alfie’ego? – zwróciłam się z pytaniem do Mary. W kontrolowanych dawkach naparstnica korzystnie wpływa na choroby serca. Mary podawała ją od jakiegoś czasu mężowi, Alfiemu, w postaci syropu.

– Całkiem nieźle – odparła, a Luna wrzuciła kwiatki do garnka z wrzątkiem i dodała cukier.

Nie powiedziałam im o tym, że Greenwood się wprowadza. Nie byłam w stanie. Pomogłam Mary i Lunie sprzątnąć, potem przygotowałam kolację. Mały Henry miał kolkę, ale dałam mu łyżeczkę własnego wyrobu kordiału dla dzieci z sody oczyszczonej, imbiru, koperku i miodu, i wkrótce był o wiele szczęśliwszy.

Kiedy dziewczęta usadowiły się do wieczornego oglądania telewizji, wyszłam z domu. Słońce już wtedy zdążyło zejść i gdy wyjeżdżałam z miasta, nad Pendle Hill widać było księżyc. Był w ostatniej kwadrze i za dzień lub dwa miał zniknąć zupełnie. Ogarnęło mnie złowróżbne przeczucie i przyspieszyłam.

Dojechałam do Well Head Road, objechałam ją i dotarłam do punktu, gdzie zaczynała się droga prowadząca w górę Wzgórza. Zaparkowałam obok pięciu innych wozów i spojrzałam w górę, szukając blasku płomieni ogniska. Niebo zaczynało ciemnieć, mrok się pogłębiał, kiedy zaczęłam się wspinać. Po stu metrach usłyszałam bębnienie.

Kierowałam się ku płaskiemu kawałkowi terenu, gdzieś w połowie Pendle Hill. Nikt nie wiedział, czy powstał naturalnie w warstwie wapienia, czy ktoś go kiedyś wyrównał pod jakąś budowę. Nikt nie wiedział, co tu kiedyś stało. Resztki murów i nawet kanalizacji nie pozwalały tego określić. Wielu z miasta zakładało jednak, że kiedyś stała tu Malkin Tower, dom rodziny Southern i matki Demdike, najślawniejszej więdzmy

Pendle.

Kiedy słyszałam już nie tylko bębny, ale także głosy i trzask ognia, na ostatnim zakręcie zwolniłam. Trzeba uważnie wybierać moment, gdy chce się przeszkodzić zebraniu wiedźm. Gdyby weszło się w złej chwili, energia, z którą pracują, mogłaby się rozprzestrzenić i wyrządzić poważne szkody.

Wiedźmy, cała trzynastka, wszystkie były kobietami. Nie było co do tego wątpliwości, bo wszystkie były nago. Czarownice podczas sabatu często zdejmują ubrania – są odziane jedynie w niebo, jak to nazywają – bo wierzą, że odzież jest barierą oddzielającą je od naturalnych energii, które usiłują okiełznać. To był kolejny powód, dlaczego zawsze opierałam się przed dołączeniem do sabatu księżycy. Tańce na golasa w grupie podstarzałych bab wydawały mi się pomysłem co najmniej groteskowym.

Ale w tym, co zobaczyłam tamtej nocy, nie było nic komicznego. Może chodziło o zimne światło gwiazd, może o ciepły migoczący blask ognia odbijający się od ich ciał, ale te kobiety wyglądały ponadczasowo, a nawet pięknie. Dwanaście z nich trzymało się za ręce i tworząc wielkie koło, wyginały się i wykonywały ruchy niemożliwe do naśladowania. Ich włosy powiewały na wietrze, ogień obsypywał je iskrami. Trzynasta obchodziła krąg, wolno i samotnie, bo jej zadaniem było bicie w bęben.

Kobiety coś nuciły. Nie mogłam usłyszeć słów, ale śpiewały niskimi głosami i bardzo melodyjnie. Uderzenia w bęben zrobiły się szybsze i głośniejsze. Śpiew też. Taniec przyspieszył. We mnie zaczęło narastać jakieś podniecenie, i choć stałam na obrzeżu, czułam się częścią czegoś o wielkiej mocy. Kroki wykonywane przez kobiety zrobiły się krótsze, mniej regularne; piękno tańca przeminęło, zastąpione dziką, rozgorączkowaną energią.

Wstrzymałam oddech. Bębnienie z wolna cichło; tancerki zatrzymały się i puściły swoje ręce. A potem wzniosły je do nieba i krzyknęły coś do księżycy. Później zapadła cisza.

– Niechże tak się stanie – rzekł pojedynczy głos, bębniarki, i reszta wiedźm wyraźnie się rozluźniła.

Krąg się rozpadł. Kilka z kobiet pochyliło się, szukając chrustu; inne poszły po ubrania. Ta, która biła w bęben, Daphne Reece, odwróciła się i podeszła do mnie.

– Sally – powiedziała. – Witamy cię. Bardzo się cieszymy, że przyszłaś.

73

Florence

Do końca wieczornego dyżuru została godzina. Trochę wcześniej mieliśmy nawałnicę petentów, ale teraz w budynku zostaliśmy tylko sierżant i ja. Kiedy zrobiło się spokojniej, wysłał mnie do zrobienia herbaty. Właśnie wracałam z tacą, kiedy usłyszałam, że mnie woła.

– Flossie? Gdzie ty jesteś?

Postawiłam tacę na podłodze i pobiegłam do recepcji. Sierżant akurat odkładał słuchawkę.

– Potrafisz prowadzić? – spytał.

Boże, daj mi siły.

– Tak, sierżancie, potrafię. Co się stało?

– Właśnie rozmawiałem z dozorcą zbiornika retencyjnego przy Railway Bank. Ktoś się tam kręci i rozrabia. Dozorca myśli, że to jakieś dzieciaki, ale nie jest pewny. Martwi się, że wskoczą do zbiornika. Bawili się też w pukanie do jego drzwi i uciekanie.

Rozejrzałam się dokoła za swoją czapkę.

– Chcesz, żebym tam pojechała?

– Nie, cholera, nie chcę. Szef się wścieknie, jak usłyszy, że wysłałem cię gdzieś po nocy.

– W takim razie pójdę po tacę z herbatami. Zanim ktoś się o nią potknie. – Odwróciłam się, nim sierżant zdążył dostrzec uśmiech na mojej twarzy.

– Nie mam cholernego wyboru, co?

Żadnego. Mógł albo mnie wysłać, albo nie zrobić nic.

– Jedź tam – wymamrotał zrzędlawie. – Pogadaj z Mickiem – to ten dozorca – i zaczekaj na czyjś przyjazd.

Przeszłam za ladę i sięgnęłam po kluczyki do radiowozu.

– Mówię serio, Flossie. Zrób mu herbatę, wysłuchaj go i czekaj, aż zjawi się wsparcie.

– Absolutnie, sierzancie. Herbata i miła współczująca rozmowa. Zaczekać na profesjonalistów. A przy okazji herbata dla pana jest w korytarzu. Na podłodze.

Domek dozorczy zbiornika stał w ponurym miejscu. W pewnej odległości od najbliższych zabudowań, nietknięty światłem latarni, na dziwnym rodzaju ziemi niczyjej między granicą miasta a otwartymi wrzosowiskami. Prowadziła do niego źle utrzymana pojedyncza bita droga. Kiedy podjechałam bliżej, dostrzegłam światła dobiegające od trzech domów przy Railway Bank, ale domy stały po drugiej stronie zbiornika, w odległości jakichś pięciuset metrów.

Chatkę dozorczy, parterowy budynek z wikliny i gliny, z wytartą strzechą, spowijał mrok. Kiedy zaparkowałam auto z włączonym kogutem nikt nie podszedł do drzwi.

– Jestem na miejscu, sierzancie – powiedziałam do radia. – Wygląda na to, że jest spokojnie.

– Dobra, cóż, zostań tam, gdzie jesteś. Za dziesięć minut dojedzie Colin.

– Miałam mu zrobić herbaty. Zapukam.

W schowku na rękawiczki znalazłam latarkę, zabrałam pałkę i wysiadłam. Noc była chłodna, z wrzosowisk wiał lekki wiatr. Zbiornik cuchnął gnijącym zielskiem. Nie spieszyłam się i dobrze się wokół siebie rozejrzałam, czujnie wypatrując ukrywających się gdzieś dzieciaków, które przyjazd policji mógł wprowadzić w dodatkową ekscytację.

To miejsce jednak nie nadawało się na zabawy, zwłaszcza nocą. Zbiornik był ogromnym wyłożonym cegłami basenem, ze spadzistymi bokami, ale bez otaczającego go muru. Front chałupy od zbiornika oddzielał wąski pas bruku, przed wpadnięciem do wody zabezpieczała ludzi krótka żelazna barierka. Wisiało tam przyczepione do niej stare, zagrzybione koło ratunkowe.

Gdzieś niedaleko zawył wilk.

To znaczy ktoś lub coś zawył jak wilk. Mógł to być pies z pobliskiej farmy, wałęsający się nocą po wrzosowiskach, ale o wiele bardziej prawdopodobne było to, że były to te dzieciaki, na które uskarżał się dozorca. Poświeciłam latarką w kierunku, który wydał mi się tym właściwym, i usłyszałam szelest w zaroślach.

– Policja! – zawołałam. – Wychodzić natychmiast.

Nikt nie wyszedł. Czego tak naprawdę nie oczekiwałam. Zapukałam do drzwi wejściowych chałupy i nasłuchiwałam odgłosów w środku. Nic.

Krzaki znów się poruszyły.

– To teren prywatny. Proszę natychmiast się ujawnić.

Nadal nic.

Z wnętrza domu dobiegł mnie jakiś odgłos. Na sekundę odwróciłam wzrok od zbiornika i kiedy to zrobiłam, coś dużego spadło lub wskoczyło do wody.

Chwyając po drodze koło ratunkowe, podbiegłam do barierki. Oświetliłam wodę latarką, poruszając nią z boku na bok. Nic. Czarna woda błyszczała jak plama ropy i była prawie nieruchoma. Nie widziałam nawet zmarszczek.

Potem znów to wycie, gdzieś po drugiej stronie zbiornika, tylko dalej. Na przeciwległym brzegu pojawiło się światelko. Poświeciłam tam latarką. Światelko zostało skierowane bezpośrednio na mnie. Bawili się ze mną. Już miałam się odwrócić, żeby wrócić do samochodu, kiedy coś uderzyło mnie w bok głowy i wpadłam do wody.

74

Sally

Kobiety ubrały się, zaserwowały sobie ciepłe korzenne wino z flaszek i wszystkie zasiadłyśmy dokoła ogniska. Rozpoznałam Lillian Ogilvy, matkę Dwane'a, Marlene Labaddee z kwaciarni w mieście, i spirytualistkę z Railway Bank, która samą siebie nazywała Hecate, a także, z niejakim zaskoczeniem, moją gospodynię, Mary. Wiedziałam, że jakiś czas temu zaproszono ją do wstąpienia do sabatu, ale nie myślałam, że przyjęła zaproszenie. Skinęła do mnie głową, ale bez uśmiechu.

– Dlaczego, na Boga, chcecie, żebym do was dołączyła? – spytałam. – Przysporzyłam wam wszystkim tylu cierpień.

– Boimy się – odparła Daphne. – I przypuszczamy, że ty też. A kiedy kobiety się boją, są silniejsze w grupie.

– Czego się boicie?

– Ciemności – odpowiedziała Daphne po chwili zastanowienia. – Rzeczy, których nie rozumiemy, ale wiemy, że należy się ich obawiać.

– Władzy i korupcji – dołączyła się Marlene z jej głębokim, rytmicznym indyjskim akcentem. – Rozprzestrzeniają się wokół nas jak rak.

– Wilków – dodała Avril. – Okrążających stado z krwią na pyskach.

Zapadła cisza. Wszystkie patrzyły na mnie.

– Nie mam pojęcia, o czym wy mówicie – oznajmiłam.

Cisza trwała. Wiedziały, że kłamię.

– Chodzi o Black Moss Manor? – spróbowałam. – Ale czy to nie jest sprawa dla policji?

– Tak? To jak na tym wychodzi Florence? – sarknęła Lillian.

– Florence nic nie może zrobić – odezwała się Avril. – Blokują ją na każdym kroku.

– Nie ma pojęcia, z czym się mierzy – dodała Daphne. – Wystawia się na niebezpieczeństwo.

– Z nimi nie można zadzierać – zgodziła się Mary.

– Z kim? – spytałam. – O kim wy mówicie?

Hecate nachyliła się i szepnęła mi coś do ucha.

– Oni nie istnieją. – Spróbowałam się roześmiać, ale nie zdołałam. – To wymysły.

Bajki opowiadane wystraszonym dzieciom.

Rozejrzałam się po bladych poważnych twarzach wpatrzonych we mnie. *One w to wierzą, pomyślałam. Wierzą, że mistrzowie istnieją.*

Coś się przeze mnie przelało. Przez sekundę czułam się tak, jakby zeszły ze mnie całe siły, pozostawiając mnie słabą jak małe kocię. Uświadomiłam sobie, że to był strach. Prawdziwy. Ogłupiający, paralizujący strach.

– Nie mogę – wymamrotałam. – Sama potrzebuję teraz tak wiele pomocy.

– Więc pozwól nam sobie pomóc – rzekła Avril. – A kiedy nabierzesz sił, ty pomożesz nam.

Florence

Zimna czarna woda zakryła mi głowę. W ustach poczułam jej gorzki tłusty smak. Zaplątały mi się w czymś nogi. Tonęłam.

Nie, to niemożliwe. Tak się nie stanie.

Zaczęłam wierzgać, raz za razem. Machałam rękami. Wszystko było czarne. Płynęłam w górę czy w dół? Ani to, ani to. Znów zaczęłam tonąć. Gruba materia mojego munduru nasiąkała wodą. Buty były tak ciężkie, jakby były z ołowiu.

Przebiłam głową lustro wody i zaczerpnęłam powietrza. Miotając się i waląc rękoma, dławiąc wodą, starałam się zorientować, gdzie jestem, zanim znów opadnę na dno. Nieruchoma powierzchnia wody pokryła się tysiącem poszatkowanych fal.

Tam! Do spadzistego ceglanego brzegu trzeba płynąć w tamtą stronę. Odepchnęłam się i fala zalała mi głowę. Coś we mnie uderzyło, ale okazało się, że to tylko koło ratunkowe, które wpadło do wody razem ze mną. Chwyciłam się go i poczułam przyływ nadziei. Zachłysnęłam się wodą, wyplułam ją. Nabrałam powietrza. Znów się zachłysnęłam. Staralam się pohamować kaszel. Koło utrzymywało mnie na wodzie. Zaczęłam kopać nogami i płynąć w kierunku brzegu, który wydawał się być straszliwie daleko.

Nagle objęło mnie światło czyjejś latarki.

– Kto tam jest?! – zawołał męski głos. – Proszę się trzymać.

Ktoś chciał się do mnie dostać. Ktokolwiek zepchnął mnie do wody, teraz wracał, żeby dokończyć dzieła. Słyszałam, jak ściąga kurtkę, jak buty lądują na brzegu. Zanurkował, a mnie znów zalała fala. Zaczęłam szybko bić nogami w wodę, chciałam odpłynąć. Ale wtedy czyjaś ręka chwyciła mnie za włosy.

Ktoś ściśle otoczył ramieniem moją szyję.

– Nie rzucaj się – stęknął.

Pociągnął mnie przez wodę. Niebo było zamglone i ciemne, wszystkie gwiazdy

pochowały się. Potem zostałam podniesiona, wyciągnięta z wody, ułożona na zimnych twardych ceglach nabrzeża zbiornika. Obok mnie klęczał mężczyzna w podkoszulku, kaszlący i plujący wodą. Odwrócił się i nawiązaliśmy kontakt wzrokowy.

– No nie, ja się chyba zabiję – warknął Colin West. – Ty głupia lekkomyślna suko.

76

Sally

Kiedy wróciłam do domu, było już późno i po winie byłam senna, ale nie pamiętałam, kiedy ostatnio czułam się tak spokojna. Kobiety wzięły mnie pod swoją ochronę. Obiecały, że w nadchodzących tygodniach całą energię poświęcą na próby ochrony mnie i dziewcząt.

Avril miała zająć się załatwianiem mojego powrotu do pracy i ustaleniem mojej sytuacji prawnej względem domu. Do tego czasu kazała mi się nie przejmować Royem.

– My się nim zajmiemy – obiecała.

– Jego matka to porządna kobieta – dodała Daphne. – Będzie go temperowała.

– A jego obecność w domu zapewni ci na razie ochronę – tłumaczyła Avril.

– I Marigold też – zauważyła Marlene. – Skoro w domu będą dwie szanowane przez wszystkich dorosłe osoby, nikt nie będzie mógł mówić, że coś jej tam grozi.

Po raz pierwszy od wielu tygodni nie czułam się osamotniona.

I właśnie wtedy, gdy taka zadowolona szłam przez ogród, z naszego domu wybiegł jakiś mężczyzna.

Piłam wino. Przez ponad godzinę wchłaniałam odwagę innych kobiet. Zrobiłam więc coś, na co normalnie nigdy bym się nie poważyła. Pobiełam za nim.

Gdyby to było kiedy indziej, nigdy bym go nie doścignęła. Nie biegam szybko, ale ten ktoś się potknął. Upadł ciężko na trawę z jękiem bólu. Dobiegłam do niego, złapałam jedną z kamiennych ozdób ogrodu i podniosłam ją wysoko nad głowę.

– Nie ruszaj się – krzyknęłam – albo rozwalę ci łeb.

I tak zamierzałam to zrobić. Jak on śmiał nachodzić mój dom i zagrażać moim córkom? Zamachnęłam się.

– Mamo, nie!

Zaskoczona, obejrzałam się. Przez trawnik biegła Cassie w szlafroku. Za nią w kuchni pojawiła się Luna. Ona też ruszyła do nas.

Mężczyzna na ziemi już się nie szamotał.

– Przepraszam – wychrypiał. – Niech pani nie uderza. Proszę.

– Mamo, nie. – Cassie złapała mnie za rękę. – Nie rób mu krzywdy.

– Ty dziwko! – Luna rzuciła się na siostrę. – Ty kłamliwa, zdraдлиwa dziwko.

Upuściłam kamienny posążek i zaczęłam je rozdzielać. Luna była w szale. Mężczyzna – teraz już wiedziałam, że to John Donnelly – poderwał się z ziemi i chwycił w pasie Cassie. Odciągnięcie ich od siebie zajęło nam prawie minutę, a kiedy już się udało, Cassie też płakała. Luna podrapała jej twarz i wyrwała kilka pasm włosów. John, czerwony i nieszczęśliwy, trzymał się Cassie i zerkał na mnie nerwowo.

Popatrzyłam od jednego do drugiego i trzeciego.

– O czym ja nie wiem?

– John rzucił Lunę dla mnie – wyznała Cassie. – Teraz chodzi ze mną. – Uśmiechnęła się do niego przez łzy.

– Powiedz jej, że nie może, mamo. Powiedz jej, że on jest mój.

John nadal obejmował Cassie. Chciałam wrzasnąć do niego, żeby ją puścił, ale któreś z nas musiało zachować spokój.

– Czy to prawda? – spytałam go. – Chcesz teraz chodzić z Cassie?

Popatrzył mi prosto w twarz.

– Tak – potwierdził.

– John jest od ciebie młodszy – zwróciłam się do Cassie. – Dlaczego chciałybyś chodzić z chłopakiem z młodszej klasy?

– Jest, ale niewiele – odpowiedziała. – Tylko kilka miesięcy. I wie, czego chce. Zawsze chciał mnie. Łaził z Luną tylko po to, żeby być bliżej mnie.

– Kłamiesz! – wrzasnęła Luna.

Wzięłam głęboki wdech.

– Idźcie do domu – rozkazałam. – Obie. Chcę porozmawiać z Johnem.

Dziewczęta zawsze się słuchały, kiedy widziały, że mówię serio. Zaczekałam, aż tylne drzwi zamkną się za nimi i odwróciłam się do Johna.

– Nie chciałem zrobić nic złego – zaczął się bronić. – Nie zrobiłem nic złego.

– Czy wcześniej to też byłeś ty? – zapytałam. – W kuchni, z Cassie, tamtej nocy, gdy zesłałam na dół?

Skinął głową, pocierając lewe kolano.

– Wpuściła mnie. Nie chcieliśmy pani obudzić.

– I w warsztacie Larry’ego?

– Przepraszam za tamto. My tylko rozmawialiśmy. I słuchaliśmy płyt.

- Nie masz prawa zakradać się do mojego domu nocą.
- Przepraszam. Nie mogłem przychodzić o innej porze. Luna dostawała szau.
- Wykorzystałeś Lunę i bardzo ją zraniłeś.

Jego wielkie ciemne oczy błagały mnie o wybaczenie.

– Luna i ja tylko się kolegujemy. To wszystko. Nie wiedziałem, że się we mnie zakochała. Mnie od zawsze podobała się Cassie.

– Cassie ma dopiero szesnaście lat. Ty piętnaście. Co będzie, jeśli zrobisz jej dziecko?

– Nie zrobię.

– John, jestem położną. Jak ci się wydaje, ile młodych dziewczyn widziałam, którym życie zrujnowała nastoletnia ciąża?

– Jeśli zajdzie w ciążę, ożenię się z nią. Myślę o niej w każdej sekundzie każdego dnia. Nigdy bym jej nie skrzywdził.

Nie byłam sobą, bo coś w tym przystojnym chłopaku stojącym w ciemności przede mną działało na mnie tak, że nabierałam do niego cieplejszych uczuć. Jednocześnie czułam ogromną ulgę, że się okazało, że to był on wtedy z Cassie, a nie ktoś obcy ze złymi zamiarami. Niemniej...

– Cassie nie może mieć teraz chłopaka – oznajmiłam, trochę podłamana, że nie ma przy mnie Larry’ego, który przepędziłby Johna i chłopak uciekłby jak pies z podkulonym ogonem. – Jak będziecie starsi, kiedy oboje skończycie szkołę, jeśli nadal będziecie czuli to samo, wtedy się zobaczy.

– Będę czuł to samo. Już zawsze będę to czuł.

W tym momencie przesunęła się chmura i oboje nas zalał ciepły blask księżyca.

– O Matko Boska! – zakrzyknęłam. – To ja ci to zrobiłam?

John zakrył twarz ręką i spuścił wzrok.

– Pewnie stało się to wtedy, kiedy się przewróciłem – wymamrotał. – To nie pani wina.

– Pokaż, obejrzę.

Cofnął się o krok, ale trzymałam go za ramię.

– To nie jest świeża rana – stwierdziłam, przyglądając się zadrapanej skórze, zakrzepłej krwi, początkom siniaka. – Dzisiejsza, ale nie z teraz.

– Przewróciłem się. – Nadal nie mógł spojrzeć mi w oczy. – W pubie jest pełno występów w posadzce.

– Czy u was w domu wszystko jest w porządku, John?

– Jasne, że tak. Ja i mama opiekujemy się sobą nawzajem.

Westchnęłam. Tyle jest zła na tym świecie.

– Idź do domu, John. Tylko na siebie uważaj. Zadzwoń do twojej matki, a ciebie nie chcę tu już nigdy więcej widzieć.

– Ale...

– Idź!

Kulejąc, odszedł podjazdem.

Florence

Wtorek, 12 sierpnia 1969

Żabka, na plecach, fantazyjne skoki – podśpiewywał jeden z detektywów pod nosem, kiedy następnego dnia szłam do tylnego wejścia. – Nie chciałabyś robić w życiu tylko tego?

Czekali na mój przyjazd. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby całe grupy policjantów przestawały na parkingu po zakończonym dyżurze. I wyglądało, że na dworze był też każdy palący członek wydziału śledczego. A to oznaczało, że było ich tam wielu. Był nawet Tom, chociaż wzrok miał wbity w ziemię.

– To ty, Flossie?

Głos Rushtona usłyszałam zaraz po wejściu do budynku. Przechylał się przez poręcz i patrzył na mnie z pierwszego piętra.

– Pakuj się na górę, dziewczyno.

Wspięłam się po schodach i poszłam za Rushtonem do jego biura.

– Wszystko u ciebie w porządku? – spytał.

Stałam na baczność przed jego biurkiem.

– Tak, dziękuję, sir.

– Oficjalny raport posterunkowego Westa brzmi tak, że wpadłaś do wody i on wskoczył do niej, żeby cię wyciągnąć.

– Obserwowałam kogoś na drugim brzegu, kogoś z latarką, i wtedy ktoś z tyłu mnie uderzył. Od ciosu w głowę straciłam równowagę i wpadłam. Posterunkowy mówi prawdę, że mnie wyciągnął, i jestem mu za to ogromnie wdzięczna.

Rushton zmarszczył brwi.

– I co teraz z twoją głową?

– Jest obolała. Jedna z pielęgniarek obejrzała ją dziś rano. Nie ma żadnego rozcięcia.

– Telefon od dozorca zbiornika to był czyjś głupi żart – poinformował Rushton. – Dozorca twierdzi, że nie ma z tym nic wspólnego.

Nie wiedziałam o tym. Ale nie byłam zaskoczona.

– Tam jest ciemno jak w piekle – dodał Rushton. – Więc to możliwe, że West nie widział tego kogoś, kto na ciebie napadł.

– Tak, to możliwe – zgodziłam się.

Rushton westchnął.

– Flossie, potrafię dać wiarę, że dzieciaki bawią się przy zbiorniku w chowanego, przesiadują tam nocami. Wyobrażam sobie nawet, że dla kawału dzwonią na policję. Ale napaść na funkcjonariusza? Taka, która może być interpretowana jako usiłowanie dokonania zabójstwa? To mi się wydaje mało prawdopodobne. Tobie nie?

– Mnie też, sir.

Rushton odchylił się na oparcie.

– Zatem alternatywą jest, że ktoś wiedział, że jesteś na służbie i umyślnie cię tam ściągnął, żeby cię skrzywdzić.

– To brzmi nawet jeszcze mniej prawdopodobnie, sir. – rzuciłam.

Rushton ciężko westchnął i wstał. Podeszedł do okna i wyjrzał przez nie, chociaż widok, jaki miał tam do dyspozycji, to był tylko ceglany mur po drugiej stronie ulicy.

– Jest może coś, co chciałabyś mi powiedzieć, kochanie? – spytał.

To była moja szansa.

– Czekam – ponaglił mnie.

– Black Moss Manor – powiedziałam i zobaczyłam, że bierze głęboki wdech. A potem jakby zapadł się w sobie. Minęło sporo czasu, zanim się do mnie odwrócił i kiwnął głową na znak, żebym mówiła dalej.

Słuchał, a ja opowiadałam o dziwnym apatycznym zachowaniu dzieci, o okrutnych sposobach ich traktowania, o surowych karach cielesnych i o dziwnych zabawach. Uniósł brwi wysoko, kiedy przyznałam, że obserwowałam dzieci z wrzosowisk, ale tego nie skomentował. Opowiedziałam o tym, jak Marigold boi się tego miejsca, o zastraszaniu jej przez Asterów, chcących, żeby wróciła, o tym, że wykorzystują w tym celu nawet naszych ludzi. Opowiedziałam o rozmowie z Ogilvymi, o niezwykłym zainteresowaniu kierownictwa domu dziećmi kalekimi i niedorozwiniętymi. Chciałam właśnie przejść do niepokojącego twierdzenia Marigold, że ojcem jej dziecka jest policjant, kiedy otworzyły się drzwi i do środka głowę wetknął komisarz Sharples.

– Przyjechali, szefie. Zaprowadziłem ich do konferencyjnego.

– Dzięki, Jack. Zaraz tam przyjdę.

Sharples zniknął, pozostawiając drzwi szeroko otwarte.

– Flossie, muszę się czymś teraz pilnie zająć. – Rushton wstał. – Chciałbym, żebyś rzuciła okiem na przypadki stosowania przemocy w pubach i jak to się odnosi do późnych godzin otwarcia.

– Sir, ja już...

– Może będziesz musiała odbyć kilka rundek po mieście – w mundurze lub bez, twój wybór. Dopilnuję, żebyś miała dostęp do radiowozu i poproszę sierżanta, żeby przez pięć dni nie zajmował cię niczym innym. Tyle ci wystarczy?

Spisanie raportu o przemocy w pubach zajęło mi wiele godzin. Oddałam go Rushtonowi dawno temu.

– Sir, ja...

Utkwił we mnie twarde spojrzenie.

– Florence, to musi być zrobione jak należy. Jeśli będą potrzebne nakazy, jeśli trzeba będzie kogoś aresztować, wnieść oskarżenia, będę musiał mieć fakty i dowody. I nie mam nikogo, kogo mógłbym dać ci do pomocy. Jesteś zdana na siebie. Czy wyrażam się dostatecznie jasno?

Staliśmy i patrzyliśmy na siebie. Brwi Rushtona praktycznie zniknęły pod jego grzywką.

– Czyżbym przecenił twoją inteligencję, Florence? – rzucił w końcu tak cicho, że tylko ja go mogłam usłyszeć.

– Nie, sir – zaprzeczyłam. – Rozumiem, sir. I dziękuję.

– Tylko pamiętaj, wyłącznie w ciągu dnia. Żadnych więcej samotnych nocnych wypadów. Musisz mi to obiecać.

Kiedy wróciłam do swojego biurka, usłyszałam Rushtona wydającego polecenia, które skutkowały tym, że ponownie zostałam przyłączona do wydziału śledczego i że przez pięć następnych dni mogłam spokojnie badać sprawę Black Moss Manor. Tylko że miałam to robić sama, nic nikomu o tym nie mówiąc. Rushton powiedział mi też coś nawet ważniejszego niż to, że podziela mój niepokój: nie ufał nikomu na posterunku.

Prawie zaraz potem odezwał się telefon. Dzwoniła Abby.

– Mam trop. Naprawdę mam. – Mówiła cicho, jakby nie chciała być podsłuchana. – Myślę, że będę dzisiaj stawiała mnóstwo drinków. Życz mi szczęścia.

– Bądź ostrożna – odszepnęłam. – Mam służbę do dziesiątej, inaczej poszłabym z tobą.

– Spokojnie – odparła. – Jestem dobra w te klocki. Muszę lecieć.

Rozłączyła się. Ja potem przez kilka minut udawałam, że coś notuję, choć w rzeczywistości roztrząsałam pytanie, komu, konkretnie, nie ufa Rushton. Później, nie mówiąc nikomu z wydziału, dokąd idę, opuściłam budynek i pojechałam rowerem do miejscowego biura rady hrabstwa Lancashire.

Pani Finley, kierowniczka, która przyszała po mnie po dziesięciu minutach, była kobietą w średnim wieku, dość pulchną, o przyjaznej ładnej twarzy i życzliwych brązowych oczach. Czułam, że zaczynam ją lubić, kiedy zaproponowała kawę i wprowadziła mnie do swojego biura ze świeżymi kwiatami w wazonie.

– Jak się pani czuje, panno Lovelady? – spytała, kiedy usiadłyśmy. – Ale tak naprawdę?

W recepcji nie mówiłam, jak się nazywam.

– Dobrze było wrócić do pracy. – Kiedy się uśmiechnęłam do kobiety, zauważyłam, że jej spojrzenie podryfowało do mojej zabandażowanej lewej dłoni. Ta jak na zawołanie zaczęła mnie boleć.

– W czym zatem mogę pani pomóc? – spytała pani Finley.

– Chodzi mi o dom dziecka Black Moss Manor – zaczęłam. – Rozumiem, że to placówka prowadzona przez osoby prywatne, ale w ostatecznym rozrachunku za jej działalność odpowiada rada hrabstwa.

– Inspekcje odbywają się dwa razy w roku – wyjaśniła pani Finley. – Zawsze wszystko było tam w jak najlepszym porządku.

Drzwi za nami otworzyły się i do środka weszła kobieta w niebieskich ogrodniczkach niosąca tacę z dwiema porcelanowymi filiżankami i talerzykiem bułeczek z figami.

– Dlaczego dzieci uczą się na miejscu zamiast w miejscowej szkole?

Na odpowiedź musiałam czekać do czasu, aż pani od kawy wyjdzie, a pani Finley zapyta o mleko, cukier i czy skosztuję bułeczki? Upiłam łyk kawy. Była gorąca i świeżo zaparzona.

– Jest pani ekspertem w dziedzinie psychologii dziecięcej, panno Lovelady? – spytała w końcu pani Finley.

– Nie, ale...

– W takim razie nie ma pani prawa komentować decyzji podejmowanych z myślą o najlepszym interesie dzieci z problemami, nie sądzi pani?

Odstawiłam swoją filiżankę i wyjęłam notes i długopis.

– Ile dzieci jest w Black Moss Manor?

– O ile wiem, mogą przyjąć dwudziestkę, ale liczba fluktuuje, bo jedne dzieci

przychodzą, inne odchodzą. Jest pani pewna, że nie ma pani ochoty zjeść bułeczki?

– Nie, nie, dziękuję. Dokąd idą, kiedy odchodzą?

– Do rodzin adopcyjnych. Czy kawa jest wystarczająco ciepła?

– Mogłabym zapoznać się ze szczegółowymi danymi adopcji? Powiedzmy z ostatnich pięciu lat?

Pani Finley odchyliła się na oparcie krzesła i trzecim palcem lewej dłoni strzepnęła nieistniejące okruszki z kącika ust. Na jej palcach połsniewała szeroka złota obrączka i pierścionek zaręczynowy z brylancikami i rubinami.

– Obawiam się, że nie – odparła. – Te informacje są poufne.

– Ale macie rejestr? Listę dzieci obecnie przebywających w placówce?

– Mamy. – Znów się uśmiechnęła.

– To czy mogę ją zobaczyć?

– Też jest zastrzeżona, niestety.

Nachyliłam się do niej.

– Pani Finley, otrzymaliśmy bardzo poważne skargi na Black Moss Manor, ja sama byłam tam świadkiem rzeczy, które wzbudziły moje zaniepokojenie. Pani odpowiedzi w żaden sposób mnie nie uspokajają.

Oceniając po wyrazie jej twarzy, uważała mnie za zabawną ciekawostkę.

– Powiem pani wszystko, co mogę, panno Lovelady – zaczęła. – Musi pani jednak zrozumieć, że obowiązują nas pewne reguły postępowania. Czy jest na posterunku ktoś wyższy rangą, do kogo mogłabym zadzwonić? Może jakiś pani przełożony?

– Czy wszystkie dzieci w Black Moss Manor są niepełnosprawne?

Zaczęła się bawić pierścionkami na palcach, obracając je i muskając.

– Nie wszystkie – odpowiedziała. – Ale Black Moss Manor ma zaplecze i stosowną wiedzę, aby zajmować się trudnymi dziećmi. To możliwe, że ktoś niedoświadczony jak pani mógł widzieć normalne zachowanie opóźnionych małych wychowanków i dostrzec problem tam, gdzie on nie istnieje.

– Sama w tym roku zawoziłam tam jedno dziecko. Roberta Browna. Co może mi pani o nim powiedzieć?

– Nic.

Znowu się uśmiechnęła, a ja zapytałam się siebie, jak mogłam wcześniej uznać, że ta kobieta jest sympatyczna. W tym momencie przypominała złośliwego starego kocura, którego miał mój dziadek, kiedy byłam małą. Mruczał i ocierał się o mnie, ale zaraz potem pokazywał pazury i drapał do krwi.

– Pani Finley, czy rozumie pani, że prowadzę policyjne dochodzenie?

Uśmiech zniknął.

– Nie, młoda damo, to raczej ja powinnam zapytać, czy pani rozumie, że moją jedyną troską jest dobro dzieci pozostających pod opieką lokalnych władz? Ochrona ich interesów i prywatności to dla mnie sprawa najważniejsza, nawet jeśli nie jest ona taka dla pani.

Wstałam i podziękowałam kobiecie za poświęcony mi czas. Drzwi były otwarte i już prawie przez nie wychodziłam, kiedy pani Finley przywołała mnie z powrotem.

– Panno Lovelady?

Odwróciłam się, nawet jeszcze wtedy z nadzieją, że być może zmieniła zdanie w kwestii współpracy. Jej oczy powędrowały do mojej lewej dłoni, ale nie zanim dostrzegłam, że zabłyśły.

– Czy to bolało? – spytała.

Kiedy wróciłam na posterunek, dochodziła piąta. Personel cywilny i większość ludzi z wydziału śledczego, ci, którzy nie prowadzili pilnych śledztw, wychodzili do domów. Zaczekałam, aż dyżurny detektyw opuści posterunek w związku z jakimś zleceniem i poszłam poszukać książki telefonicznej hrabstwa Kumbrii. Szukałam sierocińców, domów dziecka i domów dla osób niepełnosprawnych i znalazłam tylko jedno miejsce, które wydawało się pasować. Dom opieki dla dzieci niepełnosprawnych Thirlmere.

– Marigold? – powtórzył ostry północny głos, który odebrał telefon. – Oczywiście, że ją pamiętam. Co u niej słychać?

Nawet ja potrafiłam ocenić, że akcent tej kobiety jest podobny do akcentu Marigold. Cassie miała rację.

– Wszystko dobrze – odpowiedziałam, walcząc z falą ekscytacji i zdenerwowania. – Mieszka z moją przyjaciółką – pielęgniarką – i z jej dwiema nastoletnimi córkami. Chyba jest szczęśliwa.

– Och, to miłe – rzuciła kobieta, ale bez przekonania. – Choć sądziłam, że zostanie w Black Moss. Bardzo chcieli ją mieć u siebie, a wiem, że są bardzo wybiórczy w kwestii tego, kogo przyjmują.

– Mogłaby mi pani powiedzieć, dlaczego musiała zostać przeniesiona? Chodziło o ciążę?

Kobieta przez kilka sekund milczała, potem spytała:

– Jaką ciążę?

– Proszę wybaczyć. Może pani nie wiedziała. Marigold była w ciąży, kiedy

przyjechała do Black Moss Manor. Urodziła synka.

– Dobry Boże. Nie, to chyba jakaś pomyłka. Powiedziano by nam. Przeprowadzilibyśmy śledztwo. Naszym chłopcom i dziewczętom nie wolno się... przyjaźnić. Mamy bardzo rygorystyczne reguły w tym względzie.

W mojej głowie zaczęły się rodzić podejrzenia.

– Marigold urodziła w zeszły poniedziałek. Mogę zapytać, kiedy was opuściła?

– Och, to wszystko wyjaśnia. – Ulga w głosie kobiety była oczywista. – Marigold przeniosła się do Black Moss Manor w marcu 1967 roku. Przeszło dwa lata temu.

78

Sally

Roy wprowadził się we wtorek po południu; pomagał matce przejść przez próg z taką powagą i czcią, jakby była wizytującą królową. Po dziesięciu minutach od ich przyjazdu dziewczęta, łącznie z Marigold i jej dzieckiem, uciekły do pokoju Luny i zamknęły się w nim na klucz.

Po godzinie Roy zwolnił Mary.

– Sally już nie pracuje – oznajmił. – W tym domu jest pięć kobiet w pełni zdolnych do wykonywania wszelkich prac. Nie chciałbym, żeby się rozleniwiwały i przyzwyczajały do bezczynności.

Mary odeszła bez słowa, ale gdyby to na mnie spojrzała tak, jak spojrzała na Greenwooda, nie wiem, czybym tej nocy zasnęła.

W dwie godziny od inwazji Greenwoodów zaczęłam zauważać, że do domu wdarły się obce zapachy, naftaliny, którą Grace zabezpieczała swoje przedpotopowe ubrania, i esencjonalnego olejku, który Roy nakładał na włosy. Ale chyba gorszy od obydwu był lepko-słodki zapach konwalii, perfum Grace.

Dziewczęta zeszły na dół tylko na kolację, kiedy powiedziałam, że nie podam im jedzenia do ich sypialni, więc albo zejda, albo będą głodowały. Marigold mi uwierzyła, rozplakała się i Cass, i Lunie ledwie udało się ją uspokoić. Po w większej części milczącym posiłku, podczas którego drżąca Marigold starała się siedzieć jak najdalej od Roya, Roy zabrał mnie na bok.

– Dla mnie kolacja była odrobinę za wcześnie – oznajmił, kładąc mi rękę na dole pleców. – Od jutra matka i młodzież mogą jeść o szóstej. Ty i ja będziemy siadali do kolacji godzinę później. Ponieważ nie chodzisz już do pracy, przygotowanie dwóch nie powinno stanowić dla ciebie problemu.

Tego wieczoru dziewczęta i ja zbiłyśmy się w kupkę przed czarno-białym telewizorem w saloniku wynajemców, podczas gdy Greenwoodowie usiedli w dużym

salonie. Po godzinie Roy przyszedł oznajmić, że przeze mnie jego matce jest przykro i że powinnam do nich dołączyć. Kiedy zauważyłam, że on i jego matka mogą nie chcieć oglądać tych samych programów co dziewczęta, przyznał mi rację.

– Możemy kolorowy telewizor przenieść do mniejszego salonu, dla dziewcząt – rzekł. – My z matką wolimy słuchać radia. W dużym salonie i tak trzeba zrobić miejsce pod pianino. Przyjedzie w przyszłym tygodniu.

O dziewiątej wieczorem odesłał matkę i dziewczęta do ich pokojów i potem nastawał, że należy mi kieliszek słodkiej sherry, którą, jak sam uznał, bardzo lubię.

– Wreszcie sami – westchnął, kiedy stuknął się ze mną kieliszkiem. – Jakie to przyjemne.

Upił łyk swojego tio pepe i skrzywił się.

– Chyba skwaśniało – mruknął, ale zaraz dodał: – Och, cóż, szkoda, żeby się zmarnowało. – Opróżnił kieliszek do dna i poszedł po dolewkę.

Florence

Miałam się już kłaść, kiedy do moich drzwi zapukał nocny portier.

– Telefon, Florence. Z posterunku.

– Florence, wysyłamy po ciebie samochód – powiadomił sierżant dyżurny, kiedy w koszuli nocnej zbiegłam na dół. – Dasz radę być gotowa za pięć minut? Najlepiej załóż mundur, ale nie martw się, jeśli nie zdążysz.

– Co się stało?

– Napaść na kobietę przy Market Street. Gość włamał się do jej sypialni. Podobno została bardzo pobita. I możliwe, że też zgwałcona.

– Będę gotowa, sierżancie.

– Flossie, nie muszę ci tego mówić, ale musimy tę sprawę przeprowadzić jak należy. Ofiarą jest dziennikarka.

Było tak, jakby przez hostel przeleciał zimny podmuch wiatru.

– Kto? – spytałam.

– Jakaś Abby Thorn. Pracuje w „Post”. No dobra, samochód już wyjechał. Masz trzy minuty.

Abby mieszkała nad sklepem spożywczym przy Market Street. Na zewnątrz stały już dwa radiowozy i ambulans.

– Ratownicy z karetki są już na górze – powiedział nam jeden z obecnych tam posterunkowych, zanim pokręcił głową. – Paskudny przypadek.

Tego wieczoru nauczyłam się, że bycie kobietą w policji ma jeden plus. Żaden z mężczyzn nie chciał mieć do czynienia z poważnie okaleczoną ofiarą gwałtu. Wpuścili mnie i mijając po drodze wyglądających na przerażonych właściciela i jego żonę, przebiegłam sklep i po schodach na tyłach dostałam się na piętro. Drzwi mieszkania były otwarte, więc weszłam do środka i poszłam do salonu.

Meble w nim były tanie i staroświeckie, od razu się domyśliłam, że nie są własnością Abby. Ale już duże czarno-białe fotografie na ścianach tak; byłam bliska uśmiechnięcia się na widok imponujących ujęć Times Square w Nowym Jorku i londyńskiej Fleet Steet. Jej też były oprawione w ramki strony tytułowe międzynarodowych gazet relacjonujące najświeższe ważne wydarzenia. Powiesiła je, żeby ją inspirowały. Znałam ten pokój. Mogłabym w takim mieszkać.

Za drzwiami do sypialni słychać było męskie głosy, więc zapukałam i weszłam. Abby, w męskich spodniach od piżamy i w podkoszulku, leżała na pojedynczym łóżku, z maską tlenową na twarzy. Koszulka i poduszka pod jej głową były poplamione krwią. Maską zasłaniała większą część twarzy, ale widziałam obrzęk pod prawym okiem. Jednak wydawało się, że najgorsze obrażenia są na szyi. Miała na niej szeroki kołnierz czerwonych pręg i siniaków. Była duszona.

– Jest w stabilnym stanie – powiedział do mnie jeden z ludzi z ambulansu. – Musimy teraz tylko przynieść nosze. Może pani z nią zostać?

Oczywiście, że mogłam. Uklękłam przy niej i kiedy wyciągnęła rękę, chwyciłam ją. Mocno uściśnęła moją dłoń i to ten gest, tak absolutnie niepasujący do tej obcesowej dzielnej kobiety, którą zaczynałam poznawać coraz lepiej, przeraził mnie bardziej niż cokolwiek innego. Potem podniosła drugą rękę i ściągnęła maskę.

– Czekał na mnie. – Głos miała niski i ochrypły, jakby przeciskał się przez odłamki szkła. – Był w szafie.

Odwróciłam się z przerażeniem. Duża podwójna szafa stała bezpośrednio za mną.

– Wszedł, kiedy leżałam w łóżku. – Głos jej się załamał i zaczęła płakać.

– Ciii. – Wzięłam maskę i z powrotem ją jej założyłam. – Musisz to mieć na twarzy. Zeznania złożysz później.

Zacząła się przeciwstawiać, ale złapał ją kaszel i w końcu dała przywiązać sobie maskę za głowę. Potem ratownicy wrócili i została wyniesiona.

80

Sally

Środa, 13 sierpnia 1969

Kwadrans po szóstej rano rozpoczął się nów. Dzieci, ofiary Larry'ego, wszystkie zniknęły podczas nowiu.

Niebo było czyste i gdy stałam przy oknie mojej sypialni w bladym różanoszarym brzasku, widziałam niewyraźny zarys kuli na południowym wschodzie. I przyłapałam się na marzeniu – na pragnieniu – żeby zaginęło jakieś dziecko, żeby się okazało, że oprawca jest na wolności, że czeka i dziś znów uderzy. Patrzyłam na świt i całym sercem modliłam się, żeby następne dziecko doświadczyło straszliwej bolesnej śmierci. Cieszyłabym się z tego, bo to by oznaczało, że Larry wróciłby do domu i nas uratował.

Powinnam była uważać. Powinnam była pamiętać, że zaklęcia rzucane w gniewie mogą się odbić rykoszetem. Kilka godzin później zaginęła Luna.

Florence

Zostałam przy łóżku Abby do wczesnych godzin środowego poranka, do momentu, gdy pielęgniarka szepnęła mi do ucha, że prawdopodobnie przeszkadzam jej w zaśnięciu.

Wróciłam do szpitala ponownie po kilku godzinach snu. Kiedy przyjechałam, byli tam Woodsmoke i Tom, ale obaj się zgadzali, że to ja powinnam odebrać zeznania od Abby. Weszłam pierwsza do pokoju i usiadłam na jedynym tam krześle stojącym przy łóżku. Woodsmoke i Tom zostali przy drzwiach, ustawili się po obu stronach jak jacyś strażnicy.

Abby oddychała samodzielnie i to pewnie było dobrym znakiem, ale obrażenia, jakich doznała, były o wiele bardziej oczywiste. Prawego oka prawie nie było widać, opuchlizna zniekształciła czyste i mocne rysy twarzy. Błada skóra miejscami była czerwona, fioletowa, a nawet czarna, a pod ustami widniało paskudne rozcięcie, teraz już zaszyte.

– Dasz radę, Florence? – spytał Woodsmoke.

Abby popatrzyła mi w oczy. Od razu wiedziałam, co próbowała mi powiedzieć. Jeśli ona da radę, to ja też dam. I odwrotnie.

– O której wróciłaś wczoraj do domu, Abby? – zaczęłam.

Woodsmoke notował, a Abby usiłowała nakłonić do posłuszeństwa uszkodzone struny głosowe. Z jej odpowiedzi udzielanych na moje pytania o kolejne wydarzenia poprzedniej nocy dowiedzieliśmy się, że do domu wróciła krótko przed jedenastą po wieczorze spędzonym w mieście na prowadzeniu wywiadów z różnymi osobami do materiału, nad którym pracowała. Nie chciała powiedzieć, o czym był ten materiał. „To tajemnica”, oznajmiła, patrząc na mnie wymownie. Nie miała wrażenia, żeby ktoś ją obserwował, ani wczoraj, ani ostatnio. Nie miała powodu, żeby czuć się zagrożona.

W pewnej chwili głos zupełnie odmówił jej posłuszeństwa. Tom szybko do niej podszedł, pomógł usiąść i stał obok, co kilka sekund przystawiając jej do ust szklankę z

wodą.

Kiedy odzyskała głos, powróciła do relacji i powiedziała, że do sklepu weszła tylnym wejściem, korzystając ze swojego klucza, i poszła prosto na górę, do mieszkania. Drzwi były zamknięte, jak zwykle, nie miała powodu podejrzewać, że coś jest nie tak.

Wtedy odezwał się Tom.

– Przepraszam, że przerywam – rzekł. – Ale założenie jest takie, że intruz zakradł się przez zaplecze, kiedy w sklepie był duży ruch. Miał szczęście, bo znalazł zapasowy klucz, który panna Thorn trzyma na framudze nad drzwiami.

Abby nie zauważyła niczego dziwnego w mieszkaniu i poszła się od razu położyć. Kiedy opowiadała nam o skrzypieniu drzwi szafy, o ciemnym cieniu, który się z niej wyłonił i rzucił na nią, zanim nawet zdążyła krzyknąć, usłyszałam, że Woodsmoke cicho klnie pod nosem.

– Uderzył mnie – powiedziała. – Trzymał za włosy i bił.

Nie musiała nam tego mówić. Wystarczyło spojrzeć na jej zmaltretowaną twarz.

– Ile razy? – spytałam.

Pokręciła głową. Nie umiała sobie przypomnieć.

– Potem wszedł na mnie i złapał mnie za gardło. Nie mogłam oddychać.

Do oczu napłynęły jej łzy. Tom przystawił jej wodę do ust.

– Następne, co pamiętam, to pojawienie się ratowników medycznych – skończyła.

– Właściciele sklepu, mieszkający obok, usłyszeli odgłosy, które ich zaniepokoiły – powiedział Woodsmoke. – Poszli sprawdzić, co się dzieje, i zobaczyli pannę Thorn w połowie schodów. Wezwali policję i pogotowie.

Zapadła cisza. Tom patrzył na mnie. Woodsmoke odchrząknął.

– Abby, muszę cię o to zapytać – odezwałam się. – Czy on cię zgwałcił?

Pokręciła głową.

– Nie?

– Myślałam, że to zrobi. Położył się na mnie. Miał wzwód. Czulałam to. Ale mnie nie zgwałcił.

– Coś mu przeszkodziło? – spytałam.

Cisza.

– Możemy na tym na razie poprzestać? – poprosiła Abby. – Moje gardło...

Odwróciłam się, żeby sprawdzić, co na to sierżant.

– Oczywiście, że tak, kochanie – rzucił. – Spisałaś się znakomicie. Damy ci teraz odpocząć.

Wstałam, żeby wyjść.

– Florence?

Odwróciłam się do Abby.

– Mogę z tobą porozmawiać. Na osobności?

Woodsmoke po krótkiej chwili zawahania kiwnął do Toma i obaj opuścili pokój. Ja z powrotem usiadłam przy boku Abby.

– On coś powiedział – wyznała. – Odezwał się do mnie.

Czekałam.

– Tuż, zanim wyszedł. Zabrał ręce z mojej szyi i powiedział: „Następnym razem się nie zatrzymam”.

82

Sally

W środę rano Grace uparła się, że pójdzie ze mną do miasta, i wyprawa, która powinna zająć mniej niż godzinę, trwała ponad dwie. Kiedy wróciłyśmy, wstawiłam czajnik i zaczęłam rozkładać zakupy. Fiolki z syropem z naparstnicy, który zrobiły Mary z Luną, stały na półkach w spiżarni. Niepokojąc się, że Marigold skuszą ładne kolory, przestawiłam je wyżej, poza zasięgiem ręki. Widać było, że Grace też tutaj urzędowała i robiła swoje porządki. Starając się nie okazywać poirytowania, odstawiłam wszystko na swoje miejsca, tam gdzie powinno stać.

– Gdzie jest Luna? – spytałam Cassie, która zeszła na dół dołączyć do nas. W pokoju obok słychać było popłakiwanie Henry’ego i Marigold próbującą uspokoić go śpiewem.

Cassie wzruszyła ramionami.

– Powiedz jej, proszę, że chcę ją widzieć – powiedziałam.

– Po co?

– Tak po prostu. – I taka była prawda. Nigdy nie czułam się komfortowo podczas nowiu, a ten teraz wzbudzał we mnie większy niepokój niż zwykle. Chciałam zobaczyć obie moje córki. Chciałam dotknąć ich włosów, poczuć zapach ich skóry, usłyszeć ich głosy, nawet gdyby to, co miałyby do powiedzenia, byłoby przykre i kłopotliwe.

Cassie wyszła i już nie wróciła. Przez kilka minut znosiłam utyskiwania Grace na wietrzną pogodę, a potem coś mnie tknęło. Wróciłam do spiżarni i policzyłam małe buteleczki podpisane nazwą „syrop z naparstnicy”.

Dziesięć. Policzyłam jeszcze raz i rozejrzałam się, by sprawdzić, czy któraś nie stoi gdzie indziej. Nie stała. Tylko dziesięć. Coś było nie tak.

Kiedy przygotowuję coś potencjalnie niebezpiecznego, zawsze trzymam się wypracowanej procedury. Napęlam dwanaście butelek i na każdej zapisuję datę i numer partii. Mary i Luna znają zasady. Na dolnej półce znalazłam dziennik. Tak, zgadzało się, dwanaście butelek. Jedną na pewno wzięła Mary. Czyli drugą buteleczkę z

syropem z naparstnicy musiał zabrać ktoś inny niż ona.

Cassie nadal nie wracała, Luna też się nie zjawiała, więc poszłam ich szukać. Cassie była w pokoju, który teraz dzieliła z siostrą.

– Gdzie ona jest? – spytałam.

Cassie spojrzała w górę.

– Nie znalazłam jej.

Brakująca fiołka ześliznęła mi się na tył głowy. Przeszukałam cały dom, łącznie z poddaszem, i w końcu doszłam do wniosku, że Luna musiała gdzieś wyjść i że jestem idiotką. Rano modliłam się o to, żeby zaginęło jakieś dziecko. Energia tworząca się podczas rzucania magicznych zaklęć ma ogromną moc, zwłaszcza, jeśli niewłaściwie się nią zarządza i ukierunkowuje. Może się wrócić. Może wyrządzić niewypowiedzianą krzywdę temu, kto ją wytworzył. Jeśli Lunie coś by się dzisiaj stało, byłaby to moja wina.

Florence

Woods smoke i Tom czekali na mnie w samochodzie Toma na parkingu. Zignorowałam ich. Wsiadłam do radiowozu i odjechałam. Żwir zazgrzytał głośno pod oponami, gdy ruszałam z impetem, mocno nadeptując na pedał gazu. Na pierwszym przejściu ze światłami, do którego podjechałam, paliło się czerwone. Włączyłam koguta i syrenę i przejechałam przez przejście bez zwalniania.

Łamałam kilka zasad policyjnych i zamierzałam złamać kilka więcej. Nie obchodziło mnie to. Gdybym straciła pracę przed zakończeniem dnia, byłaby to mała cena do zapłacenia. Chciałam tym łajdakom spojrzeć prosto w oczy i powiedzieć, że się ich nie boję. Chyba po raz pierwszy w życiu naprawdę puściły mi nerwy.

Nie zastraszą mnie i nie przepędzą strachem. Zamierzałam skonfrontować się z Frederickiem i Judith Asterami. Zamierzałam, patrząc im w twarz, powiedzieć: *widzę was*. Wiem, że to, co tu robicie, to coś strasznego, i ja położę temu kres.

Zrobię to sama. Nie będę więcej narażała Abby, i zrobię to w ciągu następnych czterech dni, zanim wrócę na patrole.

Pędząc w górę Laurowego Nasypu, zmusiłam kilka wystraszonych gospodyń do odskoczenia na próg. Nie zwolniłam nawet wtedy, kiedy dotarłam do wąskiej drogi gruntowej. Syrenę wyłączyłam dopiero, kiedy zatrzymałam się przed Black Moss.

Wiedziałam, że znajdę się w raporcie, choćby za podjechanie tu w taki sposób. Za to, co zamierzałam zrobić, prawdopodobnie groziło mi zawieszenie, więc gdybym się zatrzymała, żeby pomyśleć, pewnie bym zrezygnowała. Wyskoczyłam z wozu i zabębniłam w drzwi, dopiero wtedy rejestrując, że przed domem nie ma samochodu Asterów.

Trochę ze mnie zeszło powietrze.

Znów zapukałam. Bez Asterów istniała szansa, że dostanę się do środka i będę miała okazję porządnie się rozejrzeć.

Nic. Nikt nie podchodził do drzwi.

Przypomniałam sobie o tym, jak Abby dostała się wcześniej do budynku, więc ruszyłam na jego tyły. Za pierwszym oknem zobaczyłam pokój, jakiegoś rodzaju salonik. Poszłam dalej, minęłam matowy kwadrat szkła, prawdopodobnie okno łazienki, a potem dwa kolejne okna, za którymi były pojedyncze sypialnie. Pokoje personelu.

Dotarłam na róg i usłyszałam piskliwy krzyk małego dziecka. To była moja przepustka do wejścia do środka. Pobiegłam do furki, sprawdzić, czy nie jest zamknięta. Nie była, a nawet była uchylona, dół zaczepił o kępkę trawy. Na błocie po stronie zewnętrznej furki widniały odciski butów.

Weszłam do ogrodu i zbliżając się do budynku, odpięłam pałkę. Drzwi na ganku otworzyły się, gdy nacisnęłam klamkę. Dałam krok do niedużego ciasnego przedsionka. Na ścianach była złącząca farba, w rogach plamy pleśni. Na kafelkach posadzki rozdeptane zaschnięte błoto. Jedna ściana była zajęta przez kurtki dzieci i buty na dwór. Śmierdziało od nich brudem.

Usłyszałam odgłos biegnięcia, a potem piskliwy śmiech. Drzwi ganku za mną zamknęły się z trzaskiem. Szybko się do nich odwróciłam, ale nikogo tam nie było. Uznałam, że drzwi musiał zamknąć przeciąg. Kolejne w głębi przedsionka prowadziły do wnętrza budynku. Z walącym sercem ostrożnie je otworzyłam i potem zamknęłam za sobą. Znalazłam się w kuchni, ale wchodząc do niej, patrzyłam w górę, na półki, haki z wiszącymi na nich rondlami, sitkami i innymi przyborami kuchennymi, na poplamione drewniane blaty, na drzwi po drugiej stronie prowadzące do dalszych części domu. Nie patrzyłam na podłogę.

Ale krew przyciąga uwagę i coś zmusiło mnie do spojrzenia w dół na rozlewającą się po popękanych i brudnych kafelkach czerwoną kałużę. Kałuża połyskiwała, tak jakby krew, która ją tworzyła, była wciąż ciepła i świeża.

84

Sally

Cassie starała się to ukrywać, ale widziałam, że przestraszyła się tak samo jak ja, kiedy się dowiedziała, że Luna zniknęła. Nawet Grace się zaniepokoiła.

– Zadzwoń do Roya – poradziła. – Jego policja nie zignoruje.

Miała rację. Nic nie liczyło się bardziej niż odnalezienie Luny. Wszystkie trzy zebrałyśmy się przy telefonie. Roy kazał mi czekać kilka minut.

– Pewnie wyszła z kolegami – powiedział. Po jego ściszym głosie domyśliłam się, że jest z innymi ludźmi.

– Ona nie ma kolegów – odparłam. – Już nie. A do tych, z którymi kiedyś się przyjaźniła, już dzwoniłam. Nikt jej nie widział. I żaden z nich nie zaproponował, że pomoże jej szukać.

Wciąż jeszcze się gotowałam po rozmowach z rzekomymi przyjaciółmi Luny. Matka Tammy Taylor wręcz odłożyła słuchawkę, kiedy usłyszała, że to ja.

– Cóż, trudno ich winić, moja droga. – Usłyszałam kroki Roya na lakierowanej posadzce salonu pogrzebowego. – Jestem z klientami. Mogę zadzwonić za godzinę?

Moja wolna dłoń zacisnęła się w pięść.

– Przecież po to właśnie wprowadziłeś się do nas z matką, żeby nam pomagać. Jeśli nie możesz, to zaraz spakuję twoje rzeczy i wystawię za próg.

Usłyszałam, że ostro wciągnął powietrze w płuca, i zarazem nawiązałam kontakt wzrokowy z wyglądającą na nieszczęśliwą Grace.

– Zadzwońię do inspektora. – W głosie Roya czuć było lód. – I oczekuję przeprosin, kiedy się okaże, że to całe zamieszanie było o nic.

– Grace, wybacz – rzekłam, kiedy odłożyłam słuchawkę. – Nie to miałam na myśli. Ja się tylko...

– Wiem – rzuciła. – I słusznie. Masz pełne prawo się niepokoić.

– Mamo, ona może być w Czarnym Psie – powiedziała Cassie. – Mogła tam pójść,

żeby porozmawiać z Johnem.

– Dzwoniłam do Beryl. Nie widziała jej.

– Beryl przeważnie nie wie, jaki mamy dzień tygodnia. Pozwól mi tam pójść. John pomoże mi jej szukać.

Nie chciałam, żeby Cassie wychodziła, ale kończyły mi się pomysły. Kiwnęłam głową i Cassie włożyła buty, i wybiegła.

– Co mogę zrobić? – spytała Grace.

– Bądź w domu, w razie gdyby wróciła – poprosiłam. – I miej oko na Marigold.

– Sally. – Grace złapała mnie za obie dłonie. – To nie odeszło wraz z Larrym, wiesz?

To nadal tu jest.

– Co nie odeszło? Co jest?

– Zło. Musisz ją odnaleźć.

85

Florence

Nie mogłam przejść dalej bez wdepnięcia w krew. Usłyszałam wywołujący mdłości chlupot pod butami, złapałam się blatu, żebym się nie pośliznęła, i weszłam do kuchni.

Była duża i cokolwiek się tu wydarzyło, wydarzyło się w trakcie sprzątanego po obiedzie. Na ociekaczu przy zlewie leżał stos brudnych naczyń i sztućców. Jedna z szuflad była wyciągnięta i wywrócona do góry nogami, w krwi na posadzce walały się różnej wielkości noże kuchenne. W garnku na kuchence wrzała woda, sycząc i strzelając dokoła. Nachyliłam się, żeby wyłączyć gaz i usłyszałam cichy jęk, potem wypowiedzianą szeptem błagalną prośbę.

– Pomóż nam.

Kobieta leżąca w rogu była przytomna, ale mętne oczy mówiły, że może już niedługo tak pozostanie. Z rany na jej lewym udzie tryskała krew. Szybko chwyciłam ze zlewu ścierkę i pochyliłam się, żeby przycisnąć ją do nogi kobiety.

– Zaraz sprowadzę pomoc – obiecałam. – Ale co tu się stało?

Ścierka zrobiła się czerwona w ciągu sekund. Wyprostowałam się, żeby poszukać innej; każdy mój krok sprawiał, że krew coraz szerzej rozlewała się po pomieszczeniu.

– Mocno przyciskaj – powiedziałam, podając rannej drugą ścierkę. – Kto to zrobił?

Kobieta mówiła z wielkim trudem.

– Dzieci – wychrypięła. – Niebezpieczeństwo.

Krew nadal wylewała się z rany. Ściągnęłam pasek.

– Muszę ci założyć opaskę uciskową – uprzedziłam. – Tracisz zbyt wiele krwi.

– Dzieci – powtórzyła.

– Poszukam ich. – Nie miałam wyboru, musiałam uklęknąć we krwi. Skóra kobiety była w dotyku o wiele za zimna. Obwiązałam udo paskiem i mocno zacisnęłam, wypływ krwi z rany zwolnił.

– Tak lepiej. Powinno być dobrze, tylko się nie ruszaj. Wezwę karetkę.

Kobieta teraz już dyszała i cała się trzęsła.

– Dzieci – wychrypiała znowu.

– Wiem. Znajdę je. Nie ruszaj się.

Podniosłam swoją pałkę, teraz śliską od krwi rannej kobiety. Podeszłam do drzwi i otworzyłam je. Za nimi był główny hol. W bladym świetle płynącym od zakratowanych okien zobaczyłam małe czerwone odciski butów, coraz mniej wyraźne, im bliżej były schodów. Ruszyłam za nimi i nagle stanęłam jak wryta.

Tam, gdzie podczas mojej ostatniej wizyty wisiał żyrandol, kołysała się ludzka postać. Zrobiona z jutowych worków, miała tułów, ręce, nogi i głowę. I nawet namalowaną na niej twarz. Po zwartym kształcie kukły i małych kopczykach pod nią na drewnianej podłodze zorientowałam się, że była wypchana piaskiem.

Podeszłam bliżej, wystraszona, ale zafascynowana, i zobaczyłam, że kukła jest cała podziurawiona. Coś poprzecinało worek w wielu miejscach, rozdarcia miały niewiele ponad centymetr. To były ślady po nacięciach nożem. Byłam tego pewna, bo kilka leżało na podłodze i dlatego, że jeden tkwił w kukle dokładnie w miejscu, gdzie byłoby serce.

Coś poruszyło się za mną. Odwróciłam się szybko i kiedy spojrzałam w górę, ujrzałam kilka małych twarzyczek patrzących na mnie z półpiętra nad moją głową.

– Jestem z policji! – zawołałam, zaszokowana tym, jak niepewnie zabrzmiał mój głos. – Teraz już nic wam nie grozi. Możecie zejść na dół.

Dzieci poderwały się i uciekły, znikając mi z widoku.

Potem znów usłyszałam krzyk, płynący gdzieś z parteru, i przez chwilę stałam jak sparaliżowana, nie wiedząc, co mam robić.

Na granicy paniki zwróciłam się w stronę biura Judith Aster. Gdzieś w budynku trzasnęły jakieś drzwi.

Bałam się, że w biurze znajdę Judith Aster, leżącą martwą na biurku w kałuży krwi, ale nie było tam nikogo. Natychmiast zadzwoniłam na posterunek.

– Cholera jasna – warknął dyżurny, kiedy opisałam sytuację. – Jak ty to robisz, kochanie? Dobra, wróć do tej rannej kobiety i zostań z nią do naszego przyjazdu. Jeśli to możliwe, zabarykaduj się w kuchni. Randy jest pięć minut od ciebie. Słyszysz mnie?

– Sierzancie, te dzieci...

– To rozkaz, Flossie.

– Tak jest, sierzancie. – Odłożyłam słuchawkę.

A potem stojąc tam, roztrzęsiona, pomyślałam o matce, jak robiłam zawsze, gdy się bałam lub gdy byłam nieszczęśliwa. Kiedyś, kiedy byłam jeszcze bardzo mała, matka i

ja patrzyliśmy przez pola na wieś Bletchley położoną niedaleko miejsca, w którym mieszkaliśmy. Matka powiedziała mi wtedy, że pewnego dnia, ktoś będzie mógł chcieć, żebym mu pomogła. Będzie mnie wzywał i kiedy tak się stanie, nie wolno mi się ukryć, nie wolno mi udać, że nie słyszę.

Gdzieś w tym budynku, właśnie w tej chwili, ktoś mnie przyzywał. Wiedziałam, że nie będę potrafiła ze sobą żyć, jeśli stchórzę i ukryję się za zamkniętymi drzwiami kuchni, nie pomagając tym dzieciom.

Mówiąc sobie, że to zgodne z procedurą, że najpierw sprawdza się parter, choć wiedziałam, że tak naprawdę nie chciałam iść na górę, bo bałam się wpaść tam w pułapkę, przeszłam przez korytarz i pchnęłam drzwi.

Znalazłam kolejne dzieci. Było ich co najmniej ośmioro, siedziały w małych drewnianych ławkach przed pustym stołem nauczycielskim.

– Jesteście bezpieczne – powiedziałam. – Jestem policjantką. Wszyscy są już bezpieczni.

Ani jedno nie spojrzało w moją stronę. Większość gapiła się na pustą tablicę przed nimi. Jedno trzymało głowę na ławce. Sięgnęłam do tyłu i zabębniłam w drzwi, żeby przyciągnąć ich uwagę. Żadne nawet nie mrugnęło.

– Gdzie jest wasz nauczyciel? – spytałam. – Kto może mi powiedzieć, co tu się stało?

Nic. Podeszłam do najbliższego dziecka, dziewczynki około dziesięcioletniej. Jej oczy nie poruszyły się. Nie dała żadnego znaku, że mnie widzi. Dotknęłam jej ramienia i jej głowa opadła na ławkę.

Nie żyła? Dotknęłam szyi – ciepła – i nadgarstka. Wyczułam puls, ale ręka, którą podniosłam, była wiotka i opadła bezwolnie, gdy ją puściłam.

– Halo! – Przechodziłam od jednego dziecka do następnego, dotykając ich ramion, czół, próbując zrobić coś, żeby uświadomiły sobie moją obecność. Były jak małe zombie. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie widziałam czegoś tak przerażającego.

Poddając się – przynajmniej wszystkie żyły – miałam właśnie wyjść na korytarz, kiedy za sobą usłyszałam szuranie. Szybko się odwróciłam. Dzieci nie poruszyły się. A jednak na pewno coś usłyszałam. Czekałam.

Było ich tylko siedmioro. Chwilę temu doliczyłam się ośmiorga.

– Kto wyszedł?

Żadnej reakcji.

Całkowicie wytrącona z równowagi, wyszłam z klasy, pobiegłam do drzwi frontowych i by mieć pewność, że da się je otworzyć, odsunęłam rygle. Z góry przypląnął odgłos biegnących kroków.

Podeszłam do schodów i zaczęłam się na nie wspinać, z każdym pokonywanym stopniem, myśląc o kolegach, którzy pewnie już by na te schody wbiegali, a nie się po nich skradali, wykrzykiwaliby polecenia, dodając otuchy ofiarom, a nie modliliby się o nadejście pomocy. Sprawdziłam skórzany pasek przy pałce, wzmocniłam uścisk na jej rzeźbionej rękojeści, zważyłam ją w dłoni, by poczuć jej dodający odwagi ciężar.

Na szczycie schodów, na szerokim słabo oświetlonym podeście nie miałam jak się zorientować, w którą stronę powinnam pójść. Od frontu budynku były pokoje Asterów. Drzwi prowadzące do apartamentu otwierały się na salon, wygodnie umeblowany, z regałami na książki na całą ścianę. W salonie nie było nikogo, podobnie jak w sypialni i w łazience. Wróciłam na podest i zajrzałam do pierwszych trzech pokoiów dla matek z dzieckiem. Też były puste. Czwarty i ostatni również, ale gdy do niego weszłam, coś kazało mi się zatrzymać.

Z początku sądziłam, że patrzę na staromodny sedes. Siedzisko, z dużym kołem wyciętym w siedzeniu. Ale to nie był sedes; nigdzie pod nim nie było miejsca na nocnik czy inne naczynie. Zresztą po co przy sedesie pasy? Do oparcia na ręce i podpórek pod stopy były przymocowane skórzane pasy z klamrami. To był fotel do rodzenia. Z pasami do unieruchamiania.

W pokoju unosił się zapach świeżej farby, ściany były białe i czyste. Musiał być niedawno odmalowywany. Trudniej było jednak poradzić sobie z plamami na podłodze. W tym pokoju lała się krew. Zmyto ją, ale plamy zostały. Trudno było uniknąć wniosku, że ktoś tutaj zginął.

Do przeszukania zostały mi już teraz tylko dwa skrzydła.

Ruszyłam ku lewemu i otworzyłam pierwsze drzwi, na jakie się natknęłam. Była to wieloosobowa sypialnia, po ubraniach wiszących na haczykach na ścianie wywnioskowałam, że spali tu chłopcy. Pokój był wąski, długi, z niskim sufitem, mieszczący dwanaście łóżek. Wszystkie oprócz jednego były puste. Na ostatnim ktoś leżał, dostrzegłam kępkę rudych włosów. Podbiegłam tam szybko.

– Robbie? – Nie poruszył się, kiedy dotknęłam jego głowy. Na poduszce były wymiociny.

– Robbie? – Przekreśliłam go na plecy. Jego mała twarz miała trupi odcień szarej bieli. Usta miał popękane, język nabrzmiął, czymś oblepiony. Jego oczy na chwilę się otworzyły, były nieprzytomne. Zaraz potem znów się zamknęły. Opatulając go kocem, wzięłam malca na ręce. I usłyszałam, że gdzieś ktoś się poruszył.

– Nic ci nie grozi! – zawołałam. – Jestem policjantką. Możesz wyjść.

Nic. Z Robbiem na rękach ruszyłam przed siebie, świadoma, że do drzwi jest bardzo

daleko.

Chichot.

– Zabieram Robbie’ego na dół. Ale wrócę tu. Już wam nic nie grozi.

Żadnej odpowiedzi. Dotarłam do drzwi, wyszłam na korytarz, wróciłam na podest i zesłam na dół.

Ktoś zamknął drzwi frontowe. Nie przeciąg. Przeciąg nie mógłby zasunąć dwóch rygli, jednego na górze i jednego na dole. Ktoś mnie zamknął w środku.

Kukła z juty kołysała się, jakby dopiero co popchnięta.

Usłyszałam kroki, szybkie i lekkie, biegnące ku mnie. Odwróciłam się o sekundę za późno. Lewą nogę, po drugiej stronie kolana, rozdarł mi ból. Gdyby nie koc Robbie’ego, pewnie bym upadła, ale nóż zaplątał się w koc i nie trafił tam, gdzie miał trafić. Odzyskałam równowagę, sapnęłam z bólu i wybałuszyłam oczy, nie wierząc w to, co widzę.

Napastnikiem, który mnie zaatakował, było dziecko.

86

Sally

Wyczerpywały mi się opcje. Objechałam domy byłych przyjaciół Luny. Zadzwoiłam do naszego i dowiedziałam się, że nikt się nie kontaktował, nawet Cassie. Nie pozostawało mi nic innego, tylko znowu zwrócić się do Roya.

Kiedy w drodze do zakładu pogrzebowego mijałam bibliotekę, uświadomiłam sobie, że kobiety z sabatu mogą być jedynymi osobami w mieście, które naprawdę będą chciały mi pomóc. Zła, że o tym nie pomyślałam, zaparkowałam i pospieszyłam do środka. Daphne siedziała w recepcji. Odłożyła słuchawkę, kiedy mnie zobaczyła.

– Sally, kochanie, Luna jest tutaj – powiedziała. – Właśnie sobie pomyślałam, że możesz się denerwować.

Przez sekundę nie byłam w stanie się odezwać. Energia, którą zbierałam przez prawie godzinę, zdawała się ze mnie uchodzić wszystkimi porami.

– Nic jej nie jest – kontynuowała Daphne. – Znalazłam ją w dziale księgozbiorów podręcznych kilka minut temu.

Oparłam się na blacie recepcji, zalana falą ulgi. Mogłam mierzyć się ze wszystkim, dopóki moje córki były bezpieczne. Zerknęłam w stronę działu księgozbiorów. Przez szybkę w drzwiach faktycznie dojrzałam rude włosy Luny.

– Wybacz – ciągnęła Daphne. – Powinnam była zadzwonić od razu.

– Nie, nie, jestem przewrażliwiona. Po prostu...

– Wiem. – Daphne ciężko westchnęła. – Ale wiesz co, Sally? Zastanawiałam się, czy nie mogłabym zatrzymać jej trochę dłużej.

– Zatrzymać?

– Wydaje się trochę przybita. – Daphne nachyliła się do mnie nad blatem. – Trudno się zresztą dziwić po tym, co przeszła, ale pomyślałam sobie... Nie chciałabym cię urazić, kochanie, ale czasami najbliższa rodzina musi zrobić sobie przerwę od siebie.

Znałam swoją córkę. Wiedziałam, że zaniesie się histerycznym płaczem i będzie się

zarzekała, że nie zniesie powrotu do domu.

– Poczęstowałabym ją kolacją u nas – mówiła Daphne. – Trochę się nad nią porozczulam, a spać może w dawnym pokoju Florence.

Florence mieszkała u Avril i Daphne niecały tydzień.

– Czy pozwalam sobie na zbyt wiele, kochanie? Avril rano ją odprowadzi.

– To bardzo miłe z twojej strony – powiedziałam. – Dobrze jej zrobi noc poza domem. Dziękuję.

Mnie też dobrze zrobi świadomość, że jedna z nas miała szansę uciec, choćby na chwilę, z więzienia, w które zamienił się nasz dom.

Florence

Chłopiec, nie więcej niż siedmioletni, o jasnych włoskach obciętych krótko przy głowie, stał w holu na tyle daleko ode mnie, że nie mogłabym do niego dosięgnąć. W prawej ręce trzymał nóż kuchenny. Za sobą usłyszałam chichot, zaryzykowałam i szybko się obejrzałam. Pojawiła się dwójka kolejnych dzieci, oboje z nożami. Zrozumiałam, że nie będę miała szans się obronić. Nie z nieprzytomnym Robbiem na rękach.

„Dzieci”, powiedziała krwawiąca kobieta w kuchni. Myślałam, że się o nie boi. A ona próbowała mi powiedzieć, że to dzieci ją zaatakowały.

Ledwie zdążyłam uświadomić sobie nieprawdopodobny horror sytuacji, gdy pojawiło się ich jeszcze więcej. W moją stronę zbliżało się pięcioro, potem siedmioro. Otepienie, w jakim były wcześniej, jeśli było prawdziwe, a nie udawane, minęło i teraz były w pełni przytomne i czujne. Ale nawet mimo tego w ich oczach czegoś brakowało.

Nagle z drogi na zewnątrz przyplłynęło wycie syreny. Nareszcie.

– Przyjechała policja. Odłóżcie noże i idźcie usiąść w klasie. Natychmiast!

Jedno czy dwoje wyglądało, jakby się zawahało, a nawet przestraszyło, ale chłopiec, który mnie zaatakował, znów się na mnie rzucił. Musiałam odskoczyć w bok, prawie zaplątując się nogami w koc Robbie’ego.

Walenie do drzwi sprawiło, że niektóre z dzieci podskoczyły, ale nie jasnowłosego chłopca. Ani na chwilę nie spuszczał ze mnie oczu; miałam przeczucie, że gdybym odwróciła wzrok choćby na sekundę, znowu zaliczyłabym nożem w którąś część ciała.

– Florence! – zawołał Randy, znowu okładając drzwi pięściami.

– Jestem tutaj! – odkrzyknęłam. – Obejdź dom i wejdź tyłem. Tak szybko, jak tylko możesz, i uważaj na siebie.

– Florence, wpuść mnie!

– Odmowa. Funkcjonariusz w niebezpieczeństwie. Wymagany pośpiech.

Usłyszałam, że Randy odbiega od drzwi. Dotarcie do mnie zajmie mu trzy, może cztery minuty. Z oddali przyplęnęło wycie kolejnych syren.

– Słyszycie to? – spytałam, kręcąc głową na boki; chciałam mieć pewność, że nikt na mnie nie skoczy. – Następni policjanci. Zaaresztują was i wsadzą do więzienia. Jeśli myślicie, że tu jest źle, to zaczekajcie, aż zobaczycie, jak jest w więzieniu. To wasza ostatnia szansa. Odłóżcie noże i usiądźcie na podłodze. – Zamilkłam, pomyślałam i dodałam: – Z rękami na głowach. – Nic. – Natychmiast! – wrzasnęłam.

W tym momencie z hukiem otworzyły się drzwi od kuchni i w wejściu pojawił się Randy. Jego bladość powiedziała mi, że widział ranną kobietę. Chwilę odczekał, potem dał krok do holu i dmuchnął w gwizdek.

– Wszyscy, odłożyć broń i na ziemię.

Napotkał moje spojrzenie. To było niedorzeczne. A jednak widziałam, że jest tak samo przerażony jak ja.

Jasnowłosy chłopiec upuścił swój nóż i uciekł. Po sekundzie reszta pobiegła za nim.

Sally

Sądziłam, że Roy będzie zadowolony, że Luny nie ma – najslabiej potrafiła ukryć, że go nie lubi – ale on popatrzył na puste krzesło z oburzeniem.

– Zaskakujesz mnie, Sally – rzekł, kiedy wyjaśniłam sytuację. – Naprawdę uważasz, że te dwie to dobry wzór dla młodych panien?

– Lesbijstwem się nie zaraża – wtrąciła się Cassie, ale szybko zamilkła, gdy zobaczyła spojrzenie, jakie Roy jej posłał.

Roy znów zwrócił się do mnie:

– Nie wiesz, bo i skąd, jak na taki młody umysł może wpłynąć obcowanie z taką bohemą. Powinnaś po nią pojechać i ją stamtąd zabrać.

– Luna zostaje tam na noc. – Kątem oka widziałam, że Cassie, Grace i nawet Marigold patrzą na nas nerwowo.

– Przyszło ci na myśl, żeby skonsultować to ze mną? – zapytał Roy.

– Nie – odparłam krótko.

Oczy zabłyśły mu gniewem, zacisnął usta.

– Przez tę domagającą się uwagi wszystkich małą zdzirę nie poszedłem na spotkanie, a policja straciła cenny czas. Niemówiąc o tym, jak wystraszyła ciebie i matkę. Nie zostanie za to nagrodzona niezdrową uwagą tych dwóch lesb.

– Jeszcze raz nazwiesz moją siostrę zdzirą, to pożalujesz – warknęła Cassie, wstając.

Roy odwrócił się szybko w jej stronę. Cassie nie przełękła się. Roy wziął głęboki wdech, potem drugi, widziałam, że dłonie zacisnął w pięści.

– Dzwon do nich. Powiedz, że już tam jadę – rzucił do mnie.

– Roy, Luna zostanie tam...

Odepchnął mnie z drogi i ruszył do drzwi kuchni, ale nie trafił i wpadł na wbudowaną w ścianę szafkę obok. Marigold nerwowo zachichotała, Grace poderwała się na nogi.

– Usiądź, Roy – poradziła. – Nie wyglądasz najlepiej.

Ja też tak uważałam. Oczy miał dziwnie zmętniałe. Wysunęłam krzesło i razem z Grace doprowadziłyśmy go do niego.

– Chyba masz gorączkę – stwierdziła Grace. – Sally, masz w domu termometr?

Poszłam po niego. Roy miał trzydzieści osiem stopni.

– Nie jest groźna – oznajmiłam. – Ale prawdopodobnie coś złapałeś. Najlepiej, jakbyś poszedł prosto do łóżka. Mogę ci przynieść zupy, jak chcesz.

– Nie jestem głodny. – Wstał z krzesła i się zachwiał. Na świecie nie było nikogo, kogo nie lubiłabym bardziej, ale byłam pielęgniarką. Podsunęłam mu ramię i zaprowadziłam na górę. Przy drzwiach swojego pokoju oznajmił, że dalej poradzi sobie sam. Odetchnęłam z ulgą.

Florence

Minęło kilka godzin, zanim mogliśmy opuścić Black Moss Manor, i większość tego czasu spędziliśmy na kłóceniu się. Przyjechali ludzie z opieki społecznej i próbowali nas wyrzucić. Mówili, że oni zajmą się dziećmi: nasza obecność tylko je stresuje. Woodsmoke, dowodzący akcją, nie chciał o tym słyszeć. Miał do czynienia z dwiema ranami kłutymi i zrobił z tego sprawę policyjną.

Jedyny znajdujący się na terenie posesji członek personelu, kobieta, którą zakrwawioną znalazłam w kuchni, została odwieziona do szpitala. Druga karetka przyjechała po Robbie'ego.

Przyjechało więcej funkcjonariuszy i zaczęli przeszukiwać budynek. Jeden stwierdził, że poszukiwania przypominają upiorną zabawę w chowanego. Dzieci nie chciały być znalezione i znały budynek o wiele lepiej od nas. Kilku moich kolegów odniosło niegroźne obrażenia od pocisków rzuconych w nich przez niewidzialnych napastników.

Kiedy już mogłam, wymknęłam się i opatrzyłam własne rany, korzystając z zawartości apteczki w radiowozie. Wiedziałam, że Woodsmoke, gdyby mógł, mnie też najchętniej odesłałby do szpitala.

Znalezienie wszystkich dzieci zajęło godzinę, ludzie z opieki przez cały czas ignorowali wszelkie polecenia wydawane przez sierżanta. Przed upływem drugiej godziny byłam przekonana, że za chwilę zacznę ich aresztować. Kiedy zwolnił się ambulans, dzieci zostały przewiezione do pobliskiego szpitala na obserwację i leczenie. Do zachodu słońca budynek był pusty, nie licząc roznoszącego się w nim echa i złych wspomnień. Szczerze mówiąc, wcale nie czułam, żeby wiele się tam zmieniło.

– Miałaś rację? To był kordiał Godfrey'a?

Odwróciłam się i w wejściu zobaczyłam Toma. Cały dzień zajmował się inną sprawą i spotykaliśmy się teraz po raz pierwszy.

– Albo to, albo coś podobnego – odparłam. – Znaleźliśmy w kuchni różne dziwne

mikstury. Wszystkie zostały zabrane do analizy.

Byliśmy daleko od poznania wszystkich faktów, ale trudno było uniknąć wniosku, że te dzieci, żeby dało się je kontrolować, były czymś regularnie odurzane i że objawy odstawienia, przypuszczalnie z powodu wyczerpania się zapasów, doprowadziły do agresywnego, nieracjonalnego zachowania, którego byliśmy dzisiaj świadkami.

Tom wszedł do pomieszczenia, w którym stałam, rozejrzał się i zagwizdał.

– Tak, robi wrażenie – zgodziłam się.

Byliśmy w piwnicach, w miejscu, które jak mogłam się spodziewać, będzie mroczne i obskurne, najbardziej upiorne w tym tak mało przyjemnym budynku, ale w rzeczywistości było tu czystiej i nowocześniejsze niż w jakimkolwiek widzianym przeze mnie oddziale szpitalnym. Nie było tu okien, ale światło było mocne. Podłogę i ściany pokrywały białe kafelki, pod ścianami ciągnęły się błyszczące blaty. W innych mniejszych pokojach, do których wchodziło się z tego, w którym staliśmy, znajdowały się sprzęt medyczny i zapasy różnorodnych środków.

– Ty i Sally zdołałyście odebrać poród w zwykłej celi – mruknął Tom. – Do czego oni potrzebowali tego wszystkiego?

– To jeszcze nic – rzuciłam. – Chodź dalej.

Zaprowadziłam go do następnego pomieszczenia, dużej szkolnej sali gimnastycznej, z posadzką na wysoki połysk i z mnóstwem przyrządów do wspinania się, huśtania i skakania.

– A to co, do diabła? – wykrztusił Tom, kiedy nagle dotarł do nas wysoki piskliwy skrzek.

– Małpa. Łatwo się ekscytuje.

Tom przeszedł przez kolejne drzwi do ostatniego już pomieszczenia w piwnicy. Po obu jego stronach stały klatki umieszczone jedna na drugiej. Ze środkowej pokrzykiwała na nas chuda małpka.

– Pięć królików, trzy świnki morskie, dwa chomiki i biała mysz – wyrecytowałam. – Jest ich tyle, że trudno było policzyć. Są też jeszcze myszokoczki, ale siedzą w norze. I chyba czarny szczur, ale nie jestem pewna.

– Wielbiciele zwierzątek domowych – mruknął Tom, marszcząc nos.

– Te zwierzątka wyglądają ci na hodowane przez wielbicieli? – Znalazłam też szóstego królika, leżał w klatce martwy. – Chodź, zobacz to. – Podprowadziłam Toma do dużej wysokiej zamrażarki i otworzyłam ją. Na półkach leżało kilka martwych zwierząt.

– Chryste, zamierzali je jeść czy co? – sapnął Tom.

Zamknęłam zamrażarkę, a Tom zapytał:

– Dzwoniłaś do Towarzystwa Ochrony Zwierząt?

– Dzisiaj wszystkich nie dadzą rady zabrać. Poprosili, żebyśmy dopilnowali, żeby miały jedzenie i wodę. Zabiorą je jutro.

Ruszyliśmy z powrotem. Żadne z nas nie chciało zostać w sali ze zwierzętami.

– Asterów znaleźliśmy w mieście – powiedział Tom, kiedy przechodziliśmy przez salę gimnastyczną. – Pojechali odwiedzić Sandrę Cartwright, która też tu pracuje, więc za jednym razem zgarnęliśmy całą trójkę. Są na posterunku. A ta okaleczona kobieta w szpitalu, ale pod nadzorem. Na wolności został już tylko jeden pracownik.

Usłyszeliśmy kroki i potem w drzwiach pojawił się Randy.

– Zabieram cię do szpitala – oświadczył. – Rozkaz Woodsmoke’a.

– Mieszkam z trzydziestoma pielęgniarkami – przypomniałam. – Niepotrzebny mi szpital.

Randy nie był przekonany, patrzył ode mnie do Toma i z powrotem.

– Przestałam krwawić wiele godzin temu – dodałam. – Jeśli któraś z pielęgniarek z hostelu uzna, że powinnam, zgłoszę się do szpitala jutro z samego rana.

– Woodsmoke powiedział, że możesz tak powiedzieć. I że w takim przypadku mam cię zawieźć do domu i upewnić się, że tam zostaniesz.

– Ja odwiozę Florence – wtrącił się Tom.

– Mam tu swój samochód – rzuciłam. – Pojadę sama.

– To mi o czymś przypomniało, Tom, Woodsmoke cię wzywa – poinformował Randy. – Chyba chce, żebyś to ty przeszukał pokoje Asterów.

Przez chwilę wydawało mi się, że Tom odmówi, ale nie zrobił tego. Wzruszył ramionami i ruszył do drzwi.

– Zobaczmy się później, Floss! – zawołał, zanim zniknął.

– Przecież sierżant już te pokoje przeszukiwał – powiedziałam, kiedy kroki odchodzącego Toma ucichły.

Randy skinął głową.

– Wiem, ale muszę ci coś powiedzieć. Dzisiaj z samego rana byłem u Sandry Cartwright. Przed pracą.

– U kobiety, którą właśnie zatrzymaliśmy? Tej, którą odwiedzali Asterowie?

– Chodziła z moją mamą do szkoły. Powiedziała mi wiele ciekawych rzeczy. Florence, my nie wiemy połowy z tego, co tu się działo.

– Randy! – Usłyszeliśmy Woodsmoke’a na sekundę, zanim stanął w drzwiach.

– Pogadamy później – szepnął mi Randy do ucha. – O dziesiątej. Wyjdź na parking

przed hostelem.

90

Sally

Kiedy posprzątałyśmy po kolacji, Cassie poszła do swojego pokoju, a reszta z nas oglądać telewizję. Nastawiłam fonie głośno, żeby Grace słyszała, potem ona, Marigold i ja obejrzałyśmy *Coronation Street*, *Avengersów* i następnie wiadomości. Myślę, że wpadłyśmy w swoiste telewizyjne otępienie, kiedy nagle z góry dotarły do nas jakieś wrzaski. Rozpoznałam głos Roya i Cassie. I jakiś trzeci.

A przecież w domu nie powinno być nikogo więcej.

– Brudna mała dziwka! – darł się Roy, kiedy dotarłam do schodów.

– Puszczaj go, ty maniak! – wrzeszczała Cassie.

Zanim zdążyłam wspiąć się do połowy schodów, rozpoczęła się jakaś przepychanka, a potem ktoś został zrzucony z podestu przez poręcz. Usłyszałam krzyk Cassie, akurat gdy postać lecąca na mnie wystawiła rękę i złapała się poręczy. Leżała na stopniach, dysząc. To był John Donnelly, w jednym bucie, z rozpiętą koszulą, z nosa lała mu się krew.

Cassie znów krzyknęła, a na szczycie schodów pojawił się Roy. Był w szlafroku, który się rozchylił. Twarz miał trupioblada, widziałam krople potu na jego klatce piersiowej. Kiedy John zaczął się gramolić na nogi, Roy rzucił się ku niemu po schodach.

– On mnie uderzył. Mamo, on mnie uderzył. – Nad balustradą pojawiła się blada twarz Cassie. Ona też była w szlafroku.

John zdążył wstać na sekundę, zanim Roy do niego doskoczył. Obaj wpadli na mnie i musiałam mocno chwycić się poręczy, żebyśmy wszyscy nie spadli na dół.

– Przestańcie, obydwaj.

Zignorowali mnie i dalej się szamotali. John był młodszy i sprawniejszy, ale Roy miał po swojej stronie masę ciała i grawitację. Jeden z nich – nie byłam pewna który – niechcący uderzył mnie w brodę i o mało co się nie przewróciłam. Przełknęłam ból i

otworzyłam usta.

– Grace, dzwoń na policję!

Ponad poręczą widziałam, że Grace stoi w drzwiach do salonu, blada i zszokowana. Nie poruszyła się. Marigold za nią trzęsła się, ściskając w rękach Henry’ego. Do tego czasu Roy zdążył już chwycić Johna za gardło i teraz go dusił. Podciągnęłam się i złapałam go za rękę. Cassie zbiegła, żeby mi pomóc, i obie jakoś zdołałyśmy ich rozdzielić.

– Wyjdź – syknęłam do Johna.

Nie ruszył się z miejsca.

– Nic nam nie grozi – zapewniłam, czując na sobie ciężar napierającego na mnie Roya. Wiedziałam, że za chwilę znowu rzuci się na chłopaka. – Idź.

John ostatnie stopnie pokonał, schodząc tyłem, chyba chciał powiedzieć coś do Cassie, ale w końcu odwrócił się i wybiegł – na bosaka, nie w pełni ubrany – przez drzwi frontowe. Roy odwrócił się do Cassie.

– Nawet się nie waż – rzuciłam, blokując mu drogę.

Cassie uciekła do swojego pokoju. Usłyszałam, że zasunęła zasuwę i odetchnęłam z ulgą, mimo że Roy odepchnął mnie i pobiegł na górę. W pierwszym momencie chciałam pobiec za nim, ale zmieniłam zdanie i zbiegłam na dół.

Na górze Roy walił w drzwi pokoju Cassie.

– Otwieraj, ty mała kurewko! – wrzeszczał.

Podniosłam słuchawkę i wykręciłam 999.

– Policja? – spytałam. – Moja córka jest napastowana.

Roy, szybciej niż sądziłam, że potrafi, zbiegał do mnie po schodach. Patrzyłam mu w oczy, kiedy podawałam adres i prosiłam o natychmiastową interwencję. Roy dotarł do podstawy schodów.

– Rozłącz się – rozkazał groźnie.

Wyciągnęłam rękę z rozpostartą dłonią, żeby go od siebie odgrodzić. Zatrzymał się.

– Musicie przyjechać już teraz – powiedziałam do telefonu. – Moi bliscy i ja jesteśmy w niebezpieczeństwie. – Odłożyłam słuchawkę, dopiero kiedy operator zapewnił, że wkrótce ktoś u nas będzie.

– Jeszcze dzisiaj się wyprowadzisz – powiedziałam do Roya. – Twoja matka może zostać tak długo, jak długo będzie uważała za stosowne. Tobie nie wolno tu nigdy więcej przyjść.

Dał ku mnie krok.

– Wzywam moce nocy, by przeklęły tego człowiek! – wykrzyknęłam, podnosząc

obie ręce nad głowę. – Wzywam moc księżycy w nowiu, by go powaliła! – Naturalnie blefowałam. Żadna wiedźma nie wzywa mocy w ten sposób, ale sporą częścią uprawiania czarnej magii jest umiejętność przekonania ludzi, żeby w nią wierzyli. I czasami, by przeraziła ich na śmierć.

– Co ty wyprawiasz, do diabła? – Roy już nie szedł w moją stronę, nie był już tak pewny siebie jak jeszcze przed chwilą. Szybciej też oddychał. Zaczęłam mamrotać pod nosem i całą nienawiść, jaką do niego czułam, postarałam się zawrzeć w spojrzeniu.

– Przestań! – zawołał.

– Nie dotykaj jej! – Na szczycie schodów stanęła Cassie, już ubrana.

Roy odwrócił się w jej stronę.

– Mała brudna szmata – warknął, a potem zatoczył się w tył i oparł o ścianę.

– Roy, jesteś chory. – Grace wreszcie się ocknęła i ruszyła ze swojego posterunku przy drzwiach salonu. – To nie ty teraz mówisz. Wróć na górę, a ja przyniosę ci coś do picia.

Cassie w tym czasie zaczęła po cichu schodzić na dół. Pokręciłam głowę, próbowałam jej powiedzieć, żeby trzymała się z daleka, ale ona schodziła dalej. Dotarła do podnóża w sekundę przed tym, zanim dotarł tam Greenwood.

– Ona spólkowała z tym synem karczmarza. – Roy próbował wyrwać się matce, żeby dosięgnąć Cassie.

– Ostrzegam cię, Roy, lepiej przestań – warknęłam. – Grace, zabierz go do salonu. Dzwonię po taksówkę.

Grace zrobiła błagalną minę.

– On się nie czuje dobrze.

– Jest agresywny i niezrównoważony. Nie chcę go tu widzieć.

– Jaka matka, taka córka. Dziwki, wszystkie jesteście dziwkami. – Greenwood odepchnął matkę i się wyprostował. Jego dłonie powędrowały do troczków przytrzymujących spodnie od piżamy. – Tego chcecie, tak, wy pieprzone dziwki?

Cassie, przerażona, krzyknęła i pobiegła do drzwi wyjściowych. Otworzyła je szarpnięciem i uciekła w ciemność na zewnątrz.

91

Florence

Randy się spóźniał. Dziesiąta przyszła i minęła. Czekałam na parkingu piętnaście minut, potem w portierni zapytałam, czy nikt nie zostawił wiadomości. Nie, nikt nie zostawił.

Postałam na parkingu jeszcze dziesięć minut, nawet pomyślałam, że pojedę na rowerze do miasta, ale jeśli Randy'ego nie będzie na posterunku, to co wtedy? Wyglądało na to, że wszyscy wokół mnie kłamali, kręcili, coś ukrywali.

Portier wyszedł przed budynek na wieczornego papierosa.

– Czekasz na chłopaka? – spytał.

– Na kolegę – odparłam. – Ale chyba zapomniał, że się umówił.

– Pewnie jest zajęty – mruknął portier. – Godzinę temu wyło pełno syren. Coś się chyba stało na Burnley Road, o ile wiem.

W żołądku poczułam ucisk nieokreślonego niepokoju.

– O, jest – rzucił portier. – Jego żona wie, że was dwoje coś łączy?

Auto, które wjechało na parking, to nie był radiowóz, tylko złoty fort cortina, a kierowcą nie był Randy, tylko Tom. Ucisk w żołądku wzmógł się. Tom wyłączył silnik i wysiadł. Portier przeszedł na bok. Ruszyłam do Toma. Już wiedziałam, co zaciskało mi żołądek. To było uczucie przerażenia.

– Co się stało? – Taki wyraz na twarzy Toma ostatni raz widziałam w wieczór, kiedy zatrzymaliśmy Larry'ego Glassbrooka.

Otworzył drzwi od strony pasażera.

– Wsiadaj – rzucił, ale łagodnie. Głos mu lekko drżał.

– Nie mogę nigdzie jechać. Czekam na Randy'ego.

Tom nic nie odpowiedział. Wsiadłam. Obszedł auto i usiadł za kierownicą, ale nie uruchomił silnika.

– Sharples mnie przysłał – rzucił. – Jest źle, Floss.

A ja myślałam: *przynajmniej to nie ty. Tobie nic nie jest, więc nie może być aż tak źle?*

Przeciągnął wierzchem dłoni po oczach.

– Radiowóz Randy’ego miał wypadek na Burnley Road. Sprawca, który uderzył w radiowóz, uciekł. Wylądował potem w rowie.

– A co z Randym? Wszystko dobrze? Nic mu nie jest? – spytałam, chociaż wiedziałam, że niemożliwe, żeby tak było. Tom nie przyjechał przekazać mi dobrych wieści.

– Zabrali go do Burnley General. Przykro mi, Floss. Wiem, że się przyjaźniliście. Dowieźli go martwego.

92

Sally

Wybiegłam za Cassie, ale zanim zdążyłam obejść auto Roya, zniknęła. Domyślałam się, że mogła pójść tylko w jedno miejsce, do Czarnego Psa. Dotarcie do centrum zajęło mi tylko kilka minut i faktycznie, kiedy zatrzymywałam się na pustym parkingu, zobaczyłam, że Cassie wchodzi do pubu wejściem dla obsługi.

Idąc za nią, pokonałam korytarz na tyłach prowadzący do kuchni. Jeszcze zanim do niej dotarłam, usłyszałam głosy. Cassie płakała. Beryl narzekała. John błagał.

– Ona nie może tam wrócić, mamó – ten Greenwood to świr.

– Obiecywałeś mi, że nie będziesz się do niej zbliżał.

– Ja ją kocham.

Otworzyłam drzwi i zobaczyłam, że cała trójka stoi przy okrągłym centralnym blacie zawalonym stosami brudnych naczyń po kolacji. Cassie była zaróżowiona po biegu. John miał na twarzy smugi krwi, ale krew już przestała lecieć. Oboje wyglądali na całych i zdrowych. Beryl otworzyła usta, żeby oprotestować moje pojawienie się, ale poszła po rozum do głowy i nic nie powiedziała.

Najpierw zwróciłam się do jej syna.

– John, wszystko w porządku? Nie zrobił ci nic?

– Przybiegł do domu na bosaka – warknęła Beryl. – Stopy ma pocięte na strzępy.

Stopy Johna były brudne, ale nie widziałam na nich krwi.

– Czy powinnam cię obejrzeć? – spytałam. – Mam w samochodzie swoją walizkę pielęgniarską.

Pokręcił głową.

– Nic mi nie jest. Nie powinienem był was z nim zostawiać.

Uśmiechnęłam się do niego półgębkiem. Tak naprawdę to nic do tego chłopca nie miałam. Lubiłam go.

– No dobrze. Cassie, chodź, idziemy.

Odsunęła się.

– Ja tam nie wrócę.

– Nie musisz. Zawiozę cię do Luny.

– Ona może zostać tutaj – wtrącił się John.

– Nie, nie może – powiedziałyśmy jednocześnie ja i Beryl.

– Dlaczego nie?! – krzyknęła do nas Cassie. – Już ze sobą spaliśmy. To lepsze niż zostać zgwałconą przez tego zwyroła Greenwooda.

– Jestem pewna, że on...

– On jest napalony na nas wszystkie, mamó. Na ciebie, na mnie, na Lunę. Na Marigold pewnie też, aż taki jest chory. Zostaję z Johnem. Nie możesz mi zabronić.

– Ale ja mogę – odezwała się Beryl.

John przysunął się do Cassie i ją objął. Wtuliła się w niego. Wyglądają, jakby jej ciało zostało wyrzeźbione tak, by idealnie pasowało do jego ciała, pomyślałam. *Oni są stworzeni dla siebie. Pora jest nie ta, ale tych dwoje to para. Jest im pisane być ze sobą.*

– Mamó, my nie żartujemy – oznajmił John. – Pobieramy się. Za kilka miesięcy będę w wystarczającym wieku. Nie będziesz mogła nam zabronić.

– Żadne z was nie może wziąć ślubu bez zgody rodziców. – Staralam się mówić spokojnie i łagodnie. – Dopóki nie skończycie osiemnastu lat. Jeśli za dwa lata nadal będziecie chcieli się pobrać... cóż, nie widzę problemu.

Grałam na zwłokę. W ciągu dwóch lat wiele się mogło zdarzyć.

– Ale ja widzę – znów odezwała się Beryl, tym razem prawie piszcząc. – Nie będziecie się mogli pobrać. Nigdy.

– Dlaczego nigdy? – Wydało mi się, że w oczach Cassie dostrzegłam pierwszy przeblýsk wątpliwości. Popatrzyła na mnie, potem na Johna, jakby on mógł znać odpowiedź.

Beryl zaczęła się za czymś rozglądać – papierosami, drinkiem – i w tym momencie już wiedziałam, co od niej zaraz usłyszymy. Cofałam się, aż trafiłam na ścianę i się o nią oparłam. Moja biedna dziewczynka. Moja biedna, biedna córka.

– Dlaczego nie? – powtórzył pytanie John. – Mamó, dlaczego nie mogę ożenić się z Cassie?

Cokolwiek to było, czego Beryl szukała, nie znalazła tego. Poddąła się.

– Bo jesteście rodzeństwem – oświadczyła. – Siostrą i bratem.

Moment ciszy, który jak dla mnie mógłby trwać wiecznie. Potem...

– Kłamiesz – warknęła Cassie.

John zbladł.

Beryl zaczęła mówić do Cassie:

– Nie kłamie. Spotykałam się z Larrym, zanim zaczął umawiać się z twoją mamą.

Głowa Cassie obróciła się gwałtownie w moją stronę, w oczach miała wściekłość, jakbym to ja była winna. Byłam? Wiedziałam, że Larry spotykał się z Beryl, zanim się zeszliśmy. Czy to moja wina?

– Ale jak to? – rzuciła Cassie. – John jest ode mnie młodszy. Musiałabyś się z nim spotykać także po ślubie mamy i taty? – Jej słowa były wyrazem sprzeciwu, ale po jej minie widziałam, że zaczyna wierzyć.

– Nigdy nie przestałam spotykać się z Larrym. – Beryl, wyznając to, nie była w stanie patrzeć na żadne z nas. – Nie na dłużej niż kilka miesięcy. Kiedy odkryłam, że jestem w ciąży z Johnem, namówiłam Teda, żeby się ze mną ożenił.

Pomyślałam, że chyba zawsze wiedziałam, że zdrada Larry’ego była o wiele poważniejsza, niż byłam gotowa przyznać.

John kręcił głową, mówił bezgłośnie „nie”. Widziałam, że nie jest w stanie przyjąć do siebie tego, co usłyszał.

– To, co robicie, jest złe – oświadczyła Beryl. – To moja wina. Powinnam była powiedzieć wam wcześniej, ale nie przypuszczałam...

– Nie wierzę ci! – wrzasnęła Cassie. – Założę się, że pieprzyłaś się z połową Sabden. John może być synem kogokolwiek.

– Cass... – zaczął John.

– Cassie, to jest prawda – odezwałam się. – Spójrz na niego. Wygląda jak twój tata. – Nie mogłam uwierzyć, że do tej pory tego nie widziałam. John wyglądał jak Larry, kiedy go poznałam. Ta sama budowa, ta sama oprawa kolorystyczna. Ich oczy były prawie identyczne. Larry miał syna i ten syn... Och Boże.

Cassie oderwała się od Johna, była bliska rozpłakania się. Już miałam do niej podejść, kiedy wewnętrzne drzwi w kuchni otworzyły się z hukiem i w progu stanął Ted Donnelly, mąż Beryl.

Był w podkoszulce, szelki trzymające spodnie były postrzępione i poplamione. Miał nadwagę, łysiał, wyglądał o wiele starzej, niż wskazywałyby na to jego faktyczny wiek, czyli, jak się domyślałam, jakieś czterdzieści pięć lat. Skórę na twarzy miał obwisłą i pomarszczoną, rysy zamazane, uszy zarośnięte grubymi włoskami. W jednej ręce trzymał brązową butelkę z piwem.

– Ted. – Beryl wyraźnie się zaniepokoiła. – Jak długo tam stałeś?

– Wystarczająco długo. – Ted spojrzał na Johna. – Wiedziałem, że nie jesteś mój – warknął. – Szkoda pieprzonego miejsca na ciebie.

– Cassie, musimy iść – rzuciłam.

Cassie pokręciła głową. Po jej twarzy lały się łzy, ale wzięła Johna za rękę i ścisnęła ją tak mocno, że pobieleły jej kostki palców.

– Najlepiej wszyscy stąd spieprzajcie. – Ted zachwiał się w wejściu, a ja uzmysłowiłam sobie, że jest bardziej pijany niż zazwyczaj. – Wynocha! No już, nie ma was tu.

– Nigdzie stąd nie wyjdziemy – oświadczyła Beryl. – John pójdzie do łóżka. Sally, zabierz swoją dziewczynę i wyjdźcie.

Niczego bardziej nie chciałam zrobić, ale Ted patrzył na chłopaka, o którym właśnie się dowiedział, że nie jest jego dzieckiem.

– Mały bękart – wysyczał. – Mały bękart kłamliwej kurwy.

John pękł. Krzyknął coś, czego dobrze nie usłyszałam, i rzucił się na ojca. Ted był mocno pijany, więc dał się zaskoczyć. Zachwiał się i obaj wytoczyli się z kuchni. Beryl rzuciła się za nimi, Cassie sekundę później. Ja do drzwi dobiegłam ostatnia i kiedy to zrobiłam, usłyszałam obrzydliwy trzask i jęk bólu wydany przez Johna. Ted walnął go butelką w głowę. Odłamki szkła posypały się na ramiona chłopaka, z rozcięcia na czole połała się krew. John, zamroczony, zatoczył się na ścianę.

Ted, nadal wściekły, próbował dorwać się do syna, Beryl usiłowała go przed tym powstrzymać. Podbiegła do nich Cassie. Ted odepchnął od siebie Beryl, wyprostował się i w tym momencie John doskoczył do ojca. Wpadli obaj na drzwi piwnicy. Te otworzyły się z hukiem, odsłaniając ciemną otchłań schodów. John, żeby nie stracić równowagi, chwycił się framugi. Ted zachwiał się, zamachał rękami, stracił podparcie pod stopami i zniknął nam z widoku.

Wpatrywaliśmy się w ciemne wejście z przerażeniem.

Doliczyłam się sześciu huknięć, gdy kolejne części ciała uderzały w stopnie schodów i w końcu w kamienną posadzkę. Przez długie sekundy żadne z nas się nie ruszało. Potem John oderwał się od Cassie i dał krok w stronę schodów.

– Ja to zrobię – powiedziałam, zatrzymując go. – Ja zejść.

Znalazłam włącznik światła. Widziałam Teda, ale nie to, w jakim jest stanie.

– Zaczekajcie tutaj – rzuciłam za siebie do reszty.

Jeszcze zanim dotarłam na sam dół, wiedziałam, że Ted będzie bardzo poraniony. Wylądował na posadzce głową, reszta ciała była powykrzywiana. Pomyślałam, że skręcił kark. Dotarłam do niego i uklęknęłam.

Nie zostałam w piwnicy długo.

Kiedy wróciłam na górę, naciągnęłam rękaw na dłoń, wytarłam swoje odciski z

kontakty, zamknęłam drzwi i odwróciłam się do stojącej tam trójki.

– Kto jeszcze jest w pubie? – zapytałam.

– Co z nim? Nic mu nie jest? – spytał John.

– Nie żyje. Kto jeszcze jest w pubie? – powtórzyłam pytanie.

– Nie ma nikogo – odpowiedziała Beryl. John w tym czasie odwrócił się i oparł głową o ścianę. – Pracownicy wyszli po ostatnim zamówieniu. W środy ja zliczam kasę. Cassie otoczyła Johna ramionami.

– A goście? – pytałam dalej. – Macie kogoś nocującego na górze?

Beryl pokręciła głową.

– Zabieram Cassie do domu – oznajmiłam. – Beryl, ty i John idźcie się położyć. Rano udacie, że szukacie Toma, i znajdziecie go na dole schodów w piwnicy.

– Ale... – zaczęła Beryl.

– To był wypadek – przerwałam jej. – I tak się powie policji. Nie muszą wiedzieć, że ktoś jeszcze był w to wmieszany.

– Nie możemy...

– Wszyscy wiedzą, że Ted lubił sobie wypić. Dzisiaj ludzie w barze widzieli, że pił, może nawet więcej niż zwykle. Potknął się na szczycie schodów i spadł. To był straszliwy wypadek. A wy nic o nim nie wiedzieliście, dopóki nie znaleźliście go następnego dnia rano.

Beryl pokręciła głową.

– Alternatywą jest to, że John zostanie zatrzymany i oskarżony o zabójstwo – uzmysłowiłam jej. – Może nawet umyślnie. Co dobrego przyjdzie z tego komukolwiek?

Tym razem już nikt się nie sprzeciwił. Wzięłam Cassie za rękę, odciągnęłam ją od Johna i obie wyszłyśmy z pubu.

Florence

Jesteś pewna, że dasz radę to zrobić? – spytał mnie Tom, już po raz trzeci, kiedy ostro wyhamował przed zaparkowanym samochodem.

„To” było zjawieniem się na wezwanie w domu Glassbrooków. Sally znów zadzwoniła na 999. Starłam z twarzy świeżą partię łez.

– Dam.

– Chyba na takie coś się niestety pisaliśmy – mruknął Tom, wysiadając.

Miał rację. Śmierć Randy’ego musiałam po prostu przepracować, a na razie odłożyć na bok, do chwili, aż będę miała czas zmierzyć się z tym tak jak należy. Poszłam za Tomem. Obeszliśmy auto Greenwooda i zapukaliśmy do drzwi. Nic się nie wydarzyło. Dom wydawał się pusty. Bez uzgadniania tego ruszyliśmy na jego tyły.

– Kiedy było wezwanie? – spytałam.

– Jakąś godzinę temu – odparł Tom.

Spojrzałam na zegarek. Było po jedenastej. Godzinę temu Sally zadzwoniła na policję, twierdząc, że ona i jej rodzina została zaatakowana.

Tom zobaczył moją minę i podniósł w górę obie ręce.

– Nie było nikogo dostępnego. Wszyscy byli albo w Black Moss Manor, albo na Burnely Road. A Sally ostatnio często podnosiła fałszywe alarmy.

Dotarliśmy na tył domu.

– Bóg jeden wie – rzucił Tom – że nie potrzeba nam kolejnych złych wieści.

Drzwi nie były zamknięte na klucz.

– Sally?! – zawołałam cicho.

Żadnej odpowiedzi.

– Nie podoba mi się to – powiedziałam, zupełnie zbędnie.

Zajrzeliśmy do spiżarni, do pomieszczenia, w którym Sally robiła pranie, i do obu saloników. Na sofie znalazłam kocyk Henry’ego.

U podnóża schodów Tom głośno zabębnił w ścianę.

– Policja. Niech wszyscy wyjdą ze swoich pokoiów.

Nic.

Zostawiając Toma, wbiegłam na górę. Złapał mnie na szczycie schodów.

– Wiesz, kto gdzie śpi? – zapytał.

– Kiedyś wiedziałam. – Spojrzałam na drzwi bezpośrednio przede mną. – To był pokój Randy’ego.

– Skup się. Gdzie jest pokój Sally?

W pokoju Sally nie było nikogo, podobnie w następnym, który teraz dzieliły ze sobą dziewczęta.

– Jezu Chryste! – zakrzyknął Tom, kiedy wyszedł z powrotem na korytarz. Spojrzałam ponad jego ramieniem i zobaczyłam Grace Greenwood w długiej białej koszuli nocnej. Włosy miała rozpuszczone, zwisały po bokach twarzy jak białe siano. Stała przed pokojem, który kiedyś był pokojem Cassie.

– Czy Sally wróciła? – spytała. – Bo pobiegła za Cassie.

– Pobiegła dokąd? – spytał Tom.

Grace pokręciła głową.

– Gdzie jest Marigold? – spytałam.

– W swoim pokoju, jak sądzę. – Grace wskazała pokój, w którym kiedyś mieszkał Randy. – Widzieliście Roya?

– Ja pójdę – powiedziałam do Toma i otworzyłam drzwi cicho, nie chcąc wystraszyć Marigold i obudzić Henry’ego. Kiedy do pokoju wlało się światło z korytarza, moje serce zamarło. Ten pokój też był pusty. Gorzej, widać było w nim ślady po walce. Łóżeczko Henry’ego stało pod szafą, jakby ktoś na nie wpadł i je przepchnął, zrzucana pościel, przewrócona lampka nocna.

– Florence! – zawołał Tom. – Wybiegłam na korytarz i pobiegłam do pokoju, który kiedyś należał do Rona Picklesa. Coś w nim okropnie śmierdziało. Włączyłam światło i zobaczyłam, że Tom klęczy na podłodze przy Royu Greenwoodzie.

– Wezwij karetkę! – Tom rozsunął Greenwoodowi poły szlafroka i obydwoma dłońmi uciskał serce. – Chyba miał zawał.

Nie czekałam na powtórzenie polecenia. Wybiegłam z pokoju, minęłam wyglądającą na przerażoną Grace i zbiegłam na dół. Zrobiłam to, co mi kazano, ale wiedziałam, że Tom się mylił. Widziałam wcześniej ludzi po ataku serca. W sypialni Greenwooda śmierdziało wymiocinami i biegunką. Jego skóra była zielonkawobiała, oprócz miejsc oznaczonych czerwonymi plamami. Krew naciekała do oczodołów spływała po twarzy

jak łązy. To nie był żaden atak serca.

94

Sally

Mój dom przejęła policja. Tygodniami mnie ignorowali, a teraz byli wszędzie, szukali Marigold i Henry'ego. Do kuchni wetknął głowę posterunkowy.

– Nic – poinformował. – Na terenie posesji jej nie ma.

Zniknął. Zegar w korytarzu wybił pierwszą.

– Może poszli do parku? – podsunęłam Florence, która odbierała ode mnie zeznania.
– Lubi huśtawki.

Chwytałam się brzytwy. Marigold bała się ciemności. Nigdy nie poszłaby nocą sama do parku.

– Przeszukujemy całą najbliższą okolicę – odpowiedziała Florence. – Kontynuuj, Sally, proszę. Powiedziałaś, że Roy wystraszył Cassie i ona uciekła.

– Pojechałam za nią – powiedziałam. – Znalazłam ją u wylotu Wraith Road i zawiozłam do Avril i Daphne. Ale nie pojechałyśmy tam od razu. Cassie chciała porozmawiać. Więc zjechałam na pobocze. Avril i Daphne zgodziły się, żeby została, więc potem wróciłam tutaj. Akurat odjeżdżała karetka, kiedy przyjechałam. Marigold nigdzie nie było. Wiesz może, jak się czuje Roy?

Florence dokończyła pisanie i podniosła wzrok.

– A więc ostatni raz widziałaś Marigold tutaj?

Florence mi czegoś nie mówiła. Do oczu ciągle napływały jej łzy i kiedy myślała, że nie patrzę, szybko je wycierała.

– Co się dzieje? – spytałam. – Stało się coś?

Pokręciła głową.

– Ciężki dzień – rzuciła. – I jest późno. Kiedy ostatni raz widziałaś Marigold i dziecko?

– Byli tutaj, kiedy wychodziłam. Sprawdzaliście w ogrodzie? Na dworze nie jest aż tak zimno. Mogła znaleźć klucze do szopy, do warsztatu Larry'ego.

– Sprawdzaliśmy – odparła. – I przeszukaliśmy cały dom. Nawet poddasze. Nigdzie ich nie ma. I nie ma też wózka Henry’ego.

– Marigold na pewno się przestraszyła – orzekłam. – Roy oszalał. Nie powinnam była jej zostawiać.

Florence dotknęła mojego ramienia.

– Na pewno wkrótce ją znajdziemy – zapewniła. – Nie mogła odejść daleko.

– A co mówi Grace? – Po powrocie nie widziałam jeszcze matki Roya.

– Pani Greenwood mówiła, że Roy po wyjściu twoim i Cassie kazał jej i Marigold pójść się położyć. Zrobiły to i pani Greenwood mocno zasnęła. Nie wie, co się działo potem, do przyjazdu mojego i Toma.

Drzwi do kuchni otworzyły się i stanął w nich szczupły mężczyzna, którego pamiętałam z wieczoru aresztowania Larry’ego. Miał na nazwisko Sharples. Za nim szedł następny policjant w cywilu i na końcu Tom. Florence wstała z krzesła. Szczupły mężczyzna nawiązał ze mną kontakt wzrokowy.

On wie, pomyślałam. *Wie*, co dzisiaj zrobiłam. *Wie*, że Ted Donnelly żył, kiedy zesłam do piwnicy sprawdzić jego stan. Rano już nie będzie żył, jeśli wcześniej nikt go nie znajdzie: krwawienie z rany na głowie było zbyt obfite, żeby dał radę przeżyć dłużej niż kilka godzin, ale kiedy go zostawiałam, żył.

W tej piwnicy musiałam dokonać trudnego wyboru. Mogłam spróbować ratować Teda, by mógł dalej bić żonę i dziecko, może nawet zgłosić Johna na policję i ten zapewne dostałby wtedy wyrok. Mogłam doprowadzić do tego, że ten chłopak, którego kochała moja córka, trafiłby do więzienia dla młodocianych przestępców, lub mogłam pozwolić, by natura zrobiła swoje.

– Lovelady, idź z posterunkowym Devine’em – polecił Sharples. – Jesteście potrzebni w Black Moss Manor.

– Co się stało? – spytała Florence.

Sharples zgromił ją wzrokiem. Odpowiedzi udzielił Devine:

– Pali się – rzekł ściszym głosem. – Być może trzeba będzie ewakuować okolicznych mieszkańców. – Podszedł do tylnych drzwi i otworzył je przed Florence. Wyglądało to trochę tak, jakby ją popędzał. Florence odwróciła się do mnie.

– Zobaczmy się jutro – rzuciła. – Nie martw się o Marigold, znajdziemy ją.

– Już wystarczy, Lovelady – przerwał jej Sharples i dał ku mnie kolejny krok. – Sally Glassbrook?

– To ja – przyznałam, myśląc: *przecież dobrze wie, kim jestem. Wszyscy w mieście wiedzą*. Przy drzwiach Devine usiłował wyciągnąć Florence przed dom. Opierała się.

– Co się dzieje? – zapytała. – Sir, czego wy mi nie mówicie?

– Wyprowadź ją stąd, Tom – warknął Sharples. I potem odwrócił się do mnie.

– Sally Glassbrook – zaczął. – Aresztuję panią pod zarzutem zamordowania Roya Greenwooda.

Roy zmarł? To niemożliwe. Chyba byłam na pograniczu otworzenia ust i powiedzenia: *Nie, chodzi wam o Teda Donnelly'ego. Zabiłam dzisiaj tylko jedną osobę, a nie dwie, ale zostałam obrócona i skuto mi z tyłu ręce kajdankami.*

– Nie musi pani nic mówić – zagrzemiał Sharples. – Ale wszystko, co pani powie, może zostać użyte jako dowód w sprawie.

To niemożliwe, że Roy zmarł. Przecież zadbałam o to, by do tego nie doszło.

Zostałam wypchnięta z domu i posadzona w oczekującym radiowozie. Ale myślałam tylko o jednym: *Jak? Jak ona to zrobiła?*

Część 3

1999

Dwadzieścia cztery godziny po pogrzebie Larry'ego Glassbrooka

95

Trucicielka

Trucicielka jest przebiegła.

Tak jak wiele jej sióstr zrezygnowało ze starych form uprawiania magii, tak trucicielka też z czasem nauczyła się adaptować do nowych warunków. Trucicielka zna swoich wrogów i wie, że jej wrogowie stali się mądrzejsi. Ich umiejętności w wielu aspektach przewyższają jej umiejętności. Istnieje niewiele zasadzek, które może na nich zastawić, a których oni nie potrafiliby ominąć.

Pradawne zdolności – zbiór roślin i grzybów, warzenie syropów i destylacja nalewek – teraz na nic się jej nie zdają, bo wie, że każdy kontakt zostawia ślad. Ludzie odnajdujący zmarłych są szkoleni do podejrzliwości. Ludzie, którzy otwierają zmarłych,

wykryją atropinę, akotyninę, glikozydy i ustalą ich źródło.

Naparstnica nie jest już jej drogą przyjaciółką. Psianka słodkogórz i paraliż, jaki powoduje, już nie były jej miłe, bo wykrywały je testy toksykologiczne. Krokus jesienny, jeden z jej faworytów w sprowadzaniu bolesnej śmierci, nadal będzie wywoływać niewydolność narządów u jej ofiar – i doprowadzi do jej uwięzienia. Trucizny, które służyły jej babkom i prababkom, są dla niej teraz bezużyteczne.

Ale tlenek węgla? O tak, ten ma pewien potencjał.

Trucicielka jest przebiegła. Nauczyła się adaptować do nowych czasów. I ma plan.

96

Cassie

Środa, 11 sierpnia 1999

W dzień po złożeniu Larry’ego w ziemi Avril i Daphne znowu na mnie naciskają. Są cholernie nieustępliwe jak na parę takich miłych staruszek i szczerze mówiąc, mam ich już po kokardę. Udało im się dociągnąć mnie aż do bramy kościoła.

– Dlaczego? – Zapieram się nogami w miejscu jak dzieciak. – Dlaczego, do diabła, znowu to robimy?

– Niczego znowu nie robimy. – Koścista ręka Avril ląduje na moim ramieniu. – To, co wydarzyło się tu wczoraj, nie miało nic wspólnego z nami.

Pogrzeb mojego własnego ojca nie miał nic wspólnego ze mną? Te dwie są jednak mocno szurnięte.

– Tyle nienawiści – dodaje Daphne. – Wciąż tu jest. Widzę ją.

– Widzisz śmieci – rzucam zrzędlawie i dodaję „ty stara durna babo”, ale tylko w swojej głowie. Ale to prawda – śmieci są wszędzie. Paczki po papierosach, papierki po słodyczach, nawet puszki po piwie. Widać, że wczorajsza rozrywka sama w sobie niedomytemu motłochowi nie wystarczała. Musieli przynieść jeszcze przekąski i napoje.

– Krótkie, prywatne nabożeństwo żałobne – mówi Avril. – Z szacunku i miłości dla tych, którzy znali Larry’ego najlepiej.

– Och, nieważne, wszystko mi jedno – odpowiadam.

Minęły dwa dni od wieczoru, kiedy Avril i Daphne pojawiły się w Czarnym Psie i zastały Tammy, Beryl, Mary i mnie drące się na siebie jak żony rybaków. Poszłam z nimi, nie opierając się, kiedy wyprowadziły mnie z budynku, zawiozły do siebie i wpakowały do pokoju gościnnego. Napięcie w pubie zaczynało mnie męczyć, zresztą byłam pewna, że John za kilka godzin do mnie przyjdzie.

Nie przyszedł. Przez cały dzień, gdy gryzłam paznokcie i starałam się nie warczeć na Avril i Daphne, powtarzałam sobie, że potrzebuje czasu, że dzień spędził na pakowaniu się, ustalaniu spraw pubu, mówieniu dzieciom. Kiedy zapadł wieczór, wykradłam się. Jego furgonetka nie stała na parkingu pubu. Nieważne, powiedziałam sobie. Mieliśmy przed sobą całą resztę życia. Mogłam mu dać ten jeden dzień.

Byłam pewna, taka pewna, że przyjdzie na pogrzeb wczoraj, że mnie nie zostawi, żebym musiała sama się z tym mierzyć. Łajdak nie pojawił się. Siedziałam na galerii, patrząc na Lunę w dole odgrywającą główną żalobnicę, na Florence starającą się bez skutku nie rzucać się w oczy, i wiedziałam, że nie ma go w kościele. Po mszy stałam z tyłu, przez nikogo nierozpoznawana, i patrzyłam, jak ludzie spluwają na grób mojego ojca – na grób też jego ojca – i w końcu zrozumiałam, że to koniec.

John mnie nie chce. Wszystkie moje plany spełzły na niczym. A teraz wiem, co to znaczy, być zrozpaczoną.

Boże, ta wiązka zielska, którą niesie Daphne, tak strasznie śmierdzi. Daphne ma całe naręczce róż, stokrotek, gałązek budlei. Na oficjalnym pogrzebie Larry’ego wczoraj nie było kwiatów – tak, przyznaję, ja tak zarządziłam – i Daphne chyba chce to teraz nadrobić. Była w ogrodzie o świcie. Słodka z niej staruszka, jak sądzę. Tępa jak kij od szczotki, ale miła.

– Co one tu robią? – Na drugim końcu cmentarza, przy kopcu ziemi zakrywającej Larry’ego, stoją moja matka i moja siostra. – Myślałam, że Luna wróciła do Londynu.

– Jeszcze nie – odpowiada Daphne.

Sally jest w sukience, którą pamiętam. Z tej odległości znów wygląda prawie młodo. Włosy też ma lepsze. Luna je ułożyła.

– Nie chcę z nimi rozmawiać – oświadczam.

Za matką i siostrą dostrzegam Dwane’a, ubranego tak, jak się ubierał, kiedy jeszcze opiekował się cmentarzem. Czyli mówił poważnie. Sam wykopał dół na grób dla mojego ojca.

Idioci. Wszyscy oni są idiotami.

Avril podaje mi chusteczkę.

– Cassie, wiem, że cierpisz, ale musimy trzymać się razem – mówi. – To, z czym mamy do czynienia, jest zbyt ważne.

– Co takiego? – Ogarnia mnie nowy niepokój. – A z czym my mamy do czynienia, jak słowo daję?

Odpowiadają jednocześnie.

– Już niedługo – rzuca Avril.

– Dziś wieczorem – dodaje Daphne.

Zaczynam mówić, że zaraz jak ten cyrk się skończy, wyjeżdżam, ale nie kończę, bo pojawiają się nowe osoby. Przez bramę kościoła przechodzi Marlene Labaddee, za nią idzie Hecate, spirytualistka. Jej córka, Perdita Collins, chodziła ze mną do szkoły, była z tego samego roku. Perdita, kiedy w pobliżu nie było nauczycieli, urządziła w bibliotece seanse wywoływania duchów, używając do tego odwróconej dnem do góry szklanki i liter wyciętych z podręczników. Nazywaliśmy ją Przerazająca Perdita. Kobieta, idąca obok Hecate, to oczywiście ona, ale dorosła Perdita wygląda inaczej. Jej włosy są ciemne i dobrze podcięte. Jest w eleganckim spodniem, w odróżnieniu do matki, która nadal faworyzuje pognieciony aksamit i gazę.

Widzę Jenny Ogilvy, żonę Dwane’a, i Mary, naszą dawną gospodynię. Wszystkie są wiedźmami. Larry obszczałby się ze śmiechu.

Wiedźmy przyniosły dziko rosnące kwiaty. Widzę bylicę, tawułę, kalinę i malwy, kwiaty usuwające ból serca, łagodzące cierpienie, przynoszące ukojenie strapionym duszom. Mam nadzieję, że pomogą Larry’emu. Mnie w tej chwili na pewno nie.

Przez bramę przechodzi Beryl Donnelly, niosąca pojedynczą różę. Jeśli jest mądra, będzie się trzymała z daleka od mojej matki. Daję słowo, jeśli jest z nią Tammy, wyrwę jej gardło. Potem pojawia się wysoki mężczyzna w ciemnym garniturze, mający w sobie coś, co każe myśleć, że jest policjantem. Za nim wchodzi Florence Lovelady, tym razem w mundurze, a w bocznych drzwiach pojawia się pastor.

Uzmysławiam sobie, że nie muszę się już niczego obawiać ze strony Florence. Nic, co może mi zrobić, nie da się porównać z utratą Johna. Nie ma już znaczenia, co Larry jej powiedział, czy nie powiedział. Niech sobie robi, co chce, nawet najgorsze.

– Kto by przypuszczał, że mój ojciec był aż tak lubiany – rzucam i ruszam przed siebie, bo chcę już mieć tę farsę z głowy i opuścić na dobre tę zapadłą dziurę.

Florence

Nienawidzę tego miasta. Najgorszy okres w moim życiu to był ten, który spędziłam tutaj, i od tamtej pory stale dźwigam spuściznę po tym czasie na swoich barkach. Sabden było bliskie zniszczenia mnie, a te dwadzieścia cztery godziny, gdy znów tu wróciłam, były trudniejsze, niż mogłam sobie wyobrazić.

Nie mogę wyjechać.

Trzydzieści lat temu dałam ciała. Przyczyniłam się do zamknięcia Black Moss Manor, ale nie kopałam dostatecznie głęboko. Rozkojarzona przez smutek, przez napływające ze wszystkich stron żądania, zbyt szybko się poddałam. Zaakceptowałam częściowe prawdy i zignorowałam te naprawdę liczące się pytania.

To było coś więcej niż tylko zaniedbywanie dzieci i nie skończyło się w roku 1969.

Przez trzydzieści lat wmawiałam sobie, że ciemność, którą tu zawsze wyczuwałam, była pochodną czynów Larry'ego i że aresztując go, przepędziłam ją stąd. Bardziej nie mogłam się mylić. Zło nigdy nie opuściło tego miasta i jeśli ja się z tym nie zmierzę, to kto?

Na cmentarzu za mną jest cicho. Larry został pochowany wczoraj i towarzyszyły temu dokładnie takie szaleństwo mediów i histeria tłumu, jakich się spodziewaliśmy. Krótkie prywatne nabożeństwo, które właśnie się skończyło, było przeznaczone tylko dla bliskiej rodziny i przyjaciół. Teraz wszyscy sobie poszli. Jestem sama. Obracam się w miejscu, żeby się co do tego upewnić, zerkam w mrok otaczający nagrobki. Tak, jestem sama. Duchy odeszły, na razie.

Cmentarz miejski jest większy, niż go zapamiętałam. Na zachodnim krańcu, niedaleko krematorium, dostrzegam wysokiego mężczyznę w mundurze policyjnego inspektora. Na jego widok schodzi ze mnie całe napięcie kilku ostatnich dni. Z ukłuciem wyrzutów sumienia zauważam, że moja chęć znalezienia się gdzie indziej słabnie.

Trzydzieści lat po tym, jak się w nim zakochałam, Tom Devine nadal jest jednym z

najprzystojniejszych mężczyzn ze wszystkich mi znanych. Oczywiście na jego twarzy widnieją teraz zmarszczki, a we włosach srebro. Linia podbródka nie jest tak jędrna jak kiedyś, stracił już tę szczupłą muskulaturę z młodości. Ale jego oczy wciąż są tak samo intensywnie ciemnoniebieskie, twarz zachowała silne czyste rysy. Przychodzi mi na myśl, że teraz wygląda lepiej niż w młodości, ale może ta myśl to tylko odbicie tego, jak bardzo sama się zmieniłam.

A może jednak nie zmieniłam się wcale. Może nadal jestem tą zieloną młodą dziewczyną, zakochaną po raz pierwszy. Kiedy zaczynam ku niemu iść, kiedy na jego twarz wypływa znajomy uśmiech, zmarszczki na niej znikają, wiem, że upływ czasu nie ma żadnego znaczenia. Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają. Nie mogą.

– Tak myślałam, że mogę cię tu spotkać – mówię, kiedy jestem już na tyle blisko, by zobaczyć, że stoi przy rzędzie prostych metalowych urn. Napis na etykietce na najbliższej z nich brzmi: „Do odebrania przez policję Lancashire. Czwórka niezidentyfikowanych małych dzieci”. Siadamy na niskim murku okalającym krematorium i patrzymy na urny.

– Minęło trzydzieści lat, a Black Moss Manor nadal jest źródłem smutku dla nas wszystkich – rzucam.

Tom wzdycha mi do ucha.

– Stare kości, zredukowane do popiołów. Odpuść, Floss.

– Oni właśnie tego od nas chcą.

Tom szybko na mnie spogląda.

– Oni? Kim są „oni”?

Bardzo dobre pytanie.

– Przed przyjazdem sprawdzałam Asterów – informuję. – Moja asystentka zadzwoniła do mnie dziś rano. Kiedy Asterowie trafili do więzienia, odebrano im licencje. W Naczelnej Izbie Lekarskiej nie wiedzą, gdzie teraz są.

– Mogę się założyć, że za granicą – mówi Tom. – Pojechali gdzieś, gdzie licencje nie są wymagane.

Nadal patrzę na urnę zawierającą prochy dzieci.

– Jeśli to stare zwłoki, dlaczego nie znaleźliśmy ich w roku 1969? – pytam.

– Liczba dzieci zgadzała się z dokumentacją – odpowiada Tom. – Nie było powodu przekopywać ogrodu na tyłach domu.

– Tyle że nic się wcale nie zgadzało. Nie do końca. Wiele dokumentów zniszczyło się w pożarze. I nie zbadaliśmy adopcji. Nie sprawdziliśmy, czy dzieci trafiły tam, gdzie miały trafić. Chciałam to zrobić, ale...

– Byłaś bardzo zajęta – dokończył za mnie Tom. – To był trudny czas dla nas wszystkich. Strata Randy’ego była ostatecznym ciosem.

Zastanawiam się, czy Tom z rozmysłem wspomniał o Randym. Pamiętam, że wiadomość o jego śmierci uderzyła mnie jak obuchem, że przez następne dni chodziłam jak we śnie, nie potrafiłam jasno myśleć.

– On tu gdzieś leży, prawda? Gdzie?

– Nie pamiętasz? Byli wszyscy policjanci. Lało. Zgubiłaś but w błocie.

Teraz już sobie przypominam. Ruszam ścieżką i przecinam trawnik. Randy ma teraz nagrobek. „Randall Trevor Butterworth, 1943–1969. Ukochany syn”.

– Czy to naprawdę był wypadek?

Tom dołącza do mnie.

– Zdaniem koronera tak.

– Miał się ze mną spotkać tamtego wieczoru. Rano rozmawiał z Sandrą Cartwright. Coś mu powiedziała.

– I nie powtórzył ci, co mówiła? – pyta Tom. – Choćby w skrócie?

– Przerwano nam.

– Wiele się działo tamtego dnia. Ale z tego, co pamiętam, zeznania Sandry Cartwright w sądzie powielały zeznania Asterów i reszty członków personelu.

Ma rację.

– Wszyscy zapewniali, że nie mieli pojęcia o tym, że dzieci były narkotyzowane, każde winiło pozostałych. Nikt nie przyznał się, że robił coś złego.

– Trudno przewidzieć, co Cartwright mogła powiedzieć Randy’emu – mamrocze Tom.

Chwilę się zastanawiam.

– Asterowie zostali zatrzymani u niej w domu, prawda? – pytam. – Może wiedzieli, że rozmawiała z Randym? Mogła zostać zastraszona, przymuszona do podtrzymania ich wersji.

– Dlaczego miałyby kłamać, skoro wiedziała, że trafi przez to do więzienia?

– Gdybyś miał do wyboru kilka lat za kratkami albo skończenie jak Randy, co byś wybrał?

Tom nie ma czasu odpowiedzieć, bo dzwoni mój telefon. Wyciągam go z torebki i odchodzę kilka kroków.

– Proszę pani, tu Brian Rushton – przedstawia się znajomy głos. – Przykro mi, że muszę o to prosić, ale mamy tu pewien kłopot. Jest szansa, że mogłaby pani wpaść na posterunek?

Brian Rushton jest komisarzem tutejszego oddziału policji, kimś, kogo poznałam wczoraj kilka godzin po pogrzebie Larry'ego. Jest też synem mojego dawnego szefa, Stanleya Rushtona. Na moje pytania odpowiada unikami, ale z tego, co mówi, wynika, że chyba powinnam pojechać. Poza tym chcę go prosić o przysługę. Mówię, że zaraz będę i chowam telefon.

Odwracam się do Toma, ale jego już nie ma.

Cassie

Słyszę melodię w głowie. Ponurą. Wije się między moimi myślami jak czarna wstążka. Bryza od wrzosowisk przynosi ze sobą jej urywki. Słyszę ją w szepcie traw, a ptaki wyśpiewują tekst. To będzie piosenka o utraconej miłości, o niespełnionych marzeniach, o przyszłości wypełnionej rozpaczą. Zamykam oczy i usiłuję ułożyć z melodii jakiś rozpoznawalny wzór. Od lat nie nagrałam hitu, ale to może być to. Albo nie, cały przemysł odrzuci piosenkę jako, do cholery, zbyt przygnębiającą, by mogła się sprzedać.

– Gdybym wiedział, że masz problem alkoholowy, mógłbym spróbować zatrzymać pub.

Kieliszek z winem niemal wypada mi z ręki, kiedy podskakuję i prostuję się w krześle. John stoi na trawie nie dalej niż sześć kroków ode mnie.

Podnoszę się, ale nie trzymam się dość pewnie na nogach: nie pamiętam, kiedy ostatnio coś jadłam, a wypłam ponad połowę butelki. W głowie pytam: *Po co przyszedł?* Nie musi mi mówić, że to koniec. Sama na to wpadłam. Kiedy ma do mnie tylko dwa kroki, kiedy jest na tyle blisko, że widzę, iż w ostatnich kilku godzinach się golił, rozgląda się i spogląda na mnie, z pytaniem w oczach.

– Moglibyśmy pójść gdzieś indziej? – rzuca.

– Po co?

– Kiedy ostatnim razem chciałem się z tobą kochać, przerwano nam. – Jego oczy znów zaczynają przeczesywać ogród Daphne i Avril. – Sąsiedzi – dodaje.

Łóżko, w którym spałam, jest wąskie, ale nie zważamy na to. Nasze ubrania znikają jak obłoki przepędzone wiatrem i nasze ciała przywierają do siebie. Oplatam go rękoma i nogami, on się unosi, tuli mnie. Wyglądamy jak wiele części układanki, skomplikowanej i trudnej, ale która w końcu trafiła w ręce mistrza i ten uczyni z nas całość.

Moje włosy owijają mu się na szyi. Są jak srebrne zwoje przywiązujące go do mnie. Nie jesteśmy do siebie podobni. Nawet trochę. On wygląda jak Larry, ja jestem wierną kopia matki, kiedy była młoda, ale gdy patrzę mu w oczy, czuję się tak, jakbym patrzyła w oczy bliźniaka, jesteśmy połówkami, które wreszcie się odnalazły.

Całuje mnie i świat znika. Szybujemy razem przez ciemność, kąpiemy się w złotym blasku księżyca, gwiazdy wokół nas strzelają ogniem.

Nie spieszymy się. Nie jesteśmy nastolatkami i choć spala nas pożądanie, jesteśmy zdenerwowani, jak nigdy wcześniej. Leży pode mną na wąskim łóżku, a ja się z tego cieszę, bo wiem, że w ten sposób będę mogła to przedłużyć. Poruszam się na nim wolno, a on zaciska oczy.

Trzyma mnie mocno, jego palce ściskają mnie tak, że muszę zagryźć usta, żeby nie krzyknąć, ale to też mnie cieszy, bo to dowodzi, jak bardzo mnie pożąda. Zaczyna jęczeć. Ja zaczynam poruszać się szybciej i przez jakąś chwilę nie pamiętam o swoim planie; zapominam nawet o myśleniu. Wszystko co mogę robić, to czuć. I radować się. Jestem w domu. Znowu jestem pełna.

Po wszystkim, godziny lub minuty później – zupełnie straciłam poczucie czasu – całe ciało mnie pali, jakbyśmy szybowali w ogniu.

– Nie obchodzi mnie – mówię. – Nie obchodzi mnie, że jesteś moim bratem.

Ciężkie westchnienie.

– Mnie chyba też nie.

I z tymi czterema słowami wszystko się zmieniło. Uznaliśmy prawdę i teraz nie ma ona żadnego znaczenia.

– Genetyczny pociąg seksualny jest w gruncie rzeczy bardzo powszechny – mówię.

Zastanawia się nad tym przez sekundę.

– Dobrze wiedzieć. Nadal jednak to nielegalne.

– Obchodzi cię to? – pytam.

– Nie – odpowiada.

Całuję go i przez chwilę nie odzywamy się. Gdybyśmy byli nastolatkami, kochalibyśmy się teraz znowu, ale nam wystarcza przytulanie się. Czuję, jak jego palce rysują wzór na moim lewym ramieniu.

– Jak było wcześniej? – pyta. – W kościele.

– Trochę bardziej godnie niż przedwczoraj. – Tłumię dreszcz. Chyba nigdy nie zapomnę widoku ludzi plujących na trumnę ojca.

– Od początku było wiadomo, że będzie cyrk – stwierdza John. – Słyszałem, że Luna wróciła.

– Nadal tu jest. Zabrała wcześniej mamę do domu.

Mówiąc to, zastanawiam się, czy mama odzywa się do Luny, i czekam na ukłucie zazdrości.

– Szukałem cię – wyznaje John. – Wczoraj, już po wszystkim. Zniknęłaś.

Myślałam, że ze swojej kryjówki na galerii widziałam wszystkich, a okazuje się, że przegapiłam jedyną osobę, na której naprawdę mi zależało.

Ukłucie nie pojawiło się. Zdałam sobie sprawę, że nie obchodzi mnie, czy mama rozmawia z Luną. Nawet bym się z tego cieszyła.

– Wieczorem zrobiło się wariatkowo – odzywa się John. – Nie miałem jak się wyrwać.

– Słyszałam.

Przytulam go do siebie mocniej. Daphne i Avril nie opowiadały mi o wczorajszych wydarzeniach po pogrzebie Larry’ego. Ale podsłuchałam je, kiedy rozmawiały, gdy wróciły do domu o świcie, gdy sądziły, że śpię twardo w swoim pokoju. Zaginął nastolatek. Podobno w sprawę zamieszany jest starszy rangą policjant. Duża akcja policyjna. I Florence Lovelady w centrum wszystkiego, jak zawsze.

– Dom wariatów. – John drży w moich objęciach.

Rozmowa o innych sprowadza świat z powrotem. Pora znów się z nim zmierzyć.

– Tammy myśli, że gdzie jesteś? – pytam.

– Wie, że jestem tutaj.

Serce przestaje mi bić.

– Powiedziałem jej wczoraj wieczorem – oznajmia. – Kiedy policja wreszcie nas puściła.

Nagle to leżenie nago w jego ramionach wydaje mi się całkowicie złe.

– Powiedziałeś jej co?

– Że odchodzę. Że muszę być z tobą.

Zabiję go, jeśli żartuje. Wezmę jeden z noży Daphne i ten pokój będzie cały obryzany jego szkarłatnoczerwona krwią.

– Grozi, że pójdzie na policję – dodaje. – Przez twój wybuch w poniedziałek wie, że zabiłem tatę.

Ted Donnelly nie był jego tatą, ale przemilczam to.

– To była obrona własna. I wypadek – mówię. – Zresztą to bez znaczenia. Mama nie zmieni teraz swojej wersji i wiadomo, że ja też nie.

– A co z moją mamą?

– Nie zaryzykuj tego, że trafisz do więzienia.

– Mogłaby, gdyby to miało oddzielić mnie od ciebie. A Tammy twierdzi, że to ty zabiłaś Roya Greenwooda.

Wzdycham.

– A ona dalej swoje, co?

Chryste, z oskarżeniami Tammy i listem Larry’ego do Florence mogłam mieć poważne kłopoty.

– To brednie, oczywiście, ale może ci narobić problemów – rzuca John. – Nawet jeśli nie dojdzie do oskarżenia, dopilnuje, żeby dzieci dowiedziały się o wszystkim. Prawdopodobnie nigdy więcej bym ich nie zobaczył.

Zaczyna się łamać. Mógł znieść myśl o ryzyku podjęcia działań przez policję lub utraty rodziny. Ale nie obu naraz. Powracam myślą do swojego planu, wykluwającego się podczas długich nocy w moim mieszkaniu w Salford, sfinalizowanego podczas pobytu w domu Johna i Tammy. Powracam myślą do planu pozbycia się Florence, powstałego po tym, kiedy się dowiedziałam, że Larry zdradził mnie swoim ostatnim przeklętym listem. Mogę to zrobić. Wiem, że mogę.

Tyle że...

– Wracaj do pubu – mówię. – Weź paszport i całe pieniądze, jakie masz, i spakuj się. Przyjadę po ciebie za godzinę.

Nie rusza się z miejsca.

– Co?

Nagle wszystko widzę jasno.

– Na lotnisku będziemy za godzinę. Wsiądziemy w pierwszy samolot, w którym będą miejsca.

Wybucha krótkim śmiechem.

– Nie możemy po prostu uciec.

– A kto mówi o uciekaniu? Pojedziemy na wakacje. Myślisz, że policja będzie ściagała nas za dwa zgony sprzed trzydziestu lat, na które nie ma dowodów, że były czymś innym niż przypadkowymi zgonami? Mają lepsze rzeczy do roboty.

Nie mogę uwierzyć, że nie pomyślałam o tym wcześniej.

John kręci głową.

– Mówisz serio?

– Tak. Chodź, wciągaj portki. Gdzie chciałbyś polecieć? Indie? Tajlandia? Brazylia?

Wpatruje się we mnie, potem na jego twarzy wykwita uśmiech. Ubieramy się,

zbiegamy na dół. Jestem szczęśliwa.

– Tylko nie pakuj za dużo rzeczy – mówię. – Godzina. Bądź gotowy.

Otwiera drzwi frontowe i odwraca się, żeby mnie pocałować, ale widząc moją minę, zatrzymuje się. Nad jego ramieniem zobaczyłam to, czego on nie mógł widzieć. Wóz policyjny i kroczących ku nam umundurowanych funkcjonariuszy.

– Cassandra Glassbrook? – Kobieta w ciemnym biznesowym spodniem wyciąga legitymację. – Proszę z nami. Musi zostać pani przesłuchana w sprawie śmierci Roya Greenwooda.

Tą kobietą jest Perdita Collins. Przerazająca Perdita jest policjantką.

Ja nie mówię nic. John o wiele za dużo. Mówi, żebym się nie przejmowała, że to niedorzeczność, że wszyscy wiedzą, że nie mogłabym czegoś takiego zrobić, że niebawem wszystko się wyjaśni.

Nie jestem tego taka pewna. W końcu znów przecież mamy nów. Poza tym niczego nigdy nie daje się ukryć na zawsze.

Florence

W komisariacie, kiedy przyjeżdżam, panuje zamieszanie. Ludzie są przybici i rozkojarzeni po wydarzeniach zeszłej nocy, ale gdy się przedstawiam, z miejsca zostaję zabrana do biura Briana Rushtona na pierwszym piętrze. Pokój znajduje się obok biura inspektora, ale kiedy zerkam do środka, nie widzę tam śladu po Tomie.

Detektyw komisarz Brian Rushton, którego znam trochę więcej niż jeden dzień, wygląda znajomo i takie też robi wrażenie. Trochę po czterdziestce, ma ciemne włosy swojego ojca, ciężkie brwi i wąskie, stalowoszare oczy. W przeciwieństwie do ojca nie pali jak smok.

– Jestem wdzięczny – rzuca. – Zapewne chciała pani wyjeżdżać. – Zamyka drzwi. – Niedawno temu zjawiała się u nas Tammy Donnelly i oskarżyła Cassandrę Glassbrook o otrucie Roya Greenwooda.

Gdybym miała zgadywać, na to akurat bym nie wpadła.

– To było trzydzieści lat temu – zauważam.

– A Greenwood został skremowany, a prochy rozsypane. Więc zero szans na dowody kryminalistyczne, nawet gdybym zdołał zrobić z tego na tyle poważną sprawę, bym miał usprawiedliwienie na wykopanie biednego drania. Rzecz w tym, że wiem, że pani tam była, kiedy to się stało. Zechciałaby pani usiąść?

Usiadłam i powróciłam pamięcią do przeszłości. Do tamtej strasznej nocy. Dom dziecka, śmierć Randy’ego, zniknięcie Marigold, znalezienie Roya w kałuży potu i jego własnych wymiocin.

– Tom wezwał karetkę – mówię. – Roy zmarł krótko po dowiezieniu go do szpitala. Wezwaliśmy Sally na przesłuchanie.

– To się zgadza. Czytałem stare akta taty. Sally jak najbardziej miała motyw. Zgodnie z testamentem Greenwooda i listem intencyjnym, który podpisali on i Larry Glassbrook, rodzina Glassbrooków dziedziczyła firmę i dom, w razie gdyby Roy zmarł przed

przejściem na emeryturę. To wszystko było trochę niecodzienne i wszyscy spodziewali się, że matka Greenwooda podważy testament, ale nie zrobiła tego.

– Sekcja wykazała zatrucie, ale nie dało się określić substancji, jakiej użyto – przypominam sobie. – Sally jakiś czas wcześniej zrobiła ziołową nalewkę, podobno niebezpieczną w źle podanych dawkach, ale wszystko zostało wyjaśnione.

– Syrop z naparstnicy – potwierdza Brian. – Dwanaście małych butelek, jedenaście z nich było w domu, dwunasta u gospodyni. Z tego, co mówi Tammy, która jest kuzynką tej gospodyni, Cassie wykazywała szczególne zainteresowanie tym syropem i na krótko zginęła ponoć jedna jego butelka.

– Trzydzieści lat temu – powtarzam. – To przypuszczenia i plotki.

– A według patologa z tamtych czasów objawy Roya nie do końca pokrywały się ze znanymi objawami zatrucia naparstnicą. Były pewne podobieństwa, ale za mało, żeby mieć pewność. I jego matka, Grace, powiedziała, że od jakiegoś czasu był chory, zaczęło się, jeszcze zanim przeprowadzili się do Glassbrooków. Z akt ojca wynika, że informacja została przesłana do prokuratury, ale tam uznali, że nie będą tej sprawy kontynuowali. Wiele osób uważało, że Sally Glassbrook wywinęła się od morderstwa. Teraz wychodzi na to, że mogła to zrobić nie ona, tylko Cassie.

– Jeśli Sally miała motyw, to Cassie też – rzucam. – Była wystarczająco sprytna, żeby dowiedzieć się o testamencie. I nienawidziła Roya. Tylko pamiętajmy, wszyscy go nienawidziliśmy.

Rushton milczy.

– Jeśli nie było wystarczających dowodów trzydzieści lat temu, to teraz będzie ich jeszcze mniej – dodaję. – Zdanie Tammy nie wystarczy.

– Odłóżmy to na chwilę na bok. Znała pani tę rodzinę w tamtym czasie. Mieszkała pani u nich. Czy któraś z kobiet Glassbrooków była zdolna popełnić morderstwo?

Udzielam odpowiedzi, bardzo ważąc słowa.

– W większości okoliczności powiedziałabym, że Sally nie, ale żeby obronić dzieci, być może. Roy był niebezpiecznym człowiekiem, zafiksowanym na tej rodzinie. – Zastanawiam się chwilę. – Co do dziewcząt, tak, powiedziałabym, że byłyby do tego zdolne. Ale moje zdanie zupełnie się nie liczy. Wy potrzebujecie przynajmniej wiarygodnego świadka. Lub przyznania się do winy.

– Rozmawiamy z tą gospodynią, Mary – mówi Brian. – Ma pani rację, sama Tammy Donnelly to za mało. Istnieje jakakolwiek szansa na przyznanie się?

– Ze strony Cassie Glassbrook? – Nie mogę się powstrzymać i parskam krótkim śmiechem. – Prędzej piekło zamarźnie.

– Tak właśnie myślałem. – Brian wzdycha. – Niemniej muszę działać zgodnie z przepisami. Sprowadzamy ją tu teraz.

– Życzę powodzenia.

Brian zerka na zegarek, widać wyraźnie, że gdzieś się spieszy.

– Wspominała pani o jakiejś wymianie.

Wyjaśniam swoje zainteresowanie szczątkami dzieci z Black Moss Manor i proszę o udostępnienie mi do przeczytania raportu z sekcji.

– Nie widzę w tym problemu – zgadza się Brian. – Nie zajmowaliśmy się tą sprawą, ale sprawdzę, czy uda mi się coś wydostać. Wie pani, że wczoraj zostały skremowane?

Odpowiadam, że wiem i że mimo wszystko chciałabym zobaczyć raport. Rushton wychodzi i dziesięć minut później wraca z teczką.

– Będę panią musiał z tym zostawić – oznajmia. – Przywieźli Cassie.

Po jego wyjściu siadam przy biurku i otwieram akta. Zaczynając od tyłu, znajduję objaśnienie; zdjęcia zrobione podczas akcji wydobywania ciał; zeznania pracowników przedsiębiorstwa wodociągowego; zeznanie kierownika domu wczasowego Black Moss Manor, pana Lee. Bliżej początku natykam się na sam raport z sekcji. Zawiera więcej szczegółów, ale generalnie to samo, co mówiła Perdita przez telefon. Czwórka dzieci, w podobnym stanie rozkładu, uważa się, że zmarły w początkowym okresie XX wieku.

Są zdjęcia, zrobione w kostnicy. Układam je obok siebie na biurku Briana. Pierwsze przedstawia dziecko w wieku sześciu do ośmiu lat, nieokreślonej płci. Te kości zostały złożone razem na wózku szpitalnym niczym części układanki. Nic nie trzyma ich razem. Kości ze starości są prawie brązowe i na końcach pokruszone.

Na drugim zdjęciu widnieją zwłoki w o wiele lepszym stanie, posiadające miejscami tkankę łączną. Dziecko około dziesięcioletnie, według notatek, z bardzo dużą głową. Trzecie dziecko jest najmniejsze, w wieku między trzy lata a pięć. On lub ona ma wykręconą stopę, ale tu też kości zostały poskładane w całość i są ciemne. Czwarte dziecko ma włosy i skórę. To ostatnie oceniono na czternaście lub piętnaście lat. Nie mogę mieć pewności, ale jak dla mnie twarz posiada kobiece rysy. Czy mogłaby to być Marigold? Była mała jak na swój wiek.

Nie jestem patologiem, ale mam pewność, że te zdjęcia opowiadają inną historię niż raport. Wracam pamięcią do tego, co przy niedorzecznie kosztownym lunchu mówiła mi Tricksy, i dochodzę do wniosku, że te szczątki musiały przeleżeć w ziemi pięć do dwudziestu lat. Co jednak ważne, są w różnych stadiach rozkładu. Te dzieci nie zmarły razem.

100

Cassie

Takie to moje szczęście, że wychodząc z posterunku, wpadam na Florence. Nawet nie ma tyle przyzwoitości, żeby udać zdziwienie.

– Podwieź cię gdzieś, Cassie? – pyta.

Wolne żarty. Przez trzy godziny byłam grillowana przez trzech różnych detektywów, nawet przez Briana Rushtona, bezpośredniego zastępcę Toma Devine’a. Nie mam zamiaru dać się teraz złamać za podwózkę i dziewczynskie pogaduszki.

– Nie, nie trzeba, dzięki – odpowiadam, chociaż nie mam pojęcia, jak wrócę do Daphne i Avril. Wychodziłam od nich w pośpiechu, bez torebki.

– Jadę w twoją stronę – nie odpuszcza Florence. – To żaden problem.

Z drugiej strony Florence nadal jest problemem, którym muszę się zająć. Nadal nie wiem, co Larry napisał jej w swoim liście. Może przyszła pora, żebyśmy sobie jednak poplotkowały.

– Zajmuję pokój, który nazywa się „dawnym pokojem Florence”, wiedziałaś o tym? – mówię. – Ile minęło czasu od twojego ostatniego pobytu tutaj?

Posyła mi zakłopotany uśmiech.

– One są bardzo lojalne – mamrocze. – Moje auto stoi niedaleko, na końcu ulicy.

Ruszamy do niego, ja testuję teorię, że najlepszą formą obrony jest atak.

– Dlaczego skłamałaś w sprawie Marigold? – pytam zaczepnie.

Florence zwalnia kroku.

– A kto mówi, że skłamałam?

– Powiedziałaś mi, że odnalazłaś jej rodzinę w Krainie Jezior i że ci ludzie zgodzili się ją przyjąć i zaopiekować się nią i jej dzieckiem. Mówiłaś, że chciała jechać. Obie tak mówiłyście, mama i ty. Mówiłyście prawdę?

Florence zatrzymuje się. Stoimy na chodniku i gapimy się na siebie.

– Nie – rzuca. – Nie mówiłyśmy prawdy.

– Jak to, do jasnej cholery? – Na sekundę z wściekłości zapominam o ostrożności.

Florence wzdycha.

– Zrobiłam źle, przyznaję. Ale twoja mama przekonywała, że ty i Luna wystarczająco wiele przeszłyście. To byłaby ostatnia kropla dla was, gdybyście się dowiedziały, że Marigold może coś grozić. Twoja mama poprosiła, żebym skłamała, powiedziała „niewinne kłamstwo”, a ja się zgodziłam. Obie miałyśmy nadzieję, że zanim poznacie prawdę, Marigold się znajdzie. Nie powinnyśmy były kłamać, Cassie, ale zrobiłyśmy to z myślą o waszym dobru.

Ona i mama coś takiego uknuły? Czy to w ogóle możliwe? W sierpniu 1969 roku przez kilka dni spałyśmy u Daphne i Avril. Kiedy wróciłyśmy, Roy Greenwood już nie żył, jego matka wróciła do siebie, a Marigold, rzekomo, do swojej rodziny. Okoliczności były po stronie mamy i Florence, jeśli rzeczywiście nas wtedy okłamały.

– To co się z nią stało naprawdę? – pytam.

W oczach Florence pojawiają się łzy.

– Nie wiem – mówi. – Zniknęła tej nocy, kiedy zmarł Greenwood. Szukaliśmy jej, słowo honoru, ale zapadła się pod ziemię, ona i dziecko. Niedługo potem wyjechałam.

Tej nocy, kiedy zmarł Roy Greenwood? Tej, kiedy przyłapał Johna w moim pokoju i przepędził nas z domu. Mama poszła za nami, zostawiając Marigold samą z Royem i Grace. Jeśli tamtej nocy Marigold coś się stało, winna tego byłam ja.

– Czy Luna wie? Zna prawdę, o to pytam? – rzucam.

Florence kręci głową.

– O ile wiem, to nie. W prasie niewiele o tym pisali. Twoja mama przed nią też mogła to ukryć.

– Nie powinnyście były kłamać.

– Wiem.

Zapędziłam ją w kozi róg, więc postanawiam zaryzykować.

– Czy tato pisał do ciebie przed śmiercią?

Wygląda na zaskoczoną.

– Tak – potwierdza. – Pisał.

– A co?

– Możesz sama przeczytać, jeśli chcesz. To bardzo krótki list. W zasadzie to mogę ci go oddać. Mam go w hotelu. Nie mogę jeszcze tam wrócić, ale możemy umówić się na później.

– Cass, tutaj!

Obie się odwracamy i po drugiej stronie ulicy widzimy Johna.

– Wygląda na to, że problem z podwózką masz rozwiązany – rzuca Florence. – Do zobaczenia później. – Zostawia mnie, a John, wypatrzywszy przerwę w sznurze samochodów, przebiega ulicę.

101

Florence

Mundur, w którym jestem, i moja legitymacja policji metropolitalnej dają mi dostęp do oddziału patomorfologii w szpitalu Burnley General, ale na miejscu, gdy już weszłam, okazuje się, że główny hol świeci pustkami. Przy stanowisku recepcji nie ma nikogo, wszystkie drzwi, które mijam, są zamknięte. Jestem bliska zrezygnowania, kiedy na korytarzu pojawia się technik i pyta, czy może mi w czymś pomóc.

Nie dosłyszałam nazwiska; identyfikator na smyczy jest odwrócony w złą stronę.

– Pamiętam ten przypadek – mówi mężczyzna, kiedy idziemy razem tam, gdzie są gabinety, przechowalnie zwłok i biura. – Jakich informacji pani potrzebuje?

– Jedno z dzieci mogło mieć zespół Downa – odpowiadam. – Chciałabym się dowiedzieć, czy jest o tym mowa w raporcie z sekcji.

Wprowadza mnie do biura.

– Zaraz zobaczymy. – Idzie do szafek na dokumenty w głębi pokoju. Przypuszczam, że łamie wiele przepisów, ale nic nie mówię. Będę korzystała z przychyłności losu tak długo, jak długo się da.

– O jest. – Wyjmuje z szafki teczkę. Otwiera ją i widzę te same zdjęcia, które oglądałam w biurze Briana Rushtona.

– Te – mówię, pokazując największe ze zwłok. – Możliwe, że ta osoba miała zespół Downa?

Technik kręci głową.

– Nie przypominam sobie, żeby doktor coś takiego mówił. Wnioski z sekcji nagrywa na magnetofon, a potem jedna z dziewczyn spisuje wszystko na maszynie. Pamiętam, że była jakaś mowa o karłowatości, ale nie o Downie. Ale proszę zaczekać, mam tu ten raport.

Przekłada strony akt, mamrocząc pod nosem coś, czego do końca nie słucham. Myślę o tym, co powiedział wcześniej: *karłowatość*?

– O, jest – rzuca. – Zwłoki numer trzy, dziecko lat dziewięć do jedenastu, wysunięta kość czołowa i relatywnie krótkie ręce i nogi, znamionujące achondroplazję lub nieproporcjonalnie niski wzrost. Na bazie oceny stanu uzębienia i płytek wzrostu. Szacunkowy czas śmierci – cztery do sześciu lat temu.

Niczego takiego sobie nie przypominam. O niczym takim w raporcie w biurze Briana Rushtona nie czytałam. Obchodzę biurko, stoję obok technika i czytam ponad jego ramieniem.

Zwłoki numer jeden, dziecko lat sześć do ośmiu, płeć nieokreślona, w zaawansowanym stadium rozkładu. Szacowany czas zgonu – początki do połowy lat osiemdziesiątych. Zwłoki numer dwa, dziecko lat trzy lub cztery, z wykręconą stopą, zgon przypuszczalnie nastąpił pod koniec lat osiemdziesiątych. Zwłoki numer trzy, dziecko płci męskiej, lat około dziesięciu, wrodzona karłowatość, szacowany czas zgonu – rok 1995. Zwłoki numer cztery – dziewczynka, młoda nastolatka, zwłoki leżały w ziemi nie dłużej niż dwa do czterech lat.

Która prawdopodobnie nie jest Marigold, bo w raporcie nie ma wzmianki o zespole Downa, ale której śmierć mimo to woła o pomstę do nieba.

Chodzi mi o sprawiedliwość, jak sądzę, ale kipię z wściekłości. Bo raport przygotowany przez patologa, który badał te cztery ciała, i ten z biura Briana Rushtona są zupełnie inne.

102

Cassie

Już myślałem, że nigdy nie wyjdiesz – rzuca John. – Tkwie tu od trzech godzin.

Wpatruję się w niego, jakbym sprawdzała, czy naprawdę istnieje, czy naprawdę tu jest i czeka na mnie. Bierze mnie za rękę i prowadzi wzdłuż ulicy.

– Skończyli z tobą? – pyta ściszym głosem.

Nie skończyli.

– Powiedzieli, że nie wolno mi opuszczać miasta. Jeśli spróbuję wyjechać z Sabden, nawet do Salford, zaarrestują mnie.

Wzdycha.

– Czyli z Indii nici.

Docieramy do furgonetki i wsiadamy do niej.

– Myślę, że musimy porozmawiać – mówi.

– Jedź do pubu – rzucam. – Muszę się dostać do pokoju Florence. Wejdę frontem i wezmę jej klucz.

– Co?

– Muszę coś sprawdzić. To nie potrwa długo. Potem będziemy mogli pogadać. Obiecuję.

– Eee, wybacz, ale właśnie przesiedziałaś trzy godziny na dołku. Aż tak bardzo chcesz tam wrócić?

– Florence jeszcze do siebie nie wraca. Powiedziała mi. Większym problemem jest Tammy. Będzie w pubie?

– Pojechała do matki. Opowiedzieć, co zrobił jej kłamliwy, zdradzający, zboczony mąż. Mimo to nie powinnaś tam iść, Cass. To nie jest dobry pomysł.

– Ale to ważne. Nie musisz mieć z tym nic wspólnego. Wejdź przez kuchnię i czymś się zajmij. Pilnuj tylko tego, żeby Tammy nie wróciła.

– I Florence Lovelady, jak rozumiem.

– Tak, ona też.

Po przyjeździe pod pub rozdzielamy się. John, wyraźnie nieszczęśliwy, wchodzi przez wejście kuchenne. Ja wejściem frontowym. Na haczyku od pokoju siódmego nie wisi żaden klucz. Pewnie nie powinnam być zaskoczona. Florence, kiedy mieszkała z nami, bardzo pilnowała prywatności, aż do przesady.

Wślizguję się za ladę i odszukuję pod nią mały sejf, w którym zawsze trzymane są klucze zapasowe. Sejf oczywiście też jest zamknięty, ale klucz do niego zawsze leżał w najwyższej szufladzie biurka, i teraz też tam leży. Minutę później biegnę schodami do pokoju z numerem siódmym.

Pokój Florence jest największy w pubie, duży dwuosobowy z widokiem na wrzosowiska. Starannie zasłane łóżko mówi mi, że był już sprzątny, więc raczej nikt nie powinien mi przeszkodzić. Pod oknem stoi duże staroświeckie biurko, ale nie leży na nim nic poza ulotkami hotelu i lokalną gazetą. Podchodzę do szafy i otwieram ją na całą szerokość. Walizka Florence leży w środku. Ona też jest zamknięta, ale boczna kieszeń na suwak nie jest, i oczywiście znajduję w niej teczkę, którą zanoszę do biurka.

Na okładce ktoś napisał „Sierpień 1969”.

Z mocno bijącym sercem wertuję strony. To bardzo stare akta, dokumenty są pożółkłe, składają się na nie głównie wycinki z gazet z opisem zamknięcia Black Moss Manor. Listu Larry’ego nie ma w tezcze. Chcę już zabrać się do przeszukania reszty pokoju, ale coś mi nagle przychodzi do głowy. Wsuwam dłoń do bocznej kieszeni walizki. Bingo.

Pismo ojca na podłużnej, wąskiej kopercie. Znaczek z datą na dzień przed jego śmiercią. To jest to.

Idę z kopertą do okna i wyciągam pojedynczą kartkę. Mniej niż tuzin słów, ale wpatruję się w nie o wiele dłużej, niż to potrzebne.

Dzięki mnie były bezpieczne przez trzydzieści lat. Teraz twoja kolej.

I to wszystko? W kopercie nie ma nic więcej. Może była jeszcze jedna strona, ale Florence ją wyjęła? Drzwi za mną otwierają się. Prawie popuszczam w majtki z przerażenia, okazuje się jednak, że to tylko John.

– Co się dzieje? – pyta, zerkając wcześniej za siebie na korytarz.

– Larry napisał list do Florence. Muszę wiedzieć, co w nim jest. To może być ważne. Spogląda w dół na list w mojej ręce.

– To ten? – upewnia się.

– Nie wiem. Możliwe.

Bierze go ode mnie.

– Musimy stąd iść – mówi. – A ty musisz mi kilka rzeczy wyjaśnić.

Nie sprzeciwiam się. Robimy porządek w pokoju i wychodzimy. Tym razem John jedzie za miasto. Po jakimś kilometrze skręca w lewo na wrzosowiska i teraz już wiem, dokąd mnie zabiera.

– Nie wzięłam ręczników – przypominam, kiedy zbliżamy się do Black Tarn.

– I dzięki za to Bogu. – Parkuje auto. Wsiadamy i ręka w rękę idziemy na brzeg. John milczy, wiem, że czeka, że to ja pierwsza zacznę mówić.

– Zrobiłam to – odzywam się w końcu, zapatrzona w wodę uderzającą o brzeg. – Zabiłam Roya Greenwooda.

– Wiem – odpowiada John.

Florence

Nowym domem Dwane'a, postawioną z kamienia willą na skraju miasta, to zupełnie co innego niż chatynka, w której kiedyś gnieździła się cała jego rodzina. Ten dom ma olbrzymie panoramiczne okna i duży garaż. Dębowe drzwi wejściowe to wręcz arcydzieło z pięknym, katedralnym w stylu, witrażowym łukiem. Na wszystkich kolorowych szybkach powtarza się ten sam motyw: lilii tygryziej. Przypomina mi się, że Dwane chciał mi kiedyś podarować wyrzeźbione z drewna lilie tygrysie, twierdząc, że są koloru moich włosów.

Na moje pukanie odpowiada jego żona, Jenny. Widząc wyraz jej twarzy, szybko usuwam uśmiech ze swojej.

– Chciałabym porozmawiać z Dwane'em, jeśli można – mówię, bo Jenny stoi tylko w progu i milczy.

– Jest w warsztacie. – Cofa się do domu. – Na tyłach. Tylko uważaj na psa. Gryzie.

Obchodzę dom i otwieram furtkę z boku. W moją stronę rzuca się ujadający wściekle york. Podbiega blisko i szczeka. Pochylam się, żeby go pogłaskać. York przestaje szczekać i zaczyna merdać ogonkiem. Nie potrafię zliczyć, ile razy Ben prosił nas, żebyśmy wzięli psa. Ben! Muszę się na chwilę zatrzymać i wziąć dziesięć oddechów. Kiedy nie ma go ze mną, jest mi o wiele trudniej.

Na końcu ogrodu Dwane'a stoi jednopiętrowy budynek wielkości małego domu. Idąc za psem, przechodzę przez trawnik. Pukam do drzwi i kiedy nie słyszę odpowiedzi, otwieram je.

W środku zastaję trumny i skrzynie w różnych stadiach wykończenia, ale jako pierwszy moją uwagę przykuwa wielki stół stojący w pobliżu wejścia. Model miasta Dwane'a. Mięło trzydzieści lat od chwili, gdy widziałam go po raz pierwszy, a on nadal zapiera dech w piersiach. Całe Sabden, odtworzone w miniaturze.

– Nadal lubisz małe rzeczy? – mówi do mnie Dwane, a ja podnoszę wzrok i widzę go

stojącego w wejściu w głębi.

– Rozbudowałeś go.

Widzę budynki urzędów miejskich w śródmieściu: bibliotekę, ratusz, lożę masonską, stare gimnazjum; ale większość fabryk, które zapamiętałam z roku 1969 zniknęła z modelu, tak jak zniknęły z samego miasta. Trzydzieści lat temu olbrzymie ceglane kominy dominowały na horyzoncie tego małego miasteczka, a fabryki stały prawie na każdej ulicy. Teraz już tak nie jest.

– Miasto się powiększyło – odpowiada. – Wszędzie powstają nowe domy.

– I zmieniło – rzucam. – Nie zdawałam sobie sprawy, że aż tak, dopóki nie spojrzałam na twój model.

Skradam się po obrzeżach miniaturowego Sabden, szukając domu Daphne i Avril, domu Glassbrooków, kwaciarni na głównej ulicy, zakładu pogrzebowego. Zauważam Starą Fabrykę i zatrzymuję się.

– Zburzę ją – oferuje się Dwane. – Powiedz tylko słowo.

– Nie. – Zmuszam się i odwracam wzrok. – Nie byłoby wtedy wiarygodnie.

– Myślałem, że miałaś wyjeżdżać. Że musiałaś – rzuca Dwane.

– Zostaję na jedną noc. Jeszcze wszystkiego nie załatwiłam.

Usta mu się zaciskają, czoło marszczy, sięga po pilnik.

– Nigdy mi nie opowiadałeś, jak doszło do tego, że przejąłeś prowadzenie Glassbrook & Greenwood – mówię.

– Nie tylko miasto się zmieniło. – Dwane zaczyna szlifować listewkę przeznaczoną do udekorowania wieka trumny. Wzbijający się w górę pył, układa się wokół niego w małe złote obłoczki.

– Larry poprosił, żebym dla niego pracował – kontynuuje. – Po śmierci Roya Greenwooda odziedziczył zakład. Nie mógł prowadzić go z więzienia, więc robiła to Sally, a ja robiłem trumny. Kiedy jej się pogorszyło, zastąpiłem ją i stopniowo dołączyła do mnie Jenny.

Dwane mówi, a ja rozglądam się po pomieszczeniu i zauważam coś jeszcze w głębi pod ścianą. Koło garncarskie. Półki nad nim są zastawione gliną i porcelanowymi figurkami w różnym stanie wykończenia. Podchodzę tam i czuję, że Dwane przerywa pracę.

– Co będzie teraz? – pytam. – Kiedy Larry nie żyje?

Zauważam niedużą figurkę. Wysoka na jakieś piętnaście centymetrów, przedstawia chłopca z dużą głową i raczej krótkimi rękoma i nogami. Włosy ma gęste i kędzierzawe. Sięgam po figurkę i zdejmuję ją z półki.

– Wiele lat temu zostałem pełnoprawnym wspólnikiem. Sally jest... jak to się nazywa? Cichym wspólnikiem? Ostrożnie z tym.

Odstawiam figurkę.

– Cieszę się, Dwane. Zasługujesz na to. Jesteś jednym z mądrzejszych ludzi, jakich znam.

– Mam zręczne ręce, to wszystko. – Znów słyszę odgłos szlifowania.

– To ty? – Wciąż przyglądam się figurce.

– Nie.

Odwracam się i kilka sekund patrzę na tył jego głowy.

– Larry chciał, żebym przyjrzała się sprawie szczątków dzieci znalezionych w Black Moss Manor – oznajmiam. – Tych, które zostały wczoraj skremowane.

– Och, tak. – Nie podnosi wzroku.

– Przed chwilą widziałam raport z autopsji. Wkręciłam się na oddział patomorfologii w Burnley General.

– To do ciebie podobne.

– Jedno z tych martwych dzieci było karłem – mówię. – I nie zmarło dawno temu, jak nam wszystkim wmówiono. Ten chłopiec zmarł pięć lat temu. Więc pomyślałam, że spytam cię, czy nie znasz jeszcze jakichś innych rodzin, w których występowała dziedziczna karłowatość. Żebym mogła się z nimi skontaktować. Może jakieś odgałęzienie twojej. Miałeś wielu braci i sióstr.

Dwane zupełnie nieruchomieje.

Potem odwraca się i widać, że jest zły.

– Wracaj do domu, Florence. I jak będziesz stąd wyjeżdżała, jedź bardzo ostrożnie.

– Wiesz, że tego nie zrobię.

– W takim razie nie mogę ci pomóc.

Odwraca się do mnie plecami i znów zaczyna szlifować, z taką furją, że boję się, że listewka zaraz pęknie.

Jestem już prawie przy samochodzie, kiedy mnie dogania, razem z małym yorkiem, biegnącym obok. W prawej ręce trzyma figurkę chłopca. Tego, który wygląda trochę, tylko trochę, jak on sam, jak Dwane.

– Nigdy nie chciałem mieć dzieci. – Jest zdyszany. – Nie chciałem, żeby mój dzieciak był taki jak ja. Nasz Raymond to był wypadek i jesteśmy szczęśliwi, że go mamy, ale Jenny zaszła w ciążę ponownie, kiedy już myśleliśmy, że jest na to za stara.

Spogląda w dół, na figurkę w swoich rękach.

– Urodził się w domu, w piątek wieczorem – kontynuuje. – Gdzieś mnie wezwano. Czasami zastanawiam się, czy nie było to umyślne. Nie było mnie, Jenny była sama z Raymondem i położną.

– Co się stało?

– Urodził się martwy. Mały chłopinka. Karzeł, jak ja. Duża głowa, krótkie ręce i nogi.

– Przykro mi.

– Jenny złamało to serce. Zawsze chciała mieć liczną rodzinę. Więc co roku na jego urodziny robiłem jej figurkę. Żeby pokazać, jak by wyglądał, gdyby nadal był z nami. Ta jest z zeszłego roku.

Podaje mi figurkę, a ja ją biorę. Teraz, kiedy mi powiedział, wydaje mi się, że widzę w twarzy syna Dwane’a coś z wyglądu Jenny.

– To piękne – mówię. – Jak miał na imię?

– David. Miałby teraz piętnaście lat – odpowiada Dwane. – Byłby w tym samym wieku co...

– Co Ben – kończę za niego.

Dwane bierze mnie za rękę.

– Wszystko dobrze? – pyta po chwili.

Kiwam głową, ale po minie Dwane’a widzę, że ma mi coś więcej do powiedzenia.

– Powiedzieli nam, że urodził się martwy – odzywa się. – Położna wyszła, zanim wróciłem. Zabrała jego zwłoki ze sobą. „Przepisy”, tak się tłumaczyła. Nigdy go nie zobaczyłem.

– To musiało być trudne.

– Tak. Rzecz w tym, że Jenny nigdy w to nie uwierzyła. Zarzeka się, że słyszała, że płakał, tuż zanim położna go zabrała.

Nie spieszę się. Wolno zamykam drzwi samochodu na klucz. Nie pojedę nigdzie w pośpiechu. Myślę, że Dwane po mojej minie domyśla się, co się święci.

– Och, Dwane – mówię. – Och, Dwane.

Nic nie jest w stanie zatrzymać moich łez. Po jakimś czasie Dwane też zaczyna płakać.

104

Cassie

Woda rozlewa się po kamienistym brzegu jak falujące koronki. Zrobiło się zimno i cała drzę.

– Skąd? – pytam Johna. – Skąd możesz to wiedzieć?

John spogląda na mnie.

– Policja nie trzymała cię trzy godziny za nic. I znam cię.

Odczekuję chwilę i znów pytam:

– To coś zmienia?

– U mnie? Nie.

Pochyla się i podnosi kamień, który rzuca do wody. Kamień odbija się trzy razy i z chlupotem tonie.

– Greenwood był wrednym łajdakiem – mówi. – Byłem tam tamtej nocy, pamiętasz? Nie jestem dumny z tego, że uciekłem, zostawiając z nim ciebie i twoją mamę.

– Miałeś piętnaście lat – przypominam mu.

– Jak to zrobiłaś? – Głos ma zaciśnięty, wiem, że jest bardziej przejęty, niż się do tego przyznaje.

– Trucizna – mówię, myśląc: *A co innego? Jestem trucicielką.*

– Policja podejrzewała Sally, prawda?

– Tak, ale nie mieli dowodów. Nie potrafili określić, co go otruło. Medycyna sądowa wtedy to nie to samo co teraz.

– Pozwoliłabyś jej iść do więzienia?

– Nie – zaprzeczam, chociaż prawda jest taka, że nie jestem pewna. To kolejne pytanie z tych, które od lat mnie prześladują.

– Przeszkadza ci to? – pytam.

– Powiedzmy, że będę nastawał na to, żeby to ja gotował. – Otacza mnie ramieniem, a ja przytulam się do niego, oszołomiona ulgą.

– Nie mogą mnie o nic oskarżyć – mówię. – Myślałam, że Larry mógł powiedzieć coś Florence. On i mama wiedzieli. To dlatego musiałam znaleźć ten list, ale jeśli to, co w nim jest, to wszystko, co jej powiedział, to Florence nic na mnie nie ma. A Tammy tam nawet wtedy nie było. Nie postawią mi zarzutów na podstawie tego, co trzydzieści lat temu powiedziała jej ciotka Mary.

– Tammy mnie nie puści – rzuca John. – Jeśli nie uda jej się narobić kłopotów z policją tobie, sięgnie po mnie. A za twoją sprawą wie, że zabiłem Teda.

– Zachowałam się jak idiotka.

Nie oponuje.

– Możemy pozbyć się Tammy i problem będzie z głowy.

Mój ton sugeruje, że żartuję. Ale nie żartuję. Od zawsze wiedziałam, że może się na tym skończyć.

– Nawet sobie nie żartuj.

Myślę o rozkładzie kuchni w mieszkaniu Donnelly'ów, o usytuowaniu starego piecyka gazowego.

– Jeśli Tammy zachowa życie, stracisz dzieci i wnuki. Nawet jeśli policja nic nam nie będzie mogła zarzucić, ona zadba, żeby rodzina o wszystkim się dowiedziała.

– Nic na to nie poradzimy.

Myślę o usytuowaniu luftu na zewnętrznej ścianie. Gdybym go zablokowała, czad zebrałby się w mieszkaniu. Jest niewidoczny i bezwonny. Stare piecyki czasami przepuszczają. Wszystko, co musiałabym zrobić, to dopilnować, żeby Johna nie było w domu.

– Ale jeśli Tammy zniknie ze sceny, dzieci nie muszą się niczego dowiedzieć.

– Nie wierzę, że coś takiego mówisz.

– Już raz to zrobiłam. Ty też. Drugi raz powinien być o wiele łatwiejszy.

Odwraca się do mnie i widzę, że jest zły. I trochę też przestraszony.

– Cassie, przestań wreszcie. To się nie stanie.

On się mnie boi.

– A więc damy jej wygrać?

Schodzi trochę dalej na brzeg, odwraca się do mnie i kręci głową. Mówi serio. Nie pozwoli mi zabić Tammy. Powinnam się na niego wkurzyć, ale z jakiegoś powodu nie jestem zła.

– I skoro jesteśmy przy tych tematach, o co chodzi z tą laleczką wudu, o której tyle gładzą? – pyta. – Dlaczego zrobiłaś moją podobiznę?

Uzmysławiam sobie, że wcale nie chcę zabić Tammy, i cieszy mnie, że John nie chce

pozwolić mi tego zrobić.

– To nie jest lalka wudu. To podobizna z gliny. Do zaklęcia miłości.

Przechyliła głowę na bok.

– Och, i jak to działa?

– Oprócz twojej robię też podobiznę siebie. Potem, kiedy księżyc zaczyna się zmniejszać, łączę je ze sobą jedwabną nicią i błogosławieństwami. Spalam zioła, które zbierałam od wielu dni, i potem ty kochasz mnie już na zawsze.

– Ty cholerna idiotko. – Wraca do mnie i znów mnie obejmuje. – Byłoby tak i bez tego.

105

Florence

Pub Mądra Niewiasta nie zmienił się przez te trzydzieści lat. Domy wokół tak, oczywiście. Niektóre zostały otynkowane; większość ma anteny satelitarne; parapety upiększają doniczki z pelargoniami i niecierpkami. Przed niektórymi drzwiami stoi więcej brudnych szklanych butelek od mleka niż jest kręgli na kręgielni. Ale numer 13 jest taki sam. Otworzyłam drzwi i mrocznym salonem przeszłam do baru.

– Zamówiłam ci sok pomarańczowy!

Abby Thorn jest nieco grubsza, a jej krótkie włosy są teraz zupełnie siwe, ale rozpoznałabym ją wszędzie.

– Nie mogę uwierzyć, że to miejsce nadal istnieje – mówię, dołączając do niej.

– Ktoś wiele lat temu wykupił ten budynek – informuje mnie. – Jest zarządzany przez wspólnotę. Bar na zmianę obsługują stali bywalcy.

– Kto by mógł zrobić coś tak głupiego i niepraktycznego?

– Ja.

Śmieje się, widząc moją minę.

– Mieszkam w mieszkaniu na górze – dodaje. – To znaczy, kiedy jestem w mieście.

Siadam i trącam się z nią szklaneczką. Jestem zaskoczona tym, jak bardzo się cieszę, że ją widzę.

– Całe rano próbowałam skontaktować się z Tomem Devine'em – oznajmia. – Nikt nie wie, gdzie jest. Widziałas go?

Próbuję swojego drinka i uznaję, że jeden łyk wystarczy. Byłoby najlepiej, gdyby niektóre rzeczy pozostały w przeszłości.

– Nie – odpowiadam. – Dzisiaj nie.

Czeka.

Podnoszę wzrok.

– No to, co dla mnie masz?

– Black Moss Manor jest własnością funduszu i działa jako dom wczasowy – mówi. Kiwam głową. To już wiem.

– Ponieważ to własność prywatna i nie ma statusu instytucji charytatywnej, nie ma też obowiązku ujawniania nazwisk fundatorów czy właścicieli – kontynuuje. – Ale znam kolesia, który pracuje w skarbowce i jest mi winien przysługę. Tak zupełnie między nami, znalazł deklaracje podatkowe składane co rok przez W.H.D. Booth i Partnerzy w imieniu małżonków, pana i panią Taylor.

– Wiemy coś o nich?

– Nie mogę znaleźć nikogo, kto by ich kiedykolwiek poznał – odpowiada Abby.

– Czy to mogą być Asterowie? – pytam.

Abby wzrusza ramionami.

– Asterowie po wyjściu z więzienia gdzieś pojechali.

W zamian mówię Abby to, czego sama się dowiedziałam. Że dzieci znalezione za Black Moss Manor prawie na pewno zmarły w ostatnich dwudziestu latach.

– Chwila – przerywa mi. – W „Post” pisali, że zwłoki są bardzo stare. Patomorfologowie też czytują prasę, prawda? Ten lekarz od autopsji coś by powiedział.

– Niekoniecznie. Raport z autopsji pochodzi z szesnastego lipca – odpowiadam. – To cały tydzień po ukazaniu się artykułu w „Post”. Informacje w nim podane były spekulacjami, których policji nie chciało się później korygować. A obowiązkiem patomorfologa jest złożenie raportu policji, a nie informowanie prasy.

– W takim razie jakim cudem na policję trafił całkowicie inny raport?

– Bardzo dobre pytanie – przyznaję.

Abby nadal marszczy czoło.

– Nie mogę uwierzyć, że nikt tego nie skorygował.

– Dzieci zostały wczoraj skremowane. W tym samym dniu, w którym chowaliśmy Larry’ego. Ktoś wiedział, że uwaga prasy i publiki będzie skupiona na drugiej stronie miasta.

– Jezu.

– Tak.

Abby pije i myśli. Po kilku chwilach mówi:

– A więc te dzieci zmarły już po zamknięciu domu dziecka?

– Tak.

– Ale jak to możliwe? – pyta. – Przecież nikt nie dostałby pozwolenia na ponowne otwarcie domu dziecka w tym miejscu.

Sama się nad tym zastanawiałam.

– Mógł tam powstać nieoficjalny sierociniec. Opiekunowie prawni dawnego domu byli bardzo wpływowymi osobami. Przypuszczam, że pociągnęli za kilka sznurków i przekonali ludzi, żeby przymknęli oko. Niektóre z dzieci mieszkających tam wcześniej wróciły. Inne stopniowo dochodziły. Skala się zmniejszyła – zamiast dwudziestki czy więcej, jak było wcześniej, dzieci była garstka – ale cokolwiek się tam działo przedtem, działo się nadal.

– Gdybyśmy tylko wiedziały, co to było. – Abby posyła mi cwany uśmieszek, który tak dobrze pamiętam.

– No co? – pytam.

– Znalazłam Sandrę Cartwright – ujawnia. – Chcesz ją odwiedzić?

Sandra Cartwright to ta kobieta, która pracowała w Black Moss Manor w latach sześćdziesiątych, ta, z którą poszedł się spotkać Randy Butterworth w dniu, w którym zginął.

– Cartwright poszła do więzienia – przypominam. – Potwierdziła wersję wydarzeń podaną przez Asterów. Dlaczego miałyby ją teraz zmieniać?

– Może nie zmieni – mówi Abby. – Ale spróbować warto. Skoro umiera, to kto wie.

Sandra Cartwright swoje ostatnie dni spędza w hospicjum lecznicy Blackburn Royal. Jest maleńka, pośliznęła ze starości i choroby, i kiedy z Abby wchodzimy do jej pokoju, nie liczę nawet na to, że jest przytomna, co dopiero, że będzie miała coś użytecznego do powiedzenia. Siadamy po obu stronach jej łóżka i Sandra otwiera oczy. Rozszerzają się ze strachu, kiedy dostrzega mój mundur.

Abby i ja poświęciliśmy wcześniej trochę czasu na ustalenie, jak to rozegramy. Wiemy, że mamy tylko jedną szansę.

– Przełożona mówiła nam, że dwa dni temu był u pani ojciec Peter – zaczynam. – Wypowiadała się pani?

Oczy Cartwright zwężają się, potem ode mnie przeskakują do Abby.

– Jestem katoliczką – mówię, naginając nieco prawdę. Od lat się nie modłę. – A ty Abby?

– Bardzo gorliwą – potwierdza. – Nigdy nie opuszczam niedzielnych nabożeństw.

– Dlatego wiemy, że spowiedź przed księdzem nie liczy się, jeśli grzech jest kontynuowany – ciągnę.

– Nie liczy się ani trochę – potwierdza ponuro Abby.

– Musi się pani wypowiadać teraz przed nami – mówię. – Wtedy odejdzie pani do

Jezusa Chrystusa w pokoju. Musi nam pani powiedzieć całą prawdę o Black Moss Manor.

Oczy Cartwright, zmatowiony błękit w plamie żółci, napełniają się łzami, jej usta drżą. Przypominam sobie, że choć jest krucha, umierająca i przestraszona, to jest też tak zła, jak to tylko możliwe, i nie zasługuje na litość.

– Wiem, że byłaś zastraszana przez Asterów i radę nadzorczą Black Moss – dodaje. – Wiem, że zamierzałaś powiedzieć Randy’emu Butterworthowi prawdę. Wiem, że oni go zabili i rozumiem, że się bałaś. Ale teraz już nic ci nie mogą zrobić.

– Czas pomyśleć o swojej nieśmiertelnej duszy – dodaje Abby.

– Za domem dziecka pogrzebano czwórkę dzieci – rzucam. – Musisz nam powiedzieć, kim one były i co się z nimi stało.

Szczerze mówiąc, nie oczekiwałam, że będzie łatwo, ale bliskość śmierci ma najwyraźniej większy wpływ na ludzi, niż sądziłam. Sandra Cartwright zaczyna mówić.

Godzinę później wsiadamy z Abby do samochodu. Mnie drżą ręce, Abby jest niezwykle cicha od wyjścia z hospicjum.

– Masz wszystko? – pytam.

Wyciąga magnetofon z kieszeni i sprawdza.

– Tak – potwierdza po sekundzie. – Robiłam też notatki. Wierzysz w to?

Nie spieszę się.

– To znaczy to było dość niesamowite – mamrocze Abby.

„Niesamowite” w nawet małym stopniu nie opisuje tego, co właśnie usłyszałyśmy.

– Wierzę, że ona w to wierzy – odpowiadam.

– Mogę trochę powęszyć – oferuje się Abby. – Dowiem się, czy jest coś, co potwierdzi to, co ona mówi.

– Przydałoby się – zgadzam się.

– Czy to wystarczy? – pyta Abby. – Mamy tyle, ile potrzeba?

Kręcę głową.

– Samo nie. Gdyby dało się wziąć ją na świadka, możliwe, ale tak się nie stanie. Wątpię, że dożyje jutra. A dobry obrońca rozszarpałby nagranie na strzępy. Nie ma adwokata. Może mieć demencję. Mogła zostać przymuszona do zeznań.

– A więc niczego nie osiągnęłyśmy?

Nie chcę tak uważać.

– Podaj mi jeszcze raz te nazwiska – proszę.

Abby otwiera notes.

– Wendy Howarth i jej syn niemowlę... – zaczyna.

– Nie – przerywam. – Wendy nie jest jedną z tej czwórki. Jeśli wierzymy w to, co mówiła nam Marigold, Wendy zmarła przed rokiem 1969. Jej ciało i ciało jej dziecka już by się całkowicie rozłożyły. Mów dalej.

– Ian Wilson – czyta Abby. – Siedem lat. Niezdiagnozowany hemofilik, który wykrwawił się na śmierć. Następnie Nigel Yates, trzy lata, znaleziony martwy w swoim pokoju pewnego poranka. Prawdopodobnie zabity przez jedno z pozostałych dzieci.

– Trzecie zwłoki należały do Davida Ogilvy’ego – mówię. – Syna Dwane’a i Jenny, który zmarł z wycieńczenia na wrzosowiskach podczas próby ucieczki.

– I Beverly Robinson, która powiesiła się w swoim pokoju, bo nie mogła dłużej wytrzymać. Ta dziwka pamiętała wszystkie nazwiska. Zwróciłaś uwagę?

– Nie wierzę w piekło – rzucam. – Ale gdybym wierzyła...

– Ja też – mamrocze Abby, zgadzając się ze mną.

– Ona jest już poza naszym zasięgiem – dodaję. – To Asterów musimy teraz znaleźć.

Siedzimy kilka sekund dłużej, zastanawiając się. Potem Abby pyta:

– To od czego zaczynamy?

– Ty jedź do domu, siądź do komputera i wszystko spisz, a potem prześlij komuś zaufanemu – mówię. – I zabierz się do tego węszenia, jak obiecałaś.

Otwiera usta, żeby zaprotestować.

– Abby, oni nie będą siedzieli beczynnie. Poprzednim razem uderzyli w nas obie, a ty jesteś teraz łatwiejszym celem niż ja. Chcę, żebyś się nie wychylała. Wróć do domu, pozamykaj drzwi i nie otwieraj ich, dopóki się do ciebie nie zgłoszę.

– Florence, ja nie...

– O tym, co właśnie powiedziała nam Cartwright, musi oprócz nas dowiedzieć się ktoś jeszcze. Ty to zrobisz lepiej ode mnie.

Chyba uznaje, że ma to sens, bo przestaje się opierać.

– No dobra, a co z tobą? Jaki masz plan dla siebie? – pyta.

Uśmiecham się.

– Zamierzam wywabić ich z nory.

106

Cassie

Głodna? – pyta mnie John, kiedy zjeżdżamy z wrzosowisk.

– Umieram z głodu. – Gmeram przy gałce radia, w nastroju na wesołą, inspirującą muzykę. Nie pamiętam, kiedy ostatnio jadłam. Teraz to nadrobię. Zacznę od dużego angielskiego śniadania, potem porządny obiad popity cydrem. Krótka drzemka z Johnem i później długa leniwa kolacja.

– Może zjemy na mieście? – proponuje John.

Może być na mieście. Big Mac na przykład. Cokolwiek zresztą. Nastawiam Radio One, bo leci kawałek Creedence Clearwater Revival. *Bad Moon Rising*. Słucham pierwszych słów zwrotki i przechodzi mi cały głód.

– John, odpuśćmy to sobie. Zabierzmy nasze rzeczy i jedźmy do mnie.

Skreca na główną drogę.

– Tobie nie wolno opuszczać miasta, moja ucieczka nie będzie wyglądała dobrze, jeśli Tammy pójdzie na policję i powie o Tedzie.

Ma rację, ale... Nie mogę słuchać tej piosenki w tej chwili. Nic nie musi mi przypominać, że dzisiaj znów ma być nów. Kręcę gałką i znajduję BBC Radio Lancashire.

„– Policja z Lancashire nadal nie chce potwierdzić rzekomego zaginięcia inspektora policji z Sabden, Toma Devine’a – mówi spiker. – Devine był jedną z ważniejszych osób, które doprowadziły do postawienia przed wymiarem sprawiedliwości sławnego seryjnego zabójcy, Larry’ego Glassbrooka, i sądzi się, że zaginięcie Devine’a w krótkim czasie po pogrzebie Glassbrooka może mieć z tym jakiś związek. Nasza reporterka Abby Thorn rozmawiała wcześniej z detektywem komisarzem Brianem Rushtonem.

– Inspektor nie ma dzisiaj służby – płynie z radia głos Rushtona. – I na razie nie mam na ten temat nic więcej do powiedzenia.

– Komisarzu, czy potwierdzi pan, że toczą się poszukiwania inspektora Devine’a? –

pyta reporterka. – Myśli pan, że mogło go spotkać coś złego?

Pytanie pozostaje bez odpowiedzi, spiker powraca do swojej relacji.

– Rodzice Toma Devine’a, Harold i Mary, odmówili komentarza. Z pozostałych wiadomości: plany budowy obwodnicy Burnley zostały...”

Wyłączam radio. John wygląda na tak samo zaskoczonego jak ja.

– Tom Devine zaginął? – mamrocę. – Co się dzieje, do diabła?

Florence

Trzydzieści lat po tym, jak robiliśmy dokładnie to samo, Tom i ja idziemy porośniętą po bokach krzewami wawrzynu drogą ku Black Moss Manor. Trzydzieści lat temu trzymał mnie za rękę. Dziś nie trzyma. Jest na mnie zły.

– To niedobry pomysł, Floss – mówi, kiedy podchodzimy do drzwi wejściowych.

– Nikt cię nie pytał o zdanie.

Kamienne ściany dworku zostały oczyszczone i otynkowane. Rynny i łupkowy dach naprawione, a podjazd wysypany świeżym żwirem. Na froncie ciągnie się pas zielonych krzewów, nowe drzwi są pomalowane błyszczącą ciemnogrnatową farbą. Black Moss Manor wygląda zupełnie inaczej, ale atmosfera jest taka sama.

– Gdzie samochody? – pytam.

– Co proszę?

– To miejsce to teraz podobno dom wczasowy dla zestresowanych ludzi zmęczonych pracą – przypominam. – Gdzie są auta rezydentów?

– Może przychodzą pieszo, wędrują przez wrzosowiska, jak pielgrzymi.

Wewnątrz budynku słychać jakiś hałas.

– Ktoś idzie.

– Nie mogę się w to mieszać.

– Więc idź się przejść.

Kiedy kroki Toma cichną, oddalając się, inne się przybliżają. Drzwi się otwierają i przede mną pojawia się jakiś mężczyzna. Jest dość młody, koło trzydziestki, i ma jasnobrązowe włosy. Jego oczy są wąskie i głęboko osadzone, jasnobłękitne, w brodzie widnieje dołek. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że już gdzieś tego mężczyznę widziałam.

– W czym mogę pomóc? – Brzmi jakby był zdenerwowany. Jego głos też brzmi znajomo.

Pokazuję legitymację. W Lancashire nie mam prawdziwej władzy, ale większość ludzi nie zdaje sobie z tego sprawy.

– Zastępca komisarza Florence Lovelady z policji metropolitalnej – przedstawiam się.
– Mogłabym rozmawiać z osobą zarządzającą?

Mężczyzna, jeszcze przed sekundą zaskoczony, rozluźnia się.

– Chodzi o szczątki dzieci? Spodziewaliśmy się was. Proszę wejść.

Wchodzę za nim do holu. Teraz stoi w nim duży dębowy stół, wypolerowany na wysoki połysk, a na nim wielka miedziana misa na owoce. W pustym kominku stoją kwiaty. Światło jest ciepłe i jasne, zupełnie inne teraz, gdy z okien zdjęto kraty.

– Nazywam się Bracken Lee – przedstawia się mężczyzna. – Akta mam już przygotowane.

Zapowiada się lepiej, niż mogłam mieć nadzieję. Lee spodziewał się odwiedzin policji i zakłada, że to ja jestem tą osobą, która miała przyjechać. Idę za nim obok schodów do pokoju, który jak pamiętam, był biurem Judith Aster.

– Proszę. – Lee pokazuje, że powinnam usiąść. Robię to, przy okazji zerkając przez okno i widząc, że teren na tyłach wreszcie zaczął przypominać ogród. Nikogo w nim jednak nie ma.

– Żaden z rezydentów nie zażywa świeżego powietrza? – pytam.

– Na wrzosowiskach bywa chłodnawo, posterunkowa Lovelady – odpowiada Lee. – Nie wolno o tym zapominać. – Przesuwa do mnie po blacie teczkę. – To są akta każdego dziecka, które zmarło tu od 1925 roku. Streszczenie znajdzie pani na wewnętrznej stronie przedniej okładki. Akta w większości składają się z aktów zgonu, szczegółów pochówków, listów wysłanych do rodzin.

– Bardzo sumienne zestawienia – chwalę. – Ale czy akta nie zostały zniszczone przez pożar?

Lee nadal stoi, prawie na baczność, po drugiej stronie biurka.

– Te musiały być w tej części budynku, która nie uległa tak dużym uszkodzeniom jak pozostałe. Policja musiała je zwrócić, kiedy zamknęła dochodzenie.

Nie przypominam sobie, żeby jakieś akta były przekazywane policji.

– Czy spotkał pan kiedykolwiek Asterów? – pytam, obserwując mężczyznę uważnie.
– Tych lekarzy, którzy prowadzili to miejsce, gdy doszło do pożaru.

Wzrusza ramionami z przeproszającą miną.

– To było, zanim tu nastąpiłem. Prowadzę ten dom dopiero od pięciu lat. I zaoszczędzę pani trochę czasu, jeśli pani pozwoli. Każde dziecko, które zmarło tu od 1925 roku, było chowane w mieście. Jeśli pani zajrzy do dokumentów, znajdzie pani faktury zakładu

pogrzebowego.

Przerywam kontakt wzrokowy, żeby przewertować strony. Faktycznie są faktury wystawione przez Glassbrook & Greenwood. Rozpoznaję charakter pisma Larry'ego.

– Czy pan i pani Taylor są może dostępni? – pytam.

– Tutaj ich nie ma, niestety – odpowiada Lee.

– A kiedy wracają?

– W przyszłym tygodniu. Nie wiem, którego dnia dokładnie. Ale chętnie odpowiem za nich na wszystkie pytania, jeśli jakieś pani ma.

– Czy ci państwo nosili kiedykolwiek nazwisko Aster?

Spojrzenie mężczyzny twardnieje.

– Już chyba mówiłem, że nigdy nie poznałem Asterów.

– Nie, tego pan nie powiedział. Mówił pan, że prowadzili to miejsce na długo przed pana nastaniem.

Lee nic na to nie odpowiada, ale jego szczęka wyraźnie się napina.

Znów zaglądam do teczki. Osiem pogrzebów między 1946 a 1969 rokiem, w tym trzy małych dzieci. Dokładnie tak, jak mówił Larry.

– A więc ta czwórka dzieci znaleziona na zewnątrz, to zgony poprzedzające wszelkie znane zapisy – stwierdza Lee. – Kiedy je znaleziono, uznaliśmy, że to bardzo stare szczątki.

– Albo zgony, które nie zostały zarejestrowane – dopowiadam. – Ciała, które musiały zniknąć.

– Dzieci podległe miejscowej opiece społecznej nie znikają – rzuca Lee. – Nie było tak nawet w zamierzchłej przeszłości.

– Kiedy ostatnio mieszkały tu jakieś dzieci?

Lee marszczy czoło.

– W 1969 roku. Jestem zaskoczony, że musi pani pytać.

– Od tamtej pory żadnych tu nie było?

– Dom dziecka został zamknięty.

– A teraz są tu jakieś dzieci? – dociekam dalej.

Potrząsa głową.

– Dlaczego miałyby być?

– Czytałam dzisiaj raport z sekcji zwłok – oznajmiam. – Jednego z czwórki dzieci znalezionych na zewnątrz. Ktoś z posterunku był mi winien przysługę. I widziałam zdjęcia tych zwłok.

Lee wytrzymuje moje przedłużone spojrzenie, ale ja od dawien dawna przesłuchuję

podejrzanych. Dostrzegam zmianę w jego oczach.

– I czego się pani dowiedziała? – pyta.

– Tego, obawiam się, nie mogę niestety panu powiedzieć.

Twarz mu nieco pochmurnieje, ale zaraz lekko się uśmiecha, chytrze.

– Szczątki dzieci zostały wczoraj skremowane. Widziałem to, byłem przy tym.

Pozwalam mu na ten moment triumfu, ale pilnuję, żeby trwał krótko.

– W kryminalistyce nastąpiły zaskakujące postępy – rzucam. – Zwłaszcza w dziedzinie badania DNA. To dopiero początki, ale prowadzone są już próby identyfikacji DNA ze skremowanych szczątków.

Lee kręci głową.

– To nie jest możliwe.

– Nie jest łatwe. I być może jeszcze nieuznawane przez sąd. Ale jeśli w prochach znajdują się ślady kości czy zębów, wyniki mogą być ogromnie zachęcające.

Wpatruje się we mnie, nie wiedząc, czy blefuję, czy nie.

– Mam te prochy. – Zniżam głos niemal do szeptu. – Byłam wcześniej w krematorium. Zabrałam urnę.

Jego spojrzenie znowu twardnieje; potem podnosi słuchawkę telefonu i wybiera jakiś numer.

– Rob, to ja. Gdzie jesteś, stary?... Aha, dobra, mógłbyś tu przyjść? Teraz.

Lee odkłada słuchawkę, a ja dochodzę do wniosku, że nie mam ochoty poznawać Roba. Wstaję.

– Pochodzi pan z Lancashire, panie Lee. Nie ma pan tutejszego akcentu.

– Byłem adoptowany jako dziecko. Nie wiem, skąd pierwotnie pochodzę.

Wyławiam kluczyki z torebki i zaciskam je mocno w dłoni.

– Myślę, że zobaczyłam wystarczająco wiele. Dziękuję panu.

Wychodzę z biura pierwsza i szybkim krokiem zmierzam do wyjścia. Kiedy przechodzimy przez hol, czuję bijące od mężczyzny u mojego boku drżenie dławionej energii, ale jest niewysoki, raczej przysadzisty, nie wydaje mi się, żeby sam jeden stanowił dla mnie większe zagrożenie. Mimo to staram się trzymać od niego na odległość ramienia.

Przy drzwiach nieco się rozluźniam i wyciągam prawą dłoń.

– Skąd pan wiedział, że tu kiedyś mieszkałam? – pytam. – Powiedziałaś, że jestem z Policji Metropolitalnej. I dlaczego zwrócił się pan do mnie per posterunkowa Lovelady? Od lat nikt mnie tak nie tytułuje.

On też wyciąga dłoń.

– Och, panią, Florence, znają wszyscy.

W innych okolicznościach coś bym na to odpowiedziała, ale teraz patrzę na wyciągniętą do mnie dłoń. To zupełnie normalna dłoń młodego mężczyzny, ma jednak niewielki defekt, którego z jakiejś przyczyny, Lee nie chciało się skorygować. Przez ostatnie kilka minut intuicja podszeptowała mi, że ten znajomo wyglądający młody człowiek jest synem Fredericka i Judith Asterów. Nie jest. Czuję, jak dodatkowy palec jego prawej dłoni wciska mi się w skórę.

Lee doskonale wie, co myślę.

– Urodziłem się z tym – wyjaśnia. Nadal trzyma moją dłoń, stojąc krępująco blisko.

– Wiem – odpowiadam. – Byłam tam.

Jego brwi unoszą się w górę, puszcza moją rękę. Idąc do samochodu, nie oglądam się za siebie. Robię to dopiero, kiedy jestem już w aucie i trochę odjechałam. Spoglądam w lusterko wsteczne. Mężczyzna, którego w nim widzę, a który przygląda się mojemu odjazdowi, kiedy się urodził, dostał na imię Henry. Jest synem Marigold McGowan.

108

Cassie

John podwozi mnie pod dom Daphne i Avril, ale nie chce wejść. To mi uzmysławia, że nigdy nie będzie chciał chętnie przyznawać się do tego, że jest moim partnerem przy ludziach, którzy nas znają. Piętno kazirodztwa jest zbyt mocne. Pozytywem jest to, że kazał mi się spakować. Mówi, że znajdzie pokój w mieście i że za dwie godziny po mnie przyjedzie.

– Kochanie! – woła Daphne na mój widok. – Martwiłyśmy się... Och, mój Boże, wyglądasz jakoś inaczej. Coś wyraźnie podniosło cię na duchu.

Przechodzę przez kuchnię i zamykam Daphne w objęciach. No prawie.

– Przepraszam, że byłam taką wredną suką – mamroczę.

Daphne, zaskoczona, wydaje cichy pisk radości.

– Gdzie Avril? – pytam. Ją pewnie też powinnam przeprosić. Ale może nie ścisnąć. Te wszystkie kości.

– Przy telefonie. – Daphne ogląda się na drzwi do gabinetu. – Rozmawia z Dwane'em, jak sądzę. Trochę się niepokoiimy o Florence.

Czekam, aż mi powie dlaczego. Nie mówi.

– O co chodzi z moją mamą? – pytam. – Wiem, że mnie nienawidzi i pewnie ma ku temu powody, ale dlaczego udaje, że ma demencję?

Daphne chwilę myśli.

– Wszyscy mamy jakieś mechanizmy obronne – odzywa się wreszcie. – Myślę, że Sally dotarła do punktu, w którym dłużej nie radziła sobie z życiem. Więc się z niego wycofała. I wcale cię nie nienawidzi. Cóż za nonsens. Herbatki, kochanie?

– I to było przeze mnie? – nie odpuszczam. – Że mama wycofała się z życia?

Daphne na sekundę nieruchomieje.

– Ale dlaczego, na Boga, w ogóle tak myślisz?

Nie mogę jej powiedzieć. A potem przychodzi mi do głowy, że może ona wie.

Widzę, że stoi nieruchomo i przez okno kuchenne wpatruje się w niebo. Już otwieram usta, żeby zapytać, czy dobrze się czuje, ale nagle dociera do mnie, co robi. Wypatruje nowiu.

– Zamierzam znaleźć pokój w mieście – oznajmiam. – Nie będę wam dłużej przeszkadzać. Pójdę się spakować.

– Nie możesz nas jeszcze zostawić. – Daphne otrząsa się z letargu i wyciąga z szafki filizanki. – Dziś w nocy jest zebranie.

– Jakie znowu zebranie?

– Sabatu. – Daphne usiłuje znaleźć herbatę, przestawia wszystko w szafce. – Zbieramy się o zmierzchu. Przy Malkin Tower.

– Dziś jest nów – zauważam, choć Daphne oczywiście świetnie o tym wie. – A puszka z herbatą stoi przed tobą.

– Mimo wszystko – rzuca Daphne. – Ach, no tak. Dziękuję, moja droga.

Sabat księżycy nigdy nie zbiera się podczas nowiu. Nawet ja to wiem. W tym momencie w drzwiach staje Avril.

– Czy to był Dwane? – pyta Daphne.

– Marlene. – Avril ma ponurą minę. – Florence ostatnio widziano, jak jechała do Black Moss Manor.

– O Boże. – Daphne odstawia czajniczek. – Rzuciła im rękawicę, co?

Avril nie odpowiada. Jej mina za to mówi wiele. Gdybym tylko umiała ją rozszyfrować. Z pewnością jednak nie jest to mina zachęcająca do przytulania. Zdecydowanie odpuszczę sobie obejmowanie Avril.

– Oni coś zrobią – mówi Daphne. – Teraz, kiedy dzieci są skremowane, myślą, że są nietykalni.

– Co się dzieje? – pytam. – Kim są „oni”?

– Muszę do niej zadzwonić – mamrocze Avril.

– Widzę, że macie wiele na głowie – próbuję ponownie. – Nie potrzebujecie mnie teraz, tylko będę wam przeszkadzać. Pójdę na górę i się spakuję.

– Cassie, zostajesz z nami! – woła za mną Daphne. Chyba jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby jej głos brzmiał tak rozkazująco. – Idziesz na sabat.

Kiedy się odwracam, słodka gruba starsza pani, którą znam od urodzenia, wygląda zupełnie inaczej. Przypominam sobie o czymś, o czym nie powinnam nigdy zapominać. Z wiedźmami się zadziera.

– Daphne ma rację – mówi Avril. – Chciałyśmy z tobą porozmawiać. Już pora. Ale Florence wprawiała w ruch łańcuszek wydarzeń i naprawdę nie wiem... – urywa. Mam

wrażenie, że jeszcze chwila i się rozpłacze.

– Dzwon do niej – mówi Daphne. – Dowiedz się, gdzie jest.

Avril pospiesznie wychodzi z kuchni. Daphne podchodzi do mnie.

– Po dzisiejszej nocy będziesz mogła robić, co tylko zechcesz i z kim tylko zechcesz.

Ale najpierw będzie rozliczenie.

– Dlaczego nie możecie...

Podnosi rękę, ale to błysk w jej oczach, bardziej niż ten gest, zamyka mi usta.

– Pogubiłaś się, Cassie. Jesteś pogubiona od wielu lat. Możemy ci pomóc odnaleźć drogę do domu, jeśli nam zaufasz.

– Ale...

– I my też potrzebujemy pomocy. Dzieje się więcej, niż sobie uzmysławiasz, i czy tego chcesz, czy nie, jesteś w to zamieszana. Potrzebujemy cię.

– Ja nie...

Wali ręką w stół, mocno.

– Cassandro, jesteś wiedźmą – mówi. – Twoje miejsce jest przy nas.

Florence

Chyba nieco przeszarżowałam. Gorzej, chyba nie doceniłam ludzi, z którymi się mierzę. Cały dzień poświęciłam na prowokowanie ich – wykradłam urnę z prochami dzieci, nakłoniłam Briana Rushtona, żeby pokazał mi raport z autopsji, podjudzałam Brackena Lee. Nie mogę oczekiwać, że nie przypuszczą ataku zwrotnego.

Przyjdą po mnie.

Nie mogę wrócić do swojego pokoju w Czarnym Psie. To będzie pierwsze miejsce, do którego zajrzą. Nie mogę iść do biura Avril ani do domu, w którym mieszka z Daphne. Tam będą mnie szukali w następnej kolejności. Dwane też będzie na ich radarze. Tymczasem dzień dobiega końca. Słońce wisi nisko nad horyzontem, a księżyc, kiedy wzejdzie, będzie w nowiu.

Po odjechaniu od Black Moss Manor na bezpieczną odległość dzwonię do Scotland Yardu i czekam na połączenie z komisarzem. Jego język, kiedy wyjaśniam swoją sytuację, przekracza moje oczekiwania, a nieraz słyszałam, jak się burzył na przeklinanie. Kiedy kończę, milczy.

– Czy tyle wystarczy? – pytam ponagląjąco.

– Powiedz jeszcze raz, co masz – mówi.

– Raport z sekcji, który nie pasuje do tego, który ma policja w Sabden.

– Żaden nie jest w twoim posiadaniu – przypomina mi.

– Skremowane prochy, które mogą zawierać DNA łączące jedno z martwych dzieci z Dwane'em i Jenny Ogilvy.

– Równie dobrze może tak nie być. A procedura badania DNA z prochów jest niesprawdzona.

– Nagrana przy świadkach rozmowa z Sandrą Cartwright, która ze szczegółami opisuje to, co się działo w Black Moss Manor.

– Dobry obrońca zrobi z tego miazgę.

– Opinię ekspercką antropologa Caroline Trickett mówiącą, że znalezione szczątki nie mogą pochodzić z czasów, gdy dom dziecka działał.

Komisarz chrząka.

– To się może przydać. Ale tylko wtedy, kiedy będziemy mieli ten fałszywy raport.

– I mężczyzna nazywający się Brandon Lee. Moim zdaniem syn kobiety, która zaginęła w 1969 roku. Jeśli mam rację, papiery adopcyjne będą podrobione, co kontrola łatwo wykryje.

– Florence – mamrocze komisarz. – Szczerze mówię, że nie wiem, co powinienem z tym zrobić.

– Czy to, co mam, wystarcza? – powtarzam swoje pytanie.

– Do rozpoczęcia śledztwa – tak. Ale czy to ma szansę w sądzie...

Ma rację.

– Muszę ich wypłoszyć – przyznaję. – Możesz mi tu przysłać ekipę? Dzisiaj.

Mój szef zasysa powietrze przez zaciśnięte zęby.

– Prosisz o wiele, Florence.

– Dla martwych dzieci, sir. Co najmniej czwórki.

– Nawet, jeśli dowiedziesz, że to była zbrodnia, nie masz podejrzanego.

– Dlatego muszę ich docisnąć.

Znów wzdycha.

– I jak zamierzasz to zrobić?

Wyjaśniam. Szef rzuca mięsem.

– Florence, minie co najmniej kilka godzin, zanim ktoś tam do ciebie od nas dojedzie. A ci ludzie wydają się niebezpieczni.

– Postaram się nie wchodzić im w drogę. Mam tu przyjaciół.

Znów klnie i rozłącza się. Mnie pozostaje mieć nadzieję, że załatwi to, co ma załatwić. A na razie wszystko, co mogę zrobić, to opracować własny plan. Jadę do domu Glassbrooków na obrzeżach miasta. Gospodyni, Mary, wczoraj zaraz po pogrzebie Larry’ego pożyczyła mi swój klucz, który zapomniałam zwrócić. Parkuję i wysiadam. Otwieram bagażnik, żeby zabrać urnę, i z zaskoczeniem stwierdzam, że w bagażniku leży skórzana kurtka Bena. Podnoszę ją i wącham. Pachnie nim. Czuję się tak, jakby Ben znów był ze mną, a z Benem u boku nie istnieje nic, czego nie mogłabym zrobić. Zamykam bagażnik, zakładam kurtkę i idę z urną do starych uli Sally. Równie dobre miejsce, żeby w nim coś ukryć, jak każde inne.

Kuchnia wygląda tak samo jak wyglądała, gdy wychodziłam stąd kilka godzin temu. Ale w korytarzu coś się zmieniło. Ktoś tam stoi. Wysoki ciemnowłosy mężczyzna,

który w przyćmionym świetle wygląda dokładnie tak, jak wyglądał trzydzieści lat temu.

– Musimy pogadać – oznajmia Tom.

110

Cassie

Daję słowo, że ostatnią rzeczą, którą chce mi się robić tego wieczoru, to tańczyć wokół ogniska na Pendle Hill z bandą walniętych staruch. Jestem już spakowana. Mamy już z Johnem wynajęty pokój nad pubem niedaleko Czarnego Psa. Chcę rozpocząć życie, o którym marzyłam przez trzydzieści lat. Ale Avril i Daphne były dla mnie dobre. I żadna nie chce nawet słyszeć, że nie wezmę udziału w sabacie.

W powietrze strzela snop złotych iskier. Po drugiej stronie ogniska twarz Avril w blasku płomieni wygląda jak czaszka. Obok niej stoją moja matka, potem Luna.

– Jest nas niewiele – mówi Avril. – Ale trzymamy się razem. – Wychodzi na przód i rzuca garść ziół. Ogień zmienia kolor, w sercu ogniska rozkwita jaskrawy pióropusz szafiru.

Jest nas siedemnaście. Dużo, naprawdę dużo. Sabat normalnie ma trzynaście członkiń i wszystkie się zjawily. My, trzy kobiety Glassbrooków i Florence Lovelady, jesteśmy dodatkowymi siłami.

– Jesteśmy słabe! – woła Marlene Labaddee, rzucając do ogniska jeszcze więcej ziół. – Ale jesteśmy przebiegłe. – Stoi obok swojej córki, po mojej prawej stronie. Z mojej drugiej stoją Jenny Ogilvy, żona Dwane’a, i kobieta, która chyba jest jej siostrą. Jestem zaskoczona, że widzę Mary, naszą starą gospodynię, i krańcowo zdumiona, że Przerazająca Perdita jest tu ze swoją matką.

– Jesteśmy stare – mówi Daphne. – Ale mamy wiedzę.

– Oni się nas boją – przejmuje pałeczkę Avril, po tym gdy Daphne rzuca zioła do ognia.

– Oni się nas boją. – Powtarza Marlene.

Zamienia się to w skandowanie, do którego, rzuciwszy mi rozbawione spojrzenie, dołącza nawet Luna.

– Oni się nas boją. Oni się nas boją.

Daphne, która przewodziła sabatowi księżycy, odkąd byłam dzieckiem, i jak widać, mimo jej zaawansowanego wieku, nadal mu przewodzi, podnosi ręce na znak prośby o ciszę.

– Usiądźcie, siostry – mówi. – Głos ma Florence.

Siadamy i tylko Florence pozostaje na nogach. Blask płomieni wygładza rysy jej twarzy, wygląda przez to młodziej, prawie jak kobieta, którą pamiętam sprzed lat. Przebrała się, już nie jest w mundurze, tylko w zwykłych dzinsach, swetrze i skórzanej kurtce.

Reszta kobiet w większości poszła na całość z sabatową oprawą, są w zwiewnych spódnicach, mają latarenki i peleryny. Ale z jakiegoś powodu to Florence, w zwykłych ciuchach, sprawia, że stają mi na sztorc włoski przesądów. Gdybym miała bać się wiedźm, bałabym się właśnie jej.

– Od lat wiemy – zaczyna – że w tym mieście dzieje się coś złego.

Nikt nie oponuje.

– Wiedziałam to trzydzieści lat temu – ciągnie. – Sabden jest rządzone przez ludzi – przez mężczyzn – którzy są zepsuci i skorumpowani.

Ognisko płonie, niebo ciemnieje, wiatr wokół nas staje się silniejszy. Kobiety milczą.

– Larry to wiedział – mówi Florence. – Dlatego kazał mi wrócić. Ale nie powinien musieć. Powinnam była zostać, trzydzieści lat temu, i walczyć z nimi.

– Byłaś jeszcze prawie dzieckiem – wtrąca się Daphne. – Nie mogłaś wtedy zmierzyć się z mistrzami, nie miałaś żadnych szans.

Mistrzowie? Znów to słowo. Czy dowiem się wreszcie, co się za nim kryje?

– Przepraszam, że przeszkadzam. – Głos Luny wcina się w noc jak brzęczenie dzwonka. – Ale nie wiem, kto to są mistrzowie.

To typowe dla mojej siostry – skupić uwagę wszystkich na sobie.

– Są czarownikami jak my. Ale nie takimi jak my. Grupa mężczyzn w mieście, praktykująca pradawną magię, ale tę od ciemnej strony – wyjaśnia Daphne.

– Jacy to mężczyźni? – pyta Luna. Czekam tylko, że wyciągnie notes, żeby zapisywać nazwiska.

– Ważni biznesmeni, radni, prawnicy, funkcjonariusze policji, masoni – wylicza Avril. – Prawdopodobnie wszyscy oni. A może żaden z nich.

– Prawda jest taka, że nie wiemy – wyznaje Daphne. – Nikt nie wie. Możemy tylko przypuszczać. W pewnych przypadkach możemy nawet mieć pewność, ale to nie jest coś, co da się udowodnić.

– I uważacie, że są zamieszani w sprawę Black Moss Manor? – pyta Perdita.

Florence kiwa głową.

– Opiekunowie prawni tego miejsca zawsze pochodzili z grona najbardziej wpływowych osób w mieście. Nie byliby tak zaangażowani w działalność domu dla niepełnosprawnych dzieci, gdyby nie służyło to jakiemuś ich celowi. Tak, myślę, że Black Moss Manor był projektem mistrzów.

Czekamy na ciąg dalszy.

– Trzydzieści lat temu zamknęliśmy dom, bo dzieci w nim były zaniedbywane – podejmuje swą opowieść Florence. – Odkryliśmy, że dzieciom był tam podawany nielegalny lek nasenny, ale na tym poprzestaliśmy. A powinniśmy wiedzieć – ja powinnam wiedzieć – że to był tylko czubek góry lodowej.

Chcę zapytać, co przez to rozumie, ale uprzedza mnie Luna.

– Wiele z tych dzieci było dziećmi chorymi, niepełnosprawnymi – odpowiada Lunie Florence. – Ale oni przyjmowali je nie dlatego, że znali się na opiece nad takimi dziećmi – oni wyszukiwali dzieci, które były inne.

Florence zerka w stronę Jenny Ogilvy.

– Interesowały ich dzieci z karłowatością. Matka Dwane’a była naciskana, żeby oddała swoje młodsze dzieci do adopcji.

Teraz Florence patrzy na mamę, na Lunę, na mnie.

– Z zespołem Downa też. Pamiętacie, jak bardzo chcieli mieć u siebie Marigold McGowan i jej synka? Istniało pięćdziesiąt procent szans, że będzie miał zespół Downa i chcieli go u siebie.

– Po co? – pytam.

Florence odpowiada:

– Uważali, że ludzie niepełnosprawni mogą mieć wyjątkowe zdolności. Dzisiaj widziałam się z kobietą, Sandrą Cartwright, która w latach sześćdziesiątych tam pracowała. Powiedziała mi, że tego dnia, kiedy zamknęliśmy dom, nie udał się jakiś eksperyment. Dzieci miały rzucać nożami w coś w rodzaju kukły zwisającej z sufitu, ale niektóre zamiast w kukłę zaczęły celować w członków personelu. Jedna osoba została poważnie ranna. Reszta uciekła.

– Dzieci były uczone rzucania nożami? – powtarza Luna z niedowierzaniem. – Po co? Były szykowane do występów w cyrku, czy co?

– One nie rzucały ich rękami – wyjaśnia Florence. – Przynajmniej zdaniem Sandry Cartwright.

Przebiega mnie dreszcz, mimo że siedzę blisko ognia.

– To czym jak nie rękami? – pytam.

– Myślą – odpowiada Florence. – Cartwright twierdzi, że rzucały nożami, posługując się siłą woli.

W grupie czuć nagłe poruszenie, trudno jednak określić, czy to wynik przerażenia, czy zaskoczenia.

Brwi Luny układają się w jedną linię.

– Mówisz o telekinezie? Ale podobno takie zjawisko nie istnieje. A przynajmniej nie ma na to żadnych dowodów.

– Wszyscy wiemy, co znaczy telekineza, prawda? – pyta Avril. – Poruszanie przedmiotów myślą. – Jej mina też wyraża powątpiewanie. – Florence, uważam, że Luna może mieć rację.

– Nie ma dowodów znanych powszechnie – odpowiada Florence. – Ale moja koleżanka, dziennikarka, Abby Thorn, poświęciła dzisiaj po południu trochę czasu na przyjrzenie się tematowi. Od lat mówi się, że rządy różnych krajów finansują badania dotyczące zdolności paranormalnych. Ten, komu udałoby się udowodnić ich istnienie, zbiłby na tym absolutną fortunę.

– Marigold to potrafiła – oznajmia moja matka. – Marigold posiadała zdolność... jak brzmiało to słowo?... telekinezy.

Szybko zwracam głowę w stronę Luny. Wciąż jest dla mnie szokiem, że matka mówi, ale Luna wydaje się jedynie lekko zaskoczona tym, co mówi.

– Widziałam to. – Sally źle odczytała spojrzenia, jakie między sobą wymieniliśmy. – Dwa razy. Najpierw, kiedy rodziła. Zrzuciła wtedy moją torbę z krzesła. Nie jestem nawet pewna, że wiedziała, że to zrobiła.

– Pamiętam to – potwierdza Florence. – Myślałam, że to krzesło było zepsute.

– Później, po tym, jak u nas zamieszkała, widziałam, jak kwiat wskoczył jej do ręki.

– Naparstnica? – Mówię to, zanim zdążę pomyśleć.

Matka odwraca się do mnie.

– Byłaś tam. Też to widziałaś?

Czekam sekundę. Rozmawiam z matką, naprawdę z nią rozmawiam.

– Myślałam, że to był przeciąg – odpowiadam. – Okno było otwarte.

– Dlaczego władze są zainteresowane badaniami nad zdolnościami paranormalnymi? – pyta Luna.

– Nie wiem, czy tak jest nadal – koryguje Florence. – Ale Abby dowiedziała się dzisiaj, że po wojnie zainteresowanie było ogromne. Amerykanie mieli coś, co się nazywało program „Stargate”. Był to projekt badawczy, który miał ustalić, czy zjawiska paranormalne da się wykorzystać w wywiadzie wojskowym. Program został zamknięty

dopiero cztery lata temu. I podobno rządy innych krajów, zwłaszcza Rosji, też miały podobne.

– Wyścig zbrojeń paranormalnych? – rzucam.

– Głównie widzenia na odległość. I prekognicji – no wiecie, możliwości widzenia wydarzeń z przyszłości. Był też program prowadzony na uniwersytecie Stanford w Kalifornii. Jednym z medium w nim uczestniczącym był Uri Geller. Pamiętacie go?

Głowy skłaniają się na znak potwierdzenia. Gość, który wyginał łyżki.

– Prowadzili badania nad kontrolą umysłu – kontynuuje Florence. – Telepatią. Mówiono nawet o mediach potrafiących zabijać myślami. Eksperymentowali na zwierzętach. A w Black Moss było mnóstwo zwierząt. Ale zdaniem Sandry Cartwright eksperymenty ze zwierzętami nie były najgorszym z tego, co się tam działo. Bo oni coś odkryli.

Florence rzuca niepewne spojrzenie w stronę Jenny Ogilvy.

– Cartwright powiedziała nam, że odkryli to, że ból przyczynia się do wzmocnienia zdolności paranormalnych. Mieli tam młodą kobietę o imieniu Wendy, która była w ciąży. Zadbali o to, żeby jej poród był ciężki, jak najbardziej bolesny. Kobieta i dziecko zmarli. Marigold skądś się o tym dowiedziała i się przeraziła. Dlatego uciekła.

Twarze wokół mnie twardnieją, miejsce ciekawości zajmuje gniew. Wiele kobiet wykonuje tradycyjny znak odpędzający zło.

– Nawet jeśli jest to prawda, to działo się to trzydzieści lat temu – wtrąca się nagle Perdita. – I przestało się dziać. Ty i twoi koledzy zamknęliście to miejsce.

– Nie zamknęliśmy – odpowiada Florence. – Albo zamknęliśmy, ale tylko na jakiś czas. Ono nadal działa.

– Jesteś pewna? – pyta Avril.

– Jestem – potwierdza Florence. – Z trzech powodów. Pierwszym jest Larry.

– A co on może mieć z tym wspólnego? – obruszam się i widzę, że Luna też zeszywniała na wzmiankę o naszym ojcu.

– Larry natknął się w prasie na informację o czterech ciałach znalezionych na terenie Black Moss Manor i nie kupił twierdzenia, że zwłoki są bardzo stare. Był zdania, że warunki glebowe tutaj nie pozwoliłyby na to, by małe, miękkie kości przetrwały więcej niż kilka dekad.

– Jeśli tato tak powiedział, to musiał mieć rację – odzywa się Luna, zerkając na mnie.

– Miał – zgadza się Florence. – Potwierdziła to pewna pani antropolog. I widziałam dzisiaj w szpitalu Blackurn Royal raport z sekcji. Bardzo się różni od tego, który znajduje się w aktach posterunku w Sabden.

– To przecież niemożliwe – protestuje Perdita.

– Nie powinno być – zgadza się Florence.

Przez chwilę obie mierzą się wzrokiem.

– To by dowodziło, że ktoś na posterunku na pewno ma jakiś związek z mistrzami – rzuca Perdita po zerwaniu kontaktu wzrokowego z Florence. – O czym już zresztą mówiłam.

– Tak było zawsze – wtrąca się Avril. – Mistrzowie nie mogliby działać tak, jak działają, gdyby nie mieli ochrony policji.

– Ale ty mimo to nie wiesz, kto to może być? – pyta Daphne.

Perdita kręci głową.

Mary z grymasem bólu dźwiga się ciężko na nogi. Uzmysławiam sobie, że jest po siedemdziesiątce i wspinanie się na Pendle Hill i siedzenie na zimnej ziemi nie może być dla niej łatwe.

– Drugim powodem jest to, że Sandra Cartwright podała mi dzisiaj nazwiska – mówi Florence. – Tej czwórki zmarłych dzieci. Żadne jeszcze nawet nie żyło przed 1969 rokiem, czyli rokiem, w którym zamknęliśmy dom.

Kolejne pełne obawy spojrzenie na Jenny.

– Myślę, że jednym z tych dzieci był syn Dwane’a i Jenny, David – oświadcza Florence. – Zabrałam dzisiaj prochy. Testy DNA będą mogły to potwierdzić.

– Gdzie one teraz są? Te prochy? – pyta Perdita.

– W bardzo bezpiecznym miejscu – zapewnia Florence.

Znów chwila impasu między dwiema policjantkami. Perdicie trudno jest się pogodzić z rzekomym skorumpowaniem niektórych jej kolegów.

– A trzeci powód? – popędzam Florence.

– Syn Marigold McGowan nadal żyje – odpowiada. – Nazywa się Bracken Lee i zarządza Black Moss. Co, moim zdaniem, sugeruje, że mistrzowie go porwali, gdy był mały, i wychowali.

– Ale skąd wiesz, że to na pewno on? – pyta nieprzekonana Perdita.

– Jest w odpowiednim wieku. Wygląda znajomo. Sam powiedział, że jako dziecko był adoptowany. I przy prawej dłoni ma szósty palec.

– To żaden dowód, Florence – zauważa Avril.

– Patrzyłam mu w oczy – odpowiada Florence. – Rozpoznaliśmy się.

Mary, rozcierając dłonią dół pleców, odchodzi od ogniska.

– To co robimy? – pyta Daphne, w której głosie wyraźnie słychać strach. – Czy w ogóle możemy cokolwiek zrobić?

– Miłe panie, macie nic nie robić – oznajmia Florence. – Ci ludzie są bezwzględni. Trzydzieści lat temu próbowali mnie utopić, pobili dziennikarkę, z którą współpracowałam. Zamordowali Randalla Butterwortha. Od tej chwili tymi ludźmi zajmie się policja.

– Florence, przecież nie możemy ufać policji – przypomina Daphne. – Wybacz, Perdito, moja droga, ale to musi zostać głośno powiedziane. Zwłaszcza po wczorajszej nocy.

Twarz Florence zasnuwa cień. Marlene bierze ją za rękę. Odwracam się i widzę, że Luna patrzy na mnie pytająco. Wzruszam ramionami.

– Śledztwa nie poprowadzi tutejsza policja, tylko stołeczna – oznajmia Florence. – Moi podwładni. Powinni tu być już za kilka godzin.

– Zgadza się, że na coś trafiłaś, ale brak nam solidnych podstaw – odzywa się Perdita. – Do czasu przyjazdu twojej ekipy raport z posterunku w tajemniczy sposób zniknie. Zeznania Sandry Cartwright brzmią mało wiarygodnie i pełno w nich luk. I nawet jeśli w prochach odkryją DNA, wątpię, żeby sąd dopuścił taki dowód.

– Wiem – zgadza się Florence. – Dlatego muszę wypłoszyć z nory tych, którzy stoją za działaniami w Black Moss.

– Jak chcesz to zrobić? – pyta Perdita.

– Na pewno już mnie szukają – odpowiada Florence. – Wiedzą, że zabrałam prochy dzieci i że widziałam oba raporty. Prawdopodobnie wiedzą też, że rozmawiałam z Sandrą Cartwright. Adopcja Brackena Lee jest gdzieś zarejestrowana. Jeśli dokumenty są podrobione lub jeśli nie istnieją, odkryję to. Ludzie z Black Moss wiedzą, że mogę ich zdemaskować.

– Czy komuś jeszcze nie podoba się to, jak to brzmi? – pyta Daphne.

– Będzie dobrze. – Florence zerka na zegarek. – Resztę wieczoru spędzę w domu Glassbrooków. Za pozwoleniem Sally. Mistrzowie wiedzą, że mam klucze. Wcześniej czy później przyjdą tam po mnie, a kiedy to się stanie, będę na podsłuchu i moi koledzy będą czekali. Jeśli ci ludzie się na mnie zasadzą, będziemy wiedzieli, że mają coś do ukrycia.

– To ryzykowne, Florence – przestrzega Avril.

Florence uśmiecha się.

– Tak. Dla nich.

Mary, która stoi już od kilku minut i o której chyba wszystkie zapomnieliśmy, macha rękami, żeby przywołać naszą uwagę.

– Na dole parkuje samochód – mówi. – Chyba mamy towarzystwo.

Florence

Kobiety zrywają się na nogi. Ja idę na skraj zbocza i patrzę w dół. I rzeczywiście do miejsca, w którym wszystkie zaparkowałyśmy, zbliżają się światła jakiegoś pojazdu. Możliwe, że to tylko kolejny spacerowicz. Ale skądś wiem, że tak nie jest. Mistrzowie mnie znaleźli.

– Musimy iść – rzucam. – Teraz.

Ci mężczyźni są niebezpieczni. Nikt nie wie tego lepiej ode mnie, nie mogę ryzykować i narażać pozostałych kobiet.

– I co? – pyta Luna, podchodząc do mnie. – Kto to jest? Przyjechali po nas?

– Ze wzgórza jest inne zejście – informuje Jenny. – Musimy wspiąć się na szczyt, a potem pójść w kierunku Wiswell. Mogę zadzwonić do Dwane’a i powiedzieć, żeby wyszedł nam na spotkanie.

Zastanawiam się, czy tamci na dole mnie widzą, oświetloną blaskiem ogniska. Biorę Lunę za rękę i odsuwam się od skraju zbocza.

– Ale w czym problem? – narzeka Cassie. – Nie robimy przecież nic złego.

– Właśnie – zgadza się Luna. – Jeszcze nawet nie zarżnęłyśmy kur.

Ucieczka po nieznanym terenie w ciemności? Nie wydaje się to mądrym pomysłem, z drugiej strony tym ludziom na dole trochę zajmie, zanim dotrą do miejsca, w którym jesteśmy. Mamy czas na ulotnienie się stąd.

– Musimy iść – powtarzam. – Jenny, ty prowadzisz. Ja będę kryła tyły. Nie gaście ogniska. Samo się wypali. Zostawcie też wszystko, co jest ciężkie.

– Flossie – odzywa się Luna. – Czy ty nie przesadzasz?

Odwracam się do niej.

– Nie masz najmniejszego pojęcia, do czego ci ludzie są zdolni!

Daphne splata ręce na piersiach.

– Zgadzam się z Luną. Nie będę ganiała po górach i uciekała przed bandą łajdaków –

oświadcza. – Mam już prawie osiemdziesiątkę.

– Ja raczej też nie dam rady – dołącza się Avril i siada z powrotem na ziemi. – Marlene, ty też nie jesteś już takim ptaszkiem jak kiedyś. Nosisz na sobie trochę więcej kilogramów. I Mary też nie wygląda, jakby ostatnio często chodziła po górach. Proponuję, drogie panie, byście poszły w moje ślady i usiadły.

Patrzę na nie z rozdziawionymi ustami. Niektóre idą za radą Avril i siadają. Inne wahają się.

– Co ty wyprawiasz, do diabła? – zwracam się do Avril. – Oni tu będą za kilka minut.

– Co najmniej za pół godziny – mówi Daphne. – Albo więcej, jeśli nie znają podejścia.

Avril dokłada chrustu do ogniska.

– No właśnie – rzucam. – Mamy czas, żeby uciec.

– Ty idź – odzywa się Avril. – Zabierz Jenny, żebyście miały pewność, że nie zabłądzicie. My zostaniemy.

– Będziemy broniły fortu. – Oczy Daphne dziwnie błyszczą. – Zrobimy zasłonę ogniową.

– Florence, musimy się ruszać. – Jenny łapie mnie za ramię. Przechwytyuję spojrzenie Perdity i wiem, że nie ja jedna się niepokoję.

– Powinam tu zostać – mówi do mnie. – Nie zadrą z miejscowym funkcjonariuszem.

– Myślę, że byłabyś zdziwiona, z kim ci ludzie potrafią zadrzeć – odpowiada jej na to Avril. – Ale oni nie są zainteresowani nami. To Florence trzeba ochraniać. Idź z nią.

– Moje auto stoi u podnóża – zauważam. – Oni wiedzą, że tu jestem.

– Ja nim przyjechałam – przyznaje się Daphne. – Mogłam zarysować lewy bok, kochanie. Wybacz. Nie mam już takiego dobrego wzroku jak kiedyś.

– Naprawdę powinnaś iść – przekonuje mnie Avril. Widzę, że ona też zaczyna się denerwować. Ze względu na mnie.

– Wchodzą na górę! – woła Mary. – Chyba jest ich trzech. O cholera, mają pochodnie.

– Jakież to średniowieczne – mamrocze Luna. – Widły też zabrali?

– Nie zostawię was tu samych – oznajmiam.

– Oni nic nam nie zrobią. – Daphne grzebie teraz w swojej torbie. – Zgrai starych bab, w życiu. A niech to, zapomniałam o winie.

– Ani dwóm prawnikom. – Luna wyciąga telefon. – Z których jeden napisze zaraz do starszego wspólnika, że w razie gdyby coś mu się stało, to ostatni raz był widziany na Pendle Hill.

– To akurat dobry pomysł – chwali Avril i też wyciąga telefon.

Perdita również.

– Zgłoszę to. Cały posterunek nie może być skorumpowany. – Odchodzi kilka kroków na bok.

– Ani znanej na całym świecie autorce piosenek – mówi Luna. – Moja siostra nie może zniknąć. Pracuje nad nowym musicalem z Andrew Lloyd Webberem.

– Skąd o tym wiesz? – pyta zaskoczona Cassie.

– Internet... halo?

Mają rację. Nikt nie będzie zadzierał z tą bandą. Ulegam szarpaniu za rękaw i razem z Jenny zaczynamy wspinać się ostatnim odcinkiem trasy na szczyt. Perdita kończy rozmowę i idzie za nami.

Cassie

Po odejściu Florence, Jenny i Perdity do ogniska zostaje dorzucone więcej drewna.

– I co, będziemy tak siedzieć i czekać aż ci, którzy tu idą, kimkolwiek są, tu dotrą? – pytam, udając spokój, chociaż jestem zdenerwowana.

– Nie – odpowiada Daphne.

– Mamy góra dwadzieścia minut – rzuca Mary. – Oni znają to podejście.

– Dwadzieścia minut powinno wystarczyć – stwierdza Avril.

– Wystarczy na co? – pyta Luna.

– Jeszcze tu nie skończyliśmy – wyjaśnia Daphne. – Głos ma Cassandra.

Wszyscy milkną. Wszyscy, oprócz Mary, przenoszą oczy na mnie. Nikt się nie uśmiecha. Spoglądam w górę wzniesienia, ale Florence i reszty już nie widać.

Nagle czuję się bardzo osamotniona. Nikt wokół mnie nie zdaje się przejmować nadciągającym zagrożeniem. Jest zupełnie tak, jakby te kobiety się spodziewały, że do tego dojdzie. Dociera do mnie, że odesłanie Florence było chytrze ukartowane.

Patrzą na mnie nadal. Czuję się jak w sądzie, na rozprawie. A jednak to ja mam głos.

– Czekacie, aż się do czegoś przyznam? – Chcę, żeby mój głos brzmiał szyderczo, ale nastrój grupy zmienił się w ostatnich kilku minutach. Przypominam sobie, być może zbyt późno, że to nie jest zbiorowisko podstarzałych ekscentrycznych kobiet. To zebranie wiem.

Wiedźmy, które przyznają się do swoich przewin, są wieszane. Lub topione. Albo palone w oczyszczającym ogniu. Nasze ognisko płonie jaśniej i mocniej od chwili odejścia Florence i reszty. Gdy tylko mężczyźni poniżej nas zostali zauważeni, kobiety zaczęły podsycać ogień. Moje serce łomocze. Mówię sobie, że Florence jest wieloletnią zasłużoną policjantką. Nie przyłożyłaby ręki do zbrodni tak straszliwej jak spalenie człowieka.

Ale Florence odeszła. Perdita też.

Avril oczyszcza gardło chrząknięciem.

– Byłoby łatwiej, gdybyś to zrobiła – mówi.

Oczywiście, że byłoby – dla nich. Jeśli wyznam swoje grzechy – morderstwo, planowanie następnego, kazirodztwo – mogą zrobić ze mną, co zechcą bez większych skrpułów.

– Cassandro, zbyt długo nosisz na barkach jakiś ciężar – mówi Daphne. – Czas go zrzucić.

– Nie możemy ci pomóc, jeśli nam nie ufasz – dodaje moja matka.

Matka nie odzywała się do mnie od lat. Myślałam, że już nigdy jej nie usłyszę. Przez ten cały czas mnie oszukiwała, a teraz chce...

– Dlaczego, do diabła, miałabym ci ufać? – wypalam.

Słyszając nienawiść w moim głosie, spuszcza wzrok.

– To zaufaj mnie – odzywa się Luna.

Po raz pierwszy od dekady uważnie przyglądam się swojej młodszej siostrze. Jest teraz tak samo wysoka jak ja. Włosy, których nienawidziła i farbowała na idiotyczne kolory, bo nie były barwy popielatowego blondu, teraz są ciemnozłote. Nadal je farbuje, ale wreszcie znalazła odcień, który do niej pasuje. Dobrze się też ubiera.

– Ty mnie przecież nienawidzisz – mówię.

– Już mi z nim przeszło – odpowiada, a potem uśmiecha się szeroko. – Ale słyszałam, że tobie nie.

– Powiedz nam, co zrobiłaś – prosi Avril. – Poczujesz się lepiej.

Ma rację. Zbyt długo noszę się z tą tajemnicą.

– Zabiłam Roya Greenwooda – oznajmiam.

Nikt nie wydaje się zaskoczony.

– Dlaczego? – pyta Daphne.

– Znalazłam jego testament – odpowiadam. – Na dzień przed tym, jak on i jego matka wprowadzili się do nas.

Avril kiwa głową.

– Dałam kopię Sally – potwierdza. – Nie miałyśmy pewności, czy w zmienionych okolicznościach testament będzie ważny.

Odzywa się moja matka.

– Ale ty zorientowałaś się, że gdyby Roy zmarł, a testament nie zostałby zmieniony, istniałaby duża szansa, że odziedziczyłybyśmy firmę i dom. Byłybyśmy zabezpieczone.

– Właśnie tak – potwierdzam, przypominając sobie, co czułam, jaka byłam podniecona i przerażona możliwościami, gdy czytałam warunki testamentu

Greenwooda.

– Zawsze byłaś trochę za bardzo ciekawska – sarka Mary.

– I wtykająca nos w nie swoje sprawy – dodaje Luna.

Gromię ją wzrokiem, a ona pokazuje mi język. Przez sekundę znowu jesteśmy nastolatkami.

– Ale tak naprawdę to nie chodziło mi o pieniądze – dodaje, chcąc być do końca szczerą. – Chodziło o czysty paraliżujący lęk przed tym człowiekiem. W niespełna dzień przejął nasz dom i wiedziałam, że ustawił sobie celownik na mamę. Choć to wstydlive, przymknęłabym na to nawet oko, ale wiedziałam, że na niej się nie skończy. Widziałam, jak patrzył na mnie, na Lunę. Nawet na Marigold. Żadna z nas nie byłaby bezpieczna.

– Bałaś się go – mówi Luna. – Wszystkie się bałyśmy. Był niezrównoważony. I niebezpieczny.

– Jak? – pyta Avril. – Jak go zabiłaś?

Znowu mam wrażenie, że ona już to wie.

– Syrop z naparstnicy. – Spoglądam ponad ogniskiem na miejsce, gdzie na straży stoi nasza dawna gospodyni. – Mary i Luna zrobiły całą partię. Podwędziłam jedną z buteleczek i dolałam nalewki do wytrawnego sherry. Tylko on ją pił. Nie byłam pewna, czy naparstnica działa, ale potem rozchorował się. Dolałam trochę więcej i padł. Zmarł kilka godzin później.

– Zdecydowanie jest ich trzech! – woła do nas Mary.

– To było tej nocy, kiedy spałam u Daphne i Avril? – przypomina sobie Luna. – Tej, kiedy zaginęła Marigold. O rany, szkoda, przegapiłam całą zabawę.

Matka rzuca jej ponure spojrzenie.

– Cieszę się – oznajmia Luna. – Greenwood był potworem. Sama bym to zrobiła, gdybym wiedziała o testamencie. Szkoda, że mi nie powiedziałaś, Cass, bo bym...

– Co byś? – wchodzę jej w słowo.

Wzrusza ramionami.

– Przytrzymała go. Wzięła na siebie część ciężaru. Cokolwiek. Ale istotne jest to, że cieszę się, że go zabiłaś. – Wyciąga do mnie rękę, jakby chciała przybić mi piątkę.

– Ona tego nie zrobiła – odzywa się moja matka.

Luna sztywnieje. Wszystkie pozostałe kobiety odwracają się w stronę matki, poza Avril i Daphne, które nadal patrzą na mnie.

– Owszem, zrobiła – wtrąca się Mary. – Zginęła butelka syropu. Ona ją wzięła i go zabiła. Nie mówię, że nie był złym człowiekiem, ale...

– Wykradłam butelkę z syropem – potwierdzam, bo nie zamierzam pozwolić, żeby Mary mówiła w moim imieniu. – Przełam go do sherry. On ją wypił. To go zabiło.

– Znalazłam tę butelkę. – Matka wzdycha przeciągle i ciężko. – Zauważyłam, że brakuje jednej na półce w spiżarni i poszłam jej szukać. Do twojego pokoju.

Wytrzymuje moje spojrzenie.

– Podmieniłam ją na butelkę z syropem z dzikiej róży – ciągnie. – To jego dołałaś do sherry. Była od tego syropu jedynie trochę słodsza, to wszystko.

Kręcę głową. Pamiętam poty Greenwooda, to, że dostał gorączki, że chwiał się na nogach. Pamiętam swoje podniecenie, gdy zrozumiałam, że syrop działa, i jednocześnie przerażenie na myśl o tym, kim się stałam.

– Fiolkę z syropem z naparstnicy odstawiłam z powrotem na półkę – mówi matka. – Kiedy policja sprawdzała spiżarnię, wszystko było już w jak najlepszym porządku.

– Greenwood został otruty – upieram się.

– Tak – zgadza się ze mną matka. – Ale nie przez ciebie.

Nie mogę sobie tego przyswoić. Przez trzydzieści lat byłam morderczynią. To była kolejna rzecz, która mnie przywiązywała do Johna. Oboje zabiliśmy, tej samej nocy. Minęło trzydzieści lat i byłam gotowa zabić jego żonę, jego matkę, nawet jego psa, bo wierzyłam, że już i tak jestem zabójczynią.

– Mówiąc precyzyjnie, planowałaś go zabić – stwierdza Daphne. – I to pewnie też jest coś, za co można cię oskarżyć, też jest to jakieś przestępstwo. Lepiej więc nie mówić o tym Florence.

– Ani Perdicie – przypomina Hecate.

Przez grupę przelatuje pomruk zgody.

– Są już w połowie! – woła Mary. – Mamy jakieś dziesięć minut.

Kilka kobiet wymienia nerwowe spojrzenia, ale mnie nie interesują już mężczyźni wspinający się na Wzgórze.

– W takim razie kto? Jeśli nie ja go zabiłam, to kto? – Jestem nagle przytłoczona strachem, że zrobiła to matka, że to ona wzięła na siebie ciężar uwolnienia nas od tego człowieka.

– Ja nie – mówi Luna, podnosząc rękę jak uczennica w szkole.

Odwracam się do matki.

– Ty?

Bierze mnie za rękę, pierwszy raz od lat, i kręci głową.

– Nie – odpowiada.

Wierzę jej. Moja matka nie jest zabójczynią.

Przenoszę wzrok na Mary. W domu nie było nikogo więcej. Mary kręci głową. Matka ściska mi rękę, żeby przyciągnąć moją uwagę do siebie.

– Grace go zabiła – mówi.

Grace Greenwood? Matka Roya?

– Marigold tego nie zrobiła – wtrąca się Luna. – A nikogo więcej nie było. Czy Grace wykorzystwała nalewkę z naparstnicy? Zawsze myszkowała po szafkach.

– Objawy, jakie miał Roy, nie pasowały do objawów zatrucia naparstnicą – mówi matka. – W domu nie było niczego więcej wystarczająco zabójczego.

– Pamiętam, że jakieś podobieństwa były, ale za małe, żeby policja mogła z całym przekonaniem postawić ci zarzuty – zauważa Avril. – No i Grace zeznała, że Roy już wcześniej od jakiegoś czasu chorował.

– Bo go truła od tygodni – wyjaśnia matka. – Maltretował ją latami. Bała się, co może zrobić nam.

– Powiedziała ci to? – pytam.

Matka kiwa głową.

– Rano, kiedy mnie wypuścili. Obiecała, że się przyzna, jeśli postawią mi zarzuty. Nie dopuściłaby do tego, żebyśmy trafiła do więzienia.

– Dlaczego nie powiedziałaś policji? – dociekam. – Co byliśmy winni Greenwoodom?

Matka posyła mi spojrzenie, które dobrze pamiętam. Mówi ono: *Zastanów się. Użyj mózgu, zanim otworzysz usta.*

– Zgodziła się nie podważać testamentu, jeśli będziesz milczała? – zgaduję. – Pozwoliła nam zatrzymać dom i zakład?

– Wszystko, czego chciała, to wrócić do siebie i żyć w spokoju – odpowiada matka. – Widziałam ją na kilka dni przed śmiercią. Nigdy nie żałowała tego, co zrobiła.

– Czego użyła? – pyta Marlene.

– Wody konwaliowej. – Mama patrzy na mnie, potem na Lunę. – Pamiętacie jej perfumy?

– Boże, tak – przytakuje Luna. – Ależ one cuchnęły.

– Sama je robiła. Hodowała te kwiaty – w ogrodzie, w wiszących koszach, w doniczkach, na zewnątrz, w domu.

Marlene jest wyraźnie pod wrażeniem.

– To bardzo mocna trucizna – mamrocze. – Zmęczone widzenie, dezorientacja, wymioty i mdłości, podniesione ciśnienie. Na końcu zatrzymanie akcji serca.

Odsunęłam się od matki. Już nie chcę, żeby mnie dotykała.

– Dlaczego? – pytam. – Dlaczego pozwoliłaś, żebym myślała, że to ja to zrobiłam?

– Mama nie wiedziała, co zrobiłaś – koryguje Luna. – To było nieporozumienie.

– Wiedziała. Znalazła fiolkę w moim pokoju. I straszyla mnie.

– Jak to? Co ty mówisz? – pyta Luna ze zdumieniem. – Kiedy?

– Kilka dni później. – Wspominam swoje paniczne przeszukiwanie pokoju, to, że się odwróciłam i w drzwiach zobaczyłam mamę z buteleczką w dłoni. Spytała, czy to jej szukam. – Powiedziałaś, że nigdy więcej o tym nie wspomnisz – mówię do niej. – Że nikt się nigdy nie dowie, że zniknęła, pod warunkiem, że będę posłuszna.

Oczy mojej matki są przepełnione bólem, ale nie jest w stanie odwrócić wzroku.

– Byłam posłuszna. Trzymałam się z daleka od Johna, bo bałam się, że trafię do więzienia. Powiedziałaś tacie, prawda? Napisał do mnie, zaraz po tym, jak dostał wyrok. Napisał, że wie, co zrobiłam, i że mam nigdy więcej nie zadawać się z Johnem.

– Bo był twoim bratem – broni się matka.

– Nadal jest, jeśli mamy być precyzyjni – zauważa Luna.

– Beryl zrobiła to samo, co? Powiedziała Johnowi, że ty i ona nie powiecie nic o wypadku w pubie, jeśli John zostawi mnie w spokoju.

– Jakim wypadku? – pyta Luna.

– Może nie musimy dziś wyznawać wszystkiego – interweniuje Daphne.

– Rozdzieliliście nas szantażem – rzucam.

– Zrobiliśmy tak dla twojego dobra – odpowiada matka. – Ja, Beryl, twój ojciec. Uważaliśmy, że za kilka lat ci przejdzie.

Jak ona może tego nie rozumieć? Prędzej wyrwałabym sobie serce.

– Nie moglibyście się nigdy pobrać. – Teraz mówi tak, jakby mnie błagała. – Nie moglibyście mieć dzieci. Bylibyście wyrzutkami. Mogłabyś nawet trafić do więzienia.

– Teraz jest za stara na dzieci – przypomina Luna. – Więc jeden problem z głowy.

– Żyłabym z mężczyzną, którego kochałam – mówię. – Moglibyśmy wyjechać za granicę. Mogłam być szczęśliwa.

– Robiliśmy to, co naszym zdaniem było dla was najlepsze.

– Zamieniliście moje życie w piekło – odwarkuję.

– Cóż, jeszcze nie jest za późno – wtrąca się Luna. – Nadal jesteś młoda. Nadal dobrze wyglądasz. Chociaż mogłabyś podciąć włosy. I ten styl podstarzałej rokowej laski? Bądźmy uczciwi, trochę to banalne.

– Luna, błagam. – Matka podnosi rękę, żeby siostra przestała paplać.

– To nie w porządku – włącza się Mary. – On jest mężem naszej Tammy.

– Też kiedyś byłam zamężna – rzuca na to Marlene. – Nic nie trwa wiecznie.

– Ja też – dorzucą któraś inna. – Zostawił mnie dla kobiety z fabryki farb. Przeżyłam to i jest w porządku.

– Ale czy waszymi mężami był ktoś z bliskiej rodziny? – pyta Luna.

– Luna, zamkniesz się wreszcie?! – krzyczymy jednocześnie ja i matka.

– Zatrzymali się – oznajmia Mary. – Zostało im jeszcze jakieś pięć minut drogi, ale przestali wchodzić. Rozmawiają.

– Luna ma rację – odzywa się Avril. – Po usunięciu z równania dzieci zostajemy z normami społecznymi. Jeśli ty i John wyjedziecie, nikt nie musi o niczym wiedzieć.

Głowy wokół ogniska potakują. Czyżby naprawdę dawały mi swoje błogosławieństwo?

– Cóż, cieszę się, że rozwiązałyśmy ten problem. – Daphne podnosi się na nogi. – Co tam się dzieje, Mary?

– Zawrócili – odpowiada Mary. – Schodzą na dół. Biegną. Mało to rozsądne. Nie po tym zboczu.

Przez chwilę jest cicho.

– Musimy iść – oznajmia Avril. – Siostry, tak szybko, jak dacie radę. Zbierajcie swoje rzeczy.

Kobiety zrywają się. Ja i Luna wymieniamy zdziwione spojrzenia.

– Co się dzieje? – pyta Luna. – Jeśli wracają, to w czym problem?

Avril wyciąga telefon i wybiera jakiś numer.

– Jeśli nie chcą tu wejść, to znaczy, że wiedzą, że Florence sobie poszła. – Avril przykłada telefon do ucha. – Cholera, nie działa.

Daphne przechodzi na skraj urwiska.

– Ci mężczyźni nie zawracają bez powodu – mamrocze. – Myślę, że wiedzą, gdzie jest Florence.

Florence

Perdita i ja, ciężko dysząc, docieramy na szczyt i czekamy na Jenny, aż nas dogoni. Kiedy tak się stajemy, broniąc się przed wiatrem, zbijamy się w kupkę.

– Dwane będzie na nas czekał przy starej stodole! – krzyczy Jenny. – Mówi, że już wychodzi.

Tym razem pierwsza rusza Perdita, my z Jenny idziemy za nią. Pchane wiatrem, podążamy za ledwie widocznym wgłębieniem w ziemi.

– Jak myślisz, co oni mu zrobili? – pyta Jenny, kiedy wiatr uspakaja się na tyle, że możemy rozmawiać. – Mówię o moim dziecku.

– Jeśli uważali, że ma specjalne zdolności, na pewno o niego dbali – odpowiadam.

– Dopóki go nie zabili.

Nie wiem, jak mam na to odpowiedzieć.

– Wierzysz w te rzeczy? – pyta znowu Jenny. – W te całe nadprzyrodzone zdolności?

– Chciałabym powiedzieć, że nie, ale...

Wracam pamięcią do tego wieczoru dawno temu, kiedy przyglądałam się, jak dzieci z zawiązanymi oczami omijają przeszkody, a potem do tego, jak Albert Frost wyjaśniał, że to była zabawa, testująca orientację w przestrzeni. Zawsze istnieje inne wytłumaczenie na coś, co trudno jest nam zaakceptować. Napis na lustrze, który tak mnie wyprowadził z równowagi, mógł być dziełem ludzkiej ręki, albo mógł być właśnie czymś nadprzyrodzonym. Nóż, który ugodził mnie w nogę, w tę noc, gdy wdarliśmy się do Black Moss Manor, mógł być rzucony silną małą dłonią albo mógł być poruszony siłą młodego umysłu.

Docieramy na skraj szczytu i zaczynamy schodzić tak szybko, jak pozwala nam na to odwaga. Perdita grzęźnie w błocie. W dole pod nami widzę iglicę kościoła i skupisko dachów. U podnóża Wzgórza przełazimy przez mur, żeby pokonać pole. Para koni przygląda się nam z zaciekawieniem. Kolejne pole i wydaje mi się, że widzę już druty

linii telefonicznych.

– W którą stronę do stodoły? – pytam, kiedy pokonujemy ostatni murek i wychodzimy na drogę.

Jenny pokazuje zachód, potem wyciąga telefon i wybiera numer.

– Nie odpowiada – oznajmia po minucie.

– Tutaj jest zły zasięg – wyjaśnia Perdita. – Wzgórze zakłóca sygnał.

– Jak daleko mamy do stodoły? – pytam.

– Pięćset metrów – mówi Jenny.

Ruszamy i idąc, nie słyszymy nic oprócz wiatru, okazjonalnego szczekania psa, beczenia zaskoczonych owiec.

– Spróbuj jeszcze raz – mówię do Jenny.

– Dalej nic – odpowiada po chwili.

Próbuję sama. Dzwonię do Dwane'a i słyszę sygnał łączenia, ale Dwane nie odbiera. Chcę przełknąć niepokój, ale mam sucho w ustach. Teraz już widzimy stodołę, niski zadaszony budynek stojący blisko kościoła.

– Jest samochód Dwane'a. – Jenny przyspiesza kroku. Ja też już widzę srebrną karoserię.

– Jenny, zaczekaj. – Łapię ją za ramię. – Zadzwoń do niego jeszcze raz.

Jenny pokazuje na srebrne auto.

– Jest tam. Mogę go zawołać.

Na parkingu przed stodołą pali się pojedyncza lampa, na miejscu kierowcy widać zarys głowy i ramion Dwane'a. Wygląda tak, jakby siedział prosto i patrzył przed siebie.

– Zadzwoń – nalegam.

Dwane nie siedziałby w samochodzie. Chodziłby po drodze w tę i z powrotem, zręcząc, że mamy się, do cholery, pospieszyć, że nie będzie tu przez nas sterczał przez całą noc.

Słyszemy dzwonienie w samochodzie.

Zatrzymuję się i każę się zatrzymać Jenny i Perdicie.

– Cofnijcie się – mówię. – Przejdźcie za mur i schowajcie się. Perdita, zabierz ją. Teraz, od razu.

Perdita i ja odwracamy się, pociągamy za sobą niechętną temu Jenny.

Ale nie możemy pójść dalej. Drogę blokuje nam trzech wysokich mężczyzn.

Cassie

Luna wysadza mnie pod domem Daphne i Avril trochę po jedenastej.

– Czekaaj przy telefonie – mówi. Odjeżdża z naszą matką na tylnym siedzeniu, zanim jeszcze zdążę porządnie zamknąć drzwiczki. Odszukuję swój pożyczony klucz i wspinam się na schodki ganku.

Wiedzmy, kiedy nie udało im się dodzwonić do żadnej z trzech kobiet, które się od nas odłączyły, schodząc w pośpiechu z Pendle Hill, wymyśliły plan działania. Miałyśmy się rozdzielić i iść do miejsc, w których Florence i pozostałe dwie kobiety mogły się najprawdopodobniej ukryć. Avril i Daphne są już pewnie w domu Glassbrooków. Hecate poszła do domu Dwane’a, Mary do Czarnego Psa, a moja matka będzie czekała w domu opieki. Marlene i jej córka idą do Black Moss Manor. Luna, kiedy odwiezie matkę, ma się udać na posterunek policji i zgłosić, że martwimy się o Florence, Perditę i Jenny. Z jej londyńskimi prawniczymi koneksjami ma największą szansę na to, że potraktują ją poważnie.

Nie potrafię się powstrzymać i zauważam, że furgonetka Johna nie stoi już przed domem Daphne i Avril. Mówię sobie, że nie ma się czym przejmować, że mu ufam, ale otwieram drzwi wejściowe z ciężkim sercem. Spowity mrokiem dom sprawia wrażenie straszliwie pustego.

Kazano mi siedzieć przy telefonie, więc to robię. Mówi się, że telefon, w który się wpatrujesz, nigdy nie zadzwoni, ale ten zaprzecza temu przekonaniu i budzi się do życia już po pięciu minutach. Prawie wyskakuję ze skóry z zaskoczenia, ale skoro dzwonią tak szybko, to muszą to być dobre wieści. O Florence. Albo Johnie. Odbieram.

– Halo – mówię do słuchawki.

Ktokolwiek dzwoni nie odzywa się.

– Halo – powtarzam, teraz już czujna.

– On tam jest? – pyta Tammy.

- Nie – odpowiadam, bo nic innego nie przychodzi mi do głowy.
- Pojechał powiedzieć dzieciom – informuje Tammy. – Pewnie już do ciebie jedzie. A więc to się dzieje. Jakie to dziwne, że potwierdzenie otrzymuję od jego żony.
- Zostawił tu coś. – Głos Tammy brzmi płasko, ciężko, jakby przed chwilą płakała.

Zadzwonienie do mnie musiało ją sporo kosztować.

- Przekażę mu – odpowiadam. – Dziękuję.
- Nie chcę go więcej widzieć. Jeśli chcesz to, przyjedź teraz. Daję ci dziesięć minut. Nie zamierzam zbliżyć się dzisiaj do Czarnego Psa.
- To może poczekać. Powiem mu, że dzwoniłaś.

Chcę już odłożyć słuchawkę, ale jej następne słowa o mało nie wywołują u mnie zawału.

- To jego podobizna, którą zrobiłaś. Dziesięć minut. Potem zrobię z niej miazgę.

115

Florence

Halo, słyszysz mnie? Halo? Florence, ocknij się.

Wydaje mi się, że znam ten głos. Pamiętam stodołę. Trzech mężczyzn w maskach.

– Florence!

Otwieram oczy i przekonuję się, że jestem w jakimś szopie. Kamienne ściany są miejscami pokruszone. Na posadzce jest siano, czuć zapach bydła. Widzę słabo świecącą latarnkę, nisko osadzony sufit jest upstrzony pajęczynami, drewniane belki. Bezpośrednio przede mną, na ziemi jak ja, z wyciągniętymi nogami, skrępowanymi nadgarstkami i kostkami nóg, siedzi Perdita. Włosy wyrwały jej się z gumki i są rozpuszczone, na twarzy ma smugi po błocie.

– Wszystko w porządku? – pyta. – Możesz powiedzieć, jak się nazywasz?

Zmuszam się i mówię:

– Florence Lovelady, mamy rok 1999, premierem jest Tony Blair. Gdzie są pozostali?

Perdita zamyka oczy.

– Oni chyba zabili Dwane’a – mamrocze. – Nie wiem na pewno, ale słyszałam strzały i krzyk Jenny.

Nie mogę nabrać powietrza.

– Co do reszty, to nie wiem – ciągnie Perdita. – Daphne, Avril, pozostałe kobiety. Zabrali mi telefon. Tobie też.

– Pamiętam, że dzwoniłaś, prawda? Dzwoniłaś na posterunek, żeby zgłosić, że jesteśmy ścigane.

– Tak, dzwoniłam jeszcze na Wzgórzu – przypomina. – Ktoś będzie nas szukał. Tylko nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy. Zdążyłaś cokolwiek zobaczyć, zanim na nas napadli?

Podnoszę ręce do głowy. Na czubku wyczuwam coś lepkiego.

– Ostatnie, co pamiętam wyraźnie, to, że widziałam Dwane’a w jego samochodzie –

odpowiadam. – Potem ci mężczyźni.

– Nie sędzę, żebyśmy były daleko od miasta – zastanawia się Perdita. – Myślę, że jesteśmy gdzieś na wrzosowiskach.

– Mało pocieszające, wrzosowiska są wielkie.

Perdita nic na to nie odpowiada, więc zaczynam się rozglądać. Kiedy mistrzowie porwali mnie ostatnim razem, trzymali mnie w zupełnych ciemnościach. Tym razem mamy lampę. Ostatnim razem moje ręce były związane z tyłu i byłam zakneblowana. Tym razem nie jestem, mogę mówić. Ostatnim razem odcięli mi część mojego ciała. Patrzę w dół z nagłym przerażeniem, ale moje siedem palców i dwa kciuki wszystkie są tam, gdzie powinny być.

– Pani komisarz, Florence, co powiedziałaś swoim kolegom ze stołecznej? Wiedzą wystarczająco wiele, żeby móc nas znaleźć?

Perdita nie jest w stanie ukryć paniki w głosie. Wielu policjantów przez cały okres swojej kariery ani razu nie styka się z sytuacją zagrożenia życia. I tak zresztą powinno być.

– Mieli być o dziesiątej – odpowiadam. – Ludzie od zadań specjalnych. Mieli pojechać do Glassbrooków. Na pewno już wiedzą, że coś poszło nie tak. A co z tobą? Twoja matka zorientuje się, że zaginęłaś. Jest ktoś jeszcze? Mąż? Chłopak?

– Chłopak, jest policjantem. Ale co powiedziałaś kolegom o swoich podejrzeniach?

– To znaczy, o co ci dokładnie chodzi?

– Pytam, czy będą w stanie odkryć, co tu się dzieje? Bez ciebie? Znajdą urnę z prochami dzieci?

– Powiedziałam im, że podejrzewam korupcję na posterunku w Sabden i że nie mogą ufać miejscowym funkcjonariuszom. Powiedziałam o Brackenie Lee. Na pewno już go sprawdzają.

– Wymieniłaś nazwiska policjantów z posterunku, których podejrzewasz?

– Prawie nikogo stamtąd nie znam. Dobrze znałam ojca Briana Rushtona, sam Brian wydaje się zaangażowanym i godnym zaufania policjantem, ale kto to wie?

– Znasz Toma Devine'a – przypomina Perdita.

Nie umyka mojej uwadze, że nie powiedziała „inspektora”.

– Kiedyś go znałam – potwierdzam.

Perdita znowu się odzywa, ale jej głos jest zmieniony.

– Ludzie opowiadają, że znałaś go bardzo dobrze.

– To było dawno temu.

– Niektóre uczucia nigdy nie umierają – mówi Dwane.

Szybko odwracam głowę. Dwane i Jenny Ogilvy siedzą w rogu szopy, oparci o ścianę jak Perdita i ja. Dwane ma na czole maleńką, idealnie równą dziurę. Mam nadzieję, że nie przekreśli głowy. Rana z tyłu musi wyglądać strasznie.

– Nigdy nie umierają – powtarza za nim Jenny. Ona i Dwane trzymają się za ręce.

– Przepraszam – mówię do nich.

– Florence, co się dzieje? Co widzisz?

Perdita już i tak jest wystraszona, nie chcę być okrutna i jeszcze bardziej jej straszyć. Zamykam oczy i liczę do dziesięciu.

– Florence, przerażasz mnie. Co się dzieje?

Kończę odliczanie, czuję, że mój oddech trochę się wyrównał, więc otwieram oczy. Dwane i Jenny zniknęli.

– Już wszystko w porządku – zapewniam. – To tylko ból głowy. Lepiej opowiedz, jak to się stało, że wstąpiłaś do policji? Kiedy się poznałyśmy, zajmowałaś się wrózeniem z kart tarota.

Próbuje się uśmiechnąć.

– Pamiętam.

– Niecodzienne wykształcenie jak na policjanta. – Nie staram się jedynie prowadzić rozmowy. Chcę, żeby Perdita była w jak najlepszej formie, uspokoiła się, poczuła się silna. Przypomnienie jej, dlaczego postanowiła zostać policjantką jest najlepszym sposobem na osiągnięcie tego. – Myślałam, że czeka cię zupełnie inna przyszłość – dodaję.

– A jakie to ma teraz znaczenie?

– To był bunt przeciwko niekonwencjonalnemu stylowi życia matki? Matki wpływają na nas bardziej, niż sobie z tego zdajemy sprawę.

– Moja matka nie jest szarlatanem. Ona naprawdę potrafi robić dziwne rzeczy. – Ton Perdity zupełnie się zmienia.

– Skoro tak twierdzisz.

– Różnica jest taka, że ona wierzy w paranormalne zjawiska, a ja nie. – Teraz Perdita mówi ze złością. – Kiedy byłam mała, chciałam wiedzieć, jak ona to robi. Jak sprawia, że deseczka przesuwana się po planszy quija, że pojawia się właściwa karta przy wrózeniu. Chciałam wiedzieć, dlaczego różne przedmioty w naszym domu same się poruszają. Odpowiadała, że to duchy. Ale ja wiedziałam, że w jakiś sposób robimy to my, któraś z nas.

– Ciekawe – rzucam, starając się mówić lekkim tonem.

– Skończyłam studia psychologiczne, specjalizowałam się w zjawiskach

nieświadomych. Wypracowałam sobie własną teorię, brzmiącą, że ludzi otacza niewidoczne pole magnetyczne, które może być wykorzystywane do wpływania na świat materialny. Najlepiej działa to u ludzi niezbyt inteligentnych lub rozkojarzonych, skupionych na czymś innym.

– U ludzi, którzy są w jakiś sposób ułomni? Założę się, że najlepsze są w tym dzieci, niepełnosprawne dzieci, prawda?

Perdita nie odpowiada.

– Jesteś bardzo mądrą kobietą, Perdito, a jednak choć skończyłaś czterdziestkę, nadal jesteś tylko sierżantem. Nie bywasz czasami sfrustrowana tym, że nie awansujesz?

Krzywi się.

– Nie każdy ma ambicję trafić do policji metropolitalnej.

– Nie. Poza tym ty masz powód, żeby zostać w Sabden. Powiedz mi coś. Kiedy ze swoją teorią poszłaś do mistrzów?

116

Cassie

Jak mogłam zapomnieć o figurce? Zawiera esencje Johna. Tammy nie może jej zniszczyć, nie krzywdząc go.

Dotarcie do miasta zajmie mi mniej niż dziesięć minut. Za dwadzieścia będę z powrotem. Nie chcę oglądać Tammy, ale nie ma na to rady. Wskakując do samochodu, zastanawiam się, czy nie zniszczy tej figurki tak czy inaczej, z czystej złości. Może nie wierzyć, tak jak ja wierzę, w jej szkodliwą moc. Jadę tak szybko, jak tylko mam odwagę, i parkuję na tyłach pubu. Stoi tu furgonetka Johna, na stałym miejscu przy tylnym wejściu. Obok małe czerwone renault, auto Tammy. Poza tym parking jest pusty.

Idę po żwirze bezgłośnie. Po jednej stronie drzwi leży coś dziwnego. Duża opona od samochodu ciężarowego z przyklejoną na górze taśmą plastikową klapą od śmietnika. Podchodzę bliżej i widzę, że w klapie jest niewielki otwór, półtoracentymetrowy. Ta dziwna konstrukcja budzi mój niepokój, ale nie rozumiem, o co w tym chodzi, a czas ucieka.

W kuchni nie ma nikogo. Powinna być Mary, ale nigdzie nie ma po niej śladu. Są tylko stojące przy stole na środku walizka i dwie torby sportowe.

– Halo?

Nikt nie odpowiada. Zauważam, że na stole leży telefon komórkowy i stary skórzany portfel Johna. Najwyraźniej jest gdzieś w budynku.

– John?

Nic.

Coś tu nie gra. Dotąd nigdy nie bałam się Tammy, ale energia w budynku buzuje gniewem. Zaciskam dłoń i w opuszki wbijają mi się kluczyki od samochodu. Będą mogły posłużyć za prowizoryczną broń. Potem spostrzegam lepszą. Ze stojaka na noże przy zlewie wyciągam największy.

Podchodzę do drzwi kuchni i otwieram je.

– John!

– Tutaj, na dole! – woła Tammy. Przez otwarte drzwi piwnicy widzę migotanie przyćmionego światła. Trzymając nóż za plecami, zaglądam do środka i widzę rozległą piwnicę. Farba na ścianach, kiedyś biała, teraz jest brudna i obłaząca. Pod jedną ze ścian stoi rząd błyszczących srebrnych beczek, w nozdrza uderza mnie woń zatęchłego piwa.

– Co się dzieje?! – wołam. – Gdzie jest John?

– Tutaj, na dole! – odkrzykuje Tammy.

Nadal jej nie widzę. Schodzę schodek niżej, ale potykam się. Chwytając się poręczy, upuszczam nóż, który spada na kamienną posadzkę poniżej. Spoglądam pod nogi i widzę, że schody są mokre. Tammy wylała na nie coś śliskiego. Chce, żebym spadła.

Wyobrażam sobie Johna, który pośliznął się tak jak ja przed chwilą, ale nie zdążył się złapać poręczy. Zabiję ją, jeśli coś mu zrobiła. Wyrwę jej serce gołymi rękoma.

Trzymając się mocno poręczy, schodzę szybko na dół. Widzę kamienne łukowate przejście prowadzące w głąb piwnicy. Następne pomieszczenie jest po sufit zapakowane kartonami z chipsami i skrzynkami z napojami. Za tym pomieszczeniem jest jeszcze następne. Podnoszę nóż i jestem w połowie drogi do drzwi, gdy gaśnie światło.

Florence

Perdita szeroko otwiera oczy i mówi:

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

– Ile czasu ci dali? Godzinę? Kiedy mają wrócić? A może stoją na zewnątrz i słuchają?

– Florence, o czym ty mówisz?

– Ci szaleńcy już mnie kiedyś porwali. Warunki były o wiele mniej komfortowe. Miałaś nakłonić mnie do mówienia? Jestem wściekła, że dałam się podejść, ale to niczego nie zmienia. W mieście są teraz uczciwi policjanci – odkryją, co się dzieje w tej piekielnej dziurze przy Laurowym Nasypie. Stojący za tym ludzie pójda siedzieć. Tak jak i ty.

Jej twarz zmienia się kompletnie, znika z niej cała niepewność.

– Ty naprawdę jesteś niesamowicie arogancka, wiesz? Prace prowadzone w Black Moss Manor mają ogromne znaczenie.

Wybucham śmiechem.

– Nikt nigdy nie udowodnił, że zdolności paranormalne istnieją, co dopiero, że można je okiełznać.

Perdita kręci głową, jakby mi współczuła.

– O to właśnie chodzi, żebyś tak myślała.

– Telekineza to wyssana z palca brednia – prowokuję ją, choć zdaję sobie sprawę, że może wcale tak nie jest.

– Telekineza istnieje. Tak jak i widzenie na odległość. Tak jak telepatia.

– Gówno prawda. Nie ma na to żadnych dowodów. Nigdy nie było.

Jej głos podnosi się.

– Jest mnóstwo dowodów. Ale ilekroć wieść o nich przedostaje się do wiadomości ogółu, są lekceważone, odrzucane, mówi się, że to jakieś magiczne sztuczki. Tak ludzie

mówili o Urim Gellerze i o jego wyginaniu łyżek – że to tylko sztuczka magika. Umyślnie tak robimy. Większość magicznych sztuczek jest o wiele bardziej spektakularna niż wszystko, co da się osiągnąć telekinezą, więc ludzie nam wierzą. Ale pośród tej całej fałszywej magii jest też ta prawdziwa, i my jesteśmy w tym coraz lepsi.

– Widziałaś to kiedykolwiek na własne oczy?

Twarz się jej wydłużyła.

– Wierzę w to, co jest mówione. I odpowiadając na twoje wcześniejsze pytanie: dali mi godzinę. Lepiej więc będzie, jeśli zaczniesz mówić.

– Nie mam ci nic więcej do powiedzenia. Moje zniknięcie wystarczy do tego, żeby moi koledzy uzyskali zgodę na przeszukanie Black Moss Manor. Wasze gry tutaj są skończone.

– Gdzie jest Tom Devine?

No wreszcie docierałyśmy do sedna. Prawdziwego powodu, dla którego tu się znajdowałam.

– Inspektor? A skąd ja mogę wiedzieć?

– Ostatnio widziano go, gdy jechał na spotkanie z tobą. To było wczoraj, wcześnie rano. Potem już nie wrócił.

Przybieram zaskoczoną minę.

– A to dziwne, bo dzisiaj go widziałam, kilkakrotnie. Na cmentarzu, przy Black Moss Manor, w domu Glassbrooków. Tylko trzeba pamiętać, że często widuję ludzi, których naprawdę nie ma, więc prawdopodobnie niewiele to pomoże. Ale ty wydajesz się wystarczająco realna, jeśli to cokolwiek warte. Tym bardziej szkoda.

Perdita chwilę przyswaja sobie to, co powiedziałam, potem w jej oczach pojawia się wyraz niepewności.

– To w końcu widziałaś go czy nie? – pyta.

Udaję, że się zastanawiam.

– Chyba nie – odpowiadam. – Chyba to była tylko moja wyobraźnia. Ale wyglądał bardzo realnie. I całkiem zdrowo.

Perdita nie może się ode mnie odsunąć, ale próbuje mocniej przycisnąć plecy do ściany.

– Czy ty naprawdę jesteś szalona?

Spoglądam jej prosto w oczy i uśmiecham się.

– Prawie na pewno.

Widać, że zbiera odwagę na zadanie kolejnego pytania.

– Czy on nie żyje?

– Faktycznie zdarza mi się widywać zmarłych – przyznaję. – Nie zamierzam jednak za to przeproszać. Jeśli jestem szalona, to jest to winą tych twoich obłąkanych kolegów.
– Podnoszę głos i krzyczę: – Hej, doktorze Frankenstein, chodź i przywitaj się ze stworzonym przez siebie potworem!

– Przestań.

Perdita jest przerażona. Udało mi się ją wystraszyć. Z ludźmi, z którymi współpracuje, nie będzie tak łatwo. Zastanawiam się, kiedy się wreszcie ujawnią. Teraz jestem już prawie pewna, że słuchają na zewnątrz.

– Co zrobiłaś Tomowi? – pyta znowu Perdita.

W jej głosie słychać prawdziwy strach. Przypomina mi się, że mówiła, że ma chłopaka policjanta i czuję w sercu ukłucie zazdrości.

– Zabiłaś go? – pyta prawie szeptem.

– Tom był miłością mojego życia – odpowiadam. – Dlaczego miałabym go zabijać?

– Tom jest moją miłością – odwarkuje. – I dlatego ja zabiję ciebie.

Śmieję się.

– Och, moja droga, myślę, że będziesz się musiała ustawić w kolejce.

I jak na zawołanie w tym momencie otwierają się drzwi.

Cassie

Zalala mnie ciemność, wydaje się zupełna i nieskończona.

– Strzeliły korki. – Głos Tammy przyplywa do mnie ze wszystkich stron. – Ale nie próbuj ich szukać. Są wysoko nad tobą, a właśnie zabrałam stołek, na którym stałam.

Nie mam szans znaleźć Johna w tym mroku. Muszę wrócić na górę i wezwać pomoc. Podnoszę rękę, mając nadzieję, że wyczuję pod nią miękkość kartonu pudeł. Ale tam nic nie ma. Daję krok. Nadal nic, a na dodatek straciłam orientację. Zmuszam się do pójścia przed siebie. Wcześniej czy później wpadnę na pudła ustawione pod ścianą i wtedy będę mogła je obejść. Będę starała się iść cicho.

Nigdy wcześniej nie byłam zmuszona poruszać się w kompletnej ciemności.

Pojawia się światło. Promień latarki świeci mi prosto w twarz. Biegnę ku niemu, z nożem przed sobą, ale światło znika. Słyszę oddalające się szybkie kroki i wpadam na ścianę.

– Uważaj – chichocze Tammy.

Biorę oddech.

– Tu jestem – droczy się Tammy i latarka znów się zapala. Tym razem świeci nią na siebie, w górę, tak że jej twarz wygląda jak groteskowa maska. Potem promień się przechyla i widzę figurkę Johna w jej lewej dłoni.

Promień latarki opada i przesuwa się po kamiennej posadzce. Tammy prowadzi mnie w głąb piwnicy, a ja, idiotka, za nią idę. Z drugiej strony latarka to moja jedyna szansa na wydostanie się stąd i na odszukanie Johna. Mam broń. Tammy raczej nie. Idę w kierunku światła latarki, ale ona znów ją wyłącza, a ja wpadam na coś dużego i ciężkiego.

Odzyskuję oddech i uświadamiam sobie, że zapach wokół mnie jest inny; odór zwiędzłego piwa zastąpił smród gnijących roślin i wilgoci. Wygląda na to, że jestem blisko rzeki.

Światło latarki znów się pojawia; zdążam zobaczyć drewniane beczki wyglądające na bardzo stare. Niektóre stoją prosto; inne leżą na boku, jakby ktoś miał je zaraz potoczyć. Tammy stoi przy niskim wyłożonym kamieniem łukowym przejściu.

Przechodzi przez nie. Boję się jej, ale boję się też utraty światła, więc ruszam przed siebie i schylając głowę, wchodzę do łukowatego tunelu i widzę, że Tammy wspina się na wąskie schodki na jego końcu. Jej nogi znikają, a wraz z nimi wiązka światła, która była mi przewodnikiem.

Stopnie są pokruszone i śliskie od wilgoci. Muszę się nisko pochylić, żebym mogła się na nie wspiąć. Spodziewam się, że latarka znów zaraz zgaśnie, ale idę za jej blaskiem i w jej świetle w końcu dostrzegam Johna leżącego twarzą do ziemi na kamiennej posadzce. Latarka też jest teraz na ziemi, ustawiona pod takim kątem, że mogę widzieć jego twarz i kamienny posążek przy jego prawej ręce. Podchodzę szybko do Johna, zastanawiając się zarazem, gdzie podziała się Tammy.

Słyszę huk, odwracam się i widzę zamykające się za mną ciężkie drzwi. Ja i John zostaliśmy uwięzieni.

Florence

Pierwszy przez drzwi przechodzi Bracken Lee. Dwaj mężczyźni, którzy idą za nim, ściągnęli kominiarki i na ten widok rodzi się we mnie nikła nadzieja. Jest dla mnie jasne, że zamierzają mnie zabić, ale kiedy wcześniej na nas napadli, byli zamaskowani. Może więc Dwane i Jenny jednak żyją.

Lee podciąga mnie w górę. Nie mogę iść ze skrępowanymi kostkami, więc on i jeden z mężczyzn wynoszą mnie na zewnątrz, gdzie czeka na nas dwoje ludzi. Kiedy jestem rzucana na ziemię, rozpoznaję Asterów. Postarziali się oczywiście, są niżsi i chudsi, ale rozpoznałabym ich wszędzie.

– Pan i pani Taylor, jak się domyślam? – rzucam. – Tym razem wylądujecie w więzieniu za morderstwo.

– Gdzie są prochy? – pyta Fred Aster.

Judith Aster nie odzywa się. Ale minę ma taką, jakby chciała mi wydłubać oczy.

Podciągam się na kolana, żebym mogła się rozejrzeć. Jesteśmy wysoko na wrzosowiskach, ale nadal w cieniu Pendle Hill. Jesteśmy otoczeni obręczą zimozielonych drzew, kilka metrów dalej widać brzeg jeziora. Miejscowi nazywają je Black Tarn.

– Przytopcie ją – mówi Judith. – Od razu zacznijcie gadać.

– Nie ma na to czasu – sprzeciwia się Fred. – Miasto obsiedli jej ludzie.

– Fred ma rację – wtrąca się Lee.

Nadchodzi Perdita, oswobodzona z więzów. Ignoruję ją, ale ona chwyta mnie i zaczyna ciągnąć w stronę jeziora.

– Daj ją tutaj, Perdy – mówi jakiś głos. Ktoś mnie podnosi i niesie kilka metrów, a potem wrzuca do wody na brzegu. W sekundę później ktoś inny – przypuszczalnie Perdita – przyciska mnie w dół i moja głowa ląduje pod wodą.

120

Cassie

Rozrywam Johnowi koszulę i kładę mu ręce na gołej piersi. Ciepła. Zajmuje mi to kilka sekund, ale w końcu udaje mi się odróżnić bicie jego serca od bicia mojego własnego. Dwa serca. Nadal bijące.

– John?

Biorę latarkę, którą Tammy zostawiła – przypuszczalnie, żeby mogła zobaczyć, jak straszna jest moja sytuacja – i świecę nią po całej długości jego ciała. Nie widzę ran, nie widzę krwi. Ściągam kurtkę i podkładam ją Johnowi pod głowę.

– John, odezwij się.

Nie mogę go ocucić, ale żyje. Prostuję się i rozglądam. Jestem w średniowiecznej celi, o której słyszałam, ale nigdy wcześniej nie widziałam, bo rodzina Johna zabiła wejście do niej deskami. Przed wiekami w tej celi trzymani byli więźniowie transportowani do więzienia w Lancaster.

Cela jest niewielka, jakieś trzy metry na dwa i pół, i niska, nie da się w niej w pełni wyprostować. Bezpośrednio nad nami jest żelazna krata.

Kamienne ściany miejscami się wykruszyły, odsłaniając ziemię za nimi. Blisko posadzki są pozostałości po kajdanach i żelazne obręcze. Drzwi – deski zbite dużymi żelaznymi gwoździami – mogą mieć setki lat, ale są solidnie zrobione i idealnie wpasowują się w kamienną sklepioną wnękę. Po tej stronie nie ma klamki. Ale jest kratka: pięć wertykalnych prętów w otworze pół na pół metra.

Podchodzę i świecę przez kratkę latarką. Po drugiej stronie stoi Tammy.

– W dawnych czasach trzymali tu wiedźmy – mówi. – Beryl mi opowiadała.

– Gdzie ona jest?

– Upiła się do nieprzytomności, jak zwykle. Nowinę przekażę jej rano.

Nie będę pytała jaką nowinę. Nie będę brała udziału w jej grze. I tak sama mi powie.

– Że ty i John uciekliście. Że nie mam pojęcia, gdzie jesteście. Że prawdopodobnie

już nigdy nie zobaczy syna.

– Na zewnątrz stoi mój samochód, ty głupia krowo – warczę, ale zarazem przypominam sobie, że kluczyki zostawiłam na górze. Tammy może odwieźć gdzieś auto, porzucić je i nikt się o tym nigdy nie dowie. Policja nie będzie szukała mnie w Sabden, nie w sytuacji, kiedy moje rzeczy zniknęły z domu Daphne i Avril. Nie, kiedy zniknęły też rzeczy Johna. Wszyscy założą, że uciekliśmy.

– Coś wymyślę – odpowiada Tammy. – Mam na to całą resztę nocy.

– Nie uda ci się z tego wywinąć – rzucam. – Ludzie usłyszą nasze wołanie. Mam ze sobą jeden z twoich noży z kuchni. Wydłubię sobie wyjście.

– Do rana będziesz martwa – oznajmia.

Rozglądam się. Cela jest okropna, ale nie ma tu nic, co mogłoby nas zabić.

– Muszę iść – oświadcza Tammy i zamyka klapkę przy kratce. Sekundę później słycać walenie. Próbuję podnieść klapkę, ale po mojej stronie nie ma rączki.

– Co robisz?

– Uszczelniam drzwi.

Chce nas tu zadusić. Tylko czy nie widziała kraty w suficie? Mamy przez nią dostęp do powietrza.

– Zrobiłam przykrywkę na tę kratę – mówi Tammy, zupełnie jakby czytała mi w myślach. – Plastikowa pokrywka od śmietnika na starej oponie od furgonetki Johna.

Przypomina mi się otwór w pokrywie. W sam raz, żeby zmieściła się w nim rura. Nagle rozumiem, co Tammy wymyśliła. Zamierza nas zagazować.

Odwracam się i rozglądam za czymś, czym mogłabym zatkać kratę.

– On jest ojcem twoich dzieci! – wołam. – Myślałam, że go kochasz.

– Kocham. Ale wolę go zabić, niż patrzeć, jak kopuluje z tobą jak jakieś bydło. Chyba wykorzystam twoje auto. Bak masz pełny?

Tak. Jest pełny.

– Są gorsze rodzaje śmierci niż zatrucie tlenkiem węgla – mówi Tammy, dalej obijając czymś drzwi. – Będzie ci się kręciło w głowie, może cię zacząć mdlić. Możesz dostać silnego bólu głowy, ale potem zaśniesz i już się nie obudzisz. Wiedzmy, w dawnych czasach, miały o wiele gorzej.

121

Florence

Pluję gorzką w smaku wodą z jeziora, kiedy Bracken Lee przykuca przy mnie na brzegu.

– Ostatnia szansa – mówi. – Powiedz, gdzie są prochy.

– Twoja matka była słodką dziewczyną – sapię. – Byłaby załamana ze wstydu.

Zostają podciągnięta do pozycji siedzącej, na przód wychodzi Judith. Staje nade mną i patrzy na mnie z góry.

– Jeśli powiesz, może cię puścimy – oznajmia. – Bez prochów i raportów z sekcji, którymi się zajmiemy, nie masz nic. Powiedz, gdzie są prochy, to będziesz wolna.

Kłamie. Jestem świadkiem tego, co robią, i nie będą ryzykowali.

– Sandra Cartwright zmarła godzinę temu – dodaje Judith. – Nie masz nic.

– Mamy mało czasu – odzywa się Frederick. – Policjanci z Londynu już się spotkali z jej znajomymi. Wcześniej czy później zjawią się tutaj. Musimy zakończyć to teraz. – Odwraca się do młodszego mężczyzny. – Zajmiesz się tym?

– Nie ma problemu – odpowiada Lee.

Asterowie i Perdita odchodzą, a ja zauważam, że na brzegu czeka łódka z wiosłami. Zamierzają utopić wiedźmę.

122

Cassie

Przeciągnęłam Johna do drzwi z nadzieją, że jakieś powietrze dotrze do niego przez szparę u dołu. Trzonkiem noża walę w klapę, ale gwoździe, którymi Tammy ją przybiła, trzymają mocno.

Nie oglądam się na kratę w suficie. Przeplotłam między prętami swoją kurtkę, ale wiem, że czad przedostaje się do środka. Już od jakiegoś czasu boli mnie głowa, mdli mnie, i co kilka sekund muszę przerywać to, co robię, żeby odzyskać równowagę.

Tammy zostawiła nas o północy. Dziesięć minut później usłyszałam, że ktoś uruchamia silnik mojego auta. Teraz jest prawie pierwsza. John i ja wdychamy tlenek węgla od prawie godziny.

Oczywiście próbowałam wyrwać kratę z sufitu, ale była nie do ruszenia przez czterysta lat i teraz to się nie zmieni. Kiedy wylądowała na niej opona, próbowałam przepchnąć ręce przez oczka kraty, tak bym mogła zablokować rurę, ale oczka są za małe. Podły wynalazek Tammy sprawdza się. Na długo zanim mój wóz zużyje całe paliwo, ja i John będziemy martwi.

Ściany ciasnej, klaustrofobicznej celi wydają się być coraz bliżej siebie. Już nie jestem w stanie stać, więc nawet nie próbuję. Kładę się obok Johna i obejmuję go. Nie porusza się, z czego się cieszę. Nie będzie miał świadomości, że umiera. Kładę głowę na jego ramieniu i zamykam oczy.

– Cassie!

– Cassie!

Jestem na dnie głębokiej studni, jej otwór jest wysoko, wysoko nade mną i płynie do mnie stamtąd głos mojej siostry.

– Cassie, jesteś tam? Cholera, nie mogę tego przesunąć. Cassie, powiedz coś.

– Proszę się odsunąć, panienko. Tam jest jakaś szmata czy kawałek ubrania. Spróbuję

to wypchnąć.

Znam ten głos. To policjant. Rozmawiał ze mną dzisiaj.

– Cassie! Trzymaj się. Jest tu policja. Wiedzą, gdzie jesteś. Trzymaj się, Cassie.

Z bardzo bardzo daleka dociera do mnie odgłos kroków.

Parking przed pubem jest zapakowany. Siedzę na schodkach ambulansu, otulona kocem, z maską tlenową na twarzy i patrzę, jak Tammy jest prowadzona do czekającego radiowozu. Nie patrzy na mnie ani na Johna, który leży obok mnie w karetku. Radiowóz odjeżdża i Tammy znika z naszego życia.

– To był przypadek, że zauważyłam twój samochód. – Luna siada obok mnie, blisko, ale nie proszę jej, żeby się odsunęła. – Gdyby światło było zielone, przejechałabym po prostu. Jechałam do ciebie, żeby rozerwać cię na strzępy za to, że wyszłaś od Daphne i Avril, i zauważyłam tę rurę. Jezu, Cass. – Ścisną moje ramię, potem szybko zabiera dłoń, jakby się zawstydziała.

– Gotowa, kochanie? – Ratownik za mną zajmował się Johnem, który jest nadal nieprzytomny. – Dwie minuty i odjeżdżamy.

Odsuwam maskę z twarzy.

– Co się dzieje z resztą? – pytam.

– Zakładaj to z powrotem – warczy Luna. – Dwane i Jenny są cali i zdrowi. Zostali skrepowani i zamknięci w samochodzie przy stodole. Kilka minut temu na Nelson Road znaleźli Perdite. Twierdzi, że zamaskowani mężczyźni porwali ją i Florence spod stodoły i potem ją wyrzucili na drogę.

– A Florence? – pytam.

Luna kręci głową.

123

Florence

Niosą mnie do łodzi. Bracken i drugi mężczyzna spychają ją na wodę; trzeci mężczyzna stoi na brzegu i patrzy. Asterowie odchodzą do samochodu.

Kiedy oddalamy się od brzegu, wiatr przybiera na sile. Mężczyzna, którego nie znam, wiosłuje, Bracken siedzi naprzeciwko niego. Ja siedzę w kucki na mokrym dnie łodzi. Łódka jest mała, tak naprawdę tylko na dwie osoby. Pod siedzeniem wiosłarza leżą dwa duże kamienie. Są obwiązane sznurem. Zanim opuszczę tę łódkę, kamienie zostaną do mnie przytroczone. Plastikowe trytytki na moich nadgarstkach są założone tak ściśle, że wrzynają mi się w skórę. Kiedy wylecę za burzę, nie będę mogła używać ani rąk, ani nóg.

W dawnych czasach, kiedy czarownice były jawnie prześladowane, topienie ich nie było formą egzekucji, a testem. Jeśli czarownica tonęła, znaczyło to, że jest niewinna. Jeśli jednak nie, to mogło się tak dziać jedynie za sprawą mocy nadprzyrodzonych i dowodziło, że kobieta jest w zмовie z diabłem. Wyciągano ją z wody i wieszano.

Ja jestem czarownicą. I nie mogę utonąć.

Płyniemy i płyniemy i jedynym odgłosem, jaki słyszę, jest chłopot wody pod wiosłami. Noc jest bardzo ciemna i brzegi jeziora szybko nikną w mroku.

– Myślę, że tu będzie dobrze. – Wiosła nieruchomieją. Słyszę kapanie wody, a potem coś jakby odgłos innych wiosł.

Bracken rozgląda się.

– Może jeszcze trochę dalej – mówi.

Na sekundę zanim wiosła dotkną wody, słyszymy coś.

– Co to było? – pyta z niepokojem mężczyzna, który wiosłuje.

– Cicho, przymknij się – syczy Bracken.

Suniemy dalej po nieruchomej czarnej wodzie. Black Tarn to jezioro polodowcowe, powstałe z lodu miliony lat temu, uważa się, że jest bardzo głębokie. Nie żeby miało to

jakikolwiek znaczenie. Wystarczy sześć stóp wody, żebym się utopiła. Biorę głęboki oddech i przypominam sobie to, co opowiadał mój syn mnie i swojemu ojcu o nurkowaniu.

Kilka sekund szybko dyszysz, żeby rozszerzyć płuca. Potem bierzesz jeden wielki wdech i trzymasz.

Zaczynam dyszeć, wyobrażając sobie, że moje płuca powiększają się i napęniają powietrzem. Porywacze myślą, że dostałam ataku paniki, i posyłają sobie szydercze uśmiechy.

– Tu będzie dobrze – mówi Bracken. Jego współnik przestaje wiosłować i wciąga wiosła.

Ja robię to, co robiłam: biorę potężne oddechy i wypuszczam powietrze. Wioślarz wytacza kamienie spod siedzenia.

Muszę to zrobić teraz. Zasysam w siebie powietrze do tego stopnia, że czuję, że za chwilę pękną mi płuca, i potem, jeszcze zanim któryś z dwójki zdąży zareagować, wstaję i rzucam się przez burtę.

Wpadam w wodę i natychmiast obejmuje mnie zimno, ale już kiedyś w tym jeziorze pływałam. Jest lato. Zimno mnie nie zabije. Ciężar mojego ciała ściąga mnie w dół, staram się jednak z tym nie walczyć. Nie mogę marnować energii i nie mogę zbyt wcześnie wypłynąć. Nade mną łódka na pewno się kołysze, a mężczyźni w niej usiłują ją ustabilizować. Możliwe, że nawet nie widzieli dokładnie miejsca, w którym zniknęłam pod wodą. Jeśli szczęście mi dopisuje, razem ze mną z łódki wypadły też ich latarki.

W otaczającej mnie ciemności nie widzę absolutnie nic i jedynie szczypiące mnie w oczy zimno mówi mi, że mam je otwarte. W uszach słyszę dzwonienie, ale nie jest to nieprzyjemny dźwięk.

Tonę coraz wolniej, aż w końcu przestaję. Leżę nieruchomo, jakby amortyzowana przez wodę. Pokusa, żeby się poruszyć, spróbować pozbyć się więzów, jest wielka, ale wiem, że nie wolno mi wykonać żadnego ruchu.

Powietrze w płucach działa jak powietrze w kamizelce ratunkowej. Samo nabranie głębokiego oddechu spowoduje, że się wzniesiesz.

Jestem pod wodą od może dziesięciu sekund. Mam co najwyżej minutę do momentu, gdy będę musiała wypuścić powietrze.

Ludzkie ciało jest z natury wyporne, kobiece bardziej niż męskie ze względu na większą zawartość tłuszczu. Jestem kobietą w średnim wieku i jakkolwiek bym się starała bronić przed pozyskaniem dodatkowych kilogramów, one zawsze znajdą sposób,

żeby osadzić się na brzuchu i biodrach. Wiele razy unosiłam się na powierzchni spokojnych wód.

To działa. Wznoszę się w górę. Widzę powierzchnię – niebo jest zbyt ciemne i nie ma śladu księżyca, który wskazywałby mi drogę – ale ufam prawom fizyki. Dwadzieścia sekund – tyle moim zdaniem minęło od chwili, gdy wskoczyłam do wody.

Zimno przestaje być dokuczliwe, w kończynach zaczynam czuć odrętwienie. Krew przepływa z krańców ciała do serca, by podtrzymać jego pracę, wkrótce jednak ono też zacznie zwalniać. Mówię sobie, że to dobra rzecz. Chłód spowolni zużycie tlenu, co da mi dodatkowy czas. Nadal się wznoszę, wolniej, niżbym chciała, ale mówię sobie, że to też jest dobre. Mężczyźni w łódce nie odpłyną na brzeg od razu. Zaczekają, żeby się upewnić, że na pewno utonęłam.

Zapominam się i pociągam za opaskę na nadgarstkach. Ten ruch okazuje się błędem. Znowu zaczynam opadać. Panika rośnie.

Jestem wiedźmą, mówię w myślach. Wypłynę.

Trzydzieści sekund. Trzymanie powietrza nie jest już łatwe. Moja klatka piersiowa zaciska się, ale znowu się wznoszę. Widzę ruch, lustro wody. Moja twarz przebija się nad nie i wolno wypuszczam powietrze. Biorę dwa głębokie oddechy i czekam na okrzyki, na kierujące się na mnie światło latarki.

Zaczynam opadać w dół i panika znowu podnosi swój łeb. Kiedy w przeszłości unosiłam się na wodzie, do zachowania równowagi miałam dwie wolne ręce, dwie dłonie do delikatnego nimi poruszania. Moje ręce teraz są skrępowane w nadgarstkach. Staram się nie poruszać, ale zaczyna mnie obezwładniać rozpacz. Nie mogę tak unosić się na wodzie i pod wodą przez wieczność. Nie wytrzymam, nawet gdyby to miały być minuty. Ryzykuję i kopię nogami. Wystrzeliwuję w górę, jeszcze raz przebijając się przez lustro wody, ale zanim zdążę cokolwiek zobaczyć, znowu idę na dno, tym razem szybciej. I tym razem opadam głębiej.

Znowu kopię nogami, wydostaję się na powierzchnię, biorę oddech i tonę. Kiedy przecinam lustro kolejny raz, wiem, że to może być ten ostatni. Łapię ciężko powietrze i wtedy nagle ktoś chwyta mnie za włosy i ciągnie, aż uderzam w coś twardego. Łódź. Czekam, aż zostanę wepchnięta pod wodę.

Druga ręka chwyta mnie pod pachę.

– Tylko ciii – szepcze mi głos do ucha. – Ani słowa. Nie są daleko.

Jestem cicho. Nie mam pojęcia, co się dzieje.

Przez długie minuty tkwię przy łodzi, czepiając się ostatnich chwil życia, które teraz wydaje się nieskończenie cenne. W oddali słyszę głosy i chyba pluskanie wiosła.

– Dobra, zaryzykujemy. Tylko nadal bądź cicho.

Teraz chwytają mnie już dwie ręce, ciągną w górę. Wynurzam się z wody i słyszę, jak jej krople niemiłosiernie głośno skapują na powierzchnię. Chcę pomóc sobie wykopem nóg, ale nie mam odwagi tego zrobić. Potem zostaję wciągnięta na coś twardego i bolesnego, i ląduję na dnie łodzi. Czuję na dłoniach ciepło czyichś dłoni, chłód metalu, i opaski na moich nadgarstkach pękają. Potem wolne mam też nogi i próbuję usiąść.

Mężczyzna w łodzi ma koc, którym mnie opatula. Przytyka palec do ust, a potem szybko sięga po wiosło i wiezie nas do brzegu. Patrzą tam, gdzie na wodzie migocze maleńkie światełko, domyślając się, że to pewnie tamta druga łódź. Mężczyzna w naszej odzywa się do mnie dopiero, gdy na brzegu zapalają się reflektory samochodu, prześlizgują się po wodzie i potem auto odjeżdża.

– Nikt w klubie wędkarskim nigdy mi w to nie uwierzy.

124

Cassie

Czwartek, 12 sierpnia 1999

Klucze były tam, gdzie Avril powiedziała, że będą. Jestem dziesięć minut za wcześnie, ale potrzebuję побыć tu chwilę sama. Wiele lat nie byłam w naszym starym domu i w dniu, w którym z niego odeszłam, myślałam, że jestem zabójczynią. Myślę, że trochę mi zajmie, zanim przyzwyczaję się do bycia kobietą, którą nie jestem.

Kuchnia pachnie suszonymi ziołami i cytryną, tak jak pachniała zawsze. A także kurzem i starymi tkaninami, czym nigdy nie pachniała.

Fiolki z syropem z naparstnicy zostały opróżnione dawno temu i w starej spizarce nic nie przypomina mi tego, co kiedyś rzekomo zrobiłam. Przechodzę przez salon i zdumiona tym, że matka ją zatrzymała, znajduję butelkę tio pepe. Już mam nalać sobie kieliszek, żeby sprawdzić, czy wyczuję dodatkową słodycz syropu z dzikiej róży, ale na zewnątrz zatrzymuje się samochód. Wracam do kuchni, żeby zaczekać w niej na Florence.

– Jak się czuje John? – pyta zaraz po wejściu.

– Zatrzymują go na kolejny dzień – odpowiadam. – Tammy podała mu dziwny środek nasenny. Nie chce powiedzieć, co to było, więc chcą mieć go na oku.

– A ty?

– Najgorszy kac ze wszystkich, jakie kiedykolwiek miałam. Kazali mi dużo odpoczywać, leżeć, najlepiej na świeżym powietrzu. A u ciebie wszystko w porządku?

– Czuję się o wiele lepiej, wiedząc, że pewne osoby są za kratkami. – Florence stawia swoją torbę na stole, wyciąga telefon i spogląda na niego. – Brian Rushton i moi podwładni zgarnęli Asterów dziś wcześnie rano – słyszałaś? Postawiono im zarzuty. Perdita Collins też jest zatrzymana.

– Dobrze – mówię. – Chociaż nie w kwestii Perdity. Avril i Daphne są zrozpaczone.

Florence ponownie zerka na ekran telefonu.

– Niestety Bracken Lee zapadł się pod ziemię. Nie znaleźliśmy też niczego jednoznacznego w Black Moss Manor. Ci ludzie potrafią zacierać za sobą ślady.

– Cieszę się, że dobrze się czujesz – mówię i uzmysławiam sobie, że mówię to szczerze. Dzisiaj jestem jakaś odmieniona, jakby cały jad, cała zazdrość, całe niezadowolenie, które zżerały mnie od tak dawna, odeszły.

– Co ty i John teraz zamierzacie? – pyta mnie Florence.

Nie chcę nawet, żeby Tammy trafiła do więzienia. Jak mogę ją winić za to, że kocha Johna odrobinę zbyt mocno?

– Jeszcze się tak naprawdę nad tym nie zastanawialiśmy – odpowiadam. – Nie było czasu. Chyba wyjedziemy za granicę. Nie damy rady zapobiec skandalowi, zwłaszcza kiedy rozpocznie się rozprawa z Tammy w sądzie.

Zastanawiam się, czy moglibyśmy z Johnem nie zgodzić się na wniesienie oskarżenia, czy taka możliwość w ogóle istnieje w przypadku usiłowania popełnienia zabójstwa. Muszę spytać o to Lunę.

Florence jakoś długo milczy.

– Nie pochwalasz tego pomysłu? – pytam.

Kręci głową.

– Och, Cassie, w szerszym kontekście...

Nad naszymi głowami zaczyna grać muzyka. *Always On My Mind*, Presleya. Spoglądam na Florence i widzę, że pobladła jak ściana.

– Ki diabeł? – mamroczę.

Florence wypuszcza powietrze, które wstrzymywała.

– To Luna. Wczoraj też to zrobiła. Wystraszyła mnie na śmierć.

Idziemy schodami na pierwsze piętro, mijamy dawny pokój Florence, potem mój i widzimy, że wąskie drzwi prowadzące na poddasze są oczywiście otwarte. Idę pierwsza i kiedy docieram na szczyt i wchodzę na poddasze, widzę Lunę i matkę przy starym gramofonie Larry'ego.

– Nie będziesz miała nic przeciwko, że je wezmę, Cass? – pyta Luna. – Jak chcesz, możemy się nimi podzielić.

– Myślałam, że jesteś w szpitalu. – Matka podnosi się niezdarnie na nogi, strzepuje kurz ze spódnicy i daje krok w moją stronę.

Zapewniam ją, że czuję się dobrze i że John też jest w dobrej formie, a potem Florence musi odpowiedzieć na kilka pytań o swoje zdrowie. Podczas gdy matka ją przepytuje, ja krążę po poddaszu. Jest duże, rozciąga się na szerokość i długość domu, i

załadowane zgromadzonymi przez lata śmieciami. Od czasu, kiedy byłam tu ostatnio, minęły dekady. Widzę ustawione pod sufit pudła pakowe, regały ze starymi książkami, dużą skórzaną skrzynię, walizki.

Podłogę i większość płaskich powierzchni pokrywa cienka warstwa ciemnego kurzu. Widzę w nim odciski butów Luny i matki i idąc, czuję pod stopami delikatne zgrzytanie, jakbym chodziła po drobnym żużlu.

– Ja też się dobrze czuję, jeśli kogoś to interesuje – rzuca Luna. – Kto ma ochotę na drinka? O której otwiera się Czarny Pies, Cass?

Ignoruję ją. Moją uwagę przykuł stary domek dla lalek, miniaturowa replika domu, w którym się znajdujemy. Otwieram front i widzę swój stary pokój, taki jaki był kiedyś.

– Tata to zrobił, prawda? – pytam.

Domek jest pokryty drobnym czarnym sypkim pyłem, w którym coś się mieni. Przyglądam się uważniej. Skrzydełka owadów.

– Oczywiście, że on – odpowiada matka. – Dla was dwóch zrobiłby wszystko. Pamiętacie swoje kołyski?

Matka otacza mnie rękoma w pasie i prowadzi do misternie rzeźbionego łóżeczka, które wydaje się błyszczeć nawet pod matową warstwą kurzu. Na ścianie frontowej i w nogach są scenki przedstawiające leśny krajobraz w zimową noc. Larry wyrzeźbił dla mnie gwiazdki i księżyc w pełni.

– Urodziłaś się w lutym – mówi matka, jakbym mogła zapomnieć. – Więc wyrzeźbił zimowy księżyc. To drewno to jabłonka. Ściął starą w naszym ogrodzie.

– A gdzie moja kołyska? – pyta Luna. – Czy może miałam tylko tę odziedziczoną po Cassie?

Matka posyła Lunie spojrzenie, które dobrze pamiętam.

– Twoja była zrobiona z drewna wiśniowego. Letnia noc i księżyc w pełni.

– Gdzie ona jest?

Na twarz matki nasuwa się chmura.

– Na dole. Randy zniósł ją dla małego Henry’ego.

– Jest tam nadal? – Florence podeszła do wąskiego okna i teraz wpatruje się w parapet.

– Nie wiem. Nigdy potem nie korzystaliśmy więcej z tamtego pokoju – odpowiada matka.

– Myślicie, że dowiemy się kiedyś, co się stało z Marigold? – odzywa się Luna.

Przez chwilę nikt nie odpowiada. Florence wygląda, jakby nie do końca koncentrowała się na nas. Rozgląda się ciekawie po poddaszu.

Ciszę przerywa moja matka.

– Zabrali ją tamtej nocy. Ją i małego Henry’ego. Skorzystali z tego, że mnie nie było i przyszli po nich. To moja wina.

– Ale nie zabrali ich do Black Moss – zauważa Florence. – Wtedy tam się paliło.

– Wcale nie jestem pewna, czy tak było – wtrąca się Luna. – Grace coś by usłyszała, gdyby coś się tu działo. A głucha, o ile pamiętam, nie była.

– A Marigold nie dałaby się zabrać spokojnie – dodaje. – Darłaby się na całe gardło.

Florence i matka wymieniają spojrzenia.

– Rzeczywiście płuca miała niczego sobie – potwierdza matka. – Pamiętasz tę noc, gdy rodziła?

Florence uśmiecha się.

– I ten dzień, kiedy zamknęła się w łazience na oddziale położniczym?

– Masz rację, kochanie – zwraca się do mnie matka. – Nie dałaby się zabrać bez walki.

– Więc to znaczy, że zabili ją tutaj – oznajmia Florence. – Albo może zrobił to Roy.

– Roy był chory. – Matka kręci głową. – Ledwie chodził.

– Czyżby? – rzucam. – Bo ja pamiętam, że miał wystarczająco dużo siły, żeby pobić Johna.

– Wciąż żył, kiedy ja i Tom przyjechaliśmy tu o jedenastej. – Florence marszczy czoło.

– Kiedy stąd wybiegałam, był na nogach i chodził po domu – mówię. – To było tuż przed dziesiątą.

– Co mógł zrobić przez godzinę? – mamrocze Florence.

– Z Marigold wszystko – rzuca moja matka. – Nie powinnam jej była zostawiać.

– Mogłybyśmy wreszcie przestać obwiniać się o to, co potwory z tego miasta robią nam i innym? – denerwuje się Luna. – No serio, mogłybyśmy?

– Myślę, że to rzeczywiście był Roy. – Florence mówi tak, jakby rozmawiała sama ze sobą. – Miał godzinę. Zabił Marigold; potem skontaktował się z mistrzami i powiedział im, żeby przyjechali i zabrali ciało i dziecko. Mistrzowie przyjechali, a on potem położył się do łóżka, bo naprawdę czuł się źle.

– Chyba tak było, musiało tak być – zgadzam się.

Ale Florence znów ma minę, która wyraża wątpliwości.

– Wyobrażam sobie, że zabierają dziecko – mówi. – Dziecko jest małe, można je łatwo ukryć. Ale zabrać ciało dorosłej kobiety? To nie takie proste. Przynajmniej nie bez przygotowań.

Milczymy, zastanawiając się nad jej słowami.

– Sally, kiedy ostatni raz robiłaś tu większe porządki? – pyta Florence.

Matka zaciska usta.

– Nie mówię tego, bo chcę ci cokolwiek wytykać – szybko zapewnia Florence. – Ale skoro łóżeczko Luni po trzydziestu latach wciąż jest na dole, to znaczy, że nie zaglądałaś tu często.

– Ja na górze nie byłam od lat – odzywam się. – Ale też od wielu lat tu nie mieszkam.

– Po tamtej nocy – znów odzywa się Florence – jak dokładnie policja przeszukała dom? Wchodzili na poddasze?

Wszystkie patrzymy na nią trochę ogłupiałe.

– Ja już w tym nie brałam udziału – ciągnie Florence. – Inspektor położył większy nacisk na zasadę, że mam nie mieć nic wspólnego z rodziną Larry’ego.

– Ja dwa dni przesiedziałam w areszcie – mówi matka. – Dziewczynki były wtedy u Avril i Daphne.

– Kiedy wróciłyśmy, Mary nic o tym nie mówiła – dodaje Luna. – Jesteś pewna, że było w ogóle jakieś przeszukanie?

– Tak – odpowiada zdecydowanie Florence. – Pamiętam rozmowy o tym. Pamiętam, że ludzie mówili, że dokładnie przeszukali dom i ogród i że nigdzie nie znaleziono śladu po Marigold i jej synku.

– Szukaliście jej w tę noc, kiedy zniknęła – przypomina moja matka. – Pomagałam wam. Szukaliśmy wszędzie. Nawet tutaj.

– Szukaliśmy kobiety, która się ukrywa, a nie zwłok – odpowiada Florence. – Poza tym to było pospieszne przeszukanie, powierzchowne. Nie wezwaliśmy techników. Nie tamtej nocy.

Milkniemy kolejny raz.

– Czy któraś z was zwróciła uwagę, że strasznie tu dużo owadów? – pyta w końcu Florence.

Spoglądam w dół na podłogę. Na chrzęszczący czarny kurz, po którym chodziliśmy. Patrzę na matkę i na siostrę i wiem, bez pytania, że wszystkie myślimy o tym samym.

– To niemożliwe – mamrocze Luna. – Coś byśmy poczuły.

Moje spojrzenie wędruje do dużej skrzyni pod ścianą w głębi.

– Kiedy ostatni raz rozmawiałam z waszym ojcem, mówił mi, że sporo wie na temat martwych ciał – odzywa się Florence. – O tym, jak się rozkładają w zależności od warunków otoczenia. Roy też się na tym znał.

Florence patrzy w to samo miejsce co ja. Na dużą skrzynię.

– Roy nie wiedział, że tamtej nocy umrze – dodaje Florence. – A jeśli powiedziano mu, żeby ukrył ciało, tylko na dzień czy dwa, do czasu aż ktoś przyjdzie i pozbędzie się go na dobre? Gdzie w domu mógłby je ukryć?

– Co jest w tamtej skrzyni, mamó? – pyta Luna.

– Zasłony – odpowiada matka. – Pościel. Kilka starych narzut.

– Marigold zniknęła w lecie – mówi Florence. – Poddasze nie jest szczelne, więc musiało tu być mnóstwo owadów.

Florence sięga do kieszeni kurtki i wyciąga parę fioletowych jednorazowych rękawiczek.

– Coś byśmy poczuły – powtarza Luna.

– Czujemy – odzywa się matka. – Musiałam dzwonić po kogoś, żeby sprawdził kanalizację. To było zaraz po pogrzebie Randy’ego. Pamiętacie, jak wtedy strasznie padało?

– Zapach utrzymywałyby się kilka tygodni, góra kilka miesięcy. – Florence zakłada rękawiczki. – A jeśli była w zamkniętym miejscu, mógł się nie rozchodzić. Zasłony wchłonęły wypływające płyny.

Luna ogląda się na mnie.

– Cass, może zabierzesz mamę na dół?

Matka kręci głową, chociaż podchodzi do mnie, kiedy Florence idzie wolno do skrzyni. Otwiera zapięcia i podnosi wieko. Wieko opada na ścianę. Luna dołącza do Florence, kiedy ta wyciąga ze skrzyni prześcieradło.

– Och – sapie.

Matka bierze mnie za rękę i dołączamy do reszty. Z zakłopotaniem na twarzy Luna przesuwa się w bok, żebyśmy lepiej widziały.

W skrzyni, zwinięta w kłębek, rozpoznawalna jedynie za sprawą jej długich truskawkowopłowych włosów i jasnoróżowej sukienki w stokrotki, leży Marigold.

125

Florence

Piątek, 13 sierpnia 1999

Spotykamy się o zmierzchu. Dzień był pochmurny i teraz na niebie zbierają się ciężkie deszczowe chmury. Zachód słońca nie będzie trwał długo.

Pierwsze przyjeżdżają Daphne i Avril. Daphne niesie naręcze ogrodowych kwiatów, wiele z nich jest jasnopomarańczowych i żółtych. Następne przybywają Marlene z córką, też z kwiatami, potem Mary i rodzina Ogilvych. Nie powiedziałyśmy Hecate, matce Perdity, o spotkaniu. Hecate nie jest już kimś, komu kobiety mogą ufać. Jej miejsce w sabacie zajmie Sally.

Przez pół godziny, może dłużej, rozmawiamy i pijemy wino. Jedna czy dwie z kobiet podziwiają aksamitną nakrapianą cekinami sakiewkę wiszącą na wstążce na mojej szyi. Mówię im, że to prezent od Sally.

Wiele z nich wypytuje mnie o dochodzenie. Odpowiadam, że choć fałszywy raport z sekcji zwłok zniknął z posterunku, to prawdziwy nadal jest w szpitalu Blackburn Royal, i że jest dowodem na to, że dzieci zmarły i zostały pogrzebane nielegalnie w Black Moss Manor w ostatnich dwudziestu latach. Ludziom zostały postawione zarzuty, a Asterowie, którzy podszywali się pod Tylorów, będą sądzeni za morderstwo. Czy zostaną skazani, tego nikt nie wie.

– Sędzią będzie pewnie jeden z mistrzów – prorokuje Mary.

Kobiety wymieniają nerwowe spojrzenia, jakby wymawianie tej nazwy na głos wciąż mogło sprowadzić na nas nieszczęście.

– Nawet oni nie są w stanie wiecznie uciekać przed sprawiedliwością – odpowiadam.

– Dorwiemy ich. Powoli, ale w końcu dorwiemy. Nie traćcie ducha, drogie panie.

– A co z Brackenem Lee? Znaleźliście go? – pyta Marlene.

Kręcę głową.

Niebo ciemnieje, więc zapalamy krąg świeczek wokół ogniska, które ja i kobiety Glassbrooków budowałyśmy przez cały dzień. Ogród nie leży na widoku, ale jesteśmy blisko innych domów. To, co robimy, musi zostać zrobione szybko.

Za nami otwierają się drzwi kuchni i na zewnątrz wychodzi Dwane, by do nas dołączyć. Szczątki Marigold owinęłyśmy w jedno z bawełnianych prześcieradeł Sally. Trzydzieści lat po śmierci z ciała zostało niewiele, więc Dwane niesie zwłoki z łatwością. Z miną, która jest ponura nawet jak na niego, podchodzi do ogniska i kładzie bawełniany tobołek na środku.

Drewno nasączyłyśmy benzyną. W sercu ogniska jest podpałka i dużo zapalniczek. To się musi dokonać szybko. Jutro rano zbierzemy prochy i rozsypujemy je na Wzgórzu, w miejscu spotkań wiedźm. Marigold nigdy przez nas nie będzie zapomniana.

Kobiety ustawiają się wokół ogniska. Wyciągają ręce, i łącząc siły, łapią się za nie, i zaczynają śpiewać. Ja w środek stosu rzucam świeczkę.

Ogień rozpala się jasnym i mocnym płomieniem. Widzę, jak prześcieradło, które jest całunem Marigold, czernieje i rozpada się. Patrzę, jak iskry tańczą na fioletowym niebie i myślę o Marigold śpiewającej słodko swojemu synkowi.

– Nie mówię, że to złe, Florence, ale rozumiesz, że bez ciała Marigold nigdy nie udowodnisz, że Bracken Lee jest jej synem – mówi Luna stojąca u mojego boku. – Nawet jeśli zostanie znaleziony, nie udowodnisz mu tego. A bez tego nigdy nie udowodnisz, że to mistrzowie ją zamordowali.

Wymieniam spojrzenie z Dwane'em i moja lewa dłoń zaciska się na małym aksamitnym woreczku wiszącym na wstążce na mojej szyi.

– Myślę, że nigdy nie odnajdziemy Brackena Lee – odpowiadam. – Ale nie spaliliśmy wszystkich kości Marigold. Jedną zachowałam.

Luna patrzy na mnie z wyrazem bliskim przerażeniu, a ja podnoszę lewą dłoń, tak żeby wszyscy ją widzieli.

– Zatrzymałam jeden z jej palców – oznajmiam. – A dokładnie trzeci z lewej dłoni. Jeśli Bracken Lee zostanie sprowadzony przed oblicze sprawiedliwości, możemy powiedzieć, że Sally znalazła go w jednym z pudeł na poddaszu. Nikogo to nie zdziwi. Mistrzowie ucinali palce swoim ofiarom.

– Będiesz chodziła z palcem martwej kobiety na szyi? – pyta Cassie.

– Od trzydziestu lat żyję bez jednego palca – odpowiadam. – Było mi z tym trudno i myślę, że to mi pomoże.

Ognisko dopala się. Wiedźmy śpiewają i płaczą za Marigold. Na południowym zachodzie pojawił się księżyc i jego bładzi sierp wisi teraz na niebie, obserwując nas.

Nów dobiegł końca. Do następnego razu.

Przypisy

[\[1\]](#) Aksamitka – ang. *marigold* (przyp. tłum.).